Jonah Goldberg

LEWICOWY FASZYZM

Tajemna historia amerykańskiej lewicy od Mussoliniego do polityki zmiany

Wstęp: Leszek Balcerowicz

Przełożyli: Lech Jęczmyk, Jacek Lang

2013
WYDAWNICTWO ZYSK i S-KA

Od powstania i upadku systemu nazistowskiego faszyzm uważa się za zjawisko skrajnie prawicowe. A gdzie obecnie szukać prawdziwych faszystów? W *Lewicowym faszyzmie* Jonah Goldberg ukazuje szokujące powiązania współczesnego amerykańskiego liberalizmu z faszyzmem Mussoliniego i Hitlera. Pisząc o tak kontrowersyjnych kwestiach jak moralność, starcie nauki z religią, służba zdrowia i wartości kulturowe, Jonah Goldberg przypomina nam, że faszyzm zrodził się na lewicy, a także zwraca uwagę, iż pewne niepokojące rodzinne podobieństwo do niego cechuje dzisiejszą lewicę. Do współczesnych spadkobierców tej dyktatorskiej doktryny należą dziennik „New York Times", hollywoodzcy liberałowie oraz Partia Demokratyczna. W przenikliwym nowym posłowiu autor pisze o Baracku Obamie i jego „polityce zmiany", wykazując, że koncepcje nowego amerykańskiego prezydenta wcale nie są aż takie nowe...

Jonah Goldberg jest felietonistą publikującym na łamach „Los Angeles Times", uczestniczy także w redagowaniu pisma „National Review". Współpracownik „USA Today" i były felietonista londyńskiego „Timesa", pisał także materiały dla tygodnika „The New Yorker" i dziennika „Wall Street Journal". Mieszka w Waszyngtonie.

Tytuł oryginału:
Liberal Fascism. The Secret History of the American Left from Mussolini to the Politics of Change

Przełożyli:
Lech Jęczmyk (rozdziały 2-4 oraz 9)
Jacek Lang (pozostałe części)

Projekt okładki i stron tytułowych: www.designpartners.pl

Redakcja i skład: Axis Jacek Lang

ISBN 978-83-7785-276-7
Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 353 27 51, 61 853 27 67, fax 61 852 63 26
Dział handlowy, tel./fax 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

SPIS TREŚCI

Od Wydawcy

Wydawca świadom jest różnic definicyjnych pomiędzy amerykańskim a europejskim rozumieniem słowa „liberalny". Pierwotnie słowo to oznaczało tradycję myśli społecznej i politycznej, której głównym założeniem jest ograniczenie władzy państwa po to, aby utrzymać szeroko zakrojoną wolność jednostki, funkcjonowanie wolnego rynku, a także rządy prawa. W Europie termin ten zachował generalnie swój pierwotny sens. Natomiast w Stanach Zjednoczonych pojęcie „liberał" określa osoby popierające szeroki zakres interwencji państwa poprzez przede wszystkim rozbudowane programy socjalne i aktywności regulacyjne ograniczające wolność jednostki. Termin ten w Stanach Zjednoczonych oznacza poglądy, które w Europie określamy mianem lewicowych, socjalistycznych czy socjaldemokratycznych.

Jonah Goldberg, używając słowa „liberalny" w książce i w oryginalnym tytule, posługuje się utrwalonym na kontynencie amerykańskim znaczeniem tego terminu, Wydawnictwo, w porozumieniu z autorem i za radą autora *Wstępu do polskiego wydania*, profesora Leszka Balcerowicza, podjęło decyzję o zmianie tytułu, który w naszej opinii lepiej oddaje główne przesłanie książki. Czytelnik znajdzie obszerne wyjaśnienie kwestii terminologicznych zarówno we *Wprowadzeniu* Jonaha Goldberga, jak i *Wstępie do polskiego wydania* profesora Leszka Balcerowicza.

Leszek Balcerowicz
Słowo wstępne do polskiego wydania: Goldberg odkłamuje historię i język

Propaganda nie musi być prawdziwa, aby zatriumfować w umysłach ludzi. Wystarczy, gdy jest silna i uporczywa oraz umiejętnie gra na emocjach. Taka jest lekcja z krajów totalitarnych, gdzie – z definicji – stosująca przymus władza publiczna ma monopol na wszystko, w tym na środki masowego przekazu. Fałszywa propaganda może jednak również odnosić sukcesy w państwach demokratycznych, w których systematycznie wybiera się władze i istnieją rozległe indywidualne swobody. To pokazuje Jonah Goldberg w wybitnej książce *Lewicowy faszyzm*, w której zarazem odkłamuje propagandowe hasła, fałszerstwa, manipulacje i zwykłe nieporozumienia.

Wiele osób kojarzy zapewne słowo „faszyzm" z nazizmem i uważa, że faszyzm to skrajna prawica, czyli coś, co leży na krańcu przeciwnym do „lewicy". To pierwsze skojarzenie jest zrozumiałe: okropności hitlerowskiego nazizmu wytworzyły w umysłach wielu ludzi swoisty znak równości między nazizmem a faszyzmem i spowodowały, że słowo „faszyzm" wywołuje efekt emocjonalnego odrzucenia. Goldberg nie broni faszyzmu, przeciwnie, jest on – podobnie jak autor niniejszego wstępu – bardzo wobec niego krytyczny. Pokazuje on jednak, że faszyzm Mussoliniego różnił się zasadniczo od nazizmu Hitlera. Tak np. włoski faszyzm nie był antysemicki, a Żydzi byli nawet w partii Mussoliniego nadreprezentowani. To jedna z wielu ciekawych informacji, które można znaleźć w książce Goldberga.

Autor definiuje faszyzm jako rodzaj skrajnego etatyzmu, czyli ustrój, w którym państwo dominuje nad jednostką i wszelkimi prywatnymi organizacjami. Pokazuje, że tak rozumiany faszyzm, czyli pewien prąd intelektualno-polityczny, był silny nie tylko w Europie po I wojnie światowej, ale – i to zapewne zaskoczy – również w Stanach Zjednoczonych. Co więcej, nabrał on tam mocy już pod koniec XIX wieku, nosząc nazwę progresywizmu (*progressivism*). Czytelnik dowie się, że jego wybitnym przedstawicielem i realizatorem był Thomas Woodrow Wilson. Państwo, które ten prezydent stworzył w czasie I wojny światowej, Goldberg nazywa „socjalizmem wojennym" lub „państwem policyjnym", przytaczając fakty świadczące o tym, że nie rzuca słów na wiatr.

W wyborach przeprowadzonych po I wojnie światowej Amerykanie odrzucili progresywizm; Goldberg twierdzi, że w Stanach Zjednoczonych – w odróżnieniu od Europy – skrajny etatyzm nie jest w stanie trwale się zakorzenić. Ale jako wpływowy prąd polityczno-intelektualny progresywizm nie umarł. Jego zwolennicy z uwagą i aprobatą obserwowali postępy faszyzmu i socjalizmu (komunizmu) w Europie Środkowej i Wschodniej, uważając te dwie drogi – słusznie – za reprezentantów tego samego gatunku: skrajnego etatyzmu, wrogiego wobec praw jednostki i rynku. Mussolini i Lenin (a potem Stalin) byli dla nich bohaterami z tej samej bajki. Wielu późniejszych doradców i współpracowników Franklina Delano Roosevelta pielgrzymowało do Rzymu i Moskwy po naukę.

Polityczny czas aktywnych progresywistów nastał wraz z dojściem do władzy Franklina D. Roosevelta. W Stanach Zjednoczonych wielki kryzys z lat trzydziestych XX wieku interpretowano wówczas powszechnie jako krach kapitalizmu; taka interpretacja przeważa też w opinii publicznej do dziś, choć badania pokazują walną rolę błędnej polityki gospodarczej USA w wywołaniu i utrwalaniu tego kryzysu. Można o tym poczytać także w książce Goldberga. Przeświadczenie o krachu kapitalizmu otworzyło ekipie Roosevelta drogę do ekspansji etatyzmu, przypominającego pod wieloma względami – jak pokazuje autor – ówczesną politykę gospodarczą Mussoliniego i Hitlera. Realizatorzy i zwolennicy Nowego Ładu w Stanach Zjednoczonych, ale też zwykli obserwatorzy, nie uważali wówczas tych narodowosocjalistycznych eksperymentów za obce im i wrogie „prawicowe" wynaturzenia. Przeciwnie, uważano, że wraz z Nowym Ładem należą do jednej etatystycznej rodziny. Do inwazji Hitlera na ZSRR nie było też takiego ostrego przeciwstawienia w propagandzie uprawianej w „Kraju Rad".

Zdecydowany propagandowy zwrot nastąpił po inwazji hitlerowskich Niemiec na Związek Radziecki. Śmiertelnego wroga nie można było uważać za członka tej samej lewicowej rodziny. Nazizm – i szerzej faszyzm – stały się więc w machinie propagandowej Stalina przejawami skrajnej „prawicy", co miało sugerować, że są na krańcu przeciwstawnym do „lewicy". Ta propaganda nie tylko została upowszechniona w „obozie socjalistycznym", ale i podchwycona z wielkim sukcesem w Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza w kręgach lewicowych.

Jak pokazuje Goldberg, przedstawiciele tego nurtu nie tylko skutecznie zamazali w publicznym odbiorze swoje wcześniejsze – trafne – interpretacje faszyzmu i komunizmu jako bliskich instytucjonalnych krewnych, nie tylko doprowadzili do amnezji w kwestii swego pozytywnego stosunku do obu tych odmian skrajnego etatyzmu, ale na dodatek przejęli słowa „faszyzm" i „faszysta" jako wyzwiska, którymi obrzucali i nadal obrzucają politycznych przeciwników, w tym antyetatystów, czyli klasycznych liberałów. Goldberg demaskuje z pasją, ale i ze zjadliwą ironią, ten propagandowy przewrót, szczególnie widoczny w Stanach Zjednoczonych. Pokazuje, że taką samą propagandową strategię stosował Stalin, gdy pozbywał się z elity władzy ZSRR ludzi, którzy wcześniej walnie przyczynili się do budowy ultralewicowej bolszewickiej dyktatury – na czele z Trockim. Wszyscy oni byli oskarżeni o rozmaite prawicowe odchylenia. Różnica polegała oczywiście na tym, że za Stalina takie oskarżenia prowadziły zwykle do śmierci delikwentów, a w demokratycznych Stanach Zjednoczonych mogły one osłabić ich wizerunek i szanse wyborcze. Taki los spotkał na przykład Barry'ego Goldwatera, kandydata na prezydenta, który miał antyetatystyczny, wolnorynkowy program, a został przez politycznych przeciwników skutecznie zdemonizowany jako „reakcjonista" i „faszysta". Dopiero Ronaldowi Reganowi, który miał podobny program, udało się wygrać pojedynek o rząd dusz z manipulanckimi propagatorami podobnych oszczerstw.

Jak wynika z powyższego, książka Goldberga jest odkłamywaniem historii i odkłamywaniem języka. Jedno i drugie mają wielkie znaczenie. Język ma silny wpływ na nasze myślenie i emocje. Dlatego na koniec chciałbym na chwilę zatrzymać się na kwestiach pojęciowych poruszanych przez autora. Weźmy słowo „liberalizm". Oznaczało ono pierwotnie prąd intelektualno-polityczny dążący do ograniczenia arbitralnej władzy państwa, aby utrzymać szeroko zakrojone indywidualne swobody, dzięki którym mogą działać wolny rynek i społeczeństwo obywatelskie. Ten kierunek nazywa się też niekiedy klasycznym liberalizmem. Goldberg pokazuje, jak etatystyczny progresywizm został w Stanach Zjednoczonych przechrzczony na liberalizm, co kompletnie wypaczało pierwotny sens tego słowa. Termin „liberał" oznacza w tym kraju kogoś, kogo w Europie nazywa się socjalistą, socjaldemokratą itp., w każdym razie zwolennika znaczącej interwencji państwa. Wskutek tej terminologicznej inwazji zaistniała potrzeba znalezienia nowych określeń dla kierunku, który niegdyś nazywano „liberalizmem". Nowe terminy stosowane w Stanach Zjednoczonych to *conservatism* lub *libertarianism*. W Europie pojęcie liberalizmu zachowało mniej więcej pierwotny sens i dlatego jest używane przez zwolenników szerokiej interwencji państwa jako epitet kierowany pod adresem tych, którzy uważają, że ograniczenie władzy państwa – i powstające dzięki temu wolny rynek oraz społeczeństwo obywatelskie – to lepsze rozwiązanie. (Jeszcze gorszym epitetem jest w ustach interwencjonistów słowo „neoliberalizm").

Albo weźmy terminy „lewica" i „prawica". Zgodnie z pierwotnym znaczeniem „lewica" była silnie etatystyczna, a prawica – wolnorynkowa. Dlatego na gruncie tego klasycznego rozróżnienia i komunizm, i faszyzm należały do jednej, etatystycznej rodziny, oba były – z definicji – lewicowe.

W toku praktyki politycznej słowa „lewica" i „prawica" zatraciły pierwotny programowy sens, o czym świadczy między innymi fakt że mamy w Polsce nazywające się „prawicą" partie silnie etatystyczne, a więc zgodnie z pierwotnym rozróżnieniem należące do „lewicy". Trzeba wobec tego pamiętać, że określenia „lewica" i „prawica" pełnią obecnie taką funkcję, jaką pełnią nazwy rywalizujących ze sobą klubów piłkarskich, z których każdy stara się wbić przeciwnikowi

bramkę, Nie należy ulegać ich magii (bo jej nie ma), lecz pytać o stosunek poszczególnych ugrupowań do indywidualnych swobód, wolnego rynku i społeczeństwa obywatelskiego.

***

Jonah Goldberg napisał książkę, która łączy w sobie głęboką myśl, podobną do głębi znanej z prac Poppera i Hayeka, z pasją i ironią, a także znakomitym komunikatywnym językiem. Jest to wybitne dzieło, które czyta się jak kryminał.

Wprowadzenie

Wszystkie twoje przekonania na temat faszyzmu są błędne

George Carlin: ...a biednych w tym kraju systematycznie łupiono. A bogaci się wzbogacili za rządów tego zbrodniczego, faszystowskiego prezydenta i jego gabinetu. [*Oklaski i okrzyki wyrażające aprobatę*]

Bill Maher: Spokojnie, spokojnie.

James Glassman: Wiesz, George... George, myślę, że wiesz... Wiesz, co to faszyzm?

Carlin: Faszyzm, kiedy dotrze do Ameryki...

Glassman: Wiesz, kto to naziści?

Carlin: Kiedy faszyzm dotrze do Ameryki, to nie będzie to ruch ludzi w brunatnych czy czarnych koszulach. Nie będzie wysokich butów. Przyjdą w butach Nike i koszulkach z emotikonami uśmiechów. Uśmiechniętymi buźkami. Faszyzm... Niemcy przegrały II wojnę światową. Faszyzm ją wygrał. Uwierz mi, przyjacielu.

Maher: A o faszyzmie należy mówić wtedy, gdy korporacje stają się rządem.

Carlin: Tak.[1]

Z wyjątkiem nielicznych seminariów organizowanych na uczelniach mniej więcej na takim właśnie poziomie intelektualnym prowadzi się w Stanach Zjednoczonych dyskusje na temat faszyzmu. Rozjuszeni lewicowcy krzyczą, że wszyscy znajdujący się na prawo od ich pozycji – przede wszystkim majętni szefowie korporacji oraz kochający ich politycy – to faszyści. A atakowani konserwatyści siedzą cicho, ogłuszeni topornością tego oszczerstwa.

Wbrew temu, co w przytoczonej wypowiedzi stwierdził Bill Maher, faszyzm nie polega na tym, że „korporacje stają się rządem". Jak na ironię jednak, słuszna jest konkluzja George'a Carlina, choć nie można tego samego powiedzieć o jego argumentacji. Jeżeli faszyzm rzeczywiście dotrze do Ameryki, to istotnie przybierze postać „faszyzmu z uśmiechnięta buźka", a więc faszyzmu **miłego**. W gruncie rzeczy jednak wiele elementów faszyzmu nie pojawiło się w Stanach Zjednoczonych teraz, ale utrzymuje się już prawie od stulecia. To bowiem, co nazywamy liberalizmem, mianowicie odrestaurowany gmach amerykańskiego progresywizmu, to w istocie potomek faszyzmu i jego przejaw. Nie oznacza to, że ten liberalizm jest tym samym co nazizm, nie jest to także bliźniak włoskiego faszyzmu. Jednakże progresywizm i faszyzm były ruchami siostrzanymi, a dzisiejszy liberalizm to córka progresywizmu. Można by to porównanie nieco naciągnąć i stwierdzić, że dzisiejszy liberalizm to kierująca się dobrymi intencjami siostrzenica europejskiego faszyzmu. Nie jest tak, ze niczym się nie różni od swych brzydszych krewniaczek, ale pewne kłopotliwe rodzinne podobieństwo wykazuje. Niewielu przyzna, że to podobieństwo dostrzega.

Jeśli chodzi o słowo „faszyzm", nie ma w języku angielskim wyrazu, którym z większa swoboda przerzucaliby się ludzie nieznający jego znaczenia. Jest nawet tak, że im częściej ktoś sięga po to słowo w codziennych wypowiedziach, tym mniejsze jest prawdopodobieństwo, iż wie, o czym mówi.

Można by sadzić, że wyjątek od tej reguły będą stanowić naukowcy zajmujący się faszyzmem. Społeczność naukową jednak wyróżnia wyłącznie jej uczciwość. Nawet specjaliści bowiem nie doszli do tego, czym właściwie jest faszyzm. Niezliczone analizy naukowe zaczyna się od przyznania *pro forma* tego stanu rzeczy. „Jest tak wiele różnorodnych opinii co do tego określenia – pisze Roger Griffin we wprowadzeniu do pracy *The Nature of Fascism* – że niemal trzeba od podobnego stwierdzenia rozpoczynać jakiś wkład do debaty o faszyzmie".

Nieliczni badacze, którzy zdecydowali się przedstawić własne definicje, pozwalają nam w pewnym przebłysku dostrzec, dlaczego tak trudno o konsens w tej kwestii. Roger Griffin, obecnie

najbardziej rozświetlający tę dziedzinę, przyjmuje, że faszyzm to „rodzaj ideologii politycznej, której mitycznym jądrem w rozmaitych permutacjach jest palingenetyczna postać populistycznego ultranacjonalizmu”. Roger Eatwell twierdzi, że „istotą” faszyzmu jest „forma myśli, która głosi konieczność odrodzenia społecznego w celu wypracowania **holistyczno-narodowej radykalnej trzeciej drogi**”. Emilio Gentile definiuje faszyzm następująco: „Ruch masowy łączący różne klasy, ale w przeważającej większości złożony z przedstawicieli klasy średniej, który uważa się za ruch mający doprowadzić do odrodzenia narodowego, jest w stanie wojny z przeciwnikami i dąży do wyłączności w dziedzinie władzy przez wykorzystywanie terroru, taktyki parlamentarnej i kompromisów w celu utworzenia nowego systemu władzy przy zniszczeniu demokracji”.[2]

Są to definicje cechujące się doskonałą użytecznością, ale nad inne należy je przedkładać najbardziej z tego powodu, że są na tyle krótkie, iż można je tu przedrukować. Na przykład Ernst Nolte, historyk badający systemy totalitarne, jeden z najważniejszych uczestników „dyskusji historyków” (*Historikerstreit*) prowadzonej w Niemczech w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, przedstawił sześciopunktową definicję, którą określił jako „faszystowskie minimum”. W definicji tej faszyzm charakteryzuje się poprzez to, przeciwko czemu występował. Tak więc faszyzm jest zarówno antyliberalizmem, jak i „antykonserwatyzmem”. Inne określenia służące zdefiniowaniu faszyzmu cechują się jeszcze większą złożonością, a przy tym trzeba przyjmować, że dowody świadczące o czymś przeciwnym to wyjątki potwierdzające regułę.

To akademicka wersja zasady nieoznaczoności Heisenberga – im bliżej badanego zjawiska się znajdujemy, im dokładniej je analizujemy, tym mniej precyzyjna staje się jego definicja. Dwadzieścia lat temu historyk R.A.H. Robinson pisał tak: „Chociaż na badanie go przeznaczono ogromne ilości czasu i energii umysłowej, [...] faszyzm pozostaje wielką zagadką dla badających wydarzenia XX wieku”.

Z kolei autorzy *Dictionnaire historique des fascismes et du nazisme* (Słownik historyczny faszyzmów i nazizmu) twierdzą kategorycznie: „Nie ma powszechnie przyjmowanej definicji faszyzmu, nie ma konsensu, choćby drobnego, odnośnie do zakresu tego zjawiska, jego źródeł ideologicznych czy cechujących go modalności działań”.

Stanley G. Payne, przez wielu uważany za najwybitniejszego żyjącego badacza faszyzmu, pisał w 1995 roku następująco: „Pod koniec XX wieku słowo »faszyzm« pozostaje prawdopodobnie najmniej precyzyjnym określeniem spośród najważniejszych pojęć politycznych”. Są nawet poważni naukowcy, którzy twierdzą, że nazizm nie był ruchem faszystowskim, że nie istnieje coś takiego, jak faszyzm, albo że jest to przede wszystkim świecka religia (podzielam to przekonanie). „Krótko mówiąc – pisze Gilbert Allardyce – przystaliśmy na wykorzystywanie słowa bez porozumienia w tej sprawie, jak je definiować”.[3]

Wielu współczesnych liberałów i lewicowców działa jednak tak, jakby **dokładnie** wiedzieli, czym jest faszyzm, chociaż naukowcy przyznają, że istota faszyzmu jest nieprecyzyjna, złożona i poddaje się najrozmaitszym, nawet dziwacznym interpretacjom. Co więcej, ci liberałowie i lewicowcy dostrzegają go wszędzie, nie widzą go tylko wtedy, gdy patrzą w lustro. Lewica istotnie wymachuje tym określeniem jak pałą wykorzystywaną do okładania przeciwników publicznych jak buntowniczych agitatorów. Faszysty przecież nie trzeba traktować poważnie. Nikt nie ma obowiązku słuchać przedstawianych przez niego argumentów, nie musi się też przejmować jego uczuciami ani prawami. Dlatego właśnie Al Gore i wielu innych walczących o ochronę środowiska naturalnego tak szybko porównują sceptyków powątpiewających w ocieplenie światowego klimatu z tymi, którzy twierdzą, że nie było Holokaustu. Gdy takie skojarzenie się ugruntuje, nie ma powodu marnować czasu na takich ludzi.

Krótko mówiąc, „faszysta” to współczesne określenie „heretyka”, służące do napiętnowania osoby, którą w czyimś przekonaniu należałoby ekskomunikować ze sfery politycznej. Lewica sięga także po inne określenia, takie jak „rasista”, „seksista”, „homofob”, „chrześcijanista”[4], które wykorzystuje w podobnych celach, tyle że ich znaczenia są mniej elastyczne. Faszyzm zaś to dar, który nie przestaje obdarowywać. George Orwell zaobserwował tę tendencję już w 1946 roku. W słynnym eseju *Politics and the English Language* (Polityka a język angielski) pisał następująco: „Słowo »faszyzm« nie ma obecnie żadnego znaczenia oprócz tego, że określa 'coś niepożądanego'”[5].

Piszący na potrzeby Hollywoodu używają słów „faszyści”, „brunatne koszule” i „naziści”, jakby oznaczały one – ni mniej, ni więcej – 'coś, czego nie lubią liberałowie'. W nadawanym przez stację NBC programie *West Wing* swobodę wyboru szkoły uznano za inicjatywę „faszystowską”, chociaż można zasadnie twierdzić, że pomysł wyboru szkoły – poza ideą uczenia dzieci w domach – to najbardziej niefaszystowska polityka publiczna, jaką kiedykolwiek przedstawiono. Crash Davis, odgrywany przez Kevina Costnera bohater filmu *Bull Durham*, wyjaśnia swemu protegowanemu: „Przestań próbować wszystkich wyeliminować. Outowanie jest nudne, a poza tym to faszyzm. Puść trochę niskich piłek. To bardziej demokratyczne”. Gburowaty kucharz pojawiający się w sitkomie *Seinfeld* to Soup Nazi.

W świecie rzeczywistym jest mniej absurdalnie tylko w znikomym stopniu. Zasiadający w Izbie Reprezentantów Charlie Rangel twierdził, że opublikowany w 1994 roku przez Partię Republikańską dokument zatytułowany *Kontrakt z Ameryką* był czymś skrajniejszym od programów nazistowskich. „Hitler nawet nie mówił o takich rzeczach” (technicznie rzecz ujmując, jest to słuszne pod tym względem, że Hitler istotnie nie dążył do przedłużenia kadencji przewodniczących komisji i budżetowania „od zera”, czyli bez korzystania z danych z poprzedniego roku). W roku 2000 Bill Clinton nazwał teksańską platformę republikanów „faszystowską działką”. Dziennik „New York Times” jest na prowadzeniu, jeśli chodzi o publikacje, w których promuje się znanych naukowców, którzy są skłonni dopuścić możliwość, że Partia Republikańska to ugrupowanie faszystowskie, a chrześcijańscy konserwatyści to nowi naziści. Ma to pismo takich materiałów na swoim koncie niemało.[6]

Nieco bliżej obecnych czasów Chris Hedges, uhonorowany nagrodą Pulitzera dziennikarz z redakcji tego pisma, opublikował książkę zatytułowaną *American Fascists: The Christian Right and the War on America* (Amerykańscy faszyści: chrześcijańska prawica i wojna z Ameryką). To zaledwie jedna z wielu publikowanych obecnie prac polemicznych, w których się twierdzi, że konserwatywni czy fundamentalistyczni chrześcijanie to faszyści. (Mocno krytyczna poza tym recenzja Ricka Perlsteina opublikowana na łamach dziennika „New York Times” zaczyna się od stwierdzenia „W Ameryce są naturalnie chrześcijańscy faszyści”). Wielebny Jesse Jackson za faszystowskie uważa wszystko, co kłóci się z jego programem mającym rasistowskie podstawy. W 2000 roku, kiedy na Florydzie ponownie liczono głosy po wyborach prezydenckich, stwierdził, że „znów” zorganizowano akcję przeciwko ocalałym z Holokaustu, ponieważ dla kilku tysięcy wyborców w podeszłym wieku florydzkie karty do głosowania były zbyt zawiłe. W programie Larry King Live Jesse Jackson wyrzekł absurdalne zdanie: „Koalicja Chrześcijańska była poważną siłą w Niemczech”. Następnie dodał: „Przygotowała odpowiednie argumenty naukowe i teologiczne, aby uzasadnić tragedię, do której doszło w Niemczech. Jest wiele dowodów działalności Koalicji Chrześcijańskiej w Niemczech”.[7]

Gdy spyta się przeciętną, dość dobrze wykształconą osobę, co jej przychodzi na myśl, gdy słyszy wyraz „faszyzm”, w odpowiedzi padną słowa „dyktatura”, „ludobójstwo”, „antysemityzm”, „rasizm” i – naturalnie – „prawica”. Gdy się wniknie nieco głębiej – i przejdzie trochę bardziej na lewo – usłyszy się wiele na temat „eugeniki”, „darwinizmu społecznego”, „kapitalizmu państwowego” oraz złowróżbnej roli odgrywanej przez wielkie przedsiębiorstwa. Często pojawią się też wzmianki o wojnie, militaryzmie i nacjonalizmie. Niektóre z tych cech niewątpliwie były bardzo ważnymi elementami tego, co moglibyśmy nazwać „klasycznym” faszyzmem, mianowicie faszyzmu Benita Mussoliniego i nazizmu Adolfa Hitlera. Inne określenia, na przykład powszechnie błędnie rozumiany termin „darwinizm społeczny”, nie mają wiele wspólnego z faszyzmem.[8] Jednakże bardzo niewiele tych elementów cechuje tylko faszyzm, a niemal żaden nie jest cechą zdecydowanie prawicową czy konserwatywną, przynajmniej w znaczeniu przyjmowanym w Stanach Zjednoczonych.

Najpierw trzeba umieć odróżniać symptomy od choroby. Weźmy pod uwagę militaryzm, do którego w tej książce będziemy wielokrotnie wracać. Nie ulega wątpliwości, że w niezliczonych państwach militaryzm należał do najważniejszych cech faszyzmu (i komunizmu). Jednakże w jego związkach z faszyzmem jest więcej niuansów, niż można by sądzić. Byli w Niemczech i w Stanach

Zjednoczonych politycy i intelektualiści (na przykład Theodore Roosevelt i Oliver Wendell Holmes), którzy uważali, że wojna naprawdę jest źródłem ważnych wartości moralnych. To militaryzm w postaci czystej i prostej filozofii społecznej. Wielu więcej jednak sądziło, że militaryzm to rozwiązanie pragmatyczne, mianowicie najlepsza i najsprawniejsza metoda zorganizowania społeczeństwa, aby było produktywne. Na podstawie takich idei, jakie wyraził na przykład William James w słynnym eseju *The Moral Equivalent of War* (Moralny odpowiednik wojny), wydawało się, że militaryzm zapewnia wykonalny i sensowny model pozwalający osiągać upragnione cele. Mussolini, który jawnie podziwiał Jamesa i się na niego powoływał, wykorzystywał tę logikę przy wdrażaniu słynnego programu bitwy zbożowej[9] i przy innych radykalnych inicjatywach społecznych. Takie koncepcje cieszyły się wielką popularnością w Stanach Zjednoczonych, gdzie wielu wiodących progresywistów popierało pomysły wykorzystywania „armii przemysłowych” w celu stworzenia idealnej demokracji robotniczej. Później Korpus Ochrony Cywilnej (Civilian Conservation Corps) Franklina Roosevelta – program społeczny tak militarystyczny, jak tylko sobie to można wyobrazić – wykorzystywał te idee, podobnie jak robił to Korpus Pokoju Johna Kennedy'ego.

Nie usunięto tego tropu stylistycznego ze zbioru figur retorycznych wykorzystywanych przez współczesny liberalizm. Codziennie słyszymy o „walce z rakiem”, „zwalczaniu narkotyków” czy „walce z nędzą”, słyszymy też zachęty, aby jakąś sprawę społeczną uznać za „moralny odpowiednik wojny”. W najrozmaitszych sprawach – od służby zdrowia, poprzez kontrolę nad posiadaniem broni, po ocieplenie klimatu na świecie – liberałowie podkreślają, że musimy „wyjść poza politykę” i „wznieść się ponad różnice ideologiczne”, aby „się zająć sprawami ludzi”. Mówi się nam, że eksperci i naukowcy wiedzą, co należy robić, toteż czas przeznaczony na debatę dobiegł końca. Wprawdzie w delikatniejszej i bardziej dobrotliwej formie, ale jest to przecież logika faszyzmu. Wielokrotnie się ujawniała podczas rządów Thomasa Woodrow Wilsona, Franklina Roosevelta, a nawet – tak! – Johna F. Kennedy'ego.

Jest jeszcze oczywiście rasizm. Bezdyskusyjnie rasizm należał do najważniejszych elementów ideologii nazistowskiej. Obecnie z pełnym spokojem utożsamiamy rasizm z nazizmem, co pod istotnymi względami jest całkowicie zasadne. Dlaczego jednak nie mielibyśmy stawiać obok siebie na przykład nazizmu i afrocentryzmu? Wielu wczesnych afrocentrystów, na przykład Marcus Garvey, popierało ruchy faszystowskie albo otwarcie się podawało za faszystów. Naród Islamu (Nation of Islam) wykazuje zdumiewające powiązania z nazizmem, a jego idee teologiczne przypominają koncepcje Himmlera. Czarne Pantery – militarystyczne ugrupowanie zrzeszające młodych mężczyzn głoszących konieczność stosowania przemocy, separatyzm i wyższość rasową – są w istocie nie mniej faszystowskie niż bojówkarze SA Hitlera bądź bojówkarze SAM (*Squadre d'azione Mussolini*). Afrocentrycznego pisarza Leonarda Jeffriesa, który twierdzi, że czarni są ludźmi słońca, biali zaś ludźmi lodu, można by z łatwością wziąć za teoretyka nazistowskiego.

Niektóre ugrupowania lewicowe wyrażają przekonanie, że „syjonizm to rasizm”, a Izraelczycy są odpowiednikami nazistów. Te porównania są naturalnie obraźliwe i problematyczne, ale powstaje pytanie, dlaczego nie słyszymy podobnych wypowiedzi na temat różnych innych grup, od Krajowej Rady Rasy (National Council of La Raza) po radykalne latynoskie ugrupowanie MEChA, którego dewiza brzmi „Wszystko dla rasy, nic poza rasą” (*Por La Raza todo. Fuera de la Raza nada*)? Dlaczego dzieje się tak, że gdy takie przekonania głosi biały, jest on „obiektywnie” faszystą, kiedy zaś takie same stwierdzenia wygłasza kolorowy, są one jedynie wyrazem modnej obecnie wielokulturowości?

Dla lewicowców sprawą najważniejszą jest to, aby na takie pytania w ogóle nie udzielać odpowiedzi. Zdecydowanie woleliby utrzymać Orwellowską definicje faszyzmu, zgodnie z którą jest to każde niepożądane zjawisko, pozwoliłoby im to bowiem ukryć przed badawczymi spojrzeniami ich własne faszystowskie zapędy. Kiedy już jednak muszą odpowiedzieć, to udzielona przez nich odpowiedź na ogół okazuje się bardziej instynktowna, ekspresywna lub wynikająca z drwiącego odrzucenia niż racjonalna bądź sformułowana na podstawie przyjmowanych zasad. Wydaje się, że w przekonaniu liberałów i lewicowców zjawiska i ruchy takie, jak wielokulturowość czy Korpus Pokoju, to rzeczy pozytywne rzeczy, które liberałowie aprobują – a rzeczy dobre **nie mogą** być faszy-

stowskie na podstawie tego prostego faktu, że liberałowie je aprobują. Wydaje się, że to fundamentalny, nieredukowalny argument niezliczonych pisarzy, którzy ze spokojem, całkiem naturalnie sięgają po słowo „faszystowski", aby za jego pomocą określać „złych", uważanych za takich tylko na tej podstawie, że są oni źli w przekonaniu liberałów. Można na przykład twierdzić, że Fidel Castro to podręcznikowy przykład faszysty. Lewica jednakże aprobuje to, że Castro występuje przeciwko amerykańskiemu „imperializmowi", a do tego Castro posługuje się magicznymi hasłami ze słownika marksizmu, toteż nazywanie go faszystą jest nie tylko błędne, ale obiektywnie głupie. Natomiast nazywanie Ronalda Reagana, George'a W. Busha, Rudy'ego Giulianiego i innych konserwatystów faszystami to po prostu coś, co ludzie cechujący się zdrowym myśleniem i wyrafinowaniem **robią**.

Zasadnicza wada tego wszystkiego polega na tym, że właściwie pojmowany faszyzm w ogóle nie jest zjawiskiem prawicowym, lecz jest i zawsze był ruchem lewicowym. Ten fakt – niewygodna prawda, jeśli to w ogóle dostrzegano – w naszych czasach zostaje zasłonięty przez równie błędne przekonanie, że faszyzm i komunizm są przeciwieństwami. W istocie jednak są to blisko spokrewnieni, historyczni konkurenci walczący o tych samych wyborców, próbujący zdominować i opanować tę samą przestrzeń społeczną. Fakt, że wydają się biegunowymi przeciwieństwami, to efekt sztuczki zastosowanej w historii koncepcji intelektualnych, a także (to ma jeszcze większy związek z naszym tematem) skutek zgranej propagandy „czerwonych" dążących do tego, aby „brunatni" wydawali się obiektywnie źli i „inni" (ironiczną wymowę ma przy tym to, że demonizowanie „innych" uważa się za cechę definiującą faszyzm). Jednakże pod względem teorii i praktyki różnice między faszyzmem a komunizmem okazują się minimalne.

Z powodu ogromu popełnionych przez nie zbrodni i skali porażek trudno obecnie pamiętać, że zarówno faszyzm, jak i komunizm w czasach realizowania tych systemów politycznych były utopijnymi wizjami, które rodziły ogromne nadzieje. Faszyzm ponadto, podobnie jak komunizm, był ruchem międzynarodowym, który zdobywał zwolenników w każdym społeczeństwie Zachodu. Szczególnie po I wojnie światowej – ale zaczęło się to znacznie wcześniej – faszystowska chwila wyłoniła się z prochów dawnego ładu europejskiego. Łączyła w sobie różnorodne pasma europejskiej polityki i kultury, mianowicie rozwój ruchów nacjonalistycznych, opiekuńcze państwo Bismarcka oraz upadek chrześcijaństwa jako źródła ortodoksji społecznej i politycznej oraz powszechnych aspiracji. Zajmując miejsce chrześcijaństwa, faszyzm zaproponował nową religię państwa mającego charakter boskiego bytu i narodu uważanego za organiczną społeczność.

Ten międzynarodowy ruch miał wiele wariantów i odłamów, a ponadto w różnych państwach funkcjonował pod odmiennymi nazwami. Jego manifestacje w różnych społeczeństwach się różniły, a odmienności zależały od cech kultury narodowej. Między innymi przez to tak trudno definiować faszyzm. W gruncie rzeczy jednak międzynarodowy faszyzm czerpał z tych samych źródeł intelektualnych co amerykański progresywizm. Amerykański progresywizm bowiem – organizowana z powodów moralnych krucjata społeczna, która zrodziła współczesnych liberałów, czym ci się chlubią – pod pewnymi względami jest zasadniczym źródłem faszystowskich koncepcji, które w Europie wprowadzali w życie Mussolini i Hitler.

Amerykanie lubią sobie wyobrażać, że są odporni na faszyzm, choć nieustannie czują, że im zagraża. Powszechnie powtarzany refren to zdanie „Tu nie może do tego dojść". Nie ulega jednak wątpliwości, że faszyzm występował również w historii Stanów Zjednoczonych.

Temu właśnie jest poświęcona ta książka. Amerykańska tradycja faszystowska jest mocno powiązana z dążeniem do „europeizowania" Stanów Zjednoczonych i zapewnienia Amerykanom „nowoczesnego" państwa, które można zaprząc do realizacji utopijnych celów.

Wydaje się, że amerykański faszyzm jest bardzo odmienny od wariantów europejskich – a jest tak istotnie – ponieważ złagodziły go liczne szczególne czynniki, mianowicie wielkość Stanów Zjednoczonych, zróżnicowanie etniczne, indywidualizm zgodny z założeniami światopoglądu Jeffersona, silne tradycje liberalne itd. Z tych powodów amerykański faszyzm jest łagodniejszy, życzliwszy, bardziej „macierzyński" niż jego zagraniczne odpowiedniki. To zjawisko, które George Carlin nazywa faszyzmem z uśmiechniętą buźką. Faszyzm **przyjemny**. Najlepiej go zwać faszyzmem **liberalnym**. Ten liberalny faszyzm był zasadniczo lewicowy. Takim też pozostaje.

Przedstawię w tej książce odmienną historię amerykańskiego liberalizmu, nie tylko ukazując, że jego korzenie wywodzą się z klasycznego faszyzmu, do którego ten ruch wykazuje wiele podobieństw, ale także wyjaśniając, jak wskutek złożonej sztuczki zaczęto twierdzić, że prawica jest faszystowska. W istocie konserwatyści są autentyczniejszymi klasycznymi liberałami, natomiast wielu tzw. liberałów to „życzliwi" faszyści.

Nie zamierzam jednak przekonywać, że wszyscy liberałowie są faszystami. Nie twierdzę też, że przeświadczenie o wartości państwowego systemu służby zdrowia bądź zakazów palenia to dowód, że ktoś jest kryptonazistą. Przede wszystkim dążę do obalenia niewzruszonego założenia przyjmowanego w naszej kulturze politycznej, że amerykański konserwatyzm to odłam czy kuzyn faszyzmu. Spróbuję wykazać, że wiele koncepcji i bodźców kształtujących to, co nazywamy liberalizmem, dotarło do nas za pośrednictwem tradycji intelektualnej, która prowadzi bezpośrednio do faszyzmu. Idee te zostały przejęte przez faszyzm i w ważnych aspektach pozostają koncepcjami faszystowskimi.

Jednakże dzisiaj nie umiemy łatwo rozpoznać tych podobieństw i przypadków ciągłości, a tym bardziej o nich mówić, ponieważ ta cała dziedzina analizy historycznej została uniemożliwiona przez Holokaust. Przed II wojną światową faszyzm powszechnie uważano za postępowy ruch społeczny. Popierało go wielu liberałów i lewicowców zarówno w Europie, jak i w Stanach Zjednoczonych. Potworność Holokaustu sprawiła jednak, że całkowicie się zmieniło nasze postrzeganie faszyzmu. Uważamy więc, że to ruch wyjątkowo zły i nieuchronnie łączący się ze skrajnym nacjonalizmem, paranoją i rasizmem prowadzącym do ludobójstwa. Po wojnie amerykańscy progresywiści, którzy wcześniej chwalili Mussoliniego, a nawet spoglądali z sympatią na Hitlera w latach dwudziestych i trzydziestych, musieli się odciąć od przerażających zbrodni nazizmu. Lewicowi intelektualiści zmienili więc definicję faszyzmu, uznając go za zjawisko „prawicowe", po czym dokonali projekcji, przenosząc własne przewiny na konserwatystów, chociaż nadal obficie wykorzystywali koncepcje faszystowskie i przedfaszystowskie.

Znaczną część tej alternatywnej historii można prześledzić całkiem łatwo, jeżeli ma się oczy do patrzenia. Problem polega na tym, że w liberalno-progresywistycznej opowieści, na której większość z nas się wychowała, na ogół się pomija te niespójności i sprawy niewygodne, a rzeczy o zasadniczym znaczeniu uważa się za kwestie marginalne, aby nie trzeba się nimi zajmować.

Na początek wspomnijmy o elementarnym fakcie, że w latach dwudziestych XX wieku faszyzm i idee faszystowskie były niezwykle popularne wśród przedstawicieli amerykańskiej lewicy. „Zdanie, że faszyzm drażnił nozdrza redaktorów »New Masses« – pisał John Patrick Diggins o legendarnym dzienniku radykalnej lewicy – może być stwierdzeniem prawdziwym odnośnie do sytuacji po roku 1930. Natomiast w przekonaniu radykałów z lat dwudziestych powiew docierający z Włoch nie przynosił żadnego podejrzanego odoru ideologicznego".[10] Stało się tak z pewnego powodu. Otóż pod wieloma względami ojcowie założyciele współczesnego liberalizmu, czyli mężczyźni i kobiety, którzy kładli intelektualne podwaliny pod Nowy Ład i państwo opiekuńcze, uważali faszyzm za całkiem dobrą koncepcję. Może tak, aby to ująć w pełni uczciwie – można stwierdzić, że wielu po prostu uważało (w duchu Deweyowskie go pragmatyzmu), iż wygląda to na wartościowy „eksperyment". Co więcej, wprawdzie odór włoskiego faszyzmu zaczął wreszcie drażnić nozdrza i amerykańskich lewicowców, i amerykańskich prawicowców (sporo po roku 1930, by to przy okazji odnotować), ale powody tej odrazy w większości wcale nie wynikały z jakichś poważnych różnic ideologicznych. Stało się raczej tak, że amerykańska lewica wybrała inną drużynę, czerwonych, a przez to podpisała się pod tym, co na temat faszyzmu głosili komuniści. Co do niekomunistycznej liberalnej lewicy, należy stwierdzić, że **słowo** „faszyzm" nabierało coraz wyraźniejszych negatywnych konotacji, ale przetrwało wiele faszystowskich koncepcji i bodźców.

Mniej więcej w tym czasie Stalin obrał niespodziewanie znakomitą taktykę, która polegała na tym, że wszystkie niewygodne idee i ruchy po prostu nazywał faszystowskimi. Socjaliści i progresywiści powiązani z Moskwą byli nazywani socjalistami lub progresywistami, natomiast socjalistów, którzy nie dochowywali lojalności wobec Moskwy albo występowali przeciwko niej, nazywano faszystami.

Według przyjętej przez Stalina teorii socjalfaszyzmu nawet Franklin Roosevelt okazywał się faszystą, co wszędzie głosili lojalni komuniści. Przypomnijmy też, że Lew Trocki został skazany na śmierć za rzekome planowanie „faszystowskiego przewrotu". Wielu zdrowych na umyśle lewicowców amerykańskich potępiło później tę taktykę, ale wtedy przyjęło ją zdumiewająco wielu pożytecznych idiotów. Dziwi również, że tak długi był okres połowicznego rozpadu intelektualnego tej koncepcji.

Przed Holokaustem i przyjętą przez Stalina doktryną socjalfaszyzmu liberałowie mogli z większą otwartością mówić, że sympatyzują z faszystami. W erze „pragmatycznej", czyli w latach dwudziestych i w pierwszej połowie lat trzydziestych XX wieku, ogromne wrażenie na wielu zachodnich liberalnych intelektualistach i dziennikarzach wywierał „eksperyment" Mussoliniego.[11] Wielu progresywistów intrygował również nazizm. Na przykład William Edward Burghardt DuBois miał bardzo złożone i mieszane uczucia z powodu dojścia Hitlera do władzy i losu Żydów, uważając jednocześnie, że narodowy socjalizm może zapewnić wzorzec organizacji gospodarczej. Pisał, że utworzenie w Niemczech nazistowskiej dyktatury „było absolutną koniecznością w celu zaprowadzenia porządku w państwie". Ściśle się trzymając przyjmowanej przez progresywistów definicji „demokracji", zgodnie z którą jest to egalitarny etatyzm, w mowie wygłoszonej w Harlemie w 1937 roku DuBois stwierdził, że „pod pewnymi względami dzisiaj w Niemczech jest więcej demokracji, niż jej było w minionych latach".[12]

Przez wiele lat niektóre ugrupowania należące do tzw. Starej Prawicy wywodziły, że Nowy Ład Franklina Roosevelta był programem faszystowskim lub opracowanym pod wpływem faszystowskich koncepcji. Jest w tym sporo prawdy, co niechętnie przyznało wielu historyków głównego nurtu oraz liberalnych.[13] Jednakże w latach trzydziestych XX wieku nie tylko prawicowcy krytykowali Nowy Ład, wysuwając zarzut, że to program faszystowski. Było raczej tak, że w celu odbicia piłeczki oszalałymi prawicowcami i rzeczywistymi faszystami nazywano tych, którzy sięgali po ten argument, między innymi Ala Smitha, bohatera demokratów, i Herberta Hoovera, republikanina popierającego w 1912 roku Partię Progresywną Theodore'a Roosevelta. Norman Thomas, przewodniczący Amerykańskiej Partii Socjalistycznej, wielokrotnie wysuwał zarzut, że Nowy Ład był programem zasadniczo faszystowskim. Jedynie komuniści lojalni wobec Moskwy – czyli pożyteczni idioci z orszaku Stalina – mogli sięgać po argument, że Thomas był prawicowcem albo faszystą. Ale właśnie to robili.

Jeszcze więcej ujawnia to, że obrońcy Franklina Roosevelta otwarcie przyznawali, iż podziwiają faszyzm. Rexford Guy Tugwell, wpływowy członek zespołu doradców Roosevelta (Brain Trust), następująco się wypowiedział o włoskim faszyzmie: „To najczystsza, najsystematyczniejsza i najsprawniej działająca maszyneria społeczna, jaką widziałem. Odczuwam z tego powodu zazdrość". George Soule, entuzjastycznie popierający administrację Roosevelta redaktor pisma „New Republic", głosił: „Testujemy ekonomię [włoskiego] faszyzmu, nie doświadczywszy wcześniej wszystkich tamtejszych zniszczeń społecznych ani politycznych".[14]

W całej tej dyskusji brakuje jednak sprawy poważniejszej i często przeoczanej. Otóż Nowy Ład istotnie był naśladownictwem programu faszystowskiego, przy czym Włochy i Niemcy były tylko wtórnymi wzorcami, systemami potwierdzającymi po fakcie, że liberałowie podążają słuszną drogą. Prawdziwą inspiracją dla twórców Nowego Ładu była bowiem polityka prowadzona przez administrację Wilsona w czasie I wojny światowej. Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Franklin Roosevelt zapowiadał podczas kampanii prezydenckiej, że przywróci socjalizm wojenny z czasów prezydentury Wilsona. Jego sztab przystąpił do realizacji tego planu, czemu ochoczo przyklasnął liberalny establishment lat trzydziestych. Niezliczone redakcje, politycy i eksperci – między innymi poważany Walter Lippmann – nawoływali, aby Roosevelt został „dyktatorem" (na początku lat trzydziestych słowo to nie przypominało przekleństwa pod względem konotacji) i walczył z kryzysem tak, jak robili to w czasie I wojny światowej Wilson i progresywiści.

Wykazuję w tej książce, że w czasie I wojny światowej Stany Zjednoczone istotnie stały się państwem faszystowskim, choć tylko przejściowo. Pierwszy współczesny totalitaryzm w zachodnim świecie nie pojawił się ani we Włoszech, ani w Niemczech, lecz w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Jak bowiem można inaczej określić państwo, w którym ustanowiono pierwszy

na świecie nowoczesny resort propagandy, państwo, w którym tysiące więźniów politycznych nękano, bito i szpiegowano, a w więzieniach osadzano tylko za to, że wypowiadali osobiste przekonania, państwo, którego przywódca wysuwał zarzut, że obcokrajowcy i imigranci wstrzykują zdradziecko „truciznę” do amerykańskiego układu krwionośnego, państwo, w którym za krytykowanie rządu zamykano czasopisma i gazety, wysłano niemal sto tysięcy rządowych propagandzistów, aby nakłaniali społeczeństwo do popierania władzy i prowadzonej przez nią wojny, profesorowie uczelni nakazywali składać przysięgi lojalności współpracownikom, prawie ćwierć miliona mętów dostało zgodę na zastraszanie i bicie „migających się” i przeciwników, a wiodący artyści i pisarze poświęcali swoje prace propagowaniu poparcia dla rządu?

To proste, dlaczego tak wielu progresywistów intrygowały „eksperymenty” Mussoliniego i Lenina – w europejskim lustrze widzieli własne odbicie. Pod względem założeń filozoficznych, zasad organizacji i tez politycznych progresywiści byli w największym stopniu autentycznymi, rodzimymi faszystami ze wszystkich ruchów, które się pojawiły w całej historii Stanów Zjednoczonych.[15] Militarystyczni, fanatycznie nacjonalistyczni, imperialistyczni, rasistowscy, niezmiernie zaangażowani w propagowanie darwinowskiej eugeniki, wpatrzeni z zachwytem w państwo opiekuńcze Bismarcka, etatystyczni bardziej, niż się obecnie zakłada w definicji etatyzmu, progresywiści reprezentowali amerykańską odmianę transatlantyckiego ruchu, poważną reorientację w stronę heglowskiego i darwinowskiego kolektywizmu zaimportowanego z Europy pod koniec XIX wieku.

W tym sensie zarówno Wilson, jak i administracja Franklina Roosevelta byli potomkami, choć dalekimi, pierwszego ruchu faszystowskiego, mianowicie rewolucji francuskiej.

Tym, którzy mogą patrzeć z perspektywy późniejszych wydarzeń, trudno pojąć, dlaczego ktoś mógłby powątpiewać w faszystowski charakter rewolucji francuskiej. Niewielu kwestionuje twierdzenie, że była totalitarna, nacjonalistyczna, stosowała terror, kierowała się teoriami spiskowymi i cechowała się populistycznymi programami. Wytworzyła pierwszych współczesnych dyktatorów, Robespierre'a i Napoleona, i funkcjonowała na podstawie założenia, że narodem musi rządzić oświecona awangarda, która będzie autentycznym, organicznym głosem „woli powszechnej”. Paranoidalna jakobińska mentalność spowodowała, że rewolucjoniści stali się dziksi i okrutniejsi od obalonego króla. W czasie rządów terroru około pięćdziesięciu tysięcy ludzi straciło życie, wielu po pokazowych procesach, które Simon Schama nazywa „dokumentem założycielskim sprawiedliwości totalitarnej”. Robespierre następująco podsumował totalitarną logikę rewolucji francuskiej: „We Francji są tylko dwie partie, lud i jego wrogowie. Musimy zlikwidować te żałosne kanalie, które wiecznie spiskują przeciwko prawom człowieka. [...] Musimy zlikwidować wszystkich naszych wrogów”.[16]

Jednakże rewolucja francuska była w istocie pierwszą rewolucją faszystowską z tego powodu, że dążyła do uczynienia z polityki religii. (Pod tym względem rewolucjoniści kierowali się wywodami Rousseau, którego pojęcie woli powszechnej prowadziło do nadania boskich cech **ludowi** przy jednoczesnym lekceważeniu **osoby**). Z powodu tych założeń rewolucjoniści wypowiedzieli wojnę chrześcijaństwu, próbując je wyrugować ze społeczności i zastąpić „świecką” wiarą, której prawdy były identyczne z programem działania jakobinów. W całym państwie organizowano obchody setek świąt wzorowanych na pogańskich, podczas których czczono Naród, Rozum, Braterstwo, Wolność i inne abstrakcyjne pojęcia, aby państwu i woli powszechnej zapewnić nimb świętości. Jak zobaczymy, naziści naśladowali jakobinów aż do najdrobniejszych szczegółów.

Nie budzi już kontrowersji stwierdzenie, że rewolucja francuska była katastrofalna w skutkach i okrutna. Bardzo kontrowersyjne jest jednak zdanie, że była faszystowska, ponieważ rewolucja francuska to *fons et origo* lewicy i „tradycji rewolucyjnej”. Amerykańska prawica i klasyczni liberałowie cenili rewolucję amerykańską, która była zasadniczo konserwatywna, wzdragali się natomiast przed grozą i szaleństwem jakobinizmu. Ale jeżeli rewolucja francuska była faszystowska, to jej dziedziców należy uważać za owoc tego trującego drzewa, a wobec tego faszyzm ostatecznie i **właściwie** musi zostać umieszczony tam, gdzie jest jego miejsce, czyli w historii ruchów lewicowych. To jednak spowodowałoby wstrząs sejsmiczny w światopoglądzie lewicowym. Lewicowcy stosują więc dysonans poznawczy i sztuczki terminologiczne.

Jednocześnie trzeba zauważyć, że naukowcy mieli i nadal mają tyle problemów z wyjaśnieniem, czym jest faszyzm, przez to, iż różne odmiany faszyzmu bardzo się od siebie różnią. Na przykład naziści byli ludobójczymi antysemitami. Włoscy faszyści natomiast chronili Żydów do czasu, kiedy Niemcy zajęli Włochy. Faszyści stawali po stronie państw osi, ale hiszpańscy nie włączyli się do wojny (i też chronili Żydów). Naziści nienawidzili chrześcijaństwa, natomiast włoscy faszyści zawarli pokój z Kościołem katolickim (chociaż sam Mussolini z niehamowaną pasją atakował chrześcijaństwo), a członkowie rumuńskiego Legionu Archanioła Michała stylizowali się na chrześcijańskich krzyżowców. Niektórzy faszyści opowiadali się za „kapitalizmem państwowym", inni zaś, na przykład „niebiescy" chińskiego Kuomintangu (określenie pochodzi od noszonych przez nich niebieskich koszul), domagali się natychmiastowego przejęcia środków produkcji. Naziści oficjalnie byli przeciwnikami bolszewizmu, ale i w szeregach nazistowskich był odłam „narodowego bolszewizmu".

Jedną cechą łączącą te ruchy było to, że wszystkie one – każdy na swój sposób – były totalitarne. Trzeba jednak zapytać, co mamy na myśli, gdy stwierdzamy, że coś jest „totalitarne". W minionym półwieczu ze zrozumiałych powodów słowo to nabrało złowróżbnych konotacji. W wyniku publikacji Hannah Arendt, Zbigniewa Brzezińskiego i innych komentatorów oraz badaczy stało się synonimem brutalnych, orwellowskich reżymów zabójczych dla dusz. Nie w takim znaczeniu jednak pierwotnie używano tego słowa i miało oddawać inne treści. Ukuł to określenie Mussolini, chcąc, aby oznaczało społeczeństwo, do którego każdy przynależy, w którym każdego otacza się opieką, system taki, że wszystko jest w państwie i nic nie jest poza nim – gdzie naprawdę nie zostawia się, nie zaniedbuje żadnego dziecka.

Twierdzę wprawdzie, że amerykański liberalizm to totalitarna religia polityczna, ale niekoniecznie orwellowska. Jest przyjemna, nie jest brutalna. Nie ciemięży, lecz niańczy. Jednakże jest zdecydowanie totalitarna – lub „holistyczna", jeśli ktoś woli – pod tym względem, że dla obecnego liberalizmu nie istnieje dziedzina ludzkiego życia, która byłaby pozbawiona znaczenia politycznego. Dotyczy to i tego, co się je, i tego, co się pali, i tego, co się mówi. Życie płciowe ma znaczenie polityczne. Jedzenie ma znaczenie polityczne. Sport, rozrywki, osobiste pobudki ludzi i ich wygląd – dla liberalnych faszystów to wszystko ma znaczenie polityczne. Liberałowie pokładają wiarę w kapłańskich ekspertach, którzy wiedzą lepiej, planują, zachęcają, nękają i potępiają. Starają się wykorzystywać naukę, aby dyskredytować tradycyjne pojęcia z dziedziny religii i wiary, ale w celu obrony przekonań „nietradycyjnych" posługują się językiem pluralizmu i duchowości. Podobnie jak przedstawiciele klasycznego faszyzmu, liberalni faszyści mówią o „trzeciej drodze" wiodącej między prawicą a lewicą, gdzie wszystkie dobre rzeczy kroczą wspólnie, a wszystkie trudne wybory są „fałszywymi wyborami".

Koncepcja, że nie ma trudnych wyborów, czyli wyborów między sprzecznymi dobrami, jest religijna i totalitarna, ponieważ wywodzi się z założenia, że wszystkie dobre rzeczy zasadniczo można z sobą pogodzić. W światopoglądzie konserwatywnym lub klasycznie liberalnym się przyjmuje, że życie jest niesprawiedliwe, człowiek jest ułomny, a jedyne doskonałe społeczeństwo, jedyna utopia możliwa do urzeczywistnienia, czeka na nas w przyszłym życiu.

Wiele cech odróżnia faszyzm liberalny od faszyzmu klasycznego. Nie przeczę temu, to nawet zasadniczy element mojej argumentacji. Rozmaite formy faszyzmu różnią się od siebie, gdyż wyrastają na różnych glebach. Łączą je natomiast bodźce emocjonalne lub instynktowne, takie jak poszukiwanie społeczności, dążenie do „wykroczenia poza" politykę, wiara w to, że człowiek może osiągnąć doskonałość, oraz we władzę ekspertów, a także obsesja na punkcie estetyki młodości, kult czynu i uznawanie konieczności istnienia wszechpotężnego państwa, które będzie organizować funkcjonowanie społeczności na poziomie państwowym albo światowym. A najważniejsze jest to, że różne odmiany faszyzmu podzielają przekonanie – nazywam je pokusą totalitaryzmu – iż przy właściwej dozie manipulacji można urzeczywistnić utopijne marzenie o „stworzeniu lepszego świata".

Podobnie jednak jak ze wszystkim w historii, znaczenie mają czas i miejsce, a różnice między rozmaitymi odmianami faszyzmu mogą być poważne. Nazizm był wytworem niemieckiej kul-

tury, powstałym w niemieckim kontekście. Do Holokaustu nie mogłoby dojść we Włoszech, ponieważ Włosi nie są Niemcami. A w Ameryce, gdzie wrogie nastawienie wobec rozbudowanego aparatu państwowego jest zasadniczym elementem charakteru narodowego, dążenia etatystyczne trzeba głosić i realizować pod hasłami „pragmatyzmu" i przyzwoitości. Innymi słowy, amerykański faszyzm musi być miły i służyć dobru Amerykanów.

Amerykański progresywizm, z którego się wywodzi dzisiejszy liberalizm, był formą faszyzmu chrześcijańskiego (wielu go nazywało „chrześcijańskim socjalizmem"). Współczesnym liberałom trudno zrozumieć to pojęcie, gdyż przywykli oni uważać, że progresywiści to ludzie, którzy zaprowadzili porządek w podaży żywności, doprowadzili do przyjęcia ośmiogodzinnego dnia pracy i położyli kres zatrudnianiu dzieci. Jednakże liberałowie często zapominają, że progresywiści byli również imperialistami, zarówno w ojczyźnie, jak i na arenie międzynarodowej. To oni bowiem wprowadzili prohibicję, z ich inicjatywy organizowano tzw. naloty Palmera[17], to oni głosili koncepcje eugeniczne, wprowadzali przysięgi wierności i – we współczesnym wcieleniu - propagują programy przez wielu nazywane „kapitalizmem państwowym".

Wielu liberałów nie dostrzega również religijnego wymiaru progresywizmu, ponieważ religię i politykę progresywistyczną na ogół uważają za diametralne przeciwieństwa. Tak więc liberałowie pamiętający ruch walczący o równe prawa obywatelskie przyznają, że Kościoły odegrały wtedy pewną rolę, ale nie dostrzegają ciągłości, przez którą powstaje połączenie z innymi progresywistycznymi krucjatami inspirowanymi przez religię, takimi jak walka o abolicję i propagowanie umiaru. Dzisiejszy liberalny faszyzm w większości unika kwestii chrześcijaństwa, chyba że dąży do pomniejszenia jego wpływu, gdzie to tylko możliwe (mimo że prawicowy wariant, często nazywany konserwatyzmem współczującym lub miłosiernym, *compassionate conservatism*, zdobył pewnych zwolenników w Partii Republikańskiej). Wypowiedzi o Bogu być może zeszły na dalszy plan, ale religijny duch krucjaty, który napędzał ruch progresywistyczny, nie stracił niczego z dawnej siły. Zamiast się wypowiadać z użyciem jednoznacznie religijnych określeń dzisiejsi liberałowie sięgają po zeświecczoną terminologię „nadziei" i tworzą filozofie jednoznacznie duchowe. Przykładem może być głoszona przez Hillary Clinton „polityka zaangażowania" (*politics of meaning*).

W większości znikł też obrzydliwy rasizm, który kształtował progresywistyczne programy eugeniczne, propagowane między innymi przez Margaret Sanger. Jednakże na swój miły sposób liberalni faszyści pozostają rasistami, przyjmując, że w naturze czarnych leży element numinotyczny, i zakładając uporczywe utrzymywanie się grzechu białych, a tym samym przyjmując przekonanie, iż biała przewina jest wieczna. Chociaż twierdziłbym, że to przeświadczenie złe i niepożądane, nigdy nie przyszłoby mi do głowy powiedzieć, że dzisiejsi liberałowie mają tendencje ludobójcze lub w swym nastawieniu wobec kwestii rasowych cechują się bestialstwem podobnym do nazistowskiego. Mimo to należy zwrócić uwagę na to, że ponowocześni lewicowcy wypowiadają się w sposób, który byłby zrozumiały dla nazistów. Pojęcia „białej logiki" i „trwałości rasy" naziści nie tylko rozumieli, ale także niekiedy propagowali jako pierwsi. Historyczka Anne Harrington przedstawiła następujące spostrzeżenie: „Zasadnicze pojęcia ze słownika ponowoczesności (dekonstrukcjonizm, logocentryzm) w istocie mają swe początki w antynaukowych traktatach pisanych przez autorów nazistowskich i protofaszystowskich, takich jak Ernst Krieck i Ludwig Klages". Słowo *Dekonstruktion* po raz pierwszy się pojawiło w wydawanym przez kuzyna Hermanna Göringa nazistowskim periodyku poświęconym problematyce psychiatrycznej.[18] Wielu przedstawicieli lewicy mówi o niszczeniu „białości" w sposób, który nie tylko z powodu jakichś mniej znaczących cech przywodzi na myśl dążenia narodowych socjalistów do „dejudaizacji" niemieckiego społeczeństwa. Wiele ujawnia to, że Carl Schmitt, który nadzorował kwestie prawne tego programu, jest bardzo popularny wśród lewicowców ze środowisk naukowych. Liberałowie głównego nurtu niekoniecznie się zgadzają z tymi intelektualistami, ale ich poważają i darzą szacunkiem, który często sprowadza się do milczącego zaakceptowania ich koncepcji.

Pozostaje pewien prosty fakt. Progresywiści zrobili wiele rzeczy, które dziś obiektywnie nazwalibyśmy faszystowskimi, a faszyści zrobili wiele rzeczy, które dziś obiektywnie nazwalibyśmy progresywistycznymi. Usunięcie tej pozornej sprzeczności i wykazanie, dlaczego w gruncie rzeczy

nie ma tu sprzeczności, to zasadnicze cele tej książki. Nie oznacza to jednak, że liberałów nazywam nazistami.

Pozwolę sobie to ująć następująco. Nikt poważny nie zaprzeczy temu, że idee marksistowskie w wielkim stopniu wpłynęły na światopogląd, który obecnie nazywamy liberalizmem. Jednakże zwrócenie na to uwagi nie oznacza, że ktoś uważa na przykład Baracka Obamę za stalinistę bądź komunistę. Można nawet pójść dalej i zauważyć, że wielu najbardziej znanych liberałów i lewicowców XX wieku uporczywie minimalizowało zło sowieckiego komunizmu i zagrożenia stwarzane przez ten system. Niekoniecznie to jednak oznacza, że można by im zasadnie zarzucać **popieranie** zbrodni popełnionych przez ludobójczego Stalina. Okrucieństwem jest nazwanie kogoś nazistą, gdyż to niesprawiedliwie sugeruje sympatyzowanie z programem Holokaustu. Równie niewłaściwe jest jednak założenie, że faszyzm był po prostu ideologią programu wymordowania Żydów. Jeśli ktoś potrzebuje tu etykiety, może to nazwać hitleryzmem, ponieważ bez ludobójczego rasizmu Hitler nie byłby Hitlerem. Jednakże z tego, że Hitler był faszystą, nie musi jeszcze wynikać, że faszyzm i hitleryzm są synonimami.

Wiele ujawnia fakt, że we włoskiej partii faszystowskiej Żydzi byli nadreprezentowani, a działo się tak od początku lat dwudziestych do roku 1938. W faszystowskich Włoszech nie było niczego podobnego do systemu obozów zagłady. Z terenów podlegających władzy włoskiego reżymu nie przekazano Niemcom ani jednego Żyda, **niezależnie od tego, z którego państwa pochodzili**, do 1943 roku, kiedy to naziści najechali Włochy. We Włoszech przeżyło znacznie więcej Żydów niż w jakimkolwiek innym państwie podlegającym rządom państw osi oprócz Danii, a Żydzi znajdujący się na terenach europejskich pod panowaniem włoskim również mieli zapewnione prawie równie dobre warunki. Mussolini na końcu wysłał oddziały zbrojne, narażając je na niebezpieczeństwo, by ratować Żydów. Francisco Franco, rzekomo wzorcowy dyktator faszystowski, również odrzucił żądanie Hitlera i nie przekazał mu hiszpańskich Żydów, ratując przed zagładą dziesiątki tysięcy. To Franco podpisał dokument znoszący edykt z 1492 roku o wygnaniu Żydów z Hiszpanii. Z drugiej strony, podobno „liberalni” Francuzi i Holendrzy ochoczo współpracowali z nazistami przy realizacji programu deportacji Żydów.

Muszę w tym momencie przedstawić kilka twierdzeń, które powinny być oczywiste. Uważam jednak, że są tutaj nieodzowne, aby wykluczyć możliwość nieporozumienia i udaremnić zniekształcenie mojego wywodu przez wrogich krytyków. Kocham mój kraj i pokładam wielką ufność w dobroci i przyzwoitości Amerykanów. Nie wyobrażam sobie, że w jakichkolwiek okolicznościach mogłoby tutaj dojść do przejęcia władzy przez reżym podobny do nazistowskiego, by nawet nie wspominać o Holokauście. Jest tak z tego powodu, że Amerykanie, wszyscy Amerykanie – liberałowie, konserwatyści i niezależni, czarni, biali, Latynosi i Azjaci – są kształtowani przez kulturę liberalną, demokratyczną i egalitarną, dostatecznie silną, aby stawić opór wszelkim pokusom totalitarnym tego rodzaju. Tak więc nie uważam, że liberałowie to złośliwi, zbrodniczy fanatycy w takim sensie, jaki nasuwałoby porównanie z typowymi nazistami. Gdy prawicowcy nazywają Hillary Clinton „Hitlery”, jest to niedojrzałe i głupie w takim samym stopniu co powtarzane nieustannie na lewicy bzdurne określenie „Bushitler”. Amerykanów, którzy wiwatowali na cześć Mussoliniego w latach dwudziestych, nie można obarczać odpowiedzialnością za to, co Hitler zrobił niecałe dwadzieścia lat później. A dzisiejsi liberałowie nie mogą ponosić odpowiedzialności za to, w co wierzyli ich intelektualni przodkowie, chociaż powinni to brać pod uwagę i się z tego rozliczyć.

Jednocześnie jednak zbrodnie popełnione przez Hitlera nie usuwają podobieństw między progresywizmem – obecnie nazywanym liberalizmem – a ideologiami i nastawieniami, dzięki którym doszli do władzy Mussolini i Hitler.

Na przykład od dawna wiadomo, że naziści głosili populistyczne programy gospodarcze i ogromny wpływ wywarły na nich te same koncepcje, które przyświecały populistom brytyjskim i amerykańskim. Należy do tego dodać kwestię zbyt często bagatelizowaną przez liberalnych historyków, mianowicie wyraźny element antysemicki ujawniający się w hasłach amerykańskich populistów oraz ich skłonność do teorii spiskowych. Na typowym rysunku satyrycznym zamieszczonym w populistycznej publikacji widać świat w mackach usadowionej na Wyspach Brytyjskich ośmior-

nicy podpisanej „Rothschild”. Podczas zorganizowanej w 1896 roku konwencji Partii Populistycznej (Populist Party, właściwie National People's Party) korespondent agencji Associated Press odnotował wyraźnie tam widoczną „niespotykaną nienawiść do rasy żydowskiej”.[19] Wielebny Charles Coughlin, „kapłan radiowy”, był lewicowym populistycznym podżegaczem i głosicielem teorii spiskowych, którego antysemityzm doskonale znali liberałowie z establishmentu, choć bronili tego prorooseveltowskiego demagoga, twierdząc, że jest „po stronie aniołów”.

Dzisiaj od populistycznych teorii spiskowych aż się roi na lewicy (a i prawicy takie koncepcje zdecydowanie nie są obce). Aż jedna trzecia Amerykanów uważa, że jest „bardzo” albo „dość” prawdopodobne, iż za atakami terrorystycznymi przeprowadzonymi 11 września stał rząd Stanów Zjednoczonych (lub do nich dopuścił). Podobnie paranoidalną koncepcję dotyczącą wpływów „żydowskiego lobby” głosi wielu przedstawicieli środowisk naukowych i europejskiej lewicy, by nie wspomnieć o trującym i rzeczywiście hitlerowskim antysemickim populizmie arabskiej „ulicy” pod rządami reżymów, które większość uznałaby za faszystowskie. Nie chodzi mi tu o to, że lewica zaczyna propagować hitlerowski antysemityzm, lecz o to, że zaczyna przejmować programy populistyczne, czym przyciąga antysemitów w stopniu niepokojącym i rzeczywiście groźnym. Warto tu ponadto przypomnieć, że sukcesy nazistów w Republice Weimarskiej po części wynikały z tego, że przyzwoici ludzie nie byli skłonni uważać nazizmu za coś poważnego.

Są jeszcze inne podobieństwa między niemieckimi i włoskimi ideami faszystowskimi a współczesnym amerykańskim liberalizmem. Na przykład korporacjonizm, stanowiący obecnie zasadniczy element programu gospodarczego liberałów, uważa się za ochronę przed prawicowymi i nieco faszyzującymi klasami panującymi utworzonymi przez kadry zarządzające korporacji. Jednakże idee ekonomiczne Billa i Hillary Clintonów, Johna Kerry'ego, Ala Gore'a i Roberta Reicha wykazują znaczne podobieństwo do korporacjonistycznych ideologii „trzeciej drogi” przyjmowanych w faszystowskich programach gospodarczych w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku. Istotnie, „kult cargo”, którym obecny liberalizm otacza Nowy Ład, wystarczy, aby współczesny liberalizm umieścić w rodzinie ruchów faszystowskich.

Możemy też podać jako przykład eksplozję krucjat prowadzonych w ostatnich latach w sprawach zdrowia i New Age – od wojny z paleniem, poprzez obsesję na punkcie praw zwierząt, po uświęcenie żywności organicznej. Nikt nie przeczy temu, że te mody są wytworem lewicy kulturowej i politycznej, niewielu jednak jest skłonnych przyznać, że coś takiego już widzieliśmy. Heinrich Himmler działał na rzecz praw zwierząt i żarliwie propagował „naturalne metody leczenia”. Rudolf Heß, zastępca Hitlera, propagował homeopatię i ziołowe specyfiki. Hitler i jego współpracownicy wiele godzin przeznaczali na dyskusje poświęcone konieczności przestawienia całego narodu na wegetarianizm, aby odrzucić niezdrowy tryb życia propagowany przez kapitalizm. W Dachau utworzono największe na świecie laboratorium badające leki alternatywne i organiczne, wytwarzano tam także miód organiczny.

Pod wieloma poważnymi względami nazistowskie kampanie antynikotynowe i programy promowania zdrowia publicznego zapowiadały obecne krucjaty przeciwko niezdrowej żywności, kwasom tłuszczowym trans i podobnym kwestiom. W książeczce Hitlerjugend pisano „Kwestie żywieniowe nie są sprawą prywatną!”, a tę mantrę powtarza obecnie establishment zajmujący się problemami zdrowia publicznego. Obsesja nazistów na punkcie organicznej żywności i zdrowia jednostek doskonale pasowała do ich ogólniejszego wyobrażenia o sposobie funkcjonowania świata. Wielu nazistów uważało, że chrześcijaństwo, według którego człowiek ma podbijać świat przyrody zamiast dążyć do tego, aby żyć z nim w harmonii, oraz kapitalizm, który prowadzi do alienacji człowieka wynikającej z oddzielenia go od stanu naturalnego, spiskowały wspólnie, aby nadwątlić zdrowie Niemców. W popularnej książce poświęconej problematyce żywienia Hugo Kleine obwiniał „szczególne kapitalistyczne grupy interesu” (i „zmężniałe, półkobiece Żydówki”) o spadek jakości żywności dostępnej w Niemczech, co z kolei spowodowało wzrost liczby przypadków raka (kolejna obsesja nazistów). Organiczna żywność była nierozerwalnie powiązana z tym, co naziści wówczas nazywali – podobnie robi dzisiejsza lewica – sprawami „sprawiedliwości społecznej”.[20]

Czy ktoś automatycznie staje się faszystą, gdy dba o zdrowie, właściwe odżywianie i środowisko naturalne? Oczywiście nie. Faszystowskie jest założenie, że w organicznej społeczności narodowej jednostka nie ma prawa **nie być** zdrowa, a z tego powodu obowiązkiem państwa jest zmuszanie nas do tego, abyśmy dla własnego dobra byli zdrowi. W tej mierze, w której dążą do tego, aby do swoich celów zaprząc aparat państwowy, te współczesne ruchy propagujące zdrowie zbliżają się do klasycznego faszyzmu. Przyjmuje się nawet w kulturze, że troska o środowisko naturalne uzasadnia przyzwolenie na moralne tyranizowanie i ingerencje, które przez liberałów natychmiast zostałyby uznane za koncepcje faszystowskie, gdyby je wyrażono za pomocą pojęć z zakresu tradycyjnej moralności.

Gdy piszę te słowa, pewien nowojorski radny zabiega o wprowadzenie zakazu używania iPodów przy przechodzeniu przez ulicę.[21] W wielu rejonach Stanów Zjednoczonych nie można palić we własnym samochodzie ani nawet na dworze w miejscu, w którym mogliby się znaleźć inni ludzie. Wiele się słyszy o tym, że konserwatyści chcą organizować „inwazje na nasze sypialnie", ale gdy ta książka szła do druku, Greenpeace i inne ugrupowania rozpoczynały zakrojoną na wielką skalę kampanię, której celem było „edukowanie", jak należy uprawiać seks, aby nie szkodzić środowisku naturalnemu.

Greenpeace ma całą listę strategii pozwalających „załatwić to dla dobra naszej planety".[22] Ktoś może ufnie zakładać, że działacze na rzecz środowiska nie zamierzają tych rad i zaleceń przekuwać w prawo, ale ja takiej pewności nie mam, gdy przypomnę sobie wyniki wcześniejszych kampanii tego rodzaju. Swobodę wypowiedzi także się nieustannie atakuje akurat tam, gdzie ma ona największe znaczenie, a więc w okresach przed wyborami, uświęca się zaś tam, gdzie się liczy najmniej, mianowicie w lokalach, w których się tańczy na rurze, i na stronach internetowych wykorzystywanych przez terrorystów.

Alexis de Tocqueville ostrzegał w *Demokracji w Ameryce*: „Nie wolno zapominać, że szczególnie niebezpieczne jest zniewalanie ludzi w drobnych sprawach życiowych. Osobiście skłaniałbym się do zdania, że wolność jest mniej konieczna w sprawach wielkich niż w kwestiach drobnych".[23] Wygląda na to, że w Stanach Zjednoczonych hierarchię de Tocqueville'a odwrócono. Wszyscy musimy utracić wolność w kwestiach drobnych, aby garstka ludzi mogła się w pełni cieszyć swoją wolnością.

Od wielu dziesięcioleci najważniejszą wizją dystopijnej przyszłości pozostaje powieść Orwella zatytułowana *1984*. Ukazany w niej świat to zasadniczo „męski" koszmar faszystowskiej brutalności. Po rozpadzie Związku Sowieckiego i wskutek tego, że coraz mniej osób pamięta dwudziestowieczne dyktatury faszystowskie i komunistyczne w wielkich państwach, koszmarna wizja z tej powieści powoli blednie. Książką bardziej proroczą okazuje się *Nowy wspaniały świat* Aldousa Huxleya.

Gdy odczytujemy ludzki genom i opanowujemy możliwości uszczęśliwiania ludzi za pomocą nadawanych przez telewizję programów rozrywkowych i substancji psychoaktywnych, polityka w coraz większym stopniu staje się instrumentem służącym do dostarczania radości poddanej wstępnej obróbce. Kiedyś amerykański system polityczny służył temu, aby można dążyć do osiągnięcia szczęścia. Obecnie coraz więcej Amerykanów nie chce szukać szczęścia ani do niego dążyć, lecz je otrzymać. I chociaż od wielu dekad jest to tematem wypracowań dla uczniów szkół średnich, nie zbliżyliśmy się zbytnio do odpowiedzi na pytanie, co właściwie było takiego złego w nowym wspaniałym świecie.

A jest ona prosta. To się tylko wydaje złotem. Przekonanie, że możemy stworzyć niebo na ziemi za pomocą środków farmakologicznych i osiągnięć neurologii, jest równie utopijne jak marksistowska nadzieja na stworzenie doskonałego świata poprzez zmianę własności środków produkcji. Historia totalitaryzmu to historia poszukiwań tego, jak się wznieść ponad ludzką kondycję i stworzyć społeczeństwo, w którym najgłębszy sens naszego istnienia i przeznaczenie zostają urzeczywistnione przez sam fakt, że w tym społeczeństwie żyjemy. Nie można tego osiągnąć, a nawet gdy bardzo uważnie dąży się do tego, aby te starania były ludzkie i przyzwoite, jak się dzieje w przypadku liberalnego faszyzmu, to i tak doprowadzi to do łagodnej tyranii, w której jedni ludzie będą

narzucali własne wyobrażenia o dobru i szczęściu drugim, którzy wcale nie muszą tych przekonań podzielać.

Wprowadzanie nowego pojęcia, takiego jak „liberalny faszyzm”, niewątpliwie wymaga pewnych wyjaśnień. Bezsprzecznie wielu krytyków uzna to określenie za toporny oksymoron. Nie jestem jednak pierwszym, który wykorzystuje to sformułowanie. Zaszczyt należy się Herbertowi George'owi Wellsowi, należącemu do osób, które w największym stopniu wpłynęły na kształtowanie się koncepcji progresywistycznych w XX wieku (jak się okazuje, inspirował również Huxleya, gdy ten pisał *Nowy wspaniały świat*). Do tego należy dodać, że Wells nie ukuł tego terminu, aby był oskarżeniem, lecz miał być określeniem zaszczytnym. W mowie wygłoszonej do Młodych Liberałów na Oksfordzie w lipcu 1932 roku rzekł, że progresywiści muszą się stać „liberalnymi faszystami” i „oświeconymi nazistami”.[24]

Wells należał do wiodących postaci okresu, który nazywam chwilą faszystowską, kiedy wielu przedstawicieli zachodnich elit dążyło do tego, aby zamiast Kościoła i Korony wprowadzić suwaki logarytmiczne i armie przemysłowe. Wells niezmiennie propagował przekonanie, że ludzie szczególni – różnie określani: jako uczeni, kapłani, wojownicy lub „samuraje” – muszą narzucać postęp masom, aby w ten sposób doprowadzić do utworzenia „nowej republiki” czy „światowej teokracji”. Jedynie przez wojujący progresywizm (bez znaczenia, jak zostanie nazwany) ludzkość może osiągnąć urzeczywistnienie królestwa Bożego. Krótko mówiąc, na Wellsa bardzo mocno oddziaływała pokusa totalitaryzmu. Stwierdził: „Nigdy nie byłem w stanie całkiem się wyzwolić od jego nieugiętej logiki”.[25]

Podobnie jak progresywizm i komunizm, faszyzm jest ekspansjonistyczny, ponieważ nie ma dla niego żadnych naturalnych granic, które hamowałyby jego aspiracje. W przypadku odmian opowiadających się za stosowaniem przemocy, takich jak tzw. islamofaszyzm, jest to wyraźnie widoczne. Jednakże również progresywizm ma swoje wyobrażenie o nowym ładzie świata. W przekonaniu Thomasa Woodrow Wilsona I wojna światowa była „krucjatą”, której celem było odkupienie całego świata. Nawet pacyfistycznie nastawiony sekretarz stanu w gabinecie Wilsona, William Jennings Bryan, nie potrafił się wyzbyć własnej wizji chrześcijańskiego porządku świata, którego elementem byłoby wprowadzenie zakazu alkoholu na całym świecie.

Reagując na to wszystko, można się sprzeciwić pytaniem – ale co z tego? Wbrew podszeptom intuicji można uznać, że ciekawie może być poznać poglądy grupy nieżyjących liberałów i progresywistów na takie czy inne kwestie, ale co to ma wspólnego z obecnym liberalizmem? Przychodzą tu do głowy dwie odpowiedzi, choć trzeba przyznać, że pierwsza z nich nie w pełni jest odpowiedzią. Konserwatyści w Ameryce muszą swoją historię intelektualną – rzeczywistą i im zarzucaną – nosić nieustannie wokół szyi jak albatros. W szeregach liberalnych redaktorów elitarnych pism i w środowiskach naukowych działa wielu nieustraszonych autorów bujd mówiących o „ukrywanych historiach” i „niepokojących echach” znajdujących się w szafie historii konserwatystów. Powiązania z nieżyjącymi prawicowcami, niezależnie od tego, jak wątłe i niejasne by były, mają być dowodem, że dzisiejsi konserwatyści kontynuują haniebne przedsięwzięcie. Dlaczego więc tak trywialne okazuje się wskazywanie, że liberałowie w swojej szafie też mają szkielety, szczególnie że te szkielety to architekci współczesnego państwa opiekuńczego?

Przez tę kwestię powstaje druga odpowiedź. W przeciwieństwie do konserwatyzmu liberalizm na poziomie organizacji nie interesuje się własną historią intelektualną, to jednakże nie zmienia tego, jak wiele jej zawdzięcza. Liberalizm staje na ramionach swoich własnych olbrzymów, uważając przy tym, że stoi mocno na ziemi. Początki założeń i aspiracji liberalizmu można wyśledzić w tzw. erze progresywistycznej, czyli w pierwszym dwudziestoleciu XX wieku. Fakt ten ilustruje wykazywana przez liberałów tendencja do używania słowa „progresywny” wszędzie tam, gdzie mówią o swoich zasadniczych przekonaniach, lub tam, gdzie pojawiają się instytucje, w których wykuwa się koncepcje. Jest więc pismo „Progressive”, Instytut Polityki Postępowej (Progressive Policy Institute), Ośrodek ds. Postępu Amerykańskiego (Center for American Progress) itd. Prowadzę tylko walkę na polu wybranym przez liberalizm. To liberałowie uporczywie podkreślali, że konserwatyzm jest powiązany z faszyzmem. To oni twierdzili, że ekonomia wolnorynkowa

jest faszystowska, a przez to ich własne teorie należy uważać za koncepcje bardziej wartościowe, chociaż prawda przedstawia się niemal całkowicie przeciwnie.

Dzisiejszy liberalizm nie dąży do podboju świata metodami zbrojnymi. Nie jest to program nacjonalistyczny ani ludobójczy. Przeciwnie, to ideologia opracowana z dobrymi intencjami. Wszyscy jednak sobie zdajemy sprawę, dokąd nas mogą zaprowadzić nawet najlepsze intencje. Nie napisałem książki o tym, że wszyscy liberałowie są nazistami lub faszystami. Starałem się napisać książkę, która byłaby ostrzeżeniem, że nawet najlepsi z nas mogą ulegać pokusie totalitarnej.

Odnosi się to również do niektórych samozwańczych konserwatystów. Pod wieloma względami współczujący konserwatyzm jest formą progresywizmu, potomkiem chrześcijańskiego socjalizmu.

Wiele wypowiedzi George'a W. Busha o tym, że nie zostawi się żadnego dziecka, i o tym, że rząd „musi zadziałać”, gdy „ktoś wyrządza krzywdę”, ujawnia wizję państwa, które jest naprawdę totalitarne pod względem aspiracji i nieszczególnie konserwatywne w amerykańskim rozumieniu tego terminu. Znów trzeba podkreślić, że to miły totalitaryzm, wynikający niechybnie ze szczerej miłości chrześcijańskiej (na szczęście złagodzony przez partackie wdrażanie tych koncepcji), ale nie można przy tym zapominać, że miłością również można zadusić. Sporo ujawnia wściekłość wielu krytyków, którą wywołała prezydentura George'a W. Busha. Intencje Busha są przyzwoite, ale ci, którzy nie podzielają jego założeń, uważają, że te koncepcje oznaczają ograniczanie wolności. Ten sam mechanizm działa też w drugą stronę. Liberałowie zgadzają się z Hillary Clinton, twierdzą jedynie, że gdy ktoś uważa jej intencje za dążenie do ograniczenia wolności, jest faszystą.

Ponieważ musimy mieć jakąś roboczą definicję faszyzmu, przedstawię na koniec tych uwag własną. Faszyzm to religia państwa. Zakłada organiczną jedność obywateli biorących udział w życiu politycznym i marzy o przywódcy narodowym, którego działania są zharmonizowane z wolą obywateli. Jest **totalitarny** pod tym względem, że wszystko uważa za kwestie polityczne i twierdzi, że wszelkie działania państwa są uzasadnione, jeśli służą osiągnięciu wspólnego dobra. Bierze na siebie odpowiedzialność za wszystkie aspekty życia, między innymi nasze zdrowie i poczucie zadowolenia z życia, próbuje także narzucić jednolitość myśli i czynów, albo siłą, albo za pomocą regulacji i presji społecznej. Wszystko, także gospodarka i religia, musi zostać dostosowane do jego celów. Każda inna, konkurująca z nim tożsamość to część „problemu”, a przez to jest określana jako rzecz wroga. Będę wywodził w tej książce, że współczesny amerykański liberalizm zawiera w sobie te wszystkie aspekty faszyzmu.

* * *

Zanim zamknę to wprowadzenie, muszę poruszyć kilka technicznych kwestii organizacyjnych.

Starałem się nie dopuścić do nieporozumienia, kiedy piszę o liberalizmie w takim znaczeniu, w jakim się tego słowa używa obecnie, wyraźnie go odróżniając od liberalizmu klasycznego, który w gruncie rzeczy oznacza jego całkowite przeciwieństwo.

Faszyzm to ogromny temat. I jemu, i powiązanym z nim kwestiom poświęcono tysiące książek. Choć nie jest to publikacja naukowa, starałem się sprawiedliwie traktować piśmiennictwo naukowe.

Opublikowane prace zawierają tak wiele kontrowersji, że nie tylko nic ma jakiejś ogólnie przyjętej definicji faszyzmu, ale nawet nie ma konsensu w tej sprawie, że włoski faszyzm i nazizm były zjawiskami spokrewnionymi. Kiedy tylko było to możliwe, starałem się unikać takich dyskusji. Co do tej kwestii, uważam, że pomimo poważnych różnic doktrynalnych między faszyzmem włoskim a niemieckim są to spokrewnione zjawiska socjologiczne.

Próbowałem także nie poruszać kwestii wielu innych „faszyzmów” na całym świecie. Krytycy mogą twierdzić, że działa to na moją korzyść, ponieważ ten czy tamten faszyzm był zdecydowanie konserwatywny albo nieprogresywistyczny. Omawiam takie krytyczne uwagi w poszczególnych przypadkach. Chcę jednak przy tym zauważyć, że ta metoda nie tylko pomaga mojej sprawie,

ale także jej szkodzi. Na przykład przez to, że nie uwzględniłem Brytyjskiej Unii Faszystów Oswalda Mosleya, pozbawiłem się doskonałego źródła lewicowych wypowiedzi profaszystowskich oraz używanych przez tych faszystów argumentów.

Starałem się nie przeładować tej książki cytatami, ale dodałem sporo wyjaśniających – lub komentujących – przypisów. Czytelników zainteresowanych innymi źródłami i dalszą lekturą odsyłam do strony poświęconej tej książce, **www.liberal-fascism.com**, gdzie można także zamieszczać komentarze i pytania. Dołożę wszelkich starań, aby zaangażować jak najwięcej korespondentów działających w dobrej wierze.

ROZDZIAŁ 1

Mussolini: ojciec faszyzmu

You're the top!
You're the Great Houdini!
You're the top!
You are Mussolini!

wczesna wersja piosenki Cole'a Portera *You're the top* [26]

Jeśli ktoś czerpał wiadomości wyłącznie z publikacji ukazujących się na łamach dziennika „New York Times" lub „New York Review of Books" bądź z produkcji hollywoodzkich, to można mu wybaczyć przekonanie, że Benito Mussolini doszedł do władzy mniej więcej w tym samym czasie co Adolf Hitler – czy nawet nieco później – a włoski faszyzm był tylko późniejsza i rozwodnioną wersją nazizmu. Odrażające ustawy norymberskie służące realizacji polityki rasowej przyjęto w Niemczech w 1935 roku, a we Włoszech Mussoliniego postąpiono podobnie w 1938 roku. Niemieckich Żydów aresztowano w 1942 roku, a Żydów żyjących we Włoszech – w roku 1943. Kilku autorów wspomni zdawkowo gdzieś w nawiasie, że do czasu przyjęcia we Włoszech ustaw rasowych byli Żydzi piastujący stanowiska w rządzie i działający w partii faszystowskiej. Czasami spotkamy się z ukłonem w stronę dokładności historycznej, gdyż jakiś autor wspomni, że Żydów aresztowano dopiero p o inwazji Niemiec i zajęciu przez nazistów północnych Włoszech, gdzie ustanowili marionetkowy rząd w Salo. Zwykle jednak takie niewygodne fakty zostawia się jak najszybciej. Bardziej prawdopodobne jest to, że wyobrażenie o tych wydarzeniach wielu czytelników ma na podstawie takich źródeł, jak nagrodzony Oscarami film *Życie jest piękne*,[27] który można streścić następująco. Faszyzm dotarł do Włoch i kilka miesięcy później przybyli naziści, którzy aresztowali i wywieźli Żydów. Jeżeli chodzi o Mussoliniego, był nadętym, durnowato wyglądającym, ale bardzo skutecznym dyktatorem, który załatwił to, że punktualnie kursowały pociągi.

To wszystko sprowadza się do puszczania filmu w tył. Kiedy we Włoszech z pewnymi oporami przyjęto haniebne ustawy rasistowskie – których nigdy nie wprowadzono w życie nawet w ułamku bestialstwa cechującego nazistów – minęły już ponad trzy czwarte okresu panowania włoskich faszystów. Od marszu na Rzym do przyjęcia tych rasistowskich ustaw minęło szesnaście lat. Zaczynanie od kwestii Żydów, gdy mówi się o Mussolinim, przypomina rozpoczynanie analizy rządów Franklina Roosevelta od internowania Japończyków – przy takim podejściu wiele się zostawia w skrawalni. Przez całe lata dwudzieste i sporą część lat trzydziestych faszyzm oznaczał coś całkowicie odmiennego od Auschwitz i Norymbergi. Przed Hitlerem w istocie nikomu nie przychodziło do głowy, że faszyzm ma coś wspólnego z antysemityzmem. Mussoliniego popierał nie tylko naczelny rabin Rzymu, ale także znaczna część społeczności żydowskiej żyjącej we Włoszech (i światowej społeczności żydowskiej). Żydzi byli ponadto nadreprezentowani we włoskim ruchu faszystowskim od jego utworzenia W 1919 roku do roku 1938, kiedy ich z niego wyrzucono.

Sprawy rasy przyczyniły się do tego, że Amerykanie zmienili zdanie na temat włoskiego faszyzmu. Nie miało to jednak nic wspólnego z Żydami. Kiedy Mussolini przeprowadził inwazję na Etiopię, Amerykanie wreszcie zaczęli występować przeciwko niemu. W 1934 roku piosenka Cole'a Portera *You're the Top* wywołała sporo kontrowersji z powodu wzmianki o Mussolinim w tekście.

W następnym roku, gdy Mussolini najechał to ubogie, ale szlachetne afrykańskie królestwo, nieodwracalnie zaszkodziło to jego wizerunkowi i Amerykanie doszli do przekonania, że mają dość jego poczynań. Była to pierwsza próba podboju podjęta przez państwo zachodnioeuropejskie od ponad dziesięciolecia, co zdecydowanie nie zachwycało Amerykanów, szczególnie liberałów i czarnych. Proces ten jednak odbywał się powoli. Redakcja „Chicago Tribune” początkowo poparła inwazję, podobnie jak dziennikarze tacy, jak Herbert Matthews. Inni twierdzili, że potępienie tej inwazji świadczyłoby o hipokryzji. Pismo „New Republic”, wówczas w samym środku fazy prosowieckiej, reprezentowało stanowisko, że „naiwnością” byłoby obwinianie Mussoliniego, kiedy naprawdę winny jest międzynarodowy kapitalizm. Nadal go popierało sporo prominentnych Amerykanów, choć robili to po cichu. Nastawienia profaszystowskiego nie zmienił na przykład poeta Wallace Stevens. „Osobiście jestem za Mussolinim – pisał w liście. – Włosi mają takie samo prawo wydrzeć Etiopię czarnuchom, jakie miały czarnuchy, gdy ją wydzierały boa dusicielom”.[28] Później jednak, w ogromnym stopniu wskutek sojuszu zawartego przez Mussoliniego z Hitlerem, wizerunek włoskiego przywódcy nigdy już nie odzyskał dawnej świetności.

Nie oznacza to jednak, że Mussolini nigdy nie miał zwolenników.

W 1923 roku dziennikarz Isaac F. Marcosson pisał z podziwem na łamach dziennika „New York Times”, że „Mussolini to łaciński [Theodore] Roosevelt, który najpierw działa, a później docieka, czy to zgodne z prawem. Zrobił bardzo wiele dla Włoch”.[29] Organizacja weteranów American Legion, która przez prawie całą swą historię była wspaniałą i szczodrą amerykańską instytucją, została założona w tym samym roku, w którym Mussolini doszedł do władzy, i we wczesnych latach działalności czerpała inspirację z włoskiego ruchu faszystowskiego. „Nie zapominajcie – upominał w tym samym roku krajowy komendant organizacji – że *fascisti* są dla Włoch tym samym, czym American Legion jest dla Stanów Zjednoczonych”.[30]

W 1926 roku amerykański satyryk Will Rogers udał się do Włoch i przeprowadził wywiad z Mussolinim. Redaktorom pisma „New York Times” powiedział, że Mussolini to „jakiś makaroniarz”. „Ten narwaniec mi się całkiem podoba”. Rogers, nieformalnie nazwany „wolnym ambasadorem Stanów Zjednoczonych” przez National Press Club, przygotował wywiad dla „Saturday Evening Post”. Konkludował tam następująco: „Rządy dyktatorskie są najlepszą formą rządów, oczywiście wtedy, gdy ma się właściwego dyktatora”.[31] W 1927 roku redakcja pisma „Literary Digest" przeprowadziła sondaż, pytając „Czy brakuje wielkich ludzi?”. Odpowiadający przecząco na to pytanie wymieniali przede wszystkim Benita Mussoliniego, za którym znaleźli się Lenin, Edison, Marconi i Orville Wright. Szóste miejsce zajęli Henry Ford i George Bernard Shaw, uzyskując tę samą liczbę głosów. W roku 1928 w piśmie „Saturday Evening Post” gloryfikowano Mussoliniego jeszcze bardziej, publikując ośmioczęściową autobiografię Il Duce. Przygotowano następnie publikację książkową. Zaliczka zapłacona przez wydawcę należała do najwyższych wpłaconych przez amerykańską oficynę w historii Stanów Zjednoczonych.

Dlaczego przeciętny Amerykanin nie miałby myśleć, że Mussolini był wielkim człowiekiem? Winston Churchill stwierdził, że to największy żyjący prawodawca świata. Sigmund Freud wysłał Mussoliniemu książkę, którą napisał wspólnie z Albertem Einsteinem, wpisując następującą dedykację: „Benitowi Mussoliniemu – starzec pozdrawiający Władcę, Bohatera Kultury”. Tytani opery, Giacomo Puccini i Arturo Toscanini, należeli do pionierskich faszystowskich akolitów Mussoliniego. Toscanini był wśród pierwszych członków mediolańskiego kręgu faszystów, co przydawało tam starszeństwa, podobnie jak w Niemczech przynależność do partii nazistowskiej w czasie puczu w hali piwnej. W 1919 roku Toscanini ubiegał się o fotel w parlamencie jako reprezentant faszystów i dopiero dwanaście lat później odrzucił faszyzm.[32]

Mussolini był szczególnym bohaterem dla demaskatorów, tych liberalnych dziennikarzy progresywistycznych, którzy słynęli z tego, że stawali w obronie maluczkich. W 1926 roku Ida Tarbell, słynna reporterka, której praca przyczyniła się do podziału gigantycznej firmy naftowej Standard Oil Company, została wysłana przez redakcję pisma „McCall” do Włoch, aby przygotować serię artykułów na temat państwa faszystowskiego. W Departamencie Stanu obawiano się wtedy, że ta „radykalna czerwona ślicznotka” będzie pisać tylko „napastliwe artykuły krytykujące Mussoliniego”. Okazało się jednak, że nie trzeba się było obawiać. Tarbell urzekł

mężczyzna, którego nazwała „despotą z dołeczkami", chwaląc jego postępowe nastawienie wobec kwestii pracowniczych. Pod równie wielkim wrażeniem był Lincoln Steffens, kolejny słynny demaskator, dziś pewnie słabo kojarzony tylko jako ten dziennikarz, który po powrocie ze Związku Sowieckiego stwierdził: „Byłem w przyszłości. To działa". Krótko po tej wypowiedzi komentował, że Bóg „stworzył Mussoliniego z żebra Włoch". Jak zobaczymy, Steffens nie uważał za sprzeczność połączenia sympatii dla faszyzmu z uwielbieniem Związku Sowieckiego. Nawet Samuel McClure, założyciel pisma „McClure's Magazine", w którym publikowało bardzo Wielu demaskatorów, chwalił faszyzm po wizycie we Włoszech. Uważał go za „wielki krok naprzód i pierwszy nowy ideał rządów od ustanowienia republiki amerykańskiej".[33]

W tym czasie niemal wszyscy najsłynniejsi i najbardziej podziwiani młodzi włoscy intelektualiści i artyści albo byli faszystami, albo z faszyzmem sympatyzowali (najbardziej znanym wyjątkiem był krytyk literacki Benedetto Croce). Giovanni Papini, „magiczny pragmatysta", którego niezmiernie podziwiał William James, bardzo się angażował w różne ruchy intelektualne tworzące faszyzm. Dzieje Chrystusa Papiniego – gwałtowne, niemal histeryczne arcydzieło dokumentujące jego akceptację chrześcijaństwa – wywołało sensację w Stanach Zjednoczonych na początku lat dwudziestych. Często publikujący na łamach pisma „New Republic" Giuseppe Prezzolini, który później został poważanym wykładowcą Uniwersytetu Columbii, należał do pierwszych architektów literatury i ideologii faszystowskiej. Filippo Tommaso Marinetti, twórca futuryzmu, który w Stanach Zjednoczonych uważano za artystycznego towarzysza kubizmu i ekspresjonizmu, ogromnie się przyczynił do tego, że włoski faszyzm stał się pierwszym na świecie „ruchem młodzieżowym" odnoszącym sukcesy. Przedstawiciele establishmentu amerykańskiego szkolnictwa żywo się interesowali włoskimi „przełomami" dokonywanymi za rządów słynnego „pedagoga" Mussoliniego, który przecież pracował kiedyś jako nauczyciel.

Nie znajdzie się chyba elitarnej amerykańskiej instytucji, która odnosiła się do faszyzmu z większą przychylnością niż Uniwersytet Columbii. W 1926 roku utworzono na tej uczelni ośrodek Casa Italiana, centrum badań nad włoską kulturą i miejsce, w którym wykładali wybitni włoscy naukowcy. Był to dla faszyzmu „autentyczny dom w Ameryce" oraz „szkoła rozwijających się faszystowskich ideologów", jak to określił John Patrick Diggins. Sam Mussolini przekazał temu ośrodkowi bogato zdobione barokowe meble, a rektorowi Uniwersytetu Columbii, Nicholasowi Murrayowi Butlerowi, wysłał zdjęcie z autografem, dziękując za „niezmiernie cenny wkład" w propagowanie wzajemnego zrozumienia faszystowskich Włoch i Stanów Zjednoczonych.[34] Wprawdzie Butler nie uważał, że Ameryka potrzebuje faszyzmu, ale był przekonany, że to najlepsza ideologia z punktu widzenia interesów Włochów i że odniosła ogromny sukces, który warto badać. To subtelne rozróżnienie – faszyzm jest dobry dla Włoch, ale niekoniecznie dla Ameryki – przyjmowało bardzo wielu prominentnych intelektualistów liberalnych, co mocno przypomina późniejsze wypowiedzi niektórych liberałów występujących w obronie komunistycznego „eksperymentu" Fidela Castro.

Gdy naukowcy debatowali nad subtelniejszymi aspektami korporacjonistycznego państwa Mussoliniego, zainteresowanie włoskim przywódcą przejawiane w latach dwudziestych przez przeciętnych Amerykanów ogromnie przewyższało zainteresowanie każdą inną postacią działającą na arenie międzynarodowej. W latach 1925-1928 opublikowano w amerykańskiej prasie ponad sto artykułów na jego temat, a zaledwie piętnaście poświęconych Stalinowi.[35] Przez ponad dziesięć lat Anne O'Hare McCormick, korespondentka zagraniczna pisma „New York Times", do tego stopnia gloryfikowała Mussoliniego, że późniejsze publikacje tego dziennika ukazujące w pozytywnym świetle Stalina wydawały się **prawie** krytyczne. Redakcja „New York Tribune" szukała odpowiedzi na pytanie, czy Mussolini to Garibaldi, czy raczej Cezar. James A. Farrell, prezes korporacji US Steel, nazwał włoskiego dyktatora „najwybitniejszym żyjącym człowiekiem" świata.

Hollywoodzkim tuzom, którzy zauważali bezsprzeczne umiejętności aktorskie Mussoliniego, marzyło się, że zostanie gwiazdą kina. Pojawił się w *The Eternal City* (Wiecznym mieście), filmie z 1923 roku w reżyserii George'a Fitzmaurice'a, w którym grał Lionel Barrymore. W filmie ukazano walki komunistów z faszystami o władzę we Włoszech. Hollywood – *mirabile*

dictu – opowiada się po stronie faszystów. „Jego zachowanie w sfilmowanej scenie świadczy o słuszności teorii, że to miejsce dla niego” – komentował pewien recenzent.[36]

W 1933 roku wytwórnia Columbia Pictures wyprodukowała „dokumentalny” film zatytułowany *Mussolini Speaks* (Mówi Mussolini). Duce osobiście nadzorował produkcję. Lowell Thomas, legendarny amerykański dziennikarz, który rozsławił Lawrence'a z Arabii, mocno się zaangażował w prace nad tym filmem i przez cały czas pisał pochwalne artykuły. Mussolini został w nim ukazany jako heroiczny siłacz i zbawca narodu. Gdy narasta napięcie przed mową wygłoszoną przez Mussoliniego w Neapolu, Thomas obwieszcza z zapartym tchem: „To niezwykła chwila. Stoi jak współczesny Cezar!”. W nowojorskim kinie RKO Palace odnotowano rekordowe przychody ze sprzedaży biletów. Wytwórnia Columbia Pictures wykupiła strony reklamowe w periodyku „Variety”. Gigantycznymi wersalikami obwieszczano, że film jest przebojem kinowym, ponieważ „przemawia do wszystkich DZIARSKICH AMERYKANÓW” i „być może przedstawia ROZWIĄZANIE AMERYKAŃSKICH BOLĄCZEK”.

W latach dwudziestych i trzydziestych faszyzm naturalnie także krytykowano. Ernest Hemingway niemal od początku sceptycznie podchodził do Mussoliniego. Henry Miller nie oceniał pozytywnie programu faszystów, ale podziwiał wolę i siłę Mussoliniego. Niektórzy przedstawiciele tzw. Starej Prawicy, na przykład libertarianin Albert J. Nock, uważali faszyzm po prostu za kolejną formę etatyzmu. Natywistyczny Ku-Klux-Klan – jak na ironię często przez liberałów zwany ruchem „amerykańskich faszystów” – zwykle z pogardą się odnosił do Mussoliniego i jego amerykańskich zwolenników (przede wszystkim z tego powodu, że byli to imigranci). Co ciekawe, radykalni lewicowcy prawie przez całe pierwsze dziesięciolecie włoskiego faszyzmu nie mieli nic do powiedzenia na jego temat. Liberałowie dzielili się na różne nietrwałe fakcje, a znaczna część amerykańskiej lewicy nie zważała na faszyzm aż do wielkiego kryzysu lat trzydziestych. Gdy lewicowcy wreszcie zaczęli poważnie atakować Mussoliniego – głównie na polecenie Moskwy – wrzucali go zasadniczo do jednego worka z Franklinem Rooseveltem, socjalistą Normanem Thomasem i progresywistą Robertem La Folette'em.[37]

W dalszych rozdziałach przyjrzymy się, jak amerykańscy liberałowie i lewicowcy oceniali faszyzm. Najpierw jednak warto chyba zadać pytanie, jak to było możliwe. Gdy wziąć pod uwagę wszystko, czego nas uczono o okropnościach faszyzmu, jak mogło dojść do tego, że przez ponad dziesięciolecie Stany Zjednoczone pod ważnymi względami były państwem profaszystowskim? Jeszcze bardziej zdumiewa to z tego powodu, że wielu, a być może większość amerykańskich liberałów albo podziwiała Mussoliniego i jego program, albo po prostu zbytnio na to nie zważała, a przecież większość liberałów i lewicowców uważa, iż zesłano ich na ziemię, aby każdym tchnieniem walczyli z faszyzmem.

Odpowiedź sprowadza się do tego, że włoski faszyzm wyłonił się z „chwili faszystowskiej”, która pojawiła się w cywilizacji zachodniej, gdy koalicja intelektualistów opatrywanych rozmaitymi metkami – nazywanych progresywistami, komunistami, socjalistami itd. – uważała, że dobiega końca era liberalnej demokracji. Czas odłożyć do lamusa anachronizmy prawa naturalnego, tradycyjnej religii, swobód konstytucyjnych, kapitalizmu oraz podobnych pojęć i zjawisk, aby się wznieść do poziomu odpowiedzialnego zadania przebudowy świata na własne podobieństwo. Bóg od dawna nie żył, a człowiek od dawna powinien zająć jego miejsce. Mussolini, który przez całe życie był intelektualistą socjalistycznym, walczył w tej krucjacie, a jego faszyzm – doktryna stworzona przez niego z tego samego surowca intelektualnego, który wykorzystywali Lenin i Trocki, tworząc swoje ruchy – był ogromnym skokiem w erę „eksperymentowania”, w czas, kiedy odrzucone zostaną stare dogmaty i rozpocznie się nowa epoka. Pod każdym znaczącym względem był to program lewicowy w obecnym znaczeniu tego pojęcia, z czego doskonale sobie zdawali sprawę i Mussolini, i ci, którzy go podziwiali, i jego przeciwnicy. Mussolini wielokrotnie twierdził, że XIX wiek był stuleciem liberalizmu, a wiek XX będzie „stuleciem faszyzmu”. Tylko przez przeanalizowanie jego biografii i spuścizny możemy ustalić, w jakim stopniu był prawicowcem, a w jakim lewicowcem.

* * *

Benito Amilcare Andrea Mussolini nosił imiona nadane mu na cześć trzech rewolucjonistów. Miał hiszpańskie imię Benito (zamiast jego włoskiego odpowiednika Benedetto), bo takie nosił Benito Juárez, meksykański rewolucjonista, który został prezydentem. Juárez nie tylko obalił cesarza Maksymiliana, ale kazał go zgładzić. Pozostałe imiona Mussolini nosił na cześć dwóch zapomnianych obecnie bohaterów ruchu anarchistyczno-socjalistycznego, Amilcarego Ciprianiego i Andrei Costy.

Ojciec Mussoliniego, Alessandro, był kowalem i zagorzałym socjalistą skłaniającym się ku anarchizmowi. Należał do I Międzynarodówki wraz z Marksem i Engelsem i działał w lokalnej radzie socjalistycznej. Jego „serce i umysł nieustannie wypełniały teorie socjalistyczne stale obecne w jego krwi – wspominał Mussolini. – Jego silne sympatie mieszały się z [socjalistycznymi] doktrynami i sprawami. Gdy omawiał je wieczorami z przyjaciółmi, jego oczy lśniły”.[38] W inne wieczory ojciec czytał Benitowi ustępy *Kapitału*. Gdy wieśniacy przyprowadzali konie do kuźni Alessandra, aby je podkuć, częścią zapłaty było wysłuchiwanie socjalistycznych teorii kowala. Benito Mussolini był urodzonym podżegaczem. W wieku dziesięciu lat szedł na czele manifestacji przeciwko władzom szkoły, do której uczęszczał, zorganizowanej z powodu podłego jedzenia. W szkole średniej uznał się za socjalistę, a w wieku osiemnastu lat, pracując jako nauczyciel na zastępstwie, został sekretarzem organizacji socjalistycznej i rozpoczął karierę lewicowego dziennikarza.

Mussolini bezsprzecznie przejął od ojca nienawiść do tradycyjnej religii, szczególnie Kościoła katolickiego. (Jego brat nosił imię Arnaldo na cześć zgładzonego w 1155 roku średniowiecznego mnicha Arnalda da Brescia. Czczono go jako miejscowego bohatera, który wystąpił przeciwko bogaceniu się Kościoła i jego nadużyciom). Dziesięcioletniego Mussoliniego szkolni księża musieli siłą ciągnąć na mszę, a chłopak przy tym wierzgał i krzyczał. Później, będąc młodzieżowym działaczem w Szwajcarii, stał się znany z tego powodu, że systematycznie obrażał gorliwych chrześcijan. Ze szczególnym upodobaniem wyśmiewał Jezusa, nazywając go „ignoranckim Żydem” i twierdząc, że był pigmejem w porównaniu z Buddą. Do jego ulubionych zagrań należało publiczne wzywanie Boga, aby go uśmiercił, jeśli istnieje. Gdy wrócił do Włoch, będąc socjalistycznym dziennikarzem zdobywającym coraz większą popularność, regularnie oskarżał księży o obrzydlistwa moralne, na wszelkie sposoby krytykował i lżył Kościół, a nawet napisał romansidło zatytułowane *L'amante del cardinale. Claudia Particella* (Claudia Particella, kochanka kardynała), w którym aż się roiło od seksualnych insynuacji.

Przejęta od Nietzschego pogarda dla głoszonej przez chrześcijaństwo „niewolniczej moralności” była u Mussoliniego tak silna, że dążył do wyrugowania z szeregów włoskich socjalistów chrześcijan wszystkich wyznań. Na przykład w 1910 roku, podczas kongresu socjalistów w Forli, przedłożył projekt rezolucji – i uzyskał jej przyjęcie – w której stwierdzono, że wiary katolickiej, a także wszystkich innych najważniejszych wyznań monoteistycznych nie można pogodzić z socjalizmem, a przez to socjaliści będący praktykującymi wierzącymi czy choćby tolerującymi wyznawanie religii przez ich dzieci powinni zostać usunięci z partii. Mussolini domagał się od członków partii odrzucenia ślubów kościelnych, chrztów i wszelkich innych rytuałów chrześcijańskich. W 1913 roku napisał kolejną antykościelną książkę, tym razem poświęconą Janowi Husowi, czeskiemu heretykowi i narodowcowi, zatytułowaną *Giovanni Hus, il Veridico* (Jan Hus, prorok prawdziwy). Można postawić tezę, że w tej publikacji znajduje się ziarno przyszłego faszystowskiego programu Mussoliniego.

Kolejnym istotnym elementem jego biografii było życie płciowe. W 1900 roku, gdy miał siedemnaście lat – w tym samym roku wstąpił do Partii Socjalistycznej – rozdziewiczyła Mussoliniego podstarzała tęga prostytutka („sadło przelewało się na całym ciele”), za co wzięła pięćdziesiąt *centesimi*. W wieku osiemnastu lat wdał się w romans z kobietą, której mąż odbywał służbę wojskową w innej miejscowości. „Przyzwyczaiłem ją do mojej wyłącznej i tyrańskiej miłości. Słuchała mnie ślepo i pozwalała, abym ją rzucał, gdy tylko chciałem”. Chełpiący się 169 kochankami w czasie swojej aktywności seksualnej Mussolini według obecnych norm był w pewnej mierze także gwałcicielem.[39]

Mussolini istotnie był jednym z pierwszych współczesnych symboli seksu. Przygotował grunt pod późniejsze seksualne ubóstwienie Che Guevary. Celebrowanie przez propagandystów włoskiego reżymu jego „męskości" stało się tematem pewnie z tysiąca seminariów. Niezliczeni intelektualiści opiewali Mussoliniego, uważając go za idealnego przedstawiciela mężczyzny nowych czasów. Prezzolini pisał o nim następująco: „Ten mężczyzna to **mężczyzna** i wyróżnia się jeszcze bardziej W świecie półpostaci i sumień skończonych jak zużyte recepturki". Leda Rafanelli, anarchistyczna intelektualistka (później sypiała z Mussolinim) tak pisała, gdy usłyszała go po raz pierwszy: „Benito Mussolini [...] to socjalista czasów heroicznych. Czuje i nadal wierzy, cechując się entuzjazmem pełnym męskości i siły. To Mężczyzna".[40]

Mussolini kultywował wizerunek męża wszystkich Włoszek. Ta inwestycja się opłaciła, gdy na Włochy nałożono sankcje z powodu inwazji na Etiopię i Mussolini poprosił Włochów o przekazanie złota na potrzeby państwa. Miliony przysłały obrączki, tylko w Rzymie przekazało je 250 tysięcy kobiet. Przedstawicielki wyższych sfer również nie były odporne na jego urok. Clementine Churchill była oczarowana jego „pięknymi złotobrązowymi przenikliwymi oczyma", gdy się z nim spotkała w 1926 roku. Z zachwytem wzięła do domu na pamiątkę podpisane zdjęcie. Lady Ivy Chamberlain trzymała z kolei na pamiątkę opaskę Partii Faszystowskiej.

Ponieważ Mussolini zabawiał się z mężatkami, miał długi, irytował miejscowe władze i zbliżał się do wieku poborowego, W 1902 roku uznał, że mądrze będzie czmychnąć do Szwajcarii, która była wtedy europejską Casablanką dla radykalnych socjalistów i agitatorów. Gdy tam dotarł, miał przy sobie dwa liry. Do przyjaciela napisał, że jedynym metalowym przedmiotem brzęczącym w jego kieszeni był medal z wizerunkiem Karola Marksa. Jak można się było spodziewać, w Szwajcarii znalazł się w gronie bolszewików, socjalistów i anarchistów, w którym były takie intelektualne postaci, jak Anżelika Bałabanowa (Angelica Balabanoff), córka ukraińskich arystokratów i wieloletnia znajoma Lenina. Mussolini i Bałabanowa przyjaźnili się przez dwa dziesięciolecia, do czasu kiedy ona została sekretarka Kominternu, on zaś apostatą socjalizmu, czyli faszystą.

Pewne kontrowersje budzi kwestia, czy Mussolini spotkał się kiedykolwiek z Leninem. Wiemy jednak, że wzajemnie się podziwiali. Lenin powie później, że Mussolini to jedyny prawdziwy rewolucjonista we Włoszech. Autorka pierwszej biografii Mussoliniego, Margherita Sarfatti (Żydówka i kochanka Mussoliniego), podaje, że Lenin później powiedział także: „Mussolini? Jaka szkoda, że go straciliśmy! To silny człowiek, który poprowadziłby naszą partię do zwycięstwa!".[41]

Przebywając w Szwajcarii, Mussolini intensywnie pracował nad swoją reputacją intelektualisty. Pisząc socjalistyczne traktaty, gdzie tylko mógł, przyszły Duce chłonął żargon międzynarodowej lewicy europejskiej. W Szwajcarii napisał pierwszą ze swych licznych książek, *L'Uomo e la Divinità* (Człowiek i boskość), w której grzmiał na Kościół i opiewał ateizm, twierdząc, że religia to forma szaleństwa. Młody radykał nie bawił Szwajcarów bardziej niż wcześniej Włochów. Regularnie go osadzano w areszcie i wielokrotnie był wydalany przez władze kantonalne za wywoływanie niepokojów społecznych. W 1904 roku oficjalnie został uznany za „wroga społeczeństwa". W pewnym momencie się zastanawiał, czy powinien poszukać zajęcia na Madagaskarze, zatrudnić się w socjalistycznej gazecie nowojorskiej lub dołączyć do innych socjalistycznych wygnańców w lewicowej przystani stanu Vermont (który w znacznym stopniu do dziś pełni tę funkcję).

Mussolini okazał się później raczej nieudolnym przywódcą czasu wojny, ale nie był bzdurnie gadającym jełopem, za jakiego go miało wielu angielskich i amerykańskich historyków i intelektualistów. Był na przykład zdumiewająco oczytany (nawet lepiej niż młody Adolf Hitler, który również przypominał bibliofila). Jego doskonała znajomość teorii socjalistycznych nie była może legendarna, ale z pewnością wywierała spore wrażenie na wszystkich, którzy go znali. Na podstawie stwierdzeń jego biografów i jego własnych pism wiemy, że czytał Marksa, Engelsa, Schopenhauera, Kanta, Nietzschego, Sorela i wielu innych. Od roku 1902 do 1914 Mussolini napisał niezliczone artykuły, w których analizował lub tłumaczył socjalistyczne i filozoficzne piśmiennictwo Francji, Niemiec i Włoch. Słynął z umiejętności wypowiadania się o mało znanych

kwestiach bez notatek i wnikliwie. W latach trzydziestych i czterdziestych był jedynym z przywódców największych państw europejskich, który potrafił mówić, czytać i pisać inteligentnie w kilku językach. Franklin Roosevelt i Adolf Hitler niewątpliwie byli lepszymi politykami i dowódcami sił zbrojnych, przede wszystkim z powodu legendarnego wyczucia. Jednakże według kryteriów stosowanych obecnie przez liberalnych intelektualistów Mussolini był z tej trójki najbystrzejszy.[42]

Po powrocie Mussoliniego do Włoch (i pobycie w Austrii) wolno, ale nieustannie do 1911 roku rosła jego sława radykała. Został redaktorem „La Lotta di Classe" (Walki klasowej), pisma służącego za megafon skrajnego skrzydła Włoskiej Partii Socjalistycznej. „Flagę państwową uważamy za szmatę, którą należy wetknąć w kupę łajna" – deklarował. Mussolini otwarcie występował przeciwko wojnie prowadzonej przez Włochy z Turcją o władzę nad Libią, a w mowie wygłoszonej w Forli wzywał Włochów do zorganizowania strajku powszechnego, blokad ulic i wysadzania pociągów. „Jego elokwencja w tym okresie przywodziła na myśl Marata" – pisał Pietro Nenni, przywódca socjalistyczny.[43] Ta elokwencja nie uratowała go przed ośmioma zarzutami o podżeganie do buntu przeciwko władzy państwowej. Mussolini jednak umiejętnie wykorzystał swój proces – bardzo podobnie do tego, jak Hitler wykorzystał czas, którym dysponował w sądzie – i wygłosił mowę, w której ukazał siebie jako patriotycznego męczennika walczącego z klasami panującymi.

Mussoliniego skazano na rok pozbawienia wolności, a po apelacji wyrok złagodzono do pięciu miesięcy wyszedł z więzienia jako gwiazda ruchu socjalistycznego. Podczas przyjęcia wydanego z okazji jego wyjścia na wolność wiodący socjalista Olindo Vernocchi obwieścił: „Od dziś, Benito, jesteś nie tylko przedstawicielem socjalistów z Romanii, ale *duce* wszystkich rewolucyjnych socjalistów Włoch".[44] Po raz pierwszy Mussolini został nazwany *Il Duce* (wodzem). Był więc Duce socjalistów, zanim został Duce faszystów.

Wykorzystując swą nową pozycję, Mussolini wziął udział w kongresie socjalistów w 1912 roku, kiedy we włoskiej partii panował rozłam. Umiarkowani socjaliści opowiadali się za stopniowymi reformami, radykałowie zaś dążyli do działań bardziej zdecydowanych.

Mussolini postawił na radykałów i zarzucił herezję dwom wiodącym działaczom z obozu umiarkowanego. Czym zgrzeszyli? Pogratulowali królowi, że przeżył zamach zorganizowany przez anarchistę. Mussolini nie mógł znieść takiej ckliwej słabości. „A poza tym, kim jest król oprócz tego, że z definicji jest nieużytecznym obywatelem?" – pytał. Mussolini znalazł się w formalnej grupie kierującej partią, a cztery miesiące później przejął redakcję ogólnokrajowej gazety „Avanti!", obejmując jedną z najlepszych posad w świecie europejskiego radykalizmu. Obserwując z oddali sukcesy Mussoliniego, Lenin wypowiedział się o nich pochlebnie na łamach „Prawdy".

Raczej nie ulega wątpliwości, że gdyby Mussolini stracił życie w 1914 roku, teoretycy marksizmu podawaliby go jako przykład bohaterskiego męczennika walki proletariackiej. Należał do wiodących europejskich radykałów socjalistycznych działających w partii socjalistycznej, którą oprócz rosyjskiej można uważać za najbardziej radykalną. Pod jego kierownictwem pismo „Avanti!" stało się niemal ewangelią dla całego pokolenia socjalistycznych intelektualistów, w tym Antonia Gramsciego. Zaczął również wydawać teoretyczne pismo „Utopia" nazwane tak na cześć Thomasa More'a, którego Mussolini uważał za pierwszego socjalistę. Linia programowa „Utopii" wyraźnie odzwierciedlała wpływ syndykalizmu George'a Sorela na koncepcje Mussoliniego.[45]

Trzeba zrozumieć wpływ, jaki na Mussoliniego wywarł Sorel, aby pojąć faszyzm, ponieważ bez syndykalizmu faszyzm nie mógłby powstać. Trudno obecnie dokładnie umiejscowić teorię syndykalistyczną, gdyż nie jest to do końca ani socjalizm, ani faszyzm. Joshua Muravchik twierdzi, że to „niewłaściwie zdefiniowany wariant socjalizmu, w którym przykładano wagę do działań bezpośrednich z użyciem przemocy, program jednocześnie elitarystyczny i antyetatystyczny". Syndykaliści zasadniczo głosili konieczność sprawowania władzy przez rewolucyjne związki zawodowe (nazwa teorii pochodzi od francuskiego słowa *syndicat*; we Włoszech natomiast na określenie związków powszechnie używano wyrazu *fascio* oznaczającego 'wiązkę'). Syndykalizm wpłynął na kształtowanie się teorii korporacjonistycznej, głosząc, że społeczeństwo można podzielić na sektory zasadniczo odpowiadające grupom zawodowym wyróżnianym w systemie

gospodarczym. Ta idea wywarła spory wpływ na Nowe Łady: zarówno Franklina Roosevelta, jak i Hitlera. Jednakże największy wkład Sorela w koncepcje lewicowe, a program Mussoliniego w szczególności, można zaobserwować w innym miejscu. To jego koncepcja „mitów", za które uważał „sztuczne połączenia wymyślone w celu przydania pozorów rzeczywistości nadziejom motywującym ludzi w ich obecnych działaniach". Z powodu przekazu leżącego u jej podstaw – Jezus nadchodzi, pokaż więc, że się starasz – wiara w ponowne przyjście Jezusa na ziemię dla Sorela była wzorcowym mitem, gdyż pozwalała organizować ludzi w upragniony sposób.[46]

Dla ówczesnych syndykalistów, a w sumie także dla lewicowych rewolucjonistów wszelkiej maści Sorelowy mit strajku powszechnego stanowił odpowiednik ponownego przyjścia Jezusa na ziemię. Mit ten głosił, że jeśli wszyscy robotnicy ogłoszą strajk powszechny, pozwoli to obalić kapitalizm, a wówczas ziemię posiada – zamiast cichych z kazania na górze – proletariusze. Czy zorganizowanie strajku powszechnego istotnie przyniosłoby właśnie taki skutek, według Sorela nie miało znaczenia, liczyło się bowiem zmobilizowanie mas, aby zrozumiały, że mają władzę nad kapitalistycznymi klasami panującymi. W wywiadzie udzielonym w 1932 roku Mussolini rzekł: „To wiara porusza góry, nie rozum. Rozum jest narzędziem, ale nigdy nie może być siłą motywującą masy". Takie myślenie zawsze później stanowiło typowy element programów lewicowych. Wystarczy wspomnieć, jak pastor Al Sharpton podobno skomentował informację, że Tawany Brawley nie gwałcono, a sprawa została sfingowana. „To nie ma znaczenia – ponoć rzekł. – Tworzymy ruch".[47]

Jeszcze większe wrażenie wywierało zastosowanie przez Sorela koncepcji mitu w odniesieniu do samego marksizmu. Także w tym wypadku Sorel twierdził, że marksistowskie proroctwo wcale nie musi być prawdziwe, istotne było to, by ludzie **uważali** je za prawdę. Już na przełomie stuleci stawało się jasne, że jako nauka społeczna marksizm nie ma zbyt wiele sensu. Według Sorela *Kapitał* odczytywany dosłownie wiele nie wnosił. Co jednak – pytał Sorel – jeśli bezsensowność koncepcji Marksa była zamierzona? Gdy uzna się „ten **apokaliptyczny** tekst [...] za wytwór ducha, wyobrażenie stworzone w celu kształtowania świadomości, to [...] jest to dobra ilustracja zasady, którą Marks uważał za konieczny fundament reguł socjalistycznych działań proletariatu".[48] Innymi słowy, Marksa nie należy uważać za oszołoma przedstawiającego programy polityczne, lecz za proroka. W ten sposób masy wchłoną marksizm jak dogmat religijny, bez zastrzeżeń.

Na Sorela wielki wpływ wywarł pragmatyzm Williama Jamesa, który zaczął propagować przekonanie, że potrzeba tylko „woli wiary". Była to nieszkodliwa nadzieja Jamesa na to, że znajdzie się w ten sposób miejsce na religię w czasach gwałtownego rozprzestrzeniania się światopoglądu naukowego, a to wskutek założenia, że dowolna religia przynosząca skutki wierzącemu jest nie tylko ważna, ale także „prawdziwa". Sorel był irracjonalistą, który to rozumowanie doprowadził do logicznej konkluzji. Każda idea, którą można z powodzeniem wpoić ludziom, jeśli okaże się to konieczne, to z użyciem przemocy – staje się prawdziwa i dobra. Pożeniwszy wolę wiary Jamesa z wolą mocy Nietschego, Sorel zmienił lewicową politykę rewolucyjną z naukowego socjalizmu w rewolucyjny ruch religijny uznający użyteczność **mitu** naukowego socjalizmu. Oświeceni rewolucjoniści mieli działać tak, jakby marksizm był ewangelia, aby zapanować nad masami dla większego dobra. Dziś te aspekty takiej motywacji moglibyśmy nazwać „kłamstwem w celu szerzenia sprawiedliwości".

Naturalnie kłamstwo może się stać „prawdą", co oznacza, że przyniesie pożądane skutki, tylko wówczas, gdy je upowszechniają dobrzy kłamcy. To kolejny element wkładu wniesionego przez Sorela – potrzeba „rewolucyjnej elity", która narzuci swą wolę masom. Wielu zwracało uwagę, że w tej kwestii Mussolini i Lenin mieli niemal identyczne przekonania. Zasadniczym wspólnym elementem ich programów było Sorelowe założenie, że nieliczna kadra zawodowych radykalnych intelektualistów – gotowych odrzucić kompromisy, politykę parlamentarna i wszystko, co trąciło stopniowymi reformami – jest nieodzowna dla zwycięskiej walki rewolucyjnej. Ta awangarda miała kształtować „świadomość rewolucyjną" przez podżeganie do stosowania przemocy i podkopywanie liberalnych instytucji. „Musimy doprowadzić do tego, aby proletariacka mniejszość stała się dostatecznie liczna, dostatecznie zorientowana i dostatecznie śmiała, by w

odpowiednim momencie zastąpić mniejszość burżuazyjna – twierdził Mussolini niczym medium przekazujące słowa Lenina. – Masy po prostu pójdą za nią i się podporządkują”.[49]

Jakobiński faszyzm

Jak Mussolini wykorzystywał koncepcje Sorela, tak Sorel pod pewnym istotnym względem wykorzystywał koncepcje Rousseau i Robespierre'a. Krótki przegląd intelektualnych źródeł myśli faszystowskiej ujawnia jej zakorzenienie w romantycznych koncepcjach narodowościowych XVIII wieku i w filozofii Jeana-Jacques'a Rousseau, którego słusznie można nazwać ojcem współczesnego faszyzmu.

Od stuleci historycy debatują o znaczeniu rewolucji francuskiej. Pod wieloma względami ich sprzeczne opinie na temat tych wydarzeń wynikają z fundamentalnych różnic między przekonaniami liberalnymi a konserwatywnymi (można na przykład porównać poglądy Wordswortha z przekonaniami Burke'a). Nawet nasze obecne rozróżnienie na „lewicę” i „prawicę” wywodzi się z tego, jakie miejsca zajmowali deputowani w rewolucyjnym zgromadzeniu. Niezależnie od tego, czym rewolucja francuska mogła być poza tym, nie ulega wątpliwości, że była pierwszą rewolucją totalitarną, matką współczesnych form totalitaryzmu oraz duchowym wzorcem dla przeprowadzających rewolucje włoskich faszystów, niemieckich nazistów i rosyjskich komunistów. Rebelią narodowo-populistyczną, którą kierowała i manipulowała awangarda intelektualistów dążących do wprowadzenia na miejsce chrześcijaństwa religii politycznej gloryfikującej „lud”, namaszczającej przywódców rewolucyjnych na kapłanów i znoszącej prawa jednostek. Robespierre ujął to następująco: „Lud zawsze jest wart więcej od jednostek. [...] Lud jest bytem najwyższym, a jednostki są słabe”, co w każdym razie oznacza, że można się ich pozbyć.[50]

Robespierre opracował swoje koncepcje, uważnie analizując idee Rousseau, którego koncepcja woli powszechnej ustanowiła intelektualną podstawę wszystkich współczesnych form totalitaryzmu. Według Rousseau jednostki żyjące zgodnie z tą wolą powszechną są „wolne” i „dobre”, ci zaś, którzy występują przeciwko tej woli, są przestępcami, głupcami lub heretykami. Przeciwników dobra wspólnego trzeba zmusić do podporządkowania się woli powszechnej. Ten usankcjonowany przez państwo przymus Rousseau opisywał za pomocą orwellowskiej terminologii, ukazując go jako proces „zmuszania ludzi do wolności”. To Rousseau był pierwszym, który usankcjonował niezależną wolę mas, jednocześnie odrzucając mechanizmy demokratyczne, uznawszy, że prowadzą do zepsucia i są prostackie. Takie mechanizmy – głosowanie w wyborach, instytucje przedstawicielskie itd. – „prawie nigdy nie są potrzebne tam, gdzie rząd się kieruje dobrymi intencjami”, stwierdził Rousseau w wiele ujawniającej wypowiedzi, rozwijając tę myśl następująco: „Rządzący bowiem doskonale wiedzą, że wola powszechna zawsze jest po stronie tego, co jest najkorzystniejsze z punktu widzenia interesu publicznego, czyli tego, co najsprawiedliwsze. Tak więc trzeba jedynie działać sprawiedliwie, aby mieć pewność, że postępuje się zgodnie z wolą powszechną”.[51]

Przekonanie, że faszyzm i komunizm obiecywały więcej demokracji od samej demokracji, było aksjomatem dla dwudziestowiecznych prozelitów tych ruchów w Europie i Ameryce. „Ruch” reprezentował różnie – a to *Volk*, a to lud, a to prawdziwy naród i jego opatrznościową misję historyczną, natomiast demokracja parlamentarna była zepsuta, nieautentyczna, nienaturalna.[52] Jednakże wyjątkowe znaczenie woli powszechnej jest znacznie głębsze od zwykłej racjonalizacji legitymizacji poprzez wykorzystanie populistycznej retoryki. Idea woli powszechnej doprowadziła do utworzenia autentycznej świeckiej religii z mistycznych akordów nacjonalizmu, religii, w której w rezultacie „lud” czcił siebie.[53] Podobnie jak jednostki mogły być „wolne” tylko jako członkowie grupy, tak ich istnienie było pozbawione znaczenia i celu, kiedy nie miało odniesienia do zbiorowości.

Wynikało z tego ponadto, że skoro lud stał się nowym Bogiem, to nie było już miejsca dla samego Boga. W *Umowie społecznej* Rousseau pisał, że z powodu chrześcijańskiego rozróżnienia na rzeczy boskie i cesarskie „ludzie nigdy nie wiedzieli, czy powinni okazywać posłuszeństwo świeckiemu władcy, czy kapłanowi”. Rousseau proponował w zamian społeczeństwo, w którym

religia i polityka będą połączone doskonale. Lojalność wobec państwa i lojalność wobec sfery boskiej trzeba uważać za tożsame.

Filozof i teolog Johann Gottfried von Herder, któremu nieco niesłusznie przypisuje się położenie intelektualnych podwalin pod nazizm, wziął polityczne argumenty Rousseau i zrobił z nich argumenty kulturowe. Otóż według Herdera W każdym narodzie istnieje szczególna wola powszechna, a to dlatego, że każdy *Volk* jest odmienny pod względem historycznym i duchowym. To romantyczne akcentowanie znaczenia cech narodowych doprowadziło do tego, że rozmaici intelektualiści i artyści głosili odmienność lub wyższość poszczególnych ras, narodów i kultur. Jednakże to ubóstwieniu społeczeństwa dokonanemu przez Rousseau, które miało być przeprowadzone pod kierunkiem najpotężniejszego aparatu państwowego zaproponowanego kiedykolwiek w historii koncepcji politycznych, dwudziestowieczne formy totalitaryzmu zawdzięczały najwięcej. Społeczność Rousseau nie jest określona poprzez czynniki etniczne czy geograficzne albo obyczaje. Czynnikiem spajającym jest wola powszechna wyrażająca się w dogmatach zespołu zasad zwanych przez Rousseau „religią obywatelską" i narzucana przez wszechmocne państwo będące bytem boskim. Ci, którzy występują przeciwko zbiorowemu duchowi wspólnoty, żyją poza obrębem państwa i nie mogą rościć pretensji do zapewnianej przez nie ochrony. Państwo nie tylko nie musi bronić jednostek lub podgrup występujących przeciwko społeczności, lecz nawet musi się ich pozbyć".[54]

Francuscy rewolucjoniści wprowadzili te zalecenia w życie. Na przykład Rousseau wysuwał sugestię, aby ustanowić w Polsce święta narodowe i wprowadzić symbole, które pozwoliłyby tworzyć nową świecką wiarę. Z tego powodu jakobini – którzy prawie wkuwali na pamięć pisma Rousseau – natychmiast zaczęli tworzyć wielką nową religię totalitarną. Robespierre wywodził, że tylko „instynkt religijny" może uchronić rewolucję przed żrącym kwasem sceptycyzmu. Jednakże rewolucjoniści wiedzieli również, że trzeba wyplenić wszelkie pozostałości „oszukańczego" chrześcijaństwa, zanim taką wiarę będzie można doczepić do aparatu państwowego. Rozpoczęli więc zakrojoną na wielką skalę kampanię, której celem było zdetronizowanie chrześcijaństwa. Zamiast tradycyjnych świąt wprowadzono uroczystości pogańskie i narodowe. Katedrę Notre Dame przemianowano na „świątynię rozumu". W całym państwie ustanowiono setki świąt o pogańskim podłożu, aby czcić takie abstrakcyjne pojęcia, jak Rozum, Naród i Braterstwo.

We Włoszech Mussoliniego naśladowano tę strategię. Włoscy faszyści urządzali wielkie obchody i odprawiali złożone pogańskie rytuały, aby przekonać masy – i cały świat – że „faszyzm to religia" (co Mussolini często deklarował). „Ścierają się dziś dwie religie [...] o panowanie nad światem – czarna i czerwona – pisał Mussolini w 1919 roku. – Deklarujemy, że jesteśmy heretykami". W 1920 roku wyjaśniał: „Pracowaliśmy z zapałem, aby [...] dać Włochom »religijne pojęcie narodu«, […] aby położyć podwaliny pod wielkość Włoch. Religijne pojęcie włoskości [...] powinno się stać bodźcem i zasadniczym kierunkiem w naszym życiu".[55]

Rzecz jasna, Włochy musiały sobie poradzić ze szczególnym wyzwaniem, ponieważ w stolicy tego państwa znajdowała się stolica światowego Kościoła katolickiego. Starcie religii świeckiej z religią tradycyjną kalała więc parafialna polityka siły oraz wyjątkowość włoskiej kultury (jak zobaczymy, Niemcy nie mieli takich przeszkód). Kościół katolicki zdawał sobie sprawę, do czego zmierza Mussolini.

W encyklice *Non abbiamo bisogno* z 1931 roku Watykan zarzucał faszystom „państwochwalstwo" (*statolatria*) i potępiał ich dążenia do „całkowitego zmonopolizowania młodzieży, od wieku największej delikatności po dorosłość mężczyzny i kobiety, aby w sposób wyłączny mogła ją wykorzystywać partia i reżym opierający się na ideologii, która jawnie przechodzi w autentyczny, rzeczywiście pogański kult państwa".[56]

Przekonanie, że duchowni i przywódcy reprezentują ducha lub wolę powszechną narodu, jest założeniem współczesnym w tej mierze, w której detronizuje tradycyjną religię. Jednakże bodziec skłaniający do przypisywania władzy religijnej pewnym klasom ludzi bądź poszczególnym władcom ma bardzo długą historię, a być może jest nawet na stałe wpisany w ludzką naturę. Słynna (przypuszczalnie fikcyjna) deklaracja Ludwika XIV *L'état c'est moi* streszcza to przekonanie o jedności władcy i państwa. Dokonaniem rewolucjonistów było utrzymanie tej doktryny przy

jednoczesnym przeniesieniu źródła legitymizacji z Boga na obywateli, naród bądź po prostu na ideę postępu. Napoleon, rewolucyjny dowódca, przejął władzę nad Francją wskutek takiego właśnie dekretu. Był świeckim dyktatorem dążącym do rozprzestrzeniania procesu rewolucyjnego wyzwolenia narodów Europy. Jego zwycięstwa nad Austro-Węgrami sprawiły, że narody poddane panowaniu Habsburgów witały go jak „wielkiego wyzwoliciela". Napoleon obalił władzę Kościoła katolickiego, koronując się na cesarza i nakazując swym żołnierzom przekształcić katedry w stajnie. Oddziały Napoleona przenosiły bakcyla ubóstwionego nacjonalizmu zaczerpniętego z pism Rousseau.

Tak oto sypie się zarówno mit, którym chlubi się lewica, jak i zasadniczy zarzut prawicy, że rewolucja francuska była źródłem racjonalizmu. Nic takiego. Rewolucja bowiem była romantyczną rebelią duchową, próbą zastąpienia Boga chrześcijańskiego jakobińskim. Inwokacje do Rozumu były słabo zawoalowanym odwołaniem do nowego uosobionego Boga rewolucji. Robespierre pogardzał ateizmem i ateistami, widząc w nich przejawy moralnego zepsucia monarchii, i wierzył w „Wieczną Istotę, która w najgłębszy sposób wpływa na losy narodów, która w moim przeświadczeniu osobiście w szczególny sposób kontroluje przebieg francuskiej rewolucji".[57] Aby rewolucja mogła się okazać skuteczna, Robespierre musiał zmusić lud do uznania tego Boga, który przemawiał przez niego i przez wolę powszechną.

Jedynie w ten sposób Robespierre mógł zrealizować marzenie, które później będą dzielić naziści, komuniści i progresywiści, mianowicie dążenie do stworzenia „nowego człowieka". „Jestem przekonany – ogłaszał w typowym stwierdzeniu – o konieczności wywołania całkowitego odrodzenia oraz, jeśli mogę to tak ująć, stworzenia nowych ludzi" (w tym celu doprowadził do przyjęcia przepisu, na mocy którego dzieci miały być odbierane rodzicom i poddawane indoktrynacji w szkołach z internatem). Tocqueville pisał, że kapłani czynu z okresu rewolucji „fanatycznie wierzyli w swe powołanie, nakazujące im całkowicie przekształcić system społeczny i doprowadzić do odrodzenia całej ludzkiej rasy". Później spostrzegł, że rewolucja francuska stała się „religijnym odrodzeniem" i ideologią, która wyrastała z „pewnego rodzaju religii", która „jak islam najechała cały świat apostołami, bojownikami i męczennikami".[58]

Faszyzm jest dłużnikiem rewolucji francuskiej jeszcze pod innymi względami. Podobnie jak Sorel i jego spadkobiercy, Robespierre uważał, że przemoc to zasadniczy element, przez który lud pozostaje oddany ideałom rewolucji: „jeżeli źródłem rządu ludowego w czasie pokoju jest cnota, to źródłami rządu ludowego w czasie rewolucji są jednocześnie cnota i terror: cnota, bez której terror przynosi fatalne skutki, i terror, bez którego cnota jest bezsilna. Terror to tylko sprawiedliwość, działająca szybko, dotkliwie i nieugięcie; z tego powodu jest emanacją cnoty; jest nie tyle szczególną zasadą, ile konsekwencją ogólnej zasady demokracji zastosowanej do najbardziej palących potrzeb naszego państwa".[59]

„Po raz pierwszy w historii – pisze historyczka Marisa Linton – terror stał się oficjalną polityką władz i stwierdzono, że wykorzystuje się przemoc, aby osiągnąć wyższy cel polityczny". Wydaje się, że tej ironii nie dostrzegli bolszewicy, samozwańczy potomkowie rewolucji francuskiej, którzy nie własny system, lecz faszyzm uznali za „jawnie terrorystyczną dyktaturę".[60]

Narzędzie terroru było wielopostaciowe, ale do jego największych zalet należało to, że na ogół wytwarzało permanentny stan kryzysu. Zazwyczaj uważa się kryzys za zasadniczy mechanizm faszyzmu, ponieważ w sytuacjach kryzysowych rezygnuje się z debat i demokratycznych rozważań. Z tego względu wszystkie ruchy faszystowskie przeznaczają bardzo wiele energii na przedłużanie groźnej sytuacji kryzysowej. Na całym Zachodzie uważano to za największą korzyść płynącą z I wojny światowej.

Wojna: do czego się przydaje?

Podobno Mussolini i Lenin tak samo zareagowali na wiadomość o wojnie. „Międzynarodówka Socjalistyczna nie żyje". I mieli rację. W całej Europie (a później również w Stanach Zjednoczonych) socjaliści i inne lewicujące partie opowiedzieli się za wojną, nie zważając na doktryny międzynarodowej solidarności i dogmat, że to wojna w obronie kapitalizmu i

imperializmu. Po dwumiesięcznym okresie spontanicznego kierowania się tą polityką partyjną Mussolini zaczął zmierzać w stronę obozu zwanego interwencjonistycznym. W październiku 1914 roku napisał opublikowany w „Avanti!" artykuł, w którym przedstawiał, dlaczego popiera wojnę, wykorzystując elementy marksizmu, pragmatyzmu i awanturnictwa. Partia, „która chce żyć w historii i tworzyć historię w takiej mierze, w jakiej jej się na to pozwoli, pod karą samobójstwa nie może się podporządkować programowi zależnemu od bezdyskusyjnego dogmatu lub wiecznego prawa, oddzielonych od żelaznej konieczności [zmiany]". Przytaczał napomnienie Marksa, że „każdy, kto opracowuje program, który miałby obowiązywać w przyszłości, jest reakcjonistą". Gdy żyje się zgodnie z literą partii – twierdził Mussolini – niszczy się jej ducha.[61]

David Ramsay Steele uważa, że poparcie wojny przez Mussoliniego „było tak skandaliczne, jak skandaliczne byłoby pięćdziesiąt lat później ogłoszenie przez [Che] Guevarę, że jedzie na wojnę do Wietnamu, aby bronić Wietnamu Południowego przed agresją Wietnamu Północnego".[62] To dobre porównanie, ale zaciemnia fakt, że socjaliści całej Europy i Stanów Zjednoczonych w dużej mierze popierali wojnę przez to, iż wojny chciały masy. Najbardziej szokującym przykładem było głosowanie socjalistów zasiadających w niemieckim parlamencie za przyznaniem kredytów w celu finansowania wojny. Nawet w Stanach Zjednoczonych ogromna większość socjalistów i progresywistów popierała amerykańską interwencję, kierując się żądzą krwi, która wprawiłaby w zakłopotanie ich obecnych spadkobierców, gdyby ci spadkobiercy zadali sobie trochę trudu, aby poznać historię własnego ruchu.

To sprawa o wielkim znaczeniu. Jest tak dlatego, że wprawdzie niemal z całkowitą pewnością I wojna światowa zrodziła faszyzm, ale jednocześnie zrodziła antyfaszystowską propagandę. Od chwili, w której Mussolini opowiedział się za wojną, włoscy socjaliści obrzucali go błotem za tę herezję. Najważniejsze pytanie w szeptanej kampanii prowadzonej przeciwko Mussoliniemu brzmiało „*Chi paga?*" („Kto mu płaci?"). Zarzucano mu, że przyjmuje pieniądze od producentów broni, sugerowano także, że płacą mu Francuzi. Nie ma dowodów słuszności żadnej z tych tez. Od początku faszyzm nazywano ruchem prawicowym nie z tego powodu, że z konieczności **był** ruchem prawicowym, lecz przez to, iż w przekonaniu komunistycznej lewicy takie określenie było najlepszym sposobem ukarania apostazji (nawet jeśli faszyzm był ruchem prawicowym w jakimś od dawna zapomnianym znaczeniu doktrynalnym, to i tak był prawicowym socjalizmem). Zawsze tak było. Trzeba przecież uznać, że jeśli poparcie wojny powodowało, iż ktoś obiektywnie się stawał prawicowcem, to redakcja pisma „Mother Jones" również należała do zajadłej prawicy. Taka dynamika powinna być znajoma dziś, ponieważ w wielu kręgach o tym, czy ktoś jest „prawicowcem", decyduje to, czy popiera wojnę w Iraku.

Mussolini w pewnym momencie przyznał, że faszyzm uważa się za ruch „prawicy", ale nigdy nie omieszkał wyjaśnić, że źródłem inspiracji i duchowym domem była dla niego socjalistyczna lewica. „Nienawidzicie mnie dziś, bo ciągle mnie kochacie – zwracał się do włoskich socjalistów. – Niezależnie od tego, co się stanie, nie stracicie mnie. Dwanaście lat mojego życia spędzone w tej partii to chyba dostateczna gwarancja mojej socjalistycznej wiary. Socjalizm mam we krwi".

Mussolini zrezygnował z redagowania „Avanti!", ale nigdy nie potrafił odrzucić umiłowania sprawy socjalistycznej. „Uważacie, że możecie mnie odrzucić, ale zobaczycie, że wrócę. Jestem socjalistą i nim zostanę. Moje przekonania nigdy się nie zmienią! Są wryte w moje kości".[63]

Mimo to Mussolini musiał wystąpić z organizacji partyjnej. Dołączył do popierających wojnę radykałów z ugrupowania zwanego Fascio Autonomo d'Azione Rivoluzionaria. Szybko został przywódcą tego ruchu. I znów należy zauważyć, że Mussolini nie przeszedł na pozycje prawicy. Jego argumenty za przystąpieniem do wojny w całości zostały wypracowane w kontekście lewicy i w niemałym stopniu przypominały liberalne i lewicowe argumenty amerykańskich interwencjonistów, takich jak Thomas Woodrow Wilson, John Dewey i Walter Lippmann. Wojnę – utrzymywali Mussolini i stojący przy nim apostaci – toczono z reakcyjnymi Niemcami i Austro-Węgrami, a była to wojna, która miała doprowadzić do wyzwolenia innych narodów od jarzma imperializmu i do urzeczywistnienia socjalistycznej rewolucji we Włoszech, rzeczywiście „proletariackim kraju".

Mussolini założył nową gazetę, „Il Popolo d'Italia”. Sama nazwa – „Lud Italii” – wiele ujawnia, gdyż świadczy o lekkiej zmianie koncepcji Mussoliniego i ukazuje pierwsze istotne rozróżnienie między socjalizmem a faszyzmem. Podstawę teorii socjalistycznych stanowiło marksistowskie przekonanie, że „robotników” jako klasę najbardziej łączy wspólnota interesów. W haśle „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!” zawarta była domyślna idea, że klasa ma większe znaczenie od rasy, narodowości, religii, języka, kultury i wszelkich innych „opiatów" dla mas. Dla Mussoliniego stało się jasne, że ewidentnie nie jest tak, a ponadto mało sensu ma udawanie. Skoro Sorel uczył, że marksizm to nie fakty naukowe, lecz zbiór użytecznych mitów, to może należy wykorzystać przydatniejsze mity, jeżeli takie istnieją? „Ujrzałem, że internacjonalizm się rozpada” przyznał później Mussolini. „Całkowitą głupotą” była wiara, że świadomość klasowa mogłaby kiedyś pokonać zew narodowości i kultury.[64] „Poczucie przynależności do narodu istnieje i nie można twierdzić, że czegoś takiego nie ma". To, co wtedy nazywano socjalizmem, było w gruncie rzeczy tylko pewnym **rodzajem** socjalizmu, mianowicie socjalizmem międzynarodowym. Mussolini zaś dążył do stworzenia nowego socjalizmu, socjalizmu w obrębie jednego państwa, **narodowego socjalizmu**, który miał tę dodatkową zaletę, że był osiągalny. Stara Partia Socjalistyczna przeszkadzała w tych dążeniach, dlatego „koniecznie” należało – pisał Mussolini w „Il Popolo d'Italia” – „zabić partię, aby ocalić socjalizm”.

W innym wydaniu nawoływał: „Proletariusze, chodźcie na ulice i place z nami i zawołajcie »Precz ze skorumpowaną kupiecką polityką włoskiej burżuazji«. Niech żyje wojna toczona w celu wyzwolenia narodów!”.[65]

W 1015 roku Mussoliniego powołano do wojska. Walczył dzielnie i został ranny w nogę, trafiony odłamkiem. Wojna przyspieszyła zmiany w jego koncepcjach. Walczący żołnierze nie byli „robotnikami”, lecz Włochami. Nie poświęcali się dla walki klasowej, lecz dla walki włoskiej. Zaczął opracowywać koncepcję – znaną pod nazwą *trincerocrazia* – że weterani zasłużyli na to, aby rządzić krajem, gdyż więcej poświęcili i mieli odpowiednią dyscyplinę, by poprawić los Włoch (echa tego przekonania można dostrzec w używanym obecnie pejoratywnym określeniu *chicken hawk* oznaczającym zwolennika wojny, który jednak nigdy nie służył w wojsku). „Socjalizm okopów” wydawał się o wiele bardziej prawdopodobny od socjalizmu hali fabrycznej, ponieważ Mussolini go widział. Dwudziestego trzeciego marca 1919 roku Mussolini z kilkoma innymi działaczami utworzyli w Mediolanie Fasci di Combattimento, zamierzając stworzyć ludowy front lewicowców popierających wojnę, werbując różnorodne osoby, od członków socjalistycznych ugrupowań weteranów po intelektualistów z kręgów futurystów, anarchistów, narodowców i syndykalistów. Oto najistotniejsze punkty programu tej organizacji:

- obniżenie wieku upoważniającego do głosowania do osiemnastego roku życia, wieku pozwalającego się ubiegać o fotel deputowanego do 25 roku życia oraz przyznanie wszystkim tych samych praw, w tym kobietom,
- „zniesienie Senatu i stworzenie krajowej rady technicznej, która zajmie się sprawami pracy umysłowej i fizycznej, przemysłem, handlem i kulturą”,
- zniesienie powszechnej służby wojskowej,
- likwidacja tytułów szlachetnie urodzonych,
- „polityka zagraniczna mająca na celu rozprzestrzenianie woli i potęgi Włoch przeciwstawiających się wszystkim obcym imperializmom”,
- szybkie przyjęcie ustaw państwowych nakazujących przestrzeganie **rzeczywiście** ośmiogodzinnego dnia pracy obowiązującego wszystkich zatrudnionych,
- wprowadzenie płacy minimalnej,
- utworzenie różnych agencji państwowych kierowanych przez przedstawicieli osób zatrudnionych,
- reforma systemu rent i emerytur oraz wprowadzenie limitów wiekowych w przypadku niebezpiecznych zawodów,
- zmuszenie właścicieli ziemskich do uprawy posiadanych gruntów albo ich wywłaszczenie i przekazanie terenów uprawnych weteranom i spółdzielniom rolniczym,

- narzucenie państwu obowiązku utworzenia „rygorystycznie świeckich” szkół, których celem miało być podnoszenie „poziomu moralnego i kulturalnego proletariatu”,
- „wysoki progresywny podatek od kapitału, który sprowadzi się do jednorazowego **częściowego wywłaszczenia** wszystkich bogaczy”,
- „przejęcie wszystkich dóbr należących do kongregacji religijnych i zniesienie wpływów biskupich”,
- „rewizja” wszystkich kontraktów wojskowych i „sekwestracja 85 procent wszystkich przychodów uzyskiwanych wskutek wojny”,
- upaństwowienie wszystkich przedsiębiorstw produkujących broń i materiały wybuchowe.[66]

No, tak. Oto ci antyelitarystyczni świeccy prawicowcy! Znoszący giełdy papierów wartościowych, kładący kres pracy dzieci, promujący zdrowie publiczne, konfiskujący majątki, znoszący służbę wojskową.

W listopadzie posługujący się nową nazwą i jawnie lewicowi faszyści wystawili kandydatów ubiegających się o głosy w wyborach powszechnych. Przegrali z socjalistami. Większość historyków uważa, że z tego powodu Mussolini postanowił się przesunąć w „prawo”. Robert O. Paxton pisze, że Mussolini zdał sobie sprawę, iż „we włoskiej polityce nie ma miejsca dla partii, która byłaby jednocześnie narodowa i lewicowa”.[67]

W moim przekonaniu takie założenie prowadzi do zniekształcenia obrazu. Mussolini bowiem nie spowodował przesunięcia faszyzmu od lewicy do prawicy, lecz przeszedł od socjalizmu do populizmu. Nigdy wcześniej populizm, zjawisko trudne do jednoznacznego zaklasyfikowania, nie był znany z orientacji konserwatywnej bądź prawicowej. Wyłącznie z tego powodu, że bardzo wielu chciało uważać faszyzm za zjawisko prawicowe, populizm z czasów Mussoliniego określono jako ruch prawicowy. Przecież przekonanie, że władzę polityczną mają i powinni mieć ludzie, to klasyczne założenie liberalne. Populizm to radykalniejsza wersja tego stanowiska. To nadal ideologia „władzy dla ludzi”, tyle że sceptycznie podchodzi do parlamentarnej maszynerii konwencjonalnego liberalizmu (na przykład do sprawy podziału władz). W Stanach Zjednoczonych populiści – w wieku XIX i na początku XX zawsze zajmujący pozycje lewicowe – domagali się takich reform, jak wprowadzenie bezpośrednich wyborów senatorów oraz upaństwowienie przemysłu i branży usług bankowych. Demokracja bezpośrednia i nacjonalizacja należały do zasadniczych elementów programu faszystów. Mussolini także przestał nazywać pismo „Il Popolo d'Italia” „dziennikiem socjalistycznym” i zamiast tego określenia wprowadził zwrot „dziennik producentów”.

Kładzenie nacisku na „producentach” zawsze wcześniej było wyznacznikiem ekonomii i polityki populistycznej. Najważniejszą cechą wyróżniającą „producentyzm” (*producerism*), jak wielu określało to nastawienie, było rozróżnienie na wytwarzających dobra własnymi rękoma i tych, którzy tylko czerpali korzyści dzięki ich pracy Na przykład William Jennings Bryan lubił odróżniać dobry i przyzwoity „lud” od „próżniaczych posiadaczy jałowego kapitału”. Populiści dążyli do zwiększenia zakresu działalności rządu, aby zniszczyć „gospodarczych rojalistów” i pomóc maluczkim. Do tego w największym skrócie sprowadzał się program Mussoliniego (i w wielkiej mierze cechuje to nastawienie dzisiejszych symboli lewicy, takich jak wenezuelski Hugo Chávez). Do haseł faszystowskich należały „Ziemia dla tych, którzy ją uprawiają!” oraz „Każdemu chłopu wszystkie owoce jego świętej pracy!”. Mussolini nadal wykorzystywał odgrzewaną teorię marksistowską, gdy uznał to za przydatne – robiło tak wielu populistów – by wyjaśnić swą nową sympatię dla drobnych posiadaczy ziemskich. Tłumaczył więc, że Włochy nadal są „krajem proletariackim”, przez co muszą się rozwinąć gospodarczo, zanim będzie można osiągnąć socjalizm, nawet jeśli z powodów pragmatycznych trzeba w tym celu sięgnąć po przydatne elementy kapitalistyczne, na przykład wolny handel. Lenin przyjął identyczną korektę w 1921 roku, kiedy ogłosił program NEP („nową politykę ekonomiczną”). Zachęcano wówczas chłopów, aby produkowali więcej żywności na własne potrzeby i dla osiągania zysku.

Żadna z tych uwag nie ma prowadzić do wniosku, że Mussolini był bardzo spójnym ideologiem lub twórcą teorii politycznej. Jako pragmatyk skłonny był odrzucać dogmaty, teorie i sojusze zawsze, gdy przynosiło mu to korzyści. W ciągu kilku lat bezpośrednio następujących po utworzeniu Fasci di Combattimento Mussolini kierował się przede wszystkim oportunizmem, dobierając to, co uznał za dogodne. Przecież był to czas „eksperymentowania". Franklin Roosevelt głosił później podobną ewangelię, twierdząc, że nie ma sztywnego programu i zamierza jedynie nakłonić Amerykanów do pracy i wdrożyć program „śmiałego eksperymentowania". „Nie jest tak, że nieufnie podchodzimy do przyszłości – deklarował Roosevelt. – Ludzie [...] nie zawiedli. Gdy tego potrzebowali, [...] prosili o dyscyplinę i pokierowanie pod przywództwem. Uczynili ze mnie obecny instrument własnych pragnień. W takim duchu to przyjmuję". Również Fasci di Combattimento – pisał Mussolini w maju 1920 roku – „nie czują się przywiązane do jakiejś szczególnej formy doktrynalnej". W wielkim stopniu podobnie do tego, co później robił Roosevelt, Mussolini prosił Włochów, aby mu zawierzyli i zajęli się bieżącymi sprawami. Krótko przed objęciem urzędu premiera udzielił słynnej odpowiedzi tym, którzy chcieli od niego konkretów: „Demokraci z »Il Mondo« chcą znać nasz program? Chcemy połamać kości demokratom z »Il Mondo«. Im prędzej, tym lepiej."[68]

Od roku 1919 do 1922, w którym Mussolini poprowadził marsz na Rzym i został premierem, jego najważniejszymi celami były władza i walka. Trzeba jasno stwierdzić, że wielu faszystów było bandytami i mętami stosującymi przemoc. Szczególnie wielu takich było w OVRA, tajnej policji państwa faszystowskiego utworzonej na wzór tajnej policji Lenina i z tego powodu nazywanej Czeką. Liczba ofiar wszczętej przez faszystów „wojny domowej" wyniosła około dwóch tysięcy, w tym 35 procent stanowili zdeklarowani lewicowcy, a 15 procent – faszyści. W zależności od przyjętego punktu widzenia może się to wydawać dużo lub mało, ale warto pamiętać, że w tym samym okresie więcej Włochów straciło życie wskutek tradycyjnych wojen włoskich mafii. Warto także wspomnieć, że wielu faszystów imponowało i wzbudzało poważanie. Nie tylko zyskiwali współpracę policji, ale także zaskarbiali sobie sympatię sędziów i przeciętnych obywateli. W ogólnokrajowym starciu między dwoma ogólnymi fakcjami Włosi – robotnicy, chłopi, drobni przedsiębiorcy i przedstawiciele wolnych zawodów, a także dobrze sytuowani i najzamożniejsi – przedkładali faszystów nad socjalistów i komunistów z międzynarodówek.

Mussolini postępował bardzo podobnie do Jasera Arafata (choć nie ulega wątpliwości, że Arafat miał bardziej mordercze zapędy). W swojej rozgrywce politycznej twierdził, że szuka pokojowych porozumień i sojuszów, próbując hamować gwałtowniejszych członków ruchu. Mówił, że nie mógł nic zrobić, gdy grupy faszystowskich czarnych koszul łamały kości przeciwnikom. I znów jak Lenin – a także Arafat – Mussolini kierował się filozofią, że „im gorzej, tym lepiej". Gdy socjaliści dopuszczali się przemocy, zachwycało go to, bo pozwalało mu postępować jeszcze gorzej w odwecie. Mussolini wdawał się wcześniej w niezliczone bójki na pięści i noże i uważał przemoc fizyczną za zbawienną i naturalną konsekwencję walki intelektualnej (pod tym względem bardzo przypominał Theodore'a Roosevelta). Nie ma potrzeby bronić Mussoliniego, gdy mu się zarzuca, że stosował w polityce zorganizowaną przemoc, co próbowali robić niektórzy z życzliwiej do niego nastawionych biografów. Łatwiej podać kwestie wymieniane przez obrońców i krytyków. Istotnie, socjaliści i komuniści, z którymi walczył, wielokrotnie nie byli nic lepsi od faszystów, ale były sytuacje, kiedy faszyści okazywali się znacznie gorsi. Ostatecznie jednak w państwie rozdartym przez chaos gospodarczy i społeczny i przy rozgoryczeniu politycznym spowodowanym przez traktat wersalski zwyciężyły komunikat i taktyka Mussoliniego. Należy do tego dodać, że odniesiony przez niego sukces w mniejszym stopniu wynikał z oddziaływania ideologii i stosowania przemocy niż z populistycznego odwoływania się do emocji. Mussolini obiecywał, że przywróci dwie rzeczy, których Włochom bardzo brakowało, mianowicie dumę i porządek.

Przełomowe wydarzenia z okresu dochodzenia Mussoliniego do władzy są kontrowersyjne z powodów, którymi nie warto się dłużej zajmować. Wystarczy tu wspomnieć, że marsz na Rzym nie był spontanicznym, rewolucyjnym wydarzeniem, lecz zaplanowanym elementem teatru politycznego, którego celem było wykorzystywanie mitu zgodnego z koncepcjami Sorela. Starcia między faszystami a innymi partiami lewicowymi stały się najzacieklejsze latem 1922 roku, kiedy

komuniści i socjaliści nawoływali do strajku powszechnego, aby zaprotestować przeciwko temu, że rząd nie chce występować przeciwko faszystom. Mussolini zapowiedział, że jeśli rząd nie przerwie strajku, zrobią to jego faszyści. Nie czekał na odpowiedź, nawet się jej nie spodziewał. Gdy „czerwoni" rozpoczęli swój strajk 31 lipca, *squadristi* Mussoliniego – złożeni przede wszystkim z byłych żołnierzy, więc ludzi przeszkolonych – stłumili go w dzień. Prowadzili tramwaje, utrzymali ruch na drogach i przede wszystkim zapewnili, że „pociągi jeździły punktualnie", co było ich najsłynniejszym osiągnięciem.

Obrana przez Mussoliniego taktyka łamania strajków wywarła wielki wpływ na nastawienie włoskiego społeczeństwa. W okresie, w którym intelektualiści całego świata coraz cyniczniej podchodzili do demokracji parlamentarnej i liberalnej polityki, wyglądało na to, że wojskowa sprawność Mussoliniego wykracza ponad politykę partyjną. Podobnie jak wielu ludzi obecnie twierdzi, że powinniśmy wykroczyć ponad podziały partyjne, aby wszystko funkcjonowało, tak wtedy uważano, że Mussolini wychodzi poza „zużyte kategorie lewicy i prawicy". Obiecywał też, podobnie jak niektórzy obecni liberałowie, coś, co nazywał „trzecią drogą", co nie było programem ani lewicowym, ani prawicowym. Po prostu chciał, aby wszystko działało. Mając poparcie znacznej części społeczeństwa, zamierzał złamać odmienny strajk, mianowicie parlamentarny impas paraliżujący wcześniej władze, a przez to uniemożliwiający „postęp". Groził, że ze swoimi czarnymi koszulami – nazywanymi tak, gdyż we włoskich jednostkach specjalnych noszono czarne golfy, które szybko stały się modne wśród faszystów – pomaszeruje na Rzym i przejmie władzę. Za kulisami król Wiktor Emanuel już go poprosił o utworzenie nowego rządu. Duce jednak i tak pomaszerował, powtarzając marsz na Rzym Juliusza Cezara i dając nowemu faszystowskiemu rządowi przydatny „mit rewolucyjny", który będzie umiejętnie wykorzystywał w późniejszych latach. Mussolini został premierem i narodziły się faszystowskie Włochy.

Jak rządził Mussolini? Jak w starym dowcipie o gorylu - jak chciał. Został dyktatorem, mniej brutalnym od większości i brutalniejszym od niektórych. Cieszył się jednak także wielką popularnością. W 1924 roku przeprowadził dość uczciwe wybory, które faszyści wygrali ogromną przewagą głosów. Do jego osiągnięć z lat dwudziestych należało wprowadzenie praw wyborczych kobiet (co redakcja dziennika „New York Times" uznała za skutek presji wywieranej przez amerykańskie feministki), zawarcie konkordatu z Watykanem oraz wywołanie ożywienia we włoskiej gospodarce. W dziedzinie polityki krajowej rozwiązanie problemu stwarzanego przez utrzymującą się od dawna schizmę między Włochami a papieżem było osiągnięciem monumentalnym. Mussolini odniósł sukces tam, gdzie wielu poniosło porażkę.

W kolejnych rozdziałach będziemy się zajmować wieloma kwestiami ideologicznymi i programami politycznymi mającymi związek z włoskim faszyzmem, o pewnych sprawach warto jednak wspomnieć już tutaj. Po pierwsze, Mussolini z powodzeniem ukazywał siebie jako przywódcę przyszłości. W pewnym stopniu doszedł do władzy dzięki ruchowi artystycznemu zwanemu futuryzmem. Przez całe lata dwudzieste – nawet gdy wdrażał pewne rozwiązania krytykowane przez zachodnich intelektualistów, na przykład ustawy antyprasowe – uważano, że jego **metoda** rządzenia jest zasadniczo **nowoczesna**. W czasach, w których wielu młodych intelektualistów odrzucało „dogmat" klasycznego liberalizmu, Mussolini wydawał się przywódcą stojącym na czele ruchu rozprawiającego się ze starym sposobem myślenia. Był to przecież świt „stulecia faszyzmu". Nie przypadkiem faszyzm był pierwszym oddolnie stworzonym, nowoczesnym ruchem młodzieżowym odnoszącym sukcesy na scenie politycznej i powszechnie za taki właśnie uważanym. „Wczorajszych Włoch nie udałoby się dostrzec we Włoszech dzisiejszych – deklarował Mussolini w 1926 roku. – Cały naród ma dwadzieścia lat, dzięki czemu cechuje się odwagą, duchem i nieustraszonością".[69] Nie było przywódcy, którego w większym stopniu kojarzono z kultem techniki, szczególnie lotnictwa, niż Mussoliniego w latach dwudziestych. W latach trzydziestych światowi przywódcy próbowali się dopasować do stworzonej przez Mussoliniego formy „nowoczesnego" męża stanu.

Reputacja Mussoliniego jako przywódcy nowego rodzaju po części wynikała z tego, że wykorzystywał „nowoczesne" idee, między innymi amerykański pragmatyzm. W wielu wywiadach twierdził, że William James należał do trzech czy czterech filozofów, którzy wywarli na niego największy wpływ. Nie ulega wątpliwości, że chciał tym zdaniem zrobić wrażenie na Amerykanach, ale rzeczywiście podziwiał Jamesa (a także czerpiącego z niego inspirację Sorela), uważając, że pragmatyzm uzasadnia i tłumaczy jego zasadnicze założenia filozoficzne, i rządząc pragmatycznie. Istotnie był „prorokiem ery pragmatyzmu w polityce", jak to określono w artykule opublikowanym w periodyku „Political Science Quarterly" w 1926 roku (i później wydanej książce).[70]

Jeżeli od czasu do czasu wprowadzał na przykład gospodarkę wolnorynkową, co w pewnym stopniu robił w pierwszej połowie lat dwudziestych, to nie stawał się jeszcze przez to kapitalistą. Mussolini nigdy nie zrezygnował z absolutnej władzy państwa nad systemem gospodarczym. Na początku lat trzydziestych uznał, że trzeba zacząć spisywać ideologię faszystowską. Wcześniej program faszystowski znacznie częściej ustalano doraźnie. Jednakże gdy już zaczął te założenia spisywać, wyglądało na to, że doktrynalna faszystowska ekonomia to po prostu łatwo rozpoznawalna kolejna lewicowa kampania prowadzona w celu upaństwowienia przemysłu lub uregulowania tej branży do tego stopnia, że w praktyce znikała różnica między państwową a prywatną własnością przedsiębiorstw. Te programy polityczne należały do kategorii zwanej korporacjonizmem. Nie tylko podziwiano je wówczas w Stanach Zjednoczonych, ale w ogromnym stopniu są one bezwiednie naśladowane także obecnie.

Pragmatyzm to jedyna filozofia, która za swój logiczny wniosek przyjmuje codzienne słowo o zasadniczo pozytywnych konotacjach. Gdy mówimy, że przywódca jest pragmatyczny, na ogół mamy na myśli to, że kieruje się realizmem, jest praktyczny, a przede wszystkim nie jest bojownikiem jakiejś ideologii. Jednakże to konwencjonalne wykorzystywanie tego określenia zaciemnia pewne istotne rozróżnienia. Ujmując sprawę prostacko, można rzec, że pragmatyzm to forma relatywizmu, w której się zakłada, że każda użyteczna wiara jest właśnie z powodu jej użyteczności z konieczności prawdziwa. I odwrotnie – każda prawda niedogodna bądź nieprzydatna z konieczności jest nieprawdziwa. Użyteczną prawdą Mussoliniego była koncepcja społeczeństwa „totalitarnego" – od niego to określenie pochodzi – scharakteryzowanego w jego słynnej maksymie: „Wszystko w państwie, niczego poza państwem i niczego przeciwko państwu".

Praktyczną konsekwencją tej koncepcji było założenie, że wszystko „wolno", jeżeli służy to celom państwa. Militaryzacja społeczeństwa bezsprzecznie była istotnym elementem ataku faszystów na liberalne państwo, co podkreśla wielu antyfaszystów. To jednak było środkiem do osiągnięcia celu, nie celem samym w sobie. Radykalne pragnienie Mussoliniego, aby państwo stało się obiektem religijnej czci i uwielbienia, wywodziło się z rewolucji francuskiej, a Mussolini, spadkobierca jakobinów, starał się ponownie rozpalić ten ogień. Nie udałoby się znaleźć programu mniej konserwatywnego lub mniej prawicowego.

Pod tym i wieloma innymi względami Mussolini pozostał socjalistą do swego ostatniego tchnienia, jak to zapowiadał. Jego panowanie dobiegło końca w 1943 roku, kiedy w zasadzie został tylko figurantem stojącym na czele nazistowskiego reżymu ustanowionego w Salo, gdzie w żałosny sposób planował powrót. Wydawał proklamacje, obwiniał burżuazję, zapowiadał upaństwowienie wszystkich przedsiębiorstw zatrudniających powyżej stu osób oraz wprowadzał w życie konstytucję, którą napisał Nicola Bombacci, komunista i wieloletni przyjaciel Lenina. Wybrał socjalistycznego dziennikarza, który miał spisać ostatni rozdział historii Duce. Według niego Mussolini zadeklarował: „Powierzam republikę nie monarchistom, lecz republikanom, a dzieło reform społecznych nie klasom średnim, lecz socjalistom". W kwietniu 1945 roku Mussolini uciekł, aby ratować życie – jak na ironię, znów do Szwajcarii – z kolumną niemieckich żołnierzy (był przebrany za jednego z nich). Towarzyszyli mu współpracownicy, kochanki i akolita Bombacci. Wzięła ich do niewoli grupa komunistycznych partyzantów, którzy następnego dnia otrzymali rozkaz zabicia Mussoliniego. Podobno kochanka Mussoliniego zginęła przed umiłowanym. Bombacci tylko krzyknął: „Niech żyje Mussolini! Niech żyje socjalizm!".[71]

ROZDZIAŁ 2

Adolf Hitler: człowiek lewicy

Czy hitlerowskie Niemcy były państwem faszystowskim? Wielu czołowych badaczy faszyzmu i nazizmu – Eugen Weber, A. James Gregor, Renzo De Felice, George Mosse i inni – w mniejszym lub większym stopniu udzieliło odpowiedzi przeczącej. Z różnych powodów, wynikających z odmiennych interpretacji faszyzmu, uczeni ci doszli do wniosku, że włoski faszyzm i nazizm, choć powierzchownie podobne i historycznie powiązane, były w istocie zjawiskami bardzo odmiennymi. W ostatecznym rachunku jednak próby całkowitego oddzielenia nazizmu od włoskiego faszyzmu spowodowałyby zapewne nadmierny chaos. Innymi słowy, nazizm był faszyzmem odmiennym od włoskiego. Jednak fakt, że podobna różnica zdań zachodzi wśród wybitnych uczonych, powinien sygnalizować, w jak ogromnym stopniu niewłaściwie oba zjawiska są przedstawiane w popularnych wyobrażeniach przyjmowanych przez wielką część społeczeństwa, zwraca także uwagę na to, dlaczego odruchowo odrzucenie pojęcia liberalnego faszyzmu może wynikać z błędnych założeń.

Słowa „faszystowski" i „faszyzm" prawie nie występują w *Mein Kampf*. Na przeszło siedmiuset stronach każde z tych słów znajdziemy zaledwie w dwóch akapitach. Czytelnik może się jednak dobrze zorientować, co Hitler myślał o włoskim eksperymencie i o wniosku płynącym z niego dla Niemiec. „Pojawienie się nowej i wielkiej idei było tajemnicą sukcesu rewolucji francuskiej. Rewolucja rosyjska też zawdzięcza swój tryumf idei. I tylko idea umożliwiła faszyzmowi tryumfalne podporządkowanie całego narodu procesowi całkowitej odbudowy".[72]

Ten ustęp wiele ujawnia. Hitler przyznaje, że faszyzm był wynalazkiem Mussoliniego. Mógł być na nowo odkrywany, reinterpretowany, modyfikowany czy rozszerzany, ale nigdy nie było wątpliwości co do jego autorstwa, a w mniejszym stopniu także w sprawie jego nowatorstwa. Niewiele osób ponadto powątpiewało mniej więcej przez pierwsze piętnaście lat jego istnienia, że był to zasadniczo **włoski** ruch lub metoda.

Narodowy socjalizm również pojawił się wcześniej niż Hitler. Istniał w rożnych formach w wielu krajach.[73] Dzisiaj ideologiczne różnice między faszyzmem a narodowym socjalizmem nie są tak ważne. Liczy się to, że Hitler nie zapożyczył **idei** nazizmu od włoskiego faszyzmu i że początkowo Mussolini nie przyznawał się do ojcostwa nazizmu. Odmówił nawet wysłania Hitlerowi swojego zdjęcia z autografem, kiedy naziści zwrócili się z taką prośbą do włoskiej ambasady. Trzeba jednak zauważyć, że żaden z nazistowskich ideologów nigdy serio nie twierdził, że nazizm wywodzi się z włoskiego faszyzmu. Co więcej, w początkowym okresie nazizmu faszystowscy i nazistowscy teoretycy często się wdawali w jawne spory. I to Mussolini zagroził zbrojną konfrontacja z Hitlerem, żeby w roku 1934 ratować faszystowską Austrię przed nazistowską inwazją.

Nie jest tajemnicą, że Mussolini nie zachwycał się Hitlerem. Wspominał, że kiedy spotkali się po raz pierwszy, „Hitler recytował mi z pamięci ustępy z *Mein Kampf*, tej cegły, której nigdy nie byłem w stanie przeczytać". Führer, w opinii Mussoliniego, „był gramofonem z zaledwie siedmioma melodiami" – „kiedy wszystkie odegrał, zaczynał od nowa". Ale różnice między nimi nie były bynajmniej czysto osobistej natury. Ideologowie włoskiego faszyzmu wyraźnie się odcinali od nazistowskich tendencji rasistowskich i antysemickich.

Nawet „ekstremistyczni ultrafaszyści", tacy jak Roberto Farinacci czy Giovanni Preziosi (osobiście był zajadłym antysemitą i później podlizywał się nazistom), który pisał, że nazizm – z naciskiem na prowincjonalny i ekskluzywistyczny rasizm – „obraża sumienie ludzkości". W maju

1934 roku Mussolini prawdopodobnie napisał – a niewątpliwie aprobował – artykuł opublikowany w piśmie „Gerarchia", w którym wyśmiano nazizm, uznając go za „stuprocentowy rasizm". Nazizm jest „przeciwny wszystkiemu i wszystkim: wczoraj występował przeciwko cywilizacji chrześcijańskiej, dzisiaj przeciwko cywilizacji łacińskiej, jutro, kto wie, może przeciwko wszelkiej cywilizacji". Mussolini miał wątpliwości, czy Niemcy są w ogóle jedna rasą. Twierdził, że to skundlona mieszanka sześciu różnych narodów. (Uważał również, że do siedmiu procent Bawarczyków jest ociężałych umysłowo). We wrześniu tego samego roku Mussolini nadal wspominał o swojej „bezbrzeżnej pogardzie" dla rasistowskiej polityki Niemiec. „Trzydzieści wieków historii pozwala nam z ogromnym współczuciem spoglądać na pewne doktryny głoszone po drugiej stronie Alp przez potomków ludzi, którzy nie umieli pisać i nie potrafili zostawić po sobie żadnych dokumentów w czasach, kiedy Rzym miał Cezara, Wergiliusza i Augusta".[74] Ideologowie nazizmu z kolei wyśmiewali Włochów za uprawianie „koszernego faszyzmu".

Tym, co Hitler wziął z włoskiego faszyzmu – i, jak ukazano powyżej, z rewolucji francuskiej i rosyjskiej – było znaczenie dysponowania ideą, która będzie w stanie poruszyć masy. Szczegółowa treść tej idei zdecydowanie była kwestią wtórną. Przydatność idei ostatecznie nie zależy od ich prawdziwości, ale od stopnia, w jakim umożliwiają pożądaną akcję – w przypadku Hitlera liczyło się zniszczenie wrogów, osiągnięcie chwały i tryumf rasy. Warto mieć to na względzie, ponieważ ideowa spójność koncepcji Hitlera pozostawiała wiele do życzenia. Oportunizm, pragmatyzm i megalomania Hitlera często przeważały nad chęcią sformułowania określonego stanowiska ideologicznego.

Hermann Rauschning, wczesny nazista, który później zerwał z Hitlerem, wyraził te zastrzeżenia, gdy w słynnym stwierdzeniu scharakteryzował ruch Hitlera jako „rewolucję nihilizmu". Według Rauschninga Hitler był czystej wody oportunistą, pozbawionym lojalności wobec ludzi oraz poglądów – chyba że nazwie się poglądem nienawiść w stosunku do Żydów – gotowym łamać obietnice, mordować ludzi i mówić lub robić wszystko, żeby zdobyć i utrzymać władzę. „Ten ruch jest całkowicie pozbawiony ideałów i nawet nie przypomina programu. Jest całkowicie nastawiony na działanie. [...] Przywódcy wybierają działanie na podstawie chłodnej kalkulacji i przebiegłości. Dla narodowych socjalistów nie było i nie ma celu, którego nie podjęliby lub odrzucili natychmiast, za jedyne kryterium przyjmując wzmocnienie ich ruchu". Rauschning przesadzał, ale rzeczywiście jest prawdą, że ideologii nazistów nie da się streścić w postaci platformy lub programu. Łatwiej ją zrozumieć jako malstrom przesądów, pasji, nienawiści, emocji, resentymentów, tendencyjności, nadziei i postaw, których połączenie najczęściej przypominało religijną krucjatę ukrytą pod maską ideologii politycznej.[75]

Pomimo nieustannych zapewnień wyrażanych w *Mein Kampf* Hitler nie miał wielkich fundamentalnych idei ani ideologicznego systemu. Jego geniusz polegał na dostrzeżeniu, że ludzie chcą się podpisywać pod ideami i symbolami. Z tego powodu podstawą jego sukcesu były typowo dwudziestowieczne techniki, technologie i wzorce, takie jak marketing, reklama, radio, samoloty, telewizja (transmisje z berlińskich igrzysk olimpijskich), film (wystarczy pomyśleć o Leni Riefenstahl), a przede wszystkim przemówienia na masowych, znakomicie reżyserowanych wiecach. Co jakiś czas Hitler daje w *Mein Kampf* wyraz swojej wierze, że jego największym darem dla partii nie są jego idee, ale jego zdolności oratorskie. Kiedy z kolei krytykował innych, najostrzejszym argumentem było stwierdzenie, że taki a taki kiepsko przemawia. Nie wynikało to wyłącznie z próżności. W latach trzydziestych w Niemczech, podobnie jak w Ameryce, umiejętność przekonania mas za pomocą mów często decydowała o tym, kto będzie u władzy. „Nigdy nie podbilibyśmy Niemiec, nie mając głośników" – zauważył kiedyś Hitler.[76] Zwróćmy uwagę na słowo „podbić".

Jednak stwierdzenie, że Hitler wykazywał pragmatyczne podejście do ideologii, nie oznacza, że ideologii nie używał. Hitler miał ideologii wiele. Był w istocie handlarzem ideologiami. Niewielu „wielkich ludzi" potrafiło zręczniej dostosowywać, łączyć i mieszać różne stanowiska ideologiczne w zależności od odbiorców. Przecież to on prowadził kampanię wyborczą jako zajadły wróg bolszewizmu, a potem podpisał traktat ze Stalinem, i to on przekonał Neville'a Chamberlaina i

zachodnich pacyfistów, że jest bojownikiem o pokój, a jednocześnie szybko (i otwarcie) się zbroił, szykując się do wojny.[77] Niemniej jednak możemy być pewni, że Hitler cenił cztery znaczące „idee", mianowicie władzę skoncentrowaną w jego osobie, nienawiść do Żydów i strach przed nimi, wiarę w rasową wyższość niemieckiego *Volk* i wreszcie wojnę, która miała ukazać i zapewnić pozostałe trzy.

Rozpowszechniona koncepcja, że Hitler był człowiekiem prawicy, jest ugruntowana w obfitym kompleksie założeń i błędnych koncepcji na temat tego, czym są lewica i prawica, a są to terminy, które wymykają się nam tym bardziej, im bardziej staramy się je sprecyzować. Jest to problem, do którego będziemy powracać w tej książce, ale musimy się nim zająć już tutaj przynajmniej w odniesieniu do Hitlera i nazizmu.

Konwencjonalna historia dojścia Hitlera do władzy wygląda mniej więcej następująco. Hitler i naziści wykorzystali powszechny gniew z powodu klęski Niemiec w I wojnie światowej, uznanej za niezasłużoną („cios w plecy" zadany przez komunistów, Żydów i nieudolnych polityków) i z powodu niesprawiedliwego „pokoju" narzuconego w Wersalu. Działając w zmowie z kapitalistami i przemysłowcami chcącymi pokonać czerwone zagrożenie (z rodziną Bushów włącznie w pewnych zajadlejszych wersjach), naziści zorganizowali reakcyjny przewrót, wykorzystując nastroje patriotyczne i mobilizując „konserwatywne" – często utożsamiane z rasistowskimi i religijnymi – elementy w niemieckim społeczeństwie. Po dojściu do władzy naziści ustanowili „kapitalizm państwowy" jako nagrodę dla przemysłowców, którzy zyskali również przez to, że dążono do eksterminacji Żydów.

Niewątpliwie jest w tym dużo prawdy, ale nie jest to cała prawda. A wiemy przecież, że najskuteczniejsze kłamstwa zawierają ziarna prawdy. Przez dziesięciolecia lewica starannie dobierała fakty, żeby budować karykaturę III Rzeszy. Karykatury cechują się rzeczywistym podobieństwem, ale wyolbrzymiają pewne cechy, żeby uzyskać pożądany rezultat. W przypadku III Rzeszy takim pożądanym efektem było ukazanie nazizmu jako biegunowego przeciwieństwa komunizmu. I tak na przykład znacznie wyolbrzymiano role przemysłowców i konserwatystów, podczas gdy bardzo znaczne i istotne lewicowe oraz socjalistyczne aspekty nazizmu pomniejszano, ukazując je jako mało znaczące obsesje dziwaków i apologetów Hitlera.

Weźmy choćby klasyczne dzieło Williama Shirera – *Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy*, które w tak wielkim stopniu się przyczyniło do ustanowienia „oficjalnej" historii nazizmu. Shirer pisze o wyzwaniu, przed jakim stanął Hitler, kiedy radykałowie w jego własnej partii pod wodzą Ernesta Röhma, założyciela SA, chcieli przeprowadzić „drugą rewolucję", która miałaby pozbyć się konserwatywnych elementów w armii, arystokratów, kapitalistów i innych. „Naziści zniszczyli lewicę – pisze Shirer – ale prawica pozostała: wielki biznes i finanse, arystokracja, właściciele majątków ziemskich wywodzący się z junkrów i pruscy generałowie trzymający armię w ryzach".[78]

W pewnym sensie jest to najzupełniej prawdziwa wersja wydarzeń. Naziści rzeczywiście „zniszczyli lewicę", „prawica" zaś pozostała. Ale zadajmy sobie pytanie, jak normalnie mówimy o takich sprawach. Na przykład w Stanach Zjednoczonych prawicę stanowili kiedyś tzw. *country-club republicans*. W latach pięćdziesiątych, począwszy od założenia pisma „National Review", nowa grupa ludzi nazywających się konserwatystami i libertarianami zaczęła stopniowo przejmować Partię Republikańską. Z pewnego punktu widzenia można by powiedzieć, że ten konserwatywny ruch „zniszczył" starą prawicę. Słuszniej jednak byłoby powiedzieć, że nowa prawica zastąpiła starą, wchłaniając wielu jej członków. Właśnie dlatego mówimy o powstaniu Nowej Prawicy w latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych. Podobnie było, kiedy nowa generacja lewicowcow doszła do głosu w latach sześćdziesiątych, wykorzystując takie organizacje, jak Studenci na rzecz Społeczeństwa Demokratycznego (SDS). Nazwaliśmy tych aktywistów Nową Lewicą, ponieważ odsunęli na bok Starą Lewicę, którą stanowili ludzie starsi, Adolf Hitler, często ich rodzice. Z czasem Nowa Lewica i Nowa Prawica przejęły odpowiednie partie – demokratów w roku 1972 i republikanów w 1980 – i dzisiaj są po prostu lewicą i prawicą. Podobnie naziści nie zniszczyli niemieckiej lewicy, lecz ją przejęli.

W ostatnich latach historycy dokonali rewizji „rozstrzygniętej" kiedyś kwestii, kto popierał nazistów. Ideologiczna stronniczość nakazywała kiedyś obsadzić „klasy panujące" i „burżuazję" w rolach czarnych charakterów, a klasy niższe – „proletariat" i bezrobotnych – uważano za stronników komunistów lub liberalnych socjaldemokratów. Byłoby przecież bardzo niedogodnie, skoro lewica jest głosem tych, którzy stają w obronie biednych, bezsilnych i wyzyskiwanych, gdyby te grupy społeczne popierały faszystów i prawicowców – szczególnie gdy marksistowska teoria wymaga, żeby ciemiężeni głosili poglądy lewicowe.

Sporo z tej wizji już odłożono do lamusa. Wprawdzie trwa ożywiona debata w sprawie tego, jaka część robotników i klas niższych popierała nazistów, ale w zasadzie panuje zgoda co do tego, że bardzo znaczne odsetki obu grup stanowiły bazę ruchu. Nazizm i faszyzm były ruchami **masowymi**, cieszącymi się poparciem wszystkich warstw społeczeństwa. Jednocześnie twierdzenie, że przemysłowcy i inne grube ryby zza kulis pociągały Hitlera za sznurki, też wygnano do krainy starzejących się marksistów, tęskniących za utraconym paradygmatem. To prawda, że Hitler w końcu uzyskał poparcie niemieckiego przemysłu, ale przyszło ono późno i zasadniczo było skutkiem, a nie przyczyną jego sukcesów. Jednak ugruntowane w marksistowskiej dobrej nowinie twierdzenie, że faszyzm i nazizm stanowiły zbrojne ramię reakcji kapitalistów, upadło wraz z murem berlińskim. (Co więcej, samo wyobrażenie, że korporacje są z natury prawicowe, to ideologiczny relikt dawnych czasów, o czym piszę w dalszym rozdziale, poświęconym gospodarce).

W Niemczech Hitler i naziści z reguły mierzili arystokrację i elitę biznesu. Kiedy jednak okazało się, że Hitler tak szybko nie zejdzie ze sceny, te same elity uznały, że mądrze będzie na wszelki wypadek coś zainwestować w nabierających znaczenia nazistów. Można to uznać za rzecz godną potępienia, ale te decyzje nie były bynajmniej skutkiem jakiegoś ideologicznego przymierza między kapitalizmem a nazizmem. Podobnie jak ich dzisiejsze odpowiedniki, korporacje ówczesnych Niemiec kierowały się raczej oportunizmem niż ideologią.

Naziści doszli do władzy posługując się antykapitalistyczną frazeologią, w którą bez wątpienia wierzyli. Nawet jeżeli Hitler był nihilistycznym zerem, jak często się go dzisiaj przedstawia, nie można zaprzeczyć szczerości szeregowych nazistów, którzy postrzegali siebie jako rewolucyjnych bojowników przypuszczających atak na siły kapitalizmu. Poza tym w nazizmie podkreślano wiele tematów charakterystycznych dla późniejszej Nowej Lewicy, działającej w innym czasie i miejscu, takich jak prymat rasy, odrzucenie racjonalizmu, znaczenie tego, co organiczne i holistyczne – w tym ochrony środowiska, zdrowej żywności i ćwiczeń fizycznych – a przede wszystkim konieczność „wyjścia" ponad pojęcie klasy społecznej i wynikające z niego podziały.

Z tych powodów Hitlera zdecydowanie należy umieścić na lewicy, ponieważ był przede wszystkim rewolucjonistą. Mówiąc ogólnie, lewica jest partią zmiany, prawica zaś partią *status quo*. Z tego punktu widzenia Hitler w żadnym sensie, w żaden sposób i pod żadnym względem nie był człowiekiem prawicy. Niewiele jest rzeczy, których był pewien bardziej niż tego, że jest rewolucjonistą. Jego zwolennicy też tak uważali. Mimo to przez jakieś pół wieku nazywanie Hitlera rewolucjonistą było pewną herezją, zwłaszcza dla historyków marksistowskich i niemieckich, gdyż dla lewicowców każda rewolucja jest dobra, bo to nieunikniony ruch naprzód Heglowskiego koła historii. Nawet jeżeli należy (czasami) ubolewać z powodu ich krwawej taktyki, rewolucjoniści posuwają historię naprzód. (W przekonaniu zachowawczych konserwatystów natomiast rewolucje są prawie zawsze złe – chyba że próbuje się **zachować** spuściznę po poprzedniej rewolucji, jak się to dzieje w Stanach Zjednoczonych).

Zrozumiałe wiec, dlaczego marksistowscy lewicowcy nie mogli dopuścić myśli, ze Hitler był rewolucjonistą. Bo jeżeli tak, to albo Hitler działał na rzecz dobra, albo rewolucje mogą być złe. Jak jednak można utrzymywać, że Hitler nie był rewolucjonistą w lewicowym stylu? Pogardzał burżuazją, tradycjonalistami, arystokratami, monarchistami i wszystkimi wierzącymi w ustalony porządek. Na początku politycznej kariery „nabrał wstrętu do tradycyjnych wartości niemieckiego mieszczaństwa" – pisze John Lukacs w pracy *The Hitler of History* (Hitler historii). Sztuka *Der*

König (Król) nazistowskiego pisarza Hannsa Johsta przedstawia bohaterskiego rewolucjonistę, który ginie tragicznie, zdradzony przez reakcjonistów i burżuazję.

Protagonista woli odebrać sobie życie niż zdradzić rewolucyjne zasady. Kiedy Hitler poznał Johsta (którego później mianował poetą laureatem III Rzeszy), w roku 1923, powiedział mu, że oglądał jego sztukę siedemnaście razy i podejrzewa, że jego samego może spotkać podobny koniec.[79]

Jak zauważył David Schoenbaum, Hitler na temat burżuazji miał prawie identyczne poglądy jak Lenin. „Nie oszukujmy się – deklarował Hitler. – Nasza burżuazja nie nadaje się już do żadnego szlachetnego ludzkiego przedsięwzięcia". Kilka lat po tym, kiedy już na dobre umocnił swoją władzę, wyjaśniał: „Nie broniliśmy wtedy Niemiec przed bolszewizmem, bo nie mieliśmy zamiaru konserwować burżuazyjnego świata albo posuwać się do tego, żeby go ożywiać. Gdyby komunizm rzeczywiście chciał tylko pewnego oczyszczenia społeczeństwa przez wyeliminowanie pojedynczych zgniłych elementów z szeregów naszych tak zwanych »najlepszych dziesięciu tysięcy« lub naszych równie bezwartościowych filistrów, można by było usiąść wygodnie i poobserwować, co się dzieje".[80]

Definicja prawicy zgodna z takim nastawieniem mówi, że prawicowcy nie tylko są za zachowaniem *status quo*, ale są zdecydowanie reakcyjni i dążą do przywrócenia starego porządku. Ta perspektywa ewidentnie pozostawia wiele do życzenia, ponieważ większość libertarian jest uważana za prawicowców, ale trudno tych aktywistów nazwać reakcjonistami. Jak zobaczymy, to Hitler w pewnym sensie był reakcjonistą, gdyż usiłował obalić tysiącletni porządek judeochrześcijański i przywrócić starożytne pogaństwo. Obecnie dążą do tego niektórzy lewicowcy, ale nie ma prawicowców głoszących takie przekonania.

„Reakcjonista" to jedno z tych słów przeszmuglowanych z marksistowskich tez, które obecnie bezkrytycznie akceptujemy. W marksistowskim i progresywistycznym żargonie z początku XX wieku reakcjonistami nazywano ludzi, którzy chcieli powrotu monarchii albo, powiedzmy, liberalizmu głoszonego przez szkołę manczesterską w XIX wieku. Różne rzeczy chcieli ci ludzie przywracać – a to władzę Boga, a to Korony, patriotyzm albo panowanie rynku – lecz nie Wotana i Walhallę. To dlatego Hitler uważał, że toczy walkę na śmierć i życie z siłami reakcji. „Nie zamierzamy wskrzeszać starej Rzeszy, która upadła na skutek własnych błędów, chcemy zbudować nowe państwo", pisał w *Mein Kampf*. I winnym miejscu: „Albo niemiecka młodzież stworzy pewnego dnia nowe państwo zbudowane na idei rasowej, albo będzie ostatnim świadkiem kompletnego rozpadu i śmierci burżuazyjnego świata".[81]

Taki radykalizm – albo wygramy, albo wszystko zniszczymy! – wyjaśnia, dlaczego Hitler, wzorcowy wróg bolszewizmu, często mówił z niechętnym podziwem o Stalinie i komunistach, „reakcjonistów" zaś, którzy chcieli „cofnąć zegar" do XIX wieku, wyłącznie wyśmiewał. Za największe osiągnięcie niemieckich socjaldemokratów uważał obalenie monarchii w 1918 roku.

Weźmy pod uwagę symboliczny los Horsta Wessela, najsłynniejszego męczennika partii, którego życie stało się tematem pieśni o nazistowskiej walce, granej razem z *Deutschland über Alles* na wszystkich oficjalnych uroczystościach. W *Horst Wessel Lied* wymienia się nazistowskich „towarzyszy" zastrzelonych przez „Czerwony Front i reakcjonistów".

Jeżeli odłożymy na chwilę kwestię, czy hitleryzm był zjawiskiem prawicowym, nie będzie wątpliwości co do tego, że Hitlera w żaden sposób nie można uznać za konserwatystę, co zawsze podkreślają badacze zważający na słowa. Niewątpliwie sugerowanie, że Hitler był konserwatystą w jakimkolwiek sensie zbliżonym do tego, co oznacza amerykański konserwatyzm, to majaki. Amerykańscy konserwatyści starają się bowiem zachować zarówno tradycyjne wartości, jak i klasyczne liberalne kredo uświęcone w konstytucji. Amerykański konserwatyzm łączy te dwa odrębne, ale nakładające się na siebie nurty – libertariański i tradycjonalistyczny – Hitler natomiast oboma gardził.

Narodziny narodowego socjalisty

Uważanie Hitlera i nazistów za prawicowców wynika nie tylko z argumentów historiograficznych bądź wrogości Hitlera wobec tradycjonalistów. Lewica wykorzystywała również jego rasizm, zarzucany mu status kapitalisty i nienawiść do bolszewizmu, żeby etykietą konserwatyzmu opatrzyć nie tylko Hitlera i jego nazizm, ale również pierwotny faszyzm. Najlepiej będzie ocenić zalety tych twierdzeń – albo ich brak – omawiając pokrótce historię dojścia Hitlera do władzy. Jego życie osobiste zostało tak szczegółowo opisane przez historyków i przez Hollywood, że nie ma sensu powtarzać tu wszystkiego. Jednakże pewne istotne fakty i tematy zasługują na więcej uwagi, niż się im zwykle udziela.

Hitler urodził się w Austrii, tuż przy granicy z Bawarią. Podobnie jak wielu wczesnych nazistów, w młodości nieco zazdrościł żyjącym tuż za granicą „prawdziwym" Niemcom. (Wielu pierwszych nazistów pochodziło z biednych środowisk prowincji i z determinacją „wykazywało" własną „niemieckość" przez to, że byli bardziej „niemieccy" od wszystkich innych). Ta postawa łatwo przechodziła w antysemityzm. Kogo łatwiej nienawidzić niż Żydów, zwłaszcza tych skutecznie zasymilowanych, zniemczonych? Kim byli, żeby udawać Niemców? Mimo to nadal nie wiadomo dokładnie, kiedy i dlaczego Hitler został antysemitą. On sam twierdził, że w dzieciństwie nie żywił nienawiści do Żydów, ale znajomi z czasów młodości mówili, że był antysemitą, odkąd pamiętali. Jedynym powodem, dla którego Hitler nie chciał przyznać, że nienawidził Żydów przez całe życie, mogło być to, że nie chciał podważać swego twierdzenia, jakoby przekonanie o złośliwości Żydów wydedukował na podstawie starannych analiz i dojrzałej obserwacji.

Tu ukazuje się jedna z najbardziej znaczących różnic między Mussolinim a Hitlerem. Przez większość kariery Mussolini uważał antysemityzm za głupotę odciągającą od ważnych kwestii, a później za konieczne ustępstwo na rzecz silniejszego partnera. Żydzi mogli być dobrymi socjalistami albo faszystami, jeżeli myśleli i zachowywali się jak dobrzy socjaliści albo faszyści. Dla Hitlera natomiast, ewidentnie myślącego w kategoriach, które dziś nazwalibyśmy polityką tożsamości, Żydzi zawsze pozostawali Żydami, niezależnie od tego, jak biegle mówili po niemiecku. Hitler uważał – podobnie jak wszyscy głoszący zasady polityki tożsamości – że przynależność nie może się zmienić.

W *Mein Kampf* Hitler deklaruje, że jest nacjonalistą, ale nie patriotą. To rozróżnienie pociąga za sobą ważkie konsekwencje. Patrioci szanują idee, instytucje i tradycje określonego kraju i jego władz. Nacjonaliści mówią o „krwi", „glebie", „rasie", „*Volk*" i tak dalej. Hitler, rewolucyjny nacjonalista, uważał, że cały burżuazyjny gmach nowożytnej niemieckiej kultury przegnił na skutek zepsucia politycznego i duchowego. W rezultacie wierzył, że Niemcy muszą odkryć na nowo swoją przedchrześcijańską autentyczność. Było to logiczne przedłużenie polityki tożsamości – myśl, że osobiste poszukiwanie sensu życia w rasowych koncepcjach autentyczności można zastosować do całej wspólnoty.

Takie nastawienie młodego Hitlera spowodowało, że niezwykle go pociągał pangermanizm. Przybierał on wiele form, ale w Austrii ożywiała go przede wszystkim zdecydowanie niekonserwatywna niechęć do liberalnego, wieloetnicznego pluralizmu austro-węgierskiej monarchii, w której akceptowano Żydów, Czechów i resztę nieteutońskiej hołoty, uważając ich za równych obywateli. Niektórzy pangermańscy „nacjonaliści" chcieli całkowicie wystąpić z Austro-Węgier, inni po prostu uważali, że Niemcy powinni być pierwszymi wśród równych.

Rzecz jasna, nacjonalistyczny kompleks niższości młodego Hitlera musiał konkurować z całym zastępem innych resentymentów kłębiących się w jego psychice. Prawdę mówiąc, nie było w historii ludzkości drugiej psychiki, którą tak gruntownie przekopano w poszukiwaniu najróżniejszych wyjaśniających patologii, a i niewiele przedmiotów badań ujawniło równie bogate ich złoża. „Poszukiwania Hitlera – pisze Ron Rosenbaum w książce *Explaining Hitler* (Wyjaśnianie Hitlera) – nie zaowocowały jednym, spójnym, zgodnie przyjmowanym obrazem Hitlera, ale

wieloma różnymi Hitlerami, współzawodniczącymi Hitlerami, sprzecznymi wcieleniami odmiennych wizji”. Psychologowie i historycy twierdzili, że na osobowość Hitlera wpłynęło to, że był molestowany przez ojca, że w rodzinie miał historię kazirodztwa, że był sadomasochistą, koprofilem, homoseksualistą lub że był częściowo Żydem (bądź się tego obawiał). Teorie te różnią się co do stopnia prawdopodobieństwa, ale nie ulega wątpliwości, że megalomania Hitlera była wytworem całego kompleksu psychicznych dolegliwości i impulsów. Wzięte w całości, wskazują na człowieka, który potrzebował ogromnej kompensacji i cechował się bezgranicznym egocentryzmem. „Muszę osiągnąć nieśmiertelność – wyznał kiedyś – nawet gdyby miał przy tym zginąć cały naród niemiecki”.[82]

Hitler cierpiał na ogromny kompleks niższości pod względem intelektualnym. Osiągając wszędzie gorsze wyniki, zawsze żywił urazę z powodu złych stopni w szkole. Co ważniejsze, miał pretensje do ojca za wiele rzeczy, które uważał za krzywdy Alois Hitler, urodzony jako Alois Schicklgruber, był austriackim urzędnikiem, a to znaczyło, że pracował dla monarchii, przeciwko „interesom niemieckim”. Alois chciał, żeby Adolf również został urzędnikiem, nie artystą. Alois mógł też być częściowo Żydem, co sprawiło, że pochodzenie rasowe Hitlera było tajemnicą państwową, kiedy został dyktatorem.

Hitler sprzeciwił się ojcu i przeniósł do Wiednia w nadziei, że zostanie studentem Akademii Sztuk Pięknych, ale jego podanie odrzucono. Przy drugiej próbie przedstawił rysunki tak słabe, że w ogóle nie dopuszczono go do egzaminów. Częściowo dzięki pewnej kwocie odziedziczonej po ciotce stopniowo doszedł do tego, że żył z prac plastycznych wykonywanych na zamówienie (nigdy nie był malarzem pokojowym, jak twierdzili jego wrogowie). Głównie kopiował starsze obrazy i rysunki, sprzedając je handlarzom do wypełniania ram i ustawiania na wystawach oraz do wykorzystania na pocztówkach. Nieustannie czytając – głównie germańską mitologię i książki pseudohistoryczne – Hitler ignorował wiedeńskie towarzystwo kawiarniane, purytańsko odmawiając picia, palenia i tańców (w jego umyśle kobiety w zasadzie były nosicielkami przerażającego syfilisu). W jednym z rzadkich momentów samokrytycyzmu napisał w *Mein Kampf* następująco: „Sądzę, że ci, którzy mnie znali w tamtych dniach, uważali mnie za ekscentryka”.

W Wiedniu Hitler po raz pierwszy się zetknął z narodowym socjalizmem. Wiedeń na przełomie wieków był centrum wszechświata dla tych, którzy chcieli się zapoznawać z aryjskim bełkotem, mistyczną potęgą hinduskiej swastyki i zawiłościami teorii kosmicznego lodu. Hitler pławił się w tym światku cyganerii, często pisząc po nocach sztuki o pogańskich Bawarczykach bohatersko stawiających czoło inwazji chrześcijańskich duchownych usiłujących narzucić germańskiej cywilizacji obce wierzenia. Całymi dniami snuł się po ubogich dzielnicach, by po powrocie do domu tworzyć ambitne plany przebudowy miasta mające zapewnić poprawę warunków życia klasie pracującej. Piętnował też bogactwo miejskich arystokratów, które nie było wynikiem pracy, i mówił o potrzebie sprawiedliwości społecznej.

Przede wszystkim jednak Hitler zagłębiał się w bujnie się rozwijającą dziedzinę „naukowego” antysemityzmu. „Kiedyś, idąc w centrum – pisał w *Mein Kampf* – natknąłem się nagle na zjawisko w długim kaftanie i z czarnymi pejsami. Najpierw pomyślałem »Czy to Żyd?«. W Linzu zdecydowanie wyglądali inaczej. Obserwowałem tego człowieka ukradkiem i ostrożnie, ale im dłużej patrzyłem na to dziwne oblicze i analizowałem każdy jego rys, tym bardziej w moim mózgu formowało się pytanie »Czy to jest Niemiec?«”. Hitler uczony kontynuuje: „Jak zawsze w podobnych przypadkach, sięgnąłem do książek, żeby pomogły mi rozwiać wątpliwości. Po raz pierwszy w życiu kupiłem za parę groszy jakieś antysemickie broszurki”.

Po starannym rozważeniu tej kwestii pisał w *Mein Kampf*: „Nie miałem już żadnych wątpliwości, że nie byli to Niemcy wyznający inną religię, lecz całkowicie inny naród. Gdy tylko zacząłem badać tę sprawę i obserwować Żydów, ujrzałem Wiedeń w innym świetle. Gdziekolwiek teraz szedłem, widziałem Żydów, a im więcej ich widziałem, tym bardziej i tym wyraziściej odróżniali się od innych mieszkańców miasta jako odrębny naród”.

Czołowym wiedeńskim intelektualistą nachalnie reklamującym „teutonomanię”, czyli neoromantyczne „odkrycie” niemieckiej wyjątkowości bardzo podobnej do niektórych form dzisiejszego afrocentryzmu, był Georg Ritter von Schönerer, który stał się dla Hitlera autorytetem, o którym później Führer stwierdził, że był „głębokim myślicielem”. Pijak i awanturnik, a także prostacki antysemita i antykatolik, Von Schönerer, pewien wytwór bismarckowskiego kulturkampfu, żądał, aby katolicy przechodzili na niemiecki luteranizm, a nawet sugerował, że rodzice powinni odrzucić chrześcijańskie imiona na rzecz czysto „germańskich” i domagał się zakazu mieszanych małżeństw, aby Słowianie i Żydzi nie kazili materiału genetycznego. A jeżeli Niemcy nie mogą zjednoczyć się w jedną niemiecką ojczyznę, czystą pod względem rasowym, to przynajmniej powinni ustanowić politykę rasowych preferencji i akcji afirmatywnej dla Niemców.[83]

Jednakże prawdziwym bohaterem Hitlera w tamtych czasach był sam burmistrz Wiednia, dr Karl Lueger. Przywódca Chrześcijańskiej Partii Społecznej, Lueger był mistrzem politycznej demagogii trochę w stylu Hueya Longa, który głosił – zwykle w formie wybuchowych, gniewnych tyrad, mieszankę „samorządowego socjalizmu”, populizmu i antysemityzmu. Jego niesławne wezwania do antyżydowskich bojkotów i pogróżki pod adresem wiedeńskich Żydów, że skończą jak ich współwyznawcy w Rosji, jeśli nie będą się odpowiednio zachowywali, cytowała prasa całego świata. Cesarz dwukrotnie unieważnił wybór Luegera, uznając, że może tylko przysporzyć kłopotów tym, którzy się opowiadają za utrzymaniem *status quo*.

W roku 1913 Hitler odziedziczył pozostałości majątku ojca i przeniósł się do Monachium, realizując marzenie o życiu w „prawdziwie” niemieckim mieście i unikając służby wojskowej w państwie Habsburgów.

Te czasy należały do najszczęśliwszych w jego życiu. Poświęcał dużo czasu na studiowanie architektury i zagłębianie się w pseudonaukowe teorie dotyczące rasy aryjskiej i antysemityzmu (ujęte zwłaszcza w publikacjach Houstona Stewarta Chamberlaina). Powrócił również do studiów marksizmu, który go fascynował i jednocześnie mierził. Hitler bowiem cenił sobie marksistowskie idee, ale zarazem żywił przekonanie, że Marks był twórcą żydowskiego spisku. Po wybuchu I wojny światowej Hitler natychmiast zwrócił się do króla Bawarii, Ludwika III, z prośbą o pozwolenie na służbę w bawarskiej armii, którą uzyskał po pewnych komplikacjach z władzami austriackimi. Służbę pełnił zaszczytnie, awansował do stopnia kaprala i otrzymał Krzyż Żelazny.

Jak już zauważono tak często, że nie sposób zliczyć, I wojna światowa zrodziła wszystkie horrory XX wieku. Na świat zachodni wypuszczono zgraję upiorów, rozbijając stare dogmaty religii, demokracji, kapitalizmu, monarchii i roli ludzkości w świecie. Wojna podsyciła rozpowszechnioną nienawiść, paranoję i podejrzliwość w stosunku do elit i istniejących instytucji. W przekonaniu bojowników obu stron planowa gospodarka dostarczyła politycznej i intelektualnej wiarygodności zarządzanemu przez państwo wojennemu socjalizmowi. Wszystko to doprowadziło do wyniesienia do władzy rewolucjonistów w całej Europie: Lenina w Rosji, Mussoliniego we Włoszech i Hitlera w Niemczech.

Doświadczenia Hitlera z czasu wojny były bardzo podobne do doświadczeń Mussoliniego, co nie dziwi. Hitler widział ludzi z różnych sfer społecznych walczących w okopach ramię w ramię. Ludzie ci doświadczali zepsucia i fałszu – prawdziwych i postrzeganych – własnego rządu.

Również nienawiść Hitlera do komunistów rozgorzała w czasie wojny jeszcze mocniej, głównie wskutek antywojennej agitacji na froncie krajowym. Niemiecka ludność cywilna głodowała na równi z żołnierzami. Chleb robiono z mąki zmieszanej z trocinami i zjadano zwierzęta domowe. Koty nazywano „dachowymi królikami”. Niemieccy komuniści wykorzystywali te cierpienia, organizując antyrządowe strajki, żądając zawarcia pokoju z Sowietami i ustanowienia w Niemczech socjalizmu. Hitler nie miał nic przeciwko niemieckiemu socjalizmowi, jak miało się później okazać, ale komunistyczną mobilizację antywojenną uważał za zdradę podwójną: była to nie tylko zdrada żołnierzy na froncie, ale i działanie w interesie obcego państwa. Wściekły na tę piątą kolumnę grzmiał: „Po co armia walczyła, jeżeli ludzie w kraju nie chcieli już zwycięstwa? Dla

kogo te ogromne poświęcenia i wyrzeczenia? Oczekuje się od żołnierza, że będzie walczył o zwycięstwo, a kraj strajkuje przeciwko temu zwycięstwu!”.[84]

Kiedy Niemcy skapitulowały, Hitler i niezliczeni inni żołnierze protestowali, że skorumpowany demokratyczny rząd – „listopadowi zbrodniarze” – który już nie reprezentował autentycznych potrzeb i aspiracji niemieckiego narodu, wbił im „nóż w plecy”. Hitler dochodził do zdrowia w szpitalu, lecząc się z przejściowej ślepoty, kiedy ogłoszono zawieszenie broni. Było to dla niego wydarzenie przełomowe, moment religijnej wizji i boskiego powołania. „Podczas tych nocy moja nienawiść narastała, nienawiść do ludzi odpowiedzialnych za tę nikczemną zbrodnię” – pisał. Winę za to ponosiła w jego przekonaniu niejednorodna koalicja kapitalistów, komunistów i tchórzy, a wszyscy stanowili fasadę żydowskiego zagrożenia. Wbrew temu, co twierdzili sami komuniści, nienawiść Hitlera do komunizmu nie wynikała z odrzucenia polityki społecznej czy egalitaryzmu, postępu i solidarności społecznej, ale wiązała się nierozerwalnie z poczuciem zdrady niemieckiego honoru i patologicznym antysemityzmem. I to właśnie zapoczątkowało karierę polityczną Hitlera.

Po wyjściu ze szpitala kapral Hitler znalazł posadę w Monachium. Jego praca polegała na monitorowaniu organizacji głoszących poglądy „niebezpieczne” z punktu widzenia armii, mianowicie koncepcje pacyfistyczne, socjalistyczne, komunistyczne itp. We wrześniu 1919 roku polecono mu uczestniczyć w zebraniu jednej z niezliczonych nowych partii „robotniczych”, co w owym czasie oznaczało zwykle jakąś odmianę socjalizmu bądź komunizmu.

Młody Hitler zjawił się na zebraniu Niemieckiej Partii Robotników, nastawiony, że uzna ją za kolejne niewielkie ugrupowanie z obrzeży lewicy. Przemawiał tam jednak Gottfried Feder, który już wcześniej wywarł wrażenie na Hitlerze. Tego wieczoru Feder mówiło tym, jak i za pomocą jakich metod należy znieść kapitalizm. Feder był populistycznym ideologiem usiłującym zyskać przychylność socjalistycznych rewolucjonistów, którzy w roku 1919 na krótko przekształcili Monachium w komunę w sowieckim stylu. Podobnie jak wszyscy populiści, Feder obsesyjnie podkreślał różnicę między kapitałem „spekulacyjnym” a „produktywnym”. Hitler natychmiast docenił potencjał idei Federa, które przemawiały do „maluczkich” zarówno w dużych miastach, jak iw miasteczkach. Hitler rozumiał, że rosnąca potęga wielkich banków, korporacji i domów towarowych rodziła poczucie bezsilności wśród pracowników fizycznych, drobnych rolników i właścicieli małych firm, podobnie jak działo się w Ameryce. Wprawdzie ekonomiczne propozycje Federa były prawie w całości bzdurą (jak to zwykle bywa z populistycznymi teoriami ekonomicznymi), ale idealnie nadawały się dla partii chcącej wykorzystać niechęć do narodowych elit, a w szczególności Żydów. Rzadko się zdarzało, że Feder nie nazwał Żydów „pasożytami”.

Chociaż Hitler był pod wrażeniem wystąpienia Federa, to – jak wspomina w *Mein Kampf* – nadal uważał Niemiecka Partię Robotników „za jedną z tych grup, które wyrastają jak grzyby po deszczu, żeby po chwili zniknąć bez śladu”. Zabrał głos, aby zbesztać uczestnika, który ośmielił się zaproponować, żeby Bawaria oderwała się od Niemiec i przyłączyła się do Austrii. Ten pomysł musiał wywołać oburzenie pangermanisty. Tyrada Hitlera wywarła takie wrażenie na przedstawicielach władz ugrupowania, że jeden z nich, potulnie wyglądający osobnik nazwiskiem Anton Drexler, zatrzymał Hitlera przy wyjściu i wręczył mu egzemplarz partyjnej broszury.

Następnego dnia o piątej rano Hitler leżał na pryczy w koszarach i obserwował myszy zjadające okruchy, które zwykle dla nich zostawiał. Nie mogąc zasnąć, wyciągnął broszurę i przeczytał ją od deski do deski. Zatytułowana „Moje polityczne przebudzenie” autobiograficzna broszura autorstwa samego Drexlera uświadomiła Hitlerowi, że są ludzie myślący jak on, że jego historia nie jest niezwykła i że istnieje gotowa ideologia, którą może dostosować i wykorzystać.

Nawet jeżeli nacjonalizm, populizm, antysemityzm i niemarksistowski socjalizm Hitlera potrzebował jeszcze czasu, żeby wykiełkować, istotne dla nas jest to, że zjawisko zwane później hitleryzmem lub nazizmem istniało już jako znaczący nurt w Niemczech i innych regionach Europy Środkowej (zwłaszcza w Czechosłowacji). Hitler miał nadać tym rodzącym się nastrojom nazwę i cel, ale surowiec już był. W odróżnieniu od faszyzmu Mussoliniego, który był zasadniczo tworem

jego własnego umysłu, Hitler otrzymał swoją ideologię w postaci prefabrykatu. Co więcej, faszyzm Mussoliniego nie odegrał zauważalnej roli w procesie kształtowania wczesnej nazistowskiej ideologii ani zalążkowej wizji politycznej Hitlera. Hitler przyznawał później, że w Mussolinim podziwiał jego sukces, taktykę, sorelowe wykorzystanie politycznego mitu, **umiejętność sprzedawania** własnego programu. Te poglądy i ruchy krążyły po całej Europie i Niemczech. Masy nie potrzebowały żadnej nowej doktryny, potrzebowały kogoś, kto pobudzi je do **działania**. O „działaniu" mówiono w całym zachodnim świecie. Działanie pozwala osiągnąć rezultaty. To właśnie uświadomił sobie Hitler, czytając tę broszurę na swojej pryczy nad ranem. Nadszedł jego czas. Nie zostanie twórcą narodowego socjalizmu, lecz jego największym sprzedawcą.

Kiedy Hitler wciąż jeszcze się zastanawiał, czy się zapisać do Niemieckiej Partii Robotników, otrzymał legitymację pocztą. Wciągnięto go na listę członków! Jego legitymacja nosiła numer 555. Nie trzeba mówić, że już wkrótce on rządził. Okazało się, że ten nietowarzyski samouk i mizantrop jest idealnym działaczem partyjnym. Miał wszystkie cechy potrzebne kultowemu rewolucjoniście, jakiego partia potrzebowała: krasomówstwo, talent propagandysty, zmysł do intryg i bezbłędny instynkt populistycznej demagogii. Kiedy wstąpił do partii, jej majątek stanowiło pudełko po cygarach z niecałymi dwudziestoma markami. W szczytowym momencie kariery Hitlera partia kontrolowała większość Europy i szykowała się do rządzenia światem.

W 1920 roku partia nazistowska ogłosiła „niezmienny" i „wieczysty" program autorstwa Hitlera i Antona Drexlera, podporządkowany naczelnej zasadzie, że „dobro wspólne musi być ważniejsze od dobra jednostki". Poza znajomymi wezwaniami „Niemcy dla Niemców" i potępieniami traktatu wersalskiego najbardziej uderzającą cechą tej platformy było odwoływanie się do socjalistycznej i populistycznej ekonomii, łącznie z zapewnieniem obywatelom środków do życia, wprowadzeniem zakazu zysków kapitałowych, całkowitą konfiskatą zysków wojennych, nacjonalizacją trustów, udziałem pracowników w zyskach, rozszerzeniem uprawnień emerytalnych, „komunalizacją domów towarowych", egzekucją „lichwiarzy" niezależnie od rasy i zakazem zatrudniania dzieci. (Pełny program można znaleźć w Dodatku.)

Tak więc mamy uważać partię, która jest za powszechną edukacją, gwarantowanym zatrudnieniem, zwiększonymi świadczeniami dla osób starszych, wywłaszczeniem z ziemi bez odszkodowania, nacjonalizacją przemysłu, zakazem udzielania pożyczek na zasadach rynkowych („niewolnictwa odsetkowego") oraz rozszerzeniem opieki zdrowotnej i zakazem zatrudniania dzieci, za partię obiektywnie i bezsprzecznie prawicową…

To, do czego dążyli naziści, było formą antykapitalistycznego, antyliberalnego i antykonserwatywnego komunitarianizmu ujętego w koncepcji *Volksgemeinschaft*, „wspólnoty narodowej". Celem było zniesienie różnic klasowych, ale tylko w obrębie społeczności. „Podjęliśmy starania – wyjaśnił Hitler – aby odejść od tego, co zewnętrzne i powierzchowne, chcieliśmy zapomnieć o pochodzeniu społecznym i klasowym, o zawodzie, majątku, wykształceniu, kapitale i wszystkim, co ludzi dzieli, aby dotrzeć do tego, co ich łączy".[85]

Nazistowska propaganda, prawo i literatura z uporem powtarzały, że żadne „konserwatywne" ani „burżuazyjne" kategorie nie powinny uniemożliwiać żadnemu Niemcowi zrealizowania swego potencjału w nowej Rzeszy. Wbrew intencjom ironiczną wymowę mają nazistowskie hasła ukute z użyciem frazeologii podobnej do tej, którą wykorzystują amerykańscy liberałowie, na przykład do ich stwierdzeń, że „straszną rzeczą jest marnowanie umysłów" czy o ocenie nie na podstawie koloru skóry, lecz „treści charakterologicznych" (*content of their character*). W kontekście amerykańskim brzmi to niemądrze, gdyż dla nas granica między rasami zawsze była bardziej nieprzekraczalna niż granica między klasami. W Niemczech jednak granica między klasami zawsze była główną linią podziału, a nazistowski antysemityzm dostarczał jednego z wielu jednoczących konceptów, który mógł przyciągnąć wszystkich „prawdziwych" Niemców, bogatych i biednych. Rów tektoniczny między narodowymi socjalistami a komunistami w ogóle nie miał związku z ekonomią, choć istniały pewne różnice doktrynalne, lecz dotyczył kwestii

nacjonalizmu. Największy sprzeciw Hitlera budziła teza Marksa, że „proletariusze nie mają ojczyzny".

Sami naziści mogli nie nazywać się lewicowcami, ale to prawie bez znaczenia. Po pierwsze, lewica dzisiejsza – i wczorajsza – stale wyśmiewa ideologiczne etykiety, twierdząc, że słowa takie, jak „liberał" czy „lewica" nic w gruncie rzeczy nie znaczą. Ileż to razy słyszeliśmy z ust jakiegoś znanego lewicowca, że jest w istocie „postępowcem" lub „nie wierzy w etykietki"? Po drugie, przestrzeń społeczna, o którą walczyli naziści, mieściła się **po lewej stronie**. Nie tylko w analizie konwencjonalnej, reprezentowanej przez Shirera, ale także w większości analiz marksistowskich przyznaje się, że pierwszym celem nazistów było „rozbicie lewicy". Dopiero potem chcieli się dobrać do tradycjonalistycznej prawicy. Wynikało to z tego, że nazistom łatwiej było pokonać przeciwników na lewicy, ponieważ zwracali się do tej samej bazy społecznej, używali tego samego języka i myśleli tymi samymi kategoriami. Podobny fenomen można było obserwować w latach sześćdziesiątych, kiedy Nowa Lewica w Stanach Zjednoczonych – i w całej Europie – atakowała liberalne centrum, w wielkiej mierze ignorując tradycjonalistyczną prawicę. Na przykład na amerykańskich uczelniach konserwatywnych profesorów często zostawiano w spokoju, podczas gdy bezlitośnie zaszczuwano wykładowców liberalnych.

Ostatecznym celem nazistów było wyjście poza kategorie lewicy i prawicy w celu znalezienia „trzeciej drogi", zrywającej z obiema etykietami. Ale w rzeczywistym świecie naziści zdobyli władzę w Niemczech, dzieląc, podbijając i wreszcie zastępując lewicę.

I to jest podstawowy fakt w historii dojścia nazistów do władzy, fakt stopniowo wypierany z naszej zbiorowej pamięci – naziści prowadzili kampanię wyborczą jako socjaliści. Tak, byli również nacjonalistami, co w kontekście lat trzydziestych było uważane za stanowisko prawicowe, ale był to czas, kiedy przez „internacjonalizm" Związku Sowieckiego wszelkie postawy nacjonalistyczne i narodowościowe uważano za prawicowe. Parada okropności XX wieku niewątpliwie nas nauczyła, że nacjonalizm nie jest z istoty prawicowy, chyba że jesteśmy skłonni nazwać prawicowcami Stalina, Castro, Arafata, Cháveza, Guevarę, Pol Pota, a także Thomasa Woodrow Wilsona, Franklina Roosevelta i Johna Kennedy'ego. Sam Stalin rządził jak nacjonalista, przywołując Matkę Rosję i nazywając II wojnę światową „wielką wojną ojczyźnianą". W roku 1943 zastąpił nawet *Międzynarodówkę* na wskroś rosyjskim hymnem. Co więcej, historycznie rzecz biorąc, nacjonalizm był zjawiskiem liberalno-lewicowym. Rewolucja francuska była rewolucją nacjonalistyczną, uważano ją jednak również za lewicowo-liberalną z powodu zerwania z Kościołem katolickim i oddania władzy w ręce ludu. Niemiecki romantyzm, reprezentowany między innymi przez Gottfrieda Herdera, uznawano za nacjonalistyczny i jednocześnie liberalny. Ruch narodowosocjalistyczny stanowił element tej rewolucyjnej tradycji.

Ale nawet jeśli nazistowski nacjonalizm był w jakiś nieokreślony, ale zasadniczy sposób zjawiskiem prawicowym, to znaczy to tylko tyle, że nazizm był prawicowym **socjalizmem**. A prawicowi socjaliści pozostają socjalistami. Większość bolszewików zgładzonych przez Stalina oskarżano nie o to, że byli konserwatystami czy monarchistami, lecz o to, że byli prawicowcami, to jest prawicowymi socjalistami. Każde odchylenie od linii partyjnej automatycznie świadczyło o prawicowości. Od tego czasu małpowaliśmy na Zachodzie sowieckie użycie tych terminów, nie kwestionując związanego z tym całego bagażu propagandowego.

Gregor Strasser, nazistowski ideolog – i rywal Hitlera – ujął to zwięźle: „jesteśmy socjalistami. Jesteśmy wrogami, śmiertelnymi wrogami dzisiejszego systemu kapitalistycznego z jego wyzyskiem słabszych pod względem gospodarczym, z niesprawiedliwym systemem płac, niemoralnym sposobem oceniania wartości ludzi na podstawie ich stanu posiadania i pieniędzy, a nie na podstawie ich odpowiedzialności i osiągnięć, więc jesteśmy zdecydowani obalić ten system bez względu na wszystko!".[86]

Hitler w *Mein Kampf* wypowiada się równie otwarcie. Poświęca cały rozdział świadomemu wykorzystywaniu przez nazistów socjalistycznej i komunistycznej symboliki, retoryki i haseł oraz temu, jak ta strategia zwiodła zarówno liberałów, jak i komunistów. Najprostszym przykładem jest

wykorzystanie przez nazistów czerwieni, zdecydowanie kojarzonej z bolszewizmem i socjalizmem. „Wybraliśmy czerwień na nasze plakaty po starannym namyśle, [...] żeby zwrócić ich uwagę i zachęcić ich do przyjścia na nasze mityngi, [...] żebyśmy zyskali szansę przemówienia do ludu”. Nazistowska flaga – czarna swastyka w białym kole na tle morza czerwieni – miała wyraźnie na celu przyciągnięcie komunistów. „W **czerwieni** widzimy społeczną ideę ruchu, w **bieli** – ideę nacjonalistyczną, a w **swastyce** – misję walki o zwycięstwo Aryjczyka”.[87]

Naziści czerpali całymi garściami z komunistycznej partytury. Członków partii nazywano towarzyszami i towarzyszkami. Hitler wspominał, że jego wezwania do „świadomych klasowo proletariuszy”, którzy chcieli przeciwstawić „pięści proletariatu agitacji monarchistyczno-reakcyjnej” przyciągały na nazistowskie wiece niezliczone tłumy komunistów.[88] Czasami komuniści przychodzili, bo im kazano wywołać rozróbę, ale często odmawiali urządzania awantur na rozkaz, ponieważ się przekonali do narodowego socjalizmu. Krótko mówiąc, walka między komunistami a nazistami to był przypadek dwóch psów gryzących się o tę samą kość.

Nazistowska polityka jednego narodu z definicji przemawiała do ludzi ze wszystkich sfer. Nauczyciele akademiccy, studenci i urzędnicy byli bardzo licznie reprezentowani wśród zwolenników nazizmu, ale ważne jest, żeby zrozumieć, z których grup wywodzili się szeregowi naziści. Byli to młodzi, często bandziorowaci autentyczni wyznawcy, którzy brali udział w walkach ulicznych i poświęcali się dla rewolucji. Patrick Leigh Fermor, młody Brytyjczyk podróżujący po Niemczech wkrótce po dojściu Hitlera do władzy, spotkał takich ludzi w robotniczym barze w Nadrenii, ubranych jeszcze w robocze drelichy po nocnej zmianie. Jeden z nowopoznanych współbiesiadników zaoferował mu nocleg u siebie. Kiedy Fermor wszedł po drabinie na strych, gdzie miał spać, znalazł się w „kaplicy ze zbiorami hitlerianów”.

„Ściany pokrywały flagi, fotografie, plakaty, hasła i emblematy. Wyprasowany mundur SA wisiał porządnie na wieszaku. [...] Kiedy spytałem, czy nie odczuwa klaustrofobii, mając ściany zajęte tym wszystkim, roześmiał się i przysiadł na łóżku. »Chłopie! – powiedział. – Szkoda, że nie byłeś tu w zeszłym roku! Pękłbyś ze śmiechu! Wtedy wszędzie tu były czerwone flagi, gwiazdy, sierpy i młoty, portrety Lenina i Stalina, 'Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!'. […] Potem, kiedy Hitler doszedł do władzy, nagle zrozumiałem, że to wszystko bzdury i łgarstwa. Uświadomiłem sobie, że moim człowiekiem jest Adolf. Ot, tak! – Pstryknął palcami. – I jestem tu! [...] – Czy dużo ludzi zrobiło podobnie? – spytałem. – Miliony! Mówię ci, bylem zdziwiony, jak łatwo wszyscy przeszli na drugą stronę!«”.[89]

Nawet kiedy Hitler zdobył władzę i stał się bardziej otwarty na głosy ludzi biznesu – musiał ze względu na wymagania machiny wojennej – propaganda partyjna niezmiennie nastawiona była na robotników. Hitler zawsze podkreślał (bardzo przesadzając) swój status „byłego robotnika”. Regularnie występował w samej koszuli i swobodnie rozmawiał z pracownikami fizycznymi: „W młodości byłem robotnikiem, jak wy, i powoli się wybijałem dzięki pracowitości i nauce i – chyba mogę tak powiedzieć – pokonując głód”. Jako *Volkskanzler*, czyli „kanclerz ludu”, jak sam siebie nazywał, trącał wszystkie populistyczne struny. Jednym z jego pierwszych oficjalnych gestów była odmowa przyjęcia honorowego doktoratu. Nazistowski katechizm pytał: „Jakie zawody wykonywał Adolf Hitler?”. Oczekiwana odpowiedź: „Adolf Hitler był robotnikiem budowlanym, artystą i studentem”. W roku 1939, kiedy wznoszono nową Kancelarię Rzeszy, Hitler przywitał się najpierw z murarzami i obdarował ich swoimi zdjęciami i koszami owoców. Każdemu robotnikowi obiecał „ludowy samochód”. Nie zdążył spełnić tej obietnicy, ale to znane nam dziś volkswageny. Naziści znakomicie propagowali politykę jednego narodu, w której chłopa i biznesmena ceni się jednakowo. Na wiecach nazistowskich organizatorzy nigdy nie dopuszczali do głosu arystokraty, jeżeli nie pojawiał się obok prostego rolnika.[90]

Od innych odmian socjalizmu i komunizmu nazizm różnił się nie tym, że zawierał więcej elementów politycznej prawicy (chociaż niektóre się w nim znalazły), ale tym, że otwarcie głosił światopogląd, który teraz kojarzymy prawie całkowicie z polityczną lewicą: politykę tożsamości. To odróżniało nazizm od doktrynalnego komunizmu. Trudno twierdzić, że pożenienie dwóch

lewicowych wizji może zaowocować prawicowym potomstwem. Gdyby świat tak działał, musielibyśmy nazywać prawicowymi takie narodowosocjalistyczne organizacje, jak Organizacja Wyzwolenia Palestyny czy Kubańska Partia Komunistyczna.

Wgląd w umysłowość wczesnych członków partii nazistowskiej zapewnia nam seria prac napisanych na konkurs, który zorganizował Theodore Abel, wyjątkowo inteligentny amerykański socjolog. W roku 1934 Abel zamieścił w organie partii nazistowskiej ogłoszenie, zapraszające „starych bojowników" do opisania, dlaczego wstąpili do NSDAP. Ograniczył zaproszenie do „starych bojowników", ponieważ po dojściu Hitlera do władzy do partii napłynęło bardzo wielu oportunistów. Prace te zostały wydane w fascynującej książce zatytułowanej *Why Hitler Came Into Power* (Dlaczego Hitler doszedł do władzy). Pewien górnik wyjaśniał, że dziwiła go nieobecność pojęć rasy i narodu w marksizmie. „Choć byłem zainteresowany poprawą losu robotnika, bezwarunkowo odrzucałem marksizm. Często zadawałem sobie pytanie, dlaczego socjalizm musi się wiązać z internacjonalizmem, dlaczego nie miałby się sprawdzać równie dobrze albo nawet lepiej w połączeniu ze stanowiskiem narodowościowym". Robotnik kolejowy wtórował: „Wzdragałem się na myśl o Niemczech pod władzą bolszewizmu. Hasło »Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się« nie miało dla mnie sensu. Ale narodowy socjalizm z jego obietnicą społeczności, [...] odrzucający walkę klasową, mocno mnie pociągał". Trzeci robotnik pisał, że dołączył do nazistów z powodu ich „bezkompromisowej woli likwidacji walki klasowej, kastowego snobizmu i międzypartyjnej nienawiści. Ten ruch głosił niemieckim robotnikom prawdziwe przesłanie socjalizmu".[91]

Jedną z wielkich ironii historii jest fakt, że im bardziej podobne są dwie grupy ludzi, tym bardziej mogą się nienawidzić. Bóg chyba znajduje szczególne upodobanie w zaprzeczaniu wyświechtanemu stwierdzeniu, że zwiększenie „zrozumienia" między grupami lub społecznościami przyniesie pokój. Izraelczycy i Palestyńczycy, Grecy i Turcy, Hindusi i Pakistańczycy rozumieją się bardzo dobrze, a jednak zapewne nie zgodziliby się z tą ogólną liberalną zasadą. Uczeni, którzy mają prawie identyczny światopogląd, dochody i zainteresowania, słyną z wzajemnej pogardy, mimo że piszą uczone prace o tym, jak zrozumienie zbliża ludzi. Tak samo było z komunistami i nazistami w okresie międzywojennym.

Pogląd, że komunizm i nazizm są biegunowo przeciwne, wyrasta z głębszej prawdy, że w rzeczywistości są spokrewnione. Albo, jak to ujął Richard Pipes, „bolszewizm i faszyzm to herezje socjalizmu".[92] Obie te ideologie są reakcyjne w tym sensie, że usiłują odtworzyć odruchy plemienne. Komuniści odwołują się do klasy społecznej, naziści do rasy, a faszyści do narodu. Wszystkie takie ideologie – nazwijmy je wstępnie totalitarnymi – przyciągają te same **typy** ludzi.

Nienawiść Hitlera do komunizmu oportunistycznie wykorzystano, żeby zaznaczyć dystans ideologiczny, ale w rzeczywistości znaczyła coś zupełnie przeciwnego. Dzisiaj ten manewr stał się powszechnym przekonaniem. Jednakże to, czego Hitler nienawidził w marksizmie i komunizmie, nie ma prawie nic wspólnego z tymi ich aspektami, które moglibyśmy uznać za istotne w tym kontekście, takimi jak doktryna ekonomiczna albo konieczność zniszczenia kapitalistów i burżuazji. W tych dziedzinach Hitler zasadniczo się zgadzał z socjalistami i komunistami. Jego nienawiść wynikała z paranoicznego przekonania, że ludzie nazywający się komunistami w istocie należą do obcego, żydowskiego spisku. Powtarza to w kółko w *Mein Kampf*. Badał nazwiska komunistów i socjalistów. Jeżeli wyglądały na żydowskie, to mu wystarczało. Wszystko to było oszustwem i podstępem mającym na celu zniszczenie Niemiec. Można było wierzyć tylko w „autentycznie" niemieckie idee głoszone przez prawdziwych Niemców. A kiedy ci Niemcy, na przykład Feder czy Strasser, proponowali socjalistyczne koncepcje prosto z marksistowskiej partytury, nie miał żadnych zastrzeżeń. Zresztą Hitler nigdy nie przejmował się zbytnio ekonomią. Zawsze uważał, że to sprawa „drugorzędna". Liczyła się dla niego polityka niemieckiej tożsamości.

Pozwolę sobie uprzedzić pewien protest. Argument brzmi mniej więcej tak: komunizm i faszyzm to przeciwieństwa, a zatem, skoro faszyzm jest fundamentalnie antysemicki, to komunizm antysemicki być nie może. W innej wersji po prostu odwraca się wynikanie: faszyzm (albo nazizm)

głosił antysemityzm, a komunizm nie, zatem nie ma miedzy nimi podobieństwa. W innych wariantach manipuluje się słowem „prawica”: antysemityzm jest prawicowy, naziści byli antysemitami, zatem nazizm był ruchem prawicowym. Można się tak bawić przez cały dzień.

Tak, naziści byli antysemitami skrajnymi, ale antysemityzm nie jest bynajmniej zjawiskiem prawicowym. Powszechnie się uważa, że również Stalin był antysemitą i że Związek Sowiecki był w rezultacie oficjalnie antysemicki (chociaż znacznie mniej morderczy od nazistowskich Niemiec, **jeżeli chodzi o Żydów**). Sam Karol Marks – mimo żydowskiego pochodzenia – zdecydowanie nienawidził Żydów. Pomstował w listach na „parszywych Żydów” i obrzucał wrogów epitetami w rodzaju „wszawy Żyd”. Być może więcej ujawnia to, że niemieccy komuniści często sięgali po hasła nacjonalistyczne i antysemickie, kiedy uznali to za przydatne. Leo Schlageter, młody nazista, stracony przez Francuzów w roku 1923 i uznany później za męczennika niemieckiej sprawy narodowej, był również bohaterem komunistów. Komunistyczny ideolog Karl Radek wygłosił na forum Kominternu przemówienie, w którym wysławiał Schlagetera jako wzór człowieka, którego komuniści potrzebują. Radykalna komunistyczna aktywistka Ruth Fischer (pół-Żydówka) usiłowała przyciągnąć niemiecki proletariat takim oto przykładem żargonu marksistowsko-antysemickiego: „Każdy, kto piętnuje żydowskich kapitalistów, już jest bojownikiem walki klasowej, nawet kiedy o tym nie wie. [...] Powalcie żydowskich komunistów, powieście ich na latarniach, rozdepczcie ich”. Fischer została później urzędniczką wysokiej rangi w komunistycznym rządzie Niemieckiej Republiki Demokratycznej.[93]

Na początku lat dwudziestych ukazywanie podobieństw między włoskim faszyzmem a rosyjskim bolszewizmem nie budziło specjalnych kontrowersji. Nie obrażało ponadto ani faszystów, ani komunistów. Włochy Mussoliniego były jednym z pierwszych państw, które uznały Rosję Lenina. I, jak widzieliśmy, podobieństwa między tymi dwoma wodzami nie były bynajmniej powierzchowne. Radek pisał już w roku 1923, że „faszyzm to socjalizm klasy średniej i dopiero wtedy będziemy mogli przekonywać klasy średnie, aby go porzuciły, gdy im wykażemy, że on tylko pogarsza ich położenie”.[94]

Jednakże większość komunistycznych teoretyków odrzucała dość trafną ocenę faszyzmu przedstawioną przez Radka albo jej nie znała. Znacznie większy wpływ wywarła wersja Trockiego. Według niego faszyzm był ostatnim tchnieniem kapitalizmu, wiele wcześniej przepowiedzianym w marksistowskiej biblii. Miliony komunistów i „poputczików” w Europie i Ameryce szczerze wierzyły, że faszyzm był odpowiedzią kapitalizmu na siły prawdy i światła. Michael Gold w zbiorze *New Masses* pisał w reakcji na to, że poeta Ezra Pound popart faszyzm: „Kiedy ser gnije, nazywamy go limburgerem. Niektórzy go lubią, jego zapach i wszystko w nim. Kiedy zaczyna się rozkładać państwo kapitalistyczne, staje się faszystowskie”.[95]

Wielu komunistów pewnie nie przyjmowało trockistowskiego poglądu, że zdecydowani socjaliści, na przykład Norman Thomas, nie różnią się od Adolfa Hitlera, ale wkrótce kazano im udawać, że w to wierzą. W roku 1928 na wniosek Stalina III Międzynarodówka przyjęła doktrynę „socjalfaszyzmu”, utrzymującą, że w istocie nie ma różnicy między socjaldemokracją a faszyzmem bądź nazizmem. Faszyzm był „bojową organizacją burżuazji, organizacją zależną od aktywnego poparcia socjaldemokracji, która jest umiarkowanym skrzydłem faszyzmu”. Zgodnie z teorią socjalfaszyzmu pojęcia „liberalny demokrata” i „nazista” „nie są przeciwieństwami, lecz się uzupełniają”, jak to ujął Stalin, który dodał: „To nie antypody, lecz bliźnięta”.[96][24] Strategia realizowana za pomocą tej doktryny była równie koszmarnie błędna jak teoria, na podstawie której ją opracowano. Pomysł polegał na tym, że rozpadnie się centrum w zachodnich demokracjach, a w konflikcie między faszystami a komunistami zwyciężą komuniści. Był to jeden z powodów poza wspólnym poglądem na większość spraw – tego, że komuniści i naziści zazwyczaj zgodnie głosowali w Reichstagu. Niemieccy komuniści działali pod dostarczonym z Moskwy hasłem „*Nach Hitler, kommen wir*” (Po Hitlerze przychodzimy my). Inna wersja tego samego hasła to „Najpierw brunatni, potem czerwoni”.

Doktryna socjalfaszyzmu miała dwie konsekwencje, które mają bezpośredni związek z naszymi rozważaniami. Pierwszym skutkiem było to, że odtąd każdego, kto był przeciwko skrajnej lewicy, zawsze uważano za sojusznika faszystowskiej skrajnej prawicy. Przez wiele dziesięcioleci, nawet po powstaniu Frontu Ludowego, jeżeli ktoś był przeciwko Związkowi Sowieckiemu, ściągał na siebie oskarżenia o faszyzm. Nawet Lew Trocki, współtwórca sowieckiego państwa, doczekał się etykietki „nazistowskiego agenta" i przywódcy nieudanego „faszystowskiego przewrotu", kiedy tylko Stalin postanowił się go pozbyć. Oskarżenia o prawicowość, faszyzm i nazizm wysuwano przeciwko niezliczonym ofiarom stalinowskich czystek. W końcu międzynarodowa lewica po prostu zarezerwowała dla siebie absolutne prawo do nazywania każdego, kogo chciała delegitymizować, faszystą lub nazistą, nie bacząc na rozsądek lub fakty. Z czasem, kiedy nazizm stał się symbolem „absolutnego zła", stało się to niezwykle użyteczną bronią, używaną do dzisiaj.

Drugą konsekwencją doktryny socjalfaszyzmu była możliwość odniesienia zwycięstwa przez Hitlera.

ROZDZIAŁ 3

Thomas Woodrow Wilson i narodziny liberalnego faszyzmu

„Tutaj to się nie może zdarzyć".

W każdej dyskusji na temat amerykańskiego faszyzmu trzeba pokonać ten wyjątkowo leciwy komunał polityczny. Najczęściej używany przez lewicowców, zwykle jest także wykorzystywany z sarkazmem. Przykładem może być stwierdzenie „George Bush jest kryptonazistowskim, rasistowskim sługusem wielkich korporacji toczącym imperialistyczne wojny z Trzecim Światem w interesie jego śmierdzących ropą panów, ale – tak, racja – »tutaj to się **nie może** zdarzyć«" (chociaż Joe Cohanson z charakterystycznym dla niego brakiem humoru zatytułował swoją najnowszą książkę *It Can Happen Here: Authoritarian Peril in the Age of Bush* (To się tutaj może zdarzyć: niebezpieczeństwo autorytaryzmu w okresie Busha).

Zdanie to nawiązuje, oczywiście, do propagandowej powieści Sinclaire'a Lewisa z roku 1935. *It Can't Happen Here* (Tu się to nie może zdarzyć) przedstawia historię faszystowskiego przewrotu w Ameryce. To powieść powszechnie uważana za straszną chałę, pełną papierowych postaci, górnolotnej prozy i długich monologów jakby zaczerpniętych z sowieckiego teatru. Ale nie tak ją oceniano, kiedy została opublikowana. Na przykład w miesięczniku „The New Yorker" wychwalano ją jako „jedną z najważniejszych książek, jakie ukazały się w historii tego kraju. [...] Jest tak ważna, tak pełna pasji, tak uczciwa, tak istotna, że trzeba być dogmatykiem, schizmatykiem i reakcjonistą, żeby się doszukiwać w niej jakichś niedociągnięć".[97]

Bohaterem tej dystopijnej opowieści jest Doremus Jessup, dziennikarz ze stanu Vermont, który sam o sobie mówi, że jest „leniwym i nieco sentymentalnym liberałem".[98] Czarny charakter, senator Berzelius „Buzz" Windrip, jest charyzmatycznym samochwałą (wzorowanym na senatorze Hueyu Longu), który zostaje wybrany na prezydenta w roku 1936. Fabuła jest skomplikowana, faszystowskie frakcje dokonują przewrotów, aby obalić już faszystowski rząd, ale podstawowa idea powinna bardzo odpowiadać liberałom. Jessup, dobry liberał z Vermontu (zupełnie jednak niepodobny do dzisiejszego liberała Howarda Deana) organizuje powstanie, przegrywa, ucieka do Kanady i szykuje wielki kontratak, na czym powieść się kończy. Tytuł pochodzi z przepowiedni Jessupa wyrażonej na krótko przed decydującymi wyborami. Jessup ostrzega przyjaciela, że zwycięstwo Windrupa przyniesie „prawdziwą faszystowską dyktaturę". „Nonsens! Nonsens! – odpowiada przyjaciel. – To się nie może zdarzyć w Ameryce, żadną miarą! Jesteśmy krajem wolnych ludzi... To się po prostu nie może zdarzyć tutaj, w Ameryce". „Nie może. Akurat" – odpowiada Jessup. I wkrótce się okazuje, że miał rację.

Ten zwrot i fobia oddane w powieści Lewisa są z nami odtąd przez cały czas. Ostatnio Philip Roth w powieści *Spisek przeciwko Ameryce* przedstawił lepiej napisaną wersję podobnego scenariusza, w którym Charles Lindbergh pokonuje Roosevelta w wyborach w roku 1940. Jest to tylko najnowsza pozycja z długiej listy książek i filmów wykorzystujących ten temat. W Hollywood szczególnie gorliwie propagowano przekonanie, że musimy nieustannie uważać na faszystowską bestię czającą się na bagnach prawicy.

Ironia naturalnie polega na tym, że to się tutaj zdarzyło i Lewis to w praktyce przyznaje. W tej samej scenie Jessup wygłasza górnolotną tyradę na temat tego, że Ameryka dojrzała do faszystowskiego przewrotu. Jego argumentacja zgadza się z tym, co stało się w Ameryce w czasie I wojny światowej i bezpośrednio po niej: „Tak, nie ma na świecie kraju, który może wpaść w gorszą histerię i – tak! – służalczość niż Ameryka. [...] Pamiętasz naszą histerię wojenną, kiedy *sauerkraut* nazywaliśmy »kapustą wolności«, a ktoś nawet zaproponował, żeby różyczkę nazwać »liberty measles«?".[99] A cenzurowanie uczciwych gazet W czasie wojny? Cenzura tak samo zła jak w Rosji!

[…] Pamiętasz nasze »czerwone zagrożenie« albo »katolickie zagrożenie«? Prohibicję, strzelanie do ludzi tylko dlatego, że mogą przemycać alkohol – nie, to nie mogło zdarzyć się w Ameryce! Czy był w całej historii naród tak gotów na dyktaturę jak nasz?!”.[100]

Lewis nie przedstawił sprawy dostatecznie. Okres kapusty wolności, wojennej cenzury i propagandy to nie dowody, że któregoś dnia Ameryka może dojrzeć do faszyzmu. To dowodziło, że Ameryka doświadczyła faszystowskiej dyktatury. Gdyby wydarzenia, do których doszło w czasie I wojny światowej i bezpośrednio później, nastąpiły dzisiaj w jakimkolwiek państwie zachodnim, niewielu wykształconych ludzi nie rozpoznałoby, w czym rzecz. Co więcej, bardzo wielu wykształconych ludzi uważało, że Ameryka za George'a W. Busha stała się „słabo maskowaną dyktaturą wojskową”, jak to ujął Andrew Sullivan. Kapusta wolności, sankcjonowana przez państwo brutalność, tłamszenie krytyki, przysięgi wierności i listy wrogów – to wszystko nie tylko zdarzyło się w Ameryce, ale zdarzyło się za rządów liberałów. Ci, którzy nazwali się progresywistami, jak również większość amerykańskich socjalistów, znajdowali się w awangardzie ruchu dążącego do autentycznie totalitarnego państwa. Pochwalali wszystkie inicjatywy prowadzące do zaostrzenia przepisów i kwestionowali patriotyzm, inteligencję i przyzwoitość każdego pacyfisty i dysydenta w klasycznie liberalnym sensie.

Faszyzm jest w gruncie rzeczy poglądem, że każdy, nawet najmniejszy element społeczeństwa powinien pracować w duchowej jedności ze wszystkimi innymi, dążąc do realizacji tych samych celów, nadzorowanych przez państwo. „**Wszystko w państwie, nic poza państwem**” – mówił Mussolini. To on ukuł słowo „totalitarny”, przy czym nie miało ono opisywać rodzaju tyranii, lecz społeczeństwo humanitarne, w którym wszyscy w równej mierze są objęci opieką i wszyscy wnoszą swój wkład. Była to koncepcja organiczna, w której każda klasa i każda jednostka stanowiły część większej całości. Militaryzację społeczeństwa i polityki uważano za najlepszy z dostępnych środków pozwalających ten cel osiągnąć. Nazwijcie to, jak chcecie progresywizmem, faszyzmem, komunizmem czy totalitaryzmem – ale pierwsze przedsięwzięcie tego typu powstało nie w Rosji, Włoszech czy w Niemczech, lecz w Stanach Zjednoczonych, a Thomas Woodrow Wilson był pierwszym faszystowskim dyktatorem XX wieku.

Na pierwszy rzut oka to twierdzenie może się wydać bulwersujące, ale przypatrzmy się dowodom. W czasie paru lat prezydentury Wilsona aresztowano i uwięziono więcej dysydentów niż w ciągu całych lat dwudziestych, kiedy władzę sprawował Mussolini. Wilson w ostatnich trzech latach swoich rządów pogwałcił prawdopodobnie tyle samo albo i więcej swobód obywatelskich niż Mussolini w ciągu pierwszych dwunastu lat swojej władzy. Wilson stworzył lepsze i skuteczniejsze ministerstwo propagandy, niż kiedykolwiek miał Mussolini. W latach dwudziestych krytycy Mussoliniego oskarżali go – i słusznie – że wykorzystywał półoficjalne bojówki *fascisti* do zastraszania opozycji i niezależnej prasy. Zaledwie kilka lat wcześniej Wilson nasłał dosłownie setki tysięcy zbirów z opaskami na ramieniu na zwykłych Amerykanów i prowadził przeciwko prasie wściekłą kampanię, która wzbudziłaby zazdrość Mussoliniego.

Wilson nie działał sam. Podobnie jak Mussolini i Hitler, miał do dyspozycji ruch ideologicznie motywowanych aktywistów. We Włoszech nazywano ich faszystami, w Niemczech narodowymi socjalistami. W Ameryce nazywaliśmy ich progresywistami.

Progresywiści byli prawdziwymi darwinistami społecznymi w takim sensie, w jakim dziś rozumiemy ten termin – choć oni sami rezerwowali tę etykietę dla swoich wrogów (zob. rozdział siódmy). Wierzyli w eugenikę. Byli imperialistami. Byli przekonani, że państwo może poprzez planowanie i naciski stworzyć czystą rasę, społeczeństwo nowych ludzi. Otwarcie i z dumą okazywali wrogość wobec indywidualizmu. Religia stanowiła narzędzie polityczne, natomiast prawdziwą religią była polityka. Tradycyjny system konstytucyjnych zabezpieczeń progresywiści uważali za skamielinę hamującą postęp, ponieważ takie instytucje z czasów zaprzęgów konnych stanowiły barierę na drodze ich ambicji. Dogmatyczne przywiązanie do konstytucji, praktyki demokratyczne i przestarzałe prawa były wrogami postępu w przekonaniu zarówno faszystów, jak i

progresywistów. Poza tym faszyści i progresywiści mieli tych samych intelektualnych bohaterów i cytowali tych samych filozofów.

Dzisiejsi liberałowie pamiętają progresywistów jako dobroczyńców, którzy rozwiązali problemy w dziedzinie podaży żywności oraz agitowali za szczodrzejszym państwem opiekuńczym i lepszymi warunkami pracy. Świetnie, progresywiści to zrobili. Ale to samo przeprowadzili naziści i włoscy faszyści. I zrobili to z tych samych powodów, kierując się bardzo zbliżonymi zasadami.

Historycznie rzecz biorąc, faszyzm jest produktem demokracji, która popadła w szaleństwo. W Ameryce postanowiliśmy nie dyskutować na temat szaleństwa, które nasza republika przeżyła za czasów Wilsona – mimo że z jego konsekwencjami nadal żyjemy. Niczym rodzina udająca, że ojciec nigdy nie pił za dużo, a matka nigdy nie przeżyła załamania nerwowego, potraktowaliśmy to jak zły sen, którego prawie nie pamiętamy, chociaż wciąż dźwigamy bagaż tamtej dysfunkcji. Motywacja tej wybiórczej amnezji składa się w równych częściach ze wstydu, lenistwa i ideologii. W społeczeństwie, w którym Joe McCarthy ma odgrywać rolę najgorszego diabła amerykańskiej historii, niedogodnie byłoby wspominać, że ten George Washington współczesnego liberalizmu był o wiele większym inkwizytorem, a inni ojcowie założyciele amerykańskiego liberalizmu o wiele okrutniejszymi szowinistami i podżegaczami wojennymi niż współcześni konserwatyści.

Idealizm kultu władzy

Thomas Woodrow Wilson urodził się w roku 1856 i jego pierwszym wspomnieniem była straszliwa wieść, że Abraham Lincoln został wybrany na prezydenta, przez co wojna jest nieunikniona. Wilsonowie byli przybyszami z Ohio na północy, ale szybko się dostosowali do południowego klimatu Georgii i Karoliny Południowej. Joseph Wilson, pastor prezbiteriański, służył jako kapelan w oddziałach Konfederacji i udostępnił swój kościół na szpital wojskowy. Młody Woodrow był wątłym chłopcem z okropną dysleksją, uczył się głównie w domu i do dziesiątego roku życia nie opanował umiejętności czytania. Także później nauka zawsze wymagała intensywnej koncentracji. Fakt, że zrobił karierę jako wybitny pracownik naukowy, co więcej, także jako prezydent Stanów Zjednoczonych, jest dowodem jego nadzwyczajnej cierpliwości, siły woli i ambicji. Wszystko jednak musiał zdobywać wielkim kosztem. Przez większość dorosłego życia w praktyce nie miał przyjaciół i miał ogromne kłopoty z układem trawiennym, takie jak uporczywe zatwardzenia, nudności i zgaga.

Nie ulega wątpliwości, że jego atrakcyjność zarówno wtedy, jak i teraz, wynikała w znacznej mierze z faktu, że był pierwszą osobą z tytułem doktora w Gabinecie Owalnym. Oczywiście, w Białym Domu gościły wielkie umysły i bywali wielcy uczeni, ale Wilson był pierwszym profesjonalnym akademikiem w czasie, kiedy profesjonalizacja nauk społecznych była uważana za kamień węgielny postępu ludzkości. Był zarówno praktykiem, jak i kapłanem kultu ekspertyzy – wyznawcą przekonania, że społeczeństwo ludzkie jest tylko jednym z elementów świata natury, toteż można nad nim panować przy zastosowaniu metod naukowych. Wilsona, byłego przewodniczącego Amerykańskiego Zrzeszenia Nauk Politycznych (American Political Science Association), powszechnie się uważa za pioniera akademickich studiów nad administracją publiczną. Ten wymyślny termin oznaczał modernizację i profesjonalizację państwa tak, aby je dopasować do własnych tendencyjnych przekonań.

Wilson rozpoczął karierę akademicką w Davidson College, ale tęsknił za domem i rzucił studia przed końcem pierwszego roku. W roku 1875, po kolejnym roku nauki pod kierunkiem ojca, spróbował ponownie. Tym razem zapisał się do College'u New Jersey, który później stał się Uniwersytetem Princeton, żeby studiować nauki polityczne i historię. Wilson polubił nowe otoczenie, także dlatego, że spotkał tu wielu prezbiterian z Południa. Zaczął się na tej uczelni wyróżniać. Założył Liberalne Koło Dyskusyjne, redagował uczelnianą gazetę i był sekretarzem

towarzystwa futbolowego. Gdy nabrał wiary w siebie i polubił brzmienie własnego głosu, młody Wilson rozsmakował się w polityce, co nie dziwi.

Po ukończeniu Princeton wstąpił na Uniwersytet Wirginii, żeby studiować prawo. Liczył, że rozpocznie karierę polityczną. Znowu cierpiał przez tęsknotę za domem i trwające przez całe życie trudności ze zdobywaniem przyjaciół. Porzucił uniwersytet na pierwszym roku w Boże Narodzenie, wymawiając się zaziębieniem, i nigdy nie wrócił. Studia ukończył w domu. Po egzaminie adwokackim w Georgii pracował krótki czas jako prawnik, ale stwierdził, że nie ma do tego powołania, i uznał, że dla niego to zbyt wyboista droga do polityki.

Zniechęcony do kariery politycznej, Wilson wstąpił na świeżo otwarty Uniwersytet Johnsa Hopkinsa, gdzie pracował nad doktoratem. Uzyskawszy tytuł, uczył w kilku miejscach, pisząc jednocześnie prace naukowe, przede wszystkim powszechnie chwalone osiemsetstronicowe dzieło *The State* (Państwo). W końcu Wilson wrócił do jedynej instytucji, w której czuł się stosunkowo dobrze pod względem towarzyskim, czyli do Uniwersytetu Princeton, gdzie został w końcu rektorem.

Nie należy sądzić, że dokonany przez Wilsona wybór kariery akademickiej oznaczał rezygnację z kariery politycznej. Była to raczej alternatywna droga wiodąca do celu zawodowego, który zawsze chciał osiągnąć. Mędrzec z New Jersey nigdy nie rezygnował z polityki. Wkrótce po ukończeniu pracy o państwie Wilson przestał pisać wyłącznie prace naukowe i wziął się do pisania bardziej popularnych komentarzy, zasadniczo służących propagowaniu jego wizerunku politycznego. Często przekonywał do postępowego imperializmu w celu podporządkowania sobie, a przez to wzniesienia na wyższy poziom rozwoju ras niższych. Pochwalał aneksję Portoryko i Filipin („To są dzieci, a my jesteśmy mężczyznami w skomplikowanych sprawach rządzenia i sprawiedliwości") i regularnie piętnował to, co nazywał „antyimperialistycznymi szlochami i zawodzeniami dochodzącymi z Bostonu".[101] Dowodem tego, jak starannie kultywował swój wizerunek polityczny, było to, że cztery lata przed tym, jak „z oporami" zaakceptował „niechcianą" nominację na gubernatora stanu New Jersey, czasopismo „Harper's Weekly" zaczęło drukować slogan „Woodrow Wilson na prezydenta" na okładce każdego numeru.

Od najwcześniejszych studenckich lat łagodny, uczący się w domu Wilson był pod urokiem władzy politycznej. Pozwalał także, aby kult władzy wpływał na jego analizy, co jest niezmiernie częste wśród intelektualistów.

Słynne spostrzeżenie lorda Actona, że „władza psuje, a władza absolutna psuje absolutnie" od dawna rozumie się niewłaściwie. Acton nie twierdził, że władza skłania potężnych przywódców do korupcji (choć pewnie i tak zakładał). Raczej miał na myśli to, że historycy maja skłonność do wybaczania potężnym transgresji, których nigdy nie zaakceptowaliby, gdyby robili to słabi. Wilson jest winien w obu przypadkach: nie tylko piał z zachwytu nad wielkimi, ale kiedy sam osiągnął rzeczywista władzę, pozwolił, aby go zepsuła. Często jego sympatie przechylały się na stronę wielkich ludzi, którzy gwałcili tradycyjne mechanizmy ograniczające ich władzę. Dwoma największymi bohaterami byli dla niego pruski kanclerz Otto von Bismarck i Abraham Lincoln. Mogłoby się wydawać dziwne, że ktoś, kto głęboko wierzył, że przyznanie czarnym prawa głosu było „źródłem wszelkiego zła w tym kraju", czcił Lincolna, jednakże tym, co pociągało Wilsona w Wielkim Wyzwolicielu, była zdolność Lincolna do narzucania swojej woli całemu krajowi. Lincoln był centralizatorem, modernizatorem, który wykorzystywał posiadaną władzę, żeby wykuć nowy, zjednoczony naród. Innymi słowy, Wilson o wiele bardziej niż jego cele podziwiał jego metody – zawieszenie swobód obywatelskich, powszechną służbę wojskową i powojenne kampanie radykalnych republikanów. „Jeżeli jedna cecha wyłania się ze wszystkiego, co napisano o Wilsonie – pisze historyk Walter McDougall – to jest to opinia, że uwielbiał władzę, pożądał jej i w pewnym sensie ją gloryfikował".[102]

Ta fascynacja władzą jest motywem przewodnim całej jego kariery. To ona rzutowała na jego rozumienie teologii i polityki oraz wpływała na to, gdzie się przecinały. Władza jest narzędziem Boga na ziemi i dlatego zawsze należy jej okazywać nabożną cześć. W pracy

Congressional Government (Rządy Kongresu) przyznawał: „Nie wyobrażam sobie władzy jako zjawiska nie pozytywnego, lecz negatywnego". Poza orbitą faszyzmu takie umiłowanie władzy można znaleźć w wielu systemach i u wielu ludzi, ale niewiele się znajdzie systemów ideologicznych lub programów estetycznych, w których w większym stopniu bezpośrednio by się koncentrowano na chwale potęgi, woli, siły i czynu. Część tego nastawienia ujawniała się w faszystowskiej sztuce i architekturze, które lubowały się w potężnych fizycznych formach i służyły ukazaniu niezwyciężonej potęgi narodu: siły w jedności, tryumfu woli, zwycięstwa przeznaczenia nad dekadencją i niezdecydowaniem. Podobnie jak komunizm, doktrynalny faszyzm miał uchodzić za niepowstrzymaną siłę boskiej albo historycznej nieuchronności. Ci, którzy w tym postępie przeszkadzali – burżuazja, „niezdatni", „chciwcy", „indywidualiści", zdrajcy, kułacy, Żydzi – mogli być demonizowani jako „inni", ponieważ w ostatecznym rachunku nie tylko byli zbyteczni, a do tego niechętnie dołączali do kolektywu, ale przez sam fakt swojego istnienia blokowali wolę mocy, która masom i awangardzie twierdzącej, że wypowiada się w ich imieniu, zapewniała rację istnienia. „Ten wiek różni się od stuleci bezpośrednio go poprzedzających tym, że brak w nim liberalnej inteligencji – pisał George Orwell. – Uniwersalną religią stał się kult przemocy w różnych przebraniach".[103] Niektórych, na przykład Wilsona, do stosowania przemocy upoważnił Bóg. Inni otrzymali licencję na zorganizowane okrucieństwo od bardziej bezosobowych sił historycznych. Ale bodziec był ten sam.

Później, piastując urząd prezydenta, Wilson twierdził, że jest prawą ręką Boga i że sprzeciwianie się mu oznacza występowanie wbrew woli Bożej. Niektórzy uważali to po prostu za przykład tego, że władza psuje Wilsona, ale on wyrażał taki pogląd od samego początku.

Zawsze stawał po stronie władzy, wierząc, że władza przychodzi do tego, kto jest po stronie Boga. Jako student Wilson był przekonany, ze zadaniem Kongresu jest sprawowanie najwyższej władzy w amerykańskim systemie, i uważał, że powinien on mieć nieograniczoną władzę. W swoim pierwszym opublikowanym artykule, który napisał, będąc na ostatnim roku, wyrażał nawet pogląd, że Ameryka powinna przejść na system parlamentarny, w którym wola rządzących jest ograniczona w mniejszym stopniu. Wilson był mistrzem debat, wiele więc ujawnia to, że według niego najlepsi dyskutanci powinni mieć najwięcej władzy.

Przyszły prezydent napisał swoją najbardziej znaną i oryginalną pracę *Congressional Government* jako dwudziestodziewięcioletni doktorant na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa. Planował bronić tezy, że Ameryka powinna przyjąć scentralizowany ustrój parlamentarny, ale praca zmieniła się w ogólne oskarżenie fragmentacji i rozproszenia władzy w amerykańskim systemie politycznym. Wilson ostatecznie rozstał się z wiarą w rządy Kongresu, będąc świadkiem, jak Theodore Roosevelt przekształcił Gabinet Owalny w ośrodek despotycznej władzy. Dotychczasowy obrońca władzy Kongresu zdecydowanie się opowiedział za prezydenturą imperialną. „Prezydent – pisał w *Congressional Government* w roku 1908 – ma swobodę, zarówno z mocy prawa, jak i zgodnie ze swoim sumieniem, być tak silnym człowiekiem, jak zdoła. Granicę wyznaczą jego zdolności. Jeżeli podporządkuje sobie Kongres, nie będzie w tym winy twórców konstytucji, [...] lecz stanie się tak wskutek tego, że prezydent ma za sobą naród, a Kongres nie".[104]

Poglądy Wilsona na politykę można podsumować słowem „państwochwalstwo" (o ten sam grzech, statolatrię, Watykan oskarżył Mussoliniego). Wilson uważał, że państwo jest naturalnym, organicznym i duchowym wyrazem samego narodu. Od samego początku sądził, że rząd i naród powinna łączyć organiczna więź odzwierciedlająca „prawdziwego ducha" narodu, czyli tego, co Niemcy nazywali *Volksgeist*. „Rząd nie jest maszyną, lecz żywą istotą – pisał w *Congressional Government*. – Nie podlega [Newtonowskiej] teorii wszechświata, ale [Darwinowskiej] teorii życia organicznego". Przy takich założeniach stałe rozszerzanie się zakresu władzy państwa było procesem całkowicie naturalnym. Wraz z ogromną większością intelektualistów progresywistycznych Wilson uważał, że powiększanie się władzy państwa jest tym samym co nieuniknony proces ewolucyjny. Rządowe „eksperymenty" – ulubione zawołanie pragmatycznych liberałów od Deweya i Wilsona do Franklina Roosevelta – były odpowiednikiem ewolucyjnego przystosowania, występującym w społeczeństwie. Demokracja konstytucyjna pojmowana zgodnie z

założeniami ojców założycieli była fazą przejściową w tym procesie rozwoju. Teraz nadszedł czas, żeby państwo wzniosło się na wyższy poziom. „Rząd – pisał Wilson z uznaniem w pracy *State* – robi teraz wszystko, na co pozwala mu doświadczenie i czego wymaga czas”.[105] Wilson był pierwszym prezydentem, który wyrażał się lekceważąco o konstytucji. Wilson wzmacniał jeszcze takie postawy, atakując samą ideę praw naturalnych i jednostkowych. Jeżeli oryginalne, autentyczne państwo to rządzona po dyktatorsku rodzina – argumentował Wilson w duchu Darwina – to jakie podstawy historyczne ma wiara w prawa jednostki? „Niewątpliwie – pisał, uderzając wprost w Deklarację Niepodległości – wypowiedziano masę głupstw na temat niezbywalnych praw jednostki, a jako fundamentalną zasadę podano wiele rzeczy, które były nieokreślonymi odczuciami i przyjemnie brzmiącymi spekulacjami”. Jeżeli prawo nie może być egzekwowane, to nie jest, według Wilsona, prawdziwym prawem, a „abstrakcyjne prawa” są niezwykle trudne do egzekwowania.

Wilson był, oczywiście, tylko jednym z głosów w progresywistycznym chórze swojej epoki. „Musimy żądać od każdego człowieka gotowości wyzbycia się poczucia osobistych osiągnięć i zadowolenia się działalnością mającą związek wyłącznie z aktywnością wielu” – głosiła Jane Addams, progresywistyczna działaczka społeczna. „Ludzie są teraz wolni – tłumaczył Walter Rauschenbusch, czołowy progresywistyczny teolog z ruchu Ewangelii Społecznej w roku 1896 – ale jest to często wolność ziaren piasku, porywanych wiatrem i opadających na kupkę, przy czym ani w tej chmurze piasku, ani w tej kupce nie ma żadnej spójności”. Lekarstwo było oczywiste: „Należy powołać nowe formy organizacji. Nasze zdezorganizowane, oparte na współzawodnictwie życie musi przejść w życie organiczne oparte na współpracy”. W innym miejscu Rauschenbusch ujął to prościej: „Indywidualizm oznacza tyranię”.[106] W pewnym sensie spopularyzowane w latach sześćdziesiątych przez Herberta Marcuse'a bzdury wynikające z moralnego przebiegunowania, takie jak „uciskająca wolność”, „represywna tolerancja”, „obronna przemoc” zostały puszczone w ruch przez progresywistów wiele dziesięcioleci wcześniej. Spopularyzowane przez nazistów hasło „Przez pracę do wolności" (*Arbeit macht frei*) zapowiadali progresywiści, którzy uważali kolektywizm za nową „wolność”.

W Ameryce obecnie panuje skandaliczna moralna panika wywołana przez rzekome zagrożenie powstałe wskutek roli odgrywanej przez chrześcijan w życiu publicznym. Głęboko ironiczną wymowę ma takt, ze takie protesty wychodzą z kręgów samozwańczych „progresywistów”, podczas gdy prawdziwi progresywiści z zaangażowaniem towarzyszącym propagowaniu kwestii fundamentalnych dążyli do chrystianizacji amerykańskiego życia. Z tytułu książki Washingtona Gladdena wynikało, że progresywizm był „chrześcijaństwem stosowanym”. Ewangelia Społeczna głosiła, że państwo jest prawą ręką Boga i środkiem do tego, żeby cały naród i świat dostąpiły zbawienia. Stało się jednak tak, że gdy chrześcijaństwo przekształcano w autentyczną religię państwową, jego elementy transcedentalne i teologiczne ulegały zepsuciu.

Te dwie koncepcje – darwinowski organicyzm i chrześcijański mesjanizm – wydają się dzisiaj sprzeczne, ponieważ sytuują się po przeciwnych stronach frontu wojny kulturowej. Jednakże w erze progresywistycznej, obejmującej lata 1900-1924, obie te wizje doskonale się uzupełniały, Wilson zaś był wcieleniem tej syntezy. Totalitarne zabarwienie takiego światopoglądu powinno być oczywiste. W odróżnieniu od klasycznego liberalizmu, który uważał rząd za zło konieczne lub po prostu dobroczynną, ale dobrowolną umowę społeczną, do której wolni ludzie przystępują z własnej woli, wiara, że całe społeczeństwo stanowi organiczną całość, nie zostawiała miejsca dla tych, którzy nie chcieli się stosować do reguł, a tym bardziej „ewoluować”. Twój dom, twoje prywatne myśli, wszystko było częścią tego organicznego ciała politycznego, które państwo miało poprowadzić do zbawienia.

Dlatego falanga progresywistycznych reformatorów uważała rodzinę za linię frontu w wojnie toczonej po to, by przekształcić ludzi w posłuszne organy społeczeństwa. Często odpowiedzią było wyrwanie dzieci z domu jak najszybciej. Z dnia na dzień pojawił się cały archipelag agencji, komisji i biur, żeby wyprzeć antyorganiczny, antyewolucyjny wpływ rodziny. Domu rodzinnego nie można już było dłużej uważać za suwerenną i oddzieloną od reszty

społeczeństwa wyspę. W tym właśnie celu John Dewey pomógł stworzyć w Ameryce sieć przedszkoli – żeby formować jabłka, zanim spadną z drzewa – podczas gdy na drugim końcu procesu edukacyjnego stali reformatorzy tacy, jak Wilson, który doskonale podsumował progresywistyczną postawę, kiedy jako rektor Princeton powiedział: „Naszym zadaniem jest nie tylko pomóc studentom przystosować się do życia w świecie, [...] ale sprawić, żeby jak najbardziej się różnili od swoich ojców”.[107]

Jeżeli istotnie wiek demokracji parlamentarnej dobiegał końca – a tak twierdzili zarówno progresywiści, jak i faszyści – i wstawał świt zbawczego państwa organicznego, to konstytucja albo ulegnie ewolucji, albo należy ją wyrzucić na śmietnik historii. Teksty Wilsona pełne są żądań, żeby „sztuczne” banery ustawione w naszym „przestarzałym” osiemnastowiecznym systemie zabezpieczenia poprzez podział władz zostały obalone. Szydził w nich z „czwartolipcowych sentymentów” tych, którzy nadal się powoływali na ojców założycieli, uważając ich za źródło konstytucyjnych inspiracji. Wierzył, że system zabezpieczeń ustrojowych „okazał się szkodliwy w tym stopniu, w którym zdołano go wprowadzić w życie”.[108] I rzeczywiście, atrament z pióra Wilsona regularnie wydziela zapach tego, co dzisiaj nazywamy „żyjącą konstytucją”. Podczas kampanii wyborczej w roku 1912 Wilson tłumaczył, że „żyjące polityczne konstytucje muszą być darwinowskie w swojej strukturze i praktyce. Społeczeństwo to żywy organizm i musi przestrzegać praw życia, [...] musi się rozwijać”. Dlatego „progresywiści domagają się i pragną tylko przyzwolenia – w czasach, w których słowo »rozwój«, »ewolucja« to pojęcie naukowe – na interpretowanie konstytucji zgodnie z zasadą darwinizmu”.[109] Jak widzieliśmy, taka interpretacja prowadzi do systemu, w którym konstytucja znaczy to, co orzekną rządzący interpretatorzy „ewolucji”.

Potrzebna była autentyczniejsza forma przywództwa: wielki człowiek, który mógłby w sposób naturalny wyrażać wolę ludu, a jednocześnie kontrolować jego mroczniejsze instynkty. Przywódca powinien być jak mózg rządzący ciałem, które zapewnia mu bezpieczeństwo. W tym celu masy muszą być podporządkowane przywódcy. W niezamierzenie jeżącym włos na głowie tekście z roku 1908 zatytułowanym *Leaders of Men* (Przywódcy ludzi) Wilson tłumaczył, że „prawdziwy przywódca” używa mas jak „narzędzi”. Nie powinien się bawić w subtelności i niuanse, jak to lubią robić ludzie pióra. Powinien się raczej odwoływać do ich emocji, a nie intelektów. Krótko mówiąc, powinien być zręcznym demagogiem.

„Jedynie bardzo uproszczona istota jakiejś konkretnej idei może dotrzeć do umysłów mas – pisał Wilson. – Należy im dostarczać idei w największym uproszczeniu, bo są bardziej skłonni przyjmować łatwe do zrozumienia półprawdy niż całą prawdę, która ma zbyt wiele aspektów, żeby je można od razu zobaczyć. Kompetentny przywódca nie dba o wewnętrzne subtelności ludzkich charakterów: myśli w znacznej mierze – wyłącznie – o ich zewnętrznych zastosowaniach. [...] On dostarcza energii, inni stanowią tylko materiał, na który ta energia oddziałuje. [...] To energia dyktuje i dominuje, materiał ulega. W dłoniach doskonałego przywódcy ludzie są jak glina”.[110] Cynik mógłby uznać, że w interpretacji Wilsona jest dużo prawdy, ale przynajmniej przyznałby, że jest cynikiem. Wilson uważał się za idealistę.

Wiele osób, również Wilson, wierzyło, że znalazło takiego człowieka w Theodorze Roosevelcie. Był kimś więcej niż popularnym przywódcą, stał się idolem autentycznego kultu przywódcy. William Allen White, słynny pisarz progresywistyczny, wspominał w roku 1934, że był „młodym, aroganckim szermierzem boskich rządów plutokracji”, aż Roosevelt „roztrzaskał podstawy” jego ideałów politycznych. „Kiedy się rozsypały, podstawiłem kark, aby oparł na nim stopę, i zostałem jego człowiekiem”.[111] Roosevelt pierwszy przełożył dewizę *L'etat, c'est moi* na język amerykańskiej polityki, często twierdząc, że suwerenność narodu jest nie do odróżnienia od jego dostojnej osoby. Jako prezydent systematycznie przekraczał granice swojej legalnej i tradycyjnej władzy, najpierw realizując swoją wolę, a potem czekając (albo i nie), aż sądy i prawodawcy go dogonią.

To uwydatniało dość wyraziście podstawową różnicę między Wilsonem a Teddym Rooseveltem, ostro z sobą walczącymi rywalami i jedynymi prezydentami ery progresywistycznej z dumą głoszącymi hasła progresywistyczne. Ci dwaj bardzo różni ludzie mieli bardzo podobne poglądy. Roosevelt był wielkim aktorem na scenie świata; Wilson widział siebie raczej jako reżysera. Roosevelt był „bykiem" atakującym czołowo każdy problem, Wilson był „dyrektorem szkoły", przygotowującym najpierw konspekt lekcji. Jeden chciał prowadzić drużynę braci, drugi seminarium. Morał płynący z opowieści był jednak taki sam, choć grali różne role. Wilson pisał traktaty, w których wyjaśniał, dlaczego Amerykanie powinni porzucić „ślepe oddanie" konstytucji, Teddy zaś ujeżdżał cały ten dokument, robiąc, co chciał, i wygłaszając wojownicze przemówienia o tym, jak to sądy opowiedziały się przeciwko „prawom obywatelskim" i „nie nadążają" za nową rzeczywistością. William Howard Taft, szlachetny następca Roosevelta, ale pozostający w jego cieniu, być może nie ubiegałby się o ponowny wybór na urząd prezydenta, przez co Roosevelt nie otrzymał nominacji republikanów, gdyby nie był przekonany, że „niecierpliwość Roosevelta z powodu tego, że prawo nie nadąża, upodabniała go do Napoleona".[112]

Przez progresywizm przebiegało wiele uskoków. Z jednej strony byli w nim tacy ludzie, jak John Dewey i Jane Addams, bardziej socjalistyczni i akademiccy w swoim podejściu do polityki. Z drugiej byli nacjonaliści, odwołujący się bardziej bezpośrednio do patriotyzmu i militaryzmu. Wilson i Roosevelt reprezentowali w przybliżeniu te dwie strony Podobnie jak narodowi socjaliści, często dzielący się na dwa obozy, w których przykładano większą wagę albo do kwestii narodowościowych, albo do programu socjalistycznego, jedni progresywiści koncentrowali się na reformach społecznych, inni natomiast podkreślali „wielkość" Ameryki.

Można też ująć to w ten sposób, że Roosevelt ucieleśniał męską stronę ruchu, partię tatusia, podczas gdy Wilson reprezentował stronę macierzyńską. Bezsprzecznie Roosevelt przy każdej nadarzającej się okazji głosił „męskie cnoty". Chciał, żeby rządząca elita brała od kasty wojowników (metaforycznej) symbolizującej „twarde życie", żeby stanowiła merytokrację energii, zdecydowaną zwalczać dekadencję życia „łatwego". Rządząca elita Wilsona miała się wywodzić z dostrzegających przyczyny społecznego rozkładu technokratów biurokratów i pracowników społecznych, którzy nie kierowaliby się interesami własnymi czy określonych partii.

Niewielu progresywistów uważało te wartości za przeciwstawne. Nie było jakiegoś albo/albo między militarystycznym nacjonalizmem a reformami progresywistycznymi. Te kierunki raczej się uzupełniały (podobna komplementarność istniała, jak się przekonamy, między różnymi odłamami progresywistycznych eugeników). Weźmy na przykład senatora Alberta I. Beveridge'a, najważniejszego progresywistę w amerykańskim Senacie w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku. Kiedy powieść *Dżungla* Uptona Sinclaira ujawniła horror branży producentów konserw mięsnych, Beveridge stanął na czele walki o reformę, popierając ustawę o inspekcji mięsa, przyjętą w roku 1906. Kierował walką z zatrudnianiem dzieci i kampanią w sprawie ośmiogodzinnego dnia pracy. Był zapewne głównym sojusznikiem Theodore'a Roosevelta w Senacie, kiedy progresywiści zbuntowali się przeciwko „ konserwatywnemu" skrzydłu Partii Republikańskiej. Był postrachem grup szczególnych interesów, magnatów kolejowych i trustów, a przyjacielem reformatorów, obrońców środowiska i wszelkich zwolenników nowoczesności. A jednocześnie był do szpiku kości żądnym krwi imperialistą. „Opozycja mówi nam, że nie powinniśmy rządzić narodem bez jego zgody. Odpowiadam na to, że zasada swobody, mówiąca, że władza wszystkich sprawiedliwych rządów wynika ze zgody rządzonych, stosuje się tylko do tych, którzy potrafią się rządzić samodzielnie".[113] Progresywiści zasiadający w Kongresie aktywnie popierali lub akceptowali właściwie każdą większą wyprawę wojenną administracji Roosevelta i Tafta. Za Wilsona byli zdecydowanie bardziej wojowniczy niż Biały Dom. Tymczasem to konserwatyści w Kongresie zwalczali wydatki na takie cele, jak „potężna marynarka", kamień węgielny projektu tworzenia imperium. Należy sobie zdawać sprawę, że imperializm był dla progresywizmu równie ważny jak działania podejmowane w celu uporządkowania podaży żywności czy zapewnienia bezpieczeństwa w fabrykach.[114]

Wybory przeprowadzone w roku 1912 w zasadzie były referendum na temat tego, jakiego progresywizmu Ameryka chce, a przynajmniej w tej kwestii, jaki dostanie. Atakowany ustępujący prezydent William Howard Taft nigdy nie chciał być prezydentem. Jego prawdziwym marzeniem, które później zrealizował, było stanowisko prezesa Sądu Najwyższego. Taft mówił poważnie, kiedy twierdził, że w tym wyścigu to on był konserwatystą. Był **konserwatywnym liberałem** – jednym z ostatnich z tej wymierającej kategorii. Wierzył, że klasycznego liberalizmu – albo jego wersji dość praktycznej, wynikającej ze znajomości spraw tego świata – należy bronić przed ideologami, którzy chcieliby wprowadzić do prawa własną wolę.

Dzisiaj problemy poruszane podczas kampanii prowadzonej w 1912 roku wydają się mało ważne i odległe. Wilson lansował „nową wolność", obejmującą to, co nazywał „drugą walką o emancypację" – tym razem chodziło o wyzwolenie spod władzy trustów i wielkich korporacji. Roosevelt głosił „nowy nacjonalizm", w którym przyjmowano odmienne spojrzenie na korporacje. Theodore, słynny pogromca trustów, przystał z oporami na „wielkość" i teraz uważał, że państwo powinno wykorzystywać trusty do swoich celów zamiast się angażować w niekończącą się i bezowocną walkę o ich rozbicie. „Wysiłki zmierzające do udaremnienia wszelkich kombinacji zawiodły – wyjaśniał. – Rozwiązaniem nie są próby powstrzymania takich kombinacji, ale objęcie ich pełną kontrolą w interesie publicznym". Nowy nacjonalizm Theodore'a Roosevelta składał się w równych częściach z nacjonalizmu i socjalizmu. „Ten nowy nacjonalizm – przekonywał Roosevelt – słusznie utrzymuje, że każdy człowiek posiada własność przy założeniu, iż społeczność ma ogólne prawo ustalania zasad korzystania z tego prawa własności, aby się to odbywało zgodnie z wymogami dobra publicznego". Tego rodzaju sformułowania rodziły zaniepokojenie klasycznych liberałów (znów coraz częściej nazywanych konserwatystami), którzy się obawiali, że Theodore Roosevelt pogwałci amerykańskie swobody. „Do czego to doprowadzi? – pytał liberalny redaktor nowojorskiego pisma „World", pisząc o pospiesznych dążeniach do centralizacji władzy w Stanach Zjednoczonych. – Do despotyzmu? Do cezaryzmu?".[115]

Huey Long[116] wypowiedział słynne słowa (a może mu je tylko przypisano), że jeżeli faszyzm przyjdzie kiedyś do Ameryki, zostanie nazwany „amerykanizmem". Interesujące, że taką właśnie nazwę swojej nowej ideologii nadał Theodore Roosevelt. Nie wszyscy byli ślepi na tę niepokojącą cechę osobowości Roosevelta. Ameryka, „którą Roosevelt sobie wymarzył, była czymś na kształt rozdętych Prus, wojowniczych na zewnątrz i mocno trzymanych w ryzach wewnątrz" – pisał H.L. Mencken. Wyśmiewając Roosevelta jako „Tammany Nietzschego"[117] nawróconego na „religię militarystów", Mencken krytykował go za to, że podkreśla znaczenie „obowiązków obywatela wobec państwa, natomiast do kwestii obowiązków państwa wobec obywatela przykłada znacznie mniejszą wagę".[118]

W tym kontekście Wilson był postrzegany jako kandydat nieco bardziej konserwatywny, gdyż był bliższy dziewiętnastowiecznemu leseferystycznemu liberalizmowi. Obiecywał, że ograniczy rządowi możliwości centralizowania władzy przez to, że zapędzi przemysł do jednego łóżka z państwem. W słynnym przemówieniu wygłoszonym w czasie kampanii w nowojorskim Klubie Prasy oświadczył: „Historia wolności jest historią ograniczania władzy rządu". Niestety, trudno traktować poważnie jego wypowiedzi prowolnościowe. Zaledwie dwa tygodnie po wystąpieniu w Klubie Prasy Wilson wrócił do progresywistycznej niechęci do indywidualizmu: „Chociaż jesteśmy uczniami Jeffersona, jest jedna z jego zasad, która nie może mieć zastosowania w praktycznej polityce Ameryki. Jak wiecie, to Jefferson powiedział, że najlepszym rządem jest ten, który jak najmniej rządzi. [...] **Ale te czasy minęły. Ameryka nie jest teraz i nie może być w przyszłości miejscem dla nieograniczonej inicjatywy prywatnej**".[119]

Ponieważ Wilson ostatecznie rządził przede wszystkim jako nowy nacjonalista, subtelniejsze różnice między platformami jego i Roosevelta nie mają większego znaczenia dla naszych celów. Tak czy inaczej, Ameryka w roku 1912 miała dostać progresywistycznego prezydenta. Wprawdzie ci z nas, którzy mają słabość do Theodore'a Roosevelta, mogą sobie myśleć, że sprawy wyglądałyby zupełnie inaczej, gdyby to on wygrał, ale prawdopodobnie sami siebie oszukujemy.

Jak to się stało tutaj

Przeważa dzisiaj założenie, że do narodzin faszyzmu w Europie doszło całkowicie niezależnie, że ze względu na liczne narodowe i kulturowe różnice między Ameryką a Europą w Stanach Zjednoczonych nie mógłby się pojawić. Ale to zupełnie nie ma sensu. Progresywizm, a później także faszyzm były ruchami międzynarodowymi – i początkowo formami wyrażenia wielkich nadziei – które przybierały w różnych krajach różnorodne formy, ale czerpały z tych samych źródeł intelektualnych. Wiele idei i wielu intelektualistów podziwianych przez faszystów i nazistów było równie wpływowych w Stanach Zjednoczonych jak we Włoszech i w Niemczech i odwrotnie. Na przykład Henry George, radykalny populistyczny guru amerykańskich reform, był bardziej ceniony w Europie niż w Ameryce. Jego poglądy nadawały kształt narodowym (*völkisch*) teoriom ekonomicznym, na których początkowo bazowała partia nazistowska. Jego książka zatytułowana *Progress and Poverty* (Postęp i nędza) wzbudziła sensacje wśród brytyjskich socjalistów. Kiedy zięć Marksa przybył do Ameryki propagować socjalizm naukowy, był tak oczarowany George'em, że po powrocie do Europy głosił ewangelię amerykańskiego populizmu.

Od lat dziewięćdziesiątych XIX wieku do I wojny światowej zakładano po prostu, że progresywiści działający w Ameryce toczą tę samą walkę co różne socjalistyczne i „nowoliberalne" ruchy działające w Europie.[120] William Allen White, słynny progresywista z Kansas, oświadczył w roku 1911: „Byliśmy częściami tego samego ruchu, w Stanach Zjednoczonych i w Europie. Coś nas spawało w jedną społeczną i ekonomiczną całość z lokalnymi wariantami politycznymi. Był Stubbs w Kansas, Jaurès w Paryżu, socjaldemokraci [tj. socjaliści] w Niemczech, socjaliści w Belgii i – rzekłbym – wszyscy Holendrzy. Wszyscy walczyli o wspólną sprawę". Kiedy Jane Addams poparła nominację Teddy'ego Roosevelta – podczas konwencji Partii Progresywnej w roku 1912 – oświadczyła: „Ta nowa partia stała się amerykańską przedstawicielką ogólnoświatowego ruchu na rzecz sprawiedliwszego ładu społecznego, ruchu, który Stany Zjednoczone z niewytłumaczalnym opóźnieniem w stosunku do innych wielkich narodów zaczynają włączać do działań politycznych".[121]

W ostatecznym rachunku jednak Ameryka była uczniem czarnoksiężnika, europejskiego mistrza. Z europejskich intelektualnych źródeł amerykańscy pisarze i działacze czerpali jak ludzie umierający z pragnienia. „Nietzsche jest wszędzie – pisał recenzent dziennika „New York Times" w roku 1910. – Cokolwiek weźmie się do ręki z literatury spekulatywnej, prędzej czy później natkniemy się na nazwisko Nietzschego". Niżej pisał: „Wiele z pragmatyzmu prof. [Williama] Jamesa wykazuje obiecujące podobieństwo do twierdzeń Nietzschego". Zauważając, że Roosevelt stale czytał niemieckie książki i „pożyczał" z filozofii Nietzschego, Mencken (sam poważnie, choć niedoskonale studiował Nietzschego) konkludował: „Theodore połknął Friedricha jak chłop wodę Peruna – z butelką, korkiem, etykietą i ulotkami".[122] William James, wzorcowy filozof amerykański, nie zaniedbywał też południowej części kontynentu. Jak wspomniano wyżej, pilnie studiował włoskich pragmatystów, pracowicie kładących fundamenty pod faszyzm Mussoliniego, Mussolini zaś często uznawał swój dług wobec Jamesa i amerykańskiego pragmatyzmu.

Nie było jednak narodu, który wpłynął na myśl amerykańską w stopniu większym od Niemców. W.E.B. DuBois, Charles Beard, Walter Weyl, Richard Ely, Nicholas Murray Butler i niezliczeni inni twórcy współczesnego amerykańskiego liberalizmu należeli do dziewięciu tysięcy Amerykanów, którzy w XIX wieku studiowali na niemieckich uniwersytetach. Pięciu z sześciu pierwszych członków zarządu Amerykańskiego Stowarzyszenia Ekonomicznego, które utworzono w tym okresie, studiowało wcześniej w Niemczech. Podobnie jak co najmniej dwudziestu z pierwszych dwudziestu sześciu prezesów. W roku 1906 pewien profesor z Yale przeprowadził ankietę wśród stu szesnastu najwybitniejszych ekonomistów i przedstawicieli nauk humanistycznych w Stanach Zjednoczonych – więcej niż połowa studiowała w Niemczech przynajmniej przez rok. Ci intelektualiści sami twierdzili, że poczuli się „wyzwoleni" dzięki

studiom w intelektualnym środowisku wychodzącym z założenia, że eksperci mogą kształtować społeczeństwo jak glinę.[123]

W umysłach i sercach amerykańskich progresywistów żaden polityk europejski nie mógł się równać z Ottonem von Bismarckiem. Choć to bardzo niewygodne dla tych, którym wpojono przekonanie o „ciągłości między Bismarckiem a Hitlerem" – pisze Eric Goldman – Niemcy Bismarcka były „katalizatorem amerykańskiej myśli progresywistycznej". Bismarckowski „odgórny socjalizm", który zapewnił ośmiogodzinny dzień pracy, opiekę zdrowotną, ubezpieczenia społeczne i tym podobne, stał się parytetem złota dla oświeconej polityki społecznej. „Dawajcie pracującemu człowiekowi prawo do pracy dopóty, dopóki mu zdrowie pozwala, zapewnijcie mu opiekę, kiedy zachoruje, i zapewnijcie mu utrzymanie na starość" – wypowiedział Bismarck swoje słynne słowa w Reichstagu w roku 1862. Bismarck pierwszy głosił „trzecią drogę", która miała łączyć elementy z obu krańców ideologicznego spektrum. „Rząd nie może się wahać, kiedy już obrał kurs. Nie może spoglądać w lewo ani w prawo, tylko iść na przód" — mówił. Platforma wyborcza Partii Progresywnej głoszona przez Theodore'a Roosevelta w 1912 roku wyraźnie czerpała z modelu pruskiego. Dwadzieścia pięć lat wcześniej politolog Woodrow Wilson pisał, że państwo opiekuńcze Bismarcka było „ustrojem godnym podziwu, [...] najczęściej studiowanym i naśladowanym" na całym świecie".[124]

W istocie niewiele postaci uosabia zagraniczny, zwłaszcza niemiecki wpływ na progresywizm lepiej niż sam Wilson. Jego przekonanie, że społeczeństwo można kształtować zgodnie z wolą społecznych planistów, ukształtowało się na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa, pierwszej amerykańskiej uczelni utworzonej na wzór niemiecki. Prawie wszyscy profesorowie Wilsona studiowali w Niemczech, podobnie jak prawie wszyscy z pięćdziesięciu trzech pracowników naukowych uczelni. Jego najwybitniejszym i mającym na niego największy wpływ nauczycielem był Richard Ely, „czołowy amerykański ekonomista", który w swoim czasie był ważniejszy dla progresywizmu niż Milton Friedman albo Friedrich Hayek dla współczesnego konserwatyzmu. Mimo nieukrywanej wrogości do własności prywatnej oraz sympatii do tego, co dziś nazwalibyśmy 'maccartyzmem', Ely nie był zwolennikiem odgórnego socjalizmu w stylu Bismarcka. Raczej uczył studentów, żeby wyobrażali sobie socjalizm ducha, który w ludzkich sercach miał zastąpić leseferyzm. Ely później przeniósł się na Uniwersytet Wisconsin, gdzie współtworzył „model z Wisconsin", system nadal uwielbiany przez lewicowych intelektualistów wszędzie tam, gdzie pracownicy naukowi współrządzą stanem. Ely był również mentorem Theodore'a Roosevelta, który powiedział, że Ely „najpierw zapoznał mnie z radykalizmem w ekonomii, a potem sprawił, że wyznawałem zdrowy radykalizm".[125]

Wilson podziwiał Bismarcka nie mniej niż Teddy Roosevelt i wszyscy inni progresywiści. W college'u napisał pełną zachwytów pracę, w której nie szczędził pochwał temu „imponującemu geniuszowi", który połączył „moralną siłę Cromwella i polityczny spryt Richelieu, wszechstronny umysł Burke'a, [...] dyplomatyczne zdolności Talleyranda, ale bez jego chłodu". Dalej Wilson chwali „przenikliwość intuicji, jasność sądu i szybkość decyzji" żelaznego kanclerza, kończąc smutnym stwierdzeniem „Prusy nieprędko znajdą nowego Bismarcka".[126]

Bismarck chciał uprzedzić żądania zwiększenia demokracji, dając ludziom to, czego mogliby się domagać przy urnach wyborczych. Jego odgórny socjalizm był mistrzowskim makiawelicznym pociągnięciem, ponieważ uzależniał klasę średnią od państwa. Klasa średnia wyciągnęła z tego wniosek, ze oświecony rząd nie jest **produktem** demokracji, lecz rozwiązaniem **alternatywnym**. Pół wieku później ta logika okazała się katastrofalna. Ale właśnie ta logika urzekła progresywistów. Jak to ujął Wilson, istotą progresywizmu jest to, że jednostka „żeni swoje interesy z interesem państwa".[127]

Najbardziej wpływowym myślicielem wyznającym takie poglądy – i kolejnym wielkim wielbicielem Bismarcka – był człowiek, który posłużył za intelektualny pomost między Rooseveltem a Wilsonem, mianowicie Herbert Croly, autor publikacji zatytułowanej *The Promise of*

American Life (Obietnica amerykańskiego życia), założyciel pisma „New Republic” i guru stojący za Nowym Nacjonalizmem Roosevelta.

Gdy Taft został wybrany na prezydenta, co się stało w 1908 roku, Roosevelt chciał dać swojemu protegowanemu więcej swobody i udał się najpierw na słynne afrykańskie safari, a potem na objazd Europy w celu zebrania informacji na miejscu. W którymś momencie wziął do ręki publikację Herberta Croly'ego, którą mu przesłał zaprzyjaźniony z nim sędzia Billings Learned Hand. Książka okazała się objawieniem. „Nie wiem, kiedy przeczytałem książkę, której bym tak wiele zawdzięczał – pisał do Croly'ego. – Chciałbym tylko móc lepiej w praktycznej formie doradzać rodakom zgodnie z zasadami, które pan przedstawił”.[128] W tym czasie wiele osób uważało, że to książka Croly'ego skłoniła Roosevelta do powtórnego ubiegania się o prezydenturę – bardziej prawdopodobne jest jednak to, że książka dostarczyła przekonywującego intelektualnego powodu do jego powrotu do polityki.

Nawet gdyby wkład Croly'ego do amerykańskiego liberalizmu ograniczył się do tej jednej książki, i tak Croly byłby jednym z najważniejszych głosów w amerykańskiej historii intelektualnej. Kiedy książka się ukazała, w 1909 roku, Felix Frankfurter opiewał ją jako „najbardziej znaczący wkład w myślenie progresywne”.[129] Wychwalały książkę dziesiątki recenzentów. Bardziej niż jakikolwiek inny autor Croly uchodził za tego, który spójnie wyraził zasady ruchu progresywistycznego i jego następcy, współczesnego liberalizmu. Croly do dzisiaj pozostaje guru liberałów, chociaż większość z nich zapewne nigdy nie przeczytała jego grubego, dziwacznego, często nudnego i męczącego dzieła. Fakt, że jest to tak źle napisana książka, może sygnalizować, że jej popularność wypływała z czegoś ważniejszego niż jej styl: ta książka nadała formę idei, której czas nadszedł.

Croly był cichym mężczyzną, który dorastał w domu hałaśliwych rodziców. Jego matka była jedną z pierwszych amerykańskich felietonistek i zdeklarowaną „feministką”. Ojciec był cenionym dziennikarzem i redaktorem, nazywanym przez przyjaciół „wielkim nakłaniaczem” (The Great Suggester). Ich dom w przekonaniu pewnego historyka stanowił „europejską wyspę w Nowym Jorku”.[130] Najciekawszą cechą seniora Croly'ego – jeżeli określenie „ciekawy” rozumiemy jako 'stuknięty' – była jego obsesja na punkcie Augusta Comte'a, na poły mistycznego francuskiego filozofa, którego największym tytułem do sławy jest wymyślenie słowa „socjologia”. Comte twierdził, że ludzkość rozwijała się w trzech etapach i że na ostatnim z nich ludzie odrzucą chrześcijaństwo i zastąpią je nową „humanistyczną” religią, która połączy religijny zapał z nauką i rozumem – do tego stopnia, że zrobi „świętych” z takich postaci jak Shakespeare, Dante i Fryderyk Wielki”.[131] Comte wierzył, że wiek masowego uprzemysłowienia i technokracji uwolni umysł człowieka od świata metafizycznego na dobre i wprowadzi epokę pragmatycznych menedżerów, polepszających dolę wszystkich ludzi zgodnie z zasadami moralności ustanowionej przez człowieka. Sam siebie namaścił na najwyższego kapłana tej ateistycznej, świeckiej wiary, którą nazwał pozytywizmem. Starszy Croly zmienił swój dom w Greenwich Village w pozytywistyczną świątynię, gdzie odprawiał religijne ceremonie dla wybranych gości, których usiłował nawracać. W roku 1869 młody Herbert został pierwszym i prawdopodobnie ostatnim Amerykaninem ochrzczonym w religii Comte'a.

Croly uczęszczał na Uniwersytet Harvarda, ale z powodu problemów rodzinnych i osobistych opuszczał wiele zajęć. Do jego najważniejszych nauczycieli należeli William James oraz Josiah Royce i George Santayana. Od Jamesa nauczył się myśleć pragmatycznie. Dzięki Royce'owi nawrócił się z pozytywizmu na progresywistyczne chrześcijaństwo. Santayana przekonał go do konieczności „narodowego odrodzenia” i nowej „socjalistycznej arystokracji”. Rezultatem wszystkich tych wpływów był wybitnie zdolny młody człowiek, reprezentujący wyjątkowo trzeźwy umysł bez utraty mistycznego zapału. Był także faszystą. A przynajmniej wyrażał prefaszystowski światopogląd, który po niewielu latach wyda się proroczy.

Kiedy czytamy o Herbercie Crolym, często trafiamy na zwroty takie, jak „Croly nie był faszystą, ale...”. Niewielu autorów podejmuje jednak trud wyjaśnienia, dlaczego to niby nie był

faszystą. Większość, jak się zdaje, uważa za rzecz po prostu niemożliwą to, że założyciel pisma „New Republic" miałby być uczniem Mussoliniego. W rzeczywistości jednak prawie każdy punkt ze standardowej listy cech faszyzmu można znaleźć we wspominanej tu jego książce. Potrzeba mobilizowania społeczeństwa na wzór armii? Jest! Wezwanie do duchowego odrodzenia? Jest! Potrzeba wielkich rewolucyjnych przywódców? Jest! Odwoływanie się do wytworzonych, jednoczących „mitów" narodowych? Jest! Pogarda dla demokracji parlamentarnej? Jest! Niemarksistowski socjalizm? Jest! Nacjonalizm? Jest! Duchowe wezwanie do ekspansji militarnej? Jest! Potrzeba przekształcenia polityki w religię? Wrogi stosunek do indywidualizmu? Jest! Jest! Jest! Parafrazując Whittakera Chambersa, możemy powiedzieć, że prawie z każdej stronicy książki *The Promise of American Life* dociera głos płynący z bolesnej konieczności i nakazujący „Ku faszyzmowi marsz!".

Croly był jawnym nacjonalista, który marzył o „narodowym reformatorze [...] w przebraniu archanioła Michała z ognistym mieczem i skrzydłami", odkupującym dekadencką Amerykę. Ten świecki „naśladowca Chrystusa" skończyłby z samolubnym indywidualizmem, tak jak prawdziwy Jezus zamknął starotestamentowy rozdział historii ludzkości. „Jednostka – pisał Croly zupełnie w duchu Wilsona – nie ma sensu w oderwaniu od społeczeństwa, w którym ukształtowała się jej osobowość". Wtórując zarówno Wilsonowi, jaki Theodorowi Rooseveltowi, Croly głosił, że „życie narodowe" powinno przypominać szkołę, a dobra szkoła często wymaga „surowych środków przymusu".[132]

Idee Croly'ego zwróciły uwagę Willarda Straighta, bankiera inwestycyjnego z firmy brokerskiej J.P. Morgan i dyplomaty, oraz jego żony Dorothy pochodzącej z rodziny Whitneyów. Straightowie, znani filantropi i reformatorzy, ujrzeli w ideach Croly'ego mapę ukazującą drogę wiodącą do przekształcenia Ameryki w „progresywną demokrację" (tytuł innej książki Croly'ego) i postanowili poprzeć jego starania o uruchomienie pisma „New Republic", które miało „badać, rozwijać i stosować idee głoszone przez Theodore'a Roosevelta, kiedy był przywódcą Partii Progresywnej".[133] Przyłączyli się do Croly'ego jako redaktorzy Walter Weyl, socjalista-nacjonalista, jak się sam określał, i przyszły mędrzec nad mędrcami Walter Lippmann.

Podobnie jak Roosevelt, Croly i jego koledzy liczyli na wiele kolejnych wojen, ponieważ wojna była według nich akuszerką postępu. Croly uważał, że największe znaczenie wojny hiszpańsko-amerykańskiej polegało na tym, że dzięki niej zrodził się progresywizm.

W Europie wojny wymuszały intensywniejszą unifikację narodową, a w Azji wojny były konieczne do imperialnej ekspansji i do tego, żeby silne narody mogły upuścić sobie nieco pary. Croly zbudował ten światopogląd z elementów, które w jego przeświadczeniu składały się na życiową konieczność. Uprzemysłowienie, wstrząsy gospodarcze, „dezintegracja" społeczna, materialistyczna dekadencja i kult pieniądza rozdzierały Amerykę, a przynajmniej tak uważali on i zdecydowana większość progresywistów. Lekarstwem na ten „chaotyczny indywidualizm naszej organizacji politycznej i gospodarczej" miało być „odrodzenie" pod kierunkiem świętego-bohatera, który przezwycięży zużyte doktryny liberalnej demokracji na rzecz dążeń do utworzenia odrodzonego i bohaterskiego narodu. Podobieństwa do konwencjonalnej teorii faszyzmu powinny być oczywiste.[134]

Można by bronić Croly'ego, zauważając, że takie pomysły pod koniec XIX wieku po prostu wisiały w powietrzu jako pospolity zestaw odpowiedzi na wspólną atmosferę oczekiwania na zmiany społeczne, gospodarcze i polityczne. I to właśnie **jest częścią mojej argumentacji**. Były, oczywiście, znaczne różnice między faszyzmem a progresywizmem, głównie wynikające z różnic kulturowych między Europą a Ameryką, a także między kulturami narodowymi generalnie. (Kiedy Mussolini zaprosił przywódcę Falange Española, czyli hiszpańskich faszystów, na pierwszy kongres faszystowski, ten stanowczo odmówił. Falanga, oświadczył, nie jest faszystowska, lecz hiszpańska!).

Faszyzm był jedną z nazw nadanych jednej formie „eksperymentu" w latach dwudziestych XX wieku. Eksperymenty te stanowiły część wielkich utopijnych aspiracji „ogólnoświatowego

ruchu", o którym mówiła Jane Addams na konwencji Partii Progresywnej. Na Zachodzie wśród progresywistów wszelkich odmian nastąpiło jakieś religijne przebudzenie i wszędzie ludzie wyrywali wodze historii z rąk Boga. Nową Biblią była nauka – albo to, co uważano za naukę – a naukę można uprawiać tylko w formie „eksperymentu". I – co jest równie ważne – tylko uczeni wiedzą, jak należy właściwie przeprowadzać eksperymenty. „Kim będą prorocy i piloci Dobrego Społeczeństwa?" – pytał Herbert Croly w roku 1925. Zwracał uwagę, że od kilkudziesięciu lat progresywistyczni liberałowie wierzą, że „lepsza przyszłość będzie wynikiem zbawiennej działalności specjalistów od inżynierii społecznej, którzy do służby ideałom społecznym wprzęgną wszystkie techniczne zasoby, jakie badania mogą odkryć, a ludzki geniusz wymyślić". Pięć lat wcześniej Croly napisał w „New Republic", ze osoby wcielające w życie „metodę naukową" powinny połączyć siły z „ideologami" Chrystusa, w celu „zaplanowania i zrealizowania odkupieńczej transformacji" społeczeństwa, w którym człowiek byłby uwolniony od wyboru „między nieodkupionym kapitalizmem a rewolucyjnym zbawieniem".[135]

Żeby lepiej zrozumieć ducha tej faszystowskiej chwili w historii, musimy się przyjrzeć, jak progresywiści oceniali dwa inne „eksperymenty" tego czasu, mianowicie włoski faszyzm i rosyjski bolszewizm. Wspomniano o tym w rozdziale pierwszym, ale warto to powtórzyć: liberałowie często uważali dążenia Mussoliniego i program Lenina za kwestie powiązane. Lincoln Steffens mówił o „rosyjsko-włoskiej" metodzie, jakby faszyzm i bolszewizm tworzyły jedno przedsięwzięcie.

W szczególności pismo „New Republic" zamieszczało niekiedy optymistyczne wypowiedzi dotyczące obu eksperymentów. Niektórzy bardziej się zachwycali wysiłkami Włochów. Na przykład Charles Beard następująco pisał o dążeniach Mussoliniego: „To jest całkowicie odmienne od mroźnej dyktatury rosyjskiego caratu, bardziej przypomina amerykański system podziału władz i może się rozwinąć w nowym demokratycznym kierunku. [...] Bez wątpienia przeprowadza się tutaj zdumiewający eksperyment, próbę pogodzenia indywidualizmu z socjalizmem i polityki z technologią. Błędem byłoby pozwolić, żeby emocje wywołane brutalnymi środkami i ekstrawaganckimi twierdzeniami, które towarzyszyły upowszechnianiu się faszyzmu (podobnie jak we wszystkich innych wielkich przemianach w historii) przesłoniły ogromne możliwości i nauki płynące z tej przygody – nie, nie przygody, ale przeznaczenia pędzącego na oklep przez ten historyczny półwysep, łączący starożytność z naszym nowoczesnym światem".[136]

Ten entuzjazm bladł w porównaniu z tym, jak progresywiści witali „eksperyment" sowiecki. Wielu z pozostałych lewicowców niechętnie nastawionych wobec wojny zaczęło ją entuzjastycznie popierać, kiedy się dowiedziało o bolszewickiej rewolucji. Nagle siły historii zdawały się potwierdzać rewolucyjne wypowiedzi Wilsona (sam Wilson uważał obalenie cara przez rząd Kiereńskiego za usunięcie ostatniej rzeczy, która przeszkadzała w przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny, bo nie musiał już przez to być sojusznikiem despotycznego reżimu). Fala entuzjastycznych dziennikarzy udała się do Moskwy, żeby pisać kronikę rewolucji i przekonywać amerykańskich liberałów, że historia ruszyła z kopyta w Rosji.

Szarżę prowadził John Reed, autor książki *Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem*. Reed był niepoprawnym admiratorem bolszewików. Odrzucał lekceważąco oskarżenia o Czerwony Terror i masowe mordy niebolszewickich rewolucjonistów socjalistycznych: „Nic mnie nie obchodzą ich przeszłe zasługi. Obchodzi mnie tylko to, co ta zdradziecka banda wyczyniała przez ostatnie trzy lata. Pod ścianę z nimi! Nauczyłem się pewnego potężnego, bardzo wyrazistego słowa: *razstrielat'*!". Progresywistyczny intelektualista Edward Alsworth Ross – o którym jeszcze będzie tu mowa – przyjął powszechnie stosowaną taktykę i twierdził, że bolszewicy zabili stosunkowo niewielu opozycjonistów, więc właściwie nie ma o czym mówić.[137] Reed i Ross przynajmniej przyznawali, że bolszewicy mordowali. Wielu probolszewickich liberałów po prostu zaprzeczało, że Czerwony Terror miał miejsce.

Tak zaczęło się prawie stulecie świadomych kłamstw i użytecznego idiotyzmu amerykańskiej lewicy. Kiedy bolszewicy obalili rząd Kiereńskiego, wyrażona przez Wilsona odmowa uznania ich rządu – i jego późniejsza interwencja zbrojna na Syberii i w Murmańsku –

były potępiane jako „nóż w plecy Rosji”, ponieważ większość liberałów postrzegała bolszewików jako ruch ludowy i postępowy. Pewien brytyjski dziennikarz na łamach pisma „New Republic” głosił, że bolszewicy „symbolizują racjonalizm, inteligentny system uprawy ziemi, szkolnictwo, aktywny ideał współpracy i służby społecznej przeciwstawiające się przesądom, marnotrawstwu, analfabetyzmowi i biernemu posłuszeństwu”. Jak zauważył historyk Eugene Lyons, ci uczestnicy probolszewickiej krucjaty „pisali jak natchnieni prorocy atakowanej ze wszystkich stron rewolucji, [...] oślepieni wizją przyszłości”.[138]

Oczywiście nie wszyscy obserwatorzy o skłonnościach lewicowych dawali się nabrać bolszewikom. Przejrzał ich propagandę Bernard Russell, podobnie jak amerykański socjalista Charles E. Russell. Jednak większość progresywistów wierzyła, że bolszewicy znaleźli drogę ze starego świata i że należy iść za ich przykładem. Kiedy skończyła się wojna i progresywizm został zdyskredytowany w oczach Amerykanów, intelektualiści nadal uważali Związek Sowiecki i faszystowskie Włochy za przykłady nowej drogi, z której Ameryka głupio zrezygnowała po znakomitym eksperymencie z socjalizmem wojennym.

Prawie cała liberalna elita, łącznie z większością Trustu Mózgów Roosevelta, odbywała pielgrzymki do Moskwy, żeby robić pełne podziwu notatki poświęcone sowieckiemu eksperymentowi. Ich język był zarówno religijnie proroczy, jak i arogancko naukowy. Stuart Chase donosił po wizycie w Rosji W roku 1927, że w odróżnieniu od Ameryki, gdzie decyzje gospodarcze podejmują „chciwi akcjonariusze”, w Związku Sowieckim ster jest w dłoniach troskliwego państwa „informowanego przez bataliony statystyków” i bohatersko wspieranego przez działaczy partii komunistycznej, którzy „nie potrzebują zachęty poza żarliwym pragnieniem stworzenia nowego nieba i nowej ziemi, które płonie w piersi każdego dobrego komunisty”.[139]

W tym samym roku dwaj czołowi amerykańscy ekonomiści z zespołu twórców Nowego Ładu,[140] Rexford Guy Tugwell oraz Paul Douglas, oświadczyli, że są pod ogromnym wrażeniem sowieckiego „eksperymentu". „Tam zaczyna się nowe życie” pisał Tugwell w swoim sprawozdaniu. Lilian Wald zwiedziła rosyjskie „eksperymentalne szkoły” i donosiła, że wcielane są w nich idee Johna Deweya „co najmniej w stu pięćdziesięciu procentach”. Dla liberałów cały kraj istotnie był jedną wielką „szkołą-laboratorium”. Dewey osobiście odwiedził Związek Sowiecki i był pod wielkim wrażeniem. Jane Addams uznała bolszewickie przedsięwzięcie za „największy eksperyment społeczny w historii”. Sidney Hillman, John L. Lewis i większość pozostałych przywódców amerykańskich związków zawodowych niezwykle wylewnie wychwalała „sowiecki pragmatyzm”, eksperyment Stalina i „heroizm” bolszewików”.[141]

W.E.B. DuBois był poruszony. „Piszę to w Rosji – zawiadamiał czytelników pisma „Crisis”. – Siedzę na placu Rewolucji. [...] W zadumie zastanawiam się nad objawieniem Rosji, jakiego doznałem. Może jestem częściowo oszukany i niedoinformowany, ale jeżeli to, co widziałem na własne oczy i słyszałem na własne uszy w Rosji jest bolszewizmem, to jestem bolszewikiem.[142]

DuBois stanowi dobry przykład tego, jak faszyzm i komunizm przemawiały do tych samych progresywistycznych impulsów i aspiracji. Jak wielu progresywistów, studiował w Niemczech w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku i zachował sympatię dla modelu pruskiego. W początkach kariery był antysemitą – w 1924 roku na okładkach jego pism widniała swastyka, mimo protestów żydowskich progresywistów – i w roku 1935 wystąpiło grant do organizacji znanej z kontaktów z nazistami, której przewodził znany żydożerca jadający obiady z Goebbelsem. Naprawdę wierzył, że naziści mają wiele słusznych idei i że Ameryka może się dużo nauczyć, obserwując niemiecki eksperyment z narodowym socjalizmem. (Później DuBois potępił nazistowski antysemityzm).

I tak samo było z innymi prosowieckimi liberalnymi autorytetami. Przypomnijmy sobie, że rok przed wypowiedzią, iż widzi przyszłość w Związku Sowieckim, Lincoln Steffens mówił prawie dokładnie to samo o faszystowskich Włoszech. Heroiczny sukces faszyzmu – mówił Steffens – sprawiał, że zachodnia demokracja, rządzona przez „małych ludzi z małymi celami”, wyglądała żałośnie w porównaniu z nim. Dla Steffensa i niezliczonych innych liberałów Mussolini, Lenin i Stalin robili to samo: przekształcali skorumpowane, przestarzałe społeczeństwo. Tugwell

wychwalał Lenina jako pragmatyka, który po prostu przeprowadzał „eksperyment". To samo, jak wyjaśniał, dotyczyło Mussoliniego.

Pismo „New Republic" przez całe lata dwudzieste na podobnych podstawach broniło i faszyzmu, i komunizmu. Jak – pytał pewien czytelnik – redakcja pisma mogła uważać, że brutalność Mussoliniego była „czymś dobrym"? Croly pisał, że nie było to dobre, dodając: „Podobnie jak nie było »czymś dobrym«, powiedzmy, w przypadku Stanów Zjednoczonych rozpętanie wojny domowej dla scementowania Unii, która jednak zaowocowała zniesieniem niewolnictwa. Czasem naród znajduje się w ciężkiej sytuacji, w której najlepszym lekarstwem są środki gwałtowne".[143]

Charles Beard dobrze podsumował tę fascynację. Wyjaśniał, że wrogość Duce do demokracji to nic wielkiego. Ostatecznie „ojcowie amerykańskiej republiki, przede wszystkim Hamilton, Madison i John Adams tak wielosłownie i napastliwie [krytykowali demokrację], że każdy faszysta mógłby im pozazdrościć". Również dyktatorski styl Mussoliniego był jak najbardziej zgodny z „amerykańską ewangelią działania, działania, działania". Ale tym, co naprawdę zafascynowało Bearda, był właściwy faszyzmowi system ekonomiczny, czyli korporacjonizm. Według Bearda, Mussoliniemu udało się wprowadzić „siłą państwa najbardziej zwartą i zjednoczoną organizację kapitalistów i pracowników, jaką świat kiedykolwiek widział".[144]

W procesie racjonalizowania progresywistycznego utopizmu kluczową koncepcją było „eksperymentowanie", uzasadnione w języku nietzscheańskiego autentyzmu, darwinowskiej ewolucji oraz heglowskiego historycyzmu i wyjaśnione w żargonie pragmatyzmu Williama Jamesa. Wiedza naukowa rozwijana metodą prób i błędów. Ewolucja człowieka rozwijana metodą prób i błędów. Historia, według Hegla rozwijająca się poprzez interakcje tezy i antytezy. Eksperymenty te były tym samym procesem, realizowanym na wielką skalę. Co z tego, że Mussolini rozłupywał czaszki, a Lenin rozstrzeliwał socjalistycznych dysydentów? Progresywiści wierzyli, że uczestniczą w procesie wznoszenia się na wyższy stopień społecznej organizacji, wyposażony w nowoczesne maszyny, nowoczesną medycynę, nowoczesną politykę. Na specyficznie amerykański sposób Wilson był takim samym pionierem tego ruchu jak Mussolini. Zdeklarowany heglista – przywoływał Hegla nawet w liście miłosnym do żony – Wilson wierzył, że historia jest naukowym, rozwijającym się procesem. Darwinizm służył za idealne uzupełnienie takiego myślenia, ponieważ wydawał się potwierdzać, że „prawa" historii ujawniają się także w naszym przyrodniczym środowisku. „W naszych czasach – pisał Wilson jeszcze jako politolog – ilekroć omawiamy strukturę albo rozwój czegoś, [...] świadomie lub nieświadomie podążamy za Darwinem".[145]

Wilson wygrał wybory w 1912 roku wielką przewagą głosów w kolegium elektorów, ale w głosowaniu powszechnym uzyskał tylko 42 procent głosów. Natychmiast zabrał się do przekształcania Partii Demokratycznej w partię progresywistyczną, żeby z niej z kolei stworzyć motor transformacji Ameryki. W styczniu 1913 roku obiecywał, że będzie wybierał do swojej administracji „progresywistów i tylko progresywistów". „Nikt – oświadczył w przemówieniu inauguracyjnym – nie może się pomylić co do celu, w jakim naród pragnie wykorzystać Partię Demokratyczną. [...] Wzywam wszystkich uczciwych ludzi, wszystkich patriotów, wszystkich ludzi myślących o przyszłości, aby dołączyli do mnie. Nie zawiodę ich, jeżeli tylko będą służyć mi radą i pomocą!". Gdzie indziej jednak ostrzegał: „Jeżeli nie jesteś progresywistą, [...] lepiej uważaj".[146]

Bez mandatów lub narodowych sytuacji kryzysowych, które mogli wykorzystywać inni liberalni prezydenci, znaczące sukcesy w stanowieniu prawa Wilson zawdzięczał głównie żelaznej dyscyplinie w partii. Bezprecedensową decyzją trzymał Kongres na nieprzerwanej sesji przez półtora roku, czego nie zrobił nawet Lincoln w czasie wojny domowej. Wypowiadając się dokładnie jak zwolennik Croly'ego, nawrócił się prawie kompletnie na Nowy Nacjonalizm, który jeszcze niedawno krytykował, twierdząc, że nie chce „antagonizmu między światem biznesu a rządem".[147] W kwestiach polityki wewnętrznej Wilsonowi udało się zdobyć poparcie progresywistów ze wszystkich partii. Nie przekonał natomiast zwolenników Roosevelta do swojej koncepcji polityki zagranicznej. Mimo imperialistycznych akcji na półkuli zachodniej Wilson został

uznany za zbyt miękkiego. Senator Albert Beveridge, który poprowadził progresywistów do największego sukcesu legislacyjnego w Senacie, potępiał Wilsona za to, że nie wysłał jednostek wojskowych, aby broniły amerykańskich interesów w Chinach, i że nie zainstalował posłusznego dyktatora w Meksyku. Stopniowo rdzeń Partii Progresywnej prawie w całości oddał się sprawie „gotowości" – przez co rozumiano zbrojenia zakrojone na wielką skalę i tworzenie imperium.

Wybuch wojny w Europie w roku 1914 odwrócił uwagę Wilsona i całego społeczeństwa od spraw krajowych. Okazało się to korzystne dla amerykańskiej gospodarki, odcinając napływ taniej siły roboczej z zagranicy i zwiększając zapotrzebowanie na amerykański eksport – coś, co warto pamiętać, kiedy następnym razem ktoś wam powie, że era Wilsona jest dowodem na to, że polityka progresywistyczna zapewniła prosperity.

Mimo obietnic Wilsona, że będzie Amerykanów trzymał od tego z daleka, Ameryka przystąpiła do wojny w roku 1917. Z perspektywy czasu była to prawdopodobnie decyzja niefortunna, choć nieunikniona. Jednak skargi, że ta wojna nie leżała w interesie Ameryki, są chybione, gdyż Wilson niejednokrotnie tym właśnie się **chlubił**. „W sprawie, o którą walczymy, nie widzę ani jednego egoistycznego motywu" – deklarował. Wilson był pokornym sługą Boga i żaden egoizm nie mógł wchodzić w grę.[148] Nawet pozornie świeckim progresywistom wojna posłużyła za boże wezwanie do broni. Z determinacją chcieli się dorwać do dźwigni władzy i wykorzystać wojnę do przebudowy społeczeństwa. W stolicy podczas wojny było tak gęsto od amatorów inżynierii społecznej, że – jak zauważył pewien pisarz – „klub Kosmos przypominał radę wydziału wszystkich uniwersytetów na raz".[149] Progresywistyczni biznesmeni palili się do działania, gotowi pracować dla prezydenta prawie za darmo – stąd określenie „ludzie za dolara rocznie" (*dolar-a-year men*). Oczywiście, jak zobaczymy, byli wynagradzani w inny sposób.

Faszystowskie państwo policyjne Wilsona

Dzisiaj automatycznie utożsamiamy faszyzm z militaryzmem, trzeba jednak pamiętać, że faszyzm był militarystyczny, ponieważ na początku XX wieku militaryzm był „progresywistyczny". Cały intelektualny pejzaż, od technokratów do poetów, postrzegał armię jako najlepszy model organizacji i mobilizacji społeczeństwa. „Bitwę zbożową" Mussoliniego i podobne kampanie po obu stronach Atlantyku ukazywano jako oświecone zastosowanie głoszonej przez Jamesa doktryny „moralnego odpowiednika wojny". Głęboka ironia kryła się w tym, że celem wojennym Ameryki stało się zniszczenie „pruskiego militaryzmu", bo przecież właśnie ten pruski militaryzm inspirował tak wielu amerykańskich entuzjastów wojny. Przekonanie, że wojna jest źródłem wartości moralnych, głosili niemieccy intelektualiści w końcu XIX i na początku XX wieku, a wpływ tych intelektualistów na umysły Amerykanów był ogromny. Kiedy Ameryka przystąpiła do wojny (w roku 1917), postępowi intelektualiści, obeznani z tymi doktrynami i filozofiami popularnymi na kontynencie europejskim, skorzystali z okazji, żeby przebudować społeczeństwo poprzez dyscyplinę miecza.

To prawda, że niektórzy progresywiści uważali, iż I wojna światowa nie była należycie przemyślana pod względem podstaw prawnych, i było paru progresywistów – na przykład Robert La Follette – zdecydowanie potępiających ten konflikt (La Follette nie był pacyfistą i popierał wcześniejsze progresywistyczne awantury militarne). Większość jednak poparła wojnę entuzjastycznie, a nawet fanatycznie (to samo można powiedzieć o wielu amerykańskich socjalistach). Nawet ci, którzy mieli mieszane uczucia co do wojny w Europie, popierali gorąco to, co John Dewey nazwał „społecznymi możliwościami wojny". W okresie poprzedzającym wojnę Dewey był nadwornym filozofem „New Republic", gdzie wyśmiewał pacyfistów, którzy nie potrafią dostrzec „ogromnego bodźca do reorganizacji zapewnianego przez tę wojnę". Dostrzegały natomiast społeczne szanse wojny wczesne feministki, które – jak to ujęła Harriot Stanton Blatch – oczekiwały nowych możliwości gospodarczych dla kobiet, będących „normalnym i pozytywnym

skutkiem wojny”. Richard Ely, żarliwy zwolennik „armii przemysłowych”, był entuzjastą poboru: „Moralny skutek zgarnięcia chłopców z ulic i barów i poddania ich dyscyplinie jest znakomity, a efekty gospodarcze są podobnie korzystne”. Wilson wyraźnie widział to w ten sam sposób. „jestem miłośnikiem pokoju – zaczął jedno z typowych wystąpień – ale pewne wspaniałe rzeczy naród zdobywa, przechodząc przez dyscyplinę wojny”. Hitler nie potrafiłby ująć tego lepiej. Führer powiedział do Goebbelsa: „Wojna [...] umożliwiła nam rozwiązanie szeregu problemów, których nigdy nie udałoby się rozwiązać w normalnych czasach”.[150]

Nie należy zapominać, że wymagania wojny wspierały argumenty na rzecz socjalizmu. Dewey był uszczęśliwiony, że wojna może zmusić Amerykanów „do zrezygnowania ze znacznej części ich wolności gospodarczej. [...] Będziemy musieli odłożyć nasz dobroduszny indywidualizm i maszerować w nogę”. Jeżeli wojna przebiegnie pomyślnie, ograniczy „indywidualistyczną tradycję” i przekona Amerykanów o „wyższości potrzeb społecznych nad własnością prywatną”. Inny progresywista ujął to zwięźlej: „Leseferyzm umarł. Niech żyje społeczna kontrola”.[151]

Pismo „New Republic” Croly'ego niestrudzenie nawoływało do wojny. W pierwszym artykule wstępnym, napisanym przez Croly'ego, redakcja wyrażała nadzieję, że wojna „przyniesie organizację polityczną i gospodarczą potrafiącą lepiej wypełniać obowiązki w kraju”. Dwa lata później Croly ponownie wyraził nadzieję, że udział Ameryki w wojnie będzie „bodźcem do poważnej moralnej przebudowy”. Tydzień przed przystąpieniem Ameryki do wojny Walter Lippmann (który później miał sformułować większość z czternastu punktów Wilsona) obiecywał, że działania wojenne spowodują „przewartościowanie wartości moralnych, najbardziej radykalne w historii intelektu”. Było to przejrzyste odwołanie się do Nietzschego, który wzywał do obalenia całej tradycyjnej moralności. Nie przypadkiem Lippmann był protegowanym Williama Jamesa. Jego wezwanie, żeby wykorzystać wojnę do rozgromienia starego porządku, pokazuje, podobni byli wyznawcy Nietzschego i amerykańscy pragmatyści w swoich konkluzjach, a często i zasadach. Faktycznie Lippmann dął w pragmatystyczną trąbę, kiedy oświadczał, że nasze rozumienie takich pojęć, jak ‘demokracja’, ‘wolność’ i ‘równość’, trzeba będzie ponownie przemyśleć, „tak odważnie, jak przeanalizowano dogmaty religijne w XIX wieku”.[152]

Tymczasem socjalistyczni redaktorzy i dziennikarze – w tym wielu z „Masses”, najśmielszego z radykalnych czasopism, które Wilson usiłował zamknąć – pośpieszyli do kasy wilsonowskiego resortu propagandy. Graficy tacy, jak Charles Dana Gibson, James Montgomery Flagg czy Joseph Pennell, oraz pisarze, na przykład Booth Tarkington, Samuel Hopkins Adams i Ernest Poole, stali się tubami żądnego wojny reżymu. Muzycy, komicy, rzeźbiarze, kaznodzieje – i rzecz jasna, przemysł filmowy – wszyscy z ochotą włączyli się do prowojennego ruchu, śpiesząc przywdziać „niewidoczny mundur wojny”.

Isadora Duncan, awangardowa pionierka tego, co dzisiaj nazwano by wyzwoleniem seksualnym, tańczyła w patriotycznych programach w Metropolitan Opera. Najbardziej pamiętanym symbolem tamtego czasu jest plakat Flagga z podpisem *I Want You* (Potrzebuję ciebie) przedstawiającym Wuja Sama jako ucieleśnienie państwa, z palcem wymierzonym oskarżycielsko w ociągającego się obywatela.

Genialny, dziwaczny, kaleki Randolph Bourne był prawie jedynym wśród progresywistów, który zdawał się w pełni rozumieć, co się odbywa. Wojna ujawniła, że całe pokolenie młodych intelektualistów po kursie pragmatycznej filozofii jest nieprzygotowane do zapobieżenia temu, żeby środki stały się celem. „Szczególna zgodność wojny i tych ludzi” utworzyła jedną całość – uskarżał się Bourne. „Jest tak – konkludował ze smutkiem – jakby oni i wojna nawzajem na siebie czekali”.[153]

Wilson, wielki centralizator i przyszły przywódca ludzi, z dnia na dzień dał władzę tym entuzjastom inżynierii społecznej, tworząc mnóstwo wojennych zarządów, komisji i komitetów. Nadzorowała to wszystko rada War Industries Board (rada branż produkujących na potrzeby wojny) pod kierownictwem Bernarda Barucha, który poganiał, nakłaniał i uwodził amerykański przemysł, aby wpadł w czułe objęcia państwa długo przedtem, zanim Mussoliniemu czy Hitlerowi zaświtały

w głowach ich korporacjonistyczne doktryny. Progresywiści kierujący tą radą nie mieli złudzeń co do obranego celu. „Była to bezprecedensowa dyktatura przemysłowa, dyktatura z konieczności i za powszechną zgodą, która krok po kroku objęła w końcu cały naród i zjednoczyła go w skoordynowaną i mobilną całość”, deklarował Grosvenor Clarkson, członek, a później historyk rady WIB.[154]

Ważniejsze od uspołecznienia przemysłu było nacjonalizowanie narodu na rzecz wysiłku wojennego. „Biada człowiekowi albo grupie ludzi, którzy próbowaliby stanąć nam na drodze” – zagroził Wilson w czerwcu 1917 roku. Nawiązując do swojego przekonania, że „przywódcy ludzi” muszą manipulować emocjami mas, aprobował i nadzorował jeden z pierwszych prawdziwie orwellowskich wysiłków propagandowych w historii Zachodu. Sam nadawał ton, kiedy bronił pierwszego poboru od czasu wojny domowej. „Nie jest to w żadnym sensie służba przymusowa: to raczej wybór z narodu, który cały zgłosił się na ochotnika”.[155]

Tydzień po rozpoczęciu wojny Walter Lippmann, niewątpliwie spiesząc się do działań prowadzących do „przewartościowania wartości” – przesłał do Wilsona notatkę, w której prosił go o rozpoczęcie zakrojonej na wielką skalę akcji propagandowej. Lippmann uważał, przyznał to później – że większość obywateli to „pod względem umysłowym dzieci albo barbarzyńcy” i dlatego muszą być prowadzeni przez takich jak on ekspertów. Wolność jednostki, chociaż miła, musi być podporządkowana między innymi „porządkowi”.[156]

Wilson wyznaczył progresywistycznego dziennikarza George'a Creela na szefa Komitetu Informacji Publicznej (CPI), pierwszego nowoczesnego zachodniego ministerstwa propagandy. Creel był kiedyś demaskatorskim liberalnym dziennikarzem i komisarzem policji w Denver, który posunął się do tego, że zabronił swoim policjantom nosić długie pałki i broń palną. Natychmiast zabrał się do pracy propagandowej, zdecydowany rozgrzać społeczeństwo w „jedną rozpaloną do białości” masę pod sztandarem „stuprocentowego amerykanizmu”. „Była to walka o ludzkie umysły, o »podbój ich przekonań«, a linia frontu przebiegała przez każdy dom”, wspominał Creel. Lęk był tu istotnym narzędziem, twierdził, „ważnym elementem, który należało wszczepić ludności cywilnej. Trudno jest zjednoczyć ludzi, mówiąc tylko na wysokim poziomie etycznym. Walka w imię ideału musi być zapewne połączona z instynktem samozachowawczym”.[157]

Niezliczeni inni liberalni i lewicowi intelektualiści użyczyli swoich talentów i energii wysiłkowi propagandowemu. Edward Bernays, który zostanie uznany za twórcę dziedziny *public relations*, zdobywał doświadczenie w komitecie Creela, ucząc się sztuki „świadomej i inteligentnej manipulacji zorganizowanymi zwyczajami i opiniami mas”. Komitet Informacji Publicznej wydrukował miliony plakatów, odznak, broszurek i tym podobnych w jedenastu językach poza angielskim. Komitet miał ostatecznie przeszło dwadzieścia oddziałów z biurami w Ameryce i na świecie. Sam Wydział Wiadomości wydał przeszło sześć tysięcy komunikatów i prawie sto broszur w nakładzie ocenianym na siedemdziesiąt pięć milionów. Typowy plakat nakłaniający do nabywania obligacji wolności (Liberty Bonds) ostrzegał: „Jestem Opinią Publiczną. Wszyscy się mnie boją! [...] Jeżeli masz pieniądze, żeby kupić, a nie kupujesz, sprawię, że będzie to dla ciebie ziemia zakazana!”. Na plakacie komitetu widniało pytanie „Czy spotkałeś kajzerytę? [...] Znajdziesz go w holach hoteli, przedziałach dla palących, klubach, biurach, nawet w domach. [...] To skandalista najgroźniejszego typu. Powtarza wszystkie plotki i krytyczne zdania na temat naszego udziału w wojnie. Mówi bardzo przekonująco. [...] Tacy ludzie [...] powodowani próżnością, ciekawością albo zdradą pomagają niemieckim propagandzistom siać ziarna rozłamu”.[158]

Jednym z najlepszych pomysłów Creela – akcja „wirusowego marketingu” poprzedzająca jego późniejsza karierę – było stworzenie prawie stutysięcznej armii „ludzi czterominutowych”. Każdy został wyposażony i wyszkolony przez CPI. Ludzie ci mieli wygłaszać czterominutowe przemówienia w radach miejskich, restauracjach i kinach – wszędzie, gdzie można było zebrać słuchaczy – i głosić, że zagrożona jest „cała przyszłość demokracji”. Tylko w latach 1917-1918 wygłoszono 7. 555.190 takich przemówień w pięciu tysiącach dwustu miejscowościach. W

przemówieniach wychwalano Wilsona jako wielkiego przywódcę i przedstawiano Niemców jako półdzikich Hunów. Okrucieństwa niemieckich zbrodni wojennych niezmiennie rosły, gdy ci czterominutowcy wykonywali swoje zadanie. Komitet Creela wypuścił też filmy propagandowe z takimi tytułami jak *The Kaiser* (Kajzer), *The Beast of Berlin* (Berlińska bestia) i *The Prussian Cur* (Parszywy pruski kundel). Szkoły, oczywiście, zostały zalane fala nacjonalistycznej propagandy. Do programów szkół średnich i college'ów pośpiesznie wstawiono „kursy wiedzy o wojnie". I zawsze i wszędzie progresywiści kwestionowali patriotyzm każdego, kto nie zachowywał się jak „stuprocentowy Amerykanin".

Kolejny mianowany przez Wilsona, socjalista Arthur Bullard – były dziennikarz demaskator z radykalnego pisma „Masses" i osobisty znajomy Lenina – również był przekonany, że państwo musi rozpalić w ludziach patriotyczny zapał, jeżeli w Ameryce ma dojść do „przewartościowania", o którym marzyli progresywiści. W roku 1917 opublikował ksiażkę *Mobilising America* (Mobilizowanie Ameryki) w której twierdził, że państwo musi „elektryzować opinię publiczną", ponieważ „skuteczność naszych działań wojennych będzie zależeć od zapału, z jakim weźmiemy w nich udział". Każdy obywatel, który nie stawia potrzeb państwa ponad własnymi, jest tylko „balastem". Myślenie Bullarda dziwnie przypominało doktrynę Sorela o „żywotnym kłamstwie". „Prawda i kłamstwo to terminy uznaniowe. [...] Istnieją martwe prawdy i żywotne kłamstwa. [...] Siła idei polega na jej zdolności do inspiracji. Nie ma w gruncie rzeczy znaczenia, czy jest prawdą, czy kłamstwem."[159]

Clarence Darrow, radykalny adwokat i rzekomy libertarianin w dziedzinie swobód obywatelskich – dzisiaj przez lewicę uważany za bohatera, gdyż bronił teorii ewolucji w „małpim" procesie Scopesa – przekonywał do działań CPI i bronił rządowej kampanii na rzecz cenzury. „Kiedy słucham człowieka radzącego Amerykanom, żeby formułowali warunki pokoju – pisał Darrow w książce sponsorowanej przez rząd – to wiem, że działa on na rzecz Niemiec". W przemówieniu wygłoszonym w Madison Square Garden powiedział, że Wilson byłby zdrajcą, gdyby nie wystąpił przeciwko Niemcom, i dodał: „Każdy, kto odmawia prezydentowi poparcia w tym kryzysie, jest kimś gorszym od zdrajcy". Współczesnych liberałów może zaskoczyć opinia prawna przedstawiona przez Darrowa, że skoro Kongres podjął decyzję o wojnie, znika całkowicie prawo do kwestionowania tego postanowienia (to interesujący wzorzec, gdy weźmie się pod uwagę fakt, że wielu utrzymuje, iż administracja Busha zachowywała się bezprecedensowo, gdy stosunkowo łagodnie krytykowała głosy protestu). Z chwila, kiedy padają strzały, obywatele tracą prawo nawet do dyskutowania o tej sprawie, zarówno publicznie, jak i prywatnie: „Zgoda obywatela staje się obowiązkiem".[160] (Ironiczną wymowę ma fakt, że Amerykańska Unia na rzecz Swobód Obywatelskich – American Civil Liberties Union, ACLU – zasłynęła, opowiadając się po stronie Darrowa podczas procesu Scopesa.

System kartkowy i ustalanie cen w „dyktaturze gospodarczej" wymagały od Amerykanów wielkich poświęceń, między innymi należało przestrzegać rozmaitych dni bezmięsnych i bezpszennych, podobnie jak to się działo we wszystkich prowadzących wojnę uprzemysłowionych państwach w pierwszej połowie XX wieku. Ale taktyka stosowana przy narzucaniu tych poświęceń przyniosła ogromny postęp w dziedzinie wiedzy o totalitarnej propagandzie. Amerykanów nachodzili pukający do ich drzwi patriotyczni ochotnicy przychodzący z takim czy innym apelem. Amerykanie nie tylko mieli deklarować patriotyzm, ale i rezygnować z określonych „luksusów". Herbert Hoover, szef federalnej Agencji ds. Żywności, zasłynął jako urzędnik państwowy walczący o zaciskanie pasa, rozsyłając przeszło pół miliona domokrążców tylko w podległej sobie sprawie. Nikt nie mógłby zarzucać, że nie podchodzi do swego zadania z zapałem. „Kolacja" – ubolewał – jest jedną z najgorszych ekstrawagancji, które mamy w tym kraju".[161]

Jak zawsze w systemach totalitarnych, szczególną troska rządu były dzieci. Żądano, żeby podpisywały deklarację nazwana *Obietnicą małego Amerykanina*:

Przy stole nie zostawię ani okruszyny na talerzu.
Nie będę jadł między posiłkami, lecz zaczekam na kolację.
Składam obietnicę, że Wykonam uczciwa część pracy

dla mojej Ameryki
z całego lojalnego serca.

Dla maluchów, które nie potrafiły podpisać karty z obietnica, ani nawet jej przeczytać, progresywistyczni planiści wojenni przygotowali przerobiony wierszyk:

Mały Niebieski Chłopcze, zadmij w swój róg!
Kucharka używa pszenicy zamiast kukurydzy,
Straszny głód spadnie na nasz kraj,
Jeśli kucharki i gospodynie będą sobie mocno spać!
Obudź ich! Obudź ich! Wszystko zależy od ciebie!
Bądź lojalnym Amerykaninem, Mały Niebieski Chłopcze![162]

Rząd zasypywał kraj propaganda, a jednocześnie tłumił głosy krytyki. W ustawie o działalności wywrotowej przyjętej przez Kongres i podpisanej przez Wilsona w 1918 roku zakazano „Wypowiadania, drukowania, pisania bądź publikowania wszelkich nielojalnych, wulgarnych, obelżywych lub obraźliwych uwag na temat rządu Stanów Zjednoczonych lub armii". Poczmistrz naczelny Stanów Zjednoczonych został upoważniony do wydawania według swego uznania zakazu rozprowadzania publikacji, co oznaczało jej zamknięcie. Co najmniej siedemdziesiąt pięć pism zamknięto. Warunkiem dopuszczenia zagranicznych publikacji było ich przetłumaczenie i przedłożenie do akceptacji cenzorom. Dziennikarze musieli się ponadto liczyć z bardzo realną groźbą aresztowania lub cofnięcia przydziału papieru przez radę WIB. Do artykułów „nie do przyjęcia" należały wszelkie dyskusje niezależnie od stopnia ich szlachetności oraz patriotyzmu – w których podważano konieczność powszechnej służby wojskowej.

„Są pewne granice – oświadczył poczmistrz naczelny Albert Sidney Burleson. – Te granice zostają przekroczone – wyjaśniał – kiedy w jakiejś publikacji „zaczyna się twierdzić, że ten rząd niesłusznie wdał się w wojnę, że cele wojny są złe lub podważa się motywy przystąpienia do Wojny Nie wolno mówić, że ten rząd jest narzędziem Wall Street albo producentów broni. [...] Nie wolno prowadzić kampanii przeciwko poborowi do wojska i ustawie o powszechnej służbie wojskowej".[163]

Najsłynniejszym epizodem z cenzura była bezlitosna kampania rządu przeciwko pismu „Masses", radykalnemu literackiemu periodykowi, którego redaktorem był Max Eastman. Poczmistrz naczelny wstrzymał dystrybucję pocztową na podstawie ustawy o szpiegostwie. W szczególności rząd oskarżył czasopismo o utrudnianie rekrutacji do wojska. Wśród „nielegalnych" treści znalazł się rysunek satyryczny mówiący o tym, że wojna ma uczynić świat „bezpiecznym dla kapitalistów", oraz wstępniak Eastmana chwalący odwagę odmawiających służby wojskowej. Przed sądem w Nowym Jorku stanęło sześciu redaktorów, ale udało im się doprowadzić do tego, że ławy przysięgłych nie były zgodne (ci przysięgli i obrońcy komentowali potem, że oskarżeni na pewno zostaliby skazani, gdyby któryś z nich był Żydem albo Niemcem).

Oczywiście, generalne zastraszanie prasy było znacznie użyteczniejsze niż zamykanie pism. Wiele z tych zamkniętych czasopism miało bardzo małe grono czytelników, ale obawa, że dojdzie do likwidacji tytułu, wywierała cudowny wpływ na umysły innych redaktorów. Jeżeli siła przykładu nie była wystarczająca, wydawcy otrzymywali listowne ostrzeżenia. Jeżeli to nie pomogło, mogli „czasowo" utracić przywileje pocztowe. Do maja 1918 roku zostało tak ukaranych przeszło czterysta publikacji. Pismo „Nation" zostało zamknięte za krytykowanie Samuela Gompersa.[164] Gazeta „Public" została ukarana za sugestię, że wojna powinna być finansowana z podatków, a nie z pożyczek, a „Freeman's Journal and Catholic Register" – za przedrukowanie poglądu Thomasa Jeffersona, że Irlandia powinna być republiką.[165] Nawet prowojenne pismo „New Republic" nie było bezpieczne. Dwukrotnie je ostrzeżono, że zostanie wykluczone z dystrybucji pocztowej, jeżeli nie przestanie zamieszczać ogłoszeń dotyczących zbiórek pieniędzy na Krajowe Biuro Swobód Obywatelskich (National Civil Liberties Bureau) oraz poszukiwania wolontariuszy.

Poza tym progresywiści nieuchronnie ograniczali indywidualne swobody obywatelskie. Dzisiejsi liberałowie na ogół utyskują na czasy McCarthy'ego, jakby to był najczarniejszy okres w

amerykańskiej historii zaraz po niewolnictwie. To prawda, że za czasów McCarthy'ego, w latach pięćdziesiątych, straciło pracę kilku hollywoodzkich scenarzystów, którzy popierali Stalina, a potem na ten temat kłamali. Inni byli niesprawiedliwie zastraszani, ale nic, co zdarzyło się pod szalonymi rządami McCarthy'ego, nie może się równać z tym, co Wilson i jego progresywiści narzucili Ameryce. Ustawa o szpiegostwie z czerwca 1917 roku i ustawa o działalności wywrotowej z maja 1918 roku pozwalały skazywać na więzienie za każdą krytykę rządu, nawet u siebie w domu. (Prawo to wiele lat po wojnie podtrzymał Oliver Wendell Holmes, twierdząc, że można zabronić takich wypowiedzi, gdy stwarzają „jednoznaczne i aktualne zagrożenie"). W stanie Wisconsin pewien urzędnik dostał dwa i pół roku za krytykowanie zbiórki Czerwonego Krzyża. Hollywoodzki producent został skazany na dziesięć lat więzienia za film pokazujący zbrodnie wojenne popełniane przez Brytyjczyków podczas amerykańskiej rewolucji. Pewien człowiek stanął przed sądem za tłumaczenie u siebie w domu, dlaczego nie chce kupować obligacji wolności.[166]

Żadne państwo policyjne nie zasługuje na to miano, jeśli nie ma w nim zastępów policjantów. Departament Sprawiedliwości aresztował bez powodu dziesiątki tysięcy obywateli. Administracja Wilsona wystosowała list do prokuratorów i komendantów policji zawierający stwierdzenie, że „żaden niemiecki wróg w tym kraju, który nie był dotąd zamieszany w spiski przeciwko interesom Stanów Zjednoczonych, nie musi się obawiać działań ze strony Departamentu Sprawiedliwości, jeżeli przestrzega następującego ostrzeżenia: Przestrzegaj prawa i nie gadaj".[167] Ten obcesowy język być może byłby wybaczalny, gdyby rząd nie definiował terminu „niemiecki wróg" zaskakująco szeroko.

Departament Sprawiedliwości stworzył swoich własnych, półoficjalnych *fascisti*, zwanych Amerykańską Ligą Obrony (American Protective League, APL). Jej członkowie otrzymali plakietki – często z tekstem „Secret Service" – i zadanie obserwowania sąsiadów, kolegów w pracy i znajomych. Używani jako prywatni agenci przez nadgorliwych prokuratorów w tysiącach procesów, mieli do dyspozycji szczodrze przydzielane zasoby. APL miała sekcję wywiadu, której członkowie przysięgali nie ujawniać, że są tajnymi policjantami.

Członkowie APL z aprobatą rządu czytali listy sąsiadów i podsłuchiwali ich rozmowy telefoniczne. W Rockford w stanie Illinois wojsko korzystało z pomocy APL, żeby wydobyć zeznania z czarnych żołnierzy oskarżonych o molestowanie białych kobiet. Straże obywatelskie APL napadały na „wywrotowych mówców ulicznych". Jedną z ich najważniejszych funkcji było bicie „cwaniaków" uchylających się od poboru. W Nowym Jorku we wrześniu 1918 roku APL zorganizowała swoją największą obławę na unikających poboru, zgarniając pięćdziesiąt tysięcy mężczyzn. Dwie trzecie z nich okazały się potem niewinne. Mimo to Departament Sprawiedliwości aprobował akcję.

Zastępca prokuratora generalnego odnotował z wielką satysfakcją, że nigdy przedtem Ameryka nie była tak skutecznie kontrolowana. W roku 1917 APL miała oddziały w prawie sześciuset miastach i miasteczkach oraz prawie sto tysięcy członków. W następnym roku liczba członków przekroczyła ćwierć miliona.[168]

Jedną z nielicznych rzeczy zapamiętanych z tego okresu przez przeciętnych ludzi jest mgliste poczucie, że zdarzało się coś złego, zwanego nalotami Palmera. Była to seria niekonstytucyjnych ataków na „wywrotowców" i ich grupy, aprobowana przez Wilsona. Zazwyczaj nie wspomina się, że ataki te cieszyły się wielką popularnością, zwłaszcza wśród członków Partii Demokratycznej wywodzących się z klasy średniej. Prokurator generalny A. Mitchell Palmer był sprytnym progresywistą, który pokonał republikańską machinę w Pensylwanii, nawiązując ścisłą współpracę ze związkami zawodowymi. Miał nadzieję wjechać na popularności tych nalotów do samego Gabinetu Owalnego i może by się mu udało, gdyby nie usunął go z boiska atak serca.

Należy również zwrócić uwagę, że Legion Amerykański zrodził się w niezbyt sprzyjających warunkach, podczas histerii wojennej w roku 1919. Chociaż dzisiaj jest to świetna organizacja z historią napawającą dumą, nie można ignorować faktu, że została ona utworzona jako organizacja zasadniczo faszystowska. W roku 1923 krajowy komendant legionu deklarował: „Jeżeli zajdzie taka

potrzeba, Legion Amerykański jest gotów bronić instytucji i ideałów naszego kraju tak, jak *fascisti* rozprawiali się z sabotażystami zagrażającymi Włochom".[169] Franklin D. Roosevelt będzie później próbował wykorzystać Legion jako unowocześnioną Amerykańską Ligę Obrony do szpiegowania rodzimych dysydentów i nękania potencjalnych obcych agentów.

Fanatyczną czujność często propagowano i rzadko hamowano w warunkach wilsonowskiego stuprocentowego amerykanizmu. Jak mogło się dziać inaczej w świetle jego ostrzeżeń o wrogu wewnętrznym? W roku 1915, w trzecim corocznym orędziu wygłaszanym w Kongresie, oświadczył tak: „Najpoważniejsze groźby przeciwko naszemu narodowemu pokojowi i bezpieczeństwu zostały wypowiedziane w naszych granicach. Są obywatele Stanów Zjednoczonych, przyznaję ze wstydem, urodzeni pod innymi flagami, [...] którzy wsączyli truciznę nielojalności w arterie naszego narodowego życia, którzy chcieli poniżyć autorytet i dobre imię naszego rządu, zniszczyć nasze branże, wymierzając im ciosy wszędzie tam, gdzie uznali, że posłuży to ich wrogim celom, albo upodlić naszą politykę i wykorzystać ją w zagranicznych intrygach". Cztery lata później prezydent był nadal przekonany, że największe zagrożenie stwarzają Amerykanie pisani z dywizem.[170] „Powtarzam i będę powtarzał – każdy, który ma dywiz w określeniu swojego pochodzenia, nosi też sztylet i jest gotów go zagłębić w ciele tej republiki, kiedy tylko będzie gotów. Gdy w tej wielkiej bitwie złapię kogoś z dywizem, będę wiedział, że złapałem wroga Republiki".[171]

Takiej Ameryki chcieli Thomas Woodrow Wilson i jego sojusznicy. I osiągnęli to, czego chcieli. W roku 1919 podczas imprezy zorganizowanej w celu zbierania pieniędzy na cele wojenne poprzez sprzedaż obligacji Victory Loan pewien mężczyzna nie chciał wstać podczas hymnu. Po odegraniu *Gwiaździstego Sztandaru* jakiś rozjuszony marynarz strzelił „nielojalnemu" osobnikowi trzy razy w plecy. Na łamach „Washington Post" pisano, że „tłum zareagował brawami i oklaskami", kiedy ten człowiek upadł. Inny człowiek, który odmówił powstania w czasie hymnu przed rozpoczęciem meczu bejsbolowego, został pobity przez kibiców na trybunach. W lutym 1919 roku w Hammond w stanie Indiana ława przysięgłych potrzebowała dwóch minut, żeby uniewinnić mężczyznę, który zastrzelił imigranta za okrzyk „Do diabła ze Stanami Zjednoczonymi". W roku 1920 sprzedawca ze sklepu odzieżowego w Waterbury w stanie Connecticut trafił na sześć miesięcy do więzienia za nazwanie Lenina „jednym z najmądrzejszych przywódców na świecie". Rose Pastor Stokes została aresztowana, postawiona przed sądem i skazana za powiedzenie na zebraniu kobiet „Ja jestem za narodem, a rząd jest za tymi, którzy na tym zyskują". Republikański antywojenny progresywista Robert La Follette przez rok walczył z próbami usunięcia go z Senatu za nielojalność, ponieważ wygłosił antywojenne przemówienie do Ligi Niezależnych. „Providence Journal" zamieszczał – codziennie! – komunikat ostrzegający czytelników, że każdego Niemca lub Austriaka, który nie jest dawnym znajomym, należy uważać za szpiega. Zrzeszenie prawników stanu Illinois orzekło, że członkowie broniący odmawiających służby wojskowej postępują nie tylko „niezgodnie z nakazami zawodu", ale i „niepatriotycznie".[172]

Publikacje niemieckich autorów usuwano z bibliotek, rodziny niemieckiego pochodzenia były nękane i wyśmiewane, kiszoną kapustę nazwano „kapustą wolności". Sinclair Lewis pół żartem wspominał, że mówiono o tym, aby różyczkę (*German measles*) przemianować na *liberty measles*. Socjalistów i innych lewicowców agitujących przeciwko wojnie bito. Tłum w Arizonie zapędził członków rewolucyjnych związków zawodowych IWW (Robotnicy Przemysłowi Świata) do bydlęcych wagonów i wywiózł na pustynię, pozostawiając ich bez jedzenia i picia. W Oklahomie przeciwników wojny wytarzano w smole i pierzu, a kalekiego przywódcę IWW powieszono pod mostem kolejowym. Na Uniwersytecie Columbii rektor Nicholas Murray Butler usunął trzech profesorów za krytykowanie wojny, twierdząc, że „to, co było błędem, teraz jest działaniem wywrotowym, a co było głupotą, teraz jest zdradą". Richard Ely, wykładający w chwale na Uniwersytecie Wisconsin, zorganizował profesorów i inne osoby, żeby zdławić wewnętrzny sprzeciw za pomocą Legionu Lojalności Wisconsin. Każdy wygłaszający „opinie, które przeszkadzają nam w tej okropnej walce" – tłumaczył – powinien zostać wyrzucony z pracy, jeżeli

nie zastrzelony. Pierwszy na jego liście był Robert La Follette. Ely usiłował wyszczuć go z polityki stanu Wisconsin jako „zdrajcę", który „pomógł kajzerowi bardziej niż ćwierć miliona żołnierzy".[173]

Trudno jest znaleźć konkretne liczby, ale szacowano, że około 175 tysięcy Amerykanów aresztowano za to, że w ten czy inny sposób nie okazali patriotyzmu. Wszyscy zostali ukarani, wielu poszło do więzienia.

Na ogół progresywiści patrzyli na swoje dzieło, mówiąc „To jest dobre". „Wielka wojna europejska [...] obala indywidualizm i buduje kolektywizm" – radował się George Perkins, progresywistyczny finansista i partner firmy brokerskiej J.P. Morgan. Podobnie patrzył na sprawy Grosvenor Clarkson. Wysiłek wojenny to „historia połączenia stu milionów wojowniczo indywidualistycznych ludzi w jednym wspólnym wysiłku, w którym dobro jednostki zostaje podporządkowane dobru całości". „Zdyscyplinowanie społeczeństwa" – wierzył Felix Adler, wykładowca nauk społecznych – zbliża nas do stworzenia „człowieka idealnego, [...] uczciwszego, piękniejszego i bardziej prawego, [...] którego jeszcze nie było". Redakcja „Washington Post" była skromniejsza. „Mimo ekscesów takich, jak linczowanie – pisano w materiale odredakcyjnym – w kraju dokonuje się zdrowe i pozytywne przebudzenie".[174]

Może należy tu rozszerzyć kontekst. Prawie w tym samym czasie, kiedy John Dewey, Herbert Croly, Walter Lippmann i wielu innych zachłystywali się tym, jak to wojna dostarczy „moralnego zastrzyku energii" i że jest to najwyższa i najlepsza sprawa dla ludzi wyznających postępowe i liberalne wartości, Benito Mussolini przedstawiał prawie identyczne argumenty. Mussolini był wcześniej mózgiem Włoskiej Partii Socjalistycznej. Działał pod wpływem wielu z tych myślicieli, którzy wywarli wpływ na amerykańskich progresywistów – między innymi Marksa, Nietzschego, Hegla i Jamesa – i chciał, żeby Włochy walczyły po stronie aliantów, to jest w końcu po stronie Ameryki. A jednak to, że poparł wojnę, automatycznie według komunistycznej propagandy klasyfikowało go i jego faszystowski ruch jako ruch „obiektywnie" prawicowy.

Czy to oznacza, że redaktorzy „New Republic", progresywiści w rządzie Wilsona, John Dewey i ogromna większość tych, którzy się uważali za amerykańskich socjalistów, stali się nagle prawicowcami? Oczywiście, ze nie. Tylko we Włoszech, ojczyźnie najbardziej radykalnej – po rosyjskiej – partii socjalistycznej, poparcie dla wojny automatycznie przekształciło lewicowców w prawicowców. W Niemczech socjaliści głosowali w Reichstagu za wojną. W Wielkiej Brytanii socjaliści głosowali za wojną. W Ameryce socjaliści i progresywiści głosowali za wojną. To nie uczyniło z nich prawicowców, okazali się szokująco krwiożerczymi i szowinistycznymi lewicowcami. I to jest ta cecha progresywistów, która została wymazana z popularnej historii. „Byłam przeciwna wojnie pewnie tak samo jak każdy z tego narodu – oświadczyła Matka Jones (Mary Harris Jones), bojowniczka „amerykanistycznego" socjalizmu – ale kiedy zaczynamy walczyć, jestem jedną z tych, którzy chcą rozwalić tego innego, i teraz musimy rozwalić kajzera, [...] tego pazernego złodzieja i mordercę". Nie była bynajmniej osamotniona. Prowojenny socjalista Charles E. Russell stwierdził, ze jego byli koledzy powinni zostać wypędzeni z kraju. Inny nalegał, że przeciwni wojnie socjaliści powinni być „bezzwłocznie rozstrzelani".[175]

W liberalnej wersji historii Ameryki istnieje tylko dwoje sprawców oficjalnego zła: konserwatyści i „Ameryka" brana jako całość. Progresywiści lub współcześni liberałowie nigdy nie są fanatykami ani tyranami, natomiast konserwatyści nader często. Na przykład prawie nigdy się nie usłyszy, że naloty Palmera, prohibicja albo amerykańska eugenika to zjawiska czysto progresywistyczne. To grzechy, za które musi pokutować cała Ameryka. Tymczasem prawdziwe albo rzekome „konserwatywne" nadużycia władzy – powiedzmy, makkartyzm – są zawsze wyłączną winą konserwatystów i przykładem polityki, którą by powtórzyli, gdyby wrócili do władzy. Liberałów można winić tylko za to, że nie bronili swoich zasad „wystarczająco ostro". Liberałowie nigdy nie są odpowiedzialni za historyczne nadużycia, bo nie czują potrzeby obrony naturalnych cnót Ameryki. Tymczasem konserwatyści nie tylko są obarczani winą za sprawy, które nie są ich dziełem, a nawet przeciwko którym zdecydowanie występowali, ale bronią liberalnych ekscesów, żeby bronić samej Ameryki.

Socjalizm wojenny za prezydentury Wilsona był projektem stuprocentowo progresywistycznym i jeszcze długo po wojnie pozostawał ideałem dla liberałów. Do dnia dzisiejszego liberałowie instynktownie i automatycznie postrzegają wojnę jako pretekst do obejmowania rządową kontrolą rozległych obszarów gospodarki. Jeżeli mamy wierzyć, że „klasyczny" faszyzm polega przede wszystkim na wyniesieniu cnót wojennych oraz militaryzacji rządu i społeczeństwa pod sztandarem nacjonalizmu, to trudno zrozumieć, dlaczego era progresywizmu nie była też erą faszyzmu.

Rzeczywiście, trudno nie zauważyć, jak bardzo progresywiści pasują do obiektywnych kryteriów ruchu faszystowskiego ustalonych przez tak wielu badaczy tej dziedziny. Progresywizm był zasadniczo ruchem klasy średniej, sprzeciwiającym się zarówno rozbuchanemu kapitalizmowi od góry, jak i marksistowskiemu radykalizmowi od dołu. Progresywiści liczyli, że znajdą pośrednie rozwiązanie, to, co faszyści nazywali trzecią drogą, a Richard Ely, mentor zarówno Wilsona, jak i Roosevelta, nazywał złotym środkiem między leseferystycznym indywidualizmem a marksistowskim socjalizmem. Głównym ich pragnieniem było narzucenie jednoczącego, totalitarnego porządku moralnego, który by kierował jednostką w domu i poza domem. Progresywistów łączyło również z faszystami i nazistami żarliwe pragnienie zniesienia różnic klasowych w obrębie wspólnoty narodowej i stworzenie nowego porządku. George Creel sformułował ten cel zwięźle: „Żadnej linii podziału między bogatymi a biednymi, żadnych rodzących zawiść różnic klasowych".[176]

Była to dokładnie misja społeczna i atrakcyjność faszyzmu i nazizmu. W przemówieniu za przemówieniem Hitler podkreślał, że jego celem jest zniesienie podziałów między bogatymi a biednymi. „Co za różnica w porównaniu z pewnym innym krajem – mówił, nawiązując do rozdzieranej wojną Hiszpanii. – Tam walczy klasa przeciwko klasie, brat przeciwko bratu. My wybraliśmy inną drogę: zamiast was dzielić, połączyliśmy was". Robert Ley, szef nazistowskiego Niemieckiego Frontu Pracy, oświadczył kategorycznie: „jesteśmy pierwszym krajem w Europie, który pokonał walkę klas". Nieważne, czy ta frazeologia odpowiadała rzeczywistości. Atrakcyjność takiego celu była znaczna, a zamiar szczery. Młody i ambitny niemiecki prawnik, który chciał wyjechać na studia za granicę, został przekonany przez przyjaciół, żeby nie wyjeżdżał i nie przegapił niezwykłych wydarzeń.

„Partia zamierzała zmienić całą koncepcję stosunków pracy, opierając je na zasadzie współdecydowania o łącznej odpowiedzialności kierownictwa i robotników. Wiedziałem, że to utopia, ale wierzyłem w nią z całego serca. [...] Hitlerowska obietnica opiekuńczego, ale zdyscyplinowanego socjalizmu trafiła na bardzo podatny grunt".[177]

Oczywiście, realizacja takich utopijnych marzeń musiała się dokonać kosztem wolności osobistej, jednak progresywiści i faszyści byli gotowi zapłacić tę cenę. „Indywidualizm – deklarował Lyman Abbott, redaktor pisma „Outlook" – jest cechą barbarzyństwa, a nie cywilizacji republikańskiej".[178] Głoszona przez Wilsona i Croly'ego progresywistyczna koncepcja roli jednostki w społeczeństwie powinna uderzyć każdą obiektywną osobę o prawdziwie liberalnej wrażliwości, gdyż niewątpliwie niepokoi i trąci faszyzmem. Wilson, Croly i większość progresywistów nie miałaby nic przeciwko nazistowskiej koncepcji *Volksgemeinschaft* – ludowej czy narodowej wspólnoty – czy nazistowskiemu hasłu o „stawianiu dobra wspólnego ponad dobrem własnym". Progresywiści i faszyści wyraźnie czerpali z darwinizmu, heglizmu i pragmatyzmu, żeby uzasadnić swoje poglądy. Chyba największą ironią jest to, że na podstawie większości kryteriów używanych w Ameryce do umiejscawiania osób i ruchów na linii ideologicznego spektrum, takich jak baza społeczna, demografia, polityka gospodarcza, opieka społeczna, Adolf Hitler niewątpliwie sytuował się **na lewo** od Wilsona.

To jest ten słoń w salonie, którego amerykańska lewica nigdy nie była w stanie dostrzec, wyjaśnić ani zrozumieć. Jej niezdolność lub odmowa stawienia czoła temu faktowi zniekształciła nasze rozumienie naszej polityki, naszej historii i nas samych. Liberałowie powtarzają „Tutaj to się nie może zdarzyć" z chytrym mrugnięciem albo ironicznym uśmieszkiem, aby insynuować, że

prawica nieustannie obmyśla faszystowskie programy. Tymczasem na oczach wszystkich mamy oczywisty fakt: to się tutaj zdarzyło i może się powtórzyć. Żeby dostrzec niebezpieczeństwo, trzeba się jednak obejrzeć nie przez prawe ramię, lecz przez lewe.

ROZDZIAŁ 4

Faszystowski Nowy Ład Franklina D. Roosevelta

Naród był pogrążony w nakręcanej przez rząd gorączce wojennej, chociaż wojny nie było. Strajkujący związkowcy zostali przez siły rządowe sprowokowani do rozruchów. Zabito sześćdziesięciu siedmiu robotników, niektórym strzelano w plecy. Młody korespondent pisał: „Głęboko w kościach i krwi pojąłem, czym jest faszyzm". Czołowy intelektualista, który opowiedział się po stronie rządu, mówił studentom podczas wykładu: „Ciężka próba wojny wydobywa z młodzieży wspaniałe zasoby".[179]

Ambasador brytyjski telegrafował do Londynu, żeby zwrócić uwagę przełożonych na szalejącą histerię, rozpętaną przez nowego przywódcę narodu. „Ukryta potrzeba lojalności i stłumiony kult bohatera znalazł w nim ujście i symbol". Podróżujący po prowincji doradca donosił o szerzącym się kulcie jednostki: „W każdym domu, który odwiedziłem, czy to hutnika, czy bezrobotnego, znajdował się portret prezydenta. [...] Jest dla nich jednocześnie Bogiem i bliskim przyjacielem, zna ich imiona, zna ich miasteczko i fabrykę, ich życie i problemy. I choćby wszystko inne zawiodło, on tu jest i ich nie zawiedzie".[180]

Chociaż kryzys miał charakter gospodarczy, nowy wódz narodu obiecywał szukać „władzy, która pozwoliłaby stawić czoło zagrożeniu, takiej władzy, jaką bym otrzymał, gdyby rzeczywiście napadło na nas obce mocarstwo. [...] Bez wahania obejmuję dowództwo tej wspaniałej armii naszego narodu, zdecydowanego na zdyscyplinowany atak na nasze wspólne problemy".

Zapewne niektórzy czytelnicy wiedzą już, że krajem, o którym tu mówię, jest Ameryka, a wodzem – Franklin Delano Roosevelt. Rozruchy robotnicze miały miejsce w Chicago. Przerażonym młodym reporterem był Eric Sevareid, później jeden z tytanów programów informacyjnych CBS. Intelektualistą, który studentów Dartmouth College nękał argumentami o zaletach wojny, był Rexford Tugwell, jeden z najwybitniejszych członków Trustu Mózgów Nowego Ładu. Ostatni cytat, oczywiście, pochodzi z przemówienia inauguracyjnego samego Franklina Roosevelta.

Jako że wśród liberałów zapanowało w ostatnich latach ideologiczne i intelektualne zamieszanie, amerykańscy liberałowie skulili się w pozycji płodowej wokół „spuścizny" po Roosevelcie. Liberalni teoretycy prawa zrobili z Nowego Ładu drugie założenie Ameryki. Czołowi dziennikarze popadli w żałosne bałwochwalstwo. Chwilami wydaje się, że do oceny jakiegoś programu politycznego wystarczy stwierdzić, czy Roosevelt by ją aprobował. Przyjmuje się, że republikanie mylą się, a nawet faszyzują, ilekroć chcą „demontować" politykę Roosevelta.

Do rzeczy o najbardziej ironicznej wymowie należy ta, że współczesny Hitler albo Mussolini nigdy nie demontowałby Nowego Ładu. Przeciwnie, podwoiłby starania, by jego cele zrealizować. Nie znaczy to, że Nowy Ład był zły albo hitlerowski, ale był to produkt impulsów i idei tamtego czasu. A tych koncepcji i bodźców nie można oddzielić od faszystowskiej chwili w historii cywilizacji zachodniej. Według Harolda Ickesa, sekretarza Roosevelta do spraw wewnętrznych i jednego z najważniejszych architektów Nowego Ładu, sam Roosevelt prywatnie przyznawał, że „pewne rzeczy z tych, które robimy w tym kraju, robiono w Rosji, a nawet w Niemczech za Hitlera. Tyle, że my je robimy w sposób uporządkowany". Trudno dostrzec, jak uporządkowanie uwalnia politykę od oskarżenia o faszyzm lub totalitaryzm. W końcu te podobieństwa stały się tak oczywiste, że Ickes musiał ostrzec Roosevelta, że ludzie coraz częściej skłaniają się „do podświadomego łączenia czterech nazwisk: Hitlera, Stalina, Mussoliniego i Roosevelta".[181]

Pogląd, że Franklin Roosevelt przejawiał faszystowskie tendencje, jest dzisiaj znacznie bardziej kontrowersyjny niż w latach trzydziestych, głównie dlatego, że faszyzm został utożsamiony z nazizmem, a nazizm oznacza po prostu zło. Powiedzenie na przykład, że Franklin Roosevelt stosował hitlerowską politykę budżetową, zbija ludzi z tropu. Tymczasem faszystowskie zabarwienie Nowego Ładu było nie tylko normalnie dyskutowane, ale często przytaczano je jako argument przemawiający na korzyść Roosevelta. Panowała silna, ponadpartyjna zgoda, że przezwyciężenie wielkiego kryzysu wymaga dyktatorskich i faszystowskich metod. Walter Lippmann, występujący w roli ambasadora amerykańskiej elity liberalnej, podczas prywatnego spotkania w Warm Springs powiedział Rooseveltowi: „Sytuacja jest krytyczna, Franklin. Może się okazać, że nie ma innego wyjścia i będziesz musiał objąć władzę dyktatorską".[182] Również Eleanor Roosevelt uważała, że „oświecony dyktator" może być jedynym wyjściem dla Ameryki. I liberalni intelektualiści kręcący się wokół Roosevelta na pewno nie przeoczyli faktu, że ogromnie popularny Benito Mussolini korzystał z takich samych metod, żeby doprowadzić do porządku niesfornych Włochów. Wreszcie pismo „New Republic", intelektualne gniazdo Nowego Ładu, przedstawiało wydarzenia we Włoszech z fascynacją, a często z podziwem.

Nowy Ład wymyślono w szczytowym okresie faszystowskiej chwili w historii świata, kiedy socjaliści w wielu krajach stawali się coraz bardziej nacjonalistyczni, a nacjonaliści mogli przyjąć tylko socjalizm. Franklin Roosevelt nie był faszystą, w każdym razie sam się za takiego nie uważał, ale wiele z jego pomysłów i programów politycznych było nie do odróżnienia od faszyzmu. A my dzisiaj żyjemy ze skutkami tego faszyzmu i nazywamy je liberalizmem. Od polityki gospodarczej, poprzez politykę populistyczną, po wiarę w trwałą zdolność zespołów ekspertów do wyznaczania naszej wspólnej przyszłości – czy będą to pracownicy naukowi Uniwersytetu Harvarda, czy sędziowie zasiadający w składzie Sądu Najwyższego – faszystowskie założenia na temat roli państwa zostały zakodowane w amerykańskim umyśle, często za zgodą obu partii.

Nie była to „wizja" Roosevelta. Roosevelt nie miał żadnej wizji, był produktem czasu, w którym kolektywizm, patriotyczne hasła i pragmatyczne odrzucenie odwoływania się do zasad wydawały się po prostu „przyszłą drogą". Franklin Roosevelt nasiąkał tymi postawami i ideami podczas doświadczeń w erze progresywistycznej i przejmował je od swoich doradców, mających podobne doświadczenie. Jeżeli Wilson świadomie dążył do totalitaryzmu, to Roosevelt stał się jego zwolennikiem walkowerem – głównie dlatego, że nie miał żadnych lepszych pomysłów

Progresywista od samego początku

Urodzony w roku 1882, rok przed Mussolinim, Franklin Delano Roosevelt nie był wychowywany na wielkiego człowieka. Właściwie nie był wychowywany na nic wielkiego. Ten grzeczny i spokojny chłopiec był osłaniany przed wszystkim, co dziś nazwalibyśmy normalnym dzieciństwem. Prawie przytłoczony opiekuńczością rodziców, Jamesa Roosevelta i Sary z domu Delano, miał naśladować ich arystokratyczny styl życia. Młody Franklin Roosevelt nie miał wielu kolegów w swoim wieku. Jako jedynak kształcił się w domu pod kierunkiem szwajcarskich guwernerów (przypomnijmy, że Wilson również kształcił się w domu). W roku 1891, kiedy jego rodzice odwiedzili uzdrowisko w bismarckowskich Niemczech, młody Franklin – „Franz" jak go nazywali koledzy – chodził do miejscowej *Volksschule*, gdzie uczył się czytania map i topografii wojskowej. Twierdził, że dobrze wspominał to doświadczenie, zwłaszcza studiowanie niemieckich map wojskowych.

Młodość Roosevelta położyła podwaliny pod jego dorosła osobowość. Kiedy miał osiem lat, jego ojciec przeszedł pierwszy z wielu ataków serca. Franklin postanowił ukrywać przed ojcem smutek i niepokój. Najwyraźniej wtedy właśnie zapoczątkował praktykę ukrywania prawdziwych uczuć pod maską wiecznej wesołości. Do końca życia, a zwłaszcza w okresie prezydentury, zarówno jego przyjaciele, jak i wrogowie skarżyli się, że nigdy nie mogli być pewni, czy Roosevelt

mówi to, co rzeczywiście myśli. Była to grzeczna forma powiedzenia, że nigdy nie wiedza, kiedy Roosevelt kłamie w żywe oczy. „Kiedy z nim rozmawiam – skarżył się Huey Long – słyszę »Dobrze! Dobrze! Dobrze!«. Ale kiedy następnego dnia odwiedza go Joe Robinson [polityczny wróg Longa], on znów mówi »Dobrze! Dobrze! Dobrze!«. Może mówi »Dobrze« każdemu”.[183]

Franklin Roosevelt opuścił rodzinny kokon w roku l896, żeby pójść do szkoły Groton. Przejście było bolesne. Wychowany przez niemieckojęzyczna guwernantkę, z którą rozmawiał po niemiecku, mówiący po francusku z francuskojęzycznymi nauczycielami i nauczony używać wyniosłej angielszczyzny we wszystkich innych okolicznościach, Roosevelt drażnił innych studentów. W końcu jednak jego determinacja, żeby się dopasować – prawie obsesja na punkcie konformizmu – przyniosły skutki i jego status uległ poprawie. Nie był szczególnie zdolnym uczniem, najwyższe oceny miał za punktualność i schludność. Właściwie panuje zgoda co do tego, że Franklin Roosevelt nie był tytanem intelektu. Historyk Hugh Gallagher pisze następująco: „Miał chłonny umysł, zbierał wiadomości, cechowało go też wiele zainteresowań, ale nie było w tym głębi”.[184]

Franklin Roosevelt boleśnie odczuwał zazdrość w stosunku do kuzyna, Teddy'ego Roosevelta. Kiedy Franklin wstąpił na Uniwersytet Harvarda, w roku 1904, zaczął naśladować jego zachowanie – podobnie jak wielu liberałów z pokolenia powojennego wyżu demograficznego, w tym Bill Clinton i John Kerry, naśladowało w młodości Johna Kennedy'ego. Młody Franklin powtarzał nawet ulubione słówka swojego kuzyna i nosił binokle będące jego znakiem firmowym.

Także podczas studiów w college'u Roosevelt dyskretnie zalecał się do swojej dalekiej kuzynki Eleanor. Ten związek dziwił wielu, ale okazał się potężną polityczną symbiozą. Gładki i delikatny Franklin szukał widocznie partnerki z cechami, których sam nie miał. Eleanor zapewniała zdecydowanie, konsekwencje, powagę i niezwykle pożyteczne kontakty. Stanowiła przeciwwagę do niezdecydowania męża.

Matka Franklina, która aż do śmierci w roku 1941 zapewniła sobie ścisłą kontrolę nad synem (między innymi wydzielając mu pieniądze), była przeciwna temu małżeństwu, ale uległa wobec determinacji Franklina i w roku 1905 miał miejsce ślub. Pannę młodą prowadził do ołtarza jej stryj Teddy.

W tym czasie Franklin Roosevelt studiował prawo na Uniwersytecie Columbii. Tytułu naukowego nie uzyskał, ale zdał egzaminy adwokackie i został niewyróżniającym się adwokatem, W roku 1910 zaproponowano mu start w wyborach do senatu stanu Nowy Jork (miał reprezentować hrabstwo Dutchess), głównie z powodu jego bogactwa, nazwiska i koneksji. Edward E. Perkins, przewodniczący organizacji Partii Demokratycznej w tym okręgu, zgodził się wziąć na listę tego młodego fircyka, za jakiego go uznał, gdyż liczył na to, że zasili on finanse partii i opłaci własną kampanię. Na spotkanie z Perkinsem i innymi partyjnymi bossami Franklin Roosevelt przybył w stroju do jazdy konnej. Perkinsowi nie spodobał się młody arystokrata, ale powiedział tylko: „Będzie pan musiał zdjąć te żółte buty i włożyć jakieś normalne spodnie”.[185] Franklin Roosevelt chętnie przyjął propozycję i wygrał wybory. Podobnie jednak jak w Groton i na Harvardzie, nie znalazł w legislaturze stanowej wielu przyjaciół i był uważany za umysł drugorzędny. Koledzy często z niego kpili i z powodu inicjałów nazywali go Feather Duster Roosevelt.[186]

Mimo to Roosevelt okazał się użyteczny jako progresywistyczny senator stanowy i bez większego trudu zapewnił sobie ponowny wybór w roku 1912 dzięki dobrym stosunkom z Louisem Howe'em, wytrawnym graczem politycznym, który nauczył go, jak zdobywać niechętnych wyborców. Nie dokończył jednak drugiej kadencji, ponieważ Thomas Woodrow Wilson mianował go na stanowisko podsekretarza marynarki. Franklin był zachwycony, obejmując stanowisko, które „stryjek Teddy” (stryj żony) wykorzystał przed piętnastu laty jako trampolinę do swojej kariery politycznej.

Franklin Roosevelt został zaprzysiężony 17 marca 1913 roku, w ósmą rocznicę ślubu, gdy miał 31 lat. Natychmiast zaczął naśladować Theodore'a. Jego bezpośrednim przełożonym, patronem

i mentorem był słynny progresywistyczny redaktor i wydawca prasowy Josephus Daniels. Będąc zarówno sekretarzem marynarki, jak i dziennikarzem, Daniels reprezentował wszystkie dziwaczne – z dzisiejszej perspektywy – sprzeczności ruchu progresywistycznego. Był zdecydowanym rasistą. Jego gazety ukazujące się w Północnej Karolinie systematycznie publikowały wyjątkowo agresywne rysunki i artykuły na temat Murzynów. A jednocześnie żarliwie popierał szereg progresywistycznych reform – od edukacji publicznej, poprzez opiekę zdrowotną, po prawa wyborcze dla kobiet. Daniels, długoletni polityczny sojusznik Williama Jenningsa Bryana, potrafił uderzać zarówno w nuty pacyfistyczne i wojownicze, ale od czasu, kiedy się usadowił w administracji Wilsona, karnie głosił konieczność „gotowości", rozbudowy marynarki i wreszcie wojny.

Danielsa stale zaskakiwała wojowniczość jego młodego zastępcy. Franklin Roosevelt okazał się bardzo zdolnym i zadziwiająco **politycznym** podsekretarzem. „Mieszam się do wszystkiego – lubił powtarzać – i nie jest to prawnie zabronione".[187] Szczególnie cenił sobie to, że pod nieobecność szefa on pełnił obowiązki sekretarza. Uwielbiał wojskową pompę, promieniał z dumy, kiedy oddawano na jego cześć salut z siedemnastu dział, i bardzo się przejmował projektowaniem flagi dla swojego resortu. Od pierwszego dnia Franklin Roosevelt należał do zwolenników Wielkiej Marynarki i stale frustrowała go opieszałość – jak to oceniał – jego szefa w kwestii zbrojeń.

Od pierwszych dni służby Roosevelt stworzył potężny sojusz z grupami poważnie zainteresowanymi rozbudową wielkiej morskiej machiny wojennej, zwłaszcza z Ligą Morską, którą wielu uważało za wyrazicielkę interesów branży stalowej i finansjery. Zaledwie miesiąc po nominacji, na dorocznej konwencji tej ligi Franklin Roosevelt wygłosił przemówienie, w którym przekonywał o konieczności stworzenia potężnej marynarki, a nawet zorganizował posiedzenie planistów tej organizacji w swoim biurze. W tych miesiącach, gdy Stany Zjednoczone pozostawały oficjalnie neutralne, Franklin Roosevelt nawiązał kontakt z Theodore'em Rooseveltem, Henrym Cabotem Lodge'em i innymi republikańskimi jastrzębiami, krytycznie nastawionymi wobec administracji Wilsona. Puszczał nawet przecieki z wywiadu marynarki, żeby ułatwić republikanom ataki na administrację i na Danielsa w szczególności, za „nieprzygotowanie".[188] Dzisiaj można by go uznać za członka neokonserwatywnego spisku wewnątrz administracji Wilsona.

Franklin Roosevelt był świadkiem wszystkich ekscesów I wojny światowej, często je aprobując i w nich uczestnicząc. Nie ma nigdzie żadnego dowodu, że nie popierał ministerstwa propagandy George'a Creela bądź miał poważniejsze wątpliwości co do wojny za granicą lub w kraju. Spokojnie się przyglądał, kiedy ludzie Creela z zaangażowaniem szerzyli to, co nazywali „kultem Wilsona". Aprobował prześladowanie dysydentów oraz radośnie przyjął ustawy o wywrotowej działalności i szpiegostwie. Wysłał list gratulacyjny do prokuratora okręgowego, który doprowadził do skazania czterech socjalistów rozpowszechniających antywojenne druki. W przemówieniach piętnował niezaangażowanych cwaniaków, którzy nie kupowali obligacji wolności i nie popierali wojny z pełnym przekonaniem.[189]

Po I wojnie światowej kraj powoli wracał do zdrowia psychicznego, ale wielu liberałów nadal kochało socjalizm wojenny, wierząc, że również w czasie pokoju konieczna jest militaryzacja społeczeństwa. Daniels – częściowo dlatego, że chciał strachem nakłonić Amerykę do ratyfikacji traktatu wersalskiego – ostrzegał, że być może Stany Zjednoczone będą musiały „zostać super-Prusami". Administracja federalna, z Danielsem i Rooseveltem na czele, energicznie, ale bezskutecznie dążyła do ustanowienia powszechnej służby wojskowej także w czasie pokoju. Administracji nie udało się również doprowadzić do uchwalenia nowej ustawy o działalności wywrotowej, która obowiązywałaby w czasie pokoju, podobnej do ustawy narzuconej narodowi podczas wojny (w latach 1919-1920 Kongres rozpatrywał około siedemdziesięciu takich projektów). Zaraz po zakończeniu kadencji Wilsona rząd wypuścił więźniów politycznych, włącznie z Eugene'em V. Debsem, ułaskawionym przez republikańskiego następcę Wilsona, Warrena Hardinga. Mimo to z tej „wojny, która miała zapewnić, że świat nie będzie stwarzał zagrożenia dla demokracji", naród wyszedł mniej wolny w kraju i mniej bezpieczny w świecie. Nic dziwnego, że w kampanii Hardinga wykorzystano hasło „Powrót do normalności".

W roku 1920 zwolennicy Roosevelta starali się przygotować demokratyczna listę z szanowanym progresywistą Herbertem Hooverem na czele i Franklinem Rooseveltem jako wiceprezydentem. Hoover był gotów rozmawiać, ale w końcu przeszedł do obozu republikanów. Natomiast Roosevelt z powodzeniem wkręcił się na listę demokratów jako kandydat na wiceprezydenta dla Jamesa M. Coksa z Ohio. Franklin Roosevelt startował jako lojalny członek obozu Wilsona, chociaż sam Wilson, zgorzkniały teraz, rozbity fizycznie i psychicznie, nie udzielał poparcia zbyt szczodrze.

Inni wilsoniści byli jednak zachwyceni. Walter Lippmann, który w 1917 roku współpracował z Rooseveltem w komitecie do spraw płac, a teraz wrócił do pisma „New Republic", wysłał mu gratulacje, nazywając jego nominację „najlepszą wiadomością od długiego czasu". Jednakże kampania była od początku skazana na porażkę z powodu głębokiej niechęci wielu Amerykanów do administracji Wilsona i progresywistów w ogóle.

Po druzgocącej porażce wyborczej Franklin Roosevelt zajął się biznesem, ale w roku 1921 zapadł na chorobę Heinego-Medina. Większa cześć następnej dekady spędził, walcząc ze swoim kalectwem i planując powrót do polityki.

Roosevelt musiał stawić czoło dwom kryzysom egzystencjalnym, sprowadzającym się w istocie do jednej kwestii: jak się utrzymać na scenie politycznej, walcząc z chorobą. Dzielnie walczył z kalectwem, głownie w uzdrowisku, które zakupił w tym celu w Warm Springs. Ten wysiłek usuwał go w cień przez większość czasu, choć Roosevelt wziął udział w pechowej konwencji Partii Demokratycznej w roku 1924, gdzie z trudem dotarło kulach na środek sceny, żeby przedstawić nominację Ala Smitha na prezydenta. Nie występował publicznie aż do roku 1928, kiedy na następnej konwencji wygłosił przemówienie, aby poprzeć Smitha. W pewnym sensie Roosevelt miał szczęście. Działając na zapleczu sceny politycznej w czasie, kiedy usługi partii progresywistycznej były niemile widziane, pozostał niesplamiony, czekając na swój moment.

Choć nie był intelektualistą, Franklin Roosevelt cechował się pewnym geniuszem instynktu pozwalającego mu wyczuć politycznego ducha czasu. Znakomicie odczytywał ludzkie pobudki oraz nastawienie i zbierał informacje, prowadząc rozmowy z szerokim gronem intelektualistów, działaczy, polityków itp. Autorzy jego biografii piszą, że był jak gąbka chłonąca *zeitgeist*, a przy tym prawie nigdy nie przejmował się ogólniejszymi wnioskami filozoficznymi. „W znacznym stopniu zadowalał się podążaniem za opinią publiczną" – stwierdził historyk Richard Hofstadter. Pod wieloma względami Roosevelt uważał się za popularyzatora prądów intelektualnych. Wypowiadał się ogólnikami, które wszyscy początkowo uważali za twierdzenia do zaakceptowania, a po namyśle za zdania pozbawione znaczenia. Potrafił się wypowiadać – a przynajmniej sprawiać takie wrażenie – jak zwolennik Jeffersona albo Hamiltona, jak internacjonalista albo izolacjonista, wyraziciel dowolnego poglądu lub zdania przeciwnego. Herbert Hoover ubolewał, że był jak „kameleon na kocu w kratę".[190]

Ta śliskość Roosevelta wynikała nie tylko z chęci przypodobania się ludziom. Nawet w końcowym okresie jego prezydentury naczelnym imperatywem było dla niego zacieranie różnic i szukanie „środkowej drogi". „Myślę, że przyznasz – pisał do przyjaciela, komentując jedno ze swoich przemówień – że było wystarczająco lewicowe, by uciąć wszelkie sugestie, że skłaniam się ku prawicy".[191] Kiedyś, kiedy otrzymał dwie kompletnie przeciwstawne propozycje działań politycznych, po prostu kazał je pogodzić Jamesowi Farleyowi, swojemu współpracownikowi i poczmistrzowi naczelnemu.[192] Jego ulubioną forma zarządzania było napuszczanie na siebie dwóch urzędników albo dwóch wydziałów poprzez przydzielenie im tego samego zadania.

Kłopot z tego rodzaju triangulacją[193] polega na tym, że w końcu ląduje się w miejscu, które się uważa za epicentrum leżące między dwoma stale się przemieszczającymi i trudnymi do określenia horyzontami, Co gorsza, Roosevelt przekładał to podejście na faktycznie dominującą filozofię trzeciej drogi. A to w praktyce oznaczało, że nic nie było ustalone, Nie rozstrzygnięto w gruncie rzeczy żadnej kwestii dotyczącej roli rządu czy jego uprawnień. I z tego powodu zarówno konserwatyści, jak i radykałowie żywili do prezydenta negatywne uczucia – od złości do pogardy.

W przekonaniu radykałów Franklin Roosevelt nie kierował się dostatecznie zasadami, aby się opowiedzieć za trwałą zmianą, a według konserwatystów nie kierował się dostatecznie zasadami, żeby bronić swego stanowiska. Zatknął swój sztandar na morskiej boi, stale unoszonej przez prądy. Niestety, te prądy zwykle niosły go w jednym kierunku, mianowicie ku etatyzmowi, który w tamtym czasie był dominującą modą intelektualną.

Dzisiaj wielu liberałów podziela mityczne przekonanie, że Nowy Ład był wewnętrznie spójnym, oświeconym i jednolitym ruchem, ujętym w zasadniczo pozbawionym znaczenia określeniu „dziedzictwo Roosevelta". To bzdura. „Uważać te programy za rezultat przemyślanego planu – pisał Raymond Moley, prawa ręka Roosevelta w znacznej części okresu wdrażania Nowego Ładu – to jakby wierzyć, że nagromadzenie wypchanych węży, zdjęć sportowców, szkolnych sztandarów, starych tenisówek, narzędzi stolarskich, podręczników geometrii i zestawów młodego chemika w uczniowskim pokoju jest wynikiem pracy dekoratora wnętrz". Kiedy Alvina Hansena, wpływowego doradcę prezydenta ds. gospodarczych, spytano (w roku 1940!), czy „podstawowa zasada Nowego ładu" ma „solidne podstawy ekonomiczne", odpowiedział: „Naprawdę nic wiem, co jest podstawową zasadą Nowego Ładu".[194]

To ukazuje pierwszą z wielu cech wspólnych liberalizmu Nowego Ładu, włoskiego faszyzmu i niemieckiego narodowego socjalizmu. Wszystkie te ruchy miały wielu tych samych przodków historycznych i intelektualnych. Faszystowscy i nazistowscy intelektualiści nieustannie zachwalali „środkową" albo „trzecią" drogę między kapitalizmem a socjalizmem. Mussolini jechał zygzakami od wolnego handlu i niskich podatków do totalitarnego aparatu państwowego. Jeszcze zanim doszedł do władzy, jego rutynową odpowiedzią na pytanie o program było, że nie ma żadnego. Faszyści lubili mówić: „Naszym programem jest rządzić".

Hitler wykazywał jeszcze mniejsze zainteresowanie teoriami politycznymi i ekonomicznymi, faszystowskimi czy innymi. Nigdy nie przeczytał *Der Mythus des 20. Jahrhunderts* (Mitu dwudziestego wieku) Alfreda Rosenberga i wielu innych „klasycznych" tekstów faszystowskich. A niezdolność licznych nazistowskich i faszystowskich aktywistów do przebrnięcia przez nazistowską biblię *Mein Kampf* jest legendarna.

„Droga środka" brzmi umiarkowanie i nieradykalnie. Pociąga brakiem ideologiczności i swobodą myślenia, jednak pod względem filozoficznym trzecia droga nie tylko zaciera różnice, ale jest utopijna i autorytarna. Jej aspekt utopijny przejawia się w tym, że nie uznaje polityki za pole kompromisów. Zwolennicy trzeciej drogi mówią, że nie ma złych wyborów – „Nie godzę się na to, żeby X zostało zrealizowane kosztem Y". Wyznawcy trzeciej drogi twierdzą, że można mieć i kapitalizm, i socjalizm, indywidualną wolność i absolutną jedność.

Ruchy faszystowskie są utopijne, ponieważ zakładają, podobnie jak ruchy komunistyczne i chrześcijańskie ruchy heretyckie, że przy słusznych regulacjach politycznych można wyeliminować wszystkie przeciwieństwa. Jest to polityczna złuda, życie nigdy nie osiągnie doskonałości, gdyż człowiek jest niedoskonały. To dlatego trzecia droga jest jednocześnie autorytarna, Zakłada bowiem, że właściwy człowiek (albo – w przypadku bolszewików – właściwa partia) może zlikwidować wszystkie przeciwieństwa po prostu aktem woli.

Populistyczny demagog bierze na siebie role rodzica, który tłumaczy naiwnym masom, że wszystko będzie dobrze, jeżeli tylko mu uwierzą. Głoszona przez Roosevelta „droga środka" wywoływała bardzo specyficzne skojarzenia, pozornie przeczące jej filozoficznym założeniom. Jak chętnie podkreślało wielu komunistów, zrodziła się ona z dążeń Bismarcka do zapobieżenia większemu radykalizmowi. Elity, łącznie z liderami biznesu, pogodziły się na ogół z faktem, że jakaś forma „socjalizmu" stanie się stałą częścią ekonomii politycznej. Pomysł środkowej drogi był przemyślanym odwołaniem się do całkowicie realnych obaw klasy średniej przed czerwonym zagrożeniem. Hitler i Mussolini wykorzystywali te obawy na każdym kroku; prawdopodobnie był to klucz do ich sukcesu. Faszyści odwoływali się do domowej odmiany socjalizmu, praworządnego socjalizmu, socjalizmu z niemiecką albo włoską twarzą w przeciwieństwie do plugawego „obcego"

socjalizmu, podobnie jak stuprocentowy amerykanizm był kontrpropozycją progresywistów w stosunku do bolszewizmu.

Często twórcy Nowego Ładu występowali z tą samą groźbą – jeżeli Nowy Ład upadnie, to znacznie bardziej radykalne będzie to, co przyjdzie po nim. Jak zobaczymy, bardzo wielu przeciwników Roosevelta ze starej prawicy było w istocie dawnymi progresywistami, przekonanymi, że Nowy Ład zmierza w stronę **niewłaściwego socjalizmu**. To, że trzecią drogę można ukazywać jako program atrakcyjny zarówno dla zwolenników, jak i przeciwników utopii, wydaje się nieprawdopodobne, platformy polityczne nie muszą być jednak logiczne, wystarczy, że są uwodzicielskie. A uwodzicielskość zawsze była najważniejszą cechą trzeciej drogi.

Nowy Ład – i niemiecki, i amerykański – mógłby być tym, co Hitler i Roosevelt uznali za możliwe do zrealizowania, ale tu kryje się wspólne założenie: państwo **powinno** mieć pozwolenie na wszystko, jeżeli tylko robi to „z dobrych powodów". To wspólne założenie faszyzmu, nazizmu, progresywizmu i tego, co dzisiaj nazywamy liberalizmem. To jest triumf pragmatyzmu w polityce, z tego powodu, że pragmatyzm nie uznaje dogmatycznie wyznaczonych granic władzy państwowej. Przywódca i jego namaszczone kadry podejmują decyzje polityczne, nie zważając na imperatywy polityczne bądź demokratyczne, gdyż są ponad nimi. Powołują się z religijnym szacunkiem na „naukę" i prawa ekonomii, jak kapłani kiedyś wróżyli z wnętrzności zwierząt, ale – ponieważ nie zauważają, że kierowali się wiarą, podejmując decyzje – nie dostrzegają, że wartości i moralności nie można wyprowadzić z analiz naukowych. O moralności i wartościach decydują kapłani – niezależnie od tego, czy noszą czarne szaty, czy białe kitle laboratoryjne.

Wiek „eksperymentu"

Od prezydentury Roosevelta – kiedy „liberalizm" zastąpił „progresywizm" jako szyld dla centrolewicowych idei i działań – liberałowie mieli kłopoty z wyartykułowaniem, czym jest liberalizm, poza przekonaniem, że rząd federalny powinien wykorzystywać władzę do robienia dobrych rzeczy, kiedy tylko może. Dobrze to ujął Herbert Croly, kiedy bronił „New Republic" przed krytykami, którzy twierdzili, że ograniczone poparcie pisma dla Mussoliniego narusza jego liberalne zasady: „Jeżeli jakieś abstrakcyjne liberalne zasady istnieją, to nie wiemy, jak je sformułować. Nie uznajemy ich autorytetu także wtedy, gdy są formułowane przez innych. Liberalizm, tak jak go rozumiemy, jest czynem".[195] Innymi słowy, liberalizm jest tym, co liberałowie robią albo uważają, że należy robić, kropka. Wiara bez uczynków jest martwa, mówi Pismo. Pragmatyczni liberałowie przyswoili to sobie, twierdząc jednocześnie, że nie mają wiary. To była istota tego, co niemiecki historyk Peter Vogt nazwał „wybiórczym pociągiem" progresywistów do faszyzmu. John Patrick Diggins zaś ujął to tak: „Faszyzm odwoływał się przede wszystkim do pragmatycznego etosu eksperymentowania".[196]

W okresie prezydentury Roosevelt szczycił się tym, że nie brał ślubu z żadnymi z góry przyjętymi założeniami. Oceniał wartość idei na podstawie rezultatów, jakie pozwala osiągać. „Weź jakąś metodę i ją wypróbuj – mówił w słynnym wystąpieniu na Uniwersytecie Oglethorpe w maju 1932 roku. – Jeżeli zawiedzie, przyznaj to uczciwie i spróbuj innej. Ale nade wszystko próbuj". Jedyną konsekwentną polityką, której Roosevelt hołdował, było „śmiałe i nieustanne eksperymentowanie". Konserwatyści byli przedstawiam przez Roosevelta i jego sojuszników jako przeciwnicy wszelkich zmian, samolubni niewolnicy *status quo*. Ale amerykańscy konserwatyści nie są wcale zwolennikami zastoju, lecz uważają, że zmiana dokonywana dla samej zmiany jest głupotą. „Jaka zmiana?" – pytają. Za jaką cenę? W przekonaniu liberałów i progresywistów ze wszystkiego można zrezygnować, od tradycji, poprzez indywidualizm, po „przestarzałe" koncepcje wolności. Wszystko to były dla nich zużyte dogmaty, które należało spalić na ołtarzach nowego wieku.

W roku 1932, kiedy Franklin Roosevelt został wybrany na prezydenta, trzy rzeczy uważano za godne podziwu eksperymenty: rewolucję bolszewicką, przejęcie władzy przez faszystów we Włoszech i amerykański „eksperyment" wojennego socjalizmu za Wilsona. W roku 1932 podziw dla rosyjskiego „eksperymentu społecznego" stał się nieodłączną częścią składową amerykańskiego liberalizmu – podobnie jak podziw dla pruskiego odgórnego socjalizmu dwie dekady wcześniej. Krótko mówiąc, Związek Sowiecki to była przyszłość, bo „to działało".

Mieszały się z tymi panegirykami na cześć tego, co Lincoln Steffens nazywał „metodą rosyjsko-włoską" (co oznaczało, że przynajmniej według niego bolszewizm i faszyzm nie były przeciwieństwami, lecz ruchami pokrewnymi), wyrazy tęsknoty za krótkotrwałym amerykańskim „eksperymentem" z socjalizmem wojennym za Thomasa Woodrow Wilsona. „W czasie wojny planowaliśmy" – brzmiał wszechobecny wyraz żalu progresywistów, pragnących odtworzyć ten rodzaj gospodarczej i społecznej kontroli, jaki mieli za Wilsona. Włosi i Rosjanie wygrywali z Ameryką w jej własnej grze, kontynuując swoje eksperymenty z wojennym socjalizmem, podczas gdy Ameryka zarzuciła swój projekt, żeby się tarzać w samolubnej rozpuście „ryczących lat dwudziestych". W roku 1927 Stuart Chase powiedział, że za pięć lat będzie wiadomo, czy „śmiały i bezprecedensowy eksperyment" realizowany w Związku Sowieckim „okaże się ekonomicznym drogowskazem" dla całego świata. Po pięciu latach zawyrokował, że dowód jest: Rosja okazała się nowym wzorcem w dziedzinach polityki gospodarczej i społecznej. Dlaczego więc, pytał w swojej książce z roku 1932, zatytułowanej *A New Deal* (Nowy Ład), „Rosjanie mają mieć całą uciechę z przebudowy świata?".[197]

Komentarz Chase'a wskazuje na ważny aspekt progresywistycznej mentalności. Każdy, kto spotkał studenckiego aktywistę, demaskującego dziennikarza albo polityka reformatora, musiał zauważyć ważną rolę, jaką w impulsie do „przebudowy świata" odgrywa znudzenie i niecierpliwość. Nietrudno dostrzec, jak nuda – zwykłe, nieustanne znudzenie stanem rzeczy – służyło za tlen dla ognia progresywizmu, bo z nudów rodzą się psoty.[198] Podobnie jak romantyzm dostarczał wielu intelektualnych orzeczników nazizmowi, tak niecierpliwość i niezadowolenie progresywistów w latach dwudziestych sprawiły, że postrzegali świat jako glinę, którą może kształtować ludzka wola. Zbrzydzeni tym, co uważali za duchową ociężałość swoich czasów, członkowie awangardy przekonywali samych siebie, że *status quo* można bez trudu zerwać jak starą kurtynę i równie łatwo zastąpić ją kolorowym nowym gobelinem. Przekonanie to siłą własnej logiki często się staczało w anarchizm i radykalizm, pokrewne światopoglądy, zakładające, że wszystko będzie lepsze niż to, co mamy teraz.

Głęboka awersja do nudy i konsekwentna, bezkrytyczna miłość do nowości wśród intelektualistów przekładała się na rutynowe obrazoburstwo i dogłębną pogardę dla demokracji, tradycyjnej moralności, mas i mieszczaństwa, natomiast na miłość do „czynu, czynu, czynu!", która nadal jest plagą lewicy. (Ile z praktykowanego radykalizmu współczesnej lewicy rodzi się z dziecinnej psotliwości, którą nazywają wywrotowością?). Wiele z bon motów George'a Bernarda Shaw robi wrażenie strzałów na oślep do potwora nudy – którego może pokonać jedynie nietzscheański superman. W różnych okresach swego życia Shaw ubóstwiał Stalina, Hitlera i Mussoliniego jako wielkich „postępowych" wodzów, ponieważ oni „działali", W przeciwieństwie do liderów tych „gnijących trupów" zwanych demokracjami parlamentarnymi. W podobnych słowach Gertrude Stein wychwalała Hueya Longa, za to, że „nie jest nudny".[199]

Albo weźmy H.G. Wellsa. Jego literacki eskapizm i wiara, że nauka zapewni zbawienie ludzkości, były postrzegane jako najważniejsze lekarstwa na chorobę toczącą upadający Zachód. Latem 1932 roku Wells wygłosił w Oksfordzie ważne przemówienie do organizacji młodych liberałów, w którym nawoływał do odrodzenia liberalizmu pod sztandarem „liberalnego faszyzmu".[200] Fabiański socjalizm upadł – tłumaczył – bo nie rozumiał potrzeby prawdziwie „rewolucyjnego" wysiłku, którego celem będzie totalna przebudowa społeczeństwa. Jego przyjaciele socjaliści rozumieli potrzebę socjalizmu, ale nie byli dostatecznie radykalni. Ich program stopniowego uspołecznienia „gazu, wody i komisji szkolnych" jest zwyczajnie zbyt nudny. Tymczasem tradycyjne rządy demokratyczne były dekadenckie, słabe i nijakie. Jeżeli liberałowie w

latach trzydziestych mieli odnieść sukces tam, gdzie fabianiści zawiedli, i znieść własność prywatną, osiągając w pełni planowa gospodarkę oraz miażdżąc opór sił reakcji, będą musieli przerobić tę lekcję.

Wells wyznał, że około trzydziestu lat – od początku ery progresywistycznej – pracował nad ideą liberalnego faszyzmu. „Nigdy nie udawało mi się całkowicie uciec od jej bezlitosnej logiki 7– tłumaczył. – Widzieliśmy *fascisti* we Włoszech oraz kilka nieudolnych imitacji i widzieliśmy rosyjską partię komunistyczną, która powstała, żeby wzmocnić tę ideę". A teraz Wells miał dość czekania. „Żądam liberalnych faszystów, żądam oświeconych nazistów".

„I nie chcę, żebyście żywili najmniejsze wątpliwości co do skali i ambicji tego, co wam przedstawiam – kontynuował. – Te nowe organizacje nie mają na celu upowszechniania określonych opinii. [...] Skończyły się czasy podobnej amatorszczyzny, to są organizacje mające zastąpić wiecznie się ociągające i niezdecydowane demokracje. Świat ma powyżej uszu polityki parlamentarnej. [...] Partia faszystowska, najlepiej jak umie, jest teraz Włochami. Partia komunistyczna, najlepiej jak umie, jest teraz Rosją. Najwyraźniej faszyści liberalizmu muszą zrealizować podobne ambicje na jeszcze większą skalę. [...] Muszą zaczynać jako zdyscyplinowana sekta, ale muszą skończyć jako trwała organizacja przemienionej ludzkości".[201]

Powieści Wellsa były tak słabo zamaskowaną pochwałą faszyzmu, że uważny czytelnik musi się czuć zakłopotany. W *Wojnie w powietrzu* niemieckie statki powietrzne unicestwiają „czarną i złowrogą wielojęzyczną ludność" Nowego Jorku. W *Kształcie rzeczy przyszłych* weterani wielkiej wojny światowej, głównie lotnicy i technicy, w czarnych koszulach i uniformach walczą, żeby wyczerpanym i niezdyscyplinowanym masom narzucić jeden rząd światowy. W Wellsowskiej dalekiej przyszłości historyk spogląda na XX wiek i stwierdza, że korzenie nowej, oświeconej „Powietrznej Dyktatury" sięgają faszyzmu Mussoliniego – „złej dobrej rzeczy", jak ją nazywa ten historyk – a także nazizmu i sowieckiego komunizmu. W roku 1927 Wells dostrzegał „dobro tkwiące w tych faszystach; mają w sobie jakąś dzielność i mnóstwo dobrych chęci". W roku 1941 nie kto inny jak George Orwell komentował: „Wiele z tego, co Wells sobie wyobraził i do czego dążył, jest obecne w nazistowskich Niemczech".[202]

Wells był ogromnym miłośnikiem Roosevelta i często się z nim spotykał w Białym Domu, zwłaszcza w roku 1934. Wells nazwał Roosevelta „najskuteczniejszym instrumentem przygotowującym nadchodzący nowy porządek światowy". W latach 1935 i 1936 na krótko przerzucił się na bardziej ekscytujący rodzaj faszyzmu w wykonaniu Hueya Longa i księdza Coughlina. (Opisał dyktatora znad Mississippi jako „Winstona Churchilla, który nie chodził do angielskiej szkoły").[203] W roku 1939 był już jednak twardo z powrotem w obozie Roosevelta, uznając jego „osobiste rządy" za niezbędne.

Wizja Wellsa trafnie oddaje poczucie podniecenia, które przepełniało zachodnią lewicę w latach trzydziestych. Nie powinno dziwić, że awangarda samozwańczych supermanów witała z radością wiek, w którym supermani będą rządzić światem. Bez wątpienia w sumie były to czasy ponure i pesymistyczne, ale duch „im gorzej, tym lepiej" był wiatrem w żagle liberałów, palących się do przebudowy świata, do zakończenia dni bezładu i rozpoczęcia ery panowania progresywizmu.

Ubiec faszystę

Herbert Hoover wygrał prezydencki wyścig w roku 1928 w sporej mierze dzięki międzynarodowym zachwytom nad planowaniem gospodarczym i kolektywizacją. Był milionerem, który sam dorobił się majątku, ale jego najsilniejszą bronią było jego doświadczenie jako inżyniera, W latach dwudziestych i trzydziestych powszechnie wierzono, że inżynieria jest najwyższym

powołaniem i żywiono nadzieję, że inżynierowie potrafią przenosić góry polityczne tak samo, jak przenoszą prawdziwe.[204]

Ironiczną wymowę ma fakt, że Hoover zawiódł jako Wielki Inżynier dlatego, że dał ludziom zbyt dużo tego, czego chcieli. Faktycznie, wielu historyków gospodarki przyznaje, że Nowy Ład był pod ważnymi względami raczej przyśpieszoną kontynuacją polityki Hoovera niż ostrym odbiciem od tego kursu. Te linie podziału zacierają się jeszcze bardziej, kiedy zauważymy, że Franklin Roosevelt objął urząd, uchodząc za polityka dążącego do zrównoważenia budżetu, który obniżył pensje urzędników. Oczywiście, Nowy Ład poniósł jeszcze większą klęskę, jeżeli mowa o wychodzeniu z wielkiego kryzysu, ale Roosevelt miał po swojej stronie coś, czego nie miał Hoover: doceniał faszystowską chwilę w historii.

Podobnie jak progresywizm stanowił określony moment historii światowej w drugiej dekadzie XX wieku, tak w latach trzydziestych świat zachodni przeżywał burzę kolektywistycznych sentymentów, idei i tendencji. W Szwajcarii, Holandii, Belgii i Finlandii quasi-faszystowskie partie otrzymały najwięcej głosów w swej historii. Aż do roku 1934 wydawało się możliwe, że Oswald Mosley, założyciel Brytyjskiej Unii Faszystów (który, podobnie jak Mussolini, zawsze uważał się za lewicowca) zamieszka przy Downing Street 10.[205] W tym samym czasie w Stanach Zjednoczonych wielką popularnością cieszyli się narodowi socjaliści lub populistyczni progresywiści, na przykład Huey Long czy ksiądz Coughlin, i to oni bardziej niż jakakolwiek inna grupa przesuwali polityczny środek ciężkości Ameryki na lewo.

Można w tym miejscu, jak w każdym innym, przypuścić atak na uporczywy mit, że Long i Coughlin byli konserwatystami. To, że ksiądz Coughlin był obrzydliwym prawicowcem, stanowi żelazny dogmat dla wszystkich oświeconych liberałów. (Long jest bardziej skomplikowanym przypadkiem, bo kiedy spuściznę po nim przedstawia się negatywnie, jest charakteryzowany jako prawicowiec, a kiedy jest przyjacielem ludu, nazywa się go lewicowcem). Raz po raz Coughlina nazywa się „prawicowym księdzem radiowym", a podobno przenikliwi autorzy przedstawiają go jako ideologicznego dziadka takich publicystów jak Rush Limbaugh, Pat Buchanan, Ann Coulter i innych rzekomych ekstremistów.[206] Coughlina jednak nie można nazwać ani konserwatystą, ani nawet prawicowcem, bo prawie pod każdym względem był człowiekiem lewicy.

Urodzony w roku 1891 w Hamilton w stanie Ontario, Coughlin został wyświęcony na księdza w roku 1916. Przez siedem lat uczył w katolickich szkołach w Kanadzie, po czym przeniósł się do Michigan. W końcu znalazł przystań jako ksiądz parafialny w Royal Oak na przedmieściach Detroit. Nazwał swój kościół Sanktuarium Kwiatka (*Shrine of the Little Flower*) na cześć świętej Teresy. Coughlin po raz pierwszy zasmakował popularności, kiedy podjął walkę z miejscową organizacją Ku-Klux-Klanu napastującą katolików, przeważnie imigrantów, i przekonał lokalną rozgłośnię, żeby pozwoliła mu wygłaszać kazania transmitowane przez radio. Prawie natychmiast odniósł sukces.

W latach 1926-I 929 Coughlin ograniczał się prawie wyłącznie do tematów religijnych, potępiania Ku-Klux-Klanu, kazań dla dzieci i wystąpień przeciwko prohibicji, wszystko to dla słuchaczy mieszkających w okolicach Detroit. Wielki przełom nastąpił, gdy doszło do krachu giełdowego, wtedy bowiem zajął się populistyczną ekonomią.

Sprytnie wykorzystywał powszechny niepokój i niezadowolenie z sytuacji gospodarczej, a jego audycje były transmitowane przez coraz większą liczbę stacji. W roku 1930 podpisał umowę z CBS na wygłaszanie przez sześć miesięcy kazań transmitowanych przez szesnaście stacji w kraju pod tytułem *Golden Hour of the Little Flower* (Złota godzina kwiatka).

Prawie natychmiast Coughlin stał się najpopularniejszym politycznym komentatorem rodzącego się wieku mass-mediów. Przy przeszło czterdziestu milionach słuchaczy i podobno milionie listów tygodniowo stał się jednym z najpotężniejszych głosów w amerykańskiej polityce.

Jego pierwszą ofiarą padł rzekomo konserwatywny Herbert Hoover. W październiku 1931 roku w płomiennym wystąpieniu przeciwko gospodarce wolnorynkowej Coughlin oświadczył, że

problemów Ameryki nie rozwiąże „wyczekiwanie, aż sprawy naprawią się same, ani łykanie frazesów setek tak zwanych przywódców, którzy zapewniali, że do dna już doszliśmy i dobrobyt, sprawiedliwość oraz dobroczynność czekają »tuż za rogiem«".[207] Jego ulubionymi czarnymi charakterami byli „międzynarodowi bankierzy" i im podobni. Datki i listy płynęły bez końca.

W listopadzie, potępiając przekonanie Hoovera, że poprawa warunków gospodarczych to sprawa lokalna, Coughlin rozpętał płomienna krucjatę na rzecz działań rządu na szczeblu ogólnopaństwowym. Krytykował rząd federalny za to, że wysyłał pomoc dla głodujących w Belgii, a nawet dożywiał świnie w Arkansas, a nie pomagał Amerykanom z powodu wrogiego nastawienia do pomocy społecznej. W miarę zbliżania się wyborów prezydenckich Coughlin całą swoją potęgę wykorzystał do poparcia Franklina Delano Roosevelta. Lewicowy teokrata przysięgał, że Nowy Ład to „ład Chrystusa" i że Amerykanie stoją wobec wyboru „Roosevelt albo ruina". Jednocześnie słał do niego groteskowo lizusowskie listy, obiecując, że mógłby zmienić zajmowane stanowisko, jeśli tego będzie wymagała kampania.

Franklin Roosevelt nie przepadał za Coughlinem, ale – jak zwykle – cieszył się, że ksiądz tego nie wie. Kiedy Franklin Roosevelt wygrał, częściowo dzięki strategii postawienia na głosy katolików z miast, Coughlin uznał, że odegrał istotną rolę w jego wyborze. Franklin Roosevelt zaprosił radiowego kaznodzieję na inaugurację i Coughlin uwierzył, że prezydent elekt patrzy na sprawy tak jak on. Z biegiem czasu narastało w nim przekonanie, że jest oficjalnym rzecznikiem Białego Domu, choć często przyprawiał ten Biały Dom o ból głowy, nawet kiedy chwalił tego „protestanckiego prezydenta, który ma więcej odwagi niż dziewięćdziesiąt procent katolickich księży w tym kraju". „Kapitalizm jest skazany na zagładę i nie warto go ratować" – głosił Coughlin. Kiedy indziej zalecał „kapitalizm państwowy". To określenie wywołuje wiele skojarzeń z programami faszystowskimi i marksistowskimi.[208]

Gospodarczy populizm Coughlina dobrze ilustruje, jak ideologiczne kategorie z lat trzydziestych były później systematycznie niewłaściwie stosowane. Jak wspomniałem wyżej, Richard Pipes nazwał bolszewizm i faszyzm bliźniaczymi herezjami marksizmu. Obie chciały narzucić taki czy inny socjalizm, znieść różnice klasowe i odrzucić upadający zachodni system demokratyczno-kapitalistyczny W pewnym sensie opis Pipesa nie jest poprowadzony dostatecznie daleko. Choć faszyzm i bolszewizm były niewątpliwie herezjami marksizmu, to właściwie wszystkie kolektywistyczne wizje końca XIX i początku XX wieku były herezjami marksizmu w tym sensie, że sam marksizm był heretycki. Wszystkie te izmy, jak twierdził filozof faszystowski Eric Vogelin, wychodziły z założenia, że ludzie mogą zbudować utopię dzięki woli politycznej i zmianom czynników rządzących gospodarką. Marksizm, a właściwie leninizm był najpotężniejszą i najbardziej wpływową z tych herezji, toteż on służył do wyznaczania, co jest lewicowe. Ale skoro leninizm był rodzajem marksizmu stosowanego, to samo można powiedzieć o faszyzmie (a także o technokracji, socjalizmie fabiańskim, korporacjonizmie, socjalizmie wojennym, niemieckiej socjaldemokracji i tak dalej). Kolektywizm był „falą przyszłości", zgodnie z tytułem i myślą przewodnią ksiażki Anne Morrow Lindbergh, i w różnych miejscach był znany pod różnymi nazwami. Ten faszystowski moment, który zrodził „rosyjsko-włoską metodę", był w rzeczywistości religijnym przebudzeniem, w którym chrześcijaństwo miało być albo zlikwidowane i zastąpione, albo „uaktualnione", stając się nową progresywistyczna wiarą w zdolność człowieka do doskonalenia świata.[209]

Od początku ery progresywistycznej aż do końca lat trzydziestych środowisko intelektualne i ideologiczne tego większego obozu było podzielone, Walka między lewicą a prawicą toczyła się głównie między lewicowymi a prawicowymi **socjalistami**. Ale właściwie wszystkie ugrupowania przyznawały się do jakiejś hybrydyzowanej odmiany marksizmu, jakiejś skundlonej wersji marzenia Rousseau o społeczeństwie podlegającym rządom woli powszechnej. Dopiero pod koniec lat czterdziestych, wraz z odrodzeniem się klasycznego liberalizmu, któremu przewodził Friedrich Hayek, kolektywizm wszelkich odmian zaczął być atakowany z prawej strony, która nie podzielała podstawowych założeń lewicy. Irytuje to, że typy w rodzaju Coughlina wciąż się uważa za prawicowców, z powodu antysemityzmu, opozycji wobec Roosevelta, albo po prostu dlatego, że są

zbyt kłopotliwe dla lewicy – chociaż pod względem zasadniczych kwestii filozoficznych oraz politycznych zwolennicy Coughlina stanowili część bloku liberalno-progresywistycznego.

Sam Coughlin był ulubieńcem demokratów z Kapitolu, zwłaszcza progresywistów, czyli liberałów stojących na lewo od Roosevelta i popychających go w stronę jeszcze bardziej agresywnych reform. W roku 1933 administracja była pod silną presją, żeby włączyć Coughlina w skład amerykańskiej delegacji na organizowaną w Londynie poważna konferencję poświęconą kwestiom gospodarczym. Dziesięciu senatorów i siedemdziesięciu pięciu kongresmanów podpisało petycję, w której twierdzono, że Coughlin cieszy się „zaufaniem milionów Amerykanów". Znaczną większość sygnatariuszy stanowili demokraci. Były również naciski progresywistów na prezydenta, żeby mianował Coughlina sekretarzem skarbu.

To nie były żarty. Coughlin był prawdopodobnie głównym amerykańskim zwolennikiem międzynarodowego ruchu na rzecz nacjonalizmu gospodarczego. Jako spadkobierca ruchu Uwolnić Srebro[210] był klasycznym lewicowym populistą. Akceptowały go bardziej „szacowne" siły liberalizmu, podobnie jak dzisiejsza Partia Demokratyczna akceptuje Michaela Moore'a.[211] Raymond Moley zamieścił w swoim periodyku artykuł Coughlina na temat inflacji. Sekretarz rolnictwa Henry Wallace wspierał Coughlina w wysiłkach na rzecz przesunięcia polityki monetarnej rządu jeszcze dalej na lewo. Przypomnijmy, że Wallace (który był szefem Algera Hissa w Departamencie Rolnictwa) został przedostatnim wiceprezydentem Roosevelta, czołowym sowieckim „użytecznym idiotą" w Stanach Zjednoczonych, redaktorem pisma „New Republic" i kandydatem Partii Progresywnej na prezydenta w roku 1948.[212] W roku 1933 Liga na rzecz Niezależnej Akcji Politycznej (*League for Independent Political Action*), skrajnie lewicowa grupa intelektualistów pod kierownictwem Johna Deweya, zaprosiła Coughlina do udziału w pracach jej letniego instytutu. Kiedy William Aberhart, „radykalny premier" kanadyjskiej Alberty, odwiedził Coughlina w Detroit w roku 1935, żeby przedyskutować z nim swój własny lewicowy program gospodarczy, tłumaczył, że chciał usłyszeć „najbardziej fachową opinię na kontynencie".[213]

Coughlin aż się palił, żeby zakasać rękawy i przyjąć rolę atakującego w Partii Demokratycznej. Opowiadający się za centrowymi rozwiązaniami demokrata Al Smith, pierwszy katolik, który zyskał nominację prezydencką dużej partii, stawał się coraz bardziej zaciekłym wrogiem Nowego Ładu i Roosevelta. To była dla Coughlina prowokacja, na którą tylko czekał. Uprzedziwszy telegramem prezydenta, Coughlin zabrał się do obdzierania ze skóry w radiu swojego współbrata katolika jako płatnego agenta Wall Street.

Liberałowie często zastanawiali się we własnym gronie, czy warto współpracować z Coughlinem, jeśli ceną była jego niezmienna demagogia. Aż do końca roku 1934 zawsze odpowiadano twierdząco. Głównym obrońcą Coughlina był monsinior John Ryan, najbardziej szanowany liberał wśród katolickich intelektualistów i teologów w Ameryce w tamtym czasie. Kiedy Coughlin nieuczciwie i okrutnie rwał Ala Smitha na strzępy, wielu się zastanawiało, czy nie czas się odciąć od radiowego księdza. Ksiądz Ryan interweniował i oświadczył, że podżegacz „stoi po stronie aniołów". I to była standardowa liberalna obrona rzekomo prawicowego Coughlina. Walczył po dobrej stronie, kto więc zważał na jego ekscesy?

Podczas kongresowego przesłuchania w sprawie polityki pieniężnej prowadzonej przez Roosevelta Coughlin wystąpił z dwugodzinną perora, która członków komisji wprawiła w osłupienie: „jeżeli Kongres nie poprze prezydenta w sprawie jego programu polityki pieniężnej – grzmiał – to przepowiadam w tym kraju rewolucję, przy której zblednie rewolucja francuska!". „Czuję puls tego narodu – mówił dalej. – I wiem, że Kongres nie zrobi nic innego, tylko zawoła: »Panie prezydencie, idziemy z tobą«. Bóg kieruje prezydentem Rooseveltem – dodał. – On jest odpowiedzią na nasze modlitwy". W swoich kazaniach ten przywódca amerykańskiej religijnej lewicy mówił tak, jakby czerpał z przemówień Mussoliniego: „Nasz rząd nadal broni jednego z najgorszych elementów dekadenckiego kapitalizmu, mianowicie założenia, że produkcja powinna przynosić zyski tylko właścicielom, tylko kapitalistom, a nie pracownikom".[214]

Jakim wiec cudem Coughlin nagle stał się prawicowcem? Kiedy stał się *persona non grata* w oczach liberalnych intelektualistów? W tej kwestii dane historyczne są obfite i oczywiste: liberałowie zaczęli nazywać Coughlina prawicowcem, kiedy przesunął się dalej **na lewo**.

Nie ma w tym aż takiej sprzeczności, jak się wydaje. Coughlin został czarnym charakterem pod koniec roku 1934, prawie wyłącznie dlatego, że uznał Roosevelta za niedostatecznie radykalnego. Jego nie całkiem narodowosocjalistyczna polityka wyczerpała cierpliwość Coughlina – podobnie jak niechęć do zrobienia z księdza swego osobistego Rasputina. Mimo pewnych zastrzeżeń przez większość roku Coughlin jednak nie wycofał poparcia, wygłaszając zdania w rodzaju „Bardziej niż kiedykolwiek jestem za jakimś Nowym Ładem". Wreszcie 11 listopada 1934 roku ogłosił, że tworzy nowe „lobby narodowe", Krajową Unię Sprawiedliwości Społecznej (*National Union for Social Justice*). Jako platformę tego nowego superlobby sformułował szesnaście punktów sprawiedliwości społecznej. Oto niektóre z jego artykułów wiary:

- „Każdy obywatel zdolny do pracy i chcący pracować będzie otrzymywać sprawiedliwą roczną płacę minimalną zapewniającą utrzymanie rodziny i wykształcenie dzieci.
- Uważam, że należy przeprowadzić nacjonalizację tych przedsiębiorstw użyteczności publicznej, które ze swej natury są zbyt ważne, aby mogły pozostawać pod kontrolą osób prywatnych.
- Uważam, że należy utrzymać prawo własności prywatnej, ale tę własność trzeba kontrolować dla wspólnego dobra.
- Wierzę nie tylko w prawo ludzi pracy do organizowania się w związki zawodowe, ale również w to, że rząd, który ci ludzie pracy utrzymują, ma obowiązek obrony tych organizacji przed grupami interesu tworzonymi przez ludzi zamożnych i wykształconych.
- Wierzę, że w wypadku wojny w obronie naszego narodu i jego wolności powinien być również ogłoszony pobór bogactwa, jeżeli zostanie ogłoszony pobór ludzi.
- Wierzę w wyższość świętości praw człowieka nad świętością praw własności. Uważam, że główną troską rządu powinien być los biednych, ponieważ, jak pokazuje doświadczenie, bogaci mają wystarczające środki, żeby o siebie zadbać".[215]

W następnym miesiącu Coughlin ogłosił kolejnych siedem zasad, żeby bardziej szczegółowo wyjaśnić, jak jego organizacja będzie zwalczać horrory kapitalizmu i nowoczesnego handlu. Były one jeszcze wyraźniej antykapitalistyczne. Do „obowiązków" rządu należało więc ograniczenie „zysków osiąganych przez każdą branżę". Wszyscy robotnicy mieli mieć zagwarantowane to, co dziś nazywamy płacą minimalną. Rząd musi gwarantować produkcję „żywności, odzieży, domów, lekarstw, książek i wszystkich nowoczesnych udogodnień". „Ta zasada – słusznie zauważył Coughlin – przeczy teorii kapitalizmu".[216]

Program ten został w dużej mierze opracowany na podstawie przeważających poglądów liberalnego skrzydła Kościoła katolickiego, Rolniczo-Robotniczej Partii Pracy z Minnesoty i Progresywnej Partii Pracy z Wisconsin oraz tematów własnych częstych wystąpień Coughlina. To, że jego doktryna gospodarcza powstała pod wpływem różnych odmian amerykańskiego populizmu, nie powinno dziwić. Od początku ideologiczne korzenie Coughlina przeplatały się z korzeniami poglądów wielu zwolenników Nowego Ładu, progresywizmu i populizmu. Nigdy nie był on kojarzony z klasycznym liberalizmem ani z kręgami gospodarczymi, które normalnie wiążemy z prawicą.

To prowadzi nas do jednego z najbardziej denerwujących wypaczeń amerykańskiej debaty politycznej. W latach trzydziestych ubiegłego wieku wyznacznikiem „prawicowca" była prawie wyłącznie opozycja wobec Franklina Roosevelta i jego Nowego Ładu. Na przykład dziennikarz

demaskator J.T. Flynn jest często nazywany światłem przewodnim starej prawicy tylko dlatego, że był zaciekłym krytykiem Roosevelta i członkiem organizacji America First[217] (rzeczywiście był jednym z najbardziej elokwentnych głosów, ujawniających zalążki faszyzmu w Nowym Ładzie). Ale Flynn nie był klasycznym liberałem. Przez większość lat trzydziestych był lewicującym felietonistą pisma „New Republic" i krytykował Roosevelta za to, że w jego przekonaniu przesuwał się na prawo. Co zaś do jego izolacjonizmu, to uważał się za współtowarzysza Normana Thomasa, lidera Amerykańskiej Partii Socjalistycznej, Charlesa Bearda i Johna Deweya.

Senator Huey Long, archetypowy amerykański faszysta, również jest często nazywany prawicowcem przez przeciwników, chociaż jego pozycja w liberalnej wyobraźni jest bardziej skomplikowana. Wielu demokratów, z Billem Clintonem włącznie, nadal podziwia Longa i bardzo wybiórczo się na niego powołuje. Był źródłem inspiracji dla Sinclaira piszącego powieść *It Can't Happen Here* (Tu się to nie może zdarzyć) oraz Roberta Penna Warrena, autora znacznie lepszej powieści *Gubernator*. Jego dominująca osobowość wywołuje mieszane odczucia wśród liberałów, którzy podziwiają jego populizm gospodarczy, ale nie lubią jego prostackiej demagogii. Nie można jednak zaprzeczyć – niezależnie od tego wszystkiego – że Long atakował Nowy Ład **z lewej strony**. Jego program Podziel się Bogactwem (Share the Wealth) był czystej wody głupkowatym socjalizmem. Jego dobrze udokumentowana opozycja w stosunku do Partii Socjalistycznej wynikała całkowicie z przyczyn kulturowych i pragmatycznych, nie ideologicznych. „Może mi pan powie, jaki jest sens startować dzisiaj w Ameryce z listy socjalistycznej? – pytał Long reportera z „Nation". – jaki sens mieć rację tylko po to, żeby przegrać?" Tymczasem Norman Thomas był stale oblegany przez swoich szeregowych członków, którzy chcieli, żeby okazywał więcej sympatii Coughlinowi i Longowi. „Jestem socjalistą – pisał członek z Alabamy do Thomasa w 1935 roku – jestem nim od trzydziestu pięciu lat. [...] [Long] mówi ludziom rzeczy, które my mówimy im od dziesięcioleci. I jego słuchają, [...] podczas gdy nas uważali za głupców".[218]

Tym, co czyni Longa tak rozpoznawalnym faszystą, jest jego prostacka pogarda dla zasad demokracji („Nadszedł czas, żeby wszyscy dobrzy ludzie wznieśli się ponad zasady") i jego absolutne przekonanie, że jest autentycznym głosem ludu. Jego władza nad Luizjaną niewątpliwie była czymś więcej niż władzą zwykłego politycznego bossa. Miał autentyczną, organiczną więź ze swoimi wyborcami, która zdawała się przekraczać wszystko, co Ameryka wcześniej widziała. „W Luizjanie nie ma dyktatury, panuje idealna demokracja, a idealną demokrację trudno odróżnić od dyktatury".[219] Dziwne to, ale tym, co być może pozwoliło tak wielu liberałom i socjalistom dostrzec w polityce Longa faszyzm, był ich własny elitaryzm i kosmopolityzm. Long nie potrzebował jajogłowych ekspertów i elit. Reprezentował nierozcieńczony populizm, który odrzuca dogmaty i stawia na pierwszym miejscu mądrość tłumu. Odwoływał się do narcyzmu mas, głosząc, że dzięki swojej woli władzy może „uczynić każdego królem". Miał więź ze swoimi ludźmi bardziej podobną do więzi Hitlera z jego *Volk*, niż Roosevelt mógł sobie kiedykolwiek wymarzyć. Wielu liberałów uważało to za zagrożenie, mając rację.

W Białym Domu Longa i Coughlina, wraz z innymi populistycznymi i radykalnymi ruchami oraz przywódcami – takimi, jak Upton Sinclair, który ubiegał się w roku 1934 o stanowisko gubernatora Kalifornii, czy doktor Francis Townsend z jego dziwacznym ruchem na rzecz emerytur, który poruszył kraj w latach trzydziestych – uważano za zagrożenia dla kontroli i rządów planistów z Nowego Ładu.[220] Ale jedynie najbardziej niechlujne i nielogiczne rozumowanie – takie, które mówi, że co prawicowe, to złe, a co złe, to prawicowe – mogłoby nie uznać podobnych radykałów i kolektywistów za istoty lewicowe.

W roku 1935 Roosevelt był tak zaniepokojony tymi różnymi zagrożeniami z lewa, że kazał przeprowadzić potajemne badania opinii. Wyniki przeraziły wielu jego strategów, którzy uznali, że Long mógłby wygrać wybory, gdyby wystartował z ramienia trzeciej partii. Roosevelt wyznał swoim doradcom, że liczy na to, iż „ubiegnie Longa", przejmując przynajmniej niektóre z jego postulatów.

Jak Franklin Roosevelt zamierzał ubiec faszystowskie i kolektywistyczne ruchy kiełkujące w Stanach Zjednoczonych? Należało zacząć od ubezpieczeń społecznych. Chociaż o skali tego wpływu gorąco się debatuje, niewielu powątpiewa, że narodowosocjalistyczne naciski oddolne – reprezentowane przez Longa, Coughlina i Townsenda – przyczyniły się do przechylenia w lewo podczas „drugich stu dni Roosevelta". Jako zwolennik trzeciej drogi Franklin Roosevelt naśladował obraną przez Bismarcka taktykę kompromisu z radykałami, żeby utrzymać się przy władzy. I rzeczywiście, kiedy popularność Longa sięgała szczytu, Roosevelt niespodziewanie włączył do swojej listy ustaw, które „muszą przejść", projekt „oskubania bogatych". Nie wiemy, jak rzeczy potoczyłyby się dalej, bo Long został zamordowany we wrześniu 1935 roku. Co do Coughlina, jego kłopoty narastały przez to, że głosił coraz radykalniejsze tezy gospodarcze i coraz bardziej sympatyzował z zagranicznymi faszyzmami Mussoliniego i Hitlera. Jego antysemityzm – niewątpliwy nawet wtedy, kiedy Rooscvelt i liberałowie z Nowego Ładu chętnie korzystali z jego poparcia – stawał się coraz wyraźniejszy. Podczas wojny Franklin Roosevelt polecił Departamentowi Sprawiedliwości szpiegowanie Coughlina, zamierzając go uciszyć.

Jakie poparcie wyborców zdobyliby Long, zwolennicy Coughlina i inni, gdyby Long przeżył, żeby rzucić wyzwanie Rooseveltowi przy urnach, pozostaje kwestią spekulacji uczonych, ale nie ma to związku z naszym ogólniejszym tematem. Chodzi o to, że to populistyczni lewicowcy wyznaczali ramy debaty publicznej. To, że Coughlin zgromadził 40 milionów słuchaczy w narodzie liczącym tylko 127 milionów i że jego audytorium było najliczniejsze, kiedy nazywał Nowy Ład „Ładem Chrystusowym", powinno nam coś powiedzieć o naturze popularności Roosevelta i Coughlina, Nawet ci aktywiści Nowego Ładu, którzy pogardzali Longiem i Coughlinem, uważali, że jeżeli ich nie ubiegną, „Huey Long i ksiądz Coughlin mogą wygrać". Co więcej, szczelina miedzy istotnymi poglądami i motywacjami „ulicznych" albo „prowincjonalnych" faszystów, takich jak Long i Coughlin, a przekonaniami bardziej wyrafinowanych intelektualistów z administracji Roosevelta była bardzo wąska.

Pamiętać o zapomnianym człowieku

Łatwo można przesadzić ze znaczeniem równoległego urzędowania Hitlera i Roosevelta, ale nie jest też kompletnym przypadkiem, że obaj doszli do władzy w roku 1933. Chociaż byli bardzo różnymi ludźmi, mieli wiele podobnych przekonań co do polityki w wieku ruchów masowych. Obaj zawdzięczali wybór postrzeganemu wyczerpaniu tradycyjnej polityki liberalnej i obaj byli tymi światowymi liderami, którzy najskuteczniej wykorzystywali nowe polityczne technologie. Roosevelt słynął z wykorzystywania radia. Naziści błyskawicznie zaczęli robić to samo. Franklin Roosevelt naruszył wszelkie tradycje, przylatując na krajowa konwencję demokratów, żeby przyjąć nominację prezydencką. To była sensacja – człowiek czynu! – zamiast siedzieć na ganku i czekać na wieści, lata samolotem. Hitler też genialnie wykorzystywał samoloty – najsłynniejszy przykład znajduje się w filmie *Triumph des Willens* (Triumf woli) w reżyserii Leni Riefenstahl. Gdy odejmie się teksty z propagandowych plakatów i dzieł graficznych Nowego Ładu, Sowietów i nazistowskich Niemiec, to trudno odgadnąć, czy robotnik z potężnym bicepsem to nowy człowiek sowiecki, nowy człowiek nazistowski, czy człowiek Nowego Ładu. Max Lerner komentował w roku 1934: „Najstraszliwszym ciosem, który dyktatury zadały demokracji, był komplement, jakim nas obdarzyły, przyjmując (i doskonaląc) nasze najcenniejsze metody perswazji i leżącą u naszych praktyk pogardę dla łatwowierności mas".[221]

Roosevelt i Hitler byli najbardziej do siebie podobni, gdy zabiegali o względy „zapomnianego człowieka". Sukces faszyzmu prawie zawsze zależy od współpracy ludzi „przegranych" w czasach gospodarczych i technologicznych przemian. Niższe warstwy klasy średniej – ludzie, którzy mają akurat tyle, żeby się obawiać, że to utracą – są wyborczymi oddziałami szturmowymi faszyzmu (Richard Hofstadter uznał ten „niepokój o utratę statusu" za źródło quasi-faszystowskiej natury progresywizmu). Populistyczne odwołania do niechęci w

stosunku do „grubych ryb", „międzynarodowych bankierów", „gospodarczych rojalistów" i tak dalej są stale na wyposażeniu faszystowskich demagogów. Hitler i Mussolini byli niewątpliwie większymi demagogami niż Roosevelt, ale Roosevelt w pełni doceniał magiczne działanie podobnych odwołań. Nie widział nic złego w przypisywaniu podłych motywów tym, którzy go nie popierali, i niewątpliwie upajał się rolą dobrze urodzonego obrońcy maluczkich.

Najwyraźniej nie była to tylko cyniczna gra. Franklin Roosevelt naprawdę się troszczył o maluczkich, robotników i im podobnych. Ale to samo można powiedzieć o Hitlerze. Stale rośnie liczba prac naukowych wykazujących, że „hitlerowski Nowy Ład" (określenie Davida Schoenbauma) był nie tylko podobny do Rooseveltowego, ale także szczodrzejszy, a do tego przyniósł lepsze rezultaty. Na podstawie podstawowych wskaźników można uznać, że Niemcy prosperowały pod władzą Hitlera. Wskaźnik urodzeń wzrósł w latach 1932-1936 o 50 procent; liczba małżeństw rosła, aż w roku 1938/1939 Niemcy zajęły pierwsze miejsce w Europie. Liczba samobójstw spadła w latach 1932-1939 o 80 procent. Götz Aly, niemiecki historyk, w wydanej niedawno książce nazywa Hitlera „dyktatorem dobrego samopoczucia", ponieważ odniósł wielki sukces, dążąc do przywrócenia Niemcom pewności siebie.[222]

Kiedy Hitler został kanclerzem, jak laser skupił się na celach gospodarczych, likwidując bezrobocie znacznie szybciej niż Franklin Roosevelt. Spytany przez redakcję dziennika „New York Times", czy jego priorytetem jest zatrudnienie, Hitler odpowiedział z mocą: „Absolutnie! W pierwszej kolejności myślę o tych, którzy są w rozpaczliwej sytuacji i tkwią w niej od trzech lat. [...] Co może być ważniejsze?". Hitler powiedział, że ogromnie podziwia Henry'ego Forda, choć nie wspomniał o jego zajadłym antysemityzmie. Hitlerowi podobało się, że Ford „produkuje dla mas. Ten jego mały samochód zrobił więcej niż wszystko inne dla zniesienia różnic klasowych".[223]

Mussolini i Hitler uważali także, że postępują podobnie jak Roosevelt. Witali wręcz Nowy Ład jako bratnie przedsięwzięcie. Zwłaszcza prasa niemiecka nie mogła się nachwalić Roosevelta. W roku 1934 oficjalna gazeta partii hitlerowskiej „Völkischer Beobachter" przedstawiała Roosevelta jako człowieka „nienagannego charakteru, wielkiej odpowiedzialności i niezłomnej woli" oraz „przywódcę ludowego o wielkim sercu, głęboko rozumiejącego potrzeby społeczeństwa". Gazeta podkreślała, że Roosevelt przez swój Nowy Ład wyeliminował „niepowstrzymane szaleństwo spekulacji rynkowych" poprzedniej dekady, stosując w tym celu „narodowosocjalistyczne koncepcje w swojej polityce gospodarczej i społecznej". Po pierwszym roku urzędowania Hitler wysłał do Roosevelta prywatny list, gratulując mu „bohaterskich wysiłków podejmowanych w interesie narodu amerykańskiego. Skuteczną walkę Pana Prezydenta z trudnościami gospodarczymi cały naród niemiecki śledzi z zainteresowaniem i podziwem". Hitler powiedział też amerykańskiemu ambasadorowi Williamowi Doddowi, że „zgadza się z poglądami prezydenta, że poczucie obowiązku, gotowość do poświęceń i dyscyplina powinny przyświecać całemu narodowi, Te wymagania moralne, które prezydent stawia każdemu obywatelowi Stanów Zjednoczonych, stanowią również kwintesencję niemieckiej filozofii państwowej, znajdującej wyraz w haśle »Dobro wspólne jest ważniejsze od dobra jednostkowego«".[224]

Mussolini jeszcze żarliwiej wychwalał Nowy Ład jako wstęp do faszyzmu. Zrecenzował książkę Roosevelta *Looking Forward* (Patrząc przed siebie), stwierdzając, że „ten facet jest jednym z nas": „Apel do stanowczości i męskiej odpowiedzialności narodowej młodzieży, którym Roosevelt wzywa tutaj swoich czytelników do boju, przypomina sposoby, jakimi faszyzm obudził naród włoski". Roosevelt rozumie – pisał Mussolini – że gospodarka nie może być „pozostawiona samej sobie". Mussolini ponadto widział faszystowską naturę tego, jak amerykański prezydent wciela to rozumienie w życie. „Nie ma wątpliwości, że nastrój towarzyszący tej transformacji przypomina faszyzm". (Później recenzował książkę Henry'ego Wallace'a, pisząc: „Dokąd zmierza Ameryka? Ta książka nie pozostawia wątpliwości, że znajduje się ona na drodze do korporacjonizmu, systemu gospodarczego obecnego stulecia"). Na łamach „Völkischer Beobachter" również zwrócono uwagę, że „wiele fragmentów jego książki *Looking Forward* mógłby napisać narodowy socjalista. W każdym razie można być pewnym, że autorowi bliska jest filozofia narodowego socjalizmu".[225]

W słynnym wywiadzie udzielonym Emilowi Ludwigowi Mussolini po raz kolejny wyraził pogląd, że w osobie Roosevelta „Ameryka ma dyktatora”. W eseju napisanym dla amerykańskich czytelników zachwycał się tym, jak siły „duchowego odrodzenia” burzą przestarzały pogląd, że demokracja i liberalizm to „nieśmiertelne zasady”. „Ameryka je sama odrzuca. Roosevelt porusza się, działa i wydaje rozkazy niezależnie od decyzji czy życzeń Senatu i Kongresu. Nie ma już pośredników miedzy nim a narodem. Nie ma już parlamentu, lecz »*état majeur*«. Nie ma już partii, lecz jedna partia. Jedna wola ucisza głosy niezgody. Nie ma to nic wspólnego z żadnymi koncepcjami demoliberalnymi”. W roku 1933 pracownicy biura prasowego Mussoliniego uznali, że podobne stwierdzenia zaczynają szkodzić ich domniemanemu towarzyszowi broni i wydali polecenie: „Nie należy podkreślać faszystowskiego charakteru polityki Roosevelta, ponieważ komentarze takie są natychmiast przekazywane telegraficznie do Stanów Zjednoczonych, gdzie są wykorzystywane przez jego wrogów”. Jednakże wzajemny podziw utrzymywał się jeszcze przez kilka lat. Franklin Roosevelt wysłał do Breckinridge'a Longa, swojego ambasadora we Włoszech, list dotyczący „tego godnego podziwu włoskiego dżentelmena”, w którym stwierdził, że Mussolini „jest autentycznie zainteresowany tym, co my robimy, a ja jestem bardzo zainteresowany i pod głębokim wrażeniem jego dokonań”.[226]

Prawdopodobnie najlepiej postawił pytanie Norman Thomas, czołowy amerykański socjalista: „Do jakiego stopnia możemy liczyć na to, że będziemy mieli faszystowską gospodarkę bez faszystowskiej polityki?”.[227]

Jednakże najbardziej widocznym podobieństwem między nazistowskimi Niemcami, Ameryka Nowego Ładu i faszystowskimi Włochami nie była polityka gospodarcza. Łączyła ich przede wszystkim wspólna gloryfikacja wojny.

Faszystowskie Nowe Łady

W przekonaniu większości obserwatorów podstawową wartością oryginalnego faszyzmu było narzucenie społeczeństwu mentalności wojennej. (Takie przeświadczenie – słuszne albo fałszywe, w zależności od tego, jak zostaje sformułowane – jest tak fundamentalne dla popularnego rozumienia faszyzmu, że muszę powracać do niego parokrotnie w tej książce). Główną zaletą wojny z punktu widzenia planistów społecznych nie jest podbój czy mordowanie, lecz mobilizacja. Wolnym społeczeństwom brakuje dostatecznej organizacji. W mniejszym lub większym stopniu każdy robi, co chce, a to może się okazać niedogodne, kiedy próbuje się zaplanować całą gospodarkę w jakiejś pracowni. Wojna niesie zgodę i jedność celu. Normalne zasady zachowania zostają odłożone na półkę. Można realizować zamierzenia – budować drogi, szpitale, domy. Od obywateli i instytucji wymaga się, żeby „wnosili wkład”.

Zapewne wielu progresywistów wolałoby inną zasadę organizacji i dlatego William James mówiło „moralnym odpowiedniku wojny”. Pragnął mieć wszystkie korzyści – „społeczne możliwości” wojny, o których pisał Dewey – bez związanych z nią kosztów. Stąd w bliższych nam czasach lewica szukała wszędzie – od ochrony środowiska i globalnego ocieplenia do zdrowia publicznego i „zróżnicowania” – ekwiwalentów wojny, żeby przekonać społeczeństwo do zarządzanej przez ekspertów jedności. Jednakże w tamtym czasie progresywistom nie przychodziło do głowy nic innego poza wojną, co mogłoby spowodować ten sam skutek. W głośnej wypowiedzi James pisał: „Cnoty wojenne muszą być trwałym spoiwem” amerykańskiego społeczeństwa: „Nieustraszoność, pogarda dla miękkości, poświęcenie interesu osobistego, posłuszne wypełnianie rozkazów muszą pozostawać opoką, na której buduje się państwa”.[228]

We Włoszech wielu pierwszych faszystów było weteranami wojny, którzy przywdziewali paramilitarny strój. Futuryzm, faszystowski ruch artystyczny, gloryfikował wojnę w prozie, poezji i malarstwie. Mussolini był prawdziwym miłośnikiem walki, zarówno w dziedzinie oratorskiej, jak i w rozumieniu dosłownym. „Tylko wojna doprowadza całą ludzką energię do najwyższego napięcia

i nadaje znamię szlachetności ludziom, którzy mają odwagę stawić jej czoło" – deklarował całkiem w duchu Jamesa w *Enciclopedia italiana* w haśle *Faszyzm*. W Niemczech od samego początku, od Niemieckiej Ligi Bojowej Przeciwko Niewolnictwu Lichwy (*Deutscher Kampfbund gegen Zinsknechtschaft*), naziści zawsze tworzyli organizację paramilitarną, zdecydowaną odtworzyć *esprit de corps* I wojny światowej, socjalizm okopów.

Mimo to nie każdy faszysta perorujący o wojnie i walący pięścią w stół faktycznie chciał wojny. Mussolini rozpoczął wojnę dopiero po szesnastu latach swoich rządów. Nawet jego abisyńska awantura była motywowana pragnieniem ożywienia słabnącego ducha faszystowskiego w kraju. Hitler też nie od razu przystąpił do zbrojeń. Co więcej, umacniając swoją władzę, kultywował swój obraz jako budowniczego pokoju (obraz, który wielu zachodnich pacyfistów przyjmowało w dobrej wierze). Niewielu jednak przeczy temu, że dla Hitlera wojna była środkiem w tym samym stopniu co celem.

Po wyborze Franklina Roosevelta progresywiści, którzy chcieli zmienić Ameryki, za pomocą socjalizmu wojennego, wrócili do władzy. Chociaż twierdzili, że odrzucają dogmaty, nie mogli być bardziej dogmatycznie przekonani, że I wojna światowa była udanym „eksperymentem". Czyż doświadczenia Związku Sowieckiego i faszystowskich Włoch w latach dwudziestych nie dowodzą, że Ameryka oddała piłkę, wycofując się z wojennego socjalizmu?

Podczas kampanii Franklin Roosevelt obiecywał wykorzystać swoje doświadczenie architekta I wojny światowej do walki z kryzysem. Jeszcze przed nominacją kazał współpracownikom przygotować wytyczne co do wojennych uprawnień prezydenta. Pytał Rexforda Tugwella, czy może wykorzystać ustawę o handlu z wrogiem z roku 1917 (Trading with the Enemy Act), żeby jednostronnie zakazać wywozu złota, i zdobył zapewnienie wybranego przez siebie kandydata na prokuratora generalnego, że niezależnie od argumentów przeciwnych Departament Sprawiedliwości stwierdzi, że Roosevelt miał prawo zrobić to, co uważał za konieczne w tej kwestii. Inauguracyjne przemówienie Roosevelta zasłynęło z wielkiej ilości militarystycznych metafor: „Bez wahania przyjmuję dowództwo tej wielkiej armii naszych rodaków, gotowych do zdyscyplinowanego ataku na nasze wspólne problemy".

Według dokumentu zdobytego przez Jonathana Altera, felietonistę „Newsweeka", zespół współpracowników prezydenta przygotował przemówienie radiowe do Legionu Amerykańskiego, pierwsze, jakie miało być wygłoszone po inauguracji, w którym Roosevelt miał poinstruować weteranów, że powinni się stać jego „pozakonstytucyjną" „prywatną armią" (słowa Altera). „Jako nowy głównodowodzący na mocy przysięgi, która was nadal obowiązuje – głosił przygotowany tekst Roosevelta – zastrzegam sobie prawo dowodzić wami w każdej fazie sytuacji, która stoi przed nami".[229]

Chociaż Alter przyznaje, że były to „słowa dyktatora – jednoznaczne sięgnięcie po władzę", dowodzące, że Roosevelt albo jego otoczenie myśleli o utworzeniu „jakiejś improwizowanej armii weteranów i wprowadzeniu w życie czegoś w rodzaju stanu wojennego", to minimalizuje wagę swojego odkrycia.[230] Pomija przy tym spuściznę po Amerykańskiej Lidze Obrony, niewątpliwie popieranej przez Roosevelta. Nie wspomina też, że Amerykański Legion uważał się przez jakiś czas za „amerykańskich *fascisti*". Zapomina ponadto, że Franklin Roosevelt – który nie miał oporów, kiedy chodziło o wykorzystywanie FBI i innych agencji do szpiegowania krajowych krytyków – nadzorował używanie Amerykańskiego Legionu jako półoficjalnego ramienia FBI do kontrolowania amerykańskich obywateli.

Prawie każdy program wczesnego Nowego Ładu był zakorzeniony w wojennej polityce, gospodarce wojennej albo estetyce wojennej wywodzącej się z czasów I wojny światowej. Zarząd Doliny Tennessy (TVA, Tennessee Valley Authority), sztandarowa budowa publiczna Nowego Ładu, to rezultat koncepcji energetycznych z okresu I wojny światowej.[231] (Zwracając się oficjalnie do Kongresu o zatwierdzenie tego projektu, Roosevelt powiedział: „Ten projekt energetyczny z czasów wojny logicznie prowadzi do planowania państwowego". Sąd Najwyższy bronił zgodności budowy z konstytucją, powołując się w części na wojenne uprawnienia prezydenta.

Wiele agencji Nowego Ładu należących do ogromnego zbioru szyderczo nazywanego *alphabet soup* było kontynuacja różnych zarządów i komitetów ustanowionych piętnaście lat wcześniej, podczas wojny. Narodowa Agencja Odbudowy była wyraźnie wzorowana na radzie War Industries Board z okresu I wojny światowej; podobnie było z innymi komitetami, komisjami i korporacjami. Komisja Giełdy i Papierów Wartościowych (SEC) była rozszerzeniem Komitetu ds. Kapitałowych działającego przy Radzie Rezerwy Federalnej. Korporacja Finansów na rzecz Odbudowy (Reconstruction Finance Corporation) to uaktualniona wersja Korporacji Finansów Wojennych (War Finance Corporation). Programem budowy mieszkań komunalnych kierował architekt polityki mieszkaniowej z czasu I wojny światowej. Mieszkania komunalne były wtedy niezbędne dla pracowników przedsiębiorstw pracujących na potrzeby wojny. Za Roosevelta właściwie każdy stał się pracownikiem produkującym na potrzeby wojny.

Zapewne nie trzeba przypominać, jak bardzo jest to podobne do tego, co działo się w hitlerowskich Niemczech. Warto jednak odnotować, że przez pierwsze dwa lata amerykańskiego i niemieckiego Nowego Ładu to Ameryka militaryzowała się i zbroiła w szalonym tempie, podczas gdy Niemcy wydawały na zbrojenia stosunkowo niewiele (choć trzeba tu dodać, że Hitlera powstrzymywał szereg ograniczeń).

Agencja Robót Publicznych (Public Works Administration) sfinansowała budowę lotniskowców „Yorktown" i „Enterprise", a także czterech krążowników, wielu mniejszych okrętów i przeszło stu wojskowych samolotów, stacjonujących na pięćdziesięciu wojskowych lotniskach. Zapewne tak wiele osób uwierzyło, że Nowy Ład zakończył wielki kryzys, dlatego że przejście do pełnej gospodarki wojennej odbyło się tak płynnie.

Starzy urzędnicy Wilsona zapełnili wszystkie poziomy Rooseveltowej biurokracji. Miało to sens o tyle, że była to pierwsza administracja utworzona przez Partię Demokratyczna od czasu Wilsona. Mimo to ludzie Nowego Ładu nie szukali po prostu pracowników z doświadczeniem, chcieli weteranów wojny. Kiedy Holger Cahill początkowo odrzucił zaproszenie do kierowania Federalnym Projektem Sztuki, wyjaśniono mu: „Zaproszenie ze strony rządu na takie stanowisko równa się rozkazowi. To jest jak powołanie do wojska".[232]

Nie tylko agencje rządowe organizowały się na wzór wojskowy, ale ich urzędnicy wyrażali się żargonem wojskowym. Praca w terenie była pracą „w okopach". Młodszych urzędników nazywano podoficerami (*noncoms*). Każdy nowy program federalny był „przypuszczeniem ataku". I tak dalej. Chyba żaden program nie reprezentował lepiej tego militarnego podejścia od Cywilnego Korpusu Konserwacji (Civilian Conservation Corps, CCC). Zapewne najpopularniejszy program Nowego Ładu, korpus zmobilizował około dwóch i pół miliona młodych mężczyzn do czegoś, co można tylko nazwać szkoleniem paramilitarnym. Chłopcy pracowali głównie jako „armia leśna", usuwając na przykład uschnięte drzewa. Członkowie zgłaszali się do komisji wojskowych, nosili mundury z I wojny światowej, byli rozwożeni po kraju wojskowymi pociągami, dowodzili nimi sierżanci z wojska, musieli stawać na baczność, maszerowali w szyku, stosowali wojskową terminologię – łącznie ze zwracaniem się do przełożonych „sir", czytali gazetę CCC wzorowana na wojskowej „Stars and Stripes", kładli się spać w namiotach na komendę i wstawali na pobudkę.

Z chwilą, kiedy program utworzenia CCC został zatwierdzony przez Kongres, Roosevelt stwierdził: „To całkiem niezły wynik, myślę, że można go porównać z mobilizacją przeprowadzoną w roku l917". Spiker Izby Reprezentantów też chwalił sukces CCC: „Chłopcy przechodzą również szkolenie wojskowe i wyjdą z tego zdrowsi psychicznie i fizycznie jako bardziej użyteczni obywatele, a jeżeli przyjdzie nam toczyć następną wojnę, będą stanowić bardzo wartościowy rdzeń armii".[233] W tym samym czasie naziści organizowali podobne obozy, kierując się prawie identycznymi pobudkami.

Głównym motywem społecznych planistów było wyłączenie młodych ludzi z zasadniczej siły roboczej. W przedstawianych publicznie uzasadnieniach podkreślano potrzebę budowy fizycznego i moralnego kręgosłupa rodzącej się nowej armii. Roosevelt mówił, że te obozy są idealnym miejscem, żeby zgarnąć młodzież „z rogów ulic w miastach", Hitler obiecywał, że jego

obozy obronią młodzież przed „beznadziejnym szwendaniem się po ulicach”. Podobnymi argumentami uzasadniano różne „bitwy” Mussoliniego, takie jak „bitwa zbożowa” i inne.

Drugim uzasadnieniem było dążenie do przełamania barier klasowych i ten aspekt programu nadal przemawia do liberałów. Argumentem – stosowanym i wtedy, i teraz – jest to, że nie ma wspólnych instytucji, które wpajałyby poczucie prawdziwie wspólnego obowiązku. Jest w tym dużo prawdy. Ciekawe jednak, że naziści byli o wiele bardziej przekonani o słuszności tego rozumowania niż twórcy Nowego Ładu i obejmowało ono nie tylko Służbę Pracy Rzeszy (*Reichsarbeitsdienst*), ale cały program ich polityki wewnętrznej.[234]

O wiele bardziej szokujący przykład militaryzacji amerykańskiego życia przyszedł w postaci Narodowej Agencji Odbudowy (National Recovery Administration), kierowanej przez Hugh „Żelazne Portki” Johnsona, uznanego przez tygodnik „Time” za człowieka roku 1933. Generał Johnson był agresywnym rozrabiaką, który groził, że Amerykanie niewspółpracujący z Nowym Ładem dostaną „pięścią w nos”. Jako oficer łącznikowy przy radzie War Industries Board i szef pierwszego amerykańskiego poboru podczas I wojny światowej – którą później nazywał „wielką szkołą” Nowego Ładu – Johnson był przekonany, że Ameryka potrzebuje nowego zastrzyku wojennego zapału i strachu, Niewiele osób publicznych, nie wyłączając Josepha McCarthy'ego, wykazywało większą skłonność do kwestionowania patriotyzmu swoich oponentów. Przy każdej okazji Johnson twierdził, że wojna z wielkim kryzysem nie różni się niczym od bitwy. „To jest wojna – śmiertelna i groźniejsza niż wszystkie kryzysy w naszej historii” – pisał. Obowiązek służby obejmował wszystkie sfery życia. Oświadczył: „Tym razem uratują nasz kraj nie żołnierze w mundurach, ale kobiety w swoich domach”. Dodawał: „Pójdą do ataku, do zwycięstwa tak wielkiego, jak pod Argonne. Wybiła godzina zero dla gospodyń domowych. Ich hasłem bojowym jest »Kupuj teraz pod Błękitnym Orłem!«”.[235]

Błękitny Orzeł był patriotycznym symbolem poparcia, który wszystkie firmy miały wywiesić na swoich bramach wraz z mottem „Robimy, co do nas należy”. Zdanie to administracja stosowała tak, jak Niemcy swoje hasło *Gemeinnutz geht vor Eigennutz* (Dobro wspólne ponad własne).[236] Teraz praktycznie wymazany ze świadomości społeczeństwa, ten stylizowany indiański orzeł z wiązką błyskawic w jednym szponie i kołem zębatym w drugim często był porównywany ze swastyką albo z niemieckim orłem zarówno w niemieckich, jak i amerykańskich gazetach. Johnson żądał, żeby podporządkowanie się Amerykanów programowi Błękitnego Orła monitorowała armia półoficjalnych informatorów, od członków związków zawodowych do skautów. Jego totalitarne podejście nie budzi wątpliwości. „Kiedy każda amerykańska gospodyni domowa zrozumie, że Błękitny Orzeł znajdujący się na wszystkim, co wpuszcza do swojego domu, jest symbolem przywrócenia bezpieczeństwa, to niech Bóg zlituje się nad człowiekiem albo grupą ludzi, którzy spróbują niepoważnie traktować tego ptaka”.[237]

Trudno przecenić propagandowe znaczenie, które Roosevelt przypisywał akcji Błękitnego Orła. „Na wojnie, w mroku nocnego ataku, żołnierze przypinają na ramieniu jasny kawałek materiału, żeby swoi nie strzelali do swoich – tłumaczył prezydent. – Na tej zasadzie wszyscy, którzy współpracują z tym programem, muszą się rozpoznawać na pierwszy rzut oka”. W rozmowie przy kominku w roku 1933 Roosevelt wezwał do wielkiej „letniej ofensywy przeciwko bezrobociu” w stylu Mussoliniego. Hollywood dołożył swoją cegiełkę. W musicalu wytwórni Warner Brothers zatytułowanym *Footlight Parade*, w którym grał James Cagney, chórek układa z kartonowych kart portret Roosevelta, a potem tworzy gigantycznego Błękitnego Orła. Will Rogers szedł na czele pochodu gwiazd występujących w audycjach radiowych przygotowywanych na potrzeby Błękitnego Orła i NRA.

Ulubionymi przez Johnsona metodami nakłaniania do kierowania się zasadami programu Błękitnego Orła były parady wojskowe i wiece w stylu nazistowskich zjazdów NSDAP w Norymberdze. Dwunastego września 1933 roku Johnson przemawiał do dziesięciotysięcznego audytorium w Madison Square Garden i twierdził, że 85 procent robotników pracuje już pod władzą Błękitnego Orla. Następnego dnia Nowy Jork został prawie całkowicie zablokowany przez paradę

Błękitnego Orła na cześć „Prezydenckiego Dnia Narodowej Agencji Odbudowy". Wszystkie sklepy współpracujące z Błękitnym Orłem musiały zostać zamknięte o godzinie trzynastej, a gubernator ogłosił pół dnia wolnego dla wszystkich. Prowadzona przez dwugwiazdkowego generała parada przeszła od Washington Square Piątą Aleją do Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, gdzie przemaszerowała przed trybuną, na której stali Johnson, gubernatorzy trzech stanów i Eleanor Roosevelt.

Była to największa parada w historii Nowego Jorku, przyćmiła nawet paradę z sypaniem confetti zorganizowaną po przelocie Charlesa Lindbergha przez Atlantyk. W duchu prawdziwie korporacjonistycznym uczestniczyć w niej mieli zarówno pracownicy, jak i przedstawiciele kadr kierowniczych. W paradzie z okazji Prezydenckiego Dnia Narodowej Agencji Odbudowy podobno wzięło udział pięćdziesiąt tysięcy pracowników firm odzieżowych, trzydzieści tysięcy pracowników służb miejskich, siedemnaście tysięcy pracowników sklepów detalicznych, sześć tysięcy piwowarów i zespół artystyczny Radio City Music Hall. Prawie ćwierć miliona mężczyzn i kobiet defilowało przez dziesięć godzin przed widownią liczącą sporo ponad milion osób, a nad głowami przeleciało czterdzieści dziewięć wojskowych samolotów. Dzięki takim imprezom – pisze Arthur Schlesinger – Johnson i Roosevelt osiągnęli swój cel i „przekształcili uroczystość państwową w przeżycie religijne".[238] Członek brytyjskiej Niezależnej Partii Pracy był przerażony widokiem takiej pompy i powiedział, że poczuł się jak w nazistowskich Niemczech.

Ta nowojorska parada nie była czymś odosobnionym. Podobne spektakle odbywały się w wielu miastach, gdzie uczestnicy zazwyczaj nosili mundury charakterystyczne dla ich profesji. W Filadelfii drużynę futbolową Eagles nazwano na cześć Błękitnego Orła. Sto tysięcy uczniów zaprowadzono do bostońskiego parku Boston Common, gdzie kazano im złożyć przysięgę zarządzoną przez burmistrza: „jako dobry amerykański obywatel obiecuję współpracować z NRA. Będę kupował tylko tam, gdzie lata Błękitny Orzeł".[239] W Atlantic City uczestniczkom konkursu piękności odciśnięto na udach pieczatkę przedstawiającą Błękitnego Orła. W San Francisco z ośmiu tysięcy dzieci szkolnych uformowano ogromnego Błękitnego Orła. W Memphis pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców maszerowało w paradzie na Boże Narodzenie, którą kończył Święty Mikołaj jadący na wielkim Błękitnym Orle.

Nic dziwnego, że ofiary Błękitnego Orła nie budziły sympatii prasy ani litości ze strony rządu. Chyba najsłynniejszy był przypadek Jacoba Mageda, czterdziestodziewięcioletniego imigranta, prowadzącego pralnię chemiczna, który w roku 1934 spędził trzy miesiące w więzieniu za to, że policzył trzydzieści pięć centów za wyprasowanie garnituru, podczas gdy agencja NRA uważała, że wszyscy lojalni Amerykanie muszą za to brać nie mniej niż czterdzieści centów. Ponieważ jednym z głównych celów wczesnego Nowego Ładu było stworzenie sztucznych braków na rynku, żeby wywindować ceny, Dostosowawcza Agencja Rolna (Agricultural Adjustment Administration, AAA) nakazała zabicie sześciu milionów świń. Pozwolono, żeby zgniły wielkie ilości zboża. Wielu białym rolnikom płacono za to, że nie uprawiali ziemi (co oznaczało, że wielu czarnych dzierżawców rolnych pozostało bez chleba). Wszystkie te pociągnięcia były nakazywane przez zmilitaryzowane władze.

W ośrodkach miejskich los czarnych nie był lepszy. Przyznając związkom zawodowym prawo do negocjacji zbiorowych, Franklin Roosevelt dał im również prawo do wykluczania czarnych z szeregów siły roboczej. I związki – często zjadliwie rasistowskie – właśnie to robiły. Dlatego w murzyńskiej prasie można było przeczytać, że NRA to skrót od „Negro Run Around" (wyzyskać Murzyna), „Negro Removal Act" (ustawa o usunięciu Murzynów) i „Negroes Robbed Again" (Murzyni znów obrabowani). Na wiecu w Harlemie pewien demonstrant niósł plakat Błękitnego Orła z podpisem: „Ten ptak odebrał pracę mojemu tacie".[240] Tymczasem pod czujnym okiem Johnsona policjanci wyrąbywali toporami drzwi, żeby sprawdzić, czy krawcy nie pracują po nocach, i zgarniali z ulic gazeciarzy, bo nie pracowali dla wielkich korporacji.

Nie powinno zaskakiwać, że generał Johnson był pilnym uczniem faszyzmu. Jako szef NRA rozpowszechniał egzemplarze *The Corporate State* (Państwa korporacyjnego), jawnie

faszystowskiej broszury, której autorem był Raffaello Vigline, jeden z ulubionych ekonomistów Mussoliniego. Wręczył nawet egzemplarz Frances Perkins, sekretarz pracy, prosząc ją, by rozdawała broszurę członkom administracji państwowej.

W roku 1934 faszystowskie metody Johnsona oraz – co ważniejsze – niezrównoważona osobowość doprowadziły do jego upadku. I podczas gdy był niewątpliwie najbardziej nieugięcie faszystowskim i profaszystowskim członkiem administracji Roosevelta, to jego poglądy i metody nie odbiegały od głównego nurtu. Kiedy Alexander Sachs, szanowany ekonomista, który dorastał w Europie, został zaproszony jako konsultant przy tworzeniu NRA, ostrzegał, że może ona być zarządzana tylko przez „nakazową biurokrację i że taka biurokracja byłaby bardziej podobna do rodzącego się państwa faszystowskiego lub nazistowskiego niż do liberalnej republiki". Nikt nie słuchał jego rad, ale Sachs mimo to dołączył do administracji. Pod koniec roku 1934 Rexford Tugwell odwiedził Włochy, gdzie stwierdził, że przedsięwzięcia faszystowskie wykazują znaczne podobieństwa do koncepcji amerykańskich. „Stwierdziłem, że Włochy robią wiele rzeczy, które wydają mi się konieczne. [...] Mussoliniemu przeciwstawiają się tacy sami ludzie jak Rooseveltowi, ale on kontroluje prasę i nie mogą codziennie obrzucać go obelgami". Wydział Badań i Planowania NRA zamówił analizę zatytułowaną *Capitalism And Labor Under Fascism* (Kapitalizm i praca pod rządami faszyzmu), która kończyła się wnioskiem: „Zasady faszystowskie są bardzo podobne do tych, które rozwijają się w Ameryce, i w związku z tym są obecnie szczególnie interesujące".

Ironiczną wymowę ma fakt, że w latach trzydziestych używanie słowa „faszyzm" w odniesieniu do Nowego Ładu lub Roosevelta nie było czymś rażącym, ale kilkadziesiąt lat po II wojnie światowej kojarzenie Nowego Ładu z faszyzmem było nie do przyjęcia. To kulturowe i polityczne tabu wpłynęło na amerykańską politykę w sposób głęboko wypaczający, Aby móc twierdzić, że Nowy Ład był przeciwieństwem faszyzmu – a nie czymś pokrewnym – liberalni intelektualiści musieli stworzyć ogromnego stracha na wróble ze współczesnego ruchu konserwatywnego. Przyszło im to zadziwiająco łatwo. Ponieważ „prawica" została już zdefiniowana jako ruch występujący przeciwko Rooseveltowi, nietrudno było utożsamić amerykańską prawicę z nazizmem i faszyzmem. W ten sposób na przykład liberałowie przedstawiają amerykański „izolacjonizm" jako wybitnie konserwatywną tradycję, mimo że większość czołowych izolacjonistów, związanych z America First i podobnymi ruchami z lat trzydziestych i czterdziestych, była w istocie liberałami i progresywistami – łącznie z Joem Kennedym, Johnem Deweyem, Amosem Pinchotem, Charlesem Beardem, J.T. Flynnem i Normanem Thomasem.

Mit prawicowego faszyzmu zaczął się sypać dopiero po upływie dziesięcioleci, całkiem zaskakująco, gdyż przez Ronalda Wilsona Reagana, byłego demokratę z obozu Roosevelta. Zarówno w roku 1976, jak i w 1980 Reagan odmówił wycofania opinii, że wcześni zwolennicy Nowego Ładu pozytywnie oceniali politykę faszystowskich Włoch. W roku 1981 kontrowersja ożyła, ale Reagan, który był wtedy prezydentem, stał twardo przy swoim. „Reagan nadal pewien, że niektórzy z ludzi Nowego Ładu opowiadali się za faszyzmem" – głosił tytuł artykułu opublikowanego przez „Washington Post".[241] Odmowa Reagana, który nie wycofał swojego twierdzenia, stała się przełomem, chociaż tabu nadal się utrzymuje.

Ale skąd się wzięło to tabu? Jedna odpowiedź jest zarówno oczywista, jak i całkowicie zrozumiała: Holokaust. Jako jedna z największych zbrodni w historii ludzkości eksterminacja europejskich Żydów zostawia ślad na wszystkim, czego dotknie. Tyle że jest to ogromnie niewłaściwe, bo różne inne faszystowskie reżymy, włącznie z faszystowskimi Włochami, nie zasługują na oskarżenia o Holokaust. Nigdzie tu nie sugeruję, że Nowy Ład był pokrewny hitleryzmowi, jeżeli zdefiniujemy hitleryzm wyłącznie w kategoriach Holokaustu. Jednak faszyzm był faszyzmem już przed Holokaustem. Holokaust chronologicznie i do pewnego stopnia filozoficznie był przedśmiertnym rzężeniem faszyzmu w Niemczech. Wykorzystywanie ostatniego rozdziału niemieckiego faszyzmu do wyjaśniania wcześniejszych faszyzmów: włoskiego, amerykańskiego i innych, jest jak czytanie niewłaściwej książki, do tego od końca. Mówienie, że Nowy Ład nie miał nic wspólnego z faszyzmem dlatego, że jego późniejsi wyznawcy byli

przeciwnikami Holokaustu, to jak twierdzenie, że w faszyzmie nie ma nic wyróżniającego ani ważnego poza Holokaustem – stanowisko, jakiego nikt poważny nie może bronić.

Prawdę mówiąc, wydaje się, że nie można zaprzeczyć temu, iż Nowy Ład był obiektywnie faszystowski. Za czasów Nowego Ładu rządowe zbiry wyłamywały drzwi, żeby narzucać politykę wewnętrzną. Ludzie ze służb rządowych byli traktowani jak półbogowie, nawet kiedy szpiegowali dysydentów. Kapitanowie przemysłu sami pisali prawa, którymi się mieli kierować. Franklin Roosevelt potajemnie na grywał swoich rozmówców i wykorzystywał pocztę do karania swoich wrogów, kłamał wielokrotnie, żeby wmanewrować Stany Zjednoczone w wojnę i kilkakrotnie podważał kompetencje Kongresu w kwestiach wojny. Kiedy Frances Perkins uprzedzała go w roku 1932, że wiele elementów Nowego Ładu jest sprzecznych z Konstytucją, wzruszył ramionami i powiedział, że zajmie się tym później (planował w tym celu zapełnić Sąd Najwyższy posłusznymi sędziami). W roku 1942 powiedział Kongresowi, że jeżeli nie zrobi tego, co on chce, on to i tak zrobi. Kwestionował patriotyzm każdego, kto sprzeciwiał się jego programom gospodarczym, by już nie mówić o samej wojnie. Stworzył kompleks militarno-przemysłowy, który dzisiaj tak wielu lewicowców nazywa faszystowskim. W roku 1936 Roosevelt powiedział Kongresowi: „Zbudowaliśmy nowe instrumenty władzy. W rękach rządu narodowego ta władza jest zdrowa i słuszna. Ale w rękach politycznych marionetek autokracji gospodarczej ta sama władza oznaczałaby kajdany dla swobód obywatelskich”.[242] Jak zauważył Al Smith, w ostatecznym wyniku oznacza to, że Roosevelt nie miał nic przeciwko rządom autorytarnym, jeśli tylko rządzą przedstawiciele „narodu” – czyli liberałowie. Ale jeżeli do władzy dorwie się ktoś, kogo „my” nie lubimy, będzie to oznaczać tyranię.

Ten rodzaj pokrętnego rozumowania prowadzi do sedna liberalnego faszyzmu. Progresywizm, liberalizm – jakkolwiek się go nazwie – stał się ideologią władzy. Dopóki mają ją w rękach liberałowie, dopóty zasady nie mają znaczenia. Rzuca to również światło na prawdziwie faszystowską spuściznę po I wojnie światowej oraz Nowym Ładzie: przekonanie, że działania rządu w „dobrej sprawie” i pod kierunkiem „naszych ludzi” są usprawiedliwione zawsze i wszędzie. Protest właściwych ludzi jest najwyższą formą patriotyzmu. Protest niewłaściwych ludzi jest niepokojącym objawem rodzącego się faszyzmu. Ten antydogmatyzm, który progresywiści i faszyści odziedziczyli po pragmatyzmie, sprawiał, że jedynym kryterium oceniania prawomocności działania są intencje działającego. „Chcę was zapewnić – mówił Harry Hopkins, współpracownik Roosevelta, podczas zgromadzenia aktywistów Nowego Ładu w Nowym Jorku – że nie boimy się badać niczego w zakresie prawa i że mamy prawnika, który dowiedzie, że wszystko, co chcecie zrobić, jest legalne”.[243]

Dzisiaj, zwłaszcza za prezydentury Busha, takie właśnie podejście liberałowie nazywają faszyzmem. Ale ta miara jest za krótka, żeby w pełni ocenić, dlaczego Nowy Ład był faszystowski. Czynimy z faszyzmu i nazizmu satyryczne rysunki, jeżeli ograniczamy się do nazwania ich złymi. Nazizm uwodził odwoływaniem się do wspólnotowości, próbą przywrócenia za pomocą wszechogarniającego państwa poczucia przynależności ludziom zagubionym w nowoczesnym społeczeństwie. Modernizacja, industrializacja i sekularyzacja siały w masach zwątpienie i alienację. Naziści obiecywali ludziom poczucie przynależności do czegoś większego niż oni sami. Duch „wszyscy za jednego, jeden za wszystkich” przepełniał każdą nazistowską imprezę i każdą paradę.

I to była podstawowa publiczna filozofia podzielana przez wszystkich członków Trustu Mózgów Roosevelta i odziedziczona w całości po Herbercie Crolym i jego towarzyszach. „W sercu Nowego Ładu – pisał William Schambra – leżało odrodzenie idei narodowej, odnowienie wizji wspólnoty narodowej. Roosevelt starał się zjednoczyć Amerykę wbrew jej podziałom, odwołując się do poczucia obowiązku narodowego, dyscypliny i braterstwa – chciał przywrócić poczucie wspólnoty lokalnej na poziomie krajowym”. Sam Roosevelt zauważył, że „rozszerzaliśmy na nasze życie narodowe starą zasadę wspólnoty lokalnej” w reakcji na „drastyczne zmiany” zachodzące w życiu Ameryki”.[244] Militaryzm w Ameryce, podobnie jak w nazistowskich Niemczech i faszystowskich Włoszech, był środkiem pozwalającym osiągnąć ten cel, nie celem samym w sobie.

Na tym polegało od tego czasu całe liberalne przedsięwzięcie: przekształcić demokratyczną republikę w wielką wspólnotę plemienną, dać każdemu członkowi społeczeństwa, od Key West na Florydzie do Fairbanks na Alasce, to samo poczucie przynależności – „Jesteśmy w tym wszyscy razem!" – mamy należeć do jednej, zwartej wspólnoty. Tęsknota za wspólnotą jest głęboko ludzka i dobra, ale ta tęsknota może być źle ukierunkowana, kiedy jest sterowana przez rząd federalny i narzucana niejednolitemu narodowi z republikańską konstytucją. O to toczył się spór podczas Konwencji Konstytucyjnej w roku 1787, spór, który progresywiści usiłowali raz na zawsze przesądzić na swoją korzyść. Rząd nie może cię kochać, a każda polityka wychodząca z odmiennego założenia do niczego dobrego nie może doprowadzić. Mimo to od czasu Nowego Ładu liberałowie nie potrafią pozbyć się swojego fundamentalnego dogmatu, mówiącego, że państwo może być narzędziem polityki znaczenia (*politics of meaning*), która przekształca cały naród w jedną wioskę.

Powinniśmy zamknąć tę dyskusję, powtarzając raz jeszcze, że niezależnie od wszelkich podobieństw między trzema Nowymi Ładami ważniejsze są różnice między Ameryką, Niemcami i Włochami. Grzechy Roosevelta nie mogły się równać z grzechami Hitlera i Mussoliniego. W pewnej mierze zależy to od człowieka. Franklin Roosevelt wierzył w Amerykę i amerykański styl życia – a w każdym razie twardo wierzył, że w nie wierzy. Twardo opowiadał się za wyborami, chociaż pogwałcił tradycję, że prezydenci służą tylko przez dwie kadencje. Szanował system, chociaż próbował osłabić Sąd Najwyższy. Nie był tyranem, chociaż zamknął przeszło sto tysięcy obywateli w obozach na podstawie teorii, że nie można mieć zaufania do ich rasy.[245] Istnieją mocne argumenty na poparcie obu stron tych i innych kwestii, ale jedna rzecz jest pewna: nie można by liczyć na to, że naród amerykański podporządkuje się tyranii na dłuższy czas. W czasie wojny ten kraj robił wszystko, co trzeba, żeby zwyciężyć, ale w czasie pokoju Amerykanie z powodu swego charakteru nie są skłonni oczekiwać od państwa kierownictwa i wskazywania drogi. Liberałowie odpowiadają na to, stale szukając nowych kryzysów, nowych moralnych odpowiedników wojny.

J.T. Flynn, dziennikarz piszący dawniej do „New Republic", był chyba najbardziej znanym przeciwnikiem Roosevelta z demaskatorów działających w latach trzydziestych. Nie cierpiał Roosevelta i był przekonany, że Nowy Ład jest przedsięwzięciem faszystowskim. Przepowiedział, że zwolennicy Nowego Ładu i ich następcy uzależnią się od kryzysów, żeby utrzymać się przy władzy i wprowadzać w życie swoje programy. Pisał o Nowym Ładzie następująco: „Zrodził się w kryzysie, żyje z kryzysów i nie przetrwa okresu kryzysów. Zgodnie z prawem swojej natury, jeżeli chce trwać, musi z roku na rok wywoływać coraz to nowe kryzysy. Mussolini doszedł do władzy w czasie powojennego kryzysu i sam stał się kryzysem we włoskim życiu. [...] Historia Hitlera jest taka sama. Nasza przyszłość będzie przebiegać równie burzliwie, drogą permanentnego kryzysu".[246]

Flynn rozumiał jednak, że chociaż Ameryka może pójść podobną drogą, to nie musi ona być równie wyboista. Przepowiadał, że amerykański faszyzm może się przejawiać jako „bardzo kulturalna, delikatna i przyjemna forma faszyzmu, która w ogóle nie może być nazwana faszyzmem, bo będzie tak cnotliwa i cywilizowana". Waldo Frank poczynił podobne obserwacje w roku 1934: „NRA to początek amerykańskiego faszyzmu, ale w odróżnieniu od Włoch i Niemiec w anglosaskim świecie demokratyczny parlamentaryzm ma długą tradycję, to **instytucja plemienna**. Zatem faszyzm, który by ją likwidował, zamiast doskonalić i wykorzystywać, nie ma szans w Ameryce Północnej i Wielkiej Brytanii. Faszyzm w Stanach Zjednoczonych może następować tak łagodnie, że większość wyborców nie zauważy jego obecności. Prawdziwymi faszystowskimi przywódcami nie będą obecni naśladowcy niemieckiego Führera czy włoskich kondotierów paradujący w srebrnych koszulach. Będą to szacowni dżentelmeni w ciemnych garniturach, absolwenci najlepszych uniwersytetów, uczniowie Nicholasa Murraya Butlera i Waltera Lippmanna.[247]

Sądzę, że powinno być jasne – w tym stopniu, w którym moje argumenty są słuszne – iż faszyzm trwa nadal w liberalnych umysłach, choć oczywiście nie używa się tego określenia.

Znajdowaliśmy się na drodze do zniewolenia, może wciąż na niej jesteśmy, ale nie odbieramy tego w ten sposób.

Pytanie: dlaczego? Dlaczego mamy „łagodny” faszyzm, a nie jakąś jego złośliwą odmianę. Moja odpowiedź brzmi: amerykańska wyjątkowość. To właśnie ma na myśli Frank, mówiąc, że demokracja w Ameryce jest „instytucją plemienną”. Amerykańska kultura zastępuje naszą strukturę prawną i konstytucję. To jest nasz najsilniejszy bastion przeciwko faszyzmowi.

Werner Sombart zadał słynne pytanie „Dlaczego w Stanach Zjednoczonych nie ma socjalizmu?”. Historycy i politolodzy zawsze odpowiadali, że dzieje się tak, ponieważ Ameryka nie ma feudalnej przeszłości i problemów klasowych typu europejskiego. To, jak twierdzi Wolfgang Schivelbusch, jest również odpowiedzią na pytanie, dlaczego w Stanach Zjednoczonych nie ma faszyzmu. Ale to jest słuszne tylko wtedy, kiedy mamy na myśli ucisk, okrucieństwo i tyranię klasycznego faszyzmu.

Nacjonalizm i faszyzm wydobywają tylko cechy, które już tkwią w kodzie genetycznym danego społeczeństwa. W Niemczech zostały spuszczone ze smyczy najciemniejsze siły niemieckiej duszy, we Włoszech niepewność i lęki byłej gwiazdy zachodniej cywilizacji. W Ameryce faszyzm zaatakował na początku amerykańskiego stulecia, co oznaczało, miedzy innymi, że nie była to tak czarna wizja. Nie było u nas zapiekłych uraz, nie było krzywd do pomszczenia. W Ameryce faszyzm był bardziej związany z nadzieją (choć, przypomnijmy, faszyzm początkowo odniósł sukces we Włoszech i w Niemczech również dlatego, że oferował nadzieję), Nie znaczy to, że nie mieliśmy czarnych chwil, ale te chwile nie mogły trwać długo. Progresywiści i liberałowie dwukrotnie usiłowali przedłużyć prawdziwie faszystowskie kryzysy wojenne – podczas I wojny światowej oraz ponownie w czasie Nowego Ładu i II wojny światowej. Nie mogli ich przedłużyć, ponieważ amerykański ustrój, amerykański charakter i amerykańskie doświadczenie sprawiały, że podobne „eksperymenty” nie mogły mieć długiego życia. Co zaś do łagodnego faszyzmu, o którym mówił Flynn, to zupełnie inna historia. Temu jest poświęcony następny rozdział.

Podczas gdy lewica kulturowa widziała zarysy faszyzmu w rzekomym konformizmie lat pięćdziesiątych, trzecia faszystowska chwila w historii Stanów Zjednoczonych zaczęła się w latach sześćdziesiąt tych. Różniła się dramatycznie od poprzednich dwóch – tych, które nadeszły po erze progresywistycznej i po Nowym Ładzie – głównie dlatego, że przyszła po erze twardego kolektywizmu w cywilizacji zachodniej. Ale podobnie jak poprzednie dwie chwile, i ta reprezentowała ruch międzynarodowy Studenci wywołali radykalne powstania na całym świecie, we Francji, Indonezji, Czechosłowacji, Polsce, Senegalu i Korei Południowej jednocześnie, działając od wewnątrz establishmentu, nowa kohorta liberalnych aktywistów starała się odtworzyć społeczną i polityczną dynamikę pokolenia swoich rodziców, żeby rozszerzać ich dziedzictwo i spełniać obietnice ery progresywistycznej. Ten podwójny atak, od góry i od dołu, w końcu zapewnił sukces, ponieważ umożliwił przejęcie stanowisk rządowych i dominację w kulturze.

Dwa następne rozdziały będą dotyczyć tych dwóch dziedzin.

ROZDZIAŁ 5

Lata sześćdziesiąte: faszyzm wychodzi na ulice

Samozwańczy rewolucjoniści coraz butniej prowadzili kampanię, której celem było wymuszenie ustępstw na uczelniach. Grożono śmiercią tym studentom i wykładowcom, których nazywano zdrajcami rasy. Wrogów państwa zorganizowanego zgodnie z zasadami rasistowskimi brutalnie bili bandyci wędrujący po kraju. Na uczelniach pojawiła się broń, a studenci chodzili w mundurach żołnierskich. Wykładowców trzymano jako zakładników, gnębiono i zastraszano, grożąc im za każdym razem, gdy wykładana przez nich wiedza nie zgadzała się z rasistowską ortodoksją. Jednakże władze uczelni, powodowane mieszanką tchórzostwa i sympatii żywionej do buntowników, nie godziły się na karanie tych rewolucjonistów, nawet gdy faszystowski zbir upokarzał rektora na oczach studentów i wykładowców.

Radykałowie i sympatyzujący z nimi studenci uważali, że są rewolucjonistami lewicowymi – wobec czego we własnym przeświadczeniu przeciwnikami faszystów – ale gdy pewien wykładowca odczytał im mowy Benita Mussoliniego, studenci zareagowali entuzjastycznie. Kulminacją tych wydarzeń było przejęcie przez zbuntowanych studentów samorządu studenckiego oraz lokalnej rozgłośni radiowej. Uzbrojeni w karabiny i strzelby domagali się instytucji edukacyjnej czystej pod względem etnicznym, w której pracowaliby przedstawiciele ich rasy. Oni także mieliby tą instytucją kierować. Początkowo wykładowcy i władze uczelni podchodzili do tego niechętnie, co było zrozumiałe, kiedy jednak napomknięto, że ci, którzy występują przeciwko ich programowi, mogą stracić życie, większość tych „umiarkowanych" szybko zmieniła kurs i poparła bojowników. Podczas masowego wiecu przypominającego zjazdy partyjne organizowane w Norymberdze wykładowcy wyrzekli się reakcyjnych metod i przysięgli wierność nowemu ładowi rewolucyjnemu. Pewien wykładowca wspominał później, jak łatwo z „pompatycznych nauczycieli akademickich, którzy wygłaszali kazania na temat swobód akademickich, można było zrobić, leciutko ich popychając, tańczące niedźwiedzie".[248]

Ostatecznie faszystowskie bandziory dostały wszystko, czego chciały. Władze spełniły ich żądania. Nieliczni, którzy pozostali w opozycji, po cichu odeszli z uczelni, a niekiedy nawet opuścili kraj, gdy stało się jasne, że nie można im zagwarantować bezpieczeństwa.

Uniwersytet Berliński w 1932 roku? Mediolański w 1922 roku? Domysły zasadne, ale nie. Wydarzyło się to na Uniwersytecie Cornella w stanie Nowy Jork wiosną 1969 roku. Paramilitarne oddziały ruchu Black Nation pod sztandarem Stowarzyszenia Studentów Afroamerykańskich (Afro-American Society) przejęły kontrolę nad tą uczelnią po coraz agresywniejszej kampanii zastraszania i przemocy. Publicznym pretekstem do zbrojnego przejęcia samorządu studenckiego na Uniwersytecie Cornella był krzyż płonący przed akademikiem dla czarnych. Okazało się później, że było to oszustwem zaaranżowanym przez samych czarnych radykałów, aby zyskać pretekst usprawiedliwiający stosowaną przez nich przemoc, a jednocześnie przyćmić anemiczne i bojaźliwe „reprymendy", skarcenie sześciu czarnych radykałów, którzy pogwałcili zasady obowiązujące na kampusie i złamali prawa stanowe. Taktyka w stylu pożaru Reichstagu zadziałała znakomicie, gdy uzbrojeni faszystowscy *squadristi* przypuścili przed świtem atak na Straight Hall, budząc przerażenie zaspanych rodziców, którzy przyjechali tam na weekendowe odwiedziny. Zdezorientowani goście uczelni, którzy mieli tego pecha, że finansowali wykształcenie pobierających stypendia uzbrojonych studentów nazywających ich teraz „świniami", musieli w zimny deszcz padający w Ithace skakać z metrowej rampy wykorzystywanej do rozładunku dostaw.

„To nazizm w najgorszej postaci” – komentowała pewna matka z wynikłą z osłupienia przesadą, ale całkowicie zrozumiałą.[249] Rektora uczelni, Jamesa A. Perkinsa, zmuszono do odwołania zaplanowanego na ten poranek przemówienia, zatytułowanego wybornie – *Stabilność uczelni*.

W popularnym micie dotyczącym lat sześćdziesiątych przyjmuje się, że ta dekada to czasy łagodnego utopijnego ruchu występującego przeciwko imperialistycznej wojnie w Wietnamie i dążącego do większej sprawiedliwości i harmonii społecznej w ojczyźnie. To prawda, że w ogromnej większości ci młodzi ludzie, których wciągnięto w to, co nazywali ruchem, byli idealistami przekonanymi, że wkraczają w erę Wodnika. Jednakże w wymiarze ściśle politycznym nie można przeczyć temu, że jądro działalności tego ruchu w zasadzie niewiele się różniło od faszystowskiego kultu młodości. „Ruch” lat sześćdziesiątych można uważać za trzeci wielki faszystowski ruch XX wieku. Radykałowie z Nowej Lewicy mogli sobie mówić o „władzy dla ludzi” i o „autentycznym głosie nowego pokolenia”, w istocie jednak nie popierali ani jednego, ani drugiego. Tworzyli awangardowy ruch, który dążył do ponownego określenia nie tylko polityki, ale także samej ludzkiej natury.

Pod względem historycznym faszyzm to z konieczności i w zamyśle forma ruchu młodzieżowego, a wszystkie ruchy młodzieżowe mają w sobie niemałą dawkę faszyzmu. Wynoszenie uczuć ponad rozum, czynu nad przemyślenia to naturalny bodziec cechujący młodość. Uważanie młodych ludzi za równych, „uprzywilejowywanie” ich opinii właśnie przez to, że wygłaszający je nie mają ani doświadczenia, ani wiedzy, to tendencja z istoty faszystowska, ponieważ u jej sedna leży dążenie do odrzucenia „starych metod” i „starych dogmatów”, aby zamiast nich wprowadzić to, co naziści nazywali „idealizmem czynu”, Polityka młodzieżowa – podobnie jak populizm ogólnie – to polityka gniewnych napadów. Pobłażliwość wobec tzw. polityki młodzieżowej to jedna z twarzy tego rodzaju tchórzostwa i poczucia zagrożenia, który prowadzi do triumfu barbarzyństwa.

Wprawdzie nie ulega dyskusji, że **sukces** nazizmu w ogromnym stopniu wynikał z braków i niedostatków wielkiego kryzysu nękającego Niemcy, ale nie można z tego powodu sądzić, że sam nazizm wziął się z ubóstwa. Już przed I wojną światową w Niemczech odbywała się rewolucja młodzieżowa. Wojna jedynie przyspieszyła rozwój tych tendencji, uwypuklając zarówno idealizm, jak i alienację młodych Niemców. Klaus Mann, niereligijny Żyd, powieściopisarz homoseksualista, wyraził w 1927 roku przekonanie znacznej części jego pokolenia, gdy napisał następująco: „Jesteśmy pokoleniem, które jest zjednoczone, by tak rzec, tylko przez zagubienie. Na razie nie znaleźliśmy celu, który potrafiłby nas skłonić do wspólnych wysiłków, chociaż wszyscy takiego celu szukamy”.[250] Klauss Mann nie przedstawił sytuacji należycie, gdyż sporo pominął. Wprawdzie młodzi Niemcy byli podzieleni co do tego, co powinno zastąpić stary porządek, ale nie tylko zagubienie ich jednoczyło. Pewna młodzieżowa polityka tożsamości przetoczyła się przez Niemcy, zapoczątkowana przez przekonanie, że nowe pokolenie jest inne i lepsze, ponieważ zostało uwolnione od polityki skorumpowanych i tchórzliwych starców oraz z determinacją dąży do stworzenia „autentycznego” nowego ładu.

Niemiecka kultura młodzieżowa lat dwudziestych i początku trzydziestych XX wieku zawierała bardzo wiele buntu, środowiskowego mistycyzmu, idealizmu, a także sporą dawkę pogaństwa. Wyrażało się w ten sposób nastawienie, które powinno być znajome każdemu, kto żył w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. „Uważali, że życie w rodzinie to zafałszowanie i ciemiężenie” – pisze pewien historyk. Sądzili, że życie płciowe, zarówno w małżeństwie, jak i w innych związkach, „przepaja hipokryzja” – pisze inny. Wychodzili ponadto z założenia, że nie można ufać nikomu po trzydziestce, i potępiali stary materialistyczny ład we wszystkich jego przejawach. Uważali, że „religia przekazywana przez rodziców w większości jest nic nie warta, polityka sprowadza się do chełpienia i trywialnych kwestii, ekonomia opiera się na zasadach bezwzględnych i oszukańczych, szkolnictwo jest stereotypowe i bez życia, literatura skażona i skomercjalizowana, a dramat tandetny i mechaniczny”. Ruch młodzieżowy stworzony przez młodzież wywodzącą się z klasy średniej odrzucał liberalizm klas średnich, a nawet go nienawidził.

„Ich celem – pisze John Toland – było ustanowienie kultury młodzieżowej pozwalającej prowadzić walkę z mieszczańską trójcą złożoną ze szkoły, domu i kościoła”.[251]

W kawiarniach grzmieli na dekadencję niemieckiego społeczeństwa w kadencjach przywodzących na myśl utwory Allena Ginsberga. W lesie doświadczali komunii z naturą, oczekując „komunikatu od lasu”. Bywało, że *führer* – „przywódca” wybrany wspólną decyzją – czytał tam ustępy z pism Nietzschego albo fragmenty utworów poety Stefana Georgego, który pisał: „Naród i najwyższa mądrość pragną Człowieka! Czynu! [...] Być może ktoś, kto latami siedział wśród waszych morderców i spał w waszych więzieniach, powstanie i **dokona czynu!**”. „Żywiąc się mistycyzmem i napędzając idealizmem – pisze John Toland – ci młodzi ludzie chcieli czynu, dowolnego czynu”.[252]

Już przed przejęciem władzy przez nazistów radykalni studenci ochoczo rzucali wyzwanie nadętemu konserwatyzmowi niemieckiego szkolnictwa wyższego, w którym pielęgnowano klasycznie liberalne swobody akademickie oraz autorytet i władzę uczonych oraz wykładowców. Przetoczyła się przez Europę fala nietzscheańskiego pragmatyzmu (to określenie ukuł Julien Benda), przynosząc wichurę, która zmiotła zjełczałe dogmaty pokolenia ich rodziców, ukazując nowy świat możliwy do ujrzenia przez kogoś patrzącego świeżym spojrzeniem. Naziści mówili młodym ludziom, że ich entuzjazmu nie należy powściągać nauką na uczelniach, lecz trzeba go kultywować i wykorzystać w działaniu politycznym. Tradycję nauki dla nauki odrzucono w imię „odpowiedniości”, związków ze światem. Nie czytajmy już żydowskiej nauki ani obcych abstrakcji – krzyczeli. Uczmy się o Niemcach, wojnie i o tym, co możemy zrobić dla narodu! Radykałowie podkreślali, że intuicja, której młodzi ludzie mają pod dostatkiem, była ważniejsza od wiedzy i doświadczenia. Młodych zachwycało to, jak Hitler podsumował teoretyków. „Atramentowi rycerze” – pluł szyderczo. Według Hitlera konieczny był „bunt przeciwko rozumowi”, ponieważ „intelekt zatruł nasz naród”.[253] Hitlera cieszyło to, że pozyskał serca i umysły młodych Niemców, co pozwoliło przekształcić uczelnie w inkubatory aktywizmu na rzecz Ojczyzny.

Naziści odnosili sukcesy z oszałamiającą szybkością. W 1927 roku, w okresie ogólnego dobrobytu, 77 procent pruskich studentów domagało się wprowadzenia do statusów niemieckich uczelni „paragrafu aryjskiego”, zabraniającego zatrudniania Żydów. Uznając to za rozwiązanie na razie tylko połowiczne, walczyli o limity rasowe, które ograniczyłyby liczbę studentów nieodpowiednich z powodów rasowych. W 1931 roku 60 procent wszystkich niemieckich studentów niższych lat popierało nazistowską organizację studencka. Z analiz przynależności do tej organizacji w różnych częściach Niemiec wynika, że studenci ogólnie znacznie przewyższali liczebnie wszystkie inne grupy, jeśli chodzi o poparcie narodowego socjalizmu.[254]

Niemiecka młodzież naziści kupili przede wszystkim tym, że głosili konieczność zwiększenia udziału studentów w kierowaniu uczelniami. Naziści uważali, że głos studentów musi być słyszalny, a istotnym elementem szkolnictwa wyższego musi się stać „aktywizm”. Zapowiadając refren powtarzany przez amerykańskich radykalnych studentów z lat sześćdziesiątych, takich jak Mark Rudd z Uniwersytetu Columbii, który twierdził, że jedynym uzasadnionym celem uczelni jest „tworzenie i upowszechnianie ruchu rewolucyjnego”, naziści uważali, że uczelnia powinna być przede wszystkim inkubatorem rewolucjonistów, dającym im większe możliwości, natomiast dopiero na drugim miejscu, o wiele niżej, powinno się znajdować przekazywanie abstrakcyjnej wiedzy”.[255]

Naziści naturalnie znacznie mniej tolerowali odmienne przekonania, gdy przejęli i umocnili władzę. Główne tematy jednak nie zmieniły się znacznie. Naziści istotnie zwiększyli udział studentów w zarządzaniu uczelniami, co było elementem ogólniejszego procesu określenia od nowa roli tych instytucji, Walter Schultze, przewodniczący Narodowosocjalistycznego Stowarzyszenia Nauczycieli Szkół Wyższych, przedstawił nową oficjalna doktrynę w wystąpieniu wygłoszonym podczas pierwszego zebrania tej organizacji. Tłumaczył wówczas, że „wolność akademicką” trzeba od nowa zdefiniować, aby studenci oraz wykładowcy mogli współpracować i w ten sposób osiągać wyższe cele. „Niemieckiej idei wolności nigdy nie pojmowano tak żywo i energicznie jak dziś. […]

W ostatecznym rachunku wolność jest odpowiedzialną służbą na rzecz podstawowych wartości wynikających z tego, że stanowimy *Volk*".[256]

Wykładowcy, którzy odchodzili od tej nowej ortodoksji, spotykali się z taktyką stosowaną kilkadziesiąt lat później przez lewicę, na kampusach w latach sześćdziesiątych. Ich sale barykadowano lub okupowano, wysyłano listy z pogróżkami, na tablicach ogłoszeń i w pismach studenckich zamieszczano donosy, uniemożliwiano prowadzenie wykładów. Gdy władze uczelni próbowały uniemożliwiać albo karać takie akcje, studenci organizowali masowe protesty i często naturalnie wygrywali, przez co jakiś przedstawiciel władz musiał zrezygnować ze stanowiska.

Nie można wyolbrzymić tego, że niemieccy studenci najpierw i przede wszystkim zbuntowali się przeciwko konserwatyzmowi zarówno niemieckiego szkolnictwa wyższego, jak i „burżuazyjnego materializmu" starszego pokolenia. Kościoły również budziły podejrzenia, gdyż mocno je kojarzone ze starym, skorumpowanym systemem władzy z czasów I wojny światowej. Studenci chcieli rządzić uczelniami, co tradycjonalistycznym pracownikom naukowym przypominało pomysł powierzenia kierownictwa szpitali dla psychicznie chorych pacjentom. Jednocześnie większość progresywistycznych wykładowców, przynajmniej tych, którzy nie byli Żydami czy bolszewikami, ochoczo się pod tym podpisywała. Wielu pracowników naukowych, na przykład Hans Georg Gadamer, którzy po latach wykorzystywali status ofiary w okresie nazistowskim, z radością przyjęło lepsze stanowisko opuszczone przez żydowskiego kolegę. Martin Heidegger, najbardziej wpływowy filozof dwudziestowieczny, natychmiast poparł rewolucję nazistowską.

Te i inne wątki faszystowskie ujawniły się podczas przejęcia Uniwersytetu Cornella. Przekonani o wyższości własnej rasy i nieuchronnym zepsuciu liberalizmu radykalni czarni studenci zorganizowali uporczywą kampanie zastraszania i aktów przemocy wymierzonych w tę instytucję, która im umożliwiła luksus zdobycia wykształcenia. Rektor Perkins był w istocie nauczycielem progresywistycznym. Ukończywszy studia na Swarthmore College i Uniwersytecie Princeton, nabierał doświadczenia, wdrażając program Nowego Ładu, gdy pracował w Agencji ds. Zarządzania Cenami (Office of Price Administration). Pod względem intelektualnym Perkins był wytworem progresywistyczno-pragmatycznej tradycji wywodzącej się od Williama Jamesa i Johna Deweya. Odrzucał przekonanie, że uczelnie powinny się zajmować poszukiwaniem prawd wiecznych bądź stawianiem niezmiennych pytań, Szydził z „intelektualnej czystości" tradycyjnej nauki i kpił z niepragmatycznych pracowników naukowych, czyli obecnych „atramentowych rycerzy", którzy spędzali czas na „jałowych dyskusjach o średniowiecznej scholastyce". Podobnie jak bardzo wielu intelektualistów zaangażowanych w proces wprowadzania w życie programu Nowego Ładu, Perkins był wrogo nastawiony wobec idei, że przeszłość wiele mówi o teraźniejszości. Dla niego najważniejszym założeniem była „odpowiedniość" (*relevance*), która w latach sześćdziesiątych szybko się zmieniła w nawoływanie do „przyznania większych możliwości" (*empowerment*).[257]

Perkins uważał, że uczelnie powinny być laboratoriami, w których będą się rodzić zmiany społeczne, terenem szkoleniowym dla „ekspertów", którzy dokonają desantu do rzeczywistego świata i naprawią społeczeństwo, podobnie jak to zrobili progresywiści z czasów Wilsona i Franklina Roosevelta. Z tych powodów – a także wskutek ewidentnego braku odwagi – Perkins rozpłaszczył się przed faszystowskimi zbirami, jednocześnie bezwzględnie się odwracając od tych, których wykształcenie, zatrudnienie, a nawet życie znalazły się w niebezpieczeństwie w następstwie działalności radykałów z Black Power. Niemieccy studenci żądali, aby ich uczono „niemieckiej nauki" i „niemieckiej logiki". Czarni radykałowie chcieli, aby czarni wykładowcy uczyli ich „czarnej nauki" i „czarnej logiki". Domagali się odrębnej uczelni, która miałaby „stworzyć narzędzia konieczne do ukształtowania czarnego narodu". Aby uzasadniać te żądania, nie sięgali po argumenty, lecz stosowali przemoc i wygłaszali stwierdzenia odwołujące się do emocji. „Dotychczas umierali tylko czarni – wykrzykiwał przywódca czarnych radykałów. – Teraz nadszedł czas, kiedy umierać będą świnie". Po zapozorowaniu sprzeciwu Perkins się letargicznie dostosował. Przecież „w tym, co kiedykolwiek powiedziałem lub kiedykolwiek powiem, nie ma niczego

ustalonego na zawsze, co nie mogłoby zostać zmodyfikowane w zmienionych okolicznościach". Pierwszym kursem zaproponowanym w nowym programie uczelni była „czarna ideologia" (Black Ideology).[258]

Od tamtego czasu norma na uczelniach jest to, co obecnie nazywamy polityką tożsamości. Całe wydziały zajmują się badaniem i celebrowaniem różnic między rasami i płciami. Pod pojęciem zróżnicowania obecnie kryje się kod oznaczający niezmienny charakter tożsamości rasowej. Także ta idea wywodzi się z neoromantyzmu nazistów. To, co kiedyś było wyznacznikiem nazistowskich koncepcji, narzuconym szkolnictwu wyższemu, któremu grożono bronią, teraz uchodzi za szczyt intelektualnego wyrafinowania. Andrew Hacker, wówczas młody wykładowca na Uniwersytecie Cornella, dziś przypuszczalnie najbardziej znany biały liberał piszący o kwestiach rasowych, stwierdził, że „historycznie białe" uczelnie „są białe [...] pod względem logiki i nauczania, pod względem przyjmowanych w nich koncepcji wiedzy naukowej i postępowania".[259]

Czytelnicy będący w pewnym wieku chyba prawie nic nie wiedza o buncie na Uniwersytecie Cornella, a jeszcze większej liczbie zapewne trudno pogodzić te wydarzenia z wyobrażeniem o latach sześćdziesiątych upowszechnionym przez kulturę popularną. Ludzie ci wierzą w sorelowy mit, zgodnie z którym lata sześćdziesiąte były okresem, kiedy „dobrzy" obalili skorumpowany system, wystąpili przeciwko „drętwym" rodzicom i wkroczyli w wiek oświecenia i przyzwoitości, obecnie zagrożony przez konserwatywnych ciemięzców zamierzających usunąć utopijne zdobycze z tamtego czasu. Liberałowie z pokolenia wyżu demograficznego (*baby boomers*) nasmarowali odpowiednio wazeliną obiektywy pamięci i ukazują niedoszłych rewolucjonistów tamtych czasów jako obrońców pokoju i miłości – do tego **wolnej** miłości! Komuny, trzymanie się za ręce, maszerowanie ramię w ramię w manifestacjach działaczy walczących o pokój i sprawiedliwość oraz śpiewanie „Kumbaya" przy ognisku – takie obrazy nowa lewica chce stawiać przed naszą zbiorowa pamięcią. Niektórzy lewicowcy nadal twierdzą, że lata sześćdziesiąte były okresem rewolucyjnej polityki, choć nie są zgodni co do zakresu porażek i sukcesów tej rewolucji. Liberałowie mieszczący się bliżej głównego nurtu chcą, abyśmy pamiętali Johna F. Kennedy'ego jednoczącego naród wezwaniem „Nie pytajcie, co wasz kraj może zrobić dla was, pytajcie, co wy możecie zrobić dla swojego kraju". Inni podkreślają ruchy antywojenne i walkę o prawa obywatelskie.

Przemawiając w 2003 roku, gdy ubiegał się o wybór na prezydenta, Howard Dean zaproponował pogląd na tę sprawę zgodny z pewnym powszechnie przyjmowanym wyobrażeniem. Otóż w wywiadzie dla „Washington Post" rzekł, że lata sześćdziesiąte były „czasem wielkich nadziei". Uzasadniał to następująco: „Przyjęto Medicare. Przyjęto program Head Start. Ustawa o prawach obywatelskich, ustawa o prawie do głosowania, pierwszy afroamerykański sędzia zasiadający w składzie Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Czuliśmy się tak, jakbyśmy wszyscy w tym uczestniczyli, czuliśmy, że wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za ten kraj. [...] Że za [mocne szkoły i społeczności] wszyscy są odpowiedzialni. Że jeśli choć jedna osoba pozostanie w tyle, to Ameryka nie jest tak silna ani tak dobra, jak mogłaby czy powinna być. Chciałbym, aby taki kraj powrócił".[260]

Nie ma powodu nie wierzyć Deanowi. W przeciwieństwie do wielu liberałów z Partii Demokratycznej, którzy byli wytworem tamtych czasów, Dean chętnie przyznaje, co należy podziwiać, że w wielkim stopniu został ukształtowany przez to dziesięciolecie, podczas gdy Clintonowie i John Kerry, na których radykalna polityka wpłynęła w znacznie większym stopniu, niezmiennie próbują udawać, że lata sześćdziesiąte były w zasadzie jak film odtwarzany w tle. W pewnym sensie można by jednak mówić, że Dean to większy kłamca, gdyż niemal wszystko w tym mgliście sentymentalnym wspomnieniu lat sześćdziesiątych zostało zniekształcone.

Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że młodzi ludzie nie byli jednolicie „progresywni". Z badań opinii wynika, że młodzi Amerykanie często najenergiczniej popierali wojnę, natomiast respondenci po pięćdziesiątce najczęściej należeli do jej przeciwników. Z licznych analiz wynika ponadto, że radykalne dzieci nie buntowały się przeciwko wartościom wyznawanym przez

rodziców. Czynnikiem, który pozwalał najlepiej prognozować, czy student college'u okaże się radykałem na kampusie, była ideologia wyznawana przez rodziców.

Z domów lewicujących rodziców wywodziły się lewicujące dzieci, które wyrosły na radykalnych rewolucjonistów. Najbardziej znacząca różnica między młodymi ludźmi sprowadzała się do podziału na tych, którzy uczęszczali do college'ów, i na tych, którzy się w nich nie kształcili. Jednakże nawet wśród studentów nastawienie wobec wojny w Wietnamie stało się negatywne dopiero pod sam koniec lat sześćdziesiątych, a nawet wtedy konsensu w tej sprawie było znacznie mniej, niż można by przypuszczać na podstawie filmów dokumentalnych nadawanych przez stacje telewizji publicznej Public Broadcasting Service.

Do tego należy dodać, że sami radykalni studenci nie byli aż takimi antywojennymi pacyfistami, jak mogliby zakładać ludzie wspominający z nostalgią Johna Lennona. Nie chcieli dać pokojowi szansy, gdy ten pokój nie sprzyjał ich programowi. Studenci na rzecz Społeczeństwa Demokratycznego (Students for a Democratic Society, SDS) nie rozpoczęli działalności jako organizacja antywojenna. Tom Hayden, jej przywódca, uważał, że podejmowana wcześnie działalność antywojenna prowadzi do odciągania członków od zasadniczego zadania, które trzeba przeprowadzić na ulicach. Nawet wtedy, gdy najważniejszym wyznacznikiem Nowej Lewicy stało się negatywne nastawienie wobec wojny, organizacja ta nigdy nie była pacyfistyczna, a przynajmniej pacyfizm nie cechował jej najbardziej opiewanych ugrupowań z obrzeży. Czarne Pantery, których członkowie zabijali policjantów z zasadzek i planowali terrorystyczne zamachy bombowe, były czczone przez radykałów z Nowej Lewicy – Hayden nazywał tę organizację „naszym Vietcongiem". Wyłoniona z SDS organizacja Weathermen prowadziła kampanię terroryzmu w kraju i głosiła oczyszczającą wartość przemocy. Weterani Wietnamu Przeciwko Wojnie (Vietnam Veterans Against the War), ugrupowanie, w którego imieniu wypowiadał się John Kerry i którym kierował, debatowali podczas pewnego spotkania, czy powinni mordować polityków popierających wojnę.[261] Gandhimi nie byli.

To nas prowadzi do jeszcze bardziej zasadniczo nieuczciwego aspektu mitu lat sześćdziesiątych. Wypowiadając przekonanie podzielane przez wielu, Dean ukazuje lata sześćdziesiąte jako okres wielkiej jedności Amerykanów. „Ludzie w moim wieku rzeczywiście tak czuli".[262] To jednak zdecydowanie nie ma sensu. „Ludzie" tak nie czuli. Czuli tak **ludzie, których znał Howard Dean**, a przynajmniej odczuwana przez nich nostalgia skłania ich do myślenia, że tak istotnie było. Zdumiewa, że tak wielu ludzi pamięta lata sześćdziesiąte jako okres „jedności" i „nadziei", bo przecież w rzeczywistości był to okres szalejącego terroryzmu w kraju, wrzenia na kampusach, zabójstw na tle politycznym i zamieszek. Tęsknota za czasami własnej młodości nie może tłumaczyć tej krótkowzroczności, gdyż liberałowie wymieniają także lata trzydzieste jako czas, kiedyśmy „wszyscy w tym uczestniczyli". To także ogromne zniekształcenie. W latach trzydziestych Stany Zjednoczone nie były zjednoczone. Panowały podziały wywołane przez niepokoje polityczne, związki zawodowe dopuszczały się poważnych aktów przemocy, obawiano się też, że zaraz zapanuje jakaś forma totalitaryzmu. Gdyby chodziło tylko o jedność, lewicowcy powinni wskazywać na lata pięćdziesiąte, a nawet dwudzieste. W tych dziesięcioleciach jednak lewica nie miała mocnej pozycji, toteż jakakolwiek jedność, którą cieszyli się Amerykanie w tych czasach, była pozbawiona legitymizacji.

Innymi słowy, lewica nie tęskni za jednością, lecz za zwycięstwem; jedność, która nie wynika z działań samej lewicy, na przykład jedność wywołana w latach pięćdziesiątych przez „sztywny konformizm", jest dla niej nieprawdziwa i zwodnicza. Natomiast w latach trzydziestych i sześćdziesiątych reprezentowane przez lewicę nastawienie charakterystyczne dla frontu ludowego zapewniało autentyczną władzę i ta władza jest przedmiotem tęsknot liberałów – właśnie ona.

Faszystowska chwila w historii Nowej Lewicy

Opiewanie jedności uznawanej za najwyższą wartość społeczną to zasadniczy element faszyzmu i wszelkich ideologii lewicowych. Mussolini przyjął socjalistyczny symbol rózeg liktorskich (*fasces*), aby pokazać, że jego ruch przedkłada jedność nad liberalny demokratyczny fetysz debaty i dyskusji. Rozbrzmiewające obecnie na wiecach protestu pozbawione rymu hasło „**Zjednoczonych** ludzi nigdy nie da się pokonać" (*The people united will never be defeated*) to idealny refren faszystowski. Być może to i prawda, że „zjednoczonych ludzi nigdy nie da się pokonać", ale nie oznacza to jeszcze, że ci ludzie mają słuszność (Calvin Coolidge mawiał: „Jednostka mająca po swojej stronie prawo jest większością"). Zapominamy na ogół, że jedność w najlepszym razie jest neutralna moralnie, a często prowadzi do irracjonalizmu i zachowań grupowych. Plądrujący motłoch jest zjednoczony. Mafia jest zjednoczona. Zjednoczeni są barbarzyńscy rozbójnicy dopuszczający się gwałtów i grabieży. Natomiast ludzie cywilizowani różnią się czasami zdaniem, a demokraci pisani przez małe „d" dyskutują. Klasyczny liberalizm ma za podstawę to zasadnicze spostrzeżenie, przez co faszyzm zawsze był antyliberalny. Liberalizm odrzucał przekonanie, że jedność jest cenniejsza od indywidualności. Zdaniem faszystów i innych lewicowców znaczenie oraz autentyczność można odnaleźć w zbiorowych przedsięwzięciach – podejmowanych przez klasę, naród czy rasę – a państwo istnieje po to, aby narzucić to znaczenie wszystkim bez przeszkód stwarzanych przez debatę.

Pierwszym zadaniem każdej faszystowskiej reformacji jest dyskredytacja autorytetu przeszłości. Było to także sprawą najważniejszą dla Nowej Lewicy. Stara Lewica „dusiła się pod płachtą sloganów, eufemizmów i żargonu pozbawionego znaczenia", natomiast zadanie Nowej Lewicy polegało na tym, aby „skłonić ludzi do myślenia". Przejęta od innych mądrość, dogmat i „rytualny język" – pisał w *Liście do Nowej (Młodej) Lewicy* Tom Hayden w 1961 roku – zostaną zmiecione przez ducha rewolucyjnego, który „nie znajduje wytchnienia we wnioskach, w którym odpowiedzi uważa się za rzeczy przejściowe, do odrzucenia po uzyskaniu nowych dowodów lub po zmianie warunków". Podobnie jak Mussolini, Woodrow Wilson i twórcy Nowego Ładu, Hayden pokładał nadzieje w pragmatyzmie, który doprowadzi do odkrycia trzeciej drogi pomiędzy „autorytarnymi ruchami komunizmu i krajowej prawicy". Hayden oczywiście obiecywał również, że jego nowy ruch wykroczy ponad podziały partyjne i podejmie „działania".[263]

W środowisku uczelnianym odbywała się podobna rewolta. Podczas konferencji zorganizowanej w 1966 roku na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa w Baltimore francuski krytyk literacki Jacques Derrida wprowadził do amerykańskiego krwiobiegu intelektualnego słowo „dekonstrukcja", termin ukuty przez ideologów nazistowskich. Dekonstrukcja – teoria literatury, zgodnie z którą żaden tekst nie ma tylko jednego znaczenia – zdobyła wielka popularność wśród nauczycieli akademickich i studentów którzy liczyli, że uwolnią się od balastu historii i nagromadzonej wiedzy. Skoro wszystkie teksty można było rozmaicie interpretować i nie było żadnego „prawdziwego" znaczenia, którego można by szukać w głębi, to liczyło się – tak naprawdę **tylko to** się liczyło – znaczenie **narzucane** tekstowi przez czytelnika. Innymi słowy, znaczenie jest stwarzane przez moc i wolę. Właściwą interpretację przedstawia ten, kto „zwycięża" w akademickiej walce o władzę. Według Derridy i jego akolitów rozum jest narzędziem ucisku. Pod każdą na pozór racjonalną decyzją kryje się nietzscheańska wola mocy w czystej formie. Derrida liczył, że zedrze zasłonę z oświecenia i ujawni kryjącą się pod nią tyranię „logocentryzmu" (to kolejne słowo mające faszystowskie korzenie).

Także to było powtórką pragmatycznego ducha, który starał się uwolnić społeczeństwo z klatki odziedziczonych dogmatów. Wskutek oddziaływania pragmatyzmu Thomas Woodrow Wilson, Franklin Roosevelt i Benito Mussolini, a także ich nadworni intelektualiści odrzucali „gnijącego trupa" klasycznego liberalizmu i demokracji parlamentarnej w celu zapewnienia możliwości działania „ludziom czynu", by problemy społeczne rozwiązać poprzez śmiałe eksperymenty i nieograniczoną władzę państwa. Pewien progresywistyczny reformator, Eric F. Goldman, ujął to następująco: „Wszyscy byliśmy deweyistami, zanim przeczytaliśmy pisma Deweya".[264] Można również powiedzieć, że wielu naukowców było dekonstrukcjonistami przed lekturą prac Derridy

Do tych uśpionych dekonstrukcjonistów należał krytyk literacki Paul de Man. Poznał Derridę w 1966 roku podczas konferencji zorganizowanej przez Uniwersytet Johnsa Hopkinsa, a później stał się jednym z najważniejszych propagatorów dekonstrukcji w Stanach Zjednoczonych, wywarł też spory wpływ na samego Derridę. De Man wykładał na Uniwersytecie Cornella w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych, a następnie przeniósł się na Uniwersytet Johnsa Hopkinsa i Yale. Prace Derridy i de Mana były intelektualnym instrumentem prowadzącym do radykalizacji stanowisk wykładowców, którzy poprzez „mówienie prawdy władzy" odnajdywali wspólność sprawy z manifestantami maszerującymi ulicami.[265] Na Uniwersytecie Cornella w latach poprzedzających przejęcie tej uczelni de Man propagował defenestrację „zasadniczego programu nauczania", twierdząc, że niczego cennego się nie straci, jeśli uczelnia odrzuci tradycyjne podstawy liberalnej edukacji. Jak zresztą miałoby być inaczej, skoro wszystkie stare teksty w gruncie rzeczy były pozbawione znaczenia?

Takie koncepcje przyczyniały się do implozji amerykańskich uczelni bardzo podobnej do tej, która przyspieszyła przejęcie niemieckich uczelni przez nazistów. Uprzejmych liberałów zmuszono do dokonania wyboru – jeśli chcieli utrzymać posady, musieli się opowiedzieć po stronie radykałów. Dla wykładowców bardziej zaangażowanych w sprawy polityczne nie był to w gruncie rzeczy żaden wybór, gdyż już się zgodzili z celami rewolucji. Jednakże dla takich wyjątkowych postaci, jak Clinton Rossiter, przyzwoity liberalny centrysta i jeden z najwybitniejszych amerykańskich historyków, ten wybór był niszczycielski. Wykładający na Uniwersytecie Cornella w czasie rebelii Rossiter początkowo walczył o ideał akademickiej wolności wraz z innymi wykładowcami, którym grożono, ale ostatecznie przeszedł na stronę czarnych faszystów. Zaledwie dwa dni przed podjęciem tej decyzji powiedział w wywiadzie udzielonym redakcji dziennika „New York Times": „Jeżeli statek zatonie, pójdę na dno z nim, jeśli tylko reprezentuje rozum i ład. A jeśli zmieni się go w groźby i strach, to odejdę i zatrudnię się na stanowisku stróża nocnego w lokalnej piekarni". Piękne słowa. Ale gdy został rzeczywiście zmuszony do dokonania wyboru między pracą w piekarni a zmianą zdania z powodu gróźb i zastraszania, odwrócił się od współpracowników i odrzucił wyznawane zasady.[266]

Procesy reformacji amerykańskich uczelni w latach sześćdziesiątych i wydarzenia, do których doszło w nazistowskich Niemczech, wykazują nawet jeszcze głębsze podobieństwa. Dekonstrukcja to bezpośredni i przedstawiany bez zahamowań odprysk odmiany egzystencjalizmu głoszonej przez Heideggera, która nie tylko przejmowała elementy ideologii nazistowskiej, ale także pomagała tę ideologię rozwijać. Heidegger był wielkim spadkobiercą Nietzschego, który przypuścił atak na prawdę i moralność, twierdząc, że tworzymy własną prawdę i decydujemy o własnej moralności. W przekonaniu zarówno Nietzschego, jaki Heideggera dobro i zło to pojęcia dziecinne. Liczą się wola i wybór. Najwyższą wartością jest **samoutwierdzenie**, asertywność (*self-assertion*). Wybory mają wartość tylko wtedy, gdy są wyborami autentycznymi, dokonywanymi bez brania pod uwagę konwencjonalnej moralności. Taki był etos nazizmu, który Heidegger z całym zaangażowaniem przyjął i którego nigdy wprost nie odrzucił, nawet kilka dziesięcioleci po ujawnieniu światu skali Holokaustu i innych zbrodni nazistowskich. Nazistowska krytyka zachodniej cywilizacji była krytyką totalną. W niesławnym przemówieniu rektorskim Heidegger mówił, że z utęsknieniem czeka na czas – przybliżają go dążenia Hitlera – „kiedy duchowa siła Zachodu upadnie i zaczną trzeszczeć jej stawy, kiedy dogorywająca namiastka kultury się zapadnie i pociągnie za sobą wszystkie siły w chaos, po czym pozwoli im się zadławić w szaleństwie".[267]

Zadłużenie dekonstrukcjonizmu wobec faszystowskiej awangardy pozostaje jedną z najbardziej kontrowersyjnych kwestii w obecnym środowisku naukowym, a to z powodu oczywistości i wielkości tego zadłużenia. Na przykład Paul de Man kolaborował z nazistami w Belgii, gdzie w okresie okupacji pisał zionące nienawiścią pronazistowskie i antysemickie artykuły dla faszystowskiego pisma. Herbert Marcuse, protegowany Heideggera, został szefem ośrodka prowadzonego przez naukowców skupionych wokół Nowej Lewicy. Bezlitośnie atakował zachodnie społeczeństwo, twierdząc, że „liberalna tolerancja służy sprawie ucisku". Ten argument to niemal dosłowne powtórzenie ataków przypuszczanych przez nazistów w latach trzydziestych

ubiegłego wieku. Frantza Fanona, który głosił „zbawienną” potęgę przemocy, powszechnie uważano za bezpośredniego spadkobiercę Georges'a Sorela, teoretyka działającego przed czasami faszyzmu, którego podziwiali i naśladowali zarówno włoscy faszyści, jak i bolszewicy. Nietzscheański pragmatysta Michel Foucault – czczony przez postmodernistów i teoretyczki feminizmu – za gwiazdę przewodnią uznał „niezależne przedsięwzięcie Nierozumu”.[268] Foucault do tego stopnia nienawidził oświeceniowego rozumu, że świętował irańską rewolucję z roku 1979 oraz ustanowienie dyktatury mułłów właśnie z tego powodu, że był to przypuszczony z pozycji przednowoczesnych atak na zasady oświeceniowe. Carl Schmitt, groteskowy nazistowski filozof, należy obecnie do intelektualistów najbardziej hołubionych przez lewicę. Jego wydawane w samizdacie pisma rozprowadzali w Europie radykałowie Nowej Lewicy, Parał się tym między innymi Joschka Fischer, który w latach siedemdziesiątych uczestniczył w starciach z policją na ulicach miast zachodnioniemieckich, a później został ministrem spraw zagranicznych i wicekanclerzem w rządzie Gerharda Schrödera, który sprawował władzę w latach 1998-2005.

Od sześćdziesięciu lat z górą liberałowie utrzymują, że bakcyl faszyzmu spoczywa na pół uśpiony w krwiobiegu prawicy jednakże oprócz istotnych i złożonych wyjątków, którymi są Leo Strauss i Allan Bloom, żaden z najważniejszych konserwatywnych intelektualistów amerykańskich nie był wielbicielem Nietzschego ani nie podziwiał na serio Heideggera. Wszystkie konserwatywne szkoły wywodzą swoją historię od przedstawicieli oświecenia – Johna Locke'a, Adama Smitha, Charles'a Montesquieu, Edmunda Burke'a – i żadna z nich nie ma bezpośrednich powiązań intelektualnych z nazizmem, Nietzschem, egzystencjalizmem, nihilizmem, a nawet w większości z pragmatyzmem.[269] Natomiast koncepcje głoszone przez lewicowych intelektualistów są zarażone ideami jednoznacznie wywodzącymi się z tradycji faszystowskiej. Mimo to wystarczy magiczne słowo „marksizm”, aby większość tych koncepcji i ich twórców rozgrzeszyć przez zanegowanie jakichkolwiek powiązań z tymi nurtami. Pozostali się ratują, po prostu atakując burżuazyjną moralność i amerykańskie wartości, **chociaż same w sobie te ataki niewiele się różnią od powtórki faszystowskich argumentów**.

Podczas seminariów być może należy zwracać uwagę na jakieś istotne różnice między na przykład „przedsięwzięciem Nierozumu” Michela Foucault, tyrańskim logocentryzmem Derridy i „buntem przeciwko rozumowi” Hitlera. Takie rozróżnienia jednak rzadko są czytelne poza porośniętymi bluszczem murami uczelni, a szczególnie mało istotne są dla ruchu, który uważa, że czyn jest ważniejszy od idei.

Dekonstrukcja, egzystencjalizm, postmodernizm, pragmatyzm i relatywizm: te wszystkie idee służyły temu samemu celowi, mianowicie miały przeżreć żelazne okowy tradycji, rozpuścić betonowe fundamenty prawdy i wysadzić bunkry, w których uporczywie stawiali opór obrońcy *ancien régime*. Takie były ideologie „ruchu”. Przyznawał to zmarły niedawno Richard Rorty, rozdymając Nietzschego i Heideggera za pomocą Jamesa i Deweya, uważając ich za elementy tego samego ogromnego przedsięwzięcia.

Jeżeli chodzi o posługiwanie się żargonem „ruchu”, to niewielu robiło to bieglej od faszystów i prefaszystów. W *Mein Kampf* Hitler użył słowa „ruch” ponad dwieście razy. Dziennik wydawany przez partię nazistowską nazwano „*Die Bewegung*” (Ruch). Samo słowo „ruch” wiele ujawnia. W przeciwieństwie do postępu ruch bowiem nie musi oznaczać dążenia do ustalonego celu. Przyjmuje się raczej za rzecz daną, że **wszelka** zmiana jest lepsza. Allan Bloom i inni zwracali uwagę, że zasadniczym celem faszyzmu było dążenie do **samoutwierdzenia**. Naziści mogli sobie propagować dążenia do utopijnej tysiącletniej Rzeszy, ale przede wszystkim byli radykałami. Trzeba zniszczyć to, co jest, zburzyć. Wymazać „*das System*” – to kolejne określenie wykorzystywane zarówno przez faszystów, jak i Nową Lewicę. „Przyjmuję **barbarzyńską** koncepcję socjalizmu – stwierdził kiedyś młody Mussolini. – To dla mnie największy akt negacji i destrukcji. [...] Naprzód, nowi barbarzyńcy! [...] Jak wszyscy barbarzyńcy, jesteście zwiastunami nowej cywilizacji”.[270] Hitler miał jeszcze bardziej niszczycielskie zapędy. Już przed rozkazem zrównania Paryża z ziemią i nakazem prowadzenia polityki spalonej ziemi na niemieckiej glebie dążył do tego, aby wyplenić wszystko, co stworzyła burżuazja, zniszczyć reakcjonistów, stworzyć

nową sztukę i architekturę, nową kulturę, nową religię, a przede wszystkim nowych Niemców. To przedsięwzięcie można było rozpocząć wyłącznie na zgliszczach *das System*. A gdy nie mógł tworzyć, mógł czerpać pociechę ze zniszczeń.

Czy bardzo się to w gruncie rzeczy różni od etosu z końca lat sześćdziesiątych reprezentowanego przez „Burn, baby, burn”?

Kult czynu

Pięć miesięcy po przejęciu Uniwersytetu Cornella członkowie Weathermen zebrali się w chicagowskim Parku Lincolna. Uzbrojeni w kije bejsbolowe, kaski i, jak ujął to historyk Jim Miller, „najwyraźniej niewyczerpane zasoby arogancji i nienawiści do samych siebie”, przygotowywali się do tego, aby „zniszczyć w sobie burżuazyjne zahamowania i »rozwalić świńskie miasto« w »ogólnokrajowej akcji«, którą nazwali »dniami gniewu«”. Jak bojówkarze SA w brunatnych koszulach i włoscy *squadristi* wybijali szyby w oknach, niszczyli mienie i terroryzowali burżujów. Splamili się już krwią w poprzednim roku, 1968, podczas krajowej konwencji Partii Demokratycznej, gdzie – utrzymywali członkowie Weathermen – popełniane przez nich ich akty przemocy „wyrządziły więcej szkód klasie panującej […] niż wszelkie masowe pokojowe zgromadzenie zorganizowane kiedykolwiek w tym kraju”.[271]

Chęć niszczenia to naturalny skutek kultu czynu. Przecież jest tak, że gdy ktoś z całkowitym oddaniem dąży do rewolucyjnych przemian, wszystkie napotkane przeszkody i granice – sądy, policję, rządy prawa – trzeba albo zmienić, albo przejąć, albo zniszczyć. Wszyscy faszyści należą do czcicieli czynu. Faszyzm przemawiał do ludzi zapowiedzią, że wszystko zacznie działać. Pociągi będą jeździły punktualnie, ludzie będą musieli pracować, naród zacznie działać. To uczucia wrośnięte w tkankę każdego ruchu faszystowskiego. Nastawienie faszystowskie najkrócej można ująć jako postawę „Dość gadania, więcej czynu!”. Zamknąć książki, wyjść z biblioteki, dalej, ruszać się. Trzeba działań! Jakich działań? Bezpośrednich! Społecznych! Masowych! Rewolucyjnych! Działań, działań, działań.

Komuniści również uwielbiali czyn, co wcale nie dziwi, gdy się weźmie pod uwagę więzi rodzinne łączące komunizm i faszyzm. Faszyści jednak czyn cenili wyżej niż komuniści. Komunizm bowiem miał spisane reguły gry, faszyzm zaś to gwałtowna ofensywa, a wszystko się ustalało na boisku. Rzecz jasna, faszyzm miał swoich teoretyków, ale na ulicach taszystom zależało bardziej na zwycięstwie niż na doktrynie. „W sposób całkowicie odmienny od klasycznych »izmów« – pisze Robert O. Paxton – słuszność faszyzmu nie zależy od prawdy jakiejkolwiek propozycji wysuwanej w jego imieniu. Faszyzm jest »prawdziwy« o tyle, o ile przyczynia się do urzeczywistnienia przeznaczenia wybranej rasy, narodu czy krwi”. Można tu też przywołać słowa Mussoliniego, który w *Postulatach programu faszystowskiego* twierdził, że faszyści „nie czują się związani z żadną konkretną formą doktrynalną”.[272]

W języku angielskim słowo *activist* ('aktywista') pojawiło się na przełomie wieków XIX i XX, gdy upowszechniał się pragmatyczny progresywizm. Pierwsi faszystowscy intelektualiści określali się mianem „filozofów aktywistów”, W 1908 roku, jeszcze bezdyskusyjnie będąc działaczem ruchu socjalistycznego, Mussolini pisał następująco: „Plebs, nadmiernie schrystianizowany i humanitarny, nigdy nie zrozumie, że nieodzowny jest wyższy stopień zła, aby mógł rozkwitać nadczłowiek. […] Nadczłowiek zna wyłącznie bunt. Trzeba zniszczyć wszystko, co istnieje”. Ta wypowiedź to przykład skutków początkowego pożenienia leninizmu z Nietzschem. Nie będzie jednostkowego nadczłowieka, lecz awangarda rewolucji okaże się nową rasą nadludzi. Nazistów w podobny sposób inspirował Nietzsche, ale także romantycy, którzy uważali, że duch czynu jest ważniejszy od idei, która do niego doprowadziła. Na tym polegał nazistowski „kult czynu”. Francuscy faszyści nawet nazwali swój ruch Action Française, na jednym poziomie stawiając czyn i naród. Mussolini definiował i socjalizm, i faszyzm jako „ruch, walkę i czyn”. Do

jego ulubionych haseł należało zdanie „Życie to nie kalkulacje, lecz działanie!”. Hitler wykpiwał tych, którzy uważali, że argumenty i rozum powinny stłumić czystą potęgę ludu. Gdy czterej znani ekonomiści wysłali do Hitlera list, w którym kwestionowali jego socjalistyczne koncepcje, Hitler zareagował następująco: „Gdzie są wasze oddziały szturmowe? Wyjdźcie na ulicę, idźcie tam, gdzie zbiera się lud, i spróbujcie go przekonać do swojego zdania. Wtedy zobaczymy, kto ma rację – my czy wy”.[273]

Radykalizm lat sześćdziesiątych był przepojony tym samym duchem. Pierwsi intelektualiści działający w SDS – skupieni wokół Instytutu Badań Politycznych (Institute for Policy Studies), ośrodka badawczego obecnie blisko powiązanego z lewicowymi fakcjami Partii Demokratycznej – głosili przekonania, które nazywali „egzystencjalnym pragmatyzmem”, czyli mieszankę koncepcji Jeana-Paula Sartre'a i Johna Deweya w równych częściach. „Jestem nihilistą! Chlubię się tym, chlubię – wykrzykiwał delegat uczestniczący w spotkaniu członków jednostki SDS działającej na Uniwersytecie Princeton. – Taktyka? Za późno. [...] Zniszczmy, co możemy zniszczyć. Pociągnijmy do odpowiedzialności wszystkich, których zdołamy. Rozerwijmy ich”.[274]

Mark Rudd, przewodniczący SDS na Uniwersytecie Columbii i przywódca grupy, która przejęła tę uczelnię w 1968 toku, symbolizuje rozkwit części SDS nazywanej przez „umiarkowanych” z tej organizacji „oszołomami czynu” albo „fakcją akcji”. Rudd, żarliwy zwolennik stosowania przemocy, podpisywał się pod poglądem Sorela, że „działania bezpośrednie” doprowadzą do tego, iż „wzrośnie świadomość” (był to wówczas nowy zwrot, niewiele wcześniej ukuty). Gdy „umiarkowani” chcieli go przekonywać, że ruch potrzebuje lepszej organizacji i większych możliwości oddziaływania, odrzekł, że „organizacja to tylko kolejne słowo określające 'ślamazarność'”.[275] Mussolini, który swoich *squadristi* podzielił na „jednostki akcji”, na pewno mógłby sympatyzować z takim nastawieniem.

Czytelnik przypomina sobie zapewne podane wyżej uwagi, że to Georges Sorel, francuski inżynier, który został intelektualistą, zaczął propagować przekonanie, iż masy potrzebują mitów, aby można je pobudzić do działania. Zorientowawszy się, że marksizm – podobnie jak wszystkie koncepcje z dziedziny nauk społecznych – rzadko się sprawdza w rzeczywistym życiu, Sorel pożenił wolę wiary Williama Jamesa z wolą mocy Nietzschego i zastosował je w odniesieniu do psychologii mas. Rewolucjoniści nie musieli rozumieć rzeczywistości marksizmu, musieli natomiast wierzyć w mit marksizmu (lub nacjonalizm u, syndykalizmu, faszyzmu itd.). „Zajmowanie się naukami społecznymi to jedno, a kształtowanie świadomości to coś zupełnie innego” – pisał.[276] Paliwem skłaniającym do działania nie są fakty, lecz silne emocje. „Nie rozum, lecz wiara przenosi góry – wyjaśniał Mussolini w wywiadzie udzielonym w 1932 roku (wtórując Thomasowi Woodrow Wilsonowi, który podobne przekonanie przedstawił w *Leaders of Man*). – Rozum jest pewnym narzędziem, ale nigdy nie stanie się siłą zapewniającą motywację tłumowi”.

Incydent ze spaleniem krzyża na Uniwersytecie Cornella dowiódł, że to przedkładanie rozbudzania silnych emocji nad prawdę i rozum stanowiło element planu działania tych z linii frontu. Praktyka „kłamania w celu osiągnięcia sprawiedliwości” – zawsze dopuszczalna dla przedstawicieli komunistycznej lewicy – została wpojona amerykańskiej Nowej Lewicy, a przy tym nabrała nowej mocy. Podczas buntu na Uniwersytecie Columbii krążył slogan „sprawą jest brak sprawy”. Nic dziwnego, gdyż faktyczna „sprawa”, mianowicie kwestia budowy sali gimnastycznej w przylegającym do terenu uczelni Harlemie, była przecież małym piwem. Większość działaczy nie zważała na to, że dochodzi do oszustwa. Ważne przecież były emocje, mobilizacja, działanie. Pewien członek SDS następująco się wypowiedział później, po zajęciu budynku i porwaniu dziekana: „Spowodowaliśmy, że coś się tu dzieje, i teraz musimy ustalić, co”.[277]

Tworzenie polityki zaangażowania

Ruch lat sześćdziesiątych nie rozpoczął się od programu destrukcji. Zaczęło się od wzniosłego idealizmu i nadziei. Oświadczenie z Port Huron, manifest założycielski Nowej Lewicy (Port Huron Statement), pomimo przeładowania pustosłowiem było sporządzoną w dobrych intencjach deklaracją demokratycznego optymizmu i chwalebnej uczciwości. Autorzy tego dokumentu – najważniejszą rolę w jego sporządzeniu odegrał Tom Hayden – przyznawali, że w gruncie rzeczy są mieszczańskimi radykałami, „wzrosłymi przynajmniej w umiarkowanym komforcie". Powodowanym poczuciem wyalienowania, odcięcia od amerykańskiego stylu życia młodym radykałom niezmiernie brakowało poczucia jedności i przynależności, ponownego odkrycia sensu jednostkowego istnienia poprzez zbiorowe przedsięwzięcia polityczne. Ludzie ci odnosili wrażenie, że życiu brakuje równowagi.

„Trudno dziś nadawać ludzkie znaczenie bezładowi otaczających nas faktów" – głosili autorzy deklaracji. Za cel stawiali sobie stworzenie systemu politycznego, w którym przywrócono by „ludzkie znaczenie" (cokolwiek ten zwrot miał oznaczać). „Celem człowieka i społeczeństwa – podkreślali – powinna być ludzka niezależność: nie należy się troszczyć o wizerunek popularności, lecz dążyć do odnalezienia znaczenia w życiu, które jest autentyczne na poziomie jednostki". To dążenie do samoutwierdzenia należy także upowszechnić w życiu politycznym, aby dzięki temu można było uwolnić „nieurzeczywistnione możliwości samodoskonalenia, kierowania sobą, rozumienia siebie oraz kreatywności".[278]

W tym okresie młodzi działacze znaleźli chętnych słuchaczy w gronie liberałów głównego nurtu, którzy coraz częściej wygłaszali kazania na temat „służby narodowi", „ofiary" i „czynu". John F. Kennedy – najmłodszy ze wszystkich amerykańskich prezydentów, obejmujący urząd po prezydencie, który był najstarszym w historii USA, kiedy go wybrano – na każdym kroku jednocześnie podsycał tę atmosferę i się do niej odwoływał. „Niech rozejdzie się wiadomość – deklarował w mowie inauguracyjnej w tempie niemal autorytarnym – że przekazano pochodnię nowemu pokoleniu Amerykanów, urodzonych w tym stuleciu, zahartowanych przez wojnę, zdyscyplinowanych przez trudny i gorzki pokój". Jego najsłynniejsze zdanie „Nie pytajcie, co wasz kraj może zrobić dla was, pytajcie, co wy możecie zrobić dla swojego kraju" – przekonywało przedstawicieli pokolenia, które desperacko poszukiwało zbiorowego odkupienia w pokoju w taki sposób, w jaki ich rodzice znaleźli to odkupienie w wojnie.

W całym społeczeństwie płynął podświadomy nurt, poszukiwano poczucia wspólnoty i elektryzującego przywództwa, Tom Hayden stwierdził w marcu 1962 roku: „Trzech studentów na czterech uważa, że »naród potrzebuje silnego, nieustraszonego przywódcy, któremu możemy zaufać«". Ten raczkujący ruch młodzieżowy liczył, że Kennedy okaże się takim właśnie przywódcą. Korpus Pokoju, a później VISTA werbowały wolontariuszy w tych samych grupach, z których wywodzili się działacze ruchu młodzieżowego z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, gdzie doszło do pierwszej z kampusowych rewolt zorganizowanych w latach sześćdziesiątych, wywodziło się „najwięcej ochotników działających w Korpusie Pokoju na początku lat sześćdziesiątych". W lutym 1962 roku, gdy członkowie Stowarzyszenia Studentów na rzecz Pokoju (Student Peace Union, SPU) protestowali przed Białym Domem, Kennedy wydał polecenie, aby w jego kuchni przygotowano kawę dla manifestujących. Działacze SPU z dumą rozdawali odbitki artykułu opublikowanego w dzienniku „New York Times", w którym podawano, że prezydent ich „słucha".[279]

Poszukiwano także wspólnotowości. Działające w latach sześćdziesiątych „dzieci z czerwonych pieluszek" (Red Diaper Babies) odziedziczyły po rodzicach dążenie do stworzenia nowej społeczności, zorganizowanej zgodnie z założeniami ambicji politycznych. Todd Gitlin, były przewodniczący SDS, stwierdził następująco: „Chciało się »scalić rozczłonkowane części jednostkowej historii«, jak to ujęto w deklaracji z Port Huron, aby wyjść ponad różnorodność i pomieszanie ról, które stały się czymś normalnym w zracjonalizowanym społeczeństwie: ponad podziały na pracę i rodzinę, na sprawy publiczne i prywatne, na obierający strategie i kalkulujący rozum oraz spontaniczne, ekspresywne emocje".

Gitlin dalej pisał tak: „Przynajmniej w niektórych z nas ten krąg wywoływał pierwotniejsze fantazje o stopieniu się z symboliczną i wszechobejmującą matką: ruch, sama ukochana społeczność, gdzie być może będziemy mogli znaleźć, jak to określił Kenneth Keniston, psycholog z Yale, »cechy ciepła, jedności, poczucia zaakceptowania, zależności i bliskości, które istniały w dzieciństwie«". Mark Rudd podobnie wspominał wspaniałości „komun" zakładanych na Uniwersytecie Columbii: „Dla wielu było to pierwszym w życiu doświadczeniem wspólnoty, życia niezmiernie się różniącego od tradycyjnego życia w Morningside Heights [na Uniwersytecie Columbii], życia jednostek wracających do swoich pokojów czy mieszkań. Pewien brat komentował w rozmowie ze mną: »W komunach jest się na większym haju niż po trawie«".[280]

Pierwotny program działania SDS nie był radykalny, lecz ludzki – docierano do społeczności. Pierwszym znaczącym przedsięwzięciem podjętym przez tę organizację był Projekt Badań i Działań Ekonomicznych (Economic Research and Action Project), rozpoczęty w 1963 roku. Członkowie SDS rozchodzili się jak rycerze od okrągłego stołu w poszukiwaniu graala samospełnienia, przenosząc się do gett w centrum miast w autentycznym dążeniu do wciągnięcia do życia politycznego niższej klasy złożonej z ludzi ubogich, ciemiężonych i mających kryminalną przeszłość. Powinno nieco powiedzieć to, że dla liberałów i lewicowców działających w latach sześćdziesiątych najbardziej przekonującym hasłem była „społeczność": „działania społecznościowe", „docieranie do społeczności", „społeczności okazujące sobie wzajemnie poważanie".

Alan Brinkley słusznie spostrzegł, że większość protestów i pożóg lat sześćdziesiątych miała swe źródła w pragnieniu utrzymania albo stworzenia społeczności. Do przejęcia Uniwersytetu Columbii w 1968 roku doszło rzekomo wskutek ingerencji kampusu w czarną **społeczność**. Władze Uniwersytetu Cornella starały się udobruchać działaczy Black Nation w imię przyjęcia czarnych do **społeczności** tej uczelni, a działacze Black Nation chwycili za broń, bo uważali, że asymilacja ze społecznością Uniwersytetu Cornella bądź ogólnie ze społecznością białych oznaczałaby zanegowanie własnej społeczności, a więc „ludobójstwo kulturowe".

Rewolta na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley w znacznym stopniu została wywołana przez to, że uczelnia zajęła skwerek, gdzie po zajęciach zbierali się hipisi, którzy dobrze się tam czuli w swojej niewielkiej społeczności. Hipisi mogli sobie twierdzić, że są nonkonformistami, ale każdy, kto z nimi spędził jakiś czas, wie, że konformizm cenią sobie ponad wszystko. Noszona przez nich odzież i ich fryzury to sposoby dostosowania się do grupy, sposób wyrażania podzielanych wartości. Pacyfa może symbolizować coś zupełnie odmiennego niż swastyka, ale i pacyfa, i swastyka to znaki natychmiast rozpoznawalne zarówno przez zwolenników, jak i przez wrogów.

Mimo to protestujący w Berkeley uważali, że ich świat, ich społeczność, są niszczone przez zimną, bezosobowa instytucję w postaci uczelni, a być może także przez samą nowoczesność. „Dopchnęliście nas tutaj do końca waszej cywilizacji, do brzegu morza w Berkeley – krzyczał jeden z przywódców rewolty w People's Park. – A później wepchnęliście nas na skwer zwany People's Park. Była to ostatnia z rzeczy, których musieliśmy bronić, ta kwadratowa ostoja zdrowia psychicznego wśród całego waszego szaleństwa. [...] W waszym cywilizowanym świecie jesteśmy teraz bezdomni. Staliśmy się Cyganami Ameryki i zamiast kultury mamy tylko naszą mitologię".[281] Dokładnie takiej diatryby można by oczekiwać od przedstawiciela berlińskiej bohemy z lat dwudziestych XX wieku.

Nie ulega dyskusji, że od samego początku nazizm był ideologią zła. Nie oznacza to jednak, że każdy zwolennik nazizmu kierował się złośliwymi pobudkami. Niemcy nie postanowili zbiorowo zostać hollywoodzkimi wzorami kanalii dla wszystkich potomnych. Miliony Niemców sądziły, że naziści zapewniają nadzieję społeczności, dając jej także poczucie znaczenia i autentyczności. Krótko po rewolcie na Uniwersytecie Cornella Walter Laqueur pisał na łamach „Commentary" następująco: „Można wykazać, że większość podstawowych przekonań, a nawet zewnętrznych mód obecnych światowych ruchów młodzieżowych wywodzi się z tego, co się działo

w Europie w okresie bezpośrednio poprzedzającym I wojnę światową i okresie następującym po tej wojnie. Niemcy z Neue Schar z 1919 roku to pierwsi hipisi: długowłosi, w sandałach, nieumyci piętnowali miejską cywilizację, czytali Hermanna Hessego i filozofię indyjską, uprawiali wolną miłość, a podczas spotkań z ludźmi rozdawali tysiące astrów i chryzantem. Tańczyli, śpiewali przy akompaniamencie gitary i uczęszczali na wykłady poświęcone »rewolucji duszy«. Współczesne happeningi zrodziły się w 1910 roku w Trieście, Parmie, Mediolanie i innych włoskich miastach, gdzie futuryści organizowali spotkania publiczne, aby recytować wiersze, czytać manifesty i wystawiać ultranowoczesne obrazy. Twierdzili, że w polityce nie powinien działać nikt, kto skończył trzydzieści lat. [...] Dla historyka idei archiwalne, pożółkłe numery czasopism ruchów młodzieżowych to fascynująca lektura. […] To istotnie niebywałe, że ten niemiecki ruch – pomimo wszystkich historycznych różnic – w tak wielkim stopniu zapowiadał tyle spraw zajmujących obecny ruch amerykański, a także literackie mody”.[282]

Wróćmy do przykładu Horsta Wessela, najsłynniejszego „przywódcy młodzieżowego” z początkowego okresu ruchu nazistowskiego, który poniósł „męczeńską” śmierć w walce toczonej przez niego z „czerwonym frontem i reakcjonistami” – postaci unieśmiertelnionej w nazistowskiej *Horst Wessel Lied* (Pieśń Horsta Wessela). Wessel pasował do przyjmowanego w latach sześćdziesiątych ideału młodzieżowego przywódcy „z ulicy”, walczącego o sprawiedliwość społeczną. Ten syn luterańskiego pastora zbuntował się przeciwko zasadom wychowania przyjmowanym przez klasę średnią i porzucił studia prawnicze, mając dwadzieścia jeden lat. Wstąpił wtedy do SA, nazistowskich bojówek. Przeprowadził się do podłej robotniczej dzielnicy i z towarzyszami wdawał się w krwawe uliczne starcia z komunistami. Jednakże Wessel zyskał także opinię idealistycznego i wrażliwego propagatora „rewolucji oddolnej”, która doprowadzi do powstania jednolitej społeczności rasowej wykraczającej ponad podziały klasowe. Wessel stosował się do tego, co głosił, żył wśród przestępców i ubogich proletariuszy. „Każdy, kto uważa, że dzisiejsze Niemcy nie zasługują na to, aby strzec bram do prawdziwej niemieckiej kultury, musi opuścić teatr, […] salony, […] uczelnie, [...] dom rodziców, […] literaturę, [...] sale koncertowe. Musi wyjść na ulicę, musi rzeczywiście wejść w lud, [...] do mieszkań, gdzie panują rozpacz, problemy, przestępczość, […] tam, gdzie SA chroni niemiecką kulturę. [...] Każda rozróba w hali piwnej to krok w stronę kultury niemieckiej, każda rozbita przez komunistę głowa członka SA to kolejne zwycięstwo ludu, zwycięstwo odniesione dla Rzeszy dla ojczyzny kultury niemieckiej”.[283]

Wessel, poeta amator, napisał utwór, który był drobnym hołdem złożonym tej sprawie, *Die Fahne hoch* (Sztandar w górę). Zapewniał w nim, że zaświta „dzień wolności i chleba” („*Der Tag für Freiheit und für Brot bricht an!*”) i że „niewola już nie potrwa długo” („*Die Knechtschaft dauert nur noch kurze Zeit!*”). Mniej więcej w tym samym czasie zakochał się w Ernie Jaenicke, prostytutce, którą poznał, gdy została pobita przez alfonsów w pobliskim barze. Para wkrótce zamieszkała razem w zapuszczonym wynajętym mieszkaniu, co wzbudziło gniew i protesty matki Wessela. Są pewne dowody, że naziści coraz bardziej rozczarowywali Wessela, który dostrzegał, że wiele elementów ich programu łączy ich z komunistami. Nie ulega wątpliwości, że ograniczył działalność w SA. Nie można jednak stwierdzić, czy zerwałby z nazistami, ponieważ w 1930 roku został zabity przez komunistów.

Tylko to naprawdę miało znaczenie dla Josepha Goebbelsa, który wykorzystał śmierć Wessela do celów propagandowych. Z dnia na dzień Horst Wessel stał się męczennikiem sprawy nazistowskiej, zgodnym z założeniami Sorela religijnym mitem, który miał przemawiać do idealistycznej i zagubionej młodzieży okresu międzywojennego. Goebbels ukazywał go jako „socjalistycznego Chrystusa” i produkował ogromne ilości hagiografii poświęconej pracy Wessela z ubogimi. Przed wybuchem II wojny światowej miejsca, w których żył Wessel, oraz berlińskie mieszkanie, gdzie został zastrzelony, stały się „stacjami drogi krzyżowej”. W Wiedniu, gdzie Wessel się urodził, wznoszono kapliczki. Pojawiały się one także w różnych częściach Berlina, gdzie mieszkał. Do napisanego przez niego wiersza ułożono muzykę. *Horst Wessel Lied* stała się oficjalnym hymnem nazistowskim. W niemieckim filmie fabularnym zatytułowanym *Hans Westmar: Einer von vielen* (Hans Westmar: jeden z wielu) młody bohater wzorowany na Horście

Wesselu spogląda przez okno i odzywa się następująco do uprzywilejowanych towarzyszy: „Prawdziwa walka toczy się nie tutaj, u nas, ale tam. Wróg maszeruje. [...] Mówię wam, całe Niemcy zostaną zdobyte tam, na ulicy. I tam właśnie musimy być – z naszym narodem. Nie możemy dłużej żyć w wieżach z kości słoniowej. Musimy dołączyć do walki toczonej przez robotników. Nie może już być klas. My też jesteśmy robotnikami, robotnikami umysłu, i nasze miejsce jest teraz przy tych, którzy pracują rękoma”.[284]

Nawet gdyby Wessel z materiałów propagandowych był całkowitym zmyśleniem – a tak nie było – zmitologizowana wersja ilustruje prawdę ciekawszą i ważniejszą. W Niemczech były miliony młodych mężczyzn, do których przemawiał jaśniejący ideał reprezentowany przez Horsta Wessela. Naturalnie jadowity antysemityzm nazistów powoduje, że trudno go dostrzec (i nie można wybaczyć), ale marzenie o zjednoczonych i bezklasowych Niemczech podzielało wielu żyjących nim Niemców przystępujących do ruchu nazistowskiego. Gdyby do tego się ograniczało, w ogóle nie byłoby to złym marzeniem.

Podobnie jednak jak łatwo przekroczyć granicę miedzy „dobrym” a złym totalitaryzmem, marzenia łatwo mogą się zmienić w koszmary. W gruncie rzeczy niektóre marzenia z powodu ich charakteru **muszą** się ostatecznie zmienić w koszmary. A co do Horstów Wesselów amerykańskiej Nowej Lewicy, wszelki chwalebny idealizm, jakim mogli się cechować, szybko i nieuchronnie wyrodził się w faszystowski bandytyzm.

Najsłynniejszym z nich był Tom Hayden. Syn przedstawicieli klasy średniej mieszkających w Oak Park na przedmieściach Detroit (w pobliżu parafii księdza Charlesa Coughlina), jeden z najważniejszych autorów deklaracji z Port Huron, odegrał chwalebną rolę w początkowych fazach walki o prawa obywatelskie toczonej w południowych stanach. Niewątpliwie uważał się za młodego demokratę, ale ziarna zapędów totalitarnych ujawniały się już w początkowym okresie jego działalności, na Uniwersytecie Michigan. W mowie wygłoszonej do samorządu tej uczelni w 1962 roku – stała się ona manifestem zatytułowanym *Student Social Action* (Działania społeczne studentów) – Hayden twierdził, że młodzi muszą wyrwać starszym kontrolę nad społeczeństwem. W tym celu uczelnie muszą się stać inkubatorami rewolucyjnych „działań społecznych”. Richard Flacks, młody pracownik naukowy, który z żoną, Mickey, dołączył do prowadzonej przez Haydena nowej krucjaty, był oszołomiony. Po powrocie do domu rzekł do żony (działaczki ruchu o nazwie Women Strike for Peace): „Mickey, właśnie widziałem nowego Lenina!”.[285]

Pod koniec tego dziesięciolecia Hayden istotnie otwarcie przekonywał do „leninowskiej” przemocy i masakr, gloryfikując zbrodnie jako bunt polityczny i jawnie popierając Mao, Ho Chi Minha, a także – rzecz jasna – mordercze Czarne Pantery. Pomógł napisać „program wyzwolenia Berkeley”. Do najważniejszych punktów należały następujące postulaty: „zniszczyć uczelnię, jeśli nie służy ludziom”, „wszyscy uciskani w więzieniach są więźniami politycznymi, trzeba ich więc uwolnić”, „stworzyć socjalizm mający duszę”, „studenci muszą zniszczyć starczą dyktaturę dorosłych wykładowców”. Jego „docieranie do społeczności” w slumsach Newarku poprzedzało, a w pewnej mierze także podsycało przerażające zamieszki na tle rasowym. „W tych dniach w Newarku zafascynowała mnie prostota i potęga koktajlu Mołotowa” – pisał w autobiografii. Hayden liczył, że przy wykorzystaniu przemocy Nowa Lewica zdoła utworzyć „terytoria wyzwolone” w gettach i kampusowych enklawach, a następnie je wykorzystać do eksportowania rewolucji do pozostałych części Stanów Zjednoczonych. W 1967 roku podczas dyskusji panelowej z wiodącymi nowojorskimi intelektualistami Hannah Arendt upominała Haydena, bo bronił krwawego powstania. Hayden warknął w odpowiedzi: „Może pani ze mnie robić trędowatego, ale twierdzę, że można przekonywać do roli przemocy w ruchu pokojowym”. Podczas okupacji Uniwersytetu Columbii Hayden tłumaczył, że te protesty to tylko początek „sprowadzania wojny do domu”. Kopiując słowa Che Guevary o „dwóch, trzech, wielu Wietnamach”, Hayden nawoływał do utworzenia „dwóch, trzech Columbii”.[286]

Do rzeczy najwięcej ujawniających w działalności lewicowych ruchów rewolucyjnych należy wykazywana przez nie tendencja do zacierania granicy dzielącej zwykłe przestępstwa od

buntu politycznego. Bojówkarze z SA bili właścicieli sklepów, tarmosili biznesmanów i niszczyli mienie, jako uzasadnienie podając, że robią to w imię „ruchu". Działacze lewicowi do tej pory określają mianem „powstania" albo „buntu" zamieszki, do których doszło w Los Angeles. Podobna tępota moralna prześladowała ruch w latach sześćdziesiątych. „Przyszłość naszej walki to przyszłość przestępczości na ulicach" – deklarował Hayden. W jego przekonaniu jedynym sposobem „przeciągnięcia młodzieży na stronę rewolucji" było zorganizowanie „serii gwałtownych i groźnych konfliktów, walk o życie" na ulicach. Nie ma wątpliwości, że czerpał inspirację z działalności Czarnych Panter (im z kolei inspirację zapewniał), regularnie atakujących policjantów na ulicach z zasadzek. Podczas demonstracji organizowanych w Chicago w 1968 roku w czasie konwencji Partii Demokratycznej Rennie Davis, współpracujący z nim organizator, nakłaniał tłum słowami „Nie głosujcie, [...] dołączcie do nas na ulicach Ameryki. [...] Twórzcie Narodowy Front Wyzwolenia na rzecz Ameryki". Haydena postawiono przed sądem za podżeganie do aktów przemocy w Chicago. W czerwcu 1969 roku mówił o „konieczności rozszerzenia naszej walki, aby objęła totalny atak na sądy".[287]

W przekonaniu Marka Rudda, przywódcy tzw. fakcji akcji SDS, Hayden był umiarkowany. Rudd, który organizował „bunt" na Uniwersytecie Columbii, urodził się w należącej do klasy średniej żydowskiej rodzinie mieszkającej w New Jersey. Rodzice raczej nie popierali obranej przez niego drogi. Gdy zatelefonował do ojca, aby mu wyjaśnić, że „zabrał budynek" rektorowi Uniwersytetu Columbii, ojciec odrzekł: „To mu go oddaj". W tamtym czasie ulubionym okrzykiem bojowym Rudda było zdanie „Pod ścianę, chuju!", które z rozkoszą ćwiczył na wykładowcach i przedstawicielach władz uczelni. „Nie ma chyba rzeczy, która by bardziej załamywała naszych wrogów niż ten okrzyk – tłumaczył. – Dostrzegali wtedy, do jakiego stopnia zerwaliśmy z ich normami, jak bardzo weszliśmy w brutalność, nienawiść i obsceniczność. Świetnie!". Jak wyjaśniał, stosowane przez niego określenie nie pozostawiało wątpliwości, że władze uczelni, wykładowcy i policja występująca przeciwko radykałom to „nasi wrogowie". „Nie ma już miejsca na liberalne rozwiązania, restrukturyzacje, częściowe porozumienia czy kompromisy. Sprawa się sprowadza do tego, że naszym celem jest rewolucja społeczna i polityczna, nic mniej".[288]

Rudd ostatecznie wstąpił do organizacji Weathermen, która na znak poważania dla działających w niej terrorystek wkrótce zmieniła nazwę na Weather Underground (czasami posługiwano się też nazwą Revolutionary Youth Movement, Rewolucyjny Ruch Młodzieżowy). W 1970 roku grupa ogłosiła „stan wojny" ze Stanami Zjednoczonymi i rozpoczęła kampanię ataków terrorystycznych. Rudd stał na stanowisku, że najlepiej podsycać rewolucję, organizując ataki na obiekty wojskowe i banki oraz atakując policję. Jeden z pierwszych ataków bombowych zamierzano przeprowadzić w Fort Dix w stanie New Jersey, gdzie odbywała się potańcówka dla podoficerów (chociaż w innej wersji twierdzono, że bomba z dodatkiem gwoździ dekarskich miała być wykorzystana na Uniwersytecie Columbii). W każdym razie niedoświadczeni wytwórcy bomb sami się wysadzili w budynku w Greenwich Village. Trzy osoby zginęły, a ci, którzy przeżyli, do końca życia się ukrywali. Między innymi przez ten wybuch Rudd musiał zejść do podziemia. Ujawnił się dopiero po kilku latach. Oddał się w ręce policji, gdy wskutek pogwałcenia przepisów dotyczących podsłuchu trudno było prowadzić dochodzenie federalne w jego sprawie. Obecnie wykłada matematykę w społecznym college'u w Albuquerque w Nowym Meksyku. Wyraził skruchę z powodu stosowania przemocy podczas działalności w ruchu młodzieżowym, ale nadal gwałtownie występuje przeciwko amerykańskiej (i izraelskiej) polityce zagranicznej.

Wielu z nas zapomina, że prowadzona przez Weather Underground kampania zamachów bombowych nie ograniczyła się do kilku incydentów. Od września 1969 roku do maja roku 1970 Rudd i jego współrewolucjoniści z białej radykalnej lewicy przeprowadzili około 250 zamachów, co oznacza akcję terrorystyczną prawie każdego dnia (w rządowych szacunkach przyjmowano znacznie wyższą liczbę). Latem 1970 roku w Kalifornii organizowano dwadzieścia zamachów w ciągu tygodnia. Te ataki wybijały rytm symfonii przemocy, wielokrotnie nagłaśnianej w wypowiedziach, która pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych była w partyturze Nowej Lewicy. Rudd doskonale ujął dominujący ton: „Wspaniale jest walnąć świnię.

Musi być cudownie zabić świnię albo wysadzić budynek". „Prawdziwy podział to nie podział na ludzi, którzy popierają zamachy bombowe, i tych, którzy ich nie popierają – tłumaczył anonimowy członek „kolektywu bombowego" – ale na tych, którzy je **przeprowadzą**, i tych, którzy są za bardzo przywiązani do swoich przywilejów i bezpieczeństwa, aby się zdecydować na takie ryzyko".[289]

Burżuazyjna nienawiść do siebie leżała u podstaw żywionej przez przedstawicieli Nowej Lewicy nienawiści do liberalizmu, jej romansu z przemocą oraz gotowości do rozbijania zachodniej cywilizacji kafarem. „Występujemy przeciwko wszystkiemu, co w Ameryce białasów jest »dobre i przyzwoite« – deklarował pewien buntownik. – Będziemy palić, łupić i niszczyć. Jesteśmy inkubacją najgorszego koszmaru twojej matki". Jednostki Weathermen stały się oddziałami szturmowymi Nowej Lewicy, budzącymi przerażenie nawet tych, którzy popierali ich sprawę. Przekonani, że wszyscy biali urodzili się splamieni grzechem pierworodnym „przywileju zapewnianego przez skórę", członkowie oddziałów szturmowych Nowej Lewicy dokonali internalizacji myślenia w kategoriach rasistowskich w postaci nienawiści żywionej do własnej przynależności do białych. „Wszystkie białe niemowlęta to świnie" – deklarował pewien członek Weathermen. Pewnego dnia feministyczna poetka Robin Morgan karmiła piersią synka w pomieszczeniu redakcji radykalnego pisma „Rat". Gdy zobaczyła to członkini Weather Underground, powiedziała: „Nie masz prawa mieć tego świńskiego dzieciaka". „Jak możesz tak mówić? – spytała Morgan. – Co miałabym zrobić?". „Wyrzucić go do śmieci" – odpowiedziała Weatherwoman.[290]

Bernardine Dohrn, studentka prawa z Uniwersytetu Chicagowskiego i miłośniczka kwasu, która przeszła na pozycje rewolucyjne, wyrażała rozpowszechnioną wśród przedstawicieli Nowej Lewicy fascynację Charlesem Mansonem, seryjnym mordercą, hipisowskim übermenschem. „Rewelka! Najpierw zabili te świnie, a potem zjedli obiad w pokoju, w którym leżały ciała. Nawet wbili widelec w brzuch ofiary! Świetne!". Wyrażając uznanie, członkowie komórki Weather Underground, do której należała, za oficjalny salut przyjęli wystawione trzy palce na kształt widelca".[291]

Było naturalnie także niemało rewolucjonistów odgrywających jakieś role. Abbie Hoffman, który z Jerrym Rubinem współtworzył ruch *yippies* (Międzynarodowej Partii Młodzieży, Youth International Party), pochodził z zamożnej żydowskiej rodziny mieszkającej w Worcester w stanie Massachusetts. Ten wytwór prywatnych szkół – w których od samego początku powodował problemy, niewątpliwie częściowo wskutek choroby efektywnej dwubiegunowej – Hoffman studiował na Uniwersytecie Brandeis, gdzie uczył się od intelektualnego idola Nowej Lewicy, Herberta Marcuse'a. Hoffman przyjął przekonanie Marcuse'a, że burżuazyjna Ameryka jest „radykalnie zła", a przez to trzeba do tej sprawy podejść radykalnie. Hoffman jednak miał coś, co sprawiało, że przewyższał Marcuse'a, Rudda, Haydena i pozostałych. Otóż podchodził z poczuciem humoru do własnych zadań (choć był znacznie mniej zabawny, niż sam sądził). Jego przekonania były zabawnym faszyzmem, szelmowskim nihilizmem. Same tytuły jego książek dają pewne wyobrażenie o jego nastawieniu *Steal This Book* (Ukradnij tę książkę), *Fuck the System* (Pierdolić system), *Revolution for the Hell of It* (Rewolucja za kupę tego, Rewolucja za jej piekło). „Jeśli o mnie chodzi, zawsze trzymałem kwiatek w zaciśniętej pięści" – pisał w autobiografii. Doskonale opanował sztukę nazywania „faszystą" każdego, kogo nie lubił bądź nie popierał.

O Reaganie powiedział, że to „faszystowskie działo na Zachodzie". Hoffman, kolejny członek „siódemki z Chicago", umykał sprawiedliwości przez większość lat siedemdziesiątych, gdyż groziła mu sprawa karna za handlowanie kokainą.

Jego akcje mniej miały wspólnego z działaniami nazistów – zasadniczo ekipy pozbawionej poczucia humoru – niż z zachowaniem włoskich futurystów, artystycznej przybudówki do włoskiego faszyzmu.[292] Do futurystów należeli aktorzy, poeci, prozaicy i inni artyści, którzy z determinacją dążyli do tego, aby wszystkie cechy młodości i rewolucji wprowadzić na ulice i do kawiarń Włoch. Ich faszyzm był teatralnie gwałtowny, czerpiący radość z szokowania i zamętu.

Futurystów zachwycało oszołomienie zapewniane przez szybkość i osiągnięcia techniki, *yippies* z kolei byli zachwyceni oszołomieniem narkotykami. W gruncie rzeczy jednak to ta sama cecha. Na przykład Hoffman i Rubin proponowali utworzenie „teatru zamętu” podczas chicagowskiej konwencji, który miałby doprowadzić do zmieszania „zielska i polityki w polityczny ruch oddolny”. Uaktualniając Sorelowe twierdzenia dotyczące mitów i przemocy – oczywiście nie podając źródła tych koncepcji – Hoffman zaczął tworzyć „ogromny mit” rozlewu krwi i wstrząsu. „Spalimy doszczętnie Chicago!”, „Będziemy się jebać na plażach!”, „Żądamy polityki ekstazy!”. Teraz może się to wydawać zabawne, ale celem było doprowadzenie do konfrontacji, która zakończyłaby się rozlewem krwi na ulicach. W sierpniu redakcja undergroundowego pisma *yippies* „Seed” poinformowała, że wycofała prośbę o zgodę na zorganizowanie festiwalu rockowego dla młodzieży. W materiale odredakcyjnym wyjaśniano powody: „Może się okazać, że w Chicago będzie festiwal krwi. […] Nie przyjeżdżajcie do Chicago, jeśli oczekujecie pięciodniowego festiwalu życia, muzyki i miłości”.[293]

Gdy ktoś nie chciał zwracać uwagi na wiele z tych pozbawionych znaczenia wypowiedzi o marksizmie, oczywisty się stawał faszystowski charakter tego wszystkiego. Istotnie można było brać dosłownie wypowiedzi tych niezliczonych radykałów, którzy mówili, że są „ponad ideologiami” i zajmują się wyłącznie czynem. Do rzeczy ujawniających najwięcej należała obsesja Nowej Lewicy na punkcie „ulicy". Radykałowie nieustannie mówili o „wychodzeniu z tym na ulice”, o potrzebie „teatru ulicznego”, protestów ulicznych, aktywizmu ulicznego, a nawet o „tańczeniu na ulicach”, któremu poświęcono piosenkę. Wiele z najlepszych książek napisanych w tamtym okresie albo mu poświęconych zawiera w tytule słowo „ulica”. Zaledwie kilka przykładów to *No Name in the Street* Jamesa Baldwina, *Democracy Is in the Streets* Jima Millera czy *Fire in the Streets* Miltona Viorsta,

Faszyści zawsze mieli hopla na punkcie ulicy. Horst Wessel, walczący na ulicach męczennik sprawy nazistowskiej, ujął ducha ulicy w swoim wierszu, który stał się hymnem nazistowskim, gdzie o mowa o „wolnej ulicy dla brunatnych batalionów” („*Die Straße frei den braunen Bataillonen*”) i o tym, że wkrótce powiewać będą flagi Hitlera „nad wszystkimi ulicami” („*Bald flattern Hitlerfahnen über allen Straßen*”). W przekonaniu futurystów ulica była jedyną autentyczną sceną. „Uwijająca się miotła szaleństwa oderwała nas od nas samych i gnała nas ulicami wzburzonymi i głębokimi jak łożyska strumieni” (*La furente scopa della pazzia ci strappò a noi stessi e ci cacciò attraverso le vie, scoscese e profonde come letti di torrenti*) – deklarował Filippo Tommaso Marinetti, twórca ruchu futurystycznego. Zgodnie ze słynnym zdaniem Marinettiego futuryści opiewali „piękne idee, które zabijają”. „Każdy mający zmysł pozwalający wyczuwać zależności historyczne dostrzeże, że ideologiczne początki faszyzmu można znaleźć w futuryzmie – pisał w 1924 roku Benedetto Croce – w determinacji, z którą wychodzono na ulice, aby narzucać własne przekonania, aby zamknąć usta tym, którzy się nie zgadzali, aby się nie obawiać zamieszek ani walk, w tym gorliwym zrywaniu z wszelką tradycją, w tej cechującej futuryzm gloryfikacji młodości”.[294]

Często się wyolbrzymia rolę przemocy akurat w faszyzmie. Przemoc bowiem była zasadniczą cechą niemal wszystkich ruchów rewolucyjnych, z wyjątkiem kilku wyraźnie opowiadających się przeciwko przemocy. Jednakże awangardowi faszyści idealizowali przemoc jako cel sam w sobie, uznając, że jest „odkupicielska” i wywołuje „przemianę”. Mussolini mówił o potędze i znaczeniu przemocy, ale stosował jej znacznie mniej, niż można by sądzić. To prawda, że jego oprychy biły ludzi i dochodziło do nielicznych zabójstw, ale w większości Mussoliniemu podobała się estetyka przemocy, brzmienie brutalnej retoryki, poezja rewolucyjnego rozlewu krwi. „Bo rewolucje są szalone, gwałtowne, idiotyczne i bestialskie – tłumaczył. – Są jak wojna. Podpalają Luwr i wyrzucają na ulice nagie ciała księżniczek. Zabijają, grabią i niszczą. To spuszczone na świat przez ludzi biblijne potopy. I właśnie na tym polega ich wielkie piękno”.[295]

I znów uderzają podobieństwa do Nowej Lewicy. Przemoc nieustannie pojawiała się w wypowiedziach politycznych jej przedstawicieli. Przemoc fizyczna tylko to podkreślała. Zarówno dla Nowej Lewicy, jaki dla faszystów przemoc działała na licznych poziomach symbolicznych.

Podsycała poczucie sytuacji kryzysowej, które rewolucjoniści rozbudzają, aby wywoływać polaryzację społeczeństwa.

Polaryzacja w gruncie rzeczy była tym samym strategicznym celem i dla Nowej Lewicy, i dla nazistów. Tylko poprzez zmuszanie liberałów głównego nurtu do opowiedzenia się po którejś ze stron – przy założeniu, że większość dokona wyboru wynikającego z sympatyzowania z lewicą – Hayden i inni mogli przeprowadzić zaplanowaną rewolucję. To właśnie mieli na myśli, gdy mówili o „sprowadzaniu wojny do domu". (Ted Gold, jeden z towarzyszy Rudda, który zginął podczas wybuchu w Greenwich Village, twierdził, że liberałów można zradykalizować tylko w jeden sposób, mianowicie „zmieniając Nowy Jork w Sajgon".[296] Naziści wychodzili z podobnego założenia, że Niemcy opowiadający się za socjalistyczną polityką gospodarczą, ale odrzucający ideę służalstwa wobec Moskwy ostatecznie dołącza do **narodowych** socjalistów, opuszczając **międzynarodowych**. Niemieccy komuniści myśleli podobnie, uważając, że nazizm przyspieszy marsz ku komunizmowi. Stąd wzięła się mantra niemieckich socjalistów „Najpierw brunatni, potem czerwoni".

Nieco paradoksalnie poparcie dla przemocy – nawet gwałtownej retoryki, czego przykładem było manifestowane przez Rudda upodobanie do obelg i przekleństw – przyczyniło się do odróżnienia radykałów od liberałów, których twardogłowi lewicy uważali za ludzi zbytnio zważających na uprzejme formy, procedury i konwencjonalną politykę. Gdy „umiarkowani" uczestniczący w przejęciu Uniwersytetu Columbii próbowali przekonywać członka „komitetu obronnego" okopanego w sali Wydziału Matematyki, gdzie schronili się najradykalniejsi studenci, ten odparował: „Jebani liberałowie, nie rozumiecie, o co w tym wszystkim chodzi. Chodzi o władzę i zamęt. Im więcej krwi, tym lepiej". Podczas zorganizowanego w 1965 roku przez przeciwników wojny w Wietnamie marszu do pomnika Waszyngtona Phil Ochs śpiewał swój szyderczy utwór *Love Me, I'm a Liberal*.[297] Saul Alinsky, którego publikacja zatytułowana *Rules for Radicals* (Zasady dla radykałów) stała się biblią Nowej Lewicy (Alinsky później należał do mentorów Hillary Clinton), podzielał żywioną przez faszystów pogardę dla liberałów uważanych za skorumpowane burżuazyjne gaduły. „Podczas spotkań liberałowie śmiało się wypowiadają. Popisują się, robią wojownicze miny, a później wydają nijakie oświadczenie, »które zawiera ogromne konsekwencje, kiedy się je czyta między wierszami«. Siedzą spokojnie, bez emocji, analizując sprawę, oceniając ją z obu stron. Siedzą i nadal siedzą".[298]

W wielu stwierdzeniach Alinsky'ego zamiast słowa „radykalny" można wstawić „faszystowski" tak, że niekiedy trudno byłoby zauważyć różnicę. „Społeczeństwo ma poważne powody, aby się bać radykała. [...] Uderza, rani, stwarza zagrożenie. Konserwatywne grupy interesów wiedzą, że liberałowie najlepiej sobie łamią karki własnymi językami, natomiast radykałom najlepiej wychodzi łamanie karków konserwatystom". I dalej: „Radykał może sięgać po miecz, ale kiedy to robi, nie kieruje się nienawiścią do tych, których atakuje. Nie żywi nienawiści do tych osób, bo są określonymi jednostkami, lecz nienawidzi ich, gdyż są pewnymi symbolami reprezentującymi idee lub interesy, które w jego przekonaniu są wrogie względem dobra narodu". Innymi słowy, nie są **ludźmi**, lecz **zdehumanizowanymi symbolami**. „Zmiana oznacza ruch – tłumaczy Alinsky. – A ruch oznacza tarcie. Tylko w pozbawionej tarcia próżni nieistniejącego abstrakcyjnego świata może dojść do ruchu, czyli zmiany, bez niszczącego tarcia konfliktu".[299]

Stosowana przez Nową Lewicę przemoc służyła również poparciu licznych innych motywów faszystowskich, od kultu nierozumu, przez żądzę działania i pragnienie autentyczności – mówiło się łatwo, trudniej było zrobić – po poczucie wstydu z powodu wojskowych dokonań starszego pokolenia. Jak wielu młodych nazistów nie walczyło w czasie I wojny światowej i chciało dowieść rodzicom i sobie, ile są warci, tak wielu przedstawicieli Nowej Lewicy miało „sprawy" do rozliczenia z rodzicami z powodu ich udziału w II wojnie światowej (a w przypadku wielu Żydów była też sprawa postępowania rodziców w czasie ciężkiej próby Holokaustu). Ponadto wielu radykałów bardzo chciało wykazać, że odmowa walki w Wietnamie nie świadczy o tchórzostwie.

Trzeba wreszcie wspomnieć, że przemoc była wyrazem hołdu składanego prawdziwym radykałom i rewolucjonistom działającym zarówno w ojczyźnie, jak i za granicami. W historii radykalizmu Nowej Lewicy powraca wątek zazdrości Czarnym Panterom. Czarni byli „czymś autentycznym", a biali bardzo zabiegali o ich akceptację i poparcie. Francuscy intelektualiści i liberałowie z Upper West Side doszli do nowych wyżyn pochlebstwa, gdy chcieli wykazać, że naprawdę popierają sprawę radykalną. Wiwatowali, gdy podczas igrzysk olimpijskich w 1968 roku czarni sportowcy wznosili zaciśnięte pięści w geście protestu przeciwko amerykańskiemu hymnowi, nie zważając na to (albo o tym nie wiedząc), że ten gest w całości się wywodził z estetyki faszystowskiej. „Pięść – ogłaszał w 1920 roku pewien włoski faszysta – to synteza naszej teorii".[300] A gdy George Foreman powiewał amerykańską flagą podczas tych samych igrzysk, tłum wielbicieli Normana Mailera nazwał go wujem Tomem, zarzucając mu służalstwo.

Bardzo wiele na temat każdego ruchu można powiedzieć na podstawie tego, kogo jego przedstawiciele uważają za swych bohaterów. Także w tym wypadku Nowa Lewica ukazuje się w nieszczególnym świetle. Pomimo całego gadania o „demokracji polegającej na uczestnictwie" szokuje, jak niewielu demokratów uznali za swych bohaterów nawet „pokojowo" nastawieni członkowie tego ruchu. Na Uniwersytecie Columbii, w Berkeley i na innych kampusach całej Ameryki studenci rozlepiali plakaty przedstawiające Che Guevarę, Fidela Castro, Mao Dze-Donga i Ho Chi Minha. Pod przewodnictwem Rudda organizacja SDS nawiązała quasi-oficjalne stosunki z rządem Fidela Castro. W Chicago i innych miastach amerykańskich jej członkowie skandowali „Ho-Ho-Ho-Chi-Minh", a zawierająca rewolucyjne maksymy *Czerwona książeczka* Mao sprzedawała się w wielkich nakładach.

Zamiast nazywać te reżymy faszystowskimi a jestem głęboko przekonany, że za takie należy je uważać – ograniczmy się do wskazania podobieństw tych ruchów i ustrojów z Trzeciego Świata do reżymów i ruchów typowo faszystowskich, Mao Dze-Dong, Ho Chi Minh i Fidel Castro, a nawet Czarne Pantery reprezentowali etnocentryczne ruchy „wyzwolenia narodowego". **Dokładnie** tak swoje programy działania nazywali Mussolini i Hitler. Hitler zapowiadał, ze uwolni Niemcy od brzemienia traktatu wersalskiego i ucisku „międzynarodowej finansjery", Mussolini wywodził, że Włosi są „narodem proletariackim", który zasługuje na „chwilę w słońcu", podobnie jak Niemcy. Chińska rewolucja kulturalna, czyli stworzona przez Mao mieszanka socjalizmu i ludowych zwyczajów chińskich, doskonale pasuje do faszystowskiej sterówki. Czy Castro nie jest wyłącznie wojskowym dyktatorem (ciągle przecież się pokazuje w mundurze), który otaczający go kult jednostki nabłyszczał ekonomią socjalizmu, retoryką narodowościową i bezkresnym populizmem cechującym zjazdy NSDAP w Norymberdze?

Fakt, że w modzie jest wyrabianie marki z wykorzystaniem wizerunku Che Guevary, to dowód tego, jak niesmaczna jest amerykańska kultura konsumencka, a także świadczy o kompletnej ignorancji liberałów, którzy są fusami pozostałymi po Nowej Lewicy z lat sześćdziesiątych. Wszechobecne koszulki z wizerunkiem Che Guevary zajmują pierwsze miejsca na listach najpopularniejszych motywów rewolucyjnych wykorzystywanych przy produkcji wyrobów na rynek masowy. Każdy może je nabyć w najbliższym sklepie z odzieżą w stylu bo-bo (połączenie bohemy i *burgeois*), jest nawet popularna seria takiej odzieży dziecięcej. Oto fragment tekstu reklamującego tę odzież: „Widoczny na prowadzonej przez tygodnik »Time« stronie z informacjami dla zakupowiczów udających się na wakacje, »Viva la revolución!«. Teraz za pomocą tego pajacyka nawet najmniejszy buntownik może wyrazić swą osobowość. Klasyczny wizerunek Che Guevary znajduje się też na koszulkach z długim rękawem w dziecięcych rozmiarach. Niech żyje buntownik w każdym z nas! [...] Che to ideał symbolicznego wizerunku!".[301]

Ten argentyński fagas kubańskiej rewolucji był mordercą i oprychem. W dziennikach zapisywał klasyczne faszystowskie apoftegmata: „Nienawiść to żywioł walki: nieustępliwa nienawiść do wroga, która pcha człowieka poza jego naturalne ograniczenia, przez co ten człowiek staje się sprawną, gwałtowną selektywną i zimnokrwistą maszyną do zabijania". Guevara lepiej pisał od Hitlera, ale szeptała mu ta sama muza, która uczestniczyła w produkcji *Mein Kampf*. Guevara uwielbiał wykonywać egzekucje. Gdy podsycał rewolucję w Gwatemali, pisał do matki:

„Było bardzo zabawnie, co z bombami, mowami i innymi rozrywkami pozwoliło przełamać monotonię, w której żyłem”. Wyznawał zasadę „Jeśli masz wątpliwości, zabij”, i stosownie do niej zabił bardzo wielu. Humberto Fontova, kubański pisarz żyjący w Stanach Zjednoczonych, podsumował, że Guevara to „połączenie Berii z Himmlerem”.[302]

Nie ma wątpliwości, że zabił więcej dysydentów i zwolenników demokracji niż Mussolini w całym okresie swych rządów, a „wolności” na pewno było więcej we Włoszech Mussoliniego niż w każdym systemie, który chciał ustanowić Che Guevara, „bojownik walczący o **wolność**”. Kto ubrałby swoje dziecko w pajacyk z wizerunkiem Mussoliniego? Pozwolił córeczce pić z kubeczka ze zdjęciem Himmlera?

Można prowadzić jezuicką dyskusję na temat precyzyjnych etykiet politycznych, którymi należy opatrywać te osoby stosownie do tego, na co zasłużyli, ale nie zmienia to tego faktu, że ogromna popularność tych „wyzwolicielskich” ruchów to wynik cech łączących Guevarę, Castro, Mao i pozostałych z bohaterami faszyzmu. A gdy z ich mów usunie się nazwiska Marksa i Lenina, pozostanie treść dowolnej diatryby wygłoszonej przez Mussoliniego z balkonu (w przypadku Mussoliniego niekiedy nawet nie trzeba wymazywać nazwisk Marksa i Lenina). Wszyscy oni byli narodowcami wyznającymi narodowy socjalizm, który miał w ich przekonaniu zapewnić demokrację „prawdziwszą” i bardziej „organiczną” zamiast „szablonowej”, „sztucznej” i „dekadenckiej” „pseudodemokracji” burżuazyjnego Zachodu. Postaci takie, jak Patrice Lumumba, kongijski działacz narodowościowy, stawały się bohaterami wyłącznie z tego powodu, że występowały przeciwko Stanom Zjednoczonym i twierdziły, że reprezentują sprawę rewolucyjną czystą pod względem rasowym.[303] ONZ i powiązane z tą organizacją elity stanęły na rasistowskim stanowisku, zgodnie z którym za uzasadnioną ekspresję woli mocy Trzeciego Świata uważa się sytuację, gdy czarni albo inne ciemiężone grupy wybijają się wzajemnie lub zabijają białych. Panafrykanizm, panarabizm, chińska droga i antykolonializm ogólnie to nowe odlewy pangermanizmu Hitlera bądź dążeń Mussoliniego do przejęcia władzy nad „cywilizacją łacińską” i „Włochami wszędzie”. Trzecioświatowcy także potrzebowali lebensraumu.

Zgodnie z założeniami doktryn wyzwolenia czarnych „rewolucyjna” przemoc była uzasadniona w każdej sytuacji, pod warunkiem że twierdzono, iż pokrwawione zwłoki to ciało osoby, która jakoś się dołożyła do ciemiężenia. Biali stali się nowymi Żydami. „Zastrzelić Europejczyka to upiec dwie pieczenie na jednym ogniu – zabić ciemiężcę i jednocześnie człowieka, którego ciemięży” – pisał Jean-Paul Sartre w przedmowie do pewnej książki Frantza Fanona. Cały ten krwawy szyk został upowszechniony w książce *White Negro* Normana Mailera, gdzie fetyszyzuje się czarną zbrodnię, ukazując ją jako coś nowoczesnego, świetnego i rewolucyjnego. Nowa Lewica nie tylko to kupiła, ale jeszcze zaczęła sprzedawać. Wyniki pewnych badań opinii świadczyły o tym, że 20 procent Amerykanów utożsamiało się z Che Guevarą, który wyprzedził Nixona (19 procent), Humphreya (16 procent) i Wallace'a (7 procent).[304]

Szaleństwo, okrucieństwo i totalitaryzm były „dobre”. Oprychy i kryminaliści stali się bohaterami, a obrońcy rządów prawa nagle zostali „faszystami”. Niemal od samego początku ta logika zatruwała początkowe zwycięstwa ruchu walczącego o prawa obywatelskie. Na Uniwersytecie Cornella większość czarnych studentów przyjęto na podstawie zasad, które teraz nazwano by akcją afirmatywną (*affirmatitve action*) bądź pozytywną dyskryminacją, przy wynikach testów SAT poniżej przeciętnej. Szczególnie wiele ujawnia fakt, że sporo noszących broń rewolucjonistów przyjęto na tę uczelnię właśnie dlatego, że pasowali do przedstawionego przez Mailera stereotypowego szlachetnego „młodego człowieka z getta”, autentycznego Murzyna. Wybierano takich zamiast innych czarnych z lepszymi wynikami testów i lepszymi kwalifikacjami, bo ci wiedzący więcej czarni byli zbyt „biali”.[305]

Pod koniec tamtego dziesięciolecia ruch walczący o prawa obywatelskie pod względem interesów i obranych celów stał się ruchem Black Power. A Black Power – z zaciśniętymi pięściami, afropogańską mitologią, świętowaniem przemocy, akcentowaniem dumy rasowej i pogardą dla liberalizmu – to zapewne najbardziej autentyczny rdzenny amerykański rasizm. Stokely

Carmichael, w pewnym momencie „premier” Partii Czarnych Panter, stwierdził, że Black Power (to on ukuł to określenie) to „ruch, który zmiażdży wszystko, co stworzyła zachodnia cywilizacja”.[306] Carmichael podzielał marzenie Hitlera o stworzeniu rasowego państwa *völkisch* na zgliszczach starego ładu.

Gdy czyta się o indoktrynacji rasowej dzieci w nazistowskich Niemczech, trudno dostrzec różnicę między dumą Carmichaela z przynależności do czarnej rasy a głoszoną przez Hitlera dumą z niemieckości. „Jakie jest pierwsze przykazanie każdego narodowego socjalisty? – pytano w nazistowskim katechizmie. – Kochaj Niemcy ponad wszystko, a towarzysza narodowego jak siebie samego!”. Powiązania między założeniami działaczy Black Nation a koncepcjami przyjmowanymi w nazizmie, faszyzmie i innych rzekomo prawicowych ugrupowaniach rasistowskich nie są wyłącznie teoretyczne, nie są też czymś nowym. Marcus Garvey, twórca ruchu Back to Africa, przyznał w 1922 roku, że jego ideologia doskonale pasuje do założeń Mussoliniego. „Byliśmy pierwszymi faszystami” – twierdził. Jego wypowiedzi istotnie często dziwnie przypominały hasła niemieckiego faszyzmu: „Powstań, potężna raso, dokonaj, czego chcesz”, „Afryka dla Afrykanów [...] W ojczyźnie i za granicą!” itd. W latach sześćdziesiątych XX wieku Elijah Muhammad, przywódca Narodu Islamu, nawiązał serdeczne stosunki z George'em Lincolnem Rockwellem, przywódcą Amerykańskiej Partii Nazistowskiej (American Nazi Party).

Rockwella poproszono nawet, by przemówił podczas krajowej konwencji Narodu Islamu w 1962 roku. Chwalił wtedy Elijaha Muhammada, uznając go za czarnego Adolfa Hitlera, Dwudziestego ósmego stycznia 1961 roku Muhammad wysłał do Atlanty Malcolma X, który miał tam negocjować układ z Ku-Klux-Klanem, na podstawie którego Ku-Klux-Klan miałby poprzeć oddzielne państwo czarnych.[307]

Ogólniej należy stwierdzić, że ruch Black Power uzależnił się od przemocy, nadając ton, do którego dostosowała się biała lewica. H. Rap Brown nakłaniał swoich zwolenników, aby zrobili to, „co zrobił John Brown, wzięli broń, poszli i zastrzelili wroga”. Malcolm X systematycznie zachęcał czarnych do stosowania „wszelkich koniecznych środków”, James Forman, przywódca Studenckiego Komitetu Koordynacyjnego Przeciw Przemocy (Student Nonviolent Coordinating Committee, SNCC), mówił, że życzyłby sobie, gdyby go zabito, aby w odwecie „zniszczono dziesięć fabryk zbrojeniowych [...] i zabito gubernatora z Południa, dwóch burmistrzów i pięciuset białych rasistowskich gliniarzy”. Dobrze, że należał do ugrupowania opowiadającego się **przeciwko przemocy**! Benjamin Chavis, przyszły przewodniczący Krajowego Stowarzyszenia Postępu Ludzi Kolorowych (NAACP), pierwszy raz zwrócił na siebie uwagę w całym kraju, gdy go aresztowano i skazano za przynależność do „dziesiątki z Wilmington”, grupy, której zarzucono zamiar wysadzenia sklepu spożywczego, a następnie zastrzelenia policjantów wysłanych na miejsce zdarzenia.[308] Do tego zawsze i wszędzie byli członkowie Czarnych Panter w paramilitarnej odzieży i czarnych koszulach z faszystowskimi lub militarystycznymi rangami i tytułami (takimi jak minister obrony, minister informacji) rabujący banki, domagający się wyrznięcia „świń” i białych gnojów, urządzających zasadzki na policję, porywających sędziów i dzieci oraz żądających oddzielnego państwa dla czarnych.

A co się w tym samym czasie działo z rzekomo faszystowska prawicą amerykańską? Gdy Nowa Lewica nieustannie potępiała ojców założycieli, uznając ich za rasistowskich białych męskich szowinistów, i nawet liberałowie głównego nurtu wykpiwali przekonanie, że tekst amerykańskiej konstytucji w jakikolwiek sposób może się odnosić do współczesnego społeczeństwa, konserwatyści rozpoczynali zakrojone na wielką skalę przedsięwzięcie w celu przywrócenia właściwego miejsca tej konstytucji w życiu Amerykanów. Żaden z wiodących konserwatywnych uczonych czy intelektualistów nie głosił faszystowskich przekonań ani nie propagował faszystowskich motywów. Żaden z wiodących konserwatystów nie oczerniał klasycznego liberalizmu należącego do samej istoty amerykańskiego liberalizmu.

Przeciwnie, Barry Goldwater, Ronald Reagan, William F. Buckley i konserwatyści skupieni wokół pisma „National Review" dążyli do przywrócenia klasycznej liberalnej wizji przyświecającej ojcom założycielom.

Kwestia, przez którą w sprawie konserwatyzmu lewicowcy gubili się wtedy i gubią się nadal, jest to, że umiłowanie i popieranie swojego kraju nie musi kogoś wprowadzać na drogę wiodącą do faszyzmu. Patriotyzm różni się od skrajnego nacjonalizmu i faszyzmu.

Naziści zabili bardzo wielu niemieckich patriotów gorąco i głęboko kochających ojczyznę. W pewnym sensie jednym z najpoważniejszych wykroczeń Żydów było to, że byli patriotycznymi Niemcami. To w latach sześćdziesiątych lewica doszła do przekonania, że patriotyzm ma w sobie coś faszystowskiego i że w osłabianiu Ameryki jest coś perwersyjnie „patriotycznego". Antyamerykanizm – symbolizujący nienawiść żywioną do cywilizacji zachodniej – upowszechnił się wśród wyrafinowanych i intelektualizujących jak nigdy wcześniej. Ci, którzy palili flagi, stali się najprawdziwszymi „patriotami", gdyż najwyższą cnotą stał się sprzeciw – nie przeciwko polityce partyjnej, lecz przeciwko tworzeniu Ameryki. W 2003 roku wykładowca Uniwersytetu Columbii, który liczył na to, że Amerykę czeka „milion Mogadiszów", w przekonaniu lewicy był patriotą. Ale Amerykanie, którzy chcieliby utrzymać ograniczony rząd – ograniczyć jego władzę nad wszystkimi – z jakiegoś powodu zaczynają uchodzić za faszystów.

Obserwując, jak brutalność i nieuzasadniona okrutna destrukcja stosowane przez nazistów doprowadziły Hitlera do władzy, powieściopisarz Thomas Mann pisał w dzienniku, że to nowy rodzaj rewolucji, „bez leżących u jej podstaw koncepcji, przeciwko ideom, przeciwko wszystkiemu szlachetniejszemu, lepszemu, przyzwoitemu, przeciwko wolności, prawdzie i sprawiedliwości". „Zwykłe męty" odniosły zwycięstwo, któremu „akompaniowały wiwaty części mas".[309] W latach sześćdziesiątych liberałowie, którzy przeżyli podobny upadek przyzwoitości wskutek tej samej zgnilizny intelektualnej, zaczęli się buntować.

Przez kontakt z pewną ideologią, w której niezmiennie zakładano, że Ameryka to zawsze problem i nigdy nie rozwiązanie, postanowili przypuścić kontratak. Ci patrioci z obu partii stali się znaczną częścią grupy intelektualistów określanej mianem neokonserwatystów. Nazwę tę nadali im lewicowcy, którzy uważali, że przedrostek „neo-" będzie wywoływał skojarzenia z nazistami.

Warto jednak wspomnieć, ponieważ świadectwo neokonserwatystów nie liczy się za nic dla większości reprezentantów myśli liberalnej, że nawet niektórzy tytani lewicy byli obdarzeni dostateczną jasnością intelektu, aby sobie zdawać sprawę, z czym mają do czynienia. Irving Louis Horowitz, poważany intelektualista lewicowy (był wykonawcą rozporządzeń dotyczących kwestii literackich z testamentu C. Wrighta Millsa) specjalizujący się w myśli rewolucyjnej, uważał radykalizm lat sześćdziesiątych za „fanatyczną próbę narzucenia światu nowego porządku społecznego zamiast oczekiwania na werdykt zasad budujących konsens między odrębnymi jednostkami, a także muzami historii". I ten fanatyzm uważał za to, czym był: „Faszyzm wraca do Stanów Zjednoczonych nie jako ideologia prawicowa, lecz prawie jak ideologia quasi-lewicowa".[310]

Peter Berger, żydowski uchodźca z Austrii, poważany działacz na rzecz pokoju i lewicowy socjolog (przyczynił się do upowszechnienia zwrotu „społeczna konstrukcja rzeczywistości"), w znacznym stopniu podzielał te poglądy. „Obserwując [amerykańskich] radykałów w działaniu, nieustannie sobie przypominałem bojówkarzy maszerujących w Europie w okresie mojego dzieciństwa". Analizował długą listę motywów łączących radykalizm lat sześćdziesiątych z faszyzmem europejskim, dochodząc do wniosku, że tworzą „konstelację, która uderzająco przypomina zasadnicze wspólne elementy faszyzmu włoskiego i niemieckiego". W 1974 roku A. James Gregor opublikował książkę zatytułowaną *The Fascist Persuasion in Radical Politics* (Faszystowska perswazja w polityce radykalnej), w której dokonał syntezy tych tendencji i je skatalogował, dokonując tego imponująco szczegółowo i z wielką dyscypliną intelektualną. „W niedawnej przeszłości – pisał – radykalni studenci oraz »nowa lewica« dokonali legitymizacji stylu

politycznego, który opracowano tak, aby był maksymalnie użyteczny dla amerykańskiej odmiany faszyzmu".

Nawet niektórzy działacze SDS dostrzegali, że radykalniejsi członkowie przechodzą na pozycje faszystowskie. W odredakcyjnym materiale opublikowanym w piśmie „Campaigner" (wydawanym przez Nowojorski i Filadelfijski Okręgowy Komitet Studencki na rzecz Społeczeństwa Demokratycznego), wyrażono następującą opinię na temat frakcji SDS, z której się wykluła organizacja Weathermen: „Istnieje wyraźne podobieństwo argumentów wysuwanych przez anarchistów (na przykład w kwestii ruchu organizującego strajk na Uniwersytecie Columbii) i wypowiedzi, w których Mussolini występował przeciwko teorii, przeciwko programowi, opowiadając się za działaniem".[311]

Teoretyzowanie „ruchu młodzieżowego" wywołane przez książkę *The Greening of America* Charlesa Reicha, oskarżanie rozumu, populistyczne wezwania do zniszczenia „systemu", gwałtowne domaganie się nowej społeczności *Volk*-centrycznej, która na miejsce kapitalizmu wprowadzi nastawienie bardziej organiczne i totalitarne – tego było już za dużo dla niektórych lewicowców dobrze zorientowanych, z czego wywodził się faszyzm. Faszystowskie „podteksty" – pisał Stewart Alsop o *The Greening of America* – „są oczywiste dla każdego, kto widział te lasy rąk zgodnie unoszonych przez rewolucyjną młodzież lub słyszał bezmyślnie skandowane okrzyki. Profesor Reich z pewnością jest dobrymi życzliwym człowiekiem, bez jednej faszystowskiej kości w swoim ciele, i większość »wyzwolonych« młodych, których czci, to także dobrzy i życzliwi ludzie. Z pewnością jednak każdy obdarzony wyczuciem realiów politycznych dostrzeże zagrożenie, które na nas ściągają ci głupkowaci, grzeczni, irracjonalni ludzie żyjący w wygodnej izolacji od rzeczywistości. To zagrożenie zaczyna się na uczelniach, ale się tam nie kończy. Z tego powodu tak bardzo trzeba się obawiać sentymentalnej ckliwości". Sam Michael Harrington, socjalistyczny idol, twierdził, że przypuszczony przez Reicha gwałtowny atak na nowoczesność – nazwał go „elitarnym egzystencjalizmem" – ma wiele wspólnego z romantycznymi źródłami nazizmu.

Propagowana obecnie przez liberalną lewicę wersja historii lat sześćdziesiątych ma mniej więcej tyle samo sensu, co powtarzanie twierdzenia Neville'a Chamberlaina, że Hitler to „człowiek pokoju". W swoich pasjach i dążeniach Nowa Lewica nie różniła się zbytnio od zamerykanizowanej aktualizacji tego, co przywykliśmy nazywać europejską starą prawicą. W swoich licznych produkcjach – od *Swobodnego jeźdźca* po *JFK* – Hollywood przekonuje nas, że gdyby siły reakcyjne nie zabiły swoich Horstów Wesselów, żylibyśmy obecnie w państwie lepszym, sprawiedliwszym i cechującym się większą otwartością umysłów obywateli. A jeśli tylko zdołamy ponownie rozpalić nadzieje i ambicje tych wczesnych radykałów, „to, co mogłoby się stać kiedyś", zmieni się w „to, co jeszcze może się zdarzyć". To zasadnicze kłamstwo propagowane przez lewicę. Zachodnią cywilizację obroniono, gdy pokonano barbarzyńców, przynajmniej na pewien czas, co nastąpiło w latach siedemdziesiątych. Nie tylko powinniśmy odczuwać wdzięczność z powodu tego kruchego zwycięstwa, ale powinniśmy czuwać, aby przyniosło skutki potomnym,

Takiej czujności nie można zachować, gdy nie rozumie się podstaw, na których się wspiera współczesny liberalizm, a to z kolei wymaga ponownego spojrzenia na lata sześćdziesiąte – tym razem z góry, a to dlatego, że gdy radykałowie na ulicach żądali więcej władzy, progresywiści już mający władzę także odgrywali pewną rolę.

To zrozumiałe, że lata sześćdziesiąte uważa się za okres nagłej zmiany lub punkt zwrotny w naszej historii, ponieważ pod wieloma względami zmiany były bardzo gwałtowne (niekiedy na lepsze). Pod wydarzeniami tamtego dziesięciolecia można jednak również dostrzec pewną zdecydowaną ciągłość. Gdy Kennedy powiedział, że pochodnię przekazano nowemu pokoleniu, w znacznej mierze mówił o nowym pokoleniu progresywistów. Ci mężczyźni (i kilka kobiet) zamierzali kontynuować programy działania przyjęte przez Thomasa Woodrow Wilsona i Franklina Roosevelta. Gdy przekazuje się pochodnię, zmienia się biegacz, ale bieg pozostaje ten sam.

W następnym rozdziale przedstawimy, jak John F. Kennedy i Lyndon Baines Johnson kontynuowali program liberalny zapoczątkowany przez Thomasa Woodrow Wilsona i związanych z nim progresywistów – dążenie do stworzenia państwa opiekującego się wszystkimi, wszechmocnego i wszechobejmującego, państwa, które bierze na siebie odpowiedzialność za każdy pożądany skutek i ponosi winę za każdą przeszkodę napotkane na drodze wiodącej do utopii, czyli państwa, które ostatecznie zajmuje miejsce Boga.

ROZDZIAŁ 6

Od mitu Kennedy'ego do marzenia Johnsona: liberalny faszyzm i kult państwa

Dla przedstawicieli wielu pokoleń zasadnicza linia uskoku w polityce amerykańskiej przebiega zgodnie z granicami biegnącymi między koncepcjami dotyczącymi rozwoju i potęgi państwa, w tradycyjnej wersji się przyjmuje, że konserwatyści starają się zmniejszyć aparat państwowy, liberałowie zaś dążą – z powodzeniem – do rozbudowy administracji państwowej. Niemało dowodów świadczy o słuszności tego przekonania, ale wiele z nich to sprawy o drugorzędnym znaczeniu. Liberałowie często twierdzą, że trzeba ograniczać rolę władz federalnych w takich dziedzinach, jak ściganie przestępstw (za przykład można podać orzeczenie Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych w sprawie Ernesta Mirandy przeciwko stanowi Arizona), bezpieczeństwo państwowe (protesty przeciwko ustawie Patriot Act i kontroli w państwie), a także ta ogromna, ale źle zdefiniowana dziedzina podpadająca pod rubrykę „wprowadzania zasad moralnych do legislacji”. Dochodzi wprawdzie do bardzo wielu sporów w sprawie konkretnych programów politycznych, ale w praktyce wszyscy konserwatyści i większość libertarian opowiadają się za zdecydowanym podtrzymywaniem tradycyjnej roli rządu jako „państwa nocnego stróża”, Wielu idzie dalej, uważając, że państwo ma stać na straży przyzwoitości i norm kulturowych.

Krótko mówiąc, dyskusje dotyczące **wielkości** rządu często się pojawiają zamiast poważniejszej dyskusji dotyczącej **roli** rządu. W tym rozdziale spróbujemy wykazać, że w przekonaniu niektórych liberałów państwo w istocie zastępuje Boga i stanowi formę religii politycznej, której chcieli Rousseau i Robespierre, ojcowie liberalnego faszyzmu.

W historii było tak, że dla wielu liberałów rola państwa w mniejszym stopniu polegała na jego wielkości niż na pełnionej przez nie funkcji. Progresywizm i faszyzm łączy głębokie i trwałe przekonanie, że w rzeczywiście nowoczesnym społeczeństwie państwo musi zająć miejsce religii. W przeświadczeniu niektórych ta koncepcja wynika z założenia, że Bóg umarł. Eugen Weber pisze następująco: „Gdy Bóg już nie istnieje, faszystowski przywódca nie może się uważać za Jego wybrańca. Wierzy, że jest wybrańcem, ale nie za bardzo wie, czego – zapewne historii bądź tajemnych sił historycznych”. To faszyzm prowadzący do zasady wodzostwa (*Führerprinzip*) i kultów jednostki. Jest jednak jeszcze inny rodzaj faszyzmu, który nie zakłada, że państwo zastępuje Boga, lecz uważa je za agenturę lub instrument Boga. W obu wypadkach jednak państwo jest ostatecznym autorytetem i źródłem wartości, podtrzymuje te wartości oraz jest gwarantem nowego ładu.

Wspominaliśmy już o statolatrii będącej elementem doktryny progresywistycznej. Poniżej się przyjrzymy, jak ujawnia się to przekonanie w tym, co powszechnie się nazywa wojną kulturową. Zasadniczym elementem tej opowieści są wydarzenia z lat sześćdziesiątych, szczególnie z czasów administracji Johna F. Kennedy'ego oraz Lyndona B. Johnsona.

John F. Kennedy wprawdzie nie był nowoczesnym liberałem, ale po śmierci zrobiono z niego męczennika religii rządu. Stało się tak po części wskutek manipulacji uprawianych przez krąg Kennedy’ego, a po części przez machinacje (znacznie bardziej cyniczne) Lyndona B. Johnsona, którzy przywłaszczył sobie mit Kennedy’ego i wykorzystał go do własnych celów. Te cele, zgodne z „przyjemnym” totalitarnym bodźcem ruchu progresywistycznego, w którym Johnson nabierał doświadczenia politycznego, nominalnie były świeckie, ale na poziomie głębszym, przypuszczalnie nieświadomym, były zasadniczo religijne.

* * *

Dwudziestego drugiego listopada 1963 roku Johna F. Kennedy'ego zastrzelono w Dallas w Teksasie. Jak na zawołanie Dallas nazwano „miastem nienawiści”. Dan Rather, młody dziennikarz telewizyjny, usłyszał pogłoskę, że jacyś uczniowie w Dallas wiwatowali, gdy się dowiedzieli o zamachu na Kennedy'ego. Pogłoska nie była prawdziwa i tamtejsza filia CBS nie zgodziła się na nadanie takiego materiału. Rather jednak doprowadził do transmisji po wizytach winnych oddziałach sieci.

Nie tylko Rather z zaangażowaniem sugerował, że odpowiedzialność ponoszą prawicowcy. Tuż po zamachu współpracownicy Kennedy'ego zaczęli oskarżać oszalałych prawicowców, nie wymieniając przy tym nazwisk. W pewnym nagłówku podano, że zamach przeprowadzono „w sercu zionącego nienawiścią Teksasu”. Kiedy się okazało, że zamachowcem był oszalały marksista, obrońcy Kennedy'ego przyjęli to ze zgrozą. „Nie miał nawet tej satysfakcji, że został zabity z powodu walki o prawa obywatelskie – lamentowała Jackie w rozmowie z Bobbym Kennedym, gdy ten ją o tym poinformował. – To jest... to musiał być jakiś mały głupi komunista”.[312]

„A może nie?” założyli twórcy mitu Kennedy'ego. Przystąpili do wymyślania bajeczki, że Kennedy stracił życie, walcząc z „nienawiścią” – to i wtedy, i obecnie powszechnie stosowane określenie prawicy. Ta historia stała się legendą, gdyż liberałowie zawzięcie dążyli do tego, aby zamach na Kennedy'ego przepoić znaczeniem wznioślejszym i użytecznym politycznie. Systematycznie cały liberalny establishment pod przewodnictwem dziennika „New York Times” – a nawet papieża! – piętnował nienawiść, przez którą Kennedy stracił życie. Earl Warren, sędzia Sądu Najwyższego, streścił rozpowszechnione przekonanie – zawsze można było liczyć na to, że to zrobi – gdy przedstawił teorię, że „klimat nienawiści” w Dallas (określenie oznaczające konkretne działania prawicowe i republikańskie) skłonił Lee Harveya Oswalda do zabicia prezydenta.[313]

Fakt, że Oswald był komunistą, szybko przestano uważać za coś niedogodnego, lecz uznano za dowód czegoś jeszcze groźniejszego. Jak mogło dojść do tego – pytali liberałowie – że zaangażowany marksista, członek organizacji, zamordował liberalnego tytana dążącego do postępu społecznego? Wydawało się, że zdecydowanie antykomunistyczne nastawienie Kennedy'ego nie miało tu znaczenia, być może przez to, że liberałowie po erze McCarthy'ego doszli do przekonania, iż rzeczywiste zagrożenie dla wolności zawsze musi pochodzić z prawej strony. Przez marksizm Oswalda liberałowie musieli proces wyparcia poprowadzić jeszcze głębiej, bo oprócz tego mogli się zdecydować tylko na porzucenie antyantykomunizmu. Tak wiec w latach sześćdziesiątych doszło do przerzutów teorii spiskowych, a marksistowski zamachowiec stał się oszukana ofiarą, „*Cui bono?*” – pytał wtedy i później Oliver Stone. Kto na tym zyskał? Odpowiedź: kompleks zbrojeniowo-przemysłowy, naturalnie sprzymierzony z mrocznymi siłami reakcji i nietolerancji. Nie zważano przy tym na to, że wcześniej Oswald próbował zamordować byłego generała armii i prominentnego przedstawiciela prawicy, Edwina Walkera, ani na to że Oswald „wykazywał szczególnie wrogie nastawienie wobec prawicy”, co podkreślała komisja Warrena?[314]

We mgle zaprzeczeń, wyrzutów sumienia i dezorientacji z powodu zamachu na Kennedy’ego wykształciła się nieoficjalna reakcja strategiczna, która posłuży celom potężniejącej Nowej Lewicy a ponadto ogólnie uspokoi sumienia liberałów. Polegała na tym, że Kennedy został wszechstronnym męczennikiem, reprezentującym sprawy, których nie poruszał, i programy polityczne, pod którymi się nie podpisywał.

Istotnie, w latach sześćdziesiątych i później powstawała legenda że gdyby Kennedy żył, nigdy by nie dopuścił do tego, aby Stany Zjednoczone ugrzęzły w wietnamskim bagnie. To główne założenie książki Arthura Schlesingera zatytułowanej *Robert Kennedy and His Times* (Robert Kennedy i jego czasy). Theodore Sorensen, Tip O'Neill i niezliczone rzesze innych liberałów podzielali to przekonanie. W wystawianej na Broadwayu popularnej sztuce zatytułowanej MacBird wysuwano sugestię, że Johnson zlecił zamordowanie Kennedy’ego, aby przejąć władzę. Jednakże nawet Robert F. Kennedy przyznał w wywiadzie poświęconym wydarzeniom historycznym, że jego brat nigdy nie rozważał poważnie wycofania się z Wietnamu i był zdecydowany prowadzić wojnę do całkowitego zwycięstwa. Kennedy był zdecydowanym przeciwnikiem komunizmu i jastrzębiem

zimnej wojny. Prowadził kampanię, przekonując niezgodnie z prawdą, że Amerykanie są w tyle za Sowietami, jeśli chodzi o pociski balistyczne, w dużej mierze z powodzeniem przechodząc na pozycje Nixona w dziedzinie polityki zagranicznej, próbował obalić Fidela Castro w Zatoce Świń, prawie doprowadził do wojny nuklearnej w czasie kryzysu kubańskiego z powodu rakiet balistycznych i doprowadził do wielkiego zaangażowania się Stanów Zjednoczonych w sprawę Wietnamu. Zaledwie trzy i pół **godziny** przed śmiercią Kennedy chlubił się w Izbie Handlu Fort Worth tym, że w wielkim stopniu zwiększył wydatki na cele zbrojeniowe, między innymi zwiększając o 600 proc. wydatki na działające w Wietnamie jednostki specjalne walczące z powstańcami. W marcu tego samego roku Kennedy przekonywał Kongres, aby z każdego dolara w budżecie państwowym 50 centów przeznaczono na zbrojenia.[315] Mit Kennedy'ego odbiega także znacznie od prawdy w przypadku kwestii rasowych. W pochlebnej legendzie się przyjmuje, że Kennedy niezłomnie walczył o prawa obywatelskie. Twierdzi się, że gdyby żył, uniknięto by pewnie w latach sześćdziesiątych niepokojów społecznych na tle rasowym. Prawda jednak przedstawia się znacznie bardziej prozaicznie. To prawda, że Kennedy nalegał na przyjęcie ustaw regulujących kwestię praw obywatelskich, i to mu należy oddać. Nie było jednak tak, że jego program działania oznaczał zerwanie z przeszłością. W rzekomo reakcyjnych latach pięćdziesiątych republikanie zrealizowali znaczną cześć programu, który był wywiązaniem się z obietnicy zagwarantowania równych praw czarnym.

Eisenhower doprowadził do przyjęcia dwóch ustaw dotyczących praw obywatelskich przy ostrych sprzeciwach demokratów z Południa, przede wszystkim Lyndona Johnsona, przywódcy większości senackiej, który zaciekłe walczył o rozwodnienie przepisów przyjętych w projekcie tych ustaw. I znów Kennedy był po właściwej stronie historii, ale jego działania w większości wynikały z reakcji na wcześniejsze bodźce. „Nie było tak, nie mogłem spać, bo się martwiłem problemami Murzynów” – wyznał.[316]

Dość mocno ironiczną wymowę ma fakt, że podczas pierwszych wyborów, w których konkurował z Kennedym, Barry'ego Goldwatera z całą mocą przedstawiano jako faszystę. Ten opowiadający się za ograniczoną rola administracji państwowej konserwatysta w okularach noszący garnitury odpowiednie na pogrzeb był tak daleko od faszyzmu, jak tylko może być amerykański polityk. Natomiast intelektualiści piętnujący Goldwatera jako kryptonazistę nie zauważyli, że to John F. Kennedy wprowadzał do amerykańskiego życia politycznego faszystowskie motywy i zasady faszystowskiej estetyki. Franklin D. Roosevelt był pierwszym prezydentem, który wykorzystywał nowoczesną technologię w celu tworzenia mitologicznej opowieści o samym sobie, ale to Kennedy przekształcił tę technikę w sztukę. „Camelot”, określenie, którego nigdy nie używano na określenie prezydentury Kennedy’ego za jego życia, stało się hasłem odnoszącym się do każdego mglistego wspomnienia i niespełnionego marzenia z okresu jego urzędowania. W 1964 roku James Reston streścił nowa tęsknotę liberałów za greckim bogiem amerykańskiego prezydenta. „Był prezydentem z książki z obrazkami, młodszym i przystojniejszym od śmiertelnych polityków, oddalonym nawet od przyjaciół, pełnym wdzięku i niemal elegancji, kiedy mówił poetyckim językiem i miał u boku oszałamiająca kobietę”.[317]

Wiele elementów mitu Kennedy'ego jest równie oczywiste teraz, jak było wtedy. Był najmłodszym politykiem wybranym na prezydenta (Theodore Roosevelt był najmłodszym z tych, których kadencja dobiegła końca). Był pierwszym prezydentem urodzonym w XX wieku. Był ponadto człowiekiem czynu, bohaterem wojennym służącym dobrej sprawie. Do tego był intelektualistą – autorem doskonale się sprzedającej książki poświęconej kwestii odwagi politycznej – który sprawił, że liberalizm wydawał się ciekawy i stał się modny, a jednocześnie pragmatykiem, który nigdy nie pozwoliłby otaczającym go intelektualistom po studiach na uczelniach z Ligi Bluszczowej wpływać na obrany kurs. Reprezentował narodowe pragnienie „odnowy” i „ponownych narodzin”, odwołując się do amerykańskiego idealizmu i nakłaniając do zbiorowych poświęceń.

Przypomnijmy sobie zasadnicze elementy kultu jednostki, którym otaczano Mussoliniego: młodość, czyn, doświadczenie, wigor, wdzięk, służba wojskowa. Mussolini ukazywał siebie jako

przywódcę ruchu młodzieżowego, przedstawiciela nowego pokolenia, które dzięki intelektowi i doświadczeniu zamierzało skończyć ze starym podziałem na lewicę i prawice. W poruszającej mowie inauguracyjnej Kennedy mówił o „nowym pokoleniu Amerykanów – urodzonych w tym stuleciu, zahartowanych przez wojnę, zdyscyplinowanych przez trudny i gorzki pokój, dumnych z naszego dawnego dziedzictwa”. Cały ruch Mussoliniego (podobnie jak Hitlera) został utworzony wokół pokolenia Włochów, którzy się zahartowali w czasie I wojny światowej i zionęli nienawiścią z powodu upokarzających warunków traktatu wersalskiego. Włoski ruch faszystowski, nazywany „reżymem młodych”, podawał się za wspaniałe dokonanie technokratyczne, w którym Mussolini kierował wieloma ministerstwami siłą woli i niespożytym wigorem. Faszystowscy propagandyści wykorzystywali w mediach mnóstwo zdjęć Mussoliniego rąbiącego drwa, jeżdżącego na nartach, biegającego lub stojącego z nagim torsem w alpejskim śniegu. Do tego Mussolini – w przeciwieństwie do Kennedy'ego – istotnie zasłużył na reputację intelektualisty i pisarza.

Działania podejmowane przez Kennedy'ego miały służyć upowszechnianiu podobnych przekazów. Niemal nie było artykułów prasowych poświęconych nowemu prezydentowi bez wzmianek o jego umiłowaniu czynu, młodości i werwie. Odnosiło się wrażenie, że wszędzie są filmy o jego męskich dokonaniach. Nie mógł się tak jawnie jak Mussolini chełpić kobietami, ale kultywowany przez niego wizerunek symbolu seksu był wynikiem ewidentnych kalkulacji politycznych. Kennedy wykorzystywał też wizerunek bohatera wojennego, a jego jednostki polityczne były łatwo rozpoznawalne przez insygnia kutra torpedowego PT-109, jego spoty wykorzystywane podczas kampanii ukazywały Kennedy'ego wojownika i służyły przekazaniu komunikatu, że nadszedł „czas wielkości”. Podobnie jak Mussolini, Kennedy zapowiadał narodową „odbudowę” i „nową politykę”, która wzniesie się ponad granice dzielące lewicę od prawicy. Podkreślał, że zdecydowana realizacja jego woli oraz woli jego technokratycznych współpracowników pozwoli skuteczniej rozwiązać problemy państwa niż tradycyjne środki demokratyczne.

Kennedy niemal dosłownie istotnie był superbohaterem. To fakt mało znany, choć znaczący, że Kennedy był prezydentem najczęściej się pojawiającym w komiksach o Supermanie.[318] Powierzono mu nawet tajne informacje, kim jest Superman, i raz udawał Clarka Kenta, aby te dane zostały tajemnicą. Gdy debiutowała Supergirl, przedstawiono ją oficjalnie Kennedym. (Nie dziwi, że prezydentowi natychmiast się spodobała). W wydaniu specjalnym poświęconym nakłanianiu Amerykanów do rozwijania tężyzny fizycznej – poprzez stawianie za wzór kosmonauty, „pułkownika Glenna” – Kennedy powierza Supermanowi misję zlikwidowania „*muscle gap*”.[319]

Nie tylko autorzy komiksów tworzyli to powiązanie. W 1960 roku Norman Mailer napisał ciężki artykuł dla pisma „Esquire” zatytułowany *Supeman Comes to Supermarket* (Superman przychodzi do supermarketu). Materiał rzekomo był relacją z zorganizowanej w Los Angeles krajowej konwencji Partii Demokratycznej, ale w istocie bardziej przypominał pracę semestralną studenta uczęszczającego na seminarium prowadzone przez Noama Chomsky'ego. Daje jednak wyobrażenie o tym, w jakim stopniu nawet wiodący intelektualiści zdawali sobie sprawę, że przedstawia im się mit, a przy tym byli skłonni go przyjąć.[320]

W pierwotnym micie Kennedy'ego nie podkreślano elementów progresywistycznych. Ted Sorensen wspominał, że Kennedy „nigdy nie chciał uchodzić za liberała, dopiero po jego śmierci liberałowie zaczęli go uważać za jednego ze swoich”. Istotnie, rodzina Kennedych miała poważne problemy z wieloma samozwańczymi progresywistami (po II wojnie światowej należeli do nich przede wszystkim odgrzewani komuniści) z powodu jej bliskich powiązań z Joem McCarthym, kolejnym prominentnym politykiem amerykańskim o irlandzkich korzeniach. Bobby Kennedy był najbardziej cenionym przez McCarthy'ego współpracownikiem po Royu Cohnie. Jack Kennedy nigdy nie odwrócił się od kolegi z Senatu, który był również bliskim przyjacielem jego ojca. Wtedy jednak Kennedy zawsze był w większym stopniu narodowcem niż liberałem. Gdy studiował na Uniwersytecie Harvarda, przekazał sto dolarów organizacji America First Committee, która dążyła do izolacji Stanów Zjednoczonych, dołączając notkę, w której stwierdził: „To, co robicie, ma ogromne znaczenie”.[321]

Poglądy Kennedy'ego podobnie jak większości izolacjonistów – zmieniły się przez II wojnę światową. Ten konflikt wzmógł również fascynację Kennedy'ego „wielkością". Kennedy, na którym wielkie wrażenie robił Churchill, mówił jak on w wypowiedziach nagranych na płytach *I Can Hear It Now* z narracją Edwarda R. Murrow.[322] W późniejszych latach współpracownicy Kennedy'ego doskonale wiedzieli, że będzie ich słuchał, jeśli uda się go przekonać, że chodzi o wielkość Stanów Zjednoczonych. Cała jego kariera polityczna wynikała z nadziei i ambicji, że stanie się lwem XX wieku, podobnie jak był nim wcześniej Roosevelt.

Jak powszechnie wiadomo, John Kennedy odziedziczył te ambicje po ojcu, Josefie P. Kennedym, pronazistowskim przewodniczącym Partii Demokratycznej, który dokładał wszelkich starań, aby wprowadzić syna do Białego Domu. W 1946 roku Joe Kennedy rozprowadził sto tysięcy odbitek artykułu Johna Herseya poświęconego wyczynom Johna Kennedy'ego na pokładzie kutra torpedowego PT-109. Szybko zagoniono do pracy cały zespół intelektualistów, którzy z Johna Kennedy'ego zrobili kolejnego człowieka czynu. Pierwsza książka Kennedy'ego, zatytułowana *Why England Slept* (Dlaczego Anglia spała), rozszerzona wersja jego pracy napisanej na uczelni, była daniem upichconym przez wielu kucharzy. Książka druga, *Profiles in Courage* (Postacie odwagi) poświęcona wybitnym ludziom dochowującym wierności wyznawanym zasadom pomimo napotykanych przeciwności, w gruncie rzeczy została stworzona przez komitet, którym kierował Ted Sorensen. Sam Kennedy tylko od czasu do czasu nadzorował te prace. Nagrodę Pulitzera naturalnie przyjął sam.

Kennedy był pierwszym nowoczesnym politykiem, który dostrzegł i wykorzystywał nowy autorytet oraz wpływy intelektualistów w społeczeństwie amerykańskim. Wcześniej najbliższymi i zaufanymi współpracownikami byli ekonomiści i inżynierowie, ludzie zajmujący się kształtowaniem ziemi i żelaza. Teraz takimi współpracownikami stali się specjaliści od wizerunku, historycy i pisarze – propagandyści w znaczeniu tego terminu oddającym ich najbardziej pozytywne cechy – zajmujący się dobieraniem odpowiednich słów i obrazów. Kennedy nie był durniem, lecz zdawał sobie sprawę, że w czasach nowożytnych styl dominuje nad substancją. (Nie ulega wątpliwości, że ten bezsprzecznie przystojny i czarujący mężczyzna odniósł korzyści dzięki rozwojowi telewizji). A machina Kennedy'ego to właśnie absolutne zwycięstwo stylu w polityce amerykańskiej,

Polityczne losy Kennedy'ego wynikały także z tego, że zdawał się płynąć na falach historii, Po raz kolejny siły progresywizmu powróciły do władzy po okresie pokoju i prosperity. I pomimo bezprecedensowej zamożności i spokoju lat powojennych – w istocie w znacznym stopniu dzięki nim – wyczuwało się, że ludzie ambitni, dążący do awansu społecznego, intelektualiści, a przede wszystkim działacze z progresywistyczno-liberalnego establishmentu chcieli, aby „Ameryka znów się ruszyła". Henry Luce, konserwatywny wydawca, pisał w 1960 tak oto: „Naród amerykański najbardziej obecnie chce wyraźnego poczucia Celu Narodowego".[323]

Był to świt trzeciego ruchu faszystowskiego w społeczeństwie amerykańskim. Ruch ten rozwijał się przez całe lata sześćdziesiąte i sporą część siedemdziesiątych zarówno na ulicach, jak i na uczelniach – była o tym mowa w poprzednim rozdziale – a także w gabinetach członków administracji państwowej. To, co zakończyło się rozlewem krwi na ulicach, pod wieloma względami zaczęło się jako „rewolucja odgórna" w dobrych intencjach, rozpoczęta przez spadkobierców dziedzictwa po Wilsonie i Franklinie D. Roosevelcie, którzy nie zdołali poskromić uwolnionych przez siebie biesów.

Być może najlepszy wyraz tego nawoływania do „zmian społecznych" przedstawicieli elit reprezentujących obie najważniejsze partie pojawił się w serii artykułów poświęconych „celowi narodowemu" wspólnie publikowanych przez „New York Times" i „Life". Adlai Stevenson pisał, że Amerykanie muszą się wznieść ponad „nimb prywatności" i odwrócić się od „świątyni supermarketu". Charles F. Darlington, wiodąca postać w gronie przedstawicieli kadr zarządzających korporacji i były urzędnik Departamentu Stanu, tłumaczył, że Stany Zjednoczone muszą odzyskać zbiorowego ducha celu narodowego, ducha, którego miały „w części okresów administracji

Thomasa Woodrow Wilsona i dwóch Rooseveltów” (można się naturalnie domyślić, których części). Przede wszystkim odrodzona Ameryka musi przestać się uważać za naród jednostek. Po raz kolejny za lekarstwo uważano „działania zbiorowe”. Nawoływania Darlingtona, aby „mniejsze znaczenie przypisywać prywatnej przedsiębiorczości” sprowadzały się do wskrzeszania korporacjonizmu i socjalizmu wojennego z czasów administracji Wilsona i Roosevelta.[324]

W styczniu 1960 roku, w przeddzień inauguracji Johna Kennedy'ego, w materiale opublikowanym w „Look” na podstawie danych zebranych podczas specjalnego badania opinii przeprowadzonego przez Instytut Gallupa, podsumowano, że Amerykanie czują się całkiem dobrze: „Większość Amerykanów jest obecnie odprężona, niesklonna do ryzykownych przedsięwzięć i zadowolona ze swojego życia zapewniającego komfort oraz ze spokojnym optymizmem patrzy w przyszłość”. Trzeba więc było oderwać Amerykanów od obiadków przy programie telewizyjnym i samochodów ze „skrzydłami”, aby zaczęli słuchać syreniej pieśni intelektualistów. A to oznaczało, że Kennedy potrzebował kryzysu, aby społeczeństwu wpajać nowy sorelowy mit. „Wielkie kryzysy rodzą wielkich ludzi” – twierdził Kennedy w *Profiles in Courage*, a cała jego prezydentura będzie okresem wywoływania kryzysów o skali odpowiedniej do wielkości, którą chciał osiągnąć.[325]

Ogromna świta współpracowników i działaczy żywiących tęsknotę za ekscytacją z czasów Nowego Ładu i II wojny światowej podzielała pragnienie Kennedy'ego, aby wstrząsnąć Ameryką i wyrwać ją ze stanu samozadowolenia. W latach pięćdziesiątych Arthur Schlesinger wypowiadał się w imieniu tego całego kręgu progresywistów, i młodych, i starych, gdy lamentował z powodu „braku niezadowolenia” wśród Amerykanów.[326]

Podobnie jak Franklin D. Roosevelt, Kennedy uważał się za autentycznego demokratę. Nieuczciwie byłoby nazywać go faszystą. Mimo to jego obsesja na punkcie wywoływania kryzysów, aby uzyskać poparcie społeczeństwa, ukazuje zagrożenia powodowane przez zauroczenie faszystowską estetyką w demokratycznym życiu politycznym. We wspomnieniach Teda Sorensena opisano szesnaście sytuacji kryzysowych w pierwszych ośmiu miesiącach prezydentury Kennedy'ego. Kennedy utworzył „zespoły kryzysowe”, które mogły omijać tradycyjne procedury biurokratyczne i procesy demokratyczne, a nawet w ogóle nie zważać na prawo. David Halberstam pisze, że Johnson odziedziczył po Kennedym „mentalność ludzi kryzysu, którzy się cieszyli z potężnego kryzysu międzynarodowego, ponieważ przez niego większość akcji toczyła się w Białym Domu – spotkania, decyzje, napięcia, władza, to oni wprawiali wszystko w ruch i działali, po to właśnie przybyli do Waszyngtonu, aby się zajmować tymi wyzwaniami”. Garry Wills i Henry Fairlie, którzy zdecydowanie nie należeli do prawicowych krytyków, nazwali administrację Kennedy'ego „rządem partyzanckim” z powodu lekceważenia przez niego tradycyjnego systemu rządów i pogardy dla tego systemu. W wywiadzie udzielonym Davidowi Schoenbaumowi w 1963 roku Otto Strasser, lewicowy nazista, który się przyczynił do utworzenia tego ruchu, powiedział, że przez nadużywanie władzy i wytwarzanie kryzysów Kennedy ewidentnie przypominał faszystę.[327]

W polityce prowadzonej przez Kennedy'ego wszystko wiązało się z poczuciem konieczności podejmowania pilnych działań. Wykorzystywał „*missile gap*”, różnice między poziomem uzbrojenia Amerykanów i Sowietów, która nigdy nie istniała, i za podstawę swych rządów brał poczucie wzmożonego napięcia w stosunkach ze Związkiem Sowieckim, które usilnie rozbudzał. Nieustannie mówił o „zagrożeniu”, „ofierze”, „odwadze” i „krucjacie”. W Białym Domu przygotował pierwszy „gabinet sytuacyjny” (Situation Room). Jego pierwsze orędzie o stanie państwa, wygłoszone jedenaście dni po inauguracji, było „mową z okresu wojny bez wojny”. Kennedy ostrzegał, że sama wolność znalazła się „w godzinie największego zagrożenia”. „Przed zakończeniem mojej kadencji będziemy musieli znów sprawdzić, czy państwo zorganizowane i rządzone tak jak nasze może przetrwać. Wynik wcale nie jest pewnym”.[328]

Nasączona adrenaliną prezydentura Kennedy'ego była zaraźliwa i zrobiono to celowo. Jego administracja rozpoczęła zakrojoną na wielką skalę kampanię propagującą budowę schronów przeciwatomowych. Rozmaite agencje konkurowały, wydając setki miliony dolarów na

przebudowy szkół i szpitali, aby mogły pełnić funkcję bunkrów zapewniających ochronę w razie ataku nuklearnego. Szkolenia, jak się chronić podczas ataku atomowego, uważamy za symbol lat pięćdziesiątych, ale to w czasach prezydentury Kennedy'ego doprowadzono tę sprawę do skrajnej paranoi, którą tak często się dzisiaj wykpiwa. Administracja państwowa rozprowadziła 55 milionów kart wielkości portfela z instrukcjami, co należy robić, gdy z nieba spadnie grad bomb atomowych. Jeśli – co często twierdzili przedstawiciele Nowej Lewicy – mobilizacja „młodzieży” w latach sześćdziesiątych została wywołana przez lęk wynikający z życia w cieniu „bomby”, to ci Amerykanie powinni za to dziękować Kennedy'emu.

Nawet politykę Kennedy’ego w dziedzinach odmiennych od obronności ukazywano jako moralny odpowiednik wojny. Zwiększenie wydatków na szkolnictwo uzasadniał tym – później robił to także Johnson – że Amerykanie muszą zachować konkurencyjność w stosunku do Sowietów. Obniżki stawek podatkowych – miały na celu przeciwdziałanie najgorszemu krachowi na giełdzie od czasów wielkiego kryzysu z lat trzydziestych XX wieku – wprowadzono nie z powodu zasad przyjmowanych w ekonomii strony podażowej (co są skłonni insynuować niektórzy konserwatyści), lecz jako formę keynesizmu uzasadnianą sformułowaniami odnoszącymi się do zimnowojennego wyścigu. Kennedy istotnie był pierwszym prezydentem, który otwarcie i jednoznacznie twierdził, że zadaniem Białego Domu jest zapewnienie wzrostu gospodarczego – ponieważ Stany Zjednoczone nie mogą ignorować chełpliwej groźby Chruszczowa, że Związek Sowiecki niebawem „pogrzebie” Stany Zjednoczone pod względem gospodarczym.[329] Gdy Kennedy zastraszał przemysł stalowy, szedł w ślady Trumana, który podobne działania podejmował w czasie wojny w Korei, co z kolei było manewrem zaczerpniętym ze zbiorów zasad postępowania Franklina D. Roosevelta i Wilsona. Podobnie Korpus Pokoju i jego rozmaite krajowe odpowiedniki tworzono na wzór paramilitarnego Cywilnego Korpusu Konserwacji (CCC) z czasów Franklina D. Roosevelta. Nawet najambitniejsze przedsięwzięcie Kennedy'ego, czyli plan wysłania człowieka na Księżyc, społeczeństwu przedstawiano jako reakcję na to, że Związek Sowiecki wyprzedza Stany Zjednoczone w dziedzinie nauki. Szczególnie w reakcji na naciski wywierane przez Kennedy'ego na przemysł stalowy niektórzy obserwatorzy wysuwali zarzut, że chce odgrywać role samodzierżcy. Dziennik „Wall Street Journal” i Izba Handlu porównywały go z dyktatorem. Ayn Rand wprost nazwała go faszystą w wygłoszonej w 1962 roku mowie zatytułowanej *The Fascist New Frontier* (Nowa granica faszyzmu).

Nie jest zabawną sprawą opatrywanie amerykańskiego bohatera i symbolu etykietą „faszysta”. Jeśli pod tym słowem rozumie się złoczyńcę, okrutnika i fanatyka, to Kennedy faszystą nie był. Musimy jednak zadać pytanie, co spowodowało, że jego administracja cieszyła się tak wielką popularnością. Co spowodowało, że była tak sprawna? Co jej dało to, co nadal przemawia? Niemal na każdym froncie w odpowiedzi należy wymienić dokładnie te elementy, które tworzą system zasad faszystowskich. To wytwarzanie sytuacji kryzysowych, nacjonalistyczne odwoływania się do poczucia jedności, celebrowanie wartości wojskowych, zacieranie granic dzielących sektor państwowy od prywatnego, wykorzystywanie mediów masowych do gloryfikacji państwa i jego programów, przywoływanie nowego, „popartyjnego” ducha, który ważne decyzje powierza specjalistom i intelektualnym supermanom, a także kult jednostki otaczający przywódcę państwowego.

Kennedy zapowiadał, że wzniesie się ponad ideologię w imię tego, co później nazywano nowoczesnym pragmatyzmem. Podobnie jak pragmatyści działający przed nim, unikał etykiet, uważając, że jest poza prawica i lewica. Podzielał przekonanie Roberta McNamary, że „każdy problem można rozwiązać” z wykorzystaniem środków technokratycznych. Kolejny raz trzecia droga oznaczała wyrafinowanie ideologiczne. W wygłoszonej w 1962 roku na Yale mowie skierowanej do absolwentów prezydent Kennedy tłumaczył, że „etykiety polityczne i nastawienia ideologiczne nie mają związku z rozwiązaniami” obecnych problemów. „Większość problemów, [...] przed którymi obecnie stajemy, to problemy techniczne, problemy administracyjne” – podkreślał podczas konferencji prasowej w maju 1962 roku. Te problemy „mają związek z kwestiami, które obecnie wykraczają poza umiejętności rozumienia cechujące większość ludzi”,

przez co powinno się je zostawić ekspertom, którzy je rozstrzygną bez poddawania ich pod prowadzącą do podziałów demokratyczną debatę”.[330]

Znów trzeba przypomnieć słynne zdanie Kennedy'ego: „Rodacy, Amerykanie, nie pytajcie, co wasz kraj może zrobić dla was, pytajcie, co wy możecie zrobić dla swojego kraju”, które uważa się teraz za udaną wypowiedź dowodzącą patriotyzmu. W szczególności liberałowie uważają to zdanie za chwalebne wezwanie do służby krajowi. Jest i tym, i tym. Często jednak nie bierze się pod uwagę kontekstu historycznego i motywacji. Otóż Kennedy chciał odtworzyć jedność z czasu II wojny światowej w ten sam sposób, w który jedność z czasu I wojny światowej chciał odtworzyć Franklin D. Roosevelt. Deklaracja Kennedy'ego, że Stany Zjednoczone wyślą człowieka na Księżyc, nie wynikała z jego głębokiej dalekowzroczności ani nawet z chęci wymierzenia ciosu Sowietom. To było dla niego najlepsze rozwiązanie pozwalające znaleźć moralny odpowiednik wojny.

Zginął za liberalizm

Po zamordowaniu Kennedy'ego to wszystko wpadło do dziury niepamięci. Narodowościowego trzeciodrogowca Kennedy'ego zastąpił Kennedy wojujący liberał. John Kennedy z Camelot przyćmił tego, który chciał zabić Patrice'a Lumumbę i Fidela Castro.

Dziekan Francis Sayre, wnuk Thomasa Woodrow Wilsona, wygłosił kazanie w waszyngtońskiej katedrze Washington National Cathedral, składając hołd zamordowanemu przywódcy „Byliśmy świadkami kolejnego ukrzyżowania” – powiedział zebranym dygnitarzom. Wyjaśniał dalej: „Wszyscy mieliśmy jakiś udział w zamordowaniu naszego prezydenta. Naszego Pana ukrzyżowali **dobrzy** ludzie, nie tylko ci, którzy wykonali egzekucję”. Earl Warren, prezes Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, stwierdził, że Johna Kennedy'ego łączyła z narodem organiczna i mistyczna więź. Jest „wybrany, aby ucieleśniać ideały naszego narodu, wiarę pokładaną przez nas w instytucjach i naszą wiarę w ojcostwo Boga i braterstwo ludzi”. Pięć dni po śmierci Kennedy'ego nowy prezydent, Lyndon Johnson, zakończył mowę, w której zwracał się do połączonych izb Kongresu, prośbą, aby Amerykanie „położyli kres uczeniu i głoszeniu nienawiści, zła i przemocy” oraz odwrócili się od „apostołów rozgoryczenia i fanatyzmu”.[331]

Nawet gdy wiedziano już więcej o powodach zamachu, przetrwało przekonanie, że Kennedy'ego zamordowały „nienawiść” i zbiorowy grzech Amerykanów. John Wesley Lord, waszyngtoński biskup Kościoła metodystycznego, stwierdził, że naród musi „pokutować” za śmierć Kennedy'ego. Zamiast wznosić pomniki i nazywać na cześć Kennedy'ego ulice i inne obiekty, naród mógłby raczej „podziękować męczennikowi za jego śmierć i ofiarę”, ze zdwojonym zaangażowaniem realizując założenia polityki liberalnej.[332]

W przekonaniu większości historyków Kennedy i Johnson reprezentują ostatnie tchnienie tradycyjnej polityki progresywistycznej. Na nich zakończyła się era, która rozpoczęła się po objęciu prezydentury przez Wilsona, trwała przez czas Nowego Ładu i Uczciwego Ładu (*Fair Deal*) po okres Nowej Granicy (*New Frontier*) i Wielkiego Społeczeństwa (*Great Society*). Gdy brać pod uwagę programy polityczne, jest to zasadniczo słuszne (choć nie uwzględnia się wtedy bardzo liberalnego Nixona). Jednakże prezydentura Kennedy'ego reprezentowała coś głębszego. Wyznaczała ostateczny etap ewolucji progresywizmu, jego przemianę w regularną religię i narodowy kult państwa.

Od samego początku prezydentura Kennedy'ego odwoływała się do narodowościowego i religijnego lejtmotywu mającego coraz większe znaczenie w amerykańskim liberalizmie i zgodnego z motywami występującymi zarówno w progresywizmie, jak i w faszyzmie. „Intelektualiści czynu” z otoczenia Kennedy'ego chcieli być supermanami, pragnęli utworzyć gnostycki stan kapłański, który posiadł szczególną wiedzę dotyczącą tego, jak rozwiązywać problemy społeczne.

Inauguracja Kennedy'ego zapoczątkowała dziesięciolecie stwierdzeniem, że Stany Zjednoczone wykonują wolę Boga i mają potęgę podobną do boskiej: „Człowiek bowiem w swych śmiertelnych dłoniach trzyma władzę pozwalającą usunąć wszystkie formy ludzkiej nędzy i wszystkie formy ludzkiego życia". Socjolog Robert Bellah na podstawie tej mowy uznał, że w Stanach Zjednoczonych już była religia obywatelska, którą charakteryzowało „zobowiązanie zarówno zbiorowości, jak i jednostek, do wypełniania woli Boga na ziemi". Publikujący na łamach dziennika „New York Times" C.I. Sulzberger pisał, że mowa inauguracyjna przemawiała do każdego, kto wierzy w to, że „na ziemi jeszcze jest miejsce na Królestwo Niebieskie".[333]

John F. Kennedy reprezentował tradycję kultu jednostki charakterystyczną dla amerykańskiego liberalizmu, Chciał być wybitnym człowiekiem podobnym do Wilsona i Rooseveltów. Zajmował się raczej armatami niż masłem. Lyndon Baines Johnson, populistyczny działacz z Południa ukształtowany w czasach Nowego Ładu, kiedy się pojawił na scenie politycznej, myślał natomiast wyłącznie o maśle. Johnson nie mógł być ani wojownikiem, ani kapłanem. Skoro nie mógł być liberalnym lwem, którym chciał być jego poprzednik, mógł jeszcze ucieleśniać macierzyński aspekt progresywizmu ukazywanego jako troskliwy i opiekuńczy pasterz chroniący swoją trzódkę. Kult jednostki otaczający Kennedy'ego przekształcił w kult władzy państwowej. W tym celu Johnson, zmyślny i bystry polityk, bez zahamowań wykorzystywał zabójstwo Kennedy'ego, zmieniając ten zamach dokładnie w taki wywołujący przemianę kryzys państwowy, którego nigdy nie udało się uzyskać samemu Kennedy'emu. Dziedzictwo po nim, współczesne państwo opiekuńcze, to ostateczny owoc progresywistycznej tradycji etatyzmu, której początki sięgają czasów Thomasa Woodrow Wilsona.

Jak widzieliśmy, Wilson i progresywiści położyli intelektualne podwaliny pod państwo liberalne obdarzone cechami bytu boskiego. Należy przy tym pamiętać, że progresywiści nie przekonywali do totalitaryzmu z tego powodu, że wymagała tego wojna. Przekonywali do totalitaryzmu dla niego samego i cieszyli się z tego, że wojna go umożliwia. Jednakże I wojna światowa doprowadziła także do upadku progresywistycznego marzenia o amerykańskim kolektywizmie.

Totalna mobilizacja w czasie wojny – a przede wszystkim głupota tej wojny – rozbudziły później tradycyjną amerykańską niechęć do takiej tyranii. W latach dwudziestych progresywiści zachowywali wyniosłe milczenie, gdy Amerykanie cieszyli się stosunkowo znaczną zamożnością, a Rosjanom i Włochom (w ich przekonaniu) przypadła w udziale „cała frajda przebudowy świata". Wielki kryzys z lat trzydziestych nadszedł w samą porę, bo przez niego progresywiści znów zajęli fotel kierowcy. Jak widzieliśmy, Franklin D. Roosevelt nie wprowadził do administracji państwowej żadnych nowych koncepcji, lecz tylko odkurzył idee, które sobie przyswoił, gdy pracował w administracji Wilsona. Zostawił jednak państwo ogromnie rozszerzone i potężne. Warto tu przypomnieć, że początki współczesnego ruchu konserwatywnego wywodzą się z instynktownego pragnienia przywrócenia dawnej wielkości państwa, zmniejszenia go po wojnie tak, aby można nad nim panować. Zmieniła to jednak zimna wojna, a wielu konserwatystów musiało przez to poprzeć rozbudowane państwo zapewniające bezpieczeństwo narodowe, aby pokonać komunizm. Decyzja podjęta przez zwolenników radykalnej polityki zagranicznej wywołała trwałą schizmę w amerykańskiej prawicy.

Wprawdzie konserwatyści z okresu zimnej wojny byli przekonani o słuszności koncepcji państwa z niewielkim rządem, ale poparli walkę z komunizmem, co uniemożliwiło doprowadzenie do utworzenia takiego rządu, Mogliśmy zauważyć, że wkład Kennedy'ego w proces tworzenia stałego państwa opiekuńczego w większości ograniczał się do kwestii stylistycznych. jednakże jego „męczeństwo" zapewniło poważny **kryzys psychologiczny**, który okazał się użyteczny do propagowania liberalnych celów i koncepcji. Johnson wykorzystywał ten kryzys nie tylko po to, aby zmienić państwowy program polityczny, ale także w tym celu, by przekształcić sam progresywizm w regularną masową religię polityczną. Po raz pierwszy można było bez przeszkód urzeczywistniać marzenie progresywistyczne w czasach zamożności i względnego spokoju. Nie zależąc już od wojny ani kryzysu gospodarczego, progresywizm nareszcie mógł twardo dążyć tło

społeczeństwa, które od dawna propagował. Gniew i anomię, czynniki psychologiczne, które w przekonaniu progresywistów leżały u podstaw społeczeństwa kapitalistycznego, można było usunąć, stosując lecznicze działania państwa, Nareszcie nadszedł moment, kiedy można było tworzyć autentyczną politykę zaangażowania.

W pierwszej mowie wygłoszonej po objęciu prezydentury Johnson zapowiedział, że wzniesie nowy liberalny kościół na opoce pamięci o Kennedym. Ten kościół, ta uświęcona wspólnota, będzie nosić nazwę Wielkiego Społeczeństwa.

Narodziny liberalnej boskiej państwowości

Omówiliśmy już dość szczegółowo osobowości dominujące w amerykańskim liberalizmie. Teraz trzeba dokonać czegoś, co może się wydawać znacznym zboczeniem z kursu, aby się zająć kultem państwa w amerykańskim liberalizmie. Bez tej historycznej dygresji trudno rozpoznać rzeczywisty charakter współczesnego liberalizmu, mianowicie dostrzec religię kultu państwa. W tej religii Chrystusem złożonym w ofierze był Kennedy, a rolę architekta Pawła odegrał Johnson. Trudno podać dokładną datę, kiedy progresywiści zaczęli dążyć do stworzenia „wielkiego społeczeństwa", ale może to być na przykład rok 1888, kiedy opublikowano głośna powieść Edwarda Bellamy'ego zatytułowana *Looking Backward* (polski tytuł brzmi *W roku 2000*).

Książka ta, jeden z instrumentów propagandy progresywistycznej, które wywarły największy wpływ w historii, została sprzedana w setkach tysięcy egzemplarzy. Uznano ją za największa sensację wydawnicza od czasów *Chaty wuja Toma*. Narrator powieści, której akcja toczy się w odległym 2000 roku, żyje w utopijnym, zmilitaryzowanym społeczeństwie. Robotnicy należą do „armii przemysłowej", a gospodarką kierują wszechmocni specjaliści od centralnego planowania, co po części zostało zainspirowane sukcesami niemieckiego planowania w dziedzinie zbrojeń. Następuje pobór obywateli do pracy, ponieważ „każdy sprawny obywatel musi pracować dla narodu albo umysłem, albo mięśniami". Czytelnik zostaje poinformowany, że Ameryka ostatecznie stworzyła Królestwo Niebieskie na ziemi. Na „epokę indywidualizmu" wszyscy spoglądają ze wzgardliwym rozbawieniem.[334]

Szczególnie parasol pamięta się jako symbol dziewiętnastowiecznej obsesji na punkcie indywidualizmu, obsesji prowadzącej do chaosu. W utopijnym świecie Bellamy'ego parasole zastąpiono składanymi baldachimami, przez co wszyscy są tak samo chronieni przed deszczem. „W XIX wieku – tłumaczy jeden z bohaterów – podczas deszczu bostończycy rozkładali trzysta tysięcy parasoli nad taką samą liczbą głów, a w XX wieku rozpina się jeden parasol nad wszystkimi".[335]

Ukazana przez Bellamy'ego wizja zmilitaryzowanego, nacjonalistycznego i socjalistycznego utopijnego świata wszędzie rozpalała wyobraźnię progresywistów. Z dnia na dzień powstały w całym kraju „kluby narodowościowe" wyznające zasady opisane przez Bellamy'ego. Ich celem było „upaństwowienie przemysłu i propagowanie braterstwa ludzkości". Podobnie jak w większości państw europejskich, ruch narodowościowy w Stanach Zjednoczonych oznaczał zarówno nacjonalizm, jak i socjalizm. Tak więc Bellamy przepowiadał, że trzeba zlikwidować odrębne stany amerykańskie, ponieważ „rządy stanowe przeszkadzałyby w kontroli sprawowanej przez armię przemysłową i niszczyłyby jej dyscyplinę.[336]

Spoiwem amerykańskiego narodowego socjalizmu była religia. Bellamy uważał, że jego odmiana socjalistycznego nacjonalizmu to autentyczne urzeczywistnienie nauk Jezusa. Jego kuzyn, Francis Bellamy, autor ślubowania wierności sztandarowi (*Pledge of Allegiance*), cechował się podobną żarliwością. Ten członek założyciel Pierwszego Narodowościowego Klubu w Bostonie i współzałożyciel Stowarzyszenia Chrześcijańskich Socjalistów napisał kazanie zatytułowane *Jezus socjalista*, które wywołało sensację w parafiach całego kraju. Ślubując wierność sztandarowi, uczniowie amerykańskich szkół wyciągali ręke w faszystowskim, czyli „rzymskim" salucie,

wyrażając w ten sposób wierność zasadom „militarnego socjalizmu”. Niektórzy twierdza, że naziści przejęli swoje pozdrowienie od Amerykanów.[337]

Wszędzie mieszały się „naukowe” utopie, ruchy narodowościowe, socjalizm i chrześcijaństwo. Spójrzmy na przykład na konwencję Partii Progresywistycznej z 1912 roku. W dzienniku „New York Times” napisano, że to „konwencja fanatyków”, podczas której mowom politycznym towarzyszyło śpiewanie hymnów, a ważniejsze kwestie akcentowano okrzykiem „Amen!”. „To w ogóle nie była konwencja, lecz zebranie entuzjastów religijnych – komentowano w tej gazecie. – To konwencja podobna do tej, którą zwołał Piotr z Amiens. To metodystyczne spotkanie modlitewne przerobione na mityng polityczny”. „Wyraz twarzy każdej osoby spośród zebranych”, także Jane Addams, wstającej, aby nominować Theodore'a Roosevelta, który w ostatniej donkiszotowskiej próbie chciał się ubiegać o prezydenturę, to „fanatyczne i religijne uniesienie”. Delegaci, którzy „wierzyli – ewidentnie i niewątpliwie wierzyli – że uczestniczą w walce z siłami ciemności”, śpiewali hymn „Pójdziemy za Jezusem”, z tym że zamiast przestarzałego już Zbawiciela wymieniali Roosevelta. Byli wśród nich przedstawiciele każdej odmiany progresywizmu, między innymi Washington Gladden, przedstawiciel protestanckiego ruchu intelektualistycznego Social Gospel, którzy ochoczo zamiast dawnego chrześcijańskiego zbawcy wprowadzali nowego „amerykanistę”. Roosevelt powiedział uniesionym słuchaczom: „Nasza sprawa ma za podstawę odwieczne zasady słuszności. [...] Stajemy do Armagedonu i walczymy za Pana”.[338]

Ruch Social Gospel i ruchy głoszące chrześcijańskie założenia socjologiczne zasadniczo starały się dostosować chrześcijaństwo do progresywistycznego programu społecznego. Senator Albert Beveridge, progresywistyczny republikanin z Indiany, który przewodniczył konwencji w 1912 roku, doskonale podsumował progresywistyczne nastawienie, gdy obwieścił: „Bóg nas naznaczył jako jego naród wybrany, który ma kierować procesem odrodzenia świata”.[339]

Walter Rauschenbusch przedstawił najlepsze dla naszych celów krótkie wyjaśnienie zasad ruchu Social Gospel. Ten szczupły duchowny z rzadka hiszpańska bródką, który wykładał na seminarium w Rochester, a przez pewien czas wygłaszał kazania na obrzeżach Heli’s Kitchen w Nowym Jorku, stał się nieoficjalnym przywódcą ruchu po publikacji pracy zatytułowanej *Christianity and the Social Crisis* (Chrześcijaństwo a kryzys społeczny), która ukazała się w roku 1907. „Jeśli idealny porządek społeczny nie zapewni ludziom pożywienia, ciepła i wygody z większą sprawnością niż nasz obecny system gospodarczy – ostrzegał – to wrócimy do kapitalizmu. […] »Bóg, który odpowiada niskimi cenami żywności – grzmiał – niech będzie Bogiem«”. Lewicujący duchowni, tacy jak Rauschenbusch, byli przekonani, że państwo jest instrumentem Boga, a kolektywizm to nowy porządek nakazany przez Jezusa.[340]

Progresywistyczni duchowni, na przykład Rauschenbusch, położyli filozoficzne i teologiczne podwaliny etatyzmu w taki sposób, w jaki nigdy tego nie zdołałaby uczynić nowa odmiana specjalistów z dziedziny nauk społecznych. Przekonywali, przemawiając przy pulpitach i podczas spotkań politycznych, a także zamieszczając publikacje w prasie intelektualnej, że należy całkowicie zmienić sposób odczytywania Pisma Świętego, ponieważ zbawienie można osiągnąć wyłącznie kolektywnie. Konserwatywni teologowie twierdzili w reakcji na te tezy, że tylko jednostka może się narodzić ponownie. Chrześcijanie progresywistyczni uważali, że jednostki nie mają już znaczenia i jedynie państwo może pełnić funkcję interweniującego boskiego pośrednika. Reprezentujący ruch Social Gospel kaznodzieja z Kościoła baptystycznego przekonywał, że państwo musi się stać „medium, przez które ludzie powinni współpracować w poszukiwaniach Królestwa Bożego i jego prawości”.[341]

Inspirację dla tych koncepcji zapewniało źródło, które można by uznać za niewiarygodne, mianowicie Prusy Bismarcka. Bismarck inspirował amerykańskich progresywistów na niezliczone sposoby. O pewnych już tu wspomniano, Po pierwsze, dążył do centralizacji, zjednoczenia, był europejskim Lincolnem, który różnorodne regiony i fakcje zaprzągł do jarzma państwa, nie zważając na protesty. Po drugie, był innowatorem wprowadzającym odgórny socjalizm, w którym

pioniersko wdrażano wiele programów państwa opiekuńczego upragnionych przez progresywistów, na przykład emerytury, ubezpieczenia zdrowotne, programy ochrony zatrudnionych, ośmiogodzinny dzień pracy itd. Sprawność Bismarcka we wprowadzaniu programów bez chaosu „nadmiernej" demokracji stworzyła precedens przekonujący do idei, że „wielcy ludzie", modernizatorzy i „ludzie czynu" mogą przeprowadzić to, czego przywódcy upadających i gnijących systemów demokratycznych nie są w stanie zrobić.

Ponadto odgórny socjalizm Bismarcka osłabiał klasyczny liberalizm w Niemczech i ograniczał możliwości ekspansji tej ideologii na całym świecie. Dokładnie do tego Bismarck zmierzał. Chciał bowiem udaremnić rozwój radykalizmu socjalistycznego czy demokratycznego, dając ludziom to, czego oczekiwali, i nie pozwalając im podejmować decyzji w tych sprawach w drodze głosowania. W tym celu przeciągnął na swoją stronę lewicujących reformatorów, których niezbyt interesowała kwestia ograniczonego rządu bądź liberalnego konstytucjonalizmu, jednocześnie metodycznie spychał na margines, a wielokrotnie tępił, liberałów klasycznych lub opowiadających się za ograniczonym aparatem państwowym (podobną dynamikę obserwowano w Stanach Zjednoczonych w czasie I wojny światowej). Z tego powodu w Niemczech zarówno programy lewicowe, jak i prawicowe stały się ideologiami etatystycznymi, a obie strony ścierały się o to, która narzuci własną wizję społeczeństwu. Liberalizm, określany jako ideologia jednostkowej wolności i demokratycznych rządów, powoli ulegała atrofii i zanikła w Niemczech, gdyż Bismarck uniemożliwił funkcjonowanie tego programu w społeczeństwie. Zamiast niego istniał etatystyczny liberalizm Deweya i DuBois, Wilsona i Franklina D. Roosevelta, liberalizm określany poprzez przywileje gospodarcze i zmniejszanie nędzy.

A później był *Kulturkampf*, program, który zostanie omówiony dokładniej w dalszym rozdziale. Istotna sprawą dotyczącą kulturkampfu, pomijaną lub niedostrzeganą przez wielu współczesnych komentatorów, jest to, że było to zjawisko liberalne. Niemieccy progresywiści wypowiedzieli wojnę zacofanemu katolicyzmowi, uważając, że ich kombinacja nauki i pewnej formy narodowościowego ruchu Social Gospel to ideologia przyszłości. Ten wzór zaadaptowali amerykańscy progresywiści.

Ojcami chrzestnymi liberalnego boskiego bytu państwowego byli filozof Georg Hegel i naukowiec Charles Darwin. Hegel wywodził, że historia to proces ewolucji, a państwo jest motorem napędzającym ten proces. „Państwo to rzeczywiście istniejące, urzeczywistnione życie moralne. [...] Boska idea w postaci istniejącej na ziemi" – deklarował Hegel w *Filozofii historii*. I dalej: „Całą wartość, jaką ma ludzka jednostka – całą rzeczywistość duchową – ma ona wyłącznie poprzez państwo".[342] Pochód państwa w czasie to „marsz Boga na ziemi". Wyglądało na to, że przedstawiona przez Darwina teoria ewolucji potwierdza przekonanie, iż człowiek stanowi część większego organizmu, kierowaną i zarządzaną przez państwo tak, jak umysł kieruje ciałem. Dla „nowoczesnych" duchownych oznaczało to, że polityka jest powołaniem religijnym. Przecież polityka to nic innego jak dążenia do określenia zadań państwa, a państwo było ręką Boga.

Niemal wszyscy wiodący intelektualiści progresywistyczni podzielali to „organiczne" i duchowe pojmowanie polityki, a najbardziej przypuszczalnie Richard Ely. „Bóg pracuje poprzez państwo, urzeczywistniając swoje cele powszechniej niż za pośrednictwem jakiejkolwiek innej instytucji" – głosił założyciel Amerykańskiego Stowarzyszenia Ekonomicznego (AEA) i progresywistycznej tzw. szkoły z Wisconsin. Państwo – podkreślał Ely – „jest w swej istocie religijne" i nie ma cząstki ludzkiego istnienia, która znajdowałaby się poza zasięgiem jego władzy. Ely, który był mentorem Wilsona i wywarł ogromny wpływ na Theodore'a Roosevelta, reprezentował pomilenarystycznc stanowisko, w którym państwo uważał za „potężną siłę dążącą do utworzenia Królestwa Bożego i ustanowienia uczciwych stosunków".[343] Wielu słynnych współpracowników Ely'ego z Uniwersytctu Wisconsin uważało swoje dążenia do reform gospodarczych, eugenikę, wojnę, socjalizm, prohibicję i inne elementy progresywistycznego programu za część zjednoczonych wysiłków podejmowanych w celu stworzenia „nowej Jerozolimy".

Nie miało większego sensu oddzielanie grupy progresywistów od teokratycznych zelotów próbujących stworzyć nowe państwo Boże. Amerykańskie Stowarzyszenie Ekonomiczne, które w deklaracji misji głosiło, że dąży do zjednoczenia Kościoła, państwa i nauki w celu zapewnienia odkupienia Ameryki, było zarówno intelektualnym motorem progresywistycznej polityki społecznej, jak i faktycznym organem ruchu Social Gospel. Wśród członków znajdowało się ponad sześćdziesięciu duchownych, stanowiąc około połowy wszystkich. Później, w czasie I wojny światowej, Ely należał do najbardziej zajadłych, szowinistycznych nacjonalistów. Organizował ślubowania wierności, wysuwał oskarżenia o zdradę i wywodził, że przeciwników wojny należy rozstrzelać.

W przypadku Thomasa Woodrow Wilsona nie można oddzielić duchownego od wykładowcy. Od pierwszych prac, noszących takie tytuły, jak *Christ's Army* (Armia Chrystusa) czy *Christian Progress* (Postęp chrześcijański) po mowy wygłaszane później, w okresie prezydentury, Wilson jasno dawał do zrozumienia, że jest bożym narzędziem, państwo zaś to święty miecz w boskiej krucjacie, zarazem jednak podkreślał, że reprezentuje triumf nauki i rozumu w polityce. Przemawiając do członków YMCA, powiedział, że urzędnicy powinni się kierować tylko jednym pytaniem. Powinni mianowicie pytać, co w danej sytuacji zrobiłby Chrystus. Następnie tłumaczył: „Czeka nas ogromne zadanie i ono nas spaja. Polega ono na tym, że ze Stanów Zjednoczonych należy uczynić potężne państwo chrześcijańskie i schrystianizować świat”.[344]

Wojna jedynie wzmogła te bodźce. „Przeszłość i teraźniejszość ścierają się w śmiertelnym zwarciu” - twierdził Wilson. Za cel postawił sobie całkowite „zniszczenie wszędzie **każdej** arbitralnej władzy, […] która może zagrozić pokojowi na świecie”, oraz „rozwiązanie **każdej** sprawy”, przed którą stoi ludzkość. Wilson przekonywał: „Siły! Największej możliwej siły! Siły bez ograniczeń! Prawej i zwycięskiej siły, która zapewni, że to, co słuszne, stanie się prawem świata, i każde samolubne dominium zetrze w proch”. Stany Zjednoczone były w jego przeświadczeniu „narzędziem w rękach Boga”, a jego resort propagandy nazywał I wojnę światową wojną prowadzona w celu „odbicia grobu Chrystusa”.[345]

Z innymi faszystowskimi przywódcami Wilson podzielał niezłomne przekonanie, że jego organiczna więź z „narodem” była absolutna i wykraczała poza zwykłą mechanikę demokracji. „Tak szczerze w to wierzę, że nie mam wątpliwości, iż wypowiadam myśli i życzenia narodu amerykańskiego”. Wielu Europejczyków uważało go za awatara rodzącego się socjalistycznego Ducha Świata. W 1919 roku pewien młody włoski socjalista stwierdził następująco: „Imperium Wilsona nie ma granic, gdyż On [*sic!*] nie rządzi terytoriami. Jest tak, że On odczytuje potrzeby, nadzieje, wiarę ludzkiego ducha, który nie ma granic przestrzennych ani czasowych”.[346] Owym młodym człowiekiem był Benito Mussolini.

Nie ulega dyskusji, że rząd Wilsona ingerował w sektor prywatny na skalę bezprecedensową. Podjęto działania, kontynuowane później przez Franklina D. Roosevelta, w celu przekształcenia gospodarki w przedsięwzięcie „spółdzielcze”, w którym robotnicy, przedstawiciele świata biznesu oraz władz zasiadaliby wokół stołu, aby samodzielnie obgadywać sprawy. Taki system – w Europie nazywany syndykalizmem, korporacjonizmem i faszyzmem – przedstawia się atrakcyjnie na papierze, ale nieuchronnie prowadzi do tego, że korzyści odnoszą ci, którzy znajdują się w pomieszczeniu, gdzie się sprawy omawia, a poza nimi niewielu innych. Gdy Wilsonowi ludzie pracujący za dolara rocznie nie wynagradzali branż, którymi kierowali, poddawali większej kontroli państwa sektor prywatny. Planiści Wilsona ustalali ceny niemal na wszystkie towary, decydowali o wysokości wynagrodzeń, kierowali prywatnymi liniami kolejowymi, stworzyli ogromną maszynerię w celu ścigania »myślozbrodni«, a nawet próbowali narzucać, co rodziny miały jeść na każdy posiłek.[347]

Wojenny socjalizm Wilsona był programem przejściowym, ale jego dziedzictwo okazało się trwałe. Radę War Industries Board i kartele zlikwidowano po wojnie, ale został ustanowiony precedens, który był zbyt atrakcyjny dla progresywistów, aby mieli go odrzucić.

Stany Zjednoczone odniosły zwycięstwo w I wojnie światowej, ale Wilson i jego progresywiści przegrali **swoją** wojnę toczoną w ojczyźnie. Poważna penetracja społeczeństwa obywatelskiego ze strony rządu wydawała się wybaczalna w czasie wojny, ale nie do przyjęcia w okresie pokoju. Skończył się również sztucznie wywołany boom gospodarczy. Ponadto traktat wersalski, który miał usprawiedliwić każdy nakaz i ofiarę, okazał się rozczarowującą orgią hipokryzji i oszukańczych obietnic.

Jednakże progresywistyczna wiara przetrwała. W latach dwudziestych liberalni intelektualiści i działacze przekonywali, że wojenny socjalizm Wilsona zapewnił ogromny sukces, natomiast porażki były wynikiem niedostatecznej gorliwości. Ich hasłem stało się zdanie „W czasie wojny planowaliśmy". Niestety, nie zdołali przekonać jełopów udających się do lokali wyborczych. Z tego powodu coraz bardziej podziwiali odgórny socjalizm wdrażany przez Bismarcka. Wzrok kierowali także w stronę Rosji i Włoch, gdzie „ludzie czynu" tworzyli utopię za pomocą buldożerów i suwaków logarytmicznych. Amerykańscy progresywiści zarazili się od marksistów, zważając na wielką wagę przykładaną przez nich do naukowych zasad socjalizmu i inżynierii społecznej. A ponieważ nauka nie podlega demokratycznej debacie, w obozie progresywistów zapanowała arogancka dosłowność pozbawiona polotu.

Mniej więcej w tym samym czasie w wyniku nader zręcznej sztuczki progresywizm przemianowano na „liberalizm". Wcześniej termin „liberalizm" oznaczał polityczną i gospodarczą wolność pojmowaną tak, jak ją rozumieli intelektualiści oświeceniowi, na przykład John Locke i Adam Smith. W ich przekonaniu ostatecznym upragnionym celem było maksimum jednostkowej wolności przy oświeconej ochronie zapewnianej przez maksymalnie ograniczone państwo. Progresywiści pod przewodem Deweya zmienili nieco znaczenie tego słowa, importując pruską wizję liberalizmu pojmowanego jako zmniejszanie nędzy materialnej i ubóstwa wykształcenia, a także wyzwalanie od starych dogmatów i starych wiar. Dla progresywistów wolność nie oznaczała już więc wolności od tyranii, lecz wolność od niedoborów, wolność pozwalającą być „konstruktywnym" obywatelem. To przejęta od Rousseau i Hegla „wolność" życia zgodnie z mechanizmami kierującymi państwem oraz wolą powszechną. Klasycznych liberałów regularnie od tego czasu nazywano konserwatystami, liberałami zaś zwano zwolenników kontroli społecznej. Dlatego w 1935 roku John Dewey w książce zatytułowanej *Liberalism and Social Action* (Liberalizm i działania społeczne) pisał, że rząd aktywistów działający w imieniu pokrzywdzonych pod względem gospodarczym i dążący do odbudowy społecznej „w praktyce określił znaczenie wiary liberalnej".[348]

Przy takim światopoglądzie nie powinno zdumiewać, że w przekonaniu bardzo licznej grupy liberałów najwięcej wolności na świecie było w Związku Sowieckim. W napisanej dla „New Republic" serii artykułów poświęconych Związkowi Sowieckiemu Dewey opiewał wielki „eksperyment", uważając, że umożliwił „wyzwolenie narodu zapewniające mu świadomość, że to on ostatecznie decyduje o kształtowaniu swojego losu". Sowiecka rewolucja przyniosła „uwolnienie ludzkich sił na skalę tak bezprecedensową, że nie można określić wpływu tego wydarzenia nie tylko na sytuację w tym państwie, ale i na całym świecie". Jane Addams również stwierdziła, że Związek Sowiecki to „największy eksperyment społeczny w historii".[349] Uwolnieni od dogmatów przeszłości i trzymający się ewolucjonistycznych imperatywów pragmatyści uważali, że nawet państwa muszą się „uczyć poprzez działanie", nawet jeśli miało to oznaczać – ponownie – że nowi jakobini muszą sięgnąć po terror, aby walczyć z tymi, którzy nie podporządkowują się woli powszechnej.

Od kilkudziesięciu lat progresywiści utyskiwali, że w Ameryce brakuje *volksgeistu*, jednej woli powszechnej, która mogłaby posłużyć za paliwo umożliwiające rozwój koncepcji boskiego bytu państwowego. W 1929 roku, kiedy doszło do krachu na giełdzie, uznali, że świetlany moment powrócił.

William Leuchtenburg pisze następująco: „W latach dwudziestych w Stanach Zjednoczonych nie było niemal wcale takiej struktury instytucjonalnej, jaką Europejczycy

określiliby jako »państwo«”. Poza urzędem pocztowym większość Amerykanów w bardzo niewielkim stopniu wchodziła w interakcje z „rządem w Waszyngtonie” bądź „od niego zależała”.[350] Nowy Ład to wszystko zmienił. Był to ostatni etap procesu przekształcenia amerykańskiego liberalizmu, w wyniku którego amerykański rząd federalny stał się europejskim „państwem”, a liberalizm – religią polityczną.

Jako polityka gospodarcza Nowy Ład był porażką. Jeśli spowodował cokolwiek, to zapewne tylko przedłużenie wielkiego kryzysu. A jednak nieustannie się nam mówi, że Nowy Ład pozostaje największym osiągnięciem Stanów Zjednoczonych na arenie krajowej w XX wieku. To wzorzec, który liberałowie stale chcą powielać, zachować i przywracać. W 2007 roku Nancy Pelosi podobno stwierdziła, że trzy słowa dowodzą, iż demokraci nie są pozbawieni koncepcji – „Franklin Delano Roosevelt”.[351] Z jakiego powodu to uwielbienie? Najczęściej w odpowiedzi przedstawia się argument, że Nowy Ład dał Amerykanom „nadzieję” i „wiarę” w „sprawę większą od nich samych”. Nadzieje na **co**? Wiarę w **co**? O jakiej „sprawie” mowa? Odpowiedź: liberalny boski byt państwowy lub – jeśli ktoś woli to określenie – „wielkie społeczeństwo”, co oznacza tylko tyle, że to społeczeństwo podlega władzy boskiego bytu państwowego i odbywa się to zgodnie z wolą powszechną.

Dla amerykańskiego liberalizmu Nowy Ład był przełomem religijnym. Nie tylko wiara w liberalny ideał stała się w swym charakterze głęboko religijna – była bowiem irracjonalna, dogmatyczna i mitologiczna – ale doszło też do tego, że wielu inteligentnych liberałów uznało ten fakt i przyjęło go z zadowoleniem. W 1934 roku Dewey stwierdził, że walka o ten liberalny ideał sama w sobie ma „charakter religijny”. Thurman Arnold, jeden najbardziej wpływowych intelektualistów z obozu Nowego Ładu, proponował, aby Amerykanów uczono nowej „religii rządu”, która miałaby ostatecznie spowodować uwolnienie społeczeństwa od przesądów dotyczących indywidualizmu i wolnych rynków”.[352] Wszystko zgodnie z zaleceniem Robespierre'a. Trzeba kultywować „instynkt religijny”, aby chronić rewolucję.

Do apoteozy liberalnych aspiracji pod rządami Franklina D. Roosevelta nie doszło w czasie Nowego Ładu, lecz w czasie II wojny światowej. W wygłoszonym w 1944 roku orędziu o stanie państwa Roosevelt zaproponował coś, co nazwał „drugą Kartą Praw”.[353] Naprawdę jednak przekonywał do stworzenia **nowej** Karty Praw, która byłaby przeciwieństwem oryginału. „Będący w potrzebie nie są wolnymi ludźmi” – głosił. Z tego powodu państwo musi zapewnić „nową podstawę bezpieczeństwa i dobrobytu”. Wśród proponowanych nowych praw znalazły się: prawo do „użytecznego i wynagradzanego zatrudnienia”, do „godziwego miejsca zamieszkania”, do „odpowiedniej opieki lekarskiej oraz możliwości osiągania dobrego stanu zdrowia i cieszenia się nim”, do „stosownej ochrony przed problemami ekonomicznymi w podeszłym wieku, chorobami, wypadkami i bezrobociem” oraz do „dobrego wykształcenia”. Ta druga Karta Praw do dziś pozostaje duchową gwiazdą przewodnią dla liberalnych aspiracji.[354]

Wypędzanie własnych demonów

Wojna toczona z Hitlerem była najczystszym przykładem walki dobra ze złem, jaki można znaleźć w historii działań wojennych. Nie oznacza to jednak, że wojna (i mobilizacja z czasu Nowego Ładu) przyniosła wyłącznie zbawienne skutki. Przyzwyczajono się do stosowania się do zachęt elit – przedstawianych w prasie, przez wiodące instytucje oraz władze – bez większych refleksji i nie przejawiając sceptycyzmu. Te elity mówiły amerykańskiemu społeczeństwu, że wojna i centralne planowanie „uratowały” cywilizację zachodnią, a teraz zadaniem Stanów Zjednoczonych jest zapewnienie bezpieczeństwa tej cywilizacji.

W powojennym środowisku doszło do stopienia się wielu nurtów myśli progresywistycznej w spójny program działania. Rządem rzeczywiście teraz kierowali eksperci. Społeczeństwo przychylnie przyjmowało ambicje liberałów. Odnosiło się wrażenie, że klasyczny liberalizm jest na

zawsze zdyskredytowany. Nawet utopijnemu marzeniu o nowym porządku świata, a być może także o rządzie światowym – przedstawianemu przez Wilsona, H.G. Wellsa i wielu innych – dano nowe życie przez utworzenie ONZ. Problemem liberalizmu było to, że pojawiający się na horyzoncie nowy wróg nie przychodził z prawej strony, lecz z lewej. Dla liberałów działających pod koniec lat dwudziestych i na początku trzydziestych XX wieku Związek Sowiecki był tym, czym dla wcześniejszego pokolenia były Prusy Bismarcka, mianowicie modelem do naśladowania. W latach trzydziestych Sowieci byli na linii frontu, walcząc z zagrożeniem stwarzanym przez faszyzm. W latach czterdziestych byli sojusznikami Stanów Zjednoczonych. Po wojnie natomiast szybko się okazało, że sowieckie intencje nie były aż tak chwalebne, a metody stosowane przez Sowietów trudno było odróżnić od metod nazistowskich, co rodziło zakłopotanie.

Panuje obecnie przekonanie, że nie było tak, iż liberałowie nie akceptowali antykomunizmu albo występowali przeciwko niemu, lecz jedynie występowali przeciwko ekscesom makkartyzmu. Problem jednak polega na tym, że i komuniści, i liberałowie zawsze dopuszczali taktykę makkartystów, kiedy miał przez nią kłopoty jakiś ich przeciwnik. Komisję Izby Reprezentantów ds. Działań Nieamerykańskich utworzył przecież progresywny demokrata, Samuel Dickstein, aby prowadzić dochodzenia w sprawach osób sympatyzujących z Niemcami. W czasie słabo pamiętanej „brunatnej grozy" z lat czterdziestych brano na cel i nękano wszystkich, od ludzi autentycznie popierających nazistów – na przykład ze Związku Niemiecko-Amerykańskiego (German-American Bund) – po wychodzących z błędnych założeń izolacjonistów. Bardzo pod tym względem przypominając Wilsona, Roosevelt uważał, że wszelkie sprzeciwy w kraju są tożsame ze zdradą, nalegał więc, aby Departament Sprawiedliwości ścigał jego przeciwników. W szczytowym okresie tego szaleństwa w programie nadawanym przez radio Walter Winchell odczytał nazwiska izolacjonistów, stwierdzając, że to „Amerykanie, bez których się obejdziemy".[355] W tym okresie amerykańscy komuniści ochoczo wymieniali nazwiska i sporządzali listy „sympatyków Niemiec".

Można by tłumaczyć taką taktykę, uznając ją za zło konieczne w walce z nazizmem. Jednakże bardziej niepokojąca hipokryzja polega na tym, że amerykańscy komuniści **wyrządzali to samo innym amerykańskim komunistom**. Zdaniem wielu lewicowców ustawa Howarda Smitha (Smith Act), w której zabroniono przynależności do organizacji nakłaniającej do likwidacji Stanów Zjednoczonych, była zasadniczym elementem amerykańskiego faszyzmu. Mimo to amerykańscy komuniści sami wykorzystywali te ustawę, aby w czasie wojny doprowadzić do aresztowania amerykańskich trockistów.

Wszystko to jednak działo się na uboczu, przez co większość społeczeństwa na te wydarzenia nie zwracała uwagi. Po wojnie liberałowie nie mogli tolerować takiej taktyki, gdy stosowano ją przeciwko ich szeregom. Temu, że ich idee i historia wykazywały jakiekolwiek powiązania z totalitaryzmem, zaprzeczali tak totalnie, że każdego, kto wygłaszał odmienne zdanie, należało zniszczyć. To nastawienie ujawniło się, gdy Whittaker Chambers trafnie orzekł, że wywodzący się z szeregów amerykańskich liberałów Alger Hiss jest komunistą. Establishment rzucił się bronić Hissa, Chambersa zaś demonizowano, nazywając go kłamcą, psychopatą i faszystą.[356]

Josepha McCarthy'ego nie można się było pozbyć tak łatwo, w dużej mierze przez to, że był senatorem. Pomimo jego wad i niewybaczalnych ekscesów trafnie zwracał uwagę na to, że znaczna część liberalnego establishmentu była zakażona przez komunistów i sympatyków komunizmu. Także za tę zbrodnię nazywano go faszystą. Gdy teraz spyta się jakiegoś liberała, **dlaczego** MeCarthy'ego uważa się za faszystę, w odpowiedzi zwykle się usłyszy, że „tyranizował" i był „kłamcą". Tyranizujące łobuzy i kłamcy bez wątpienia są źli, ale nie oznacza to jeszcze, że z konieczności muszą być prawicowcami. Można ponadto usłyszeć, że makkartyzm to groteskowe wypaczenie patriotyzmu, szowinizm itp. To bardziej złożona krytyka, choć warto przy tym wspomnieć, że wielu przedstawicieli lewicy niemal wszystkie zachęty do postaw patriotycznych uważa za przejaw faszyzmu. Nie ulega mimo to wątpliwości, że makkartyzm reprezentował pewien szpetny nacjonalistyczny element amerykańskiego charakteru narodowego. Ta postawa jednak zdecydowanie nie była prawicowa, lecz w istocie oznaczała cofnięcie się do tradycyjnej lewicowej

polityki populistycznej. Tępienie „czerwonych”, polowania na czarownice, cenzura i podobne działania należały do tradycyjnych elementów taktyki obieranej przez progresywistów i populistów z Wisconsin

Obecnie niewielu pamięta, że polityczne korzenie McCarthy'cgo twardo tkwią w erze progresywizmu. Przecież McCarthy był populistycznym progresywistą wywodzącym się z najbardziej zapewne progresywistycznego stanu, mianowicie Wisconsin Richarda Ely'ego i Roberta LaFollette'a. Joe McCarthy był wytworem Wisconsin i tradycji tego stanu. Ubiegał się o fotel senatora reprezentującego Partię Republikańską przede wszystkim z tego powodu, że podczas pierwszej kampanii, w której się starał o urząd publiczny – wtedy jako demokrata – przekonał się, iż stan Wisconsin za rządów La Follette'a stał się w gruncie rzeczy stanem jednopartyjnym, zdominowanym przez republikanów. W 1936 roku, kiedy ubiegał się o stanowisko prokuratora generalnego hrabstwa Shawano, McCarthy zarzucał, że republikański kandydat na prezydenta jest „marionetką” w rękach prawicowych grup interesów i grubych ryb, takich jak William Randolph Hearst. Gdy ostatecznie rzucił wyzwanie La Follette'owi, ubiegając się o wybór do Senatu, kampanii nie prowadził jak autentyczny prawicowiec, lecz postępował jak populista dopasowujący swój program do oczekiwań wyborców z Wisconsin.

W McCarthym było niemało rzeczy faszystowskich. Należą do nich węszenie spisków, paranoidalna frazeologia, terroryzowanie i oportunizm. Te tendencje jednak nie wywodzą się z tradycji konserwatyzmu czy klasycznego liberalizmu. McCarthy i makkartyzm wywodzą się z tradycji progresywistycznych i populistycznych. Jego zwolennicy w większości należeli do klasy średniej, bardzo często głosili progresywistyczne lub populistyczne poglądy na temat roli państwa, a pod wieloma względami byli spadkobiercami coughlinizmu z początków Nowego Ładu. Najskuteczniejszym z takich makkartystów byl Pat McCarran, senator z Partii Demokratycznej reprezentujący Newadę przez cztery kadencje, inicjator ustawy o bezpieczeństwie wewnętrznym (Internal Security Act), która przewidywała, że organizacje frontu komunistycznego muszą się rejestrować w urzędzie prokuratora generalnego, a komuniści nie mogą się zatrudniać w przedsiębiorstwach z branż powiązanych z przemysłem zbrojeniowym, zabraniała też imigracji komunistów oraz umożliwiała internowanie komunistów w przypadku sytuacji kryzysowej w kraju.

Nie chodzi tu o to, że McCarthy był po prostu progresywistą podobnym do La Follette’a. Obaj La Follette'owie byli zasługującymi na szacunek poważnymi ludźmi, pod wieloma względami należąc do najodważniejszych polityków XX wieku. Nie zamierzam też twierdzić, że McCarthy był po prostu kolejnym liberałem, chociaż jeszcze w 1951 roku używał tego słowa z pozytywnymi konotacjami. Chcę powiedzieć, że po II wojnie światowej bardzo szybko się zmieniało to, co wiązano z liberalizmem. I znów stało się tak, że przegranych w wojnie domowej toczonej przez liberałów, mianowicie prawe skrzydło **lewicy**, demonizowano. Liberalizm przez to odrzucał nieczyste elementy, zrzucając skorupę Social Gospel i całego gadania o Bogu. Czyż Holokaust nie świadczył o tym, że Bóg nie żyje? Starzy liberałowie coraz częściej przypominali Williama Jenningsa Bryana, postać z filmu *Kto sieje wiatr* (*Inherit the Wind*) – człowieka przesądnego, gniewnego i zacofanego. Możliwość spojrzenia z perspektywy późniejszych wydarzeń pozwala nam ujrzeć, jak liberałowie wymyśliliby nowoczesnego, pragmatycznego Kennedy'ego, gdyby ten nie istniał. A przy tym, jak widzieliśmy, w znacznej mierze istotnie go wymyślili.

Na początku lat pięćdziesiątych amerykańscy liberałowie potrzebowali ujednoliconej teorii pola, która nie tylko zapewniała trwałość ich nietykalnego statusu mieszkańców Olimpu, ale także pozwalała się odnieść do Holokaustu oraz populistycznych jątrzycieli, którzy mieli czelność zakwestionować mądrość, autorytet i patriotyzm liberalnej elity. Ponieważ coraz bardziej byli oddaleni od zacofanego i niezadowalającego języka religii, ich własne dziedzictwo eugeniki było zdyskredytowane, a ortodoksyjna marksistowska opowieść w wielkim stopniu nie przemawiała do mas, liberałowie potrzebowali czegoś, co mogłoby zjednoczyć i wskrzesić tę trójce. Potrzebne im spoiwo znaleźli w psychologii.

Kilku niezmiernie wpływowych teoretyków marksizmu, przede wszystkim Niemców z tzw. szkoły frankfurckiej (transplantowanej na Uniwersytet Columbii od lat trzydziestych XX wieku) pożeniło psychologię z marksizmem, aby zapewnić liberalizmowi nowa terminologię. Ci teoretycy – pod przewodnictwem Theodora Adorna, Maksa Horkheimera, Ericha Fromma i Herberta Marcuse'a – probowali tłumaczyć, dlaczego w znacznej części Europy faszyzm był popularniejszy od komunizmu. Czerpiąc z pism Freuda i Junga, szkoła frankfurcka uważała nazizm i faszyzm za formy masowej psychozy. Było to dość przekonujące, ale w analizach jej przedstawicieli wywodzono również, że marksizm jest obiektywnie wyżej od alternatywnych ruchów, a wobec tego masy, burżuazja i każdy inny, kto się z nimi nie zgadzał, musi być – całkiem dosłownie – szalony.

Adorno był głównym autorem *Osobowości autorytarnej*, pracy opublikowanej w roku 1950. W książce tej przedstawiono dowody, że osoby głoszące „konserwatywne" poglądy uzyskiwały wyższe wyniki na tzw. skali F (F od faszyzmu), a przez to zdecydowanie wymagały terapii. Politolog Herbert McClosky stawiał podobną diagnozę, uważając, że konserwatyści należą do prefaszystowskiego „typu osobowości", obejmującego głównie ludzi „niedoinformowanych, słabo wykształconych i [...] mniej inteligentnych" (Lionel Trilling w słynnym zdaniu sprowadzał konserwatyzm do serii „wynikających z nadpobudliwości gestów umysłowych, które mają uchodzić za idee".[357] W przeświadczeniu McClosky'ego, Adorna i całego establishmentu liberalnego konserwatyzm w najlepszym wypadku był ludzkim obliczem szaleństwa faszyzmu w stylu nazistowskim.

Chciałoby się stwierdzić, że ci teoretycy jedynie nałożyli patynę pseudonaukowego psychobełkotu na ulotki propagandowe Trzeciej Międzynarodówki Stalina, ale taktyka była bardziej wyrafinowana. Zasadniczy argument cechował się wspaniałą prostotą. W oryginalnym marksistowskim wytłumaczeniu zjawiska faszyzmu przyjmowano, że to reakcja kapitalistycznych klas panujących na zagrożenie stwarzane przez wzrost znaczenia klas pracujących. Przedstawiciele szkoły frankfurckiej zmyślnie upsychologizowali ten argument. Zamiast zamożnych białych mężczyzn i fajtłap z klasy średniej chroniących swoich interesów gospodarczych wprowadzono faszyzm jako psychologiczny mechanizm obrony chroniący ogólnie przed zmianami. Ludzie, którzy nie potrafią sobie poradzić z „postępem", reagują gwałtownie, gdyż mają „osobowości autorytarne". Tak więc każdy, kto odrzuca cele, zakres i metody liberalizmu, cierpi na zaburzenia umysłowe powszechnie zwane faszyzmem.

Richard Hofstadter, historyk z Uniwersytetu Columbii, był wywodzącym się ze szkoły frankfurckiej autorem, którego publikacje zdobywały największą popularność. W jego przekonaniu historia Stanów Zjednoczonych była opowieścią o odcinaniu przez liberałów kolejnych głów faszystowskiej hydrze – jednej w każdym rozdziale. Jego prace aż ociekały sformułowaniami zaczerpniętymi z *Osobowości autorytarnej*. W *Pseudo-konserwatywej rewolcie* – analiza ta później znalazła się w eseju zatytułowanym *The Paranoid Style in American Politics* (Paranoiczny styl polityki amerykańskiej) – Hofstadter używał przerażających słów z terminologii psychologicznej, aby określić kryptofaszystowskie zagrożenie występujące w Stanach Zjednoczonych: „kliniczny", „zaburzenia", „kompleksy", „apercepcja tematyczna". Christopher Lasch pisze następująco: „*Osobowość autorytarna* wywarła wielki wpływ na Hofstadtera i innych liberalnych intelektualistów, ponieważ im pokazała, jak uprawiać krytykę polityczną w kategoriach psychiatrycznych, jak spowodować, że te kategorie będą zawierać krytykę polityczną. Ta procedura zwalniała ich z trudnego zadania osadu i argumentacji. Zamiast dyskutować z przeciwnikami po prostu ich odrzucali z powodów psychiatrycznych".[358]

Nie trzeba było wiele czasu, aby takie psychologiczne teoretyzowanie wystąpiło z brzegów i stało się ogólnie przydatnym rozwiązaniem „kwestii społecznych", jak to zwykli ujmować progresywiści. Istotnie, współczesna psychologia była doskonałym zamiennikiem ruchu Social Gospel, militaryzmu, „religii rządu" głoszonej przez Thurmana Arnolda, „kontroli społecznej", a nawet eugeniki. Progresywiści swego czasu zdecydowanie chcieli usunąć niezdatnych z powodów biologicznych, teraz zaś z taką samą energią przypuścili atak na niezdatnych z przyczyn psychicznych. Niektórzy liberalni psychologowie zaczęli nawet opisywać nową „religię

psychiatrii", która miałaby uleczyć społeczeństwo z elementów „ekstremistycznych", tradycyjnych, zacofanych, **konserwatywnych**. Adorno i jego współpracownicy położyli podwaliny pod to przejście, za siedlisko zła w nowoczesnym świecie uznając „autorytarna rodzinę".

Cała fala liberalnych teologów spotkała się w pół drogi z psychiatrami, twierdząc, że rozmaite nerwice wynikają z alienacji społecznej, przez co tradycyjna religia powinna zmienić orientację, aby działać leczniczo w takich przypadkach Psychiatria – oraz „odpowiedniość" (*relevance*) – stały się wszędzie nowymi normami przyjmowanymi przez przedstawicieli kleru. W przekonaniu Paula Tillicha zbawienie zostanie zapewnione przez ponowne określenie i odmienne połączenie elementów *sacrum* i *profanum*, przez co polityka, psychiatria i religia stopią się w jednorodną sieć.

Choć pozbawione charakterystycznego dla niego żargonu, to przedsięwzięcie było niemal doskonałą replika wzoru liberalnego. Gdy nadchodzi z lewej strony, liberałowie kochają populizm, Ale gdy populistyczne dążenia narodu kłócą się z programem działania lewicy, to nagle, w gwałtownym ataku, sięga się po takie określenia, jak „reakcja", „ekstremizm" i – rzecz jasna – faszyzm. Bill Clinton nazwał swój „projekt" dla Ameryki „Ludzie na pierwszym miejscu" (*Putting People First*), ale kiedy ci ludzie odrzucili jego propozycje, poinformowano nas, że „rozjuszeni biali mężczyźni" (czytaj: białe „osobowości autorytarne") stwarzają zagrożenie dla republiki. Podobnie było w czasach, gdy popierano planistów społecznych z obozu Nowego Ładu. Wtedy również trudno było się doszukać różnicy między progresywizmem a populizmem. Kiedy jednak ci sami Amerykanie mieli już dość odgórnego socjalizmu, stali się „paranoiczni" i niebezpieczni, podatni na choroby umysłu i manipulacje faszystowskie.

Z tego powodu liberalni planiści społeczni byli tym bardziej usprawiedliwieni, gdy dążyli do „uzdrowienia" Amerykanów, spowodowania zmiany orientacji w ich dysfunkcyjnym życiu wewnętrznym, gdy chcieli im dać „sens". Wszystko to przypominało słynną kpinę Bertolta Brechta: „Czy nie byłoby łatwiej […] rządowi // rozwiązać naród i wybrać nowy?".[359]

Wielkie Społeczeństwo: faszystowska utopia Lyndona Johnsona

Bardzo pod tym względem przypominając ruch nazistowski, liberalny faszyzm miał dwa oblicza. Jednym byli radykałowie uliczni, drugim – radykałowie z establishmentu. W Niemczech te dwie grupy pracowały w tandemie, aby osłabić niechętne nastawienie klasy średniej wobec nazistowskiego programu. W poprzednim rozdziale widzieliśmy, jak się mobilizowali liberalni faszyści z SDS i Czarnych Panter, aby terroryzować amerykańską klasę średnią. W pozostałej części tego rozdziału – oraz w następnym – przedstawimy, jak „radykałowie w garniturach" z lat sześćdziesiątych, mianowicie działacze tacy, jak Hillary Clinton i jej przyjaciele, wykorzystywali ten terror, by zwiększać władzę państwa i poszerzać jego zakres, a przede wszystkim do tego, by zmieniać nastawienie społeczeństwa wobec państwa jako czynnika sprawczego zapewniającego postęp społeczny oraz powszechną troskę i współczucie.

Wydaje się, że Lyndon Johnson został liberalnym zbawcą w wyniku dziwnego wyboru. Trzeba jednak pamiętać, że **nikt go nie wybrał**. Został namaszczony przez kulę zamachowca. Nie oznacza to przy tym, że nie przygotowywał się do przejęcia władzy.

Zdumiewa to, że oprócz samego Roosevelta Johnson był jedynym regularnym nowoładowcem, który objął prezydenturę. Pod wieloma względami Johnson był idealnym pracownikiem współczesnego państwa opiekuńczego, uosobieniem wszystkiego, co reprezentował Nowy Ład. Pomimo konkretnej osobowości w gruncie rzeczy był uosobieniem systemu, który pomógł stworzyć.

Roosevelt od początku nabrał sympatii do Johnsona. Powiedział Haroldowi Ickesowi, że Johnson z powodzeniem mógłby zostać pierwszym prezydentem z Południa z powojennego

pokolenia. Johnson był fanatycznie lojalnym człowiekiem Roosevelta. Gdy był doradcą kongresmana, nie raz groził, że zrezygnuje, kiedy jego szef myślał o tym, by zagłosować niezgodnie z przekonaniami Roosevelta. W 1935 roku kierował teksańskim oddziałem Krajowej Agencji ds. Młodzieży (National Youth Administration), Zwrócił wtedy na siebie uwagę Sama Rayburna, przyszłego spikera Izby Reprezentantów, wyróżnił się też jako gwiazda wśród młodych nowoładowców. W 1937 roku, mając 28 lat, został wybrany na reprezentanta dziesiątego okręgu Teksasu. Zwrócił na siebie uwagę Roosevelta, gdy prezydent był w Teksasie, Poznali się tam i sporo czasu spędzili razem. Gdy Roosevelt wrócił do Waszyngtonu, zatelefonował do Thomasa Cocorana, swego współpracownika, aby go poinformować: „Właśnie spotkałem młodego człowieka w najwyższym stopniu zasługującego na uwagę. Podoba mi się ten chłopak i chcę, żebyś mu pomógł we wszystkim, w czym zdołasz". Roosevelt został „politycznym tatusiem" Johnsona, jak to ujął sam Johnson, który lepiej niż każdy inny wybrany urzędnik opanował sztukę pracy w warunkach Nowego Ładu. Już w pierwszym roku urzędowania Johnson przywiózł do swoich okręgów oszałamiające ilości pieniędzy państwowych i innych zasobów rządowych. „Na swój okręg dostawał najwięcej projektów, najwięcej pieniędzy ze wszystkich" – wspominał Corcoran. Był „kongresmanem najbardziej dbającym o okręg w historii".[360]

Gdy został wybrany, Johnson nie chlubił się tym, że popiera Nowy Ład. Porażka teksańskiego kongresmana Maury'ego Mavericka nauczyła go, że w Teksasie raczej nie pomagają pochwały liberałów ze wschodniego wybrzeża. Kiedy usłyszał, że redakcja „New Republic" chce go opisać wraz z innym wpływowym kongresmanem pracującym nad Nowym Ładem, wpadł w panikę. Zatelefonował do znajomej z Międzynarodowej Organizacji Pracy (ILO) i błagał: „Na pewno masz jakiegoś znajomego wśród działaczy związków zawodowych. Mogłabyś do niego zatelefonować i poprosić, żeby mnie potępił? Jeśli się tu zorientują, że [...] jestem jakimś liberalnym bohaterem, zabiją mnie. Musisz znaleźć kogoś, kto mnie potępi".[361]

Gdy został prezydentem, nie musiał już skrywać swych prawdziwych uczuć. Mógł wreszcie jawnie pokazać, że jest liberałem, Śmierć Kennedy'ego zapewniła przy tym doskonały **kryzys psychologiczny** pozwalający liberalizmowi wejść w nową fazę. Thomas Woodrow Wilson wykorzystywał wojnę, by osiągnąć cele społeczne. Franklin D. Roosevelt wykorzystywał kryzys gospodarczy i wojnę. John Kennedy wykorzystywał groźbę wojny i dominację Sowietów. Kryzysowy mechanizm Johnsona pojawił się w postaci zagrożenia duchowego i alienacji. Johnson wykorzystywał go, ile wlazło.

Podnosząc leżący sztandar liberalizmu, Johnson użył zwięzłego, niemal biblijnego zwrotu „Kontynuujmy". Ale kontynuujmy co? Na pewno nie zwykłe kujoństwo zdolnych dzieciaków ani mecze futbolu dotykowego w Hyannis Port. Johnson miał wznieść kościół liberalizmu na opoce pamięci o Kennedym, tyle że musiał przy tym wykorzystać robiące dobre wrażenie zwroty psychologiczne mówiące o „sensie" i „uzdrawianiu". Ukazywał się – albo pozwalał, by go tak ukazywano – jako świecki święty Paweł głoszący naukę o zamordowanym mesjaszu liberalizmu. Wielkie Społeczeństwo Johnsona będzie kościołem wzniesionym na wyobrażonym „słowie" z Camelot.

Dwudziestego drugiego maja 1964 roku Johnson przedstawił pierwszy opis Wielkiego Społeczeństwa: „Podstawa Wielkiego Społeczeństwa to dobrobyt i wolność dla wszystkich. Wymaga to położenia kresu ubóstwu i niesprawiedliwości rasowej, co w naszym czasie będziemy realizować z pełnym zaangażowaniem. To jednak dopiero początek. [...] Wielkie Społeczeństwo to miejsce, w którym każde dziecko może zdobywać wiedzę doskonalącą jego umysł i rozwijającą zdolności. To miejsce, w którym czas wolny zapewnia upragnioną możliwość budowania i refleksji, a nie budzącej lęk nudy i podenerwowania. To miejsce, w którym miasto ludzi nie tylko służy potrzebom ciała i spełnia wymogi kontaktu społecznego, lecz także zaspokaja chęć piękna i pragnienie społeczności".[362]

Był to ambitny plan, by ująć to łagodnie. W Wielkim Społeczeństwie wszystkie potrzeby i pragnienia zostaną zaspokojone. Nie będzie tak, że coś dobrego zostanie osiągnięte kosztem innej

dobrej rzeczy. Państwo będzie pomnażać, żywić i zapewniać każde **uzasadnione** szczęście. Nawet czas wolny zostanie wykorzystany maksymalnie, aby każdy obywatel mógł odnaleźć w życiu „sens". Johnson przyznawał, że taka dotowana nirwana nie może się urzeczywistnić z dnia na dzień. Realizacja tego przedsięwzięcia będzie wymagać lojalności skupionych wyłącznie na nim wszystkich obywateli oraz ich wysiłków, także zdolności nowej fali ekspertów. „Nie zamierzam udawać, że mamy kompletne rozwiązania tych problemów — przyznawał. — Obiecuję jednak, że zbierzemy najlepsze koncepcje i najszerszą wiedzę z całego świata, aby znaleźć te rozwiązania dla Ameryki".[363] Johnson ustanowił jakieś piętnaście komisji, które miały znaleźć odpowiedź na pytanie, czym jest Wielkie Społeczeństwo. Odrodzenie liberalnych ambicji ujawniało się nawet wtedy, gdy charakterystycznych dla Ameryki antyetatystycznych przeciwciał było już tyle, że blisko było do masy krytycznej. W 1955 roku zaczęło się ukazywać pismo „National Review". Stało się ono intelektualnym domem dla różnorodnego zbioru osób, które stworzą współczesny konserwatyzm. Wiele ujawnia to, że choć William E. Buckley zawsze był klasycznym liberałem i katolickim tradycjonalistą, niemal wszyscy współtwórcy tego pisma wcześniej byli socjalistami bądź komunistami, którzy porzucili dawnego boga, bo nie spełnił oczekiwań.

W 1964 roku redakcja „National Review" opowiedziała się za senatorem Barrym Goldwaterem. Nie był to skutek postawy kompromisowej, lecz dokonanego wyboru. Od czasów Coolidge'a Goldwater był pierwszym republikańskim kandydatem na urząd prezydenta, który zerwał z zasadniczymi założeniami progresywizmu, między innymi z tym, co sam Goldwater nazywał „republikanizmem »ja też«". Spowodowało to, że Goldwatera zdemonizowano, uznając go za kandydata „nienawiści" i rodzącego się faszyzmu. Johnson twierdził, że Goldwater „głosi nienawiść", i systematycznie chciał go powiązać z terrorystycznymi „ugrupowaniami nienawiści", takimi jak Ku-Klux-Klan (którego zwolennikami byli naturalnie wyborcy tradycyjnie głosujący na demokratów). W wygłoszonej we wrześniu 1964 roku mowie do pracowników przemysłu stalowego Johnson potępiał filozofię Goldwatera, mówiąc drwiąco o „kolejce ustawiającej się po zupę" – jakby ideałem wolnorynkowego kapitalizmu miało być wysyłanie ludzi do domów pomocy społecznej — i wydrwiwał „uprzedzenia, fanatyzm, nienawiść i podziały" reprezentowane przez uprzejmego polityka z Arizony.[364] Nie trzeba dodawać, że to ogromne zniekształcenie faktów. Goldwater przekonywał do koncepcji ograniczonego rządu, pokładając ufność raczej w przyzwoitości Amerykanów niż w zgrai waszyngtońskich biurokratów. Popełnił jeden wielki błąd, do czego się później przyznał, przepraszając za to, mianowicie głosował przeciwko ustawie o prawach obywatelskich (Civil Rights Act). I wówczas, i obecnie niewielu liberałów kwestionowałoby twierdzenie, że program Wielkiego Społeczeństwa miał za podstawę miłość i dążenie do jedności. „Zrobimy to wszystko, ponieważ żywimy do ludzi miłość, nie nienawiść, [...] ponieważ wiecie, że do budowy domu potrzeba człowieka kochającego swój kraj, nie psioczącego, ujadającego demagoga, który dom chce niszczyć. Wystrzegajcie się tych, którzy się boją i wątpią, a także tych, którzy psioczą i ujadają na temat zagrożeń stwarzanych przez postęp" — grzmiał Johnson. Jednocześnie uwijał się establishment, insynuując, że Goldwater tworzył „klimat nienawiści", przez który rzekomo stracił życie Kennedy. Zgodnie z nowym psychologicznym *zeitgeistem* Goldwatera dosłownie ukazywano jako człowieka chorego psychicznie. W ogłoszeniu opublikowanym w dzienniku „New York Times" informowano, że 1189 psychiatrów orzekło, iż „nie nadaje się z powodów psychologicznych" na prezydenta. Zarzut ten następnie poddawano recyklingowi w obszernych materiałach publikowanych przez „wolne media". Daniel Schorr, współpracownik Dana Rathera (obecnie korespondent National Public Radio) donosił w programie Evening News nadanym przez stację CBS, nie mając po temu najmniejszych podstaw, że wakacje spędzone przez kandydującego na urząd prezydenta Goldwatera w Niemczech były „posunięciem, przez które senator Goldwater nawiązał kontakty" z elementami neonazistowskimi.[365]

Goldwater przegrał ogromną liczbą głosów. Gdy wziąć pod uwagę monumentalne ego Johnsona oraz zadufanie jego intelektualnej koterii, nie zdumiewa, że wyniki wyborów uznano za akceptację planu tworzenia Wielkiego Społeczeństwa wyrażoną olbrzymią liczbą głosów. Pod wieloma względami Johnson był doskonałym wcieleniem pasji i sprzeczności liberalizmu. Jego

pierwszym zajęciem zarobkowym (co wiele ujawnia) była posada nauczyciela w okresie narastania deweyowskiej rewolucji w szkolnictwie. Podczas debat poświęconych Wielkiemu Społeczeństwu niektórzy zwracali uwagę, że nawet sam zwrot pochodzi od Deweya. Wielokrotnie się pojawia na stronach książki zatytułowanej *The Public and Its Problems* (Społeczeństwo i jego problemy), która została opublikowana w 1927 roku.[366] Jednakże w ostatecznym rachunku należy uznać, że termin został zapożyczony od Grahama Wallace'a, współtwórcy ruchu fabiańskiego, który w 1914 roku wydał książkę zatytułowaną *The Great Society* (Wielkie społeczeństwo), znaną dwóm współpracownikom Johnsona, którzy przypisywali sobie ukucie używanego przez Johnsona zwrotu „Wielkie Społeczeństwo".

Jednym z tych współpracowników był Richard Goodwin, złoty chłopak administracji Kennedy'ego (ukończył z najlepszym wynikiem na swoim roku studia na Harvard Law, samodzielnym wydziale prawa przy Uniwersytecie Harvarda). Kennedy zwrócił na niego uwagę z powodu jego pracy w charakterze kongresowego śledczego analizującego skandale wywołane przez quizy telewizyjne w latach pięćdziesiątych. Johnson odziedziczył Goodwina po Kennedym jako autora przemówień. Latem 1965 roku Goodwin przedstawił wyjaśnienie, czym jest Wielkie Społeczeństwo, które w dzienniku „New York Times" uznano za „najbardziej wyrafinowany i najwięcej ujawniający z dotychczasowych komentarzy". Goodwin twierdził, że państwo musi nadać „sens" jednostkom i „sprawić, że świat będzie radośniejszym, a przede wszystkim wzbogacającym miejscem". „Wielkie Społeczeństwo – tłumaczył Goodwin – nie oznacza ilości posiadanych przez nas dóbr, lecz jakość naszego życia". Wprawdzie nie stwierdził tego tak jednoznacznie, ale nie ulegało wątpliwości, że Wielkie Społeczeństwo zaproponuje przeciwieństwo „nienawiści", która zabiła Kennedy'ego, czyli miłość.[367]

Miała to jednak przy tym być twarda miłość. Goodwin jasno stawiał sprawę, że jeśli obywatele nie zechcą poszukiwać sensu poprzez działania państwa ani mierzyć jakości własnego życia za pomocą biurokratycznego suwaka logarytmicznego, to ten opór zostanie pokonany. Niekoniecznie perswazją. Zadanie rządu polega na tym, że ma „pobudzić ich do działania bądź do popierania działania". Znów się tu mozolił duch Deweya. Goodwin utrzymywał, że Wielkie Społeczeństwo musi „zapewnić naszemu narodowi środowisko, możliwości oraz struktury społeczne, które dadzą Amerykanom konkretną szansę dążenia do osobistego szczęścia". Niewiele się to różniło od propagowanej przez Deweya wersji demokracji sterowanej przez państwo. Dewey bowiem uważał, że „prawa naturalne i naturalne swobody istnieją jedynie w królestwie mitologicznej zoologii społecznej" i że „zorganizowana kontrola społeczna" poprzez wykorzystanie „uspołecznionej gospodarki" jest jedynym sposobem tworzenia „wolnych" jednostek.[368]

Religijny charakter współczesnego liberalizmu nigdy nie krył się głęboko pod powierzchnią. Lata sześćdziesiąte należy w istocie uważać za jedno z serii „wielkich przebudzeni" w amerykańskiej historii, mianowicie rozpowszechnione pragnienie nowego znaczenia, przez które zrodził się gwałtowny ruch społeczno-polityczny. Jedyna różnica polegała na tym, że przy tym przebudzeniu Boga pozostawiono daleko w tyle. Paul Goodman, którego książka *Growing Up Absurd* z 1960 roku przyczyniła się do rozwoju polityki nadziei w pierwszej połowie tamtego dziesięciolecia, w drugiej połowie dostrzegł, jak wiele brakowało w jego pierwotnej diagnozie: „Wyobrażałem sobie, że studenckie protesty na całym świecie miały związek ze zmianą instytucji politycznych i moralnych, z którą sympatyzowałem, ale teraz [w 1969 roku] przekonałem się, że mieliśmy do czynienia z kryzysem religijnym na skalę szesnastowiecznej reformacji, kiedy nie tylko wszystkie instytucje, ale i całą naukę uważano za zepsute, czemu winna była nierządnica babilońska".[369]

W ostatnich latach ze sporym uznaniem się przyjmuje ten pogląd, że lata sześćdziesiąte były w istocie zjawiskiem religijnym. Obecnie badacze rozprawiają o szczegółach tej trajektorii. Na przykład John Judis, bardzo spostrzegawczy dziennikarz, uważa, że rewolta z lat sześćdziesiątych miała dwie fazy, pomilenarystyczny etap polityki nadziei, a następnie przedmilenarystyczny etap polityki rozpaczy. Druga z tych faz została spowodowana przez eskalację działań wojennych, zamieszki na tle rasowym w ojczyźnie oraz zamordowanie Roberta Kennedy'ego i Martina Luthera

Kinga. „Pomilenaryzm" i „przedmilenaryzm" to niosące teologiczne treści określenia dwóch wizji religijnych. Pomilenaryści wychodzą z założenia, że człowiek może stworzyć na ziemi Królestwo Boże. W swych dążeniach pomilenarystami byli w większości przedstawiciele ruchu Social Gospel, uważający, że Heglowski boski byt państwowy to Królestwo Niebieskie na Ziemi. Przedmilenaryści zaś sądzą, że świat się zbliża do końca i najpierw wszystko musi się pogorszyć, zanim się poprawi.[370]

Zaproponowana przez Judisa chronologia ma pewne zalety, ale ostatecznie więcej sensu ma uznanie tych wizji nie za odrębne **fazy** liberalizmu, lecz za ścierające się nurty w samym liberalizmie. W lewicowych koncepcjach zawsze się uwidaczniał wątek apokaliptyczny. Lenin głosił: „Im gorzej, tym lepiej". Pisma Georges'a Sorela będą pozbawione sensu dla kogoś, kto nie dostrzeże, że w jego przeświadczeniu polityka to przedsięwzięcie zasadniczo religijne. Rewolucyjna awangarda zawsze się domagała zniszczenia przed tworzeniem. Futuryści, anarchiści, wortycyści, maoiści i rozmaici inni moderniści oraz lewicowi awangardyści uważali, że młotek służy przede wszystkim do rozbijania, a jego przydatność do budowania znajduje się dopiero na drugim miejscu. Hitler naturalnie głęboko wierzył w korzyści społeczne płynące z destrukcji (chociaż, co często tłumaczył, rozumiał, że rzeczywista władza nie bierze się z niszczenia, lecz z psucia instytucji). Musimy również zwrócić uwagę na apokaliptyczną logikę progresywizmu w ogólności. Jeżeli koło historii, czyli państwo, kieruje nas ku Królestwu Niebieskiemu, to za każdym razem, gdy władzę przejmuje „wróg", poruszamy się w kierunku błędnym pod względem metafizycznym. Najwyraźniej się to ujawnia, gdy media głównego nurtu uznają socjalistyczne reformy za „krok naprzód", natomiast reformy wolnorynkowe za „cofanie się" lub „cofanie wskazówek zegara". A gdy zbyt długo sprawują władzę nieprogresywiści, to z lewej strony dobiegają coraz głośniejsze żądania „rozmontowania wszystkiego". Innymi słowy, apokaliptyczny ferwor, który Judis dostrzega pod koniec lat sześćdziesiątych, miał swe źródło nie tylko w rozwianiu iluzji dotyczącej zamachu na Kennedy'ego i porażce liberalizmu Wielkiego Społeczeństwa, ale i w narastających w ludziach i uwięzionych impulsach religijnych ogólnie cechujących progresywizm. Cierpliwi reformatorzy zyskali szansę. Nastał czas niszczenia: „Burn, baby, burn!".

Lata sześćdziesiąte nie były jednak wyłącznie okresem „pożarów na ulicach", podobnie jak rewolucja francuska to nie tylko terror. W złożonych strukturach biurokratycznych opracowanych w celu „racjonalizowania" gospodarki pracowało więcej jakobinów, niż kiedykolwiek się uwijało przy gilotynie. Odrodzony duch reform zapewnił bębnienie nadające rytm „długiemu marszowi przez instytucje". Konsumencka krucjata Ralpha Nadera została rozpoczęta w latach sześćdziesiątych, wtedy także zapoczątkowany został współczesny ruch na rzecz ochrony środowiska naturalnego. W 1963 roku ukazała się *Mistyka kobiecości* (*Feminine Mystique*) Betty Friedan.[371] Do zamieszek w pubie Stonewall, przez które zaczął się ruch walki o prawa mniejszości seksualnych, doszło w lecie 1969 roku. I znów granica między oficjalną religią a polityką progresywistyczną została zatarta tak, że stała się niewidoczna. I znów przywódcy religijni Kościołów „głównego nurtu" zostali skuszeni polityką radykalną.[372] W jednym numerze wydawanego przez Kościół metodystyczny pisma „motive" – wywierało ono wielki wpływ na młodą Hillary Clinton – wydrukowano kartkę z życzeniami urodzinowymi dla Ho Chi Minha, a w innym opublikowano wskazówki, jak uniknąć poboru do służby wojskowej. Te wszystkie krucjaty polityczne wynikały z moralizatorskiego zapału i duchowego pragnienia czegoś ponad sam chleb. Większość radykałów z Nowej Lewicy tłumaczyła później, że ich działania były raczej poszukiwaniami duchowymi niż politycznymi. Dlatego właśnie tak wielu z nich znikało, trafiając do komun i na seminaria EST, szukając „sensu", „autentyczności", „społeczności", a przede wszystkim „siebie". Dla pokolenia lat sześćdziesiątych „samourzeczywistnienie" stało się nową świecką łaską.[373] W 1965 roku Harvey Cox, nieznany duchowny Kościoła baptystycznego i były kapelan Oberlin College, wydał książkę zatytułowaną *The Secular City* (Świeckie miasto), przez którą z dnia na dzień stał się prorokiem. Sprzedano ponad milion egzemplarzy tej książki, w której Cox przekonywał do pewnej desakralizacji chrześcijaństwa, aby umożliwić nową transcendencję odnajdywaną w „technopolis". Owa

technopolia to „przestrzeń pod władzą człowieka, przestrzeń racjonalnego planowania i organizacji biurokratycznej". Współczesna religia i duchowość wymagają „zniszczenia wszystkich nadprzyrodzonych mitów i świętych symboli". Musimy zamiast nich dokonać uduchowienia kultury materialnej, aby doskonalić człowieka i społeczeństwo poprzez technologię i planowanie społeczne. W książce wydanej przez Coxa „polityka zastępuje metafizykę jako język teologii". Autentycznym kultem religijnym nie jest klękanie w kościele, lecz „stawanie w szeregu demonstrantów". Książka *The Secular City* stanowiła ważną intelektualną podstawę przejścia, do którego doszło w latach sześćdziesiątych (choć musimy tu wspomnieć, że dwadzieścia lat później Cox odwołał wiele ze swych argumentów).[374]

Dowód podzielonej natury liberalizmu można znaleźć w trwałym, cechującym się jednocześnie miłością i nienawiścią związku między „żywiącymi nadzieje" liberałami a „apokaliptycznymi" lewicowcami. W całych latach sześćdziesiątych centrowi liberałowie pozwalali na wiele radykałom znajdującym się bardziej na lewo od nich i ich przepraszali. A gdy radykałowie przeszli do czynu i doszło do rozstrzygnięcia – jak na przykład na Uniwersytecie Cornella – przed radykałami skapitulowali. Nawet obecnie liberałowie głównego nurtu wykazują znacznie większe skłonności do romantyzowania „rewolucjonistów" z lat sześćdziesiątych, po części z tego powodu, że bardzo wielu z nich taką rolę w ich młodości odegrało. Dziś na kampusach administratorzy – często żywe skamieliny z lat sześćdziesiątych – sławią taniec kabuki lewicowego protestu, uznając go za zasadniczy element wyższego wykształcenia. Martwią się tylko wtedy, gdy protesty zaczynają się pojawiać po prawej stronie.

Jednakże najważniejszą spuścizną po latach sześćdziesiątych z pewnością jest poczucie winy żywione przez liberałów. Poczucie winy z tego powodu, że nie zdołali stworzyć Wielkiego Społeczeństwa. Poczucie winy przez to, że zostawili „w tyle" dzieci, czarnych i pozostałych z Koalicji Ciemiężonych. Poczucie winy należy do uczuć o największej zawartości elementu religijnego, a przy tym potrafi szybko przechodzić w pewien narcystyczny kompleks Boga. Liberałowie chełpili się własnym poczuciem winy. Czemu? Bo potwierdzało liberalną wszechmoc. Kennedy i Johnson reprezentowali przekonanie, że oświecone i zamożne społeczeństwo zdołałoby rozwiązać każdy problem, usunąć wszystkie bolączki. Zwykle nie czujemy się winni, gdy zło wyrządzają siły, nad którymi nie mamy kontroli. Ale gdy ktoś ma władzę pozwalającą kontrolować wszystko, to czuje się winny z powodu wszystkiego. Lyndon Johnson nie tylko przyspieszył rozwój przyjętej przez Kennedy ego polityki oczekiwań, gdy deklarował „Możemy to wszystko zrobić, jesteśmy najzamożniejszym państwem świata", lecz wszelkie niedociągnięcia – gdziekolwiek – uważał za dowody malejącego zaangażowania, rasizmu, znieczulicy bądź po prostu najzwyklejszej „nienawiści". Możliwość doznawania poczucia winy była znakiem łaski, dowodziła bowiem, że ktoś ma serce tam, gdzie się powinno znajdować.

Konserwatyści znaleźli się w potrzasku. Gdy ktoś odrzucał koncepcję wszechmocnego państwa, świadczyło to o tym, że nienawidzi tych, którym rząd starał się pomóc. A jedynym sposobem wykazania, że nie żywi się do nich nienawiści – niezależnie od tego, kim byli ci „oni" – było wspieranie interwencji rządowych (albo „akcji afirmatywnej", jak to określał Kennedy) podejmowanych w ich imieniu. Idea „dobrego konserwatysty" miała charakter oksymoronu. Konserwatyzm bowiem z definicji „stopuje nas" – zostawia niektórych „w tyle" – gdy wszyscy wiemy, że rozwiązanie każdego problemu jest tuż za zakrętem.

Spowodowało to powstanie wąwozu w amerykańskim pejzażu politycznym. Na jednym zboczu byli radykałowie i organizatorzy zamieszek, którzy metaforycznie, a niekiedy również dosłownie, popełniali bezkarnie morderstwa. Na drugim mieścili się konserwatyści – ziejący nienawiścią, chorzy i prefaszystowscy – którzy nawet w najmniejszym stopniu nie zasługiwali na domniemanie niewinności. Liberałowie znaleźli się pośrodku, po czym większość, gdy została przymuszona do dokonania wyboru, opowiedziała się po stronie radykałów („Wprawdzie są zbyt niecierpliwi, ale przynajmniej się przejmują!"). Fakt, że radykałowie pogardzali liberałami za to, że nie idą dostatecznie daleko dostatecznie szybko, jedynie potwierdzał ich moralny status w umysłach liberałów zżeranych przez poczucie winy.[375]

W tym klimacie nieuchronne było to, że liberałowie szastali pieniędzmi. Niczym dawni arystokraci kupujący od Kościoła odpusty liberałowie z establishmentu starali się odpokutować winy, dając „ciemiężonym" jak najwięcej darmowych rzeczy Istotna rolę odgrywał także naturalnie strach. Pragmatyczni liberałowie – którzy nie byli skłonni przyznawać tego publicznie, co jest całkowicie zrozumiałe – bezsprzecznie przyjęli logikę stosowana przez Bismarcka starającego się udobruchać radykałów reformami systemu prawnego i szczodrością państwa. W przekonaniu innych bardzo rzeczywiste zagrożenie stwarzane przez radykalizm zapewniało akurat ten rodzaj „mechanizmu kryzysowego", którego zawsze poszukiwali liberałowie. Szalejąca w obozie liberalnym panika z powodu „kryzysu na tle rasowym" często służyła za uzasadnienie pozwalające odkurzyć każdy etatystyczny program leżący na półce progresywistycznej.

Od wypłat gotówki ubogim po budowanie nowych mostów i wznoszenie osiedli – programy były zakrojone na wielka skalę nawet przy przyjęciu norm nowoładowych. Ruch na rzecz praw obywatelskich, który zaskarbił sobie sympatię społeczeństwa wskutek przekazu Kinga głoszącego równość i nakaz niezważania na kolor skóry, szybko uległ degeneracji w orgie przywilejów przyznawanych na podstawach rasowych. George Wiley, przewodniczący Krajowej Organizacji na rzecz Praw do Świadczeń (National Welfare Rights Organization), utrzymywał, że świadczenia ze strony państwa to „nie przywilej, lecz prawo". Niektórzy nawet wywodzili, że świadczenia to forma odszkodowania za niewolnictwo. Jednocześnie wszelkie protesty przeciwko takim programom piętnowano, nazywając je przejawami fanatyzmu.

Wojna z Ubóstwem, akcja afirmatywna, budowa osiedli oraz ogromny zakres dopłat przewidziany w kategorii świadczeń socjalnych – Pomoc Rodzinom z Dziećmi na Utrzymaniu, granty przyznawane na cele mieszkaniowe, Medicare, świadczenia w programie Women, Infants, and Children, kupony żywnościowe – wszystko to było rozprowadzane przez potężnie rozbudowany aparat administracyjny, na skalę, o której nie marzyłby nawet Franklin D. Roosevelt. Większości lewicowców to jednak nie usatysfakcjonowało, po części przez to, że te programy okazały się wyraźnie nieskutecznymi narzędziami do tworzenia Wielkiego Społeczeństwa lub walki z nędzą. Nawet Roosevelt dostrzegał, że zasiłek może się stać „narkotykiem [...] ludzkiego ducha", ale w latach sześćdziesiątych takie obawy powszechnie odrzucano, uważając je za brednie.[376] Na łamach „New Republic" wywodzono, że wdrażany przez Johnsona program walki z nędzą był doskonały „na początek", podkreślano jednak przy tym, że „nie ma innego rozwiązania od zakrojonych na naprawdę wielką skalę, korekcyjnych działań społecznych na poziomie federalnym oraz wypłat". Michael Harrington, którego książka zatytułowana *The Other America* (Druga Ameryka) stworzyła moralny fundament pod program Wojny z Ubóstwem, stał na czele grupy złożonej z trzydziestu dwóch lewicowych intelektualistów, pompatycznie nazwanej „Doraźnym Komitetem na rzecz Potrójnej Rewolucji" (Ad Hoc Committee on the Triple Revolution). Grupa ta głosiła, że państwo powinno zapewnić „każdej jednostce i każdej rodzinie odpowiedni dochód, który należy im się jako prawo". Komitet ubolewał, że Amerykanie są „zbyt zdezorientowani i przerażeni przez postrach, który nazywamy »państwem opiekuńczym«, używając określenia, które jest uważane za chlubne w większości regionów świata".[377]

Nie tylko otrzymujący wsparcie byli uzależnieni od narkotyku „ulgi", to samo można stwierdzić o przydzielających tę pomoc. Niczym ktoś za wszelką cenę usiłujący przepchnąć sześcienny klocek przez okrągły otwór liberałowie z establishmentu stale podkreślali, że jeszcze tylko odrobina pieniędzy, jeszcze odrobina wysiłku sprawią, że nadejdzie euforia wymykającego się Wielkiego Społeczeństwa. Mickey Kaus komentował w książce *The End of Equality* (Koniec równości), że na każdą przeszkodę liberałowie reagowali jednym słowem: „więcej".[378] Gdy wyglądało na to, że przez działania państwa opiekuńczego ojcowie porzucają rodziny, liberałowie w odpowiedzi stwierdzili, iż należy zwiększyć świadczenia dla rodzin, w których ojciec pozostaje w domu. To jednak doprowadziło do tego, że wielu pobierających świadczenia pozostawało bezrobotnymi albo na bezrobocie przechodziło. Jak na to zareagowano? Uznano, że należy dać pieniądze także zatrudnionym biednym ojcom. To jednak skłaniało do tego, aby małżonkowie się

rozwiedli z chwilą, gdy ojciec wydobył się z nędzy, aby przez to nie utracić świadczeń, A jeśli ktokolwiek krytykował którekolwiek z tych rozwiązań, znaczyło to, że jest faszystą.

Pojawiło się mnóstwo niezamierzonych, ale nieuchronnych konsekwencji liberalnego myślenia utopijnego. Od 1964 roku liczba przestępstw popełnianych w Stanach Zjednoczonych wzrastała mniej więcej o 20 procent rocznie.[379] Liberalne orzeczenia sądów, szczególnie orzeczenie Sądu Najwyższego w sprawie Ernesta Mirandy przeciwko stanowi Arizona,[380] doprowadziły do tego, że w większych miastach gwałtownie spadł odsetek spraw kończących się postawieniem zarzutów (*clearance rate*). Przez świadczenia socjalne wzrastała liczba rozpadających się małżeństw, przybywało dzieci nieślubnych i innych patologicznych zjawisk, które te świadczenia miały usunąć. Pierwotna rewolucja, której celem było zapewnienie praw obywatelskich – w wielkim stopniu jej podstawą była przyjmowana w klasycznym liberalizmie koncepcja równości wobec prawa – nie zapewniła takiej integracji, na jaką liczyli liberałowie. W 1964 roku Hubert Humphrey – „Mister Liberal" – zaklinał się z całą mocą w Senacie, że ustawa o prawach obywatelskich w żadnym wypadku nie może prowadzić do limitów, a jeśli ktoś wykaże, że jest inaczej, on zacznie „jeść te strony jedna po drugiej, bo tego tam nie ma".[381]

Do 1972 roku Partia Demokratyczna – pod przykrywką tzw. zasad McGoverna – przyjęła konkretne liczby (odnoszące się do czarnych, kobiet i młodzieży), uznając je za określającą zasadę organizacyjną.[382] Nie powinno również wcale dziwić, że Partia Demokratyczna, która postanowiła zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby „wyglądać jak Ameryka", później z całym zaangażowaniem dążyła do tego, aby Ameryka wyglądała jak Partia Demokratyczna. A gdy ktoś krytykował którykolwiek z **tych punktów** programu, też był faszystą.

Gdy w amerykańskich miastach dochodziło do aktów przemocy, które w istocie były działaniami faszystowskimi, biali liberałowie pławili się w poczuciu winy i oskarżaniu prawicy. Zamieszki w Watts, do których doszło w 1965 roku, okazały się prawdziwym punktem przełomowym. Nie tylko bowiem całość liberalnej inteligencji zdecydowanie oskarżała białą Amerykę – czyli „system" – że przez nią się sięga po przemoc, ale także same akty przemocy popełnione w tej dzielnicy Los Angeles stały się moralnie uzasadnioną i chwalebną „rebelią". Johnson komentował, że należy się spodziewać takiego zachowania, gdy „ludzie mają poczucie, że nie traktuje się ich sprawiedliwie". Hubert Humphrey stwierdził, że gdyby się urodził w biednej rodzinie, być może również uczestniczyłby w tych zamieszkach. Pojawiła się cała „ideologia zamieszek", która stała się nową formą „pertraktacji społecznych", jak ujął to historyk Fred Siegel. Zniszcz swoją dzielnicę, to rząd ci kupi lepszą.[383]

Skala liberalnego wyparcia ujawniła się w pełni, gdy Daniel Patrick Moynihan, wówczas doradca Richarda Nixona, przekonywał do polityki „łagodnego zaniedbywania" (*benign neglect*) w kwestiach mających podłoże rasowe. Moynihan w zaufaniu informował Nixona o swoim przekonaniu, że o kwestii rasowej „za dużo się mówiło", po czym przekonywał: „Być może potrzebujemy pewnego okresu, w którym będzie się dokonywać postęp w sprawach Murzynów, a rasowa retoryka ucichnie".[384] Moynihan nakłaniał prezydenta, aby w tym celu unikał konfrontacji z czarnymi ekstremistami, lecz energicznie się zajął wdrażaniem programów polityki społecznej opracowanej na podstawach klasowych. Liberalni redaktorzy i dziennikarze, działacze i pracownicy naukowi zareagowali na to ze zgrozą, uznając, że notatka Moynihana jest „haniebna", „skandaliczna" i „bezwzględna". Ta reakcja wiele ukazała. Liberałowie do tego stopnia nasiąkli założeniami o boskim bycie państwowym, że sugestia, iż państwo mogłoby – by już nawet nie myśleć o argumencie, że powinno – odwrócić się od narodu wybranego (kto bowiem mógłby być namaszczony w większym stopniu niż ubodzy czarni, ofiary niewolnictwa i segregacji rasowej?), równało się uznaniu, że Bóg przestał być Bogiem. Gdy sprawa dotyczy państwa, zaniedbanie nie może być łagodne, musi być złośliwe, albowiem państwo to miłość.

Większa ironia sytuacyjna wynikająca z transformacji amerykańskiego liberalizmu polega na tym, że zaczął się on kierować prefaszystowską logiką realizowanego przez Bismarcka programu państwa opiekuńczego. Bismarck bowiem pioniersko wdrażał koncepcję liberalizmu bez

wolności. Za szczodrze przydzielane przez wszechmocne państwo błyskotki Bismarck przeciągnął na swoją stronę siły demokratycznej rewolucji. Reforma bez demokracji spowodowała wzrost potęgi państwa biurokratycznego, a jednocześnie powodowała, że społeczeństwo było zadowolone. Szczególnie czarni pożenili własne interesy z państwem i jego prawowitymi przedstawicielami, czyli Partią Demokratyczną. Czarni i demokraci wzajemnie sobie świadczą przysługi, a ich powiązania są tak zakorzenione, że wielu liberalnych czarnych intelektualistów całkiem dosłownie uważa opozycję wobec Partii Demokratycznej za pewną formę faszyzmu. Liberałowie zawarli też bismarckowy układ z sądami. Ponieważ coraz więcej rozczarowywało na arenie demokratycznej, liberałowie przystali na odgórny liberalizm reprezentowany przez sędziów aktywistów. Obecnie liberalizm niemal całkowicie zależy od „oświeconych" sędziów, którzy wykorzystują propagowaną przez Wilsona koncepcję „żywej konstytucji", aby w imię postępu występować przeciwko woli narodu.

To wszystko ma swój początek w zabójstwie Kennedy'ego, kiedy szalony komunista stworzył męczennika progresywistę. W 1983 roku, w dwudziestą rocznicę tego zabójstwa, Gary Hart powiedział w wywiadzie dla redakcji „Esquire": „Gdybyście nas wszystkich zebrali razem [polityków z Partii Demokratycznej] i spytali, dlaczego się zaangażowaliśmy w politykę, 90 procent odpowiedziałoby, że to z powodu Johna Kennedy'ego".[385] W 1988 roku Michael Dukakis uważał (dość absurdalnie), że jest kolejnym wcieleniem Kennedy'ego, a nawet wziął Lloyda Bentsena na kandydata na wice-prezydenta, aby odtworzyć „magię" tzw. osi Boston-Austin. W 1992 roku szczytowym osiągnięciem w kampanii Clintona był utrzymany w stylistyce produkcji Leni Riefenstahl film, w którym znalazły się kadry ukazujące nastoletniego Billa Clintona ściskającego dłoń prezydenta Kennedy'ego. John Kerry naśladował akcent Kennedy'ego w szkole, używał inicjałów JFK i chciał się wzorować na Kennedym w swojej karierze politycznej. W 2004 roku Howard Dean i John Edwards także twierdzili, że są autentycznymi spadkobiercami misji Kennedy'ego. Tak samo postępowali wcześniejsi kandydaci, między innymi Bob Kerrey, Gary Hart oraz – rzecz jasna – Ted i Robert Kennedy. W 2007 roku Hillary Clinton powiedziała, że jest Kennedym w czasie kampanii.

Autentycznym dowodem tego, jak dogłębnie mit Kennedy'ego wniknął do amerykańskiego życia, jest to, jak Amerykanie przyjęli w 1999 roku śmierć jego syna, Johna E Kennedy'ego juniora. „John-John", jak go zwano pieszczotliwie i protekcjonalnie, według wszystkich relacji był dobrym i przyzwoitym człowiekiem. Z pewnością bardzo przystojnym. I był synem ukochanego prezydenta. Jednakże poza tym jego kariera i osiągnięcia były w najlepszym razie skromne. Trzy razy zdawał egzamin prawniczy w Nowym Jorku. Prokuratorem był niewybitnym. Zaczął wydawać dziecinne pismo „George", w którym celowo zacierano granice między sprawami osobistymi a politycznymi, rzeczami ważnymi a sprawami dotyczącymi celebrytów, kwestiami banalnymi a ważnymi. Ale gdy John junior zginął w tragicznej katastrofie lotniczej, jego śmierć za pomocą religijnych określeń opisywała pewna klasa polityczna całkowicie przekonana, że Syn, podobnie jak Ojciec, był napełniony Duchem Świętym Kennedych. Historyk Douglas Brinkley pisał na łamach dziennika „New York Times", że John Kennedy junior był „fotogenicznym odkupicielem" jego pokolenia. Wszędzie Kennedy'ego syna ukazywano jako tragicznie utraconego „zbawcę narodu". Bernard Kalb podsumował ton tych publikacji następująco: Kennedy'ego juniora ukazywano jak „jakiegoś świeckiego mesjasza, który ocaliłby cywilizację od wszystkich strasznych problemów, gdyby żył".[386]

Gdy obecnie ktoś odrzuca status Johna Kennedy'ego jako męczennika dającego świadectwo temu, co mogłoby się zdarzyć, to odrzuca nadzieję samego liberalizmu. Od kilkudziesięciu lat w Stanach Zjednoczonych liberalna polityka miała za podstawę politykę ducha. Nigdy nie istniał Jack Kennedy pamiętany przez liberałów. Jednakże mit Kennedy'ego nie przedstawia człowieka, lecz moment – moment, w którym liberałowie mieli nadzieję, że sprowadzą na ziemię Królestwo Niebieskie. Czasy nie były aż tak sprzyjające, jak to pamiętają liberałowie. Przecież nie życie Kennedy'ego, lecz jego śmierć spowodowała, że mnóstwo Amerykanów opowiedziało się za „kennedyizmem". Ale nie oto chodzi. Ważne jest to, że ludzie wierzą w mit, a przez to się nim

kierują. Liberałowie przez „krótką słoneczną chwilę” wierzyli, że mogą utworzyć swoje Królestwo Niebieskie, swój Camelot. Od tamtego czasu marzą o tym, aby tę chwilę odtworzyć. Gdy patrzy się na niego z zewnątrz, odnosi się wrażenie, że ten mit nie różni się zbytnio od kultu władzy. Ale gdy się patrzy od środka, jest to ewangelia. Wiele przy tym ujawnia to, że demokraci chcą utrzymać substancję Wielkiego Społeczeństwa, a jednocześnie podtrzymują mitologię Camelot. Każdy członek Partii Demokratycznej mówi, że chce być Johnem Kennedym, a zarazem podkreśla, iż zrobi mniej więcej to, co zrobił Lyndon Johnson. Nie ma demokraty, który by powiedział, że chce naśladować Lyndona Johnsona, bo przecież najważniejszy jest mit.

ROZDZIAŁ 7

Liberalny rasizm: eugeniczny duch w faszystowskiej machinie

Za najbardziej oświeconych współcześni liberałowie uważają się w sprawach rasowych. I spośród różnych kontrowersyjnych kwestii tu najszybciej reagują na odstępstwo od liberalnej ortodoksji zarzutem, że wkrada się faszyzm. Niemal w każdej z prowadzonych w ostatnim czterdziestoleciu ważniejszych debat, w których poruszano kwestie rasowe, przynajmniej niektórzy moralizujący liberałowie przypominali o Holokauście, aby mrocznie ostrzegać, że możemy się znaleźć na równi pochyłej prowadzącej do nazistowskich Niemiec, jeżeli dopną swego przeciwnicy takich czy innych preferencji przyjmowanych na podstawach rasowych.

Biali liberałowie nauczyli się tej sztuczki od liberałów czarnych. Czarni działacze ruchu na rzecz praw obywatelskich z upodobaniem rozgrywają nazistowska kartę. Gdy Newt Gingrich starał się dotrzeć do liberalnych demokratów, nakłaniając ich do uczestnictwa w imprezach publicznych, Major Owens, demokrata reprezentujący stan Nowy Jork w Izbie Reprezentantów, był oburzony. „To ludzie popełniający ludobójstwo z uśmiechem. Są gorsi od Hitlera – mówił. – Gingrich uśmiecha się [... i] mówi, że będą naszymi przyjaciółmi. Będziemy mieli imprezowe ludobójstwo”. Uważa się, że Julian Bond, przewodniczący Krajowego Stowarzyszenia Postępu Ludzi Kolorowych (NAACP), zajmuje umiarkowane stanowisko w kwestii polityki rasowej, ale i on lubi sięgać po porównania z nazistowskimi Niemcami. Niedawno stwierdził: „Ich koncepcja równych praw to flaga amerykańska łopocząca obok konfederackiej swastyki. Harry Belafonte szkalował konserwatywnych czarnych z administracji Busha, takich jak Condoleezza Rice czy Colin Powell, szydząc, że Hitler też „miał wielu Żydów na wysokich szczeblach hierarchii III Rzeszy” (należy przy tym zauważyć, że to nieprawda). Nie było takiej formy *reductio ad Hitlerum*, której nie zaakceptowałby Jesse Jackson. Nie da się zliczyć sytuacji, w których w swojej karierze porównywał republikanów z ludobójczymi nazistami. Zarzucał religijnej prawicy, że wywodzi się z hitleryzmu, i potępiał „nazistowską taktykę” George'a W. Busha.[387]

Amerykańskiej prawicy nieustannie przypisuje się najmroczniejsze rozdziały historii Stanów Zjednoczonych, czyli akceptowanie segregacjonistów, ekscesy makkartyzmu, izolacjonizm z okresu poprzedzającego II wojnę światową itd. Rzadko się wspomina liberalny element tych wydarzeń. Partia Demokratyczna przecież przez stulecie popierała prawa Jima Crow. Amerykańscy liberałowie byli izolacjonistami w stopniu co najmniej takim samym co amerykańscy konserwatyści. W porównaniu z czerwonym zagrożeniem, z którym walczyli progresywiści, makkartyzm wyglądał jak debata członków Oxford Union. Kolejni prezydenci z Partii Demokratycznej nakazywali takie rzeczy, jak internowanie Japończyków mieszkających w Stanach Zjednoczonych, dokuczliwy nadzór nad wrogami politycznymi w kraju oraz (uzasadnione) użycie przerażającej broni przeciwko Japonii. Komuniści lojalni wobec Moskwy wymieniali nazwiska heretyckich trockistów.[388]

Sprawa najgorsza ze wszystkich to bodaj zauroczenie liberałów eugeniką, które po prostu wymazano z kart historii. Podobnie jak sowieccy redaktorzy encyklopedii wysyłający uaktualnione wersje z instrukcjami, które strony należy wydrzeć, amerykańscy liberałowie wielokrotnie cenzurowali i poprawiali własną historię, aby „złymi” byli zawsze konserwatyści, a dobrymi zawsze okazywali się liberałowie. Ten rewizjonizm odgrywa pewną rolę w obecnych debatach poświęconych kwestiom bioetyki. Liberałowie nadal mają słabość do pewnych rodzajów eugeniki,

ale są równie ślepi, jeśli chodzi o ich obecną sympatię, jak ślepi byli wcześniejsi liberałowie w przypadku poprzedniej wersji eugeniki.

Liberałowie istotnie mają ślepe plamki, przez które nie dostrzegają własnych ślepych plamek. Nie znając własnej historii i mając słabe pojęcie o istocie nazistowskiej eugeniki, wychodzą z założenia, że eugenika to coś złego i głosić taki program mogą jedynie źli ludzie. Podobnie jak „liberał", który chce wprowadzić zakaz negatywnych reklam w życiu politycznym i uprawiania mowy nienawiści na kampusach, ale przy tym uważa, że zdecydowanie opowiada się przeciwko cenzurze, współczesny liberał nadal z sympatią podchodzi do koncepcji eugenicznych, ale nigdy mu nie zaświta w głowie, że to, do czego dąży, można nazwać właśnie eugeniką.

W obecnych debatach zwykle się zakłada, że konserwatyści nie mają na myśli tego, o czym mówią. Gdy konserwatyści występują przeciwko preferencjom przyjmowanym na podstawach rasowych, można tego wprawdzie bronić za pomocą podniosłych sformułowań o niezważaniu na kolor skóry, ale pod powierzchnią – zapewniają liberałowie – ta wzniosła frazeologia sprowadza się do „kodowanych" odwołań do rasizmu białych z Południa oraz pragnienia „cofnięcia wskazówek zegara" w kwestiach rasowych.

Kontrowersje w sprawie książki Charlesa Murraya zatytułowanej *Bell Curve* (Krzywa dzwonowa) to najlepiej znany przykład tego zjawiska z ostatniego dwudziestolecia. Po ukazaniu się tej książki niemal każdy progresywista w Stanach Zjednoczonych zarzucał Murrayowi, że jest „darwinistą społecznym", który chce propagować każdą reakcyjną koncepcję, od doszukiwania się wad towarzyszących rasie po przymusową sterylizację. Największa z żydowskich organizacji działających w Stanach Zjednoczonych oświadczyła: „Przyjmowanie poważnie koncepcji Charlesa Murraya to stwarzanie zagrożenia, przez które mogą przepaść wyniki ponad sześćdziesięciu lat postępowego zmierzania do sprawiedliwości rasowej. Może się tak stać poprzez przyjmowanie dawno odrzuconych i zdyskredytowanych teorii darwinizmu społecznego i eugeniki". Czarny naukowiec Adolph Reed nazwał Murraya oraz Richarda J. Herrnsteina, współautora tej książki, „intelektualnymi brunatnymi koszulami" i stwierdził, że implicytnie się w tej publikacji akceptuje koncepcje podobne do nazistowskich, czyli „eksterminację, masową sterylizację i selektywne hodowanie ludzi".[389]

Niezależnie jednak od wszelkich możliwych zalet i wad tej książki, elementarnym faktem jest to, że Murray i Herrnstein propagują zdecydowanie libertariańską koncepcję **nieinterwencjonizmu państwa**. Tak, skupili się na sprawach mających fundamentalne i klasyczne znaczenie dla propagatorów eugeniki, mianowicie na tym, czy inteligencję się dziedziczy oraz na częstości występowania inteligencji u przedstawicieli różnych ras, ale ich argumentacja diametralnie się różni od tez stawianych w **autentycznej eugenice**, w której chce się wykorzystywać potęgę państwa w celu udoskonalenia jakiejś społeczności pod względem rasowym, genetycznym lub biologicznym.

Liberałowie nieustannie oczekują, że konserwatyści będą odpokutowywać rasizm, faktyczny i im zarzucany, rozmaitych nieżyjących już konserwatystów. Jednocześnie jednak nie widzą potrzeby badania własnej historii intelektualnej, w dużej mierze z tego powodu, że liberałowie słusznie głosili moralny nakaz desegregacji. Oni są tymi dobrymi i tylko tyle muszą wiedzieć. Nie stawia się pytania, dlaczego progresywizm – nie **konserwatyzm** – wykazywał takie przychylne nastawienie wobec eugeniki. Czy jest coś takiego w „pragmatycznej" ideologii uszczęśliwiania innych na siłę, co powoduje, że ta ideologia jest podatna na idee eugeniczne? Czy powodem jest to, że liberalizm nie zna własnej historii? Nie twierdzę, że redaktorzy pisma „New Republic" sympatyzują obecnie ze zwolennikami eugeniki tylko dlatego, że robili to poprzedni redaktorzy. Jednakże współczesny liberalizm istotnie zapewnia gościnne, odżywcze środowisko wszelkim formom „miłej" eugeniki i koncepcji rasistowskich, dokładnie z tego powodu, że liberałowie nie zrobili takiego intelektualnego i historycznego remanentu, jaki u siebie przeprowadzili konserwatyści. Najwyższy czas, żeby ktoś to zrobił.

Gdy się czyta prace poświęcone kwestiom eugeniki i ras, zwykle natrafia się na wypowiedzi naukowców stawiających zarzut, że do koncepcji eugenicznych prowadzą „konserwatywne" tendencje w społecznościach naukowych, biznesowych czy ogólniej progresywistycznych. Czemu? Ponieważ w przeświadczeniu liberałów rasizm jest obiektywnie konserwatywny. Antysemityzm jest konserwatywny. Konserwatywna jest wrogość wobec biednych (czyli darwinizm społeczny). Z tego powodu liberał, który głosi koncepcje rasistowskie albo opowiada się za eugeniką, zawsze w magiczny sposób zmienia się w konserwatystę. Krótko mówiąc, liberalizm nigdy nie jest zły pod względem moralnym, kiedy więc ujawniają się moralne błędy liberałów, dzieje się tak przez to, że są oni w gruncie rzeczy konserwatystami!

W opublikowanym w piśmie „New Republic" artykule, który poza tym zawiera sporo mądrych spostrzeżeń, Sherwin Nuland, wykładowca i historyk chirurgii z Yale, pisze następująco: „Eugenika była wyznaniem wiary przemawiającym do konserwatystów społecznych, którzy z zadowoleniem przyjmowali, że nędzę i przestępczość powodują czynniki dziedziczne. Liberałowie – lub progresywiści, jak ich wtedy zwykle nazywano – należeli do najzagorzalszych przeciwników tej koncepcji. Uważali bowiem, że niesprawiedliwość społeczna wynika z czynników, które nie są niezmienne, wskutek czego można je korygować przez reformy społeczne i gospodarcze. Mimo to niektórzy progresywistyczni intelektualiści zgadzali się ze zwolennikami eugeniki, że życie każdego obywatela można poprawić za pomocą działań, które przynoszą korzyści całej grupie. Tak wytyczono pole intelektualnej bitwy.[390]

Alan Wolfe pisze tak oto, również na łamach „New Republic": „Konserwatyzm rasowy wyrasta z teorii biologicznych i eugenicznych. Natomiast liberalne koncepcje szkód powstających z przyczyn rasowych wzięły się z dwudziestowiecznego zaniepokojenia wpływem środowiska społecznego na jednostki".[391]

Jakie to dogodne. Tyle że – niestety – po prostu nieprawdziwe. Aby się przekonać, jak ta powszechnie przyjmowana koncepcja została wzniesiona na serii użytecznych liberalnych mitów, a przez to zrozumieć prawdziwą genealogię amerykańskiego liberalizmu, musimy odrzucić bardzo wiele nieprawdziwych teorii historycznych i kategorii przyjmowanych przez nas na wiarę. Przede wszystkim musimy zrozumieć, że amerykański progresywizm dzieli wiele istotnych korzeni z europejskim faszyzmem. Najwyraźniej i najgroźniej ujawnia się to w wielkiej pasji, z którą amerykańscy i europejscy progresywiści przyjęli eugenikę, powszechnie uważaną za **odpowiednie rozwiązanie** „kwestii społecznej".

Przyjrzyjmy się naszej dotychczasowej historii. Faszystowska chwila na początku XX wieku to zjawisko transatlantyckie. Na całym Zachodzie intelektualiści przyjęli koncepcję, że narody to organiczne byty, którymi musi kierować awangarda naukowców i specjalistów od planowania społecznego. Pogardliwie odnosząc się do dogmatów przyjmowanych w XIX wieku, ta samozwańcza progresywistyczna elita wiedziała, co trzeba zrobić, aby zaprowadzić ludzkość na słoneczne wyżyny utopii, Wojna, nacjonalizm, zmierzanie do społeczności kierowanej przez państwo, planowanie gospodarcze, wynoszenie na piedestał tego, co publiczne, i wzgardliwe traktowanie tego, co prywatne – te elementy cechowały wszystkie różnorodne i skłócone nowe „-izmy" Zachodu.

Eugenika świetnie pasowała do tego nowego światopoglądu, a to dlatego, że skoro narody są jak ciała, to ich problemy w pewnym sensie przypominają choroby, toteż polityka staje się pewną dziedziną medycyny, mianowicie nauką zajmującą się podtrzymywaniem zdrowia społecznego. Przydając naukowej wiarygodności Heglowskiej i romantycznej koncepcji narodów jako organicznych bytów, darwinizm przekazał naukowcom w spadku przyzwolenie na uważanie problemów społecznych za zagadki biologiczne. Wyglądało na to, że wszystkie bolączki współczesnego masowego społeczeństwa – zatłoczone miasta, wielodzietność rodzin z niższych klas społecznych, lichą higienę społeczeństwa, a nawet tworzenie przeznaczonych dla ludu kiczowatych wersji mieszczańskiej kultury głównego nurtu – można wyleczyć poprzez umiejętne stosowanie zasad biologicznych.

Istotnie, ogromny przyrost ludności, a szczególnie błyskawiczne rozrastanie się „niewłaściwych” grup społecznych, pasowały do koncepcji Darwina od samego początku. Sam Darwin przyznawał, że jego idee to tylko rozszerzenie maltuzjanizmu na świat przyrody. (Thomas Malthus, filozof zajmujący się gospodarką, prognozował, że naturalna ludzka tendencja do nadmiernego rozmnażania w połączeniu z ograniczonymi zasobami naturalnymi doprowadzi do stałej nędzy). Intelektualiści obawiali się, że współczesna technologia usunęła naturalne mechanizmy ograniczające wzrost liczby „niezdatnych”, przez co powstawała możliwość, że „elementy na wyższym poziomie rozwoju” zostaną „stłamszone” przez czarne i beżowe hordy z poziomów niższych.

Jeśli chodzi o tę rozpowszechnioną wśród intelektualistów i arystokratów panikę, Ameryka nie tylko nie była żadnym wyjątkiem, ale nawet często przodowała. Amerykańscy progresywiści mieli obsesję na punkcie „rasowego zdrowia” narodu, któremu rzekomo zagrażały ogromne fale imigrantów, a także nadmierna liczebność rdzennych Amerykanów. Wiele znanych programów progresywistycznych, od prohibicji po ruch na rzecz kontroli urodzeń, brało się z tego dążenia do ujarzmienia demograficznej bestii. Wiodący intelektualiści progresywistyczni uważali eugenikę za narzędzie istotne, a często nawet nieodzowne przy poszukiwaniu świętego graala „kontroli społecznej”.

Do wydarzeń normalnych i regularnych należały organizowane przez uczelnie niemieckie i amerykańskie wymiany specjalistów od eugeniki, kwestii rasowych („rasologów”), znawców zagadnień higieny rasowej oraz specjalistów od kontroli urodzeń. Przebywając w więzieniu, Hitler „studiował” amerykańską eugenikę, a pewne partie *Mein Kampf* bezsprzecznie odzwierciedlają to zainteresowanie. Wydaje się, że niektóre z jego argumentów pochodzą wprost z różnych progresywistycznych traktatów poświęconych „samobójstwu rasy”. Hitler napisał do przewodniczącego Amerykańskiego Stowarzyszenia na rzecz Eugeniki (American Eugenics Society), prosząc o egzemplarz jego pracy zatytułowanej *Case for Sterilization* (Argumenty za sterylizacją), w której autor nakłaniał do przymusowej sterylizacji około dziesięciu milionów Amerykanów. Później Hitler wysłał mu notatkę, w której dziękował za tę publikację. Wielkie wrażenie na Hitlerze wywarła także książka Madisona Granta zatytułowana *Passing of the Great Race* (Śmierć wielkiej rasy). Hitler nawet nazywał ją swoją „biblią”. W 1934 roku, kiedy narodowosocjalistyczny rząd wysterylizował ponad pięćdziesiąt tysięcy „niezdatnych” Niemców, pewien rozgoryczony amerykański eugenista ubolewał: „Niemcy wygrywają z nami w naszej własnej grze”.[392]

Naturalnie amerykańscy progresywiści nie ponoszą odpowiedzialności za Holokaust. Pozostaje jednak dobrze udokumentowanym faktem to, że w programie progresywistów eugenika zajmowała bardzo ważne miejsce. Historyk Edwin Black pisze, że krucjatę eugeniczną „stworzono w publikacjach i salach doświadczalnych Carnegie Institution, uznano jej słuszność poprzez przyznanie grantów Fundacji Rockefellera, a wiodący pracownicy naukowi najlepszych uczelni z Ligi Bluszczowej ją zatwierdzili, finansowana zaś była poprzez szczególne inicjatywy kolejowego imperium Harrimanów”.[393] Niemieccy specjaliści od kwestii rasowych wykorzystywali wyniki prac amerykańskich uczonych.

Przyjemnie byłoby powiedzieć, że wysiłki podejmowane przez liberałów w celu zamazania sprejem eugeniki we własnej historii i przerzucenia jej na konserwatystów są nie do przyjęcia. One jednak oczywiście **zostały przyjęte**. Większość intelektualistów, by nie wspominać o liberalnych dziennikarzach i komentatorach, nie wie zbyt wiele ani o konserwatyzmie, ani o historii eugeniki, ale przyjmuje na wiarę, że są to zjawiska ściśle z sobą powiązane. Można tylko żywić nadzieję, że przy pewnej dozie prawdy uda się to wyprostować. Krótki przegląd progresywistycznego panteonu intelektualnych bohaterów lewicy, ówczesnych i obecnych – ujawnia, jak bardzo wcześni socjaliści byli przepojeni koncepcjami eugenicznymi.

Podobnie jak socjalistyczna ekonomia była pewną specjalizacją w obszerniejszej dziedzinie zajęć progresywistycznych, tak eugenika była specjalnością ściśle z nią powiązaną. Eugeniczne

argumenty i twierdzenia ekonomiczne następowały po sobie, uzupełniały się, a niekiedy przechodziły jeden w drugi. Sidney Webb, ojciec fabiańskiego socjalizmu, nadal należący do najbardziej poważanych intelektualistów brytyjskich, wyraził się dość jasno. Tłumaczył: „Żaden spójny zwolennik eugeniki nie może być indywidualistą opowiadającym się za »leseferyzmem« [czyli konserwatystą], chyba że zrozpaczony zrezygnuje. Musi ingerować, ingerować, ingerować!". Fakt, że „niewłaściwi" ludzie zaczynali przeważać nad „właściwymi", wprowadziłby Wielką Brytanię na drogę „narodowego upadku" bądź, „w innym scenariuszu", doprowadziłby do tego, że „ten kraj stopniowo przejmowaliby Irlandczycy i Żydzi".[394]

Brytyjski socjalizm, gwiazda przewodnia amerykańskiego progresywizmu, był nasączony eugeniką. Fabianie Sidney i Beatrice Webb, George Bernard Shaw, Harold Laski oraz H.G. Wells byli oddani tej sprawie. John Maynard Keynes, Karl Pearson, Havelock Ellis, Julian i Aldous Huxley, Eden Paul oraz takie progresywne pisma, jak „New Statesman (założone przez Webba) i „Manchester Guardian" także w różnym stopniu propagowali eugenikę.

Jak pisałem wyżej, Wells był zapewne najbardziej wpływowym literatem wśród amerykańskich progresywistów działających przed II wojną światową. Chociaż nawoływał do stworzenia nowego „liberalnego faszyzmu" i „oświeconego nazizmu", Wells w stopniu większym niż ktokolwiek inny umiłował progresywistyczną wizję przyszłości. Był ponadto gorliwym zwolennikiem eugeniki i szczególnie popierał koncepcje eksterminacji niezdatnych i ciemniejszych ras. Wyjaśniał, że jeśli jego „nowa republika" ma zostać kiedyś urzeczywistniona, „roje czarnych, brązowych, beżowych i żółtych" będą „musiały odejść". „Możliwość udoskonalenia ludzkiej rasy nie zależy od wyboru udanych osobników do hodowli – dodawał – lecz od sterylizacji nieudanych". W książce zatytułowanej *The New Machiavelli* (Nowy Machiavelli) twierdził, że eugenika musi zostać zasadniczym elementem wszelkiego prawdziwego i udanego socjalizmu: „Przejściowa jest każda poprawa poza poprawą rasy". Wprawdzie Wells mógł mieć opory w kwestii tego, do jakiego stopnia państwo powinno tę konkluzję wprowadzić w życie, ale pozostał zagorzałym zwolennikiem koncepcji, że państwo powinno intensywnie bronić swoich interesów poprzez zniechęcanie klas próżniaczych.[395]

George Bernard Shaw – bezsprzecznie dlatego, że z powodów pacyfistycznych potępiał I wojnę światową – zdobył reputację otwarcie się wypowiadającego indywidualisty i wolnomyśliciela podejrzliwie odnoszącego się do władzy państwowej i jej nadużyć. Nic nie mogłoby się bardziej różnić od prawdy. Shaw bowiem nie tylko był zagorzałym socjalistą, ale także z całkowitym zaangażowaniem zaakceptował eugenikę, uważając ją za integralny element socjalistycznego programu działania. „Jedynym zasadniczym i możliwym socjalizmem jest zorganizowanie selektywnej hodowli człowieka pod nadzorem państwowym" – głosił. Shaw opowiadał się za zniesieniem tradycyjnego małżeństwa, aby zamiast niego wprowadzić poligamię, która jest bardziej do przyjęcia z powodów eugenicznych. Odbyłoby się to pod auspicjami państwowego departamentu ds. ewolucji i nowej „religii eugenicznej". Shaw przede wszystkim ubolewał z tego powodu, że przez chaotyczny charakter leseferystycznego podejścia do doboru partnera „żon i mężów nie wybiera się tak uważnie jak kasjerów i kucharzy". Tłumaczył ponadto, że inteligentna kobieta byłaby bardziej zadowolona z dziesięcioprocentowego udziału w mężczyźnie z dobrym materiałem genetycznym niż ze stuprocentowego udziału w mężczyźnie o pochodzeniu niezgodnym z oczekiwaniami. Z tego powodu konieczna jest „ludzka stadnina", aby „wyeliminować prostackie osobniki, których głosy zaszkodzą wspólnocie". Shaw uważał, że państwo powinno zdecydowanie prowadzić twardą politykę w stosunku do przestępców i elementów niepożądanych z powodów genetycznych. „Po licznych przeprosinach i wyrazach współczucia, a także po pewnej szczodrości w wypełnianiu ich ostatnich życzeń – pisał z upiorną frajdą – powinniśmy ich umieścić w komorze śmierci i się ich pozbyć".[396]

Inni liberalni bohaterowie podzielali jego entuzjazm. John Maynard Keynes, ojciec założyciel ekonomii liberalnej, zasiadał w zarządzie Brytyjskiego Towarzystwa na rzecz Eugeniki w 1945 roku, czyli wtedy, gdy popularność eugeniki gwałtownie spadała wskutek publikacji informacji o eksperymentach prowadzonych w nazistowskich obozach koncentracyjnych. Keynes

mimo to twierdził, że eugenika to „najważniejsza, znacząca i – dodałbym – **autentyczna** istniejąca dziedzina socjologii". Julian Huxley, założyciel Światowego Funduszu na rzecz Przyrody (World Wildlife Fund), pierwszy dyrektor UNESCO i poważany popularyzator nauki, napisał wspólnie z Wellsem i jego synem książkę zatytułowaną *The Science of Life* (Nauka o życiu). Również on szczerze wierzył w eugenikę. Havelock Ellis, pionierski seksuolog i jeden z twórców ruchu na rzecz kontroli urodzeń, wyrażał przekonanie wielu osób, gdy proponował sporządzenie eugenicznego rejestru wszystkich obywateli, aby w ten sposób zapewnić „rzeczywisty przewodnik informujący o osobach najbardziej zdatnych i najbardziej niezdatnych do przenoszenia cech rasowych". Ellis nie potępiał nazistowskich programów sterylizacji, uważając, że dobra nauka „nie musi się wiązać z nordyckimi i antysemickimi aspektami dążeń nazistowskich". Brytyjski genetyk J.B.S. Haldane następująco pisał na łamach pisma „Daily Worker": „Dogmat mówiący o równości ludzi nie jest elementem komunizmu. [...] Przyjmowana w komunizmie zasada »Od każdego wymagać zgodnie z jego umiejętnościami, każdemu dawać odpowiednio do jego potrzeb« nie miałaby sensu, gdyby wszyscy mieli te same umiejętności".[397]

Harold Laski, w przekonaniu niektórych zasługujący na największe poważanie brytyjski politolog XX wieku (uczył Josepha Kennedy'ego, a John Kennedy był jego studentem), podzielał strach z powodu „samobójstwa rasy" (to amerykańskie określenie): „Odmienne wskaźniki płodności w grupach zdrowych i patologicznych prowadzą do wniosku, że w przyszłości lepsi zostaną przytłumieni przez gorszych". Eugenika była wielką pasją intelektualną Laskiego. Pierwszy opublikowany artykuł jego autorstwa, zatytułowany *The Scope of Eugenics* (Zakres eugeniki) napisany, gdy Laski był jeszcze nastolatkiem – wywarł duże wrażenie na Francisie Galtonie, twórcy eugeniki. Na Oksfordzie Laski studiował u eugenisty Karla Pearsona, który pisał tak oto: „Socjaliści muszą sobie wpoić tego ducha, który będzie się błyskawicznie rozprawiał z występującymi przeciwko państwu i załatwiał sprawę na najbliższej latarni".[398]

Jak powszechnie wiadomo, Laski wywarł ogromny wpływ na amerykański liberalizm. Regularnie publikował na łamach pisma „New Republic", które w pierwszych latach działalności zamieszczało wiele artykułów czołowych brytyjskich intelektualistów, między innymi Wellsa.[399] Laski ponadto wykładał na Uniwersytecie Harvarda i zaprzyjaźnił się z Feliksem Frankfurterem, doradcą Franklina D. Roosevelta, a później sędzią Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Frankfurter przedstawił Laskiego Rooseveltowi. Pomimo silnych powiązań z komunistami Laski należał do najzagorzalszych brytyjskich zwolenników Roosevelta. Jeszcze bardziej znane jest to, że Laski znalazł się w gronie najbliższych przyjaciół Olivera Wendella Holmesa, sędziego Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, i to pomimo różnicy wieku przekraczającej pięćdziesiąt lat. Laski i Holmes korespondowali niemal przez dwadzieścia lat, zachowując listy.

Eugenika w amerykańskim stylu

Amerykańscy progresywiści, którzy pod wieloma względami naśladowali brytyjskich kuzynów, z równym zapałem podchodzili do kwestii higieny rasowej. Weźmy na przykład sędziego Olivera Wendella Holmesa, najbardziej podziwianego prawnika z okresu progresywistycznego i jedną z najbardziej poważanych postaci wśród liberalnych wzorców w historii prawa amerykańskiego. Wydaje się, że nie da się przesadzić z pochwałami pod adresem Holmesa. Felix Frankfurter stwierdził, że jest on „naprawdę bezosobowym głosem konstytucji". „Żaden sędzia Sądu Najwyższego nie rozważał dogłębniej charakteru wolnego społeczeństwa ani nie dążył z większym zapałem do zabezpieczenia warunków jego istnienia poprzez najwyższe poszanowanie swobód obywatelskich niż sędzia Holmes". Inny obserwator komentował: „Niczym uskrzydlona Nike z Samotraki, jest zwieńczeniem setek lat cywilizacji, inspiracją dla przyszłych wieków". Inni twierdzili, że „dla amerykańskich prawników jest pięknym ideałem, a prawnik cytuje jego aforyzmy tak, jak osoba z ogólnym wykształceniem przytacza słowa Hamleta".[400]

Czym tłumaczyć tę wielką popularność Holmesa wśród liberałów? Sprawa jest złożona. Wielu libertarian walczących o swobody obywatelskie chwaliło Holmesa za to, że popierał wolność wypowiedzi w czasie wojny. Progresywiści kochali go za stwierdzenie, że ich programy państwa opiekuńczego opracowywane w celu tworzenia narodu są zgodne z konstytucją. „Jeśli moi współobywatele chcą pójść do piekła, to im w tym pomogę. Na tym polega moja praca" – stwierdził Holmes w słynnej wypowiedzi. Spowodowało to, że niektórzy konserwatyści podziwiali jego „prawniczą powściągliwość". Naprawdę jednak kierował się tą „powściągliwością" przede wszystkim dlatego, że zgadzał się z kierunkiem obranym przez progresywistów.

W 1927 roku Holmes napisał do Harolda Laskiego, aby go z dumą poinformować: „Wydałem orzeczenie podtrzymujące zgodność z konstytucją prawa stanowego dotyczącego sterylizowania imbecyli. Odnosiłem wrażenie, że zbliżam się do **pierwszej zasady prawdziwej reformy**". Niżej Holmes pisał Laskiemu o swoim rozbawieniu z tego powodu, że jego współpracownicy krytykowali jego „dość brutalne słowa, [...] które wprawiły ich we wściekłość".[401]

Holmes pisał w tym liście o swoim orzeczeniu wydanym w słynnej sprawie Carrie Buck przeciwko Johnowi Hendrenowi Bellowi (Buck contra Bell). Progresywistyczni prawnicy reprezentujący obie strony liczyli na to, że Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych doda do amerykańskiej konstytucji przepisy dotyczące eugeniki. Holmes się skłaniał ku temu. Władze stanowe Wirginii uznały że młoda Carrie Buck jest „niezdatna" do posiadania dzieci (choć się okazało, ze nie była niepełnosprawna umysłowo, wbrew twierdzeniom tych władz). Młoda kobietę umieszczono w stanowym ośrodku dla epileptyków i upośledzonych umysłowo (Virginia State Colony for Epileptics and Feebleminded), gdzie ją nakłoniono do wyrażenia zgody na salpingektomię, czyli operację wycięcia jajowodów. Sprawa częściowo została przygotowana na podstawie raportu sporządzonego przez czołowego amerykańskiego eugenistę, Harry'ego Laughlina z Urzędu ds. Ewidencji Eugenicznej (Eugenics Record Office) w Cold Spring Harbor w stanie Nowy Jork, ośrodka pełniącego funkcję RAND Corporation[402] w dziedzinie badań eugenicznych, ufundowanego przez rozmaitych wiodących filantropów progresywistycznych. Chociaż nigdy nie widział Carrie Buck, Laughlin przyjął stwierdzenie pielęgniarki, która o rodzinie Bucków stwierdziła, że ludzie ci „należą do próżniaczej, niedouczonej i bezwartościowej klasy antyspołecznych białych Południa". Na tej podstawie Laughlin konkludował, że eugeniczna sterylizacja stanie się „czynnikiem przyczyniającym się do ograniczenia degeneracji rasy".

Wyrażając przekonanie większości, Holmes wydał zwięzłą opinię mającą tylko nieco ponad stronę. Ta decyzja należy obecnie do najostrzej potępianych i krytykowanych przykładów orzeczeń wydanych w historii Stanów Zjednoczonych. Być może jednak właśnie ta decyzja spośród licznych orzeczeń Holmesa ujawnia najwięcej. Przytaczając zaledwie jeden precedens, prawo stanu Massachusetts dopuszczające obowiązkowe szczepienie dzieci w szkołach publicznych, Holmes pisał, że „zasada będąca podstawą prawną przymusowych szczepień jest dostatecznie obszerna, aby obejmowała również wycięcie jajowodów. [...] Jest lepiej dla całego świata, jeśli zamiast czekać na zgładzenie zdegenerowanego potomstwa za przestępstwo lub pozwolić mu głodować z powodu imbecylizmu, społeczeństwo może udaremnić przedłużanie swojego rodzaju tym, którzy są w oczywisty sposób niezdatni". W konkluzji Holmes zawarł słynne stwierdzenie „Trzy pokolenia imbecyli wystarczą". Jak się przekonamy, to rozumowanie utrzymuje się w często niewypowiadanym uzasadnieniu aborcji.

To przekonanie łączyło w całość wiele zasadniczych wątków przyjmowanych w tamtym okresie w myśli progresywistycznej. Holmes, dopuszczający stosowanie przemocy weteran wojny secesyjnej, uważał, że w świecie nacechowanym brakiem znaczenia wojna stanowi źródło wartości moralnych. Ponieważ tak wielu szlachetnych ludzi złożyło życie w ofierze na polach bitew, wymaganie od takich zdegenerowanych postaci, jak Carrie Buck, poświęcenia dla większego dobra możliwości rozmnażania się, a nawet złożenia w ofierze swojego życia wydawało się całkowicie rozsądne i sprawiedliwe. Powołując się na działanie z dziedziny zdrowia publicznego, gdyż uznał je za odpowiedni precedens, Holmes dodatkowo podkreślił fakt, że zdrowie organizmu społeczeństwa

przeważyło nad jednostkową wolnością. Cel przyświecał ten sam, niezależnie od tego, czy na sprawę się spoglądało przez pryzmat mobilizacji, czy zdrowia publicznego. W artykule opublikowanym na łamach „Illinois Law Review” w 1915 roku Holmes pisał, że dla niego „punktem wyjścia w procesie dążenia do ideału prawa” byłyby „skoordynowane działania podejmowane przez ludzi [...] w celu tworzenia rasy”.[403]

Gdy weźmie się takie wypowiedzi, nie można nie dostrzec, że progresywizm był przedsięwzięciem faszystowskim, przynajmniej przy zastosowaniu obecnie przez nas przyjmowanych norm.

Historycy liberalni zasadniczo się zgadzają, że progresywizm wymyka się prostym definicjom. Dzieje się tak być może przez to, że poprawne określenie progresywizmu za bardzo by przeszkadzało liberalizmowi, gdyż ukazano by, że inicjatywy eugeniczne należały do zasadniczych elementów programu progresywistów. Odpowiedź, która się nasuwa w sposób najoczywistszy, mianowicie stwierdzenie, że progresywiści po prostu reprezentowali epokę, w której żyli, zawodzi pod kilkoma względami. Po pierwsze, progresywistyczni eugeniści mieli przeciwników nieprogresywistycznych, mianowicie opowiadających się przeciwko eugenice wcześnie dojrzałych konserwatystów, radykalnych libertarian i ortodoksyjnych katolików. Tych swoich przeciwników progresywiści uważali za zacofanych reakcjonistów. Po drugie, przekonywanie, że progresywiści byli wytworem swoich czasów, jedynie wzmacnia mój ogólniejszy argument, że progresywizm wywodził się z ruchu faszystowskiego i nigdy się nie odważył rozliczyć z tego dziedzictwa. Obecni liberałowie odziedziczyli hurtem uprzedzenia progresywistyczne, uważając, że tradycjonaliści i religijni konserwatyści stwarzają poważne zagrożenie dla postępu. Jednakże to założenie oznacza, że liberałowie nie dostrzegają faszystowskich zagrożeń we własnych szeregach.

Tymczasem konserwatywne dogmaty religijne i polityczne – nieustannie atakowane przez lewicę – mogą być najpoważniejszym bastionem zapewniającym ochronę przed programami eugenicznymi. Kto najostrzej występuje przeciwko klonowaniu? Kogo najbardziej niepokoją eutanazja, aborcja i odgrywanie Boga w laboratoriach? Dobry dogmat to najpotężniejszy hamulec chroniący przed złymi ideami i jedyny mechanizm gwarantujący, że ludzie będą postępować zgodnie z dobrymi zasadami. Konserwatywny naród, który poważnie się zastanawia nad tym, czy zniszczenie blastocysty jest zabójstwem, w ogóle nie będzie analizować, czy morderstwem jest zabicie płodu mającego osiem i pół miesięcy, by już nie mówić o „upośledzonym” dziecku.

Liberalizm głównego nurtu jest nierozerwalnie powiązany z rozmaitymi grupami tworzonymi na podstawie tożsamości rasowej i płciowej. Podstawowe założenie przyjmowane we wszystkich tych grupach to przekonanie, że ich członkowie coś uzyskają wyłącznie wskutek przynależności do pewnej rasy, płci czy grupy o określonych preferencjach seksualnych. Krótko mówiąc, państwo powinno wyznaczać zwycięzców i przegranych na podstawie okoliczności narodzin. Liberałowie bronią tych założeń, twierdząc, że występują w ten sposób przeciwko rasizmowi. W przeciwieństwie do konserwatystów, którzy głoszą, że instytucje państwowe nie mogą zważać na kolor skóry, liberałowie nadal uważają, iż państwo powinno organizować społeczeństwo na zasadach rasowych. Przywykliśmy do tego, że tego rodzaju wypowiedzi o inżynierii społecznej uważa się za wytwór czasów, które nastały po erze walki o prawa obywatelskie, ale propagowana przez progresywistów w latach sześćdziesiątych doktryna niezważania na kolor skóry to króciutki nawias w bardzo długiej tradycji progresywistycznej. Krótko mówiąc, ciągłości między wczesnym progresywizmem a obecną wielokulturowością jest więcej, niż sądzimy.

Także w tym wypadku pionierem był Thomas Woodrow Wilson. Głoszoną przez niego wizję „samookreślenia” później przedstawiano jako program czysto demokratyczny. Takim jednak nie był. Pod istotnymi względami była to organiczna, darwinowsko-heglowska wizja konieczności zorganizowania się przez narody samodzielnie tak, aby utworzyć zbiorowe byty duchowe i biologiczne. Chodziło zatem o politykę tożsamości. Wilson był progresywistą zarówno w kraju, jak i na arenie międzynarodowej. Wierzył w tworzenie pojedynczych bytów z narodów, ludów i ras.

Jego koncepcja rasowa różniła się od programu Hitlera – i oczywiście nie była tak niszczycielska – ale była równie nieodłącznym elementem wyznawanego światopoglądu.

To, że Wilson uchodzi za najbardziej rasistowskiego prezydenta urzędującego w XX wieku, zwykle tłumaczy się tym, że pochodził z Południa. Był pierwszym prezydentem z południowych stanów po rekonstrukcji Stanów Zjednoczonych. I to prawda, że cechowało go wiele postaw charakterystycznych dla Demokratów Praw Stanowych (Dixiecrats). Świadczą o tym resegregacja przeprowadzona we władzach federalnych, poparcie przez niego ustaw zakazujących małżeństw lub kontaktów płciowych osób należących do różnych ras, wrogie nastawienie wobec przywódców ruchu na rzecz praw obywatelskich czarnych oraz ustaw zakazujących linczu, a także to, że cenił film *Birth of a Nation* (Narodziny narodu) D.W. Griffitha, co powszechnie wiedziano. W gruncie rzeczy jednak to dziedzictwo Wilsona nie miało większego związku z jego rasizmem. W sumie pod żadnym względem nie był tradycyjnym obrońcą Południa. Uważał Lincolna za wybitnego przywódcę, co trudno uważać za postawę charakterystyczną dla południowca. Opowiadając się ponadto za umocnieniem władzy federalnej, Wilson wyrażał przekonania dotyczące praw stanów niezgodne z opiniami tych, którzy się skarżyli, że trzeba prowadzić „wojnę z dokonującą agresji Północą". Nie, rasizm Wilsona był rasizmem „nowoczesnym", zgodnym zarówno z darwinizmem tamtej epoki, jak i heglizmem jego zdecydowanie niemieckiego wykształcenia W książce *The State* (Państwo) i innych publikacjach Wilson wypowiadał się w sposób wyraźnie przypominający twierdzenia Hitlera. Informuje czytelnika na przykład, że niektóre rasy po prostu są na wyższym etapie rozwoju od innych. Te „postępowe rasy" zasługują na postępowe systemy rządów, natomiast rasy zacofane lub „narodowości w stanie stagnacji", którym brakuje niezbędnego postępowego „ducha", niekiedy wymagają autorytarnych rządów (wskrzeszenie tej koncepcji można dostrzec wśród niedawno wytworzonych „realistów", którzy się pojawili po wojnie w Iraku). To właśnie tak go oburzało w rekonstrukcji prowadzonej po wojnie secesyjnej. Nigdy nie wybaczy próby przyznania „gorszej rasie" miejsca wyższego od tego, które zajmowali południowi „Aryjczycy".

Wilson ponadto zdecydowanie bronił eugeniki. Piastując urząd gubernatora stanu New Jersey – rok przed zaprzysiężeniem go na prezydenta – podpisał ustawę, na mocy której powołano między innymi Radę Orzeczników ds. Upośledzonych, Epileptyków i Innych Niepełnosprawnych (Board of Examiners of Feebleminded, Epileptics, and Other Defectives). Zgodnie z przepisami tej ustawy władze stanowe mogły określić, kiedy „prokreacja jest niewskazana"; dotyczyło to przestępców, więźniów oraz dzieci żyjących w ośrodkach opieki społecznej. Kategoria „innych niepełnosprawnych" umożliwiała dość swobodną interpretację.[404] Należy jednak wspomnieć, że Wilson tylko kontynuował od miejsca, w którym się zatrzymał Theodore Roosevelt. Partia Bull Moose – niedawno ponownie odkryta przez liberalnych republikanów i „centrowych" liberałów – regularnie biła na alarm z powodu „samobójstwa rasy" i popierała tych „odważnych", którzy walczyli z upowszechniającym się mieszaniem ras (choć w życiu osobistym Roosevelt był rasistą w stopniu zdecydowanie mniejszym od Wilsona). Podobnie jak Wilson, Roosevelt po prostu przejawiał cechy które zapewniły mu wielką popularność wśród „nowoczesnych" intelektualistów progresywistycznych. W książce zatytułowanej *The Promise of American Life* (Obietnica amerykańskiego życia) Herbert Croly spekulował, że „naprawdę odrodzony rząd państwowy" podjąłby działania, aby eliminować „przestępczość i szaleństwo", wprowadzając w tym celu przepisy decydujące o tym, kto może zawierać związek małżeński i płodzić dzieci. Pisał wyniośle, że takie państwo o rozszerzonych uprawnieniach „mogłoby zapewne dojść do wniosku, że przymusowy celibat dziedzicznych przestępców oraz osób, u których zaczyna się rozwijać szaleństwo, uczyniłby więcej dla poprawy położenia jednostek i społeczeństwa, niż zapewniłaby maksymalna opłata za przejazd na liniach kolejowych, gdzie wynosi dwa centy za milę". Państwo – podkreślał – musi „ingerować, występując w imieniu najzdatniejszych".[405]

Takie stwierdzenia jednak pozwalają uważać, że w sprawach eugeniki Croly wypowiadał się w sposób „gołębi". Ostrzej pisał Charles Van Hise, bliski współpracownik Roosevelta. „Nowym patriotą jest ten, kto nie myśli przede wszystkim o sobie, lecz o swej rasie i o jej przyszłości – wyjaśniał Van Hise, twórca amerykańskiego ruchu na rzecz konserwacji, rektor Uniwersytetu

Wisconsin w dniach chwały zapewnianej przez to, że ta uczelnia była najważniejszym terenem szkoleniowym dla amerykańskich progresywistów.[406] Van Hise dobrze streścił nastawienie amerykańskich progresywistów wobec eugeniki w następującym wyjaśnieniu: „Wiemy na tyle dużo na temat rolnictwa, że można by w tym kraju podwoić produkcję rolniczą, gdyby tę wiedzę zastosowano w praktyce, wiemy na tyle dużo o chorobach, że w latach można by mierzyć okres, w którym udałoby się zasadniczo usunąć z terenu Stanów Zjednoczonych choroby zakaźne, gdyby tę wiedzę zastosowano, i wiemy na tyle dużo o eugenice, że klasy upośledzone zniknęłyby w ciągu niecałego półwiecza, gdyby tę wiedzę zastosowano”.[407]

Zasadniczy podział obozie progresywistów nie był podziałem na zwolenników i przeciwników eugeniki ani podziałem na rasistów i przeciwników rasizmu. Linia podziału przebiegała między zwolennikami „pozytywnej eugeniki” a zwolennikami „negatywnej eugeniki”, między tymi, którzy nazywali siebie humanistami, a tymi, którzy podpisywali się pod teoriami mówiącymi o samobójstwie rasy, między zwolennikami teorii o wpływie środowiska na charakter osoby a deterministami genetycznymi. Zwolennicy eugeniki pozytywnej twierdzili, że zwykłe zachęcanie, nakłanianie i dotowanie spowoduje, że zdatni będą mieć więcej dzieci, niezdatni zaś będą płodzić mniej. Zwolennicy eugeniki negatywnej zaś proponowali rozmaite rozwiązania, od przymusowej sterylizacji po osadzenie w więzieniu (przynajmniej w okresie rozrodczym). Zwolennicy teorii o kształtowaniu charakteru przez środowisko podkreślali, że poprawa materialnych warunków życia klas zdegenerowanych przyczyniłaby się do poprawy ich losu (wielu progresywistów w gruncie rzeczy przyjmowało tezy Lamarcka w kwestii ewolucji człowieka). Teoretycy mówiący o samobójstwie rasy uważali natomiast, że całych klas ludzi po prostu nie można ocalić.

Z różnorodnych powodów często występowali przeciwko eugenice ci, których obecnie nazwalibyśmy konserwatystami. Na przykład jedynym, który nie zgadzał się z pozostałymi w sprawie Carrie Buck przeciwko Johnowi Hendrenowi Bellowi, nie był ani liberalny sędzia Louis Brandeis, ani Harlan Fiske Stone, lecz „arcykonserwatywny” Pierce Butler.[408] Katolickiego konserwatystę G.K. Chestertona nieustannie wykpiwano z tego powodu, że opowiadał się przeciwko eugenice. W różnych pracach, przede wszystkim w publikacji zatytułowanej *Eugenics and Other Evils: An Argument Against the Scientifically Organized Society* (Eugenika i inne rodzaje zła: argumenty przeciwko organizacji Społeczeństwa na zasadach naukowych), Chesterton występował przeciwko temu, co za wyrafinowane stanowisko uważali niemal wszyscy „myślący ludzie” w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Istotnie, instytucją najostrzej zwalczającą eugenikę na całym świecie był Kościół katolicki. To przez wpływy Kościoła katolickiego we Włoszech – a także przez to, że Włosi stanowili mieszankę genetyczną – włoscy faszyści nie mieli takiej obsesji na punkcie eugeniki co amerykańscy progresywiści i naziści (chociaż Mussolini uważał, że z czasem faszystowski rząd zacznie wywierać pozytywny wpływ na włoskie społeczeństwo pod względem eugenicznym). Mimo to progresywiści znaleźli określenie na konserwatywnych przeciwników eugeniki. Otóż nazwali ich darwinistami społecznymi. Progresywiści wymyślili określenie „darwinizm społeczny”, aby za jego pomocą opisywać każdego, kto występował przeciwko twierdzeniu Sidneya Webba, że państwo musi agresywnie „ingerować” w proces reprodukcji społeczeństwa. W cieplarnianej logice lewicy zakładano, że ci, którzy się **sprzeciwiają** przymusowej sterylizacji „niezdatnych” i ubogich, są złoczyńcami umożliwiającymi panowanie „stanu naturalnego” w środowisku klas niższych. Herberta Spencera, domniemanego twórcę darwinizmu społecznego, obwiniano o wszystko, co uważano za niewłaściwe w klasycznym liberalizmie. Spencer istotnie był darwinistą – to on ukuł zwrot o „przetrwaniu najlepiej przystosowanych” (*survival of the fittest*) – ale przedstawiona przez niego interpretacja teorii ewolucji umacniała jego przekonanie, że ludzi należy zostawić w spokoju. Niemal w każdym znaczeniu Spencer był dobrym – chociaż klasycznym – liberałem. Opowiadał się za dobroczynnością, prawami wyborczymi dla kobiet i prawami obywatelskimi. Jednakże był wcieleniem wszystkiego, co w przekonaniu progresywistów było zacofane, reakcyjne i niewłaściwe, nie dlatego, że popierał podobne do hitlerowskich programy przymusowej higieny

rasowej, lecz z tego powodu, że gwałtownie się takim koncepcjom **sprzeciwiał**. Do dziś w kręgach liberalnych intelektualistów i historyków *de rigueur* jest atakować Spencera, uznając go za filozoficzne źródło rasizmu, prawicowej „pazerności", a nawet Holokaustu.[409]

W następstwie pewnych poważnych błędów popełnionych przez liberalnego historyka Richarda Hofstadtera także niemal wszyscy tzw. przemysłowi baronowie-rozbójnicy XIX wieku i początków wieku XX zostali nazwani darwinistami społecznymi, mimo że później działający historycy wykazali, iż na przemysłowców wieku pozłacanego darwinizm wywarł znikomy wpływ, jeśli w ogóle można o nim mówić. Darwinizm był fiksacją intelektualistów i pracowników naukowych. Tzw. baronowie-rozbójnicy na ogół nie uzyskali regularnego wykształcenia. W tym stopniu, w którym swoje przekonania opierali na czymkolwiek, podstawami dla nich były etyka chrześcijańska i pisma Adama Smitha. Uważali ponadto, że kapitalizm jest **dobry** dla nędzarzy. Jednakże wybiórcze cytaty i uogólnienia bez precyzujących rozróżnień – zwykle zawierające marksistowskie frazesy – spowodowały, że owych przemysłowych baronów-rozbójników uznano za *ersatz* faszystów.[410]

Kilku historyków zajęło się tymi zagadkami, określając progresywistów mianem „reformowanych darwinistów". Reformowani darwiniści byli jedynymi rzeczywistymi darwinistami w tym sensie, w którym to słowo przyjmujemy obecnie. Niemal wszyscy wiodący intelektualiści progresywistyczni uważali teorię Darwina za koncepcję dającą przyzwolenie na „ingerowanie" w proces doboru naturalnego wśród ludzi. Nawet progresywiści nie wykazujący rzucających się w oczy zapędów eugenicznych ściśle współpracowali z propagatorami tej sprawy. W kręgach progresywistycznych po prostu nie stygmatyzowano zbytnio rasistowskiej eugeniki.[411]

Zanim będziemy kontynuować ten wywód, należy odrzucić pewne błędne przekonanie, które może się kształtować w umysłach części czytelników. Wprawdzie progresywistyczni eugeniści wielokrotnie głosili obrzydliwe rasistowskie tezy, ale eugenika jako dziedzina badań **niekoniecznie** była rasistowska. Rzecz jasna, na małżeństwa białych z czarnymi ze zgrozą spoglądaliby ludzie, których już przerażały małżeństwa „Aryjczyków" ze Słowianami czy Włochami. Jednakże W.E.B. DuBois podzielał wiele eugenicznych przekonań głoszonych przez białych progresywistów. Jego „uzdolniona jedna dziesiąta" sama w sobie jest określeniem zawierającym pewną eugeniczną treść. Należących do tej „uzdolnionej jednej dziesiątej" nazywał „ludźmi wyjątkowymi" i „najlepszymi przedstawicielami rasy". Ubolewał, że „nie kształtowano Murzynów z myślą o jakimś celu", przez co muszą się zacząć „szkolić i kształtować, aby rozwijać umysł, aby osiągać sprawność i piękno". W swej długiej karierze wielokrotnie wracał do niepokojącej go sprawy, że najgorsi czarni mieli dzieci zbyt wiele, najlepsi zaś płodzili ich zbyt mało. Poparł „projekt murzyński" Margaret Sanger, którego celem było gwałtowne ograniczenie rozmnażania się „gorszych" przedstawicieli czarnej ludności.[412]

O tym, jak nikły związek z rzeczywistością tamtego okresu mają współczesne rozpowszechnione wyobrażenia, być może jeszcze lepiej świadczy sprawa Ku-Klux-Klanu. Od dziesięcioleci Ku-Klux-Klan ukazuje się jako najoczywistszego kandydata na przedstawiciela amerykańskiej odmiany faszyzmu. Ma to dość solidne podstawy. Jednakże mniej zasadne jest przypinanie Ku-Klux-Klanowi prawicowej metki. Ku-Klux-Klan ery progresywnej różnił się od tego, który się wyłonił po wojnie secesyjnej. Był to zbiór w znacznym stopniu niezależnych, luźno z sobą powiązanych organizacji tworzonych na terenie całych Stanów Zjednoczonych. Tym, co je jednoczyło – poza nazwą i absurdalnymi strojami – była inspiracja czerpana z filmu *The Birth of a Nation* (Narodziny narodu). W gruncie rzeczy tworzyły „subkulturę obsesjonatów" z tego filmu. Drugi Ku-Klux-Klan, utworzony w tygodniu premiery filmu w 1915 roku, bezsprzecznie był rasistowski, ale niewiele bardziej niż społeczeństwo ogólnie. Oczywiście, te słowa nie tyle mają bronić Ku-Klux-Klanu, ile są oskarżeniem społeczeństwa, które go wytworzyło.

Przez wiele lat i naukowcy, i laicy przyjmowali konwencjonalne przekonanie, że Ku-Klux-Klan był ruchem działającym na terenach wiejskich i fundamentalistycznym. Naprawdę jednak często był całkiem kosmopolityczny i nowoczesny, znajdując wielu zwolenników w takich

miastach, jak Nowy Jork i Chicago. W wielu społecznościach Ku-Klux-Klan skupiał się na reformach lokalnych władz i utrzymaniu wartości społecznych. Często najintensywniej poza instytucjami państwowymi narzucał prohibicję, „reformę" w najwyższym stopniu progresywistyczną. „Ci członkowie Ku-Klux-Klanu – pisze Jesse Walker w cennym przeglądzie wyników najnowszych badań naukowych – częściej chłostali ludzi za pędzenie alkoholu lub niedotrzymywanie przysięgi małżeńskiej niż za to, że byli czarnymi czy Żydami".[413]

Gdy współcześni liberałowie starają się tłumaczyć, dlaczego prominentni członkowie Partii Demokratycznej należeli do Ku-Klux-Klanu – najczęściej dotyczy to Roberta Byrda, senatora z Wirginii Zachodniej – wykrztuszają jakieś frazesy mówiące o tym, jak to dobrzy liberałowie „wyewoluowali" z rasowego „konserwatyzmu" Południa. Jednakże Ku-Klux-Klan lat dwudziestych XX wieku często uważano za ruch reformatorski i nowoczesny, wykazywał on też ścisłe powiązania z pewnymi progresywistycznymi elementami w Partii Demokratycznej. Należeli do Ku-Klux-Klanu młody Harry Truman, a także Hugo Black, późniejszy sędzia Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. W 1924 roku, podczas słynnej konwencji „Klanbake" Partii Demokratycznej, Ku-Klux-Klan poparł przyszłego senatora Williama McAdoo, sekretarza skarbu za prezydentury Thomasa Woodrow Wilsona (i jego zięcia), czołowego architekta socjalizmu wojennego Wilsona i nieustępliwego prohibicjonistę. Należy ponadto dodać, że jeśli Ku-Klux-Klan był mniej rasistowski, niż nas przekonywano, to o wiele bardziej rasistowskie było środowisko naukowe. To, co współcześnie nazywa się *academic tenure*, mianowicie stanowisko pracownika naukowego z gwarancją zatrudnienia, immunitet akademicki, w znacznej mierze wyłoniło się wskutek solidarności progresywistycznego środowiska naukowego z Edwardem Alsworthem Rossem, autorem tezy o „samobójstwie rasy".[414] Ross, który należał do wiodących amerykańskich socjologów, ekonomistów i specjalistów od kwestii rasowych („rasologów"), w istocie był reformowanym darwinistą. Pierwszy raz przekonał się do progresywizmu, gdy ujrzał, że jednego z jego konserwatywnych wykładowców przeraziła książka Henry'ego George'a zatytułowana *Progress and Poverty* (Postęp a nędza), traktat, który zapewniał inspirację amerykańskim progresywistom, brytyjskim socjalistom i niemieckim narodowym socjalistom. Ross studiował w Niemczech, a następnie wrócił do Stanów Zjednoczonych, gdzie ukończył studia wśród germanofilów z Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa pod kierunkiem Thomasa Woodrow Wilsona i Richarda Ely'ego.

Ross, potężnie zbudowany mężczyzna, był intelektualistą wszechobecnym w życiu publicznym, pisał do właściwych pism i wygłaszał odczyty na właściwych uczelniach. Doradzał w sprawach imigracji Theodore'owi Rooseveltowi, który uprzejmie napisał przedmowę do publikacji Rossa zatytułowanej *Sin and Society* (Grzech a społeczeństwo). Ross podzielał między innymi z Elym i Wilsonem przekonanie, że w postępie społecznym trzeba brać pod uwagę wrodzone odmienności między rasami. Ross podzielał także pogląd Wilsona wyrażony w książce *The State*, że różne rasy są na różnych etapach ewolucji. Afrykańczycy i Indianie południowoamerykańscy ciągle jeszcze nie oddalili się zbytnio od dzikich. Inne rasy – przede wszystkim Azjaci – być może i są bardziej „zaawansowane" w rozwoju, ale stoczyły się do ewolucyjnej degeneracji. Ross uważał, że Stanom Zjednoczonym grozi podobna degeneracja w następstwie imigracji, mieszanych małżeństw oraz tego, że państwo nie chce wdrożyć gruntownych reform eugenicznych. W 1914 roku pisał następujące: „Przyjrzyjcie się imigrantom nie wtedy, gdy po rejsie schodzą po trapie, ani nie wtedy, gdy wychodzą umorusani przez bramę kopalni czy stalowni, ale wtedy, gdy się zbierają, umyci, uczesani, w wyjściowych ubraniach. [...] Są owłosieni, mają niskie czoła, duże twarze i niewątpliwie kiepska mentalność. [...] Ich miejsce ewidentnie jest w skórach i szałasach końca epoki lodowcowej. Ci wołowaci mężczyźni są potomkami tych, którzy zawsze zostawali w tyle.[415]

Pomimo takich poglądów Ross otrzymał znakomitą posadę na Uniwersytecie Stanforda. Jane Lanthrop Stanford, konserwatywna *grande dame* i dobroczyńca tej uczelni, nie lubiła jednak ani jego przekonań politycznych, ani jego aktywizmu, a do tego nie mogła znieść coraz głośniejszych i toporniejszych obelg, którymi obrzucał „chinoli", robotników przybywających z

Chin. Zmusiła rektora, Davida Starra Jordana – on także był zagorzałym eugenistą – aby zwolnił Rossa.

W środowisku naukowym zawrzało. Oburzeni pracownicy naukowi składali wypowiedzenia. Progresywistyczni wykładowcy i progresywistyczne organizacje – pod przewodnictwem Amerykańskiego Stowarzyszenia Ekonomicznego (AEA) Richarda Ely'ego – stanęli w obronie Rossa. Dziennik „New York Times" i inne najważniejsze gazety zamieszczały broniące go materiały odredakcyjne. Te starania nie przyniosły skutku, toteż Ross przeniósł się na Uniwersytet Nebraski (gdzie pomagał Roscoe Poundowi opracować doktrynę „socjologicznej jurysprudencji", kolebki „żywej konstytucji" przyjmowanej we współczesnym liberalizmie), a ostatecznie na Uniwersytet Wisconsin, gdzie wraz z Elym pracował pod kierownictwem Charlesa Van Hise'a, „patrioty rasowego".

Wiele ujawnia to, że wprawdzie nieustannie słyszymy o rasistowskiej przeszłości Ameryki oraz o konieczności odpokutowania poprzez wyznaczanie upoważnionych do czegoś odsetków i liczb przedstawicieli innych ras oraz przyznania odszkodowań za niewolnictwo, a także o innych inicjatywach podejmowanych z myślą o „grupach ciemiężonych w historii", rzadko natomiast wspomina się o twórcach amerykańskiego liberalizmu. I znów dzieje się tak, że gdy historycznymi złoczyńcami są liberałowie, to winna zbrodni jest sama Ameryka. Zbrodnię uważa się za dowód konserwatywnej przeszłości Stanów Zjednoczonych. Kiedy grzeszą konserwatyści, winni są wyłącznie oni. Nigdy zaś nie wini się liberalizmu.

Weźmy pod uwagę niesławne eksperymenty przeprowadzone w Tuskegee w Alabamie. Stawia się zarzut, że ubogich czarnych mężczyzn zarażano tam kiłą, o czym nie wiedzieli, a następnie obserwowano ich przez wiele lat. W powszechnym przekonaniu te badania są przykładem rasizmu Południa i zacofania Amerykanów. W pewnych wersjach podaje się nawet, że tych czarnych mężczyzn celowo zarażano kiłą, gdyż było to elementem jakiegoś programu ludobójstwa na poziomie embrionalnym. W istocie jednak badania przeprowadzone w Tuskegee zostały zatwierdzone i były popierane przez kierujących się dobrymi intencjami specjalistów z branży medycznej, którzy nie widzieli niczego złego czy rasistowskiego w odgrywaniu Boga. Richard Shweder z Uniwersytetu Chicagowskiego pisze, że „badania były wynikiem działalności liberalno-progresywistycznego ruchu na rzecz zdrowia publicznego, który miał na względzie zdrowie i zadowolenie z życia ludności afroamerykańskiej". Jeżeli odegrał tu jakąś rolę rasizm, a było tak bezsprzecznie, był to rasizm liberałów, nie konserwatystów. Nie tak się jednak tę historię przedstawia. Nie twierdzę, że ludzie, którzy kiedyś nazywali siebie progresywistami, byli rasistami, a przez to ci, którzy progresywistami nazywają siebie dziś, rasistami są również. Rzecz w tym, że gmach współczesnego liberalizmu wznosi się na fundamentach założeń i koncepcji, które były integralną częścią programów z czasów faszyzmu. Współcześni liberałowie, którzy mogą należeć do ludzi najuprzejmiejszych i cechujących się największą tolerancją rasową na świecie, postanowili mimo to zamieszkać w budowli o wyraźnie faszystowskim stylu architektonicznym. Jeżeli liberałowie nie zdają sobie z tego sprawy, to ten faszystowski fundament nie staje się przez to niewidoczny lub traci związek ze sprawą. Dowodzi to raczej sukcesów tych koncepcji, właśnie z tego powodu, że się ich nie kwestionuje. Największym kapitałem, który liberalizm posiada wśród swoich argumentów dotyczących rasizmu, seksizmu i roli rządu ogólnie, jest domyślne założenie, że intencje liberałów są lepsze i szlachetniejsze od intencji konserwatystów. Liberał myśli sercem, konserwatysta myśli głową – tak głosi pewien komunał. Kiedy jednak zacznie się analizować historię liberalizmu, wyraźnie się okaże, że to przewaga osiągnięta niesprawiedliwie, intelektualny spalony. Liberałowie mogą mieć rację albo się mylić w konkretnej sprawie politycznej, ale założenie, że z automatu występują ze stanowiska szlachetniejszego, jest bzdurne.

To, co obecnie się nazywa liberalizmem w Stanach Zjednoczonych, wspiera się na trzech nogach. To poparcie dla państwa opiekuńczego, kwestia aborcji i polityka tożsamości. To naturalnie charakterystyka grubo uproszczona. Sprawę aborcji można bowiem na przykład wrzucić do polityki tożsamości, gdyż feminizm należy do wyznań wiary opiewających klatki tożsamości, z których nie ma wyjścia. Można by też powiedzieć, że lepszym określeniem od aborcji byłaby „wolność

płciowa”. Nie sądzę jednak, by jakikolwiek uczciwie podchodzący do sprawy czytelnik nie przyznał, że te trzy kategorię niemal w całości określają ogromną większość obecnego programu liberałów, a przynajmniej opisują zrąb liberalnych pasji.

W pozostałej części tego rozdziału zachęcam do przyjrzenia się każdej z tych dziedzin, zaczynając od najmniej oczywistej – być może również najmniej istotnej – aby zobaczyć, jak progresywistyczne dążenie do oddolnej przebudowy społeczeństwa przejawia się dzisiaj w tych trzech filarach liberalizmu.

Państwo opiekuńcze

Czym jest państwo opiekuńcze? Podstawowe znaczenie tego określenia jest dość oczywiste. To system świadczeń społecznych pozwalający rządowi niwelować różnice ekonomiczne. Władze wychodzą z założenia, że poprawią w ten sposób położenie całego społeczeństwa, szczególną wagę przy tym przykładając do losu osób znajdujących się w najgorszej sytuacji. Określenie to, a w znacznej mierze również koncepcja, ma początek swojej historii w Prusach Bismarcka. *Wohlfahrtsstaat* Bismarcka zawierało wszystko z zakresu ciągnącego się od zagwarantowanych emerytur i innych form „ubezpieczeń społecznych” po całą konstelację reform rynku pracy. Jak widzieliśmy, ten „państwowy socjalizm” niezmiernie inspirował progresywistów, socjalistów i socjaldemokratów w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, no i naturalnie w Niemczech.

Istniały jednak co najmniej dwie istotne różnice między Stanami Zjednoczonymi a Prusami. Po pierwsze, Stany Zjednoczone były demokratyczną republiką z niewzruszoną konstytucją opracowaną tak, aby zapewniała mniejszościom ochronę przed tyranią większości (choć nie odbywało się to doskonale). Po drugie, Niemcy już były „państwem rasowym”. Amerykańskich progresywistów gniewała pierwsza sprawa, ponieważ zazdrościli drugiej. Progresywiści uważali, że – by ująć to słowami Olivera Wendella Holmesa, sędziego Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych – celem prawa i polityki społecznej jest „tworzenie rasy”. Amerykańska demokracja, z jej niedogodnym systemem ograniczeń i mechanizmów zapewniających równoważenie różnych organów państwowych, a także zróżnicowaniem ludności, powodowała, że realizacja takiego przedsięwzięcia stawała się trudna. Mimo to progresywistyczna polityka społeczna – granitowy fundament obecnego państwa opiekuńczego – od samego początku miała służyć rozwiązaniu tego „problemu”.

Innymi słowy, amerykańskie państwo opiekuńcze pod istotnymi względami od samego początku było eugenicznym przedsięwzięciem rasowym. Progresywistyczni twórcy socjalizmu państwa opiekuńczego nie interesowali się zapewnieniem ochrony słabym przed zbójectwem kapitalizmu, jak chcieliby to postrzegać współcześni liberałowie, lecz myśleli o tym, aby wyplenić słabych i niezdatnych, a tym samym zachować i umocnić anglosaski charakter amerykańskiej społeczności rasowej.

„Rasolodzy”, na przykład Edward Alsworth Ross, poświęcali kariery temu celowi. W skali makro Ross nazywał ten program przedsięwzięciem służącym „kontroli społecznej”. Oznaczało to górniczą eksplorację społeczeństwa w celu znalezienia najczystszych pierwiastków i wykucia z nich „wyższej rasy”. Dla białych anglosaskich protestantów oznaczało to narodową „restaurację” („restauracja” lub „przywrócenie” to hasło przewodnie wszystkich ruchów faszystowskich). Dla innych oznaczało to oczyszczenie amerykańskiego ogrodu z rasowych „chwastów”, czyli nie-Aryjczyków, nazywanych „defektywną plazmą zarodkową” czy określanych za pomocą innych eufemizmów. Zadaniem kształcenia, w najszerszym tego słowa znaczeniu, było osiągnięcie tego, aby całe społeczeństwo dostrzegło mądrość tej polityki. Być może państwo nie musiałoby ingerować, gdyby świat był doskonały: „Hodowlana funkcja rodziny byłaby pełniona lepiej, gdyby opinia publiczna i religia współpracowały, [...] aby zniszczyć aspiracje kobiety dążącej do

samodzielnego życia”.[416] Na takie działania było już jednak za późno, toteż państwo musiało ingerować.

Ross był showmanem, ale jego koncepcje doskonale pasują do światopoglądu przyjmowanego w progresywistycznej ekonomii po obu stronach Atlantyku. Przyjrzyjmy się debacie o płacy minimalnej. Kontrowersje budziło przede wszystkim to, co należy zrobić z „klasą niezatrudnialną”, jak ją określił Sidney Webb. W przekonaniu Webba, podzielanym przez wielu spośród progresywistycznych ekonomistów powiązanych z Amerykańskim Stowarzyszeniem Ekonomicznym, wprowadzenie płacy minimalnej przekraczającej wartość pracy tych niezatrudnialnych uniemożliwiłoby im wejście na rynek, co przyspieszyłoby eliminację tej klasy. Jest to zasadniczo argument, który **przeciwko** płacy minimalnej wysuwają współcześni konserwatyści, ale nawet dziś, kiedy sięgają po niego konserwatyści, zarzuca się im – tak jest, zgadliście – darwinizm społeczny. Jednakże dla progresywistów działających na początku chwili faszystowskiej był to argument przemawiający za wprowadzeniem płacy minimalnej. „Ze wszystkich metod traktowania tych nieszczęsnych pasożytów – pisał Webb – najbardziej rujnującą dla społeczności jest zapewnienie im, kiedy zarabiają, nieograniczonych możliwości konkurowania”.[417]

Ross ujął to zwięźle: „Chinole nie przewyższą Amerykanów, ale mogą ich wykończyć przez to, że żyją podlej”.[418] Ponieważ ludzie należący do ras gorszych łatwiej niż przedstawiciele rasy nordyckiej zadowalali się warunkami życia bardziej zbliżonymi do plugawego stanu natury, te dzikusy nie potrzebowały płac cywilizowanych. Jeśli więc podniesie się płace minimalne do poziomu cywilizowanego, pracodawcy nie będą chcieli zatrudniać takich parszywców zamiast osobników „zdatniejszych”, a przez to zmaleje prawdopodobieństwo, że ci dzicy będą się rozmnażać, jeśli zaś okaże się to konieczne, łatwiej będzie przeprowadzić przymusową sterylizację. Royal Meeker, ekonomista z Uniwersytetu Princeton i doradca Thomasa Woodrow Wilsona, przedstawił następujące wyjaśnienie: „Będzie lepiej, jeżeli państwo w całości pokryje koszty utrzymania niesprawnych i uniemożliwi zwielokrotnianie tego szczepu, niż wtedy, gdy będzie dotować niekompetencję i brak gospodarności, umożliwiając im płodzenie więcej osobników tego samego rodzaju”.[419] Przez takie argumenty całkowicie zmienia się wymowa tego, że współcześni liberałowie opowiadają się za płacą minimalną w państwie opiekuńczym.

Niewielu lepiej podsumowało międzynarodowy charakter tego progresywistyczno-socjalistyczno-nacjonalistycznego konsensu od Johna R. Commonsa, ekonomisty z Uniwersytetu Wisconsin. Pisząc o sobie, że jest „socjalistą, zwolennikiem jednego podatku, swobody bicia srebrnego pieniądza, papierowego pieniądza, kontroli władz miejskich nad własnością, członkiem Kościoła kongresowego”, Commons był lwem międzynarodowego ruchu robotniczego, nazywanym „amerykańskim Sidneyem Webbem”. W sali, w której prowadził seminaria, wisiała gigantyczna tablica, na której zaznaczono sukcesy ekonomii progresywistycznej na świecie.[420] Commons uważał, że wielu ubogich białych można by uratować poprzez interwencje władz, sądził także, że powinni oni otrzymywać hojne świadczenia wypłacane przez państwo opiekuńcze. Przyznawał jednak, na podstawie samodzielnie sporządzonych szacunków, że prawie 6 procent ludności stanowiły osoby „z defektami”, a 2 procent to osobniki nieodwracalnie zdegenerowane, a przez to wymagające „segregacji”. Nawet nie uwzględnił w tych szacunkach czarnych ani przedstawicieli innych „gorszych” ras, uważając, że nie można ich ocalić, chyba że – być może – poprzez mieszane małżeństwa z Aryjczykami. To, że czarni byli gorsi, było zasadniczym powodem tego, że działający w tym ruchu robotniczym uważali niewolnictwo za zjawisko uzasadnione”.[421]

Commons i jego współpracownicy z Uniwersytetu Wisconsin położyli podwaliny pod większość reform rynku pracy, które obecnie obowiązują. Wiele z nich pod każdym względem zasługuje na obronę i przynosi cenne skutki. Inne, na przykład ustawa Davisa i Bacona, odzwierciedlają rasistowskie zapędy progresywistów. Ustawę przyjęto w 1931 roku, aby uniemożliwić biednym czarnym robotnikom „odbieranie” miejsc pracy białym. Twórcy tej ustawy

otwarcie stawiali sprawę i także z tego powodu ją przyjęto Stosunkowo ograniczona kwestia taniej czarnej siły roboczej za tło miała zanikające progresywistyczne działania podejmowane w celu utrzymania supremacji białych. Przez wprowadzenie wymogu, że zleceniobiorcy realizujący przedsięwzięcia federalne mają dawać „przeważające płace" i zatrudniać osoby zrzeszone w związkach zawodowych, skutecznie uniemożliwiono czarnym robotnikom pracę przy realizacji projektów federalnych. Dzisiaj ustawa Davisa i Bacona dla wielu liberałów działających w ruchu robotniczym jest tak święta, jak święta jest dla feministek sprawa Jane Roe przeciwko Henry'emu Wade'owi. Mickey Kaus słusznie zwrócił uwagę, że dzisiaj ustawę Davisa i Bacona traktuje się z większą czcią niż trzydzieści lat temu, kiedy samozwańczy neoliberałowie uważali ją za ewidentny przejaw przestarzałego liberalizmu występującego w obronie grup interesów.

Należy uczciwie zaznaczyć, że nie wszyscy progresywiści popierali państwo opiekuńcze z powodów eugenicznych. Niektórzy **z wielkim sceptycyzmem** podchodzili do państwa opiekuńczego, ale działo się tak **również** z powodów eugenicznych. Henry Farnam, ekonomista z Yale, wraz z Commonsem założył Amerykańskie Stowarzyszenie ds. Legislacji na rzecz Robotników (American Association for Labor Legislation), progresywistycznej organizacji mającej ogromne znaczenie historyczne, która położyła fundament pod większość obowiązujących obecnie ustaw dotyczących ubezpieczeń społecznych i przepisów regulujących rynek pracy i zatrudnienie. Farnam i Commons twierdzili, że pomoc ze środków publicznych jest „dysgeniczna", ponieważ zwiększa się przez nią liczebność „niezdatnych", a to przez to, iż zapewnia się zdegenerowanym klasom możliwości rozmnażania się, podczas gdy w środowisku naturalnym taki motłoch by wymarł. Jednakże ani Farnam, ani Simon Patten, ekonomista opowiadający się za protekcjonizmem, ani inni nie występowali z tego powodu **przeciwko** państwu opiekuńczemu. To przecież równałoby się darwinizmowi społecznemu! Twierdzili natomiast, ze niezamierzone konsekwencje wynikające z funkcjonowania państwa opiekuńczego wymagają drastycznego programu eugenicznego w celu „wyplenienia" defektywnej plazmy zarodkowej hodowanej poprzez hojność państwa. Dlaczego miano by Aryjczykom odmówić korzyści płynących z państwowego socjalizmu, skoro nieunikniony bałagan można po prostu usunąć eugeniczną miotłą?

Przypuszczalnie jedynym poglądem politycznym podzielanym prawie przez wszystkich eugenistów było przekonanie, ze kapitalizm jest dysgeniczny. „Higiena rasowa" stanowiła podzbiór obszerniejszej „kwestii społecznej", a wszyscy wiedzieli jedno. To mianowicie, że rozwiązania tej kwestii społecznej nie zapewni leseferyzm.

Do czasu przejęcia władzy przez nazistów Niemcy w dziedzinie eugeniki ogólnie zostawali w tyle za Stanami Zjednoczonymi i znacznej części państw europejskich. Gdy w Indianie przyjęto pierwsze ustawy dotyczące sterylizacji, a było to w 1907 roku, aby sterylizować „zatwardziałych przestępców, idiotów, imbecyli i gwałcicieli", zwrócono na to uwagę w świecie zachodnim. W późniejszym podobne przepisy przyjęto w dwudziestu dziewięciu innych stanach, a także w Kanadzie i większości państw europejskich. Oczywiście Niemcy podziwiali amerykańskie konkursy „zdatniejszych rodzin", w których dobrym amerykańskim Aryjczykom przyznawano nagrody, jak nagradza się stuki bydła na regionalnych targach, ale niektóre państwa skandynawskie pod względem inicjatyw eugenicznych o wiele lat wyprzedzały Niemców, a w wielu państwach europejskich, a także w prowincjach kanadyjskich, jeszcze po upływie dziesięciolecі od upadku III Rzeszy przyjmowano zasady eugeniczne.[422]

Porównania dążeń progresywistów do „stworzenia rasy" z nazistowskimi staraniami, aby udoskonalić już jednorodny pod względem rasowym naród bądź przywrócić mu dawną świetność, łatwo mogą się stać nadmiernie uprzedzone i złośliwe, ponieważ w Stanach Zjednoczonych występowały znacznie silniejsze hamulce utrudniające realizację takich programów. Wskutek wyjątkowości Stanów Zjednoczonych progresywiści musieli dokonywać chirurgicznych zabiegów skalpelami, na co często się skarżyli, a wskutek wyjątkowości Niemiec narodowi socjaliści mieli pełną swobodę, mogli więc używać toporów, kafarów i buldożerów. W pewnym sensie Niemcy czekały na nadejście eugeniki, aby zapewnić naukowe uzasadnienie romantycznych tęsknot występujących w głęboko położonych warstwach niemieckiej kultury.

Drogę wskazał sam Nietzsche. W 1880 roku pisał następująco: „Konieczna jest tendencja, która doprowadzi do wyginięcia tego, co złe, zdeformowane, zdegenerowane". Twierdził, że kwestie reprodukcji trzeba odebrać masom, aby nie cierpiała dłużej „rasa jako całość". „Wyginięcie wielu rodzajów ludzi jest tak samo upragnione jak wszelka forma reprodukcji". Samo małżeństwo w przekonaniu Nietzschego powinno podlegać rygorystycznej regulacji ze strony państwa, „Idźcie przez miasta i zadajcie sobie pytanie, czy ci ludzie powinni się rozmnażać! Niech idą do swoich nierządnic!".[423]

Prawie nie można mówić o „wpływie" koncepcji eugenicznych na nazistowską politykę państwową, ponieważ naziści uważali eugenikę za cel **wszelkiej polityki państwowej**. Jedną z ostatnich kwestii zapisanych przez Hitlera było życzenie, aby Niemcy pozostały wierne ustawom rasowym. Wszystko – małżeństwa, medycyna, zatrudnienie, płace – było kształtowane przez koncepcje z dziedziny higieny rasowej oraz ekonomii eugenicznej, której pionierami byli brytyjscy oraz amerykańscy socjaliści i progresywiści. Podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, pozwolenia na zawarcie związku małżeńskiego stanowiły niezmiernie istotny element kontroli eugenicznej. Związki małżeńskie uważane za „niepożądane ze względu na całą społeczność narodową" były zabronione. Jednocześnie klasom faworyzowanym z powodów rasowych przyznawano dopłaty, kwoty na pokrycie kosztów podróży, premie i podobne świadczenia. Przymusowe sterylizacje stały się standardowym instrumentem w narzędziowni wykorzystywanej do rządzenia państwem.[424]

Jak zobaczymy, naziści przywłaszczyli sobie niezależne organizacje charytatywne, prowadzone przez Kościoły i inne, aby działały pod auspicjami państwa. Dochodząc do władzy, utworzyli alternatywną infrastrukturę charytatywną zapewniającą świadczenia społeczne, których państwo dać nie mogło. Gdy naziści ostatecznie przejęli władzę, metodycznie zastępowali tradycyjną infrastrukturę państwowych i działających przy Kościołach organizacji charytatywnych nazistowskim monopolem charytatywnym. Jednakże bardziej powiązanym z omawianym tu tematem aspektem nazistowskiego państwa opiekuńczego było to, jak to państwo całkowicie się nastawiło na tworzenie społeczności narodowej określonej pod względem rasowym. Używało wprawdzie standardowej lewicowej frazeologii mówiącej o winie i zobowiązaniach, zwykle przywoływanej po to, aby uzasadnić pomoc ze strony państwa dla ubogich i znajdujących się w trudnym położeniu, jednak ta pomoc nie przysługiwała nikomu z tych, którzy nie należeli do „towarzyszy narodowych". To ukazuje szczególny charakter nazistowskiego zła. W przeciwieństwie do włoskiego faszyzmu, który nie wykorzystywał eugeniki w takim stopniu, w jakim robiono to w Stanach Zjednoczonych czy Niemczech, nazizm został określony jako socjalizm rasowy. Wszystko dla rasy, nic dla tych, którzy się znajdują poza nią – to był zasadniczy etos misji i atrakcyjności nazizmu.

I jeszcze ostatnia uwaga na temat powiązań eugeniki z państwem opiekuńczym. Zarówno w Niemczech, jak i w Stanach Zjednoczonych eugenika zdobyła popularność przez ogólniejszą wiarę w „zdrowie publiczne". I wojna światowa i ogromna epidemia grypy spowodowały, że pracownicy służby zdrowia znaleźli się w szeregach planistów społecznych, gdzie nie różnili się od pozostałych. Dla lekarzy, którzy awansowali do rangi lekarzy organizmów państwowych, przysięga Hipokratesa straciła znaczenie. W amerykańskim periodyku medycznym „Military Surgeon" stwierdzono rzeczowo: „Wzgląd na ludzkie życie często schodzi na dalszy plan. [...] Lekarz jest obecnie w większym stopniu pochłonięty tym, co ogólne, niż tym, co jednostkowe, a życie i kończyna jednostki, choć mają wielkie znaczenie, są mniej istotne od działań podejmowanych *pro bono publico* [dla dobra ogólnego]".[425] Niemcy na takie stanowisko używali określenia *Gemeinnutz geht vor Eigennutz* („dobro ogólne przeważa nad dobrem prywatnym"). Właśnie pod tym sztandarem Niemcy doprowadziły logikę zdrowia publicznego do totalitarnych skrajności. Prohibicja to wyborny przykład tego, w jak wielkim stopniu amerykańscy progresywiści łączyli z sobą zdrowie moralne i fizyczne. Wielu nazistów przychylnie spoglądało na wysiłki podejmowane w Stanach Zjednoczonych. To uznanie było zresztą wzajemne. W 1933 roku amerykańskie pismo „Scientific Temperance Journal" świętowało wybór Hitlera, słynącego z abstynencji. I choć zawsze istniał rasistowski podskórny nurt w prohibicji – bo alkohol napędza rozwiązłość kundlowatych ras

– w Niemczech obawiano się raczej tego, że alkohol i jeszcze bardziej obmierzłe papierosy wywołają degenerację aryjskiej czystości Niemców. Tytoń uważano za źródło wszelkiego zła, twierdząc między innymi, że palenie wywołuje homoseksualizm. Naziści mieli szczególnego hopla na punkcie raka. Niemcy pierwsi dostrzegli zależność między paleniem a nowotworami, a słowo „rak" i jego synonimy szybko się stały wszechobecną metaforą. Nazistowscy przywódcy regularnie nazywali Żydów „naroślami" i „guzami" na niemieckim społeczeństwie. Była to jednak praktyka wynikająca z ogólniejszego i głębiej zakorzenionego zwyczaju. Po obu stronach Atlantyku „defektywnych" i inne grupy, które pobierały więcej, niż wnosiły, powszechnie nazywano „rakiem toczącym społeczeństwo". Amerykańskie Stowarzyszenie Eugeniczne (American Eugenics Society) nazywano „stowarzyszeniem na rzecz kontroli nad rakiem społecznym". W Niemczech przed aresztowaniami Żydów wyeliminowano setki tysięcy niepełnosprawnych, w podeszłym wieku i chorych umysłowo „czystych" Niemców, gdyż uznano ich za „nieużytecznych darmozjadów" i osoby prowadzące „życie niewarte życia" (*lebensunwertes Leben*), sięgając po określenie, które po raz pierwszy pojawiło się w Niemczech w 1920 roku. Użycie tych technik i koncepcji w odniesieniu do „kwestii żydowskiej" wydawało się racjonalną kontynuacją ogólnej teorii eugenicznej. Nie możemy jednak dopuścić do tego, aby przez Holokaust nie zauważać mniej istotnych, ale w większym stopniu powiązanych z naszym tematem reperkusji koncepcji z ery progresywnej, których nie poddano badaniu. Wszyscy architekci Nowego Ładu, Uczciwego Ładu (Fair Deal) i Wielkiego Społeczeństwa odziedziczyli progresywistyczną koncepcję państwa opiekuńczego i na jej podstawie rozwijali własne programy. Robili to przy tym otwarcie, powołując się na tak znanych zwolenników tworzenia rasy, jak Theodore Roosevelt i Thomas Woodrow Wilson, podając ich za źródło inspiracji. Naturalnie, świadomie rasistowskich intencji obecnych w wielu z tych programów politycznych późniejsze pokolenia liberałów nie podzielały, ale nie wymazało to rasistowskich elementów występujących w samych programach. Na przykład przez ustawę Davisa i Bacona do tej pory pokrzywdzeni są czarni pracownicy o niskich zarobkach. Przez programy Franklina Roosevelta w dziedzinach polityki pracy i polityki rolnej miliony czarnych straciły pracę i posiadaną ziemię. Ogromne migracje Afroamerykanów do miast położonych na północy Stanów Zjednoczonych w niemałym stopniu wynikały z tych **sukcesów** polityki progresywistycznej. Czarni przywódcy nie bez powodu Agencję Odbudowy Kraju (National Recovery Administration, NRA) nazywali „Negro Run Around" („Wykołować Murzyna").

W poprzednim rozdziale zwróciłem uwagę, że liberałowie trzymają się kurczowo mitu Nowego Ładu wskutek religijnej czci oddawanej koncepcji boskiego bytu państwowego troszczącego się o wszystko. Podobna motywacja powoduje, że liberałowie oddają cześć koncepcji Wielkiego Społeczeństwa. Niemal zawsze uzasadnienia Wielkiego Społeczeństwa zawierają element poczucia winy z powodu kwestii rasowych oraz czegoś, co można nazwać jedynie religijną wiarą w odkupicielską moc państwa. W książce zatytułowanej *White Guilt* (Biała wina) Shelby Steele opisuje spotkanie z samozwańczym „architektem" Wielkiego Społeczeństwa. „Do cholery, **ocaliliśmy** ten kraj! – warknął rozmówca Steele'a. – Ten kraj był na krawędzi upadku. Wszędzie były zamieszki. Teraz, z perspektywy czasu, można krytykować, ale myśmy musieli, przyjacielu, utrzymać ten kraj w całości".[426] Co więcej – dodawał ten polityk z obozu Lyndona Johnsona – trzeba było widzieć wdzięczność czarnych wtedy, gdy realizowano te programy.

Cóż, pierwsze z tych twierdzeń nie odpowiada prawdzie, drugie zaś stanowi materiał obciążający. Co prawda ustawy dotyczące praw obywatelskich niewątpliwie były ogromnym sukcesem, ale liberałowie nie zatrzymali się na kwestii równości wobec prawa. Grzebanie w sprawach rasowych przez realizatorów programu Wielkiego Społeczeństwa – wielokrotnie pod rozmaitymi innymi przykrywkami – prowadziło do kolejnych porażek. Z powodu Wielkiego Społeczeństwa i nastawień przyjmowanych wskutek tego programu gwałtownie wzrosła przestępczość. W 1960 roku pomimo ogromnego wzrostu liczby ludności łączna liczba zabójstw była niższa od odnotowanej w latach 1930, 1940 i 1950. Natomiast w dziesięcioleciu po programie Wielkiego Społeczeństwa współczynnik zabójstw, czyli liczba tych przestępstw przypadająca na sto tysięcy mieszkańców, wzrósł dwukrotnie. Szczególnie wzrosła liczba przestępstw popełnianych

przez czarnych na czarnych. Za prezydentury Lyndona Johnsona nagminnie wybuchały zamieszki, wielokrotnie za delikatnym poduszczeniem liberałów głoszących program Wielkiego Społeczeństwa, którzy takie zachowania nagradzali. Ogromnie wzrosła liczba dzieci nieślubnych wśród czarnej ludności. Thomas Sowell wyliczył, że pod względem gospodarczym nędza wśród czarnej ludności spadła najbardziej w dwóch dziesięcioleciach **przed** Wielkim Społeczeństwem.[427]

W latach siedemdziesiątych, kiedy zorientowano się w pełni, jak przedstawiają się skutki programów Wielkiego Społeczeństwa, niemal całkowicie ustała tendencja prowadząca do poprawy położenia gospodarczego czarnych. Na wielu stronach można by kontynuować ten wywód. Fakty jednak nie są najważniejsze w tym miejscu. Liberałowie zakochali się w **idei** będącej podstawą rasowego państwa opiekuńczego. Przejęli marksistowskie i faszystowskie wyobrażenie, że „system" jest rasistowski i zepsuty, a przez to nieustannie wymaga interwencji ze strony państwa. W szczególności, na co zwraca uwagę Steele, doszli do przekonania, że popieranie takich programów dowodzi wartości moralnej tych, którzy je propagują. Czarni byli „wdzięczni" białym liberałom, a wobec tego biali liberałowie nie są rasistami. Po raz kolejny wracamy do sprawy wykorzystywania polityki do demonizowania tych, którzy nie zostają objęci konsensem – czyli konserwatystów – oraz namaszczania tych, którzy się w nim mieszczą. Biali występujący przeciwko tzw. systemowi łupów (*spoils system*) mającemu podstawy rasowe to rasiści, a czarni odrzucający ten system to zdrajcy żywiący nienawiść do własnej rasy.

Na ogół biali liberałowie po prostu decydują się poprzeć czarnych liberałów stawiających takie zarzuty i nie wysuwają ich samodzielnie. Zdarza się jednak sporadycznie, że zrobią to z własnej inicjatywy. Na przykład Maureen Dowd pisze, że „nie można nie odczuwać niesmaku" z powodu takich czarnych, jak Clarence Thomas. Zdaniem Dowd, ten sędzia Sądu Najwyższego żywi nienawiść do samego siebie z powodu „własnej wcześniejszej wielkiej niewdzięczności" wobec białych liberałów lub ta nienawiść doprowadziła do tego, że stal się „kompletnie walnięty". Niech każdy weźmie, co mu bardziej pasuje. Steele następująco podsumowuje rasizm ujawniający się w takim myśleniu: „Rzucimy wam kość, na przykład akcję afirmatywną. Jeśli tylko pozwolicie nam sprowadzić was do waszej rasy, abyśmy przez to mogli zyskać autorytet moralny za »pomaganie« wam. Gdy w czasach segregacji nazywano was »czarnuchami«, przynajmniej nie kazano wam wyrażać wdzięczności".[428]

Aborcja

Margaret Sanger, której Amerykańska Liga na rzecz Kontroli Urodzeń (American Birth Control League) przekształciła się później w organizację Planowane Rodzicielstwo (Planned Parenthood) była matką założycielką ruchu na rzecz kontroli urodzeń. Dzisiaj uważa się ją za liberalną świętą, twórczynię współczesnego feminizmu i jedną z najjaśniejszych postaci w progresywistycznym panteonie. Gloria Feldt z Planowanego Rodzicielstwa głosi „Stoję u boku Margaret Sanger", gdy mówi, że prowadzi „tę organizację, która niesie spuściznę po Sanger". Faye Wattleton, pierwsza czarna przewodnicząca Planowanego Rodzicielstwa – w 1989 roku została uhonorowana tytułem Kobiety Roku przyznawanym przez pismo „Ms." – powiedziała, że jest „dumna" z tego powodu, że „podąża za Margaret Sanger".[429] Planowane Rodzicielstwo przyznaje co roku nagrody Maggie osobom i organizacjom działającym na rzecz sprawy Sanger. Nagrodzeni to *who's who* liberalnych sław, od powieściopisarza Johna Irvinga po producentów programu *West Wing* nadawanego przez stację NBC. Liberałowie podziwiający Sanger gorliwie przy tym wszystkim bagatelizują to, że była ona zatwardziałą rasistką, która w zupełności podpisywała się pod poglądami Edwarda Alswortha Rossa i innych „rasologów". W porównaniu z nią wielu z tamtych może się wydawać barankami.

Sanger urodziła się w ubogiej, mającej jedenaścioro dzieci rodzinie żyjącej w Corning w stanie Nowy Jork w 1879 roku. W roku 1902 uzyskała dyplom pielęgniarki. W 1911

przeprowadziła się do Nowego Jorku, gdzie zauroczyła ją transatlantycka, o cechach bohemy, awangarda rozwijającego się ruchu faszystowskiego, „Nasz salon – pisała w autobiografii – stał się miejscem spotkań dla liberałów, anarchistów, socjalistów i członków IWW [Robotnicy Przemysłowi Świata, Industrial Workers of the World]".[430] Należąca do Komitetu Kobiecego nowojorskiej organizacji Partii Socjalistycznej Sanger uczestniczyła we wszystkich typowych protestach i demonstracjach. W 1912 roku zaczęła pisać teksty, które sprowadzały się do porad seksualnych, dla redakcji „New York Call". Jej kolumna nosiła nazwę „Co każda dziewczyna powinna wiedzieć". W pisanych przez nią tekstach dominujące miejsce zajmowało znaczenie antykoncepcji.

Pobierająca nauki od anarchistki Emmy Goldman – kolejnej eugenistki – Sanger stała się w 1917 roku pierwszą „męczennicą ruchu na rzecz kontroli urodzeń", aresztowano ją bowiem za rozdawanie prezerwatyw. Aby uniknąć później aresztowania za łamanie przepisów dotyczących nieprzyzwoitych zachowań, przeniosła się do Wielkiej Brytanii, gdzie zafascynował ją Havelock Ellis, seksuolog gorliwie propagujący przymusową sterylizację. Miała też romans z H.G. Wellsem, propagatorem „liberalnego faszyzmu", jak sam swój system przekonań określił. Małżeństwo Sanger wcześnie się rozpadło, a jedno z jej dzieci – przyznawała, że je zaniedbywała – zmarło na zapalenie płuc w wieku czterech lat. Sanger zawsze przyznawała, że nie nadaje się do życia rodzinnego, stwierdzając, że nie była „odpowiednią osobą do miłości, domu, dzieci i czegokolwiek wymagającego uwagi i troski".[431]

Pod sztandarem „swobody rozmnażania" Sanger podpisała się niemal pod wszystkimi omówionymi wyżej poglądami eugenicznymi. Dążyła do wprowadzenia zakazu posiadania dzieci przez niezdatnych i kontrolowania rozrodu wszystkich pozostałych. Szydziła z łagodnego podejścia eugenistów „pozytywnych", wykpiwając go jako zwykłą „walkę w kołysce" między zdatnymi a niezdatnymi. „Więcej dzieci spłodzonych przez zdatnych, mniej tych od niezdatnych – to zasadnicze założenie programu kontroli urodzeń" – pisała otwarcie w opublikowanej w 1922 roku książce *Pivot of Civilization* (Sedno cywilizacji). (Przedmowę do tej książki napisał Wells, wyrażając w niej następujące przekonanie: „Chcemy, aby dzieci było mniej i aby były lepsze. [...] Nie możemy tworzyć życia społecznego ani budować pokoju na świecie, do których zdecydowanie chcemy dążyć, z tymi źle ukształtowanymi, kiepsko wyedukowanymi rojami gorszych obywateli, których nam narzucacie". Ścierały się dwie cywilizacje: cywilizacja postępu i druga, która dążyła do świata „przygniecionego przez nieograniczony i niekontrolowany zalew potomstwa").[432]

Uczciwie podchodzący do sprawy dzisiejszy czytelnik nie może nie zauważyć w książkach, artykułach i broszurach Sanger podobieństw nie tylko do nazistowskiej eugeniki, ale także do mrocznych dystopii zrodzonych w umysłach feministek, które można znaleźć na przykład w takich alegorycznych utworach, jak *Handmaid's Tale* Margaret Atwood.[433] Pracując jako redaktorka pisma „Birth Control Review", Sanger systematycznie publikowała materiały o radykalnie rasistowskiej wymowie, jakie zwykle kojarzylibyśmy z Goebbelsem bądź Himmlerem. Co więcej, gdy Sanger zrezygnowała ze stanowiska redaktorki, pismo „Birth Control Review" zamieszczało artykuły autorstwa ludzi pracujących dla Goebbelsa i Himmlera. Oto przykład. Gdy zaczęto powszechnie zwracać uwagę na nazistowski program eugeniczny, w „Birth Control Review" błyskawicznie ukazano nazi stów w pozytywnym świetle. Opublikowano artykuł zatytułowany *Eugenic Sterilization: An Urgent Need* (Sterylizacja eugeniczna: paląca potrzeba) autorstwa Ernsta Rüdina, mianowanego przez Hitlera dyrektora agencji odpowiadającej za realizację programów sterylizacji i założyciela Narodowosocjalistycznego Stowarzyszenia na rzecz Higieny Rasowej. W 1926 roku Sanger dumnie przemówiła do członków Ku-Klux-Klanu podczas zlotu w Silver Lake w stanie New Jersey.

Do najbliższych przyjaciół i wpływowych współpracowników Sanger należał Lothrop Stoddard, propagator supremacji białych, autor książki zatytułowanej *The Rising Tide of Colur Against White World-Supremacy* (Wzbierająca fala kolorowych zagrażająca światowej supremacji białych). Stoddard zaproponował rozwiązanie problemu stwarzanego przez ciemniejsze rasy: „Podobnie jak izolujemy atakujące nas bakterie, by je następnie zagłodzić poprzez ograniczanie

środowiska i ilości dostępnego pokarmu, tak możemy zmusić gorszą rasę do pozostania w jej pierwotnym środowisku”.[434] Gdy książka się ukazała, Sanger była pod tak wielkim wrażeniem, że zaproponowała Stoddardowi miejsce w zarządzie Amerykańskiej Ligi na rzecz Kontroli Urodzeń.

W niezmiernie zmyślnej koncepcji Sanger postanowiła propagować kampanię Rossa na rzecz kontroli społecznej poprzez powiązanie programu rasistowsko-eugenicznego z przyjemnością czerpaną z życia płciowego i z emancypacją kobiet. W publikacji z 1934 roku zatytułowanej *Code to Stop Overproduction of Children* (Kodeks prowadzący do wstrzymania nadprodukcji dzieci) Sanger twierdziła, że „żadna kobieta nie powinna mieć prawa do urodzenia dziecka bez pozwolenia, [...] a wszystkie wydawane pozwolenia mogą dotyczyć wyłącznie jednego dziecka”.[435] Ten faszystowski program Sanger umieściła w wywodzie, w którym przekonywała, że „wyzwolone” kobiety nie miałyby nic przeciwko takim rozwiązaniom, bo przede wszystkim nie chcą mieć dużych rodzin. W argumencie, który będą powtarzały późniejsze feministki, takie jak Betty Friedan, Sanger głosiła, że samo macierzyństwo jest narzuconym przez społeczeństwo ograniczeniem wolności kobiety. Chęć posiadania dużej rodziny to wynik błędnej świadomości, jak to określają marksiści.

Sanger zakładała – dość proroczo – że jeżeli kobiety uznają, iż współżycie przede wszystkim jest przyjemnym doświadczeniem, a dopiero w dalszej kolejności aktem prokreacji, to uznają kontrolę urodzeń za konieczne narzędzie umożliwiające uzyskiwanie osobistego zadowolenia. Niezwykle zręcznie posługiwała się frazeologią odnoszącą się do emancypacji, aby przekonywać kobiety, że wcale nie zmierzają w ten sposób do kolektywizmu, lecz „wygarniają władzy prawdę”.[436] Dokładnie taką samą sztuczkę z powodzeniem zastosowali naziści. Ci bowiem wzięli radykalną Nietzscheańską doktrynę jednostkowej woli i zrobili z niej modny dogmat przyjmowany przez konformistyczną klasę średnią. Ta sztuczka pozostaje zasadniczym elementem znacznej części „indywidualizmu” modnego wśród zbuntowanych konformistów obecnej amerykańskiej lewicowej sceny kulturalnej. Mimo to analiza przedstawiona przez Sanger była bezsprzecznie słuszna i prowadziła wprost do rozpowszechnionego w gronie feministek utożsamiania seksu z buntem politycznym. Tak więc Sanger „kupiła” kobiety (a przez to także wdzięcznych jej za to mężczyzn), proponując tolerowanie rozwiązłości w zamian za przystanie na jej eugeniczne programy.

W 1939 Sanger wystartowała ze wspomnianym wcześniej „programem murzyńskim”, którego celem miało być przekonanie czarnych do przyjęcia programu kontroli urodzeń. Poprzez Federację Kontroli Urodzeń (Birth Control Federation) angażowała czarnych duchownych (między innymi Adama Claytona Powella ojca), lekarzy i innych przywódców, aby pomogli jej redukować rzekomo zbyt wysoką liczbę czarnej ludności. Rasistowskie intencje nie pozostawiają cienia wątpliwości. „Ogromna liczba Murzynów – stwierdzono w raporcie dotyczącym realizacji programu – nadal płodzi dzieci beztrosko i z fatalnym skutkiem, co prowadzi do tego, że wzrost wśród Murzynów [...] następuje w tej części populacji, która jest najmniej inteligentna i zdatna”. Obecnie intencje Sanger szokują, ale ona już wtedy zdawała sobie sprawę ze skrajnego radykalizmu tego planu. „Nie chcemy, aby się rozeszła informacja – pisała do współpracującego z nią lekarza – że chcemy przeprowadzić eksterminację ludności murzyńskiej, a ten duchowny może załatwić tę sprawę, jeśli kiedykolwiek przyjdzie to głowy któremuś z bardziej buntowniczo nastawionych członków”.[437]

Być może Sanger nie tyle chciała „eksterminować” ludność murzyńską, ile tylko ograniczyć tempo jej wzrostu. Mimo to wielu czarnych patrzyło na sprawę w ten sposób i motywacja progresywistów słusznie budziła ich podejrzenia. Nietrudno było ujrzeć, że należący do średniej klasy biali, którzy zgodnie mówili o „samobójstwie rasy” przygniatanej przez ciemnych, dzikich podludzi, być może wcale nie kierowali się najlepszymi interesami czarnych. Ten sceptycyzm przez dziesięciolecia się utrzymał w społeczności czarnych. Ktoś, kto z perspektywy mniejszego zaufania patrzył na powiązania między – na przykład – aborcją a kwestiami rasowymi, wysłał w 1977 roku do Kongresu telegram, w którym stwierdził, że aborcja równa się „ludobójstwu popełnianemu na czarnej rasie”. Dodał także wersalikami: „ZE WZGLĘDU NA WŁASNE SUMIENIE MUSZĘ

WYSTĄPIĆ PRZECIWKO PRZEZNACZANIU PIENIĘDZY FEDERALNYCH NA REALIZACJĘ PROGRAMU ZABIJANIA NIEMOWLĄT".[438] Osobą tą był Jesse Jackson, który zmienił zdanie, kiedy się zaczął ubiegać o nominację Partii Demokratycznej.

Jeszcze kilka lat temu można było przyznać, że prawo do aborcji to eugeniczna rasowa „premia", tylko przebywając wśród osób w pełni oddanych tej sprawie, a i wtedy można to było zrobić jedynie szeptem, przestrzegając zasad poprawności politycznej. Już nie. Coraz częściej ten argument lewicowcy uważają za rzecz do przyjęcia, podobnie jak argumenty przemawiające za eugeniką ogólnie.

W 2005 roku Steven Levitt, znany ekonomista z Uniwersytetu Chicagowskiego, przełamał tabu, publikując krytyczny i komercyjny hit zatytułowany *Freakonomia* (*Freakonomics*; współautorem był Stephen Dubner). Największą sensację wzbudził rozdział będący uaktualnieniem pracy napisanej przez Levitta w 1999 roku, w której ten ekonomista wywodził, że przez aborcję spada przestępczość. „Zalegalizowana aborcja prowadziła do tego, że mniej było dzieci niechcianych; jeśli dzieci są niechciane, prowadzi to do znacznej przestępczości, wobec czego zalegalizowana aborcja prowadzi do spadku przestępczości".[439] Autorzy *Freakonomii* wycięli wszelkie odwołania do spraw rasy i nigdzie nie łączono z sobą tych faktów, że z powodu tego, iż usunięte płody są w większości czarne, a na liczbę przestępstw w większości wpływają czarni, zmniejszenie liczebności czarnej ludności powoduje spadek przestępczości. Jednakże w poświęconych tej książce materiałach prasowych zwrócono uwagę na te fakty, przy czym autorom tych materiałów chyba to nie przeszkadzało.

W 2005 roku William Bennett, zdecydowanie opowiadający się za życiem, przywoływał argument Levitta, aby potępić zwolenników myślenia w kategoriach eugenicznych: „Wiem, że to prawda, iż gdybyście chcieli zmniejszyć przestępczość, moglibyście – gdyby tylko to miało być obranym przez was celem – usunąć każdy czarny płód w tym kraju, a wtedy przestępczość by zmalała. Byłoby to rzeczą niemożliwą do przeprowadzenia, niedorzeczną i moralnie odrzucającą, ale przestępczość byście zmniejszyli". Liberałów bodaj najbardziej oburzyło to, że Bennett przypadkowo zapożyczył pewną logikę konwencjonalnie stosowaną przez liberałów, aby przedstawić stanowisko konserwatywne, a to liberałów wyprowadza z równowagi, podobnie jak kwestia darwinistów społecznych z dawnych czasów. W przekonaniu Boba Herberta z dziennika „New York Times" Bennett uważa, że „eksterminacja czarnych byłaby niezmiernie skutecznym narzędziem w zwalczaniu przestępczości". Różni liberalni rzecznicy, między innymi Terry McAuliffe, były przewodniczący Krajowego Komitetu Demokratycznego (DNC), twierdzili, że Bennett dąży do eksterminacji „czarnych niemowląt". Juan Williams wypowiedział zdanie, że uwagi Bennetta przemawiają „do osób o umysłach na wskroś rasistowskich".[440]

W pewnym sensie to dość zdumiewająca wolta. Mówi się nam przecież, gdy liberałowie opowiadają się za prawem do aborcji, że przy aborcji nie zabija się „niemowląt". Usuwa się wówczas konglomeraty komórek i tkanek albo „zawartość macicy". Jeżeli **hipotetyczne** aborcje popełniane rzekomo w konserwatywnych celach są dzieciobójstwem, to jak się dzieje, że dzieciobójstwem nie są **faktyczne** aborcje popełniane w celach liberalnych?

Niektórzy liberałowie uczciwie podchodzą do tej sprawy. W 1992 roku Nicholas Von Hoffman w materiale opublikowanym w piśmie „Philadelphia Inrquirer" wywodził następująco: „Powszechnie dostępna i tania aborcja to polityka obrony społecznej. Aby się uratować i nie dopuścić do tego, by nas mordowano w łóżkach i gwałcono na ulicach, powinniśmy zrobić wszystko, co zrobić można, aby zachęcać ciężarne, które nie chcą dzieci i nie będą się nimi opiekować, aby się ich pozbyły, zanim się staną potworami. [...] Podczas demonstracji przeciwnicy aborcji maszerują z plakatami przedstawiającymi martwe, rozczłonkowane płody. Zwolennicy aborcji powinni w odpowiedzi przyjść ze swymi plakatami, przedstawiającymi ofiary tych, których nie poddano aborcji, czyli ofiary morderstw, gwałtów, okaleczeń. Zdjęcia te przypominałyby nam, że walka o prawo do aborcji jest tylko częścią ogólniejszej walki o bezpieczne domy i bezpieczne ulice".[441]

W tym samym roku do Białego Domu dotarł list wysłany przez Rona Weddingtona, prawnika uczestniczącego w procesie Jane Roe przeciwko Henry'emu Wade'owi, który nalegał, aby prezydent elekt jak najszybciej wprowadził na rynek tabletki wczesnoporonne RU-486. Weddington argumentował w sposób odświeżająco uczciwy: „Można natychmiast przystąpić do eliminacji części naszego społeczeństwa, która nie ma prawie w ogóle wykształcenia, prowadzi niezdrowy tryb życia i jest uboga. Nie, nie przekonuję do jakiegoś masowego wybijania tych nieszczęśników. Przestępstwa, narkotyki i choroby już to robią. Problem polega na tym, że liczba tych ludzi nie utrzymuje się na stałym poziomie, lecz ich przybywa wskutek narodzin milionów niemowląt rodzących się ludziom, których nie stać na to, aby mieć dzieci. Wyraziłem to więc. Wszyscy wiemy, że to prawda, ale tylko to szepczemy, ponieważ jako liberałowie przekonani o wartości praw jednostkowych uważamy każdy program, który można by uznać za dyskryminowanie ludzi znajdujących się w gorszym położeniu, za program złośliwy i... cóż... taki republikański. [...] Rząd będzie również musiał zapewnić możliwości przeprowadzenia przecięcia nasieniowodów, wycięcia jajowodów i aborcji. [...] Od procesu Jane Roe przeciwko Heniy'emu Wade'owi przeprowadzono w tym kraju około trzydziestu milionów aborcji. Proszę pomyśleć o całym ubóstwie, przestępczości i żałosnym życiu, [..] a potem do tego scenariusza dodać trzydzieści milionów niechcianych dzieci. Straciliśmy bardzo wiele terenu podczas religijnej orgii urządzonej przez Reagana i Busha. Nie mamy już wiele czasu”.[442] Czym się to w gruncie rzeczy różni od programu Margaret Sanger, która sama go nazwała „religią kontroli urodzeń”? Programem, który miałby – pisała – „usunąć finansowy ciężar zapewnienia za publiczne pieniądze opieki […] nad dziećmi skazanymi na to, że będą brzemieniem dla samych siebie, swoich rodzin i ostatecznie dla kraju?”.[443]

Nie chodzi tu o wyraźne intencje liberałów ani o racjonalizacje przywoływane przez nich w celu oszukiwania samych siebie co do natury aborcji. Rzecz w tym, aby pokazać, że nawet gdy zmieniają się motywacja i argumenty, zasadnicza treść tego programu politycznego pozostaje w jego skutkach. Po Holokauście, przez który zdyskredytowana została eugenika *per se*, nie znikli ani eugeniści, ani głoszone przez nich koncepcje. Idee te zakorzeniły się w takich dziedzinach, jak planowanie rodziny i demografia oraz w ruchach politycznych, na przykład w feminizmie. W pewnym sensie organizacja Planowane Rodzicielstwo jest obecnie **bardziej** eugeniczna, niż chciała tego Sanger. Przecież Sanger odrzucała aborcję. Uważała ją za „barbarzyństwo”, a dokonujących aborcji nazywała „wampirami z tytułami doktorów przed nazwiskami”. Aborcja prowadziła jej zdaniem do „skandalicznej rzezi” i „mordowania niemowląt”, na co nie zasłużyło sobie nawet zdegenerowane potomstwo niezdatnych.[444]

Należy więc zapomnieć o intencjach, lecz przyjrzeć się skutkom. Aborcje powodują śmierć większej liczby czarnych istnień niż choroby serca, nowotwory, wypadki, AIDS i przestępstwa **łącznie**. Afroamerykanie stanowią nieco ponad 12 procent ludności Stanów Zjednoczonych, ale ze wszystkich aborcji dokonują ponad jedną trzecią (37 procent). Ten odsetek utrzymuje się mniej więcej na tym samym poziomie, ale w niektórych regionach ta tendencja ujawnia się jeszcze wyraźniej. Ośrodki Kontroli Chorób (Centers for Disease Control) podają, że w stanie Missisipi czarne kobiety dokonują około 72 procent aborcji. W całych Stanach Zjednoczonych z tysiąca ciąż czarnych kobiet 512 kończy się aborcją.[445] Wiele mówi fakt, że około 80 procent ośrodków aborcyjnych prowadzonych przez Planowane Rodzicielstwo znajduje się na terenach zajmowanych przez przedstawicieli mniejszości lub w ich pobliżu. Obecnie liberalizm potępia tego czy innego Billa Bennetta, który spekuluje na temat skutków zabijania nienarodzonych czarnych dzieci, a jednocześnie świętuje faktyczne zabijanie nienarodzonych czarnych dzieci, Billa Bennetta natomiast potępia za to, że przeciwko temu występuje.

Rzecz jasna, celem ortodoksyjnych eugenistów było również objęcie tymi programami „ociężałych umysłowo” oraz „bezużytecznych zjadaczy chleba”, co obejmowało wszystkich od upośledzonych umysłowo, poprzez niewykształcone i niedożywione podklasy, po kryminalistów recydywistów. Odnośnie do obecnych „ociężałych umysłowo”, wpływowi przedstawiciele lewicy bronią obecnie zabijania „defektywnych” na początku życia i u jego schyłku. Najważniejszy z nich to Peter Singer, powszechnie wysławiany jako najważniejszy żyjący filozof oraz czołowy światowy

etyk. Wykładający na Uniwersytecie Princeton profesor Singer twierdzi, że niechciane i niepełnosprawne dzieci należałoby zabijać w imię „współczucia". Uważa ponadto, że osoby w podeszłym wieku i inne stanowiące obciążenie dla społeczeństwa powinny być uśmiercane, kiedy ich życie przestaje być warte tego, aby je przeżyć.

Singer nie chowa się za słowami z kodu bądź eufemizmami, gdy wyraża przekonanie, że zabijanie dzieci nie zawsze jest złe, o czym świadczy tak właśnie brzmiący tytuł jego eseju – *Killing Babies Isn't Always Wrong*. Należy dodać, że Singer nie jest w tej kwestii głosem wołającego na puszczy, ponieważ jego poglądy cieszą się popularnością i są poważane w wielu kręgach akademickich.[446] Nie skłoniło to jednak lewicy do potępienia go choćby w najmniejszym stopniu przez zastosowanie jakiejś formy ostracyzmu (z wyjątkiem Niemiec, bo Niemcy nadal sobie odruchowo przypominają, dokąd taka logika może zaprowadzić). Oczywiście, nie wszyscy liberałowie – nawet nie większość – zgadzają się z zaleceniami Singera, ale trzeba zarazem pamiętać, że także nie potępiają go z taką mocą jak na przykład jakiegoś Williama Bennetta. Być może wyczuwają w nim pokrewnego ducha.

Polityka tożsamości

Dzisiejsi liberałowie nie żywią jakichś szczególnie wrogich uczuć wobec mniejszości rasowych (odmienną kwestią są większości). Można nawet powiedzieć, że wykazują pewne uprzedzenia co do mniejszości rasowych działające na ich korzyść, obdarzają ich bowiem zaufaniem **ekstra**, Otóż w jądrze liberalnych przekonań na temat kwestii rasowych mieści się założenie, że sam fakt, iż jest się czarnym, stanowi jakieś osiągnięcie.

Mniej więcej od czterdziestu lat w rozrywce popularnej gloryfikuje się istotę, którą Richard Brookhiser, redaktor pisma „National Review", nazywa „Murzynem numinotycznym". Gdy weźmie się pod uwagę, jak czarnych przedstawiano w przeszłości, jest całkowicie zrozumiałe, że obecnie artyści wielokrotnie przesadzają z kompensacją w drugą stronę. Jest to jednak ogólniejsza tendencja kulturowa, obejmująca również życie polityczne i programy działania. Parlamentarna Grupa Afroamerykanów (Congressional Black Caucus), w większości zbieranina skrajnie lewicowych polityków, nazywa się „sumieniem Kongresu", choć nie widać po temu żadnego powodu poza przynależnością rasową jej członków. Biali liberałowie z wielkim zadowoleniem propagują to przekonanie, po części z powodu poczucia winy, po części z nieco cynicznych kalkulacji, które pozwalają im przedstawiać siebie w dobrym świetle, mianowicie uchodzić za szlachetnych (samozwańczych) obrońców czarnej Ameryki. Jednakże większość białych liberałów – czarnych również – podpisuje się pod orientacją filozoficzną, w której się zakłada, że czarni **są** pod jakimś znaczącym względem „lepsi".

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że z takiego właśnie założenia wychodzą faszystowscy w istocie zwolennicy supremacji czarnych, na przykład Louis Farrakhan i czarny „rasolog" Leonard Jeffries. Istotnie, wszyscy lewicowcy afrocentryczni i powiązani z Black Nation głoszą mnóstwo dziwacznych i ahistorycznych fantazji dotyczących wyższości pradawnych afrykańskich cywilizacji, spisków zawiązywanych przez białych w celu wymazania historii czarnych itp. Podobieństwo do nazistowskiej mitologii mówiącej o mitycznej aryjskiej przeszłości nie jest ani przypadkowe, ani naciągane. Do nielicznych miejsc w Stanach Zjednoczonych, gdzie na pewno można znaleźć Protokoły Mędrców Syjonu, należą księgarnie prowadzone przez afro-centrystów. Do tego trzeba dodać, że Naród Islamu wykazuje ideologiczne powinowactwo z nazizmem, a ruch Powrót do Afryki (Back to Africa) – do włoskiego faszyzmu.

Nawet na lewicy liberalnej, gdzie te zatruwające koncepcje są znacznie bardziej rozcieńczone, przyjmuje się za pewien aksjomat, że w czarnych jest coś wyraźnie dobrego z samej ich istoty. Czemu tak? Cóż, tak być **musi**. Gdy ktoś przyjmuje różnorodne doktryny wielokulturowości i polityki tożsamości, już wierzy, że czarność jest odrębna, niezmienna i nie do

stłumienia. Gdy się zaakceptuje tę logikę – a lewica niewątpliwie to robi – pozostaje wybór całkiem prosty. Jeżeli przynależność rasowa **nie jest** neutralna, jeżeli „rasa się liczy" („race matters"), jak to ujmuje Comel West, to **jak** się liczy? Gdy mają wybierać, czyli przypisać rasie wartość albo pozytywną, albo negatywną, liberałowie opowiadają się po stronie wartości pozytywnej.

Dyskryminacja pozytywna to kręgosłup naszego rasowego systemu łupów. Minęły już czasy, kiedy akcję afirmatywną uzasadniano wyłącznie argumentami przedstawionymi przez Lyndona Johnsona, który twierdził, że pomaga się czarnym usunąć skutki historycznej niesprawiedliwości.[447] Nie ulega wątpliwości, że te argumenty nadal dość mocno przemawiają do wielu liberałów, co należy uznać za rzecz przemawiającą na ich korzyść. Zostały jednak włączone do ogólniejszego kredo wielokulturowości, a liberałowie sięgają po sformułowania mówiące o krzywdzie rasowej – czyli twierdzą, że konieczna jest akcja afirmatywna, aby „naprawić" to, co wyrządzono czarnym – jedynie gdy akcja afirmatywna jest zagrożona, to falochron zapewniający pewną ochronę przed ogromną Koalicją Ciemiężonych, która opiera się na zasadniczym założeniu mówiącym o prawach należnych czarnym, aby wprowadzić w życie olbrzymi program kulturowy i polityczny, posługując się pojęciem zróżnicowania. Dopóki czarni potrzebują szczególnego traktowania, dopóty ta koalicja ma dźwignię polityczną wykorzystywaną do wprowadzania w życie polityki „nam też". W państwie, w którym obowiązuje zasada łupów na podstawach rasowych, ta tragedia wspólnego pastwiska była nieuchronna. Feministki, idąc w ślady czarnych, także zapragnęły szczególnego traktowania. Ten sam model skopiowali latynoscy lewicowcy. Teraz homoseksualiści twierdzą, że niemal w każdym sensie mającym znaczenie są moralnymi odpowiednikami czarnych. Ostatecznie doszło do tego, że szeregi uciśnionych tak się rozrosły, iż potrzeba było nowego argumentu. Zapewniło go określenie „wielokulturowość".

I tu właśnie podobieństwa do niemieckiej myśli faszystowskiej stają się najwyraźniejsze. W słynnym wywodzie Isaiah Berlin twierdził, że faszyzm wywodzi się z koncepcji, które głosił francuski reakcjonista, hrabia Joseph de Maistre. Berlin niewątpliwie wyolbrzymiał wpływ de Maistre'a (ponieważ zarówno naziści, jak i włoscy faszyści wyraźnie odrzucali jego idee), ale mimo to jego argument pomaga nam zrozumieć, jak nakładają się na siebie i wchodzą w interakcje faszyzm i polityka tożsamości.

Do zasadniczych założeń oświeceniowych należy przekonanie, że ze wszystkimi ludźmi można prowadzić racjonalny dialog. *Philosophes* przekonywali, że wszyscy ludzie na całym świecie mają zdolność rozumowania. To europejska prawica uważała, że ludzkość została podzielona na grupy, klasy, sekty, rasy, narodowości i inne podlegające gradacji elementy w wielkim łańcuchu istnienia. Reakcjonista de Maistre odrzucał koncepcję, że istnieją jakieś „powszechne prawa człowieka". W najsłynniejszej wypowiedzi na ten temat stwierdził: „Na tym świecie nie ma takiej istoty, jak »człowiek«. Widziałem w swoim życiu Francuzów, Włochów, Rosjan itd. Wiem nawet od Montesquieu'go, że można być Persem. Co do człowieka jednak, mówię, że nigdy takiego nie spotkałem. Jeżeli istnieje, nic mi o tym nie wiadomo".[448]

De Maistre miał na myśli to, że wszyscy jesteśmy więźniami przynależności rasowej i etnicznej. (Nie wspomniał o płci, ale to prawdopodobnie rozumiało się samo przez się). Obecna polityka tożsamości mniej się różni od polityki tożsamości w czasach faszyzmu, niż ktokolwiek sobie to uświadamia. Pewien sympatyk faszyzmu stwierdził w latach trzydziestych następująco: „W naszych koncepcjach dążymy do tego, aby wykroczyć poza fatalny błąd przekonania o równości wszystkich ludzi, i starać się uznać zróżnicowanie narodów i ras".[449] Na ilu kampusach słyszy się obecnie takie sformułowania każdego dnia?

Obecnie to lewica głosi, że nie ma takiej istoty, jak „człowiek". Nie ma ludzi, są Afroamerykanie, Latynosi i Indianie. Lewicowi naukowcy mówią o „trwałości rasy", a na prominentnych uniwersytetach i college'ach pojawiło się mnóstwo kursów poświęconych „badaniom kultury białego człowieka" (*whiteness studies*), których celem ma być ograniczanie zagrożenia stwarzanego przez białych w Stanach Zjednoczonych. Socjolog Andrew Hacker odrzuca „białą logikę", a bardzo wielu innych naukowców wywodzi, że czarni i przedstawiciele innych

mniejszości uzyskują gorsze wyniki na uczelniach, ponieważ wykładane na nich przedmioty reprezentują wynik myślenia charakterystycznego dla zwolenników supremacji białych. Czarne dzieci nie chcą się uczyć, ponieważ sukcesy akademickie oznaczają to, że ktoś postępuje „jak biały". Te sterty bredni uświęcają i umacniają liczne koncepcje kolektywistyczne, w których państwo umieszcza się w centrum procesu zarządzania postępami czynionymi przez grupy. Tych, którzy występują przeciwko temu programowi, trzeba zdzielić przez łeb, zarzucając im faszyzm. Na przykład system szkolnictwa publicznego w Seattle ogłosił niedawno, że „podkreślanie znaczenia indywidualizmu przeciwstawianego ideologii bardziej kolektywistycznej" stanowi formę „rasizmu kulturowego". Wystarczy, że ktoś opowiada się za oświeceniowymi zasadami indywidualizmu i rozumu, aby uznać to za występowanie przeciwko mniejszościom. Richard Delgado, twórca krytycznej teorii rasy, pisze tak: „Czarny albo Meksykanin powinien jak szalony zwiewać z demokracji mających za podstawę zasady oświeceniowe, pod warunkiem że może coś wybrać".[450]

W latach sześćdziesiątych, kiedy ruch na rzecz praw obywatelskich nadal polegał na klasycznie liberalnej zasadzie, że ludzi oceniać na podstawie ich charakteru, oświeceni liberałowie odrzucali zasadę „jednej kropli", zgodnie z którą kropla „czarnej" krwi powodowała, że ktoś był czarny, zasadę wyraźnie podobną do narodowosocjalistycznych wyobrażeń o tym, kogo należy uważać za Żyda. Obecnie w przekonaniu lewicy ktoś mający choć kroplę czarnej krwi powinien być uważany za czarnego ze względu na dyskryminację **pozytywną**. Przywileje łączone z czarnością są tak cenne, że niektórzy czarni intelektualiści dążą do tego, aby „oszustwo rasowe" uznać za przestępstwo.[451] To dziwny problem w dziedzinie rasizmu, kiedy ludziom zależy na tym, aby się znaleźć wśród ciemiężonych, a przy tym uprawiają lobbing, aby wprowadzono ustawy, które zapewnią, że „ciemiężcy" nie będą mogli uchodzić za „ofiary".

W następstwie gloryfikowania trwałości cech rasowych lewica porzuciła ograniczone uzasadnienia akcji afirmatywnej, aby się opowiedzieć za doktryną wielokulturowości. Argument mówiący o zróżnicowaniu – przy okazji warto nadmienić, że używa się go jedynie w celu bronienia faworyzowanych grup: Azjatów i Żydów niemal nigdy się nie wymienia, gdy mówi się o zróżnicowaniu – to argument mówiący o trwałości cech rasowych i tożsamości. Innymi słowy, jeśli lewica dopnie swego, preferencje rasowe już nie będą miały w ogóle związku z rekompensowaniem krzywd wyrządzonych w minionych czasach (chyba że te preferencje znajdą się pod ostrzałem). Będzie tak, że dążenie do utrzymania różnorodności stanie się stałą koncesją pozwalającą siedzącym w liczbach specjalistom od inżynierii społecznej dyskryminować dowolnie wybraną grupę, dążąc do osiągnięcia upragnionej „równowagi". Kiedyś na przykład wprowadzono limity, aby niesprawiedliwie ograniczać liczbę studiujących Żydów i doprowadzić w ten sposób do tego, że na uczelnie będą się dostawać biali protestanci. Obecne niesprawiedliwe limity wykorzystuje się do tego, aby ograniczać liczby studiujących Żydów (i Azjatów) i w ten sposób pomagać czarnym i Latynosom. Różnica polega na tym, że obecnie liberałowie uważają takie programy polityczne za dowód postępu w kwestiach rasowych.

Koncepcja zróżnicowania wymaga jako założenia esencjalizmu rasowego, a przez to go zatwierdza. Nie tylko zamożni (i coraz częściej także urodzeni w innych państwach) czarni liczą się podobnie jak ubodzy, ale do tego przedstawia się teraz argument, że kontakt z czarnymi sam w sobie powoduje doskonalenie moralne. Ta polityka jest protekcjonalna i bezproduktywna, gdyż zakłada się w niej, że czarni nie przychodzą do szkół jako Tom Smith czy Joe Jones, lecz są to wymienni „studenci patrzący z perspektywy czarnych". Wykładowcy zwracają się do czarnch studentów, aby od nich uzyskać „czarny punkt widzenia", a studentów, którzy nie kierują się linią partyjną, za nieautentycznych i protekcjonalnych uważają biali liberałowie (a więc większość pracowników naukowych i przedstawicieli władz uczelni) lub czarni grający w grę rasową. Byłem na dziesiątkach kampusów i wszędzie historia się powtarzała: czarni jedzą, imprezują i mieszkają z czarnymi. Ta autosegregacja coraz bardziej się uwidacznia w polityce kampusu. Czarni stają się grupą studentów w ogóle studentów, mikrokosmosem narodu w narodzie. Na ironię zakrawa to, że biały student odniósłby największe korzyści z kontaktu z czarnym studentem i odwrotnie, gdyby było mniej czarnych studentów albo przynajmniej nie było w ogóle akademików dla czarnych.

Wówczas bowiem czarni musieliby się zintegrować z kulturą większości. Tyle że integracją się obecnie gardzi, rzecz jasna, uważając ją za doktrynę rasistowską.

Mógłby ktoś powiedzieć, że skandaliczne jest porównywanie obecnego programu liberalnego wdrażanego w celu niesienia pomocy przedstawicielom mniejszości z trującą ideologią faszyzmu i nazizmu. Zgodziłbym się z tym stwierdzeniem, gdybyśmy rozmawiali o sprawach takich, jak Holokaust czy nawet noc kryształowa. Jednakże na poziomie filozoficznym mówimy o kategoryzowaniu w procesie myślenia. Jeśli chce się coś usprawiedliwiać stwierdzeniem, że jest to „czarne", pod względem filozoficznym nie różni się to wcale od stwierdzenia, że coś jest dobre, gdyż jest „aryjskie". Kontekst moralny ma ogromne znaczenie, ale tłumaczenie jest identyczne. Podobnie jest wówczas, gdy odrzuca się oświecenie z „dobrych" powodów – nie zmienia to tego, że oświecenie się odrzuca. A wszelkie instrumentalne czy pragmatyczne korzyści uzyskiwane w wyniku odrzucenia oświecenia nadal sprowadzają się do tego, że rozbija się kafarem podest, z którego się przemawia. Gdy nie ma norm oświeceniowych, znajdujemy się w świecie nietzscheańskim, gdzie o ważnych sprawach nie decyduje rozum, lecz potęga. Wygląda na to, że właśnie tego chce lewica.

Jeszcze ostatnia uwaga na temat zróżnicowania. Ponieważ liberałowie mają to, co Thomas Sowell nazywa „nieograniczoną wizją", zakładają, że wszyscy postrzegają sprawy przez pryzmat przyjmowanych przez nich kategorii. Znów więc, podobnie jak w wypadku wymyślonego przez lewicę darwinizmu społecznego, liberałowie zakładają, że ich przeciwnicy ideologiczni przeciwstawiają własne „złe" poglądy ich przekonaniom słusznym. Jeżeli więc liberałowie zakładają, że czarni – bądź kobiety, bądź homoseksualiści – są z istoty dobrzy, to oznacza to, że konserwatyści muszą przyjmować, iż te same grupy są z istoty złe.

Nie ma to oznaczać, że nie ma rasistowskich konserwatystów, ale na poziomie filozoficznym liberalizm „walczy z chochołami", czyli stosuje sofizmat rozszerzenia polegający na krytykowaniu wyolbrzymionej wersji argumentu. Z tego powodu liberałowie muszą nieustannie zapewniać, że konserwatyści używają pewnego kodu, bo przecież w konserwatyzmie *per se* nie ma niczego w oczywisty sposób rasistowskiego. Nieodzownym elementem taktyki liberałów jest stała manipulacja językiem, aby konserwatyści – i inni nieliberałowie – musieli się bronić. Za przykład można tu podać sprawę waszyngtońskiego urzędnika, którego zwolniono za poprawne użycie słowa *niggardly* (oznaczającego człowieka 'skąpego').[452] Nieustannie trzeba wywoływać wstrząsy, aby utrzymywać klimat skruchy. Jak doskonale wiadomo, faszyści rządzili terrorem. Poprawność polityczna nie jest terrorystyczna w sensie dosłownym, ale rządzi za pomocą strachu. Nikt poważny nie zaprzeczy temu, że uprawiana przez amerykańską lewicę polityka skruchy sprawia, że przyzwoici ludzie nieustannie się boją. Boją się, że wypowiedzą niewłaściwe słowo, wyrażą nie właściwą myśl, urażą nie tych wyborców, których należałoby

Jeżeli podtrzymujemy przekonanie, że polityczny konserwatyzm jest dziedzicem indywidualizmu przyjmowanego w klasycznym liberalizmie, to jest niemal niemożliwe, aby osoba uczciwie podchodząca do sprawy nazwała takie nastawienie rasistowskim. Mimo to według liberałów neutralność w kwestiach rasowych sama w sobie jest nastawieniem rasistowskim. Mówi się nam, że to powrót do „darwinizmu społecznego" minionych czasów, ponieważ przy takim nastawieniu skazuje się mniejszości na dziką walkę o przetrwanie w środowisku, w którym przeżywają najsilniejsi.

Są tylko trzy zasadnicze stanowiska. Istnieje rasizm lewicy, który dąży do tego, aby państwo wspierało faworyzowane mniejszości, ponieważ uważa je za moralnie wyższe. Istnieje też neutralność w kwestiach rasowych, która jest – albo się stała – stanowiskiem konserwatywnym. Istnieje wreszcie pewna postać „klasycznego rasizmu", mianowicie przekonanie, że czarni są pod jakimś względem gorsi. W przekonaniu lewicy tylko jedna z tych postaw nie jest rasistowska. Neutralność w kwestiach rasowych jest rasistowska. Rasizm jest rasistowski. Co wobec tego pozostaje? Jedynie liberalizm. Innymi słowy, trzeba się zgodzić z liberałami, żeby nie wyjść na rasistę. Oczywiście, gdy ktoś przyjmie, że nie zważa na kolor skóry, wielu uczciwych liberałów

powie mu, że nie jest osobiście rasistą, doda jednak, że jego poglądy „propagują” rasizm. A niektórzy liberałowie będą się kierować zasadą faszystowską: jeśli nie należysz do rozwiązania, to należysz do problemu. Tak czy owak, nie ma bezpiecznych przystani, gdzie można się ukryć przed liberalną ideologia. Kiedy więc dochodzi do kwestii rasy, liberalizm stał się pewnym łagodnym totalitaryzmem, a wielokulturowość – mechanizmem wykorzystywanym do liberalnego glajchszaltungu. Gdy ktoś nie znajduje się w kręgu liberalnego konsensu, albo sam jest zły, albo do zła nakłania. To logika *Volksgemeinschaft* wyrażona za pomocą sformułowań z frazeologii stosowanej w żargonie poprawności politycznej.

Jeśli ktoś postrzega świat inaczej, oczywiście nie musi się spodziewać wizyty gestapowców. Jeśli uważa, że dobre zróżnicowanie nie ma związku ze skórą, bądź nie podpisuje się pod przekonaniem, że jedyna uzasadniona społeczność to ta, w której „wszyscy jesteśmy razem”, to nie zostanie wywleczony do obozu reedukacyjnego. Jest jednak bardzo możliwe, że zostanie wysłany do psychiatry czy psychoterapeuty bądź na warsztaty służące rozwojowi wrażliwości.

ROZDZIAŁ 8

Liberalna ekonomia faszystowska

W ostatnich latach liberałowie na ogół z powodzeniem kształtowali powszechnie przyjmowane twierdzenia dotyczące ekonomii. „Korporacje są zbyt potężne”. Te gigantyczne firmy trzymają „w uścisku” cały „system”, którego spójność jest obecnie niszczona przez brudny dotyk handlu. W pewnym stopniu pod tymi przekonaniami podpisuje się każde liberalne pismo ukazujące się w Stanach Zjednoczonych, od „Nation”, poprzez „New Republic”, po „New York Times”. Im dalej w lewo, tym bardziej te poglądy stają się karykaturalne. I tak Bill Maher w 2000 roku pokazał się na krajowej konwencji Partii Republikańskiej w stroju przypominającym kombinezon kierowcy uczestniczącego w rajdzie NASCAR, z logotypami korporacji, aby wykpić to, że republikanie są popychłami Wall Street. Arianna Huffington porzuciła prawicę na rzecz lewicy rzekomo z tego powodu, że mierziły ją korporacyjne „świnie przy korycie”. William Greider, Kevin Phillips, Robert Reich, Jonathan Chait i każdy inny, kto chciałby zostać Charlesem Beardem amerykańskiej lewicy, wyraża podobne przekonania. Zapewnia – się nas, że korporacje są z istoty prawicowe, a do tego ostrzega, że jeśli się je pozostawi bez kontroli, te złośliwe i nieodpowiedzialne byty zaprowadzą nas niebezpiecznie blisko faszyzmu. Szlachetna walka z tymi groźnymi „płatnikami korporacyjnymi” jest elementem wiecznej walki, której celem jest udaremnienie rozprzestrzeniania się faszyzmu, niezależnie od tego, jak błędnie się go definiuje.

Od lat trzydziestych XX wieku stale występuje tendencja do uważania ludzi biznesu – „przemysłowców”, „gospodarczych rojalistów” czy „rządzącej finansjery” – za autentycznych czarnoksiężników z faszystowskiej krainy Oz. Obecni liberałowie są jedynie najnowszymi spadkobiercami tej tradycji. Na przykład wśród lewicowców propagujących teorie spiskowe *de rigueur* jest nazywać George'a W. Busha i ogólnie republikanów nazistami. Rzekomo ma do tego nakłaniać między innymi powszechnie powtarzana kalumnia, że dziadek Busha należał do przemysłowców, którzy „finansowali” Hitlera.[453] Jednakże nawet poza tymi bagnami, gdzie rodzą się bezpodstawne oskarżenia i teorie spiskowe, artykułem wiary jest przekonanie, że liberałowie muszą czujnie obserwować świat wielkiego biznesu, aby wykrywać objawy rozwijającego się faszyzmu. Robert F. Kennedy junior dokonuje recyclingu tej kwestii. Pisze bowiem tak: „Rozwój faszyzmu w całej Europie w latach trzydziestych XX wieku pozwala wyciągnąć wiele wniosków co do tego, w jaki sposób potężne korporacje mogą podkopywać system demokratyczny. Mussolini ubolewał, że »faszyzm powinien się naprawdę nazywać korporacjanizmem«. Obecnie George Bush i jego dwór uważają nasz kraj za miejsce, gdzie mogą się obławiać przemysłowi baronowie-rozbójnicy”. Niezliczone osoby powtarzały te przekonania, twierdząc – by użyć słów Normana Mailera – że Stany Zjednoczone już są państwem „prefaszystowskim” rządzonym przez korporacje i ich sługusów z Partii Republikańskiej. Politolog Theodore Lowi stwierdził, że faszyzujący republikanie „przede wszystkim dążą do połączenia rządu z korporacjami”. Kanadyjski powieściopisarz John Ralston Saul w książce zatytułowanej *The Unconscious Civilization* (Nieświadoma cywilizacja) pisze, że żyjemy w społeczeństwie korporacjonistyczno-faszystowskim, ale nie chcemy tego zauważać. Pisarz ten lamentuje, że prezesi i dyrektorzy generalni to „prawdziwi potomkowie Benita Mussoliniego”.[454]

W tej hurtowej diagnozie jest sporo prawdy wyrażonej przypadkiem, ale ci krytycy, którym się marzy rola lekarza, błędnie rozpoznali i objawy, i schorzenie. Nieustannie czuwając, aby zwalczać faszyzm, lewicowcy w istocie go stworzyli, tyle że ten faszyzm ma życzliwe oblicze. Niczym średniowieczny lekarz przekonany, że rtęć leczy z szaleństwa, przyczyniają się do rozwoju

akurat tej choroby, którą chcą zwalczyć. Dobra medycyna, podobnie jak dobra ekonomia, wymaga odrzucenia mitów bez dowodów. Mimo to niemal od stulecia lewica i liberałowie korzystają z podręczników, w których aż się roi od przesądów. Te mity są splątane w wielkim węźle pomieszania. Wśród nitek widocznych w tym węźle są wyraźnie błędne przekonania, że świat biznesu z istoty jest prawicowy lub konserwatywny (w amerykańskim znaczeniu), że europejski faszyzm był narzędziem w rękach wielkiego biznesu i że rozwiązaniem, które nie pozwoli ludziom biznesu korumpować rządu, jest uregulowanie przez władze działalności biznesowej w każdym calu.

Naprawdę jednak jest tak, że gdy się zdefiniuje słowa „prawicowy" lub „konserwatywny" w amerykańskim znaczeniu, a więc tak, że oznaczają poparcie dla rządów prawa i gospodarki wolnorynkowej, to wynika z tego, że im bardziej prawicowa jest dana firma, tym mniej faszystowska się staje. Jeśli chodzi o politykę gospodarczą, to im bardziej się zbliżamy do centrum politycznego – zgodnie z tym, jak się je określa w obecnym amerykańskim życiu politycznym – tym bliżej jesteśmy rzeczywistego faszyzmu. Jeśli skrajna postawa lewicowa to socjalizm, prawicowa zaś to leseferyzm, to zakłamani centryści z Rady Przywództwa Demokratycznego (Democratic Leadership Council) oraz z Brookings Institution są prawdziwymi faszystami, ponieważ to oni podpisują się pod koncepcją trzeciej drogi, tym w istocie faszystowskim programem, którego propagatorzy twierdzą, że nie jest ani lewicowy, ani prawicowy.[455] Jeszcze istotniejsze jest to, że te mity często się celowo rozpowszechnia, aby przyspieszyć przekształcenie społeczeństwa amerykańskiego właśnie w takie faszystowskie – lub korporacjonistyczne – państwo, przeciwko któremu liberałowie rzekomo występują. Do pewnego stopnia istotnie żyjemy w faszystowskiej „nieświadomej cywilizacji", ale znaleźliśmy się w niej przez świadome dążenia liberałów, którzy tego właśnie chcieli.[456]

Cui bono?

Przekonanie, że faszyzm był narzędziem wykorzystywanym przez świat biznesu, należy do najtrwalszych i najodporniejszych mitów minionego stulecia, bezmyślnie powtarzanych w produkcjach hollywoodzkich, przez niezliczonych dziennikarzy i całe pokolenia „naukowców", (choć niekoniecznie historyków zajmujących tą problematyką). Trzeba jednak mieć w pamięci przestrogę Chestertona, że błędy nie przestają być błędami tylko przez to, że stały się modne.

W doktrynalnej wykładni marksistowsko-leninowskiej faszyzm zdefiniowano jako „skrajnie reakcyjną i jawnie terrorystyczną formę dyktatury kapitału, ustanowioną przez imperialistyczną burżuazję w celu złamania oporu klasy pracującej i wszelkich postępowych elementów w społeczeństwie". Podziwiający Mussoliniego Trocki przyznawał, że faszyzm był „ruchem plebejskiego pochodzenia", jednocześnie jednak zawsze twierdził, że był kierowany i finansowany przez wielkie kapitalistyczne potęgi.[457] Ta interpretacja była z góry przesądzona, gdyż w latach dwudziestych XX wieku komuniści byli przekonani, że są świadkami rozpadu kapitalizmu, o wiele spóźnionego. Marksistowskie proroctwo głosiło, że kapitaliści będą bronić swoich interesów i walczyć, żeby nie wymrzeć w nowej epoce socjalizmu. Gdy faszyzm zwyciężył we Włoszech, komunistyczni wizjonerzy po prostu zadeklarowali „To przepowiadaliśmy!" i na IV Kongresie Międzynarodówki Komunistycznej, w 1922 roku, niecały miesiąc po marszu na Rzym – długo przed umocnieniem władzy przez Mussoliniego – zebrani tam komuniści przyjęli tę interpretację, niewiele dyskutując o tym, co się naprawdę działo.

To, że pokonani włoscy czerwoni już rozpuścili pogłoskę, iż były towarzysz zdradził ruch za trzydzieści srebrników, tylko ułatwiło połknięcie tego mitu przydającego się komunistom. Przekonani, że wyłącznie oni są po stronie ludu, czerwoni na każdą klęskę polityczną reagowali pytaniem „*Cui bono?*" (Kto na tym korzysta?). Odpowiedź była oczywista – rządzący kapitaliści. „Faszyzm" stał się przez to dogodnym określeniem „zdesperowanych kapitalistów".

Później lewica krzyczała „Faszyzm!" przy każdej politycznej porażce, twierdząc, że grube ryby potajemnie pociągają za sznurki. Max Horkheimer, freudowski marksista ze szkoły frankfurckiej, uważał, że nie można nawet myśleć o antykapitalistycznych teoriach faszyzmu: „Jeśli ktoś nie jest przygotowany do rozmowy o kapitalizmie, powinien również milczeć na temat faszyzmu". Historyk Martin Kitchen pisze następująco: „We wszystkich socjalistycznych teoriach faszyzmu zasadniczym elementem jest podkreślanie bliskich powiązań faszyzmu z przemysłem". Henry Ashby Turner z Yale nazywa to „ideologicznym kaftanem bezpieczeństwa", który krępuje w praktyce wszystkie badania prowadzone pod wpływem koncepcji marksistowskich. „Prawie bez wyjątku [...] te publikacje cierpią – podobnie jak prace »ortodoksyjnych« marksistów – wskutek zbytniego polegania na wątpliwych, jeśli nie oszukańczych wynikach badań, i ewidentnie błędnego przedstawiania faktów".[458] W istocie nie ma żadnych dowodów, że Mussolini był pionkiem w rękach monolitycznego „wielkiego kapitału". Świat biznesu zdecydowanie nie popierał jednomyślnie faszyzmu i panowały w nim ogromne podziały do czasu przejęcia władzy przez Mussoliniego. Ponadto faszystowscy intelektualiści otwarcie pogardzali kapitalizmem i ekonomią mającą za podstawę leseferyzm.

Ta socjalistyczna mitologia stała się jeszcze bardziej prostacka, gdy reagowano na nazizm. Sukces Hitlera przeraził komunistów, choć wcale nie z tego powodu, że komuniści byli delikatnymi białymi kwiatuszkami. Taktyka stosowana przez nazistów w latach dwudziestych nie była nawet odrobinę bardziej barbarzyńska od taktyki obranej przez komunistów. Czerwonych przerażało to, że brunatni wygrywali z nimi, stosując ich metody. Niczym w kampanii oczerniania sieci Gimbels prowadzonej przez Macy's, bolszewicy i ich sympatycy rozpoczęli desperacką kampanię dyskredytowania nazizmu.

Jak się okazało, marksistowskie proroctwo nadawało się również na dobrą propagandę. Stalin osobiście wydał zakaz używania słowa „socjalistyczny" w odniesieniu do faszystów – nawet gdy faszyści regularnie podawali się za socjalistów – a później, zgodnie z założeniami doktryny socjalfaszyzmu, nakazał zwolennikom nazywać faszystowskimi wszystkie ideologia socjalistyczne i progresywistyczne. W tym samym czasie lewicowa prasa wychodząca w Niemczech i na całym Zachodzie upowszechniała kolejne bzdurne pogłoski o tym, że niemieccy przemysłowcy finansują szalonego kaprala i jego bojówkarzy w brunatnych koszulach. Sukces tych wysiłków propagandowych pozostaje najważniejszą przyczyną tego, że liberałowie nadal łączą kapitalizm z nazizmem oraz wielki kapitał z faszyzmem.

Jak widzieliśmy, to wszystko nie ma sensu. Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników pod każdym względem była ugrupowaniem populistycznym docierającym do ludzi znajdujących się u dołu hierarchii społecznej. Przywódcy NSDAP wygłaszali wszelakie socjalistyczne dyrdymały o przejęciu majątków zamożnych. W *Mein Kampf* aż się roi od ataków na „żądnych dywidend ludzi biznesu", których „pazerność", „bezwzględność" oraz „ograniczenie wynikające z krótkowzroczności" rujnują Niemcy. Hitler zdecydowanie opowiedział się po stronie ruchu związkowego walczącego z „haniebnymi pracodawcami". Jeszcze w 1941 roku nazywał ludzi biznesu „zbirami" i „chciwcami łupiącymi z zimną krwią", którzy nieustannie narzekają, że nie mogą postawić na swoim. Gdy lewica wysuwała zarzut, że kapitaliści finansują Hitlera, odpierał go, mówiąc, że to tylko „podłe kłamstwa". Szczególnie niemieccy lewicowcy utrzymywali, że Hugo Stinnes, kapitalista wzorcowy, potajemnie patronował Hitlerowi – nadal nie ma najmniejszego dowodu, że tak było. Hitler zakipiał gniewem, gdy to zasugerowano. Przecież od dłuższego czasu demonizował Stinnesa w swoich mowach i artykułach. Biznesman uważał, że problemów Niemiec nie rozwiąże rewolucja polityczna, lecz dokona się to wyłącznie przez poprawę sytuacji gospodarczej. W przekonaniu Hitlera ten pogląd był świętokradztwem.[459]

Należy również dostrzec, że w latach dwudziestych, gdy Hitler był pierwszym wśród równych w partii nazistowskiej, jego towarzysze także się wypowiadali jako reprezentanci „ruchu". A szeregowi radykalni działacze spośród „dawnych bojowników" zdecydowanie byli populistami występującymi przeciwko wielkiemu biznesowi. Po przejęciu władzy radykałowie ze związku zawodowego działającego przy Partii Narodowosocjalistycznej (Deutsche Arbeitsfront, DAF)

grozili, że przywódców świata biznesu osadzą w obozach koncentracyjnych, jeżeli nie zostaną podwyższone zarobki robotników. Taka działalność nie pasuje do partii, która miałaby być przez cały czas potajemnie finansowana przez ludzi biznesu.

Z rzetelnych i rozstrzygających sprawę badań przeprowadzonych przez Henry'ego Ashby'ego Tumera wynika, że przez całe lata dwudzieste naziści w praktyce nie otrzymywali żadnego konkretnego wsparcia od niemieckich – bądź zagranicznych – przemysłowców. Niektórzy odnoszący sukcesy specjaliści, kupcy i drobni przedsiębiorcy dawali jakąś nominalna pomoc, ale na ogół wynikało to z przyczyn różnych od gospodarczych, takich jak jawny antysemityzm czy wściekłość z populistycznych pobudek. Większość pieniędzy naziści mieli ze składek członkowskich i drobnych wpłat. Większość pozostałych pieniędzy pochodziła ze sprzedaży przedmiotów będących ówczesnymi odpowiednikami nalepek na samochody i koszulek z napisami. Naziści oferowali brunatne koszule i flagi nazistowskie. Firmowali także papierosy (mimo że Hitler nienawidził palenia), a nawet margarynę. Pobierali opłaty za udział w wiecach, które na ogół były młodzieżowymi „happeningami". Ponadto zagraniczne media płaciły za możliwość przeprowadzenia wywiadu z Hitlerem. „W porównaniu z regularnym napływem pieniędzy z tytułu składek członkowskich oraz innych wpłat dokonywanych przez szeregowych członków partii nazistowskiej – konkluduje Turner – fundusze przekazywane [partii] przez świat biznesu miały w najlepszym razie znaczenie marginalne".[460]

Gdy zdarzało się tak, że Hitler otrzymywał niewielkie kwoty od zamożnych darczyńców, motywacja takiego wsparcia zwykle miała więcej wspólnego z okazywaniem modnego radykalizmu niż z ratowaniem systemu kapitalistycznego. Edwin Bechstein i Hugo Bruckmann są często wymienianymi zamożnymi zwolennikami nazizmu. Jednakże poznali oni Hitlera poprzez swoje żony, Helene i Elsę. Obie kobiety, w średnim wieku, należały od dawna do monachijskiej socjety i wprawdzie zaciekle z sobą konkurowały, ale podzielały miłość do oper Wagnera i słabość do ognistego radykała, który budził dreszczyk w patronkach salonów, gdy na wieszaku zostawiał pas z bronią w kaburze i pejcz, po czym perorował na wszystkie tematy, od Wagnera, poprzez bolszewizm, po Żydów. Każda z tych kobiet zakipiała gniewem, gdy usłyszała pogłoskę, że pejcz Hitlera był prezentem **od drugiej**. Naprawdę Hitler otrzymał pejcze od obu i pozwalał każdej wierzyć, że nosi wyłącznie prezent od niej. Takie sceny przywodzą raczej na myśl relację Toma Wolfe'a o zbieraniu funduszów na Czarne Pantery podczas imprezy zorganizowanej przez Leonarda Bernsteina niż jakąś tajemną grupę skupiającą międzynarodowych kapitalistów zamierzających wykorzystać Hitlera jako miecz pozwalający uporać się z zagrożeniem stwarzanym przez czerwonych. Ostatecznie mężowie Helene i Elsy dali im trochę pieniędzy na ich ukochane przedsięwzięcie, ale nie za wiele. Hitler nadal musiał jeździć na wiele spotkań na skrzyni ładunkowej starego pikapa.

Faszystowski układ

Wielu liberałów słusznie ubolewa z powodu powiązań rządu z korporacjami. Mają nawet rację, gdy potępiają specjalne porozumienia z takimi firmami jak Halliburton czy Archer Daniels Midland, uważając je za dowód narastającego faszyzmu. Nie rozumieją natomiast **zupełnie** ci liberałowie tego, że taki właśnie system tworzą. Takiego właśnie systemu chcą. Po to się mobilizują i ku temu maszerują.

W obecnych debatach poświęconych ekonomii zasadniczo panuje głupota, reprezentowana przez obie partie. Demokraci chcą „wziąć w ryzy" korporacje, republikanie natomiast twierdzą, że są „probiznesowi". Problem w tym, że postawa „probiznesowa" niewiele ma wspólnego z opowiadaniem się za wolnym rynkiem, a „branie w ryzy" korporacji prowadzi akurat do tworzenia takiego klimatu, jaki liberałowie potępiają, uważając go za faszystowski.

Faszystowski układ przedstawia się mniej więcej następująco. Państwo zwraca się do przemysłowca tak oto: „Możesz nadal prowadzić działalność i posiadać fabryki. W duchu współpracy i jedności zagwarantujemy ci nawet zyski i brak poważnej konkurencji. W zamian oczekujemy poparcia naszych koncepcji politycznych i pomocy we wdrażaniu tego programu." Moralne i gospodarcze elementy tego programu zależą od charakteru danego reżymu. Widząc, że niemieckie firmy popierały nazistowską machinę wojenna, lewicowcy doszli do wniosku, że świat biznesu zawsze popiera wojnę. Tak samo zawyrokowali po I wojnie światowej na temat amerykańskich przedsiębiorstw. Twierdzili wówczas, że skoro koncerny zbrojeniowe osiągnęły korzyści dzięki wojnie, oznacza to, że one za tę wojnę ponoszą odpowiedzialność.

Spokojnie można powiedzieć, że kazirodcze związki między korporacjami a rządami są faszystowskie. Problem się pojawia, gdy ktoś chce twierdzić, że takie powiązania z natury rzeczy są właściwe dla prawicy.[461] Jeżeli powiązanie świata biznesu z rządem jest prawicowe, to prawicowcem był Franklin D. Roosevelt. Jeżeli korporacjonizm i propagandystyczny militaryzm to cechy faszyzmu, to faszystą był Woodrow Wilson, faszystami byli też twórcy Nowego Ładu. Jeżeli ktoś uważa, że nastawieniem prawicowym lub konserwatywnym cechują się ci, którzy opowiadają się za gospodarką wolnorynkową, konkurencją, prawami własności oraz pozostałymi wartościami politycznymi przyjętymi przez amerykańskich ojców założycieli, to wielki biznes w faszystowskich Włoszech, nazistowskich Niemczech i Stanach Zjednoczonych Nowego ładu nie był prawicowy, lecz lewicowy, a **także** faszystowski. Co więcej, nadal taki pozostaje.

Od zarania ery progresywistycznej reformatorzy stworzyli całą armię chochołów, a do tego istny malstrom mitów, aby uzasadnić zacieranie granic między sferą biznesu a rządem. W podręcznikach wiedzy o społeczeństwie podaje się, że Upton Sinclair i inni demaskatorzy wywołali gniew społeczeństwa, które wystąpiło przeciwko bezwzględnym ekscesom przedsiębiorstw produkujących konserwy, przez co Theodore Roosevelt i skupieni wokół niego progresywiści odważnie okiełznali rozwydrzoną branżę. To samo się opowiada o osiągnięciach innych demaskatorów, w tym zapatrzonych w Mussoliniego Idy Tarbell i Lincolna Steffensa, Ta opowieść żyje, gdyż kolejne pokolenia dziennikarzy marzą o ujawnieniu niegodziwych praktyk przedsiębiorstw, aby przez to doprowadzić do tego, że rząd wdroży „reformy".

Problem w tym, że całkowicie się to wszystko nie zgadza, co Sinclair przyznał, w żaden sposób do tego nie przymuszany. „Federalną inspekcję mięsa wprowadzono na prośbę producentów konserw – pisał Sinclair w 1906 roku. – Ta inspekcja jest utrzymywana i opłacana przez naród amerykański dla dobra producentów". Historyczka Gabriel Kolko to potwierdza: „Prawda naturalnie przedstawia się tak, że ogromne firmy produkujące konserwy sprzyjały regulacji, szczególnie gdy przysparzała problemów przede wszystkim ich niezliczonym drobnym konkurentom". Rzecznik grupy „Big Meat", jak moglibyśmy ją dzisiaj nazwać, zwrócił się do kongresmanów tak oto: „Popieramy teraz i zawsze popieraliśmy rozszerzenie inspekcji, a także wprowadzenie przepisów sanitarnych, które zapewnią najlepsze możliwe warunki produkcji". Koncerny produkujące konserwy doskonale sobie zdawały sprawę, że inspekcja federalna stanie się narzędziem marketingowym pozwalającym promować ich produkty, a ostatecznie wymaganą normą. Małe firmy i rzeźnicy, którzy zaskarbili sobie zaufanie konsumentów, będą musieli ponieść wysokie koszty, aby spełnić narzucone wymogi, natomiast wielkie przedsiębiorstwa nie tylko będą mogły łatwiej wchłonąć te koszty, ale także zyskają możliwość nagłaśniania, że ich produkty są lepsze od artykułów mięsnych bez certyfikatów.[462]

Ta sama historia powtarzała się wielokrotnie w erze progresywistycznej. Niesławna branża stalowa – dziedzice dziewiętnastowiecznych baronów-rozbójników – wykorzystała rządowe interwencje na ogromną skalę. Powszechnie znana bajeczka głosi, że rząd wkroczył, aby zapanować nad łupieżczymi monopolistami, prawda jednak przedstawia się niemal zupełnie przeciwnie. Wielkie koncerny branży stalowej były przerażone tym, że wolna konkurencja zaszkodzi ich łupieżczym monopolom, toteż poprosiły rząd o interwencję, a władze ochoczo na to przystały. Powstały wskutek fuzji 138 firm branży stalowej koncern US Steel ze zdumieniem bowiem przyglądał się, jak jego zyski maleją z powodu zaciekłej konkurencji. Prezes US Steel,

sędzia Elbert Gary, zwołał w reakcji konferencję szefów najważniejszych firm branży stalowej w hotelu Waldorf-Astoria w 1907 roku, aby doprowadzić do „dżentelmeńskiej umowy", która pozwoli ustalić ceny. Uczestniczyli w tych spotkaniach przedstawiciele Departamentu Sprawiedliwości Theodore'a Roosevelta.

Te porozumienia jednak nie przyniosły oczekiwanych skutków, ponieważ niektórym przedsiębiorstwom nie można było ufać, zamierzały bowiem niższymi cenami wygrywać z konkurentami. „Gdy nie udało się w dziedzinie gospodarki – pisze Kolko – grupa United States Steel skupiła się na działaniach politycznych". W 1909 roku magnat stalowy Andrew Carnegie przekonywał na łamach dziennika „New York Times" do „kontroli rządowej" branży stalowej. W czerwcu 1911 roku sędzia Gary następująco zwrócił się do kongresmanów: „Uważam, że przez odpowiednie nagłaśnianie sprawy musimy dojść do narzuconego uspołecznienia [nacjonalizacji] oraz kontroli rządowej [...] nawet w kwestii cen". Demokraci – wtedy jeszcze kierując się zasadami klasycznego liberalizmu – odrzucili tę propozycję, uznając ją za rozwiązanie „półsocjalistyczne".[463]

Wystarczy zerknąć do książki Herberta Croly'ego zatytułowanej *Promise of American Life* (Obietnica amerykańskiego życia), aby ujrzeć, do jakiego stopnia ekonomia progresywistyczna była zasadniczo oparta na założeniach faszystowskich. Croly gardził konkurencją. Walka z trustami była bezcelowa, bo nie mogła przynieść skutków. Gdy korporacja stawała się tak wielka, że zyskiwała monopol, w przekonaniu Croly'ego nie powinno się jej rozbijać, lecz upaństwowić. Wielkie przedsiębiorstwa „ogromnie się przyczyniły do uzyskania amerykańskiej wydajności gospodarczej" – wyjaśniał. Jego okrzykiem bojowym było słowo „współpraca". Pisał następująco: „Wszystkie cywilizowane społeczeństwa powinny dążyć do wprowadzenia współpracy zamiast konkurencji".[464] Z powodów filozoficznych i praktycznych Croly występował przeciwko samemu pojęciu neutralnych rządów prawa w dziedzinie biznesu. Ponieważ celem wszelkiego prawodawstwa ostatecznie jest dyskryminowanie pewnych interesów (do tego poglądu wrócili ponad stulecie później niektórzy krytyczni teoretycy prawa), państwo powinno odrzucić pretensje do neutralności i wprowadzić w życie „krajowy" program, który zapewni, że dobro społeczności będzie ważniejsze od dobra jednostki.

Jak widzieliśmy, I wojna światowa zapewniła świetną możliwość wprowadzenia w życie założeń Croly'ego. Ogromne przedsiębiorstwa i administracja Wilsona utworzyły wspólnie Radę Obrony Państwa (Council of National Defense, CND). Miała ona – jak to ujął Wilson – umożliwić przebudowę „całego mechanizmu przemysłowego [...] w sposób najwydajniejszy". W liście do firmy Du Ponts Howard Coffin z Hudson Motor Car Company wyrażał następujące przekonanie: „Mamy nadzieję, że będziemy mogli położyć fundament pod tę ściśle splecioną strukturę – łączącą jednostki przemysłowe, obywatelskie i wojskowe – co do której każdy myślący Amerykanin się przekonał, że jest niezbędna dla przyszłego życia tego kraju, w pokoju i współpracy społecznej nie mniej niż w przypadku możliwej wojny".[465]

Gdy wojna wybuchła, CND w większości włączono do Rady ds. Branż Produkujących na Potrzeby Wojny (War Industries Board, WIE). Zarządzana przez ludzi ze świata finansów i biznesu, pobierających wynagrodzenie w wysokości dolara rocznie, rada WIE ustalała ceny, wielkości dostaw, wysokość zarobków i naturalnie także marże zysków. Utworzono stowarzyszenia branżowe na mało sprecyzowanych zasadach syndykalistycznych. „Przedsiębiorstwa dążyły do dominacji, tworzyły własne zobowiązania i kierowały własnym podporządkowaniem" – pisał Grosvenor Clarkson, członek WIB i historyk tego przedsięwzięcia. Celem była „koncentracja handlu, przemysłu oraz wszystkich władz rządowych". Robert Higgs pisze następujące: „Historycy ogólnie konkludowali, że ci biznesmani przekształceni w biurokratów wykorzystywali swoją pozycję, aby ustanowić i umocnić to, co się sprowadzało do kartelowych porozumień obowiązujących w różnych branżach".[466]

Wielu przemysłowców chciało utrzymania rady WIB po I wojnie światowej, a politycy, między innymi Herbert Hoover, chcieli to ich życzenie spełnić. Wojna, wprawdzie straszna, dowiodła, że planowanie na poziomie państwowym działa. Stuart Chase, który ukuł zwrot „Nowy

Ład", wprost podawał dwa modele, którymi Stany Zjednoczone powinny się kierować, mianowicie sowiecki GosPłan i socjalizm wojenny z czasu I wojny światowej. Rexford Tugwell radośnie obwieszczał, że leseferyzm „stopił się w nowym ogniu wizji narodowej".[467]

Wbrew propagandzie z czasów Nowego Ładu – „złoczyńcy ogromnych majątków" itp. – Franklin D. Roosevelt po prostu dążył do przywrócenia korporacjonizmu z okresu minionej wojny. Twórcy Nowego Ładu nakłaniali kolejne branże do układania przepisów, które miały być wykorzystane do regulacji (ludzie z tych branż sami o to wielokrotnie wcześniej prosili). Agencja Odbudowy Kraju (National Recovery Administration, NRA) jeszcze agresywniej zmuszała branże do ustalania cen i potajemnej współpracy winnych kwestiach. Agencja zatwierdziła 557 kodeksów podstawowych oraz 189 uzupełniających. Te postanowienia obejmowały około 95 procent wszystkich zatrudnionych w przemyśle.

Było nie tylko nieuniknione, ale i **zamierzone** to, że wielki biznes miał dostać więcej, a maluczkich należało wykiwać. Na przykład właściciele wielkich sieci kin ułożyli takie przepisy, że kina niezależne niemal zmuszono do likwidacji, mimo że aż 13.571 kin z 18.321 działających w Stanach Zjednoczonych było niezależnymi przedsiębiorstwami. W kolejnych branżach drobnych miażdżono lub przynajmniej poważnie im utrudniano działalność w imię „wydajności" i „postępu". Przepisy regulujące branże bawełnianą, wełnianą, dywanową i cukrowniczą były – „do ostatniego przecinka" – po prostu porozumieniami zawartymi przez stowarzyszenia branżowe z administracją Hoovera. Niemal w każdym przypadku wielkie przedsiębiorstwa okazywały się zwycięzcami. „Praktycznie we wszystkich zbadanych przez nas kodeksach – podsumowywał Clarence Darrow w końcowym raporcie poświęconym analizie NRA Hugh Johnsona – widoczna była ta sama rzecz. [...] W kolejnych branżach większe organizacje, niekiedy wskutek działań [...] [stowarzyszeń branżowych], niekiedy wykorzystując inne metody, dla własnej korzyści ułożyły kodeksy, a następnie, wskutek posiadanej przewagi i dla jej zwiększenia, kierowały wdrażaniem opracowanych przez nie przepisów". Możemy sobie wierzyć w to, że Franklin D. Roosevelt opracował Nowy Ład, troszcząc się o ludzi „zapomnianych", pewien historyk jednak stwierdził tak: „Wydaje się, że kierowano się zasadą »Każdemu bowiem, kto ma, będzie dodane«" [Mt 25.29; przekład w wersji z Biblii Tysiąclecia].[468]

Tak opiewane przez liberałów ówczesnych i obecnych pragmatyzm Roosevelta oraz jego skłonność do eksperymentowania miały zdecydowany charakter ideologiczny. Planistom społecznym powinno się zapewnić możliwość swobodnego działania, aż osiągną odpowiednie rezultaty. Thurman Amold, teoretyk tworzący zasady nowej „religii rządu" i dyrektor wydziału antytrustowego w administracji Roosevelta, odrzucił typową niechęć żywioną przez liberałów do karteli, monopoli i trustów, a w zamian podkreślał znaczenie konsumpcji.

Wszystko to przeprowadzono za przyzwoleniem liberalnego establishmentu, który później nazwano „nową klasą" menedżerów, ekspertów i technokratów. Koncepcja polegała na tym, aby najmądrzejsi nie podlegali zasadom chaotycznego kapitalizmu i prostackiej polityki. „Najlepsze praktyki" świata biznesu i inżynierii należy zastosować w życiu politycznym. Takie programy najróżniej nazywano – mówiono o syndykalizmie, fordyzmie, tayloryzmie, technokracji – ale podstawowy impuls zawsze był ten sam. Ludzie biznesu przyczyniali się do tworzenia tego nowego zespołu przekonań. Gerard Swope, prezes General Electric, stanowi doskonały przykład poglądów gospodarczych elity świata biznesu. Rok przed objęciem prezydentury przez Franklina D. Roosevelta opublikował plan, który skromnie zatytułował *The Swope Plan*. Proponował tam, aby rząd zgodził się na zawieszenie ustaw antytrustowych, by dzięki temu współpracujące branże mogły dostosować „produkcję do konsumpcji", Przemysł „nie działałby już podzielony na niezależne organizacje, lecz jako całość, zgodnie z regułami opracowanymi przez stowarzyszenie branżowe. [...] Całość nadzorowałaby jakaś agencja federalna, taka jak Federalna Komisja Handlu". W warunkach stworzonych zgodnie z założeniami swopizmu, jak tę koncepcję określało wielu z rządu i spoza niego, państwo usunęłoby niepewność gnębiącą ludzi ze świata biznesu, dzięki czemu mogliby „zmierzać do przodu nie lękliwie, lecz zdecydowanie".[469]

Obecnie wszystko to brzmi jednoznacznie faszystowsko, ale wtedy brzmiało jeszcze bardziej faszystowsko. Politycy wdrażający programy Nowego Ładu uważnie analizowali korporacjonizm Mussoliniego. Zarówno „Fortune", jak i dość liberalny „BusinessWeek" przeznaczały wiele miejsca na swoich łamach na pochwały włoskiego „eksperymentu". „Państwo korporacjonistyczne jest dla Mussoliniego tym, czym dla Roosevelta jest Nowy Ład" – głoszono w „Fortune". I za prezydentury Hoovera, i za czasów pierwszych administracji Roosevelta wielu niezależnych ekonomistów reprezentujących najróżnorodniejsze ideologie zauważało podobieństwa amerykańskiej polityki gospodarczej do programów włoskich i nazistowskich. William Welk, wiodący badacz teorii ekonomicznych z okresu włoskiego faszyzmu, pisał na łamach „Foreign Affairs", że kodeksy NRA wyglądają jak naśladownictwa przepisów włoskich, tyle że włoscy faszyści zwracali więcej znacznie uwagi na sprawiedliwość społeczną.[470]

Opinie obserwatorów z innych państw nie różniły się zbytnio od tych komentarzy. „Jeszcze nas nie poinformowano, czy w sytuacji, kiedy rooseveltyzm stał się jawnie i bezsprzecznie faszystowski, Brytyjska Rada Związków Zawodowych (British Trades Union Council), zamierza przestać błogosławić i popierać podejmowane w Ameryce próby reformowania kapitalizmu" – pisał Fenner Brockway, brytyjski pacyfista, socjalista i dziennikarz, na łamach pisma „New Leader". Giuseppe Bottai, faszystowski minister ds. korporacji do roku 1932, napisał dla „Foreign Affairs" artykuł zatytułowany *Corporate State and the N.R.A.*, w którym zwracał uwagę, że we włoskim systemie – przy niewątpliwych podobieństwach – lepiej się traktuje pracowników".[471]

Naziści również dostrzegali te podobieństwa. „Przynajmniej jeden oficjalny głos w Europie wyraża zrozumienie dla metod i motywacji prezydenta Roosevelta – pisano na początku relacji zamieszczonej na łamach dziennika „New York Times" w lipcu 1933 roku. – To głos niemiecki, reprezentowany przez kanclerza Adolfa Hitlera". Niemiecki przywódca stwierdził W wypowiedzi dla tego pisma: „Sympatyzuję z prezydentem Rooseveltem, gdyż zmierza prosto do celu, ponad Kongresem, ponad grupami lobbystów, ponad upartymi biurokratami".[472] W lipcu 1934 roku na łamach „Der Völkische Beobachter", oficjalnego organu partii nazistowskiej, Roosevelta nazwano „absolutnym panem" Ameryki, obdarzonym „nieskazitelnym, niezmiernie odpowiedzialnym charakterem i niezłomną wolą", który jest „uczuciowym przywódcą narodu dogłębnie rozumiejącym potrzeby społeczeństwa". Przetłumaczonym na niemiecki książkom Roosevelta – *Looking Forward* (przychylnie ją ocenił, co wspomniano wyżej, sam Mussolini) oraz *On Our Way* – poświęcono wiele uwagi. Recenzenci błyskawicznie wspomnieli o podobieństwach Nowego Ładu do polityki nazistowskiej.

Na czym więc w istocie polegała ta „odgórna rewolucja"? W dziedzinie gospodarczej najczęściej mówiono o „korporacjonizmie". To słowo o nieprecyzyjnym i zmiennym znaczeniu określało podział przemysłu na współpracujące jednostki spółdzielcze, cechy i stowarzyszenia branżowe, które miały współpracować, by dążyć do osiągnięcia „celu narodowego". Wydawało się po prostu, że korporacjonizm to uczciwsza i jawniejsza próba osiągnięcia tego, do czego od dziesięcioleci dążyli planiści społeczni i ludzie biznesu. Pojawiało się oprócz tego wiele innych określeń, od „syndykalizmu", poprzez „planowanie krajowe", po – po prostu – „trzecią drogę". Uważano, że to nowe poczucie celu narodowego pozwoli przedsiębiorstwom i pracownikom odłożyć na bok różnice klasowe i wykuć to, co najlepsze dla wszystkich, bardzo podobnie do sposobu, w który postępowali wcześniej planiści wojskowi w Niemczech, Stanach Zjednoczonych i wszystkich pozostałych państwach zachodnich. Trzecia droga odzwierciedlała powszechne wyczerpanie polityką oraz nową wiarę w naukę i ekspertów.

Wizerunek rózeg oddaje ducha idei – w jedności siła. Korporacje bądź syndykaty reprezentujące rozmaite sektory gospodarki miały być – jak w pęku rózeg – ściśle związane w „interesie publicznym".[473] Faszyści zgadzali się z marksistami, że konflikt klasowy to zasadniczy problem w życiu gospodarczym. Różnili się tylko tym – często wyłącznie na poziomie teoretycznym – jak ten konflikt należy rozwiązać. Dążąc do tego, aby obywatele nie uważali się za pracowników albo szefów, lecz za Niemców i Włochów, zwolennicy korporacjonizmu liczyli, że wprowadzą w życie deklarację Hitlera „Klasy nie istnieją". Hitler w istocie wierzył w klasy –

opowiadając się pod względem kulturowym i politycznym po stronie zatrudnionych ponad zamożnymi – ale, podobnie jak większość faszystów, uważał, że różnice klasowe można podporządkować wspólnemu dobru, wykorzystując w tym celu zapał narodowościowy. W programie trzeciej drogi społeczeństwo uzyska wszystkie korzyści płynące z kapitalizmu, a przy tym uda się uniknąć wszystkich minusów tego ustroju. Rynek będzie istniał, ale zostanie ograniczony przez wprowadzenie „zdrowych" i „produktywnych" granic. Senator Silvio Longhi, faszystowski prokurator generalny we Włoszech, ujął te założenia następująco: „Państwo uznaje i zapewnia indywidualne prawo własności dopóty, dopóki nie wykorzystuje się go w sposób sprzeczny z przeważającym interesem zbiorowym".[474]

„Uważam – twierdził w 1932 roku Franklin D. Roosevelt – że jednostka powinna mieć pełną swobodę działania, aby móc się maksymalnie realizować. Nie sądzę jednak, że w imię tego świętego słowa należałoby pozwolić kilku potężnym grupom interesów robić przemysłowe mięso armatnie z życia połowy ludności Stanów Zjednoczonych. Taka frazeologia trzeciej drogi miała wiele odpowiedników w nazistowskiej propagandzie. W typowym artykule odredakcyjnym, opublikowanym 27 maja 1929 roku, Goebbels tłumaczył, że partia „nie występuje przeciwko kapitałowi, lecz przeciwko złemu wykorzystywaniu kapitału". Wyjaśniał dalej: „Także dla nas własność jest święta. Nie oznacza to jednak, że śpiewamy w chórze tych, którzy pojęcie własności przekształcili w potworną deformację. […] Naród wolnych i odpowiedzialnych właścicieli: oto cel niemieckiego socjalizmu".[475]

Nazistowski glajchszaltung

Faszyzm to kult jedności, we wszystkich dziedzinach i łączącej wszystkie dziedziny. Faszyści z determinacją dążą do zlikwidowania „sztucznych – prawnych czy kulturowych – granic między rodziną a państwem, między sferą publiczną a sferą prywatną, między światem biznesu a „dobrem publicznym". W przeciwieństwie do komunistycznego jakobinizmu (albo jakobińskiego komunizmu, jak kto woli), który przeprowadził wywłaszczenie i usunął instytucje, aby od nowa budować społeczeństwo, faszyzm pragmatycznie starał się zachować to, co w społeczeństwie dobre i autentyczne, a jednocześnie nagiąć to tak, by pasowało do wspólnego dobra. Przeszkadzające w dziele postępu grupy interesu bądź instytucje można naturalnie upaństwowić, ale gdy działały w reżymie, gdy „robiły, co do nich należy", mogły zachować swoje fabryczki, banki, kluby i sklepy.

Wiele ujawnia to, że korporacjonizm pod wieloma względami wywodzi się z doktryny katolickiej. W papieskiej encyklice *Rerum novarum* z 1891 roku w reakcji na dyslokacje rewolucji przemysłowej proponowano korporacjonizm, czyli syndykalizm. W uaktualnionej encyklice z 1931 roku, *Quadragesimo anno*, ponownie potwierdzono zasady wyrażone w dokumencie *Rerum novarum*. Te dwie encykliki stanowiły kręgosłup postępowej katolickiej myśli społecznej. Zainteresowanie Kościoła korporacjonizmem wynikało z jego przekonania, że to najlepsza metoda wskrzeszenia średniowiecznej organizacji społecznej, w której człowiek zyskiwał większe poczucie sensu własnego życia.

Krótko mówiąc, korporacjonizm w wielkim stopniu był przedsięwzięciem duchowym. Zarówno zimne, bezosobowe siły z historii opisywanej przez Marksa, jak i nieczuły dogmat niewidzialnej ręki Adama Smitha zostały odrzucone, aby przyjąć trzecią drogę, która „zapomnianemu" pozwala **czuć**, że jest dla niego miejsce w wielkim planie rzeczy.

Naziści mieli własne słowo na określenie tego procesu: *Gleichschaltung*. To polityczne określenie, zaczerpnięte – jak wiele innych – z dziedziny inżynierii, oznaczało „koordynację". Pomysł był prosty: wszystkie instytucje muszą współpracować, jakby były częściami tej samej maszyny. Tym, które ochoczo się do tego włączały, państwo zapewniało spore możliwości działania. Likwidowano natomiast powoli „wyspy odrębności" – czy to przedsiębiorstwa, czy Kościoły, czy ludzi. W rzece postępu nie mogło być kamieni. Całe społeczeństwo przystało na

faszystowski układ, w którym kupowano bezpieczeństwo gospodarcze, moralne i polityczne w zamian za absolutną lojalność wobec ideałów Rzeszy. Było to oczywiście bezpieczeństwo oszukańcze, bo faszystowski układ to pakt Fausta. Ale ludzie uważali, że je dostają.

Zasada wodzostwa (*Führerprinzip*) była zasadniczym mechanizmem glajchszaltungu. Zgodnie z nią całe cywilne społeczeństwo miało funkcjonować jak organizacja wojskowa, której każda jednostka dochowywała lojalności swemu przywódcy, a ci przywódcy odpowiadali przed ich przywódcami, i tak aż do samego Hitlera. Dla niemieckich przedsiębiorstw przejście było łatwe, ponieważ już wcześniej wdrożyły coś podobnego do *Führerprinzip* w swoich organizacjach. W tym sensie niemiecka kultura biznesowa przyczyniła się do rozwoju nazizmu, częściowo przez to, że położono podwaliny pod niemiecki swopizm, ale także pośrednio przez to, że przygotowała niemieckie umysły na ten rodzaj kontroli społecznej, który chcieli narzucić naziści. *Konzern* Krupp, piętnowana fabryka zbrojeniowa produkująca na potrzeby III Rzeszy, przygotowała grunt pod faszystowski układ w XIX wieku, gdy wprowadzono w życie ogólne rozporządzenia Alfreda Kruppa. W latach siedemdziesiątych XIX wieku Krupp wprowadził opiekę medyczną, szkoły, ubezpieczenia na życie, odszkodowania dla pracowników, plan emerytalny, szpitale, a nawet dom starców dla swoich pracowników. Jego rozporządzenia pełniły funkcję mini-umowy społecznej zawartej przez niego z zatrudnionymi. W zamian za ich lojalność – a więc unikanie związków zawodowych i agitacji socjalistycznej – Krupp zapewnił wszystkie świadczenia i przywileje, o które walczyli socjaliści. William Manchester pisze następujące: „Ausländerów może uderzać to, że ogólne rozporządzenia Alfreda uważano – a w Essen nadal za takie uchodzą – za liberalne. Po raz pierwszy niemiecka firma formułowała swoje obowiązki wobec pracowników.[476] Ogólne rozporządzenia Kruppa stały się jednym z najważniejszych progresywnych dokumentów wykorzystywanych do wdrażania reform w Prusach Bismarcka, a później także w znacznej części państw zachodnich. Obecnie przedsiębiorstwa prowadzące podobną politykę są ukazywane pozytywnie w programie *60 Minutes*.

Prowadząc politykę glajchszaltungu, naziści po prostu rozszerzy li zakres tych postanowień. Państwo zażądało lojalnego postępowania od Kruppa i jemu podobnych w zamian za zapewnianą przez nie ochronę. Było to jedynie odmienną formą stwierdzenia, że całe społeczeństwo ma zostać poddane nazyfikacji, czyli upolitycznione, tak że każda jednostka organizacji społecznej będzie robić, co do niej należy, przy realizowaniu programu większej sprawy. Doprowadziło to do tego, że przedsiębiorstwa stały się taśmociągami nazistowskiej propagandy i wartości. Nazistowska „wojna z rakiem" została podjęta przez firmy, w których zabroniono palenia. Nazistowska wojna z alkoholizmem i przykładanie wagi do organicznej żywności przez hitlerowców powoli wywoływały zmianę produkcji – odchodzono od piwa i mocnych alkoholi, aby wytwarzać więcej naturalnych soków owocowych. Szczególną ochroną objęto dzieci. W 1933 roku naziści zabronili reklam alkoholu skierowanych do dzieci. W roku 1936 wprowadzono nowy system znakowania produktów. Na artykułach żywnościowych i napojach podawano informację, czy są one „odpowiednie", czy „nieodpowiednie" dla dzieci (coca-cola należała do rzeczy nieodpowiednich). W tym samym roku aż jedna czwarta mineralnej wody wyprodukowanej w Niemczech została wprowadzona na rynek przez browary. W 1938 roku szef Urzędu Zdrowia Rzeszy, Hans Reiter, ogłosił, że od tej pory oficjalnym niemieckim „napojem narodowym" (*Volksgetränk*) będzie słodki cydr.

Naziści – których zawsze nieproporcjonalnie wspierali biurokraci reprezentujący „pomocne zawody" – odnosili korzyści przez to, że mieli szczególnie gorliwych wspólników w służbie zdrowia. W państwie, w którym usunięto demokrację i swobody obywatelskie, a eksperci – lekarze, twórcy regulacji i „higieniści przemysłowi" – awansowali na stanowiska zapewniające niezrównaną władzę, naziści oferowali upragnioną możliwość „wyjścia poza politykę". Na przykład Komisja Rzeszy ds. Walki z Nowotworami ogłosiła w pierwszym rocznym raporcie: „Rok 1933 był przełomowy w walce z nowotworami. Przewrót narodowosocjalistyczny [*Umwälzung*] zapewnił całkowicie nowe możliwości stosowania zakrojonych na wielką skalę działań tam, gdzie do tej pory pole manewru było dość ograniczone. [...] Energiczne i jednomyślne zaangażowanie [*Einsatz*]

przedstawicieli środowiska medycznego dowiodło, że w nowych Niemczech powstały nowe możliwości walki z rakiem”.[477]

Organizowano zakrojone na ogromną skalę kampanie propagujące zdrowie publiczne i moralne, aby promować bezpieczne warunki pracy, produkcję zdrowej żywności organicznej, walkę z okrucieństwem wobec zwierząt i inne elementy postępowego programu. Wprawdzie wiele z tych reform wdrażano odgórnie – robili to specjaliści od inżynierii społecznej ochoczo wspierani przez ludzi biznesu, którzy nagle zostali uwolnieni od zwykłych trosk wywoływanych przez takie kosztowne modyfikacje – ale naziści także niezmordowanie pracowali, aby wywoływać i kultywować oddolne zapotrzebowanie na te reformy. Wszystkich, od robotnika zajmującego najniższe stanowisko po najzamożniejszego przemysłowego barona, zachęcano, aby przyjęli przekonanie, że kto nie jest częścią rozwiązania, ten jest częścią problemu, i by zgodnie z nim postępowali. Również niemieckich konsumentów nieustannie zachęcano do kupowania produktów przyczyniających się do „wspólnego dobra”.

Naginano sam język, aby go dostosować do tego, co można nazwać jedynie nazistowską poprawnością polityczną. Victor Klemperer, wykładowca języków romańskich na Uniwersytecie Drezdeńskim, zwolniony w 1935 roku z powodu żydowskiego pochodzenia, zajął się dokumentowaniem drobnych zmian sformułowań i codziennego życia wywoływanych przez glajchszaltung. „Zmechanizowanie jednostki – tłumaczył – po raz pierwszy ujawniło się w »glajchszaltungu«. Przyglądał się, jak zwroty takie, jak »hitlerowska pogoda« – opisujące słoneczny dzień – wkradały się do codziennych rozmów. Naziści „zmieniali wartości, częstość wykorzystywania słów [i] do wspólnego zasobu słownictwa wprowadzali słowa, które wcześniej były używane tylko przez jednostki bądź nieliczne grupy. Konfiskowali słowa na użytek partyjny, nasycali swoją trucizną słowa, zwroty i formy zdaniowe. Zmuszali język do tego, aby służył ich strasznemu systemowi. Podbili słowa i zrobili z nich najpotężniejsze narzędzia marketingowe, jednocześnie najbardziej publiczne i najbardziej tajemnicze”.[478]

Kultura popularna, od **telewizji** i filmu po marketing i reklamę, była w tym procesie istotnym narzędziem. Szczególnie studia filmowe chciały współpracować z reżymem. I wzajemnie. Goebbels bardzo inwestował w film, uważając, że to „jedna z najnowocześniejszych i najskuteczniejszych metod oddziaływania na masy”. Jednocześnie zapewniał branżę filmową, że rząd jej nie przejmie. Miało to być „partnerstwo publiczno-prywatne”. „Nie zamierzamy hamować produkcji – powiedział szefom wytwórni filmowych w pierwszej wypowiedzi do przedstawicieli branży – ani nie chcemy ograniczać prywatnej przedsiębiorczości. Przeciwnie, ruch narodowy zapewni jej ogromny bodziec”.[479] Branża filmowa współpracowała z rządem, oficjalnie i nieoficjalnie, szykując przede wszystkim eskapistyczne produkcje dla niemieckiej publiczności oraz regularnie wytwarzając alegoryczne filmy w hołdzie Hitlerowi. Widzów delikatnie nakłaniano do zmiany zdania nie tylko na temat, powiedzmy, Żydów i polityki zagranicznej, ale także co do tego, co oznacza życie ludzkiej jednostki we współczesnym świecie.

Choć naziści całkowicie kontrolowali społeczeństwo, wielu nadal uważało, że ludziom biznesu bezkarnie uchodzi morderstwo. Szczególnie Himmlera gniewało wolne tempo wdrażania jego koncepcji dotyczących zwyczajów żywieniowych Niemców: „Wszędzie są rzeczy sztuczne, wszędzie żywność jest skażona, zawiera składniki, które rzekomo mają albo zwiększyć jej trwałość, albo poprawić wygląd, albo zapewnić jej »wzbogacenie«, czy co tam jeszcze ludzie zajmujący się reklamą w tej branży chcą nam wmówić. [...] Jesteśmy w rękach firm produkujących żywność, które wskutek własnej potęgi gospodarczej i reklamy mogą dyktować, co możemy jeść, a czego nie możemy [...] Po wojnie podejmiemy energiczne działania w celu udaremnienia niszczenia naszego narodu przez producentów żywności”.[480] Widzimy tu nieubłagany podpowierzchniowy prąd totalitaryzmu trzeciej drogi. Każdy życiowy problem musi w logiczny sposób być spowodowany przez niedostateczną współpracę instytucji albo jednostek. Gdyby tylko mechanizm zapadkowy można przekręcić jeszcze o jeden ząbek, to – pstryk! – wszystko znalazłoby się na swoim miejscu i wszystkie sprzeczności zostałyby wyeliminowane.

Naturalnie konsekwencje glajchszaltungu ponieśli przede wszystkim Żydzi. To oni bowiem byli „innymi", od których naziści się odgradzali, definiując swoje organiczne społeczeństwo. Z powodu odnoszonych przez Żydów sukcesów gospodarczych społeczność ludzi biznesu z konieczności odegrała zasadniczą rolę w procesie „aryzacji" społeczeństwa, który był dogodnym pretekstem umożliwiającym przedsiębiorstwom przejęcie mienia żydowskiego, a niemieckim specjalistom przejęcie stanowisk zajmowanych przez Żydów na uczelniach, w świecie artystycznym i naukowym. Bardzo wielu Niemców po prostu odmówiło spłaty zobowiązań wobec żydowskich wierzycieli. Banki przejęły nieruchomości nabyte za kredyty hipoteczne. Sępy przejęły żydowskie przedsiębiorstwa lub proponowały za nie grosze, doskonale wiedząc, że Żydzi nie mają dokąd zwrócić się o pomoc. Niekiedy donosiły na konkurentów, informując, że dana firma z niedostatecznym zaangażowaniem usuwa plamy żydostwa z własnego podwórka.

Nic równie strasznego nie zdarzyło się w Stanach Zjednoczonych i nie wydaje się prawdopodobne, aby mogło do tego dojść, nawet gdyby wprowadzono w życie najmroczniejsze wizje Hugh Johnsona. Jednakże praktyki nazistów i NRA Johnsona więcej łączyło, niż dzieliło. Bandziory Johnsona wyłamywały drzwi i wtrącały ludzi do więzienia za to, że nie uczestniczyli w programie Błękitnego Orła. Zbiry Hitlera postępowały podobnie. „Ci, którzy nie są z nami, są przeciw nam – grzmiał Johnson – a podtrzymywanie tego symbolu solidarności to dowód, że należy się do tej wielkiej armii Nowego Ładu". Hasło twórców Nowego Ładu, „Wypełniamy swoją powinność" (*We do our part*) brzmi jak echo nazistowskiego refrenu „Dobro wspólne przed dobrem jednostkowym". Przecież to Stuart Chase, nie Albert Speer, w książce zatytułowanej *Economy of Abundance* (Ekonomia obfitości) wywodził, że potrzeba „sztabu przemysłowego mającego władzę dyktatorską".[481]

Jeśli chodzi o kulturę popularną, nie ma tu dość miejsca, by tę sprawę omówić tak dokładnie, jak na to zasługuje. Twórcy Nowego Ładu zainwestowali miliony dolarów, przeznaczając je na finansowanie artystów i pisarzy, którzy się zrewanżowali za tę uprzejmość, produkując mnóstwo dzieł sztuk plastycznych i literackich propagujących Nowy Ład. Pewien szczególny epizod pozwoli jednak ujrzeć, jak rzeczywiście się przedstawiał charakter tamtego okresu.

Podobnie jak wielu prominentnych Amerykanów, baron medialny William Randolph Hearst uważał, że Ameryka potrzebuje dyktatora. Najpierw popierał Jacka Garnera z organizacji neutralistów America First Committee, a później zaczął popierać Franklina D. Roosevelta (i twierdził, że przez niego za Rooseveltem opowiedzieli się uczestnicy konwencji Partii Demokratycznej). Uznawszy, ze najlepiej wpływać na Roosevelta i na Amerykanów – za pomocą Hollywood, osobiście przerobił scenariusz napisany na podstawie książki *Gabriel Over the White House*. Nakręcono film pod tym samym tytułem. Prezydenta Judda Hammonda zagrał w nim Walter Huston.

Nie da się wyolbrzymić propagandowego charakteru tego filmu. Hammond, przypominający Hoovera funkcjonariusz partyjny piastujący urząd prezydenta, ma wypadek samochodowy. Odwiedza go archanioł Gabriel. Gdy dochodzi do siebie, ożywia go religijny zapał nakazujący mu dążyć do dobra Ameryki. Zwalnia cały gabinet, bo wszyscy są sługusami wielkiego biznesu! Kongres przeprowadza *impeachment* Hammonda, który w reakcji pojawia się na wspólnym posiedzeniu obu izb, aby ogłosić: „Potrzebujemy działań, natychmiastowych i skutecznych". Następnie zawiesza Kongres i przejmuje „czasowo" władzę, aby wprowadzić wszystkie rozporządzenia. Nakazuje utworzenie nowej „Armii Budowy", która odpowiada wyłącznie przed nim, przeznacza miliardy na kolejne programy podobne do inicjatyw Nowego Ładu, oraz nacjonalizuje sprzedaż i produkcję alkoholu. Gdy napotyka opór gangsterów, przypuszczalnie sprzymierzonych z jego przeciwnikami politycznymi, zarządza proces wojskowy. Kieruje nim jego adiutant. Natychmiast po procesie skazanych gangsterów ustawia się pod ścianą na tyłach budynku sądu i wykonuje egzekucję. Po tym zwycięstwie Hammond przechodzi do zapewnienia pokoju na świecie. W tym celu grozi, że zniszczy każde państwo, które nie okaże mu posłuszeństwa lub nie

będzie chciało się wywiązać z zobowiązań wobec Ameryki. Umiera na atak serca pod koniec filmu. Zostaje wtedy uznany za „jednego z największych prezydentów w historii".

Wśród niewymienionych z nazwiska osób wprowadzających poprawki do scenariusza był nominowany na prezydenta przez Partię Demokratyczną Franklin D. Roosevelt. W czasie kampanii poświęcił czas na czytanie scenariusza i zaproponował kilka ważnych zmian, które Hearst uwzględnił przy produkcji filmu. „Wysyłam tych kilka słów, aby powiedzieć, jak bardzo się cieszę ze zmian, które Pan wprowadził do filmu *Gabriel Over the White House* pisał Roosevelt miesiąc po objęciu urzędu. – Uważam, że to niezwykle ciekawy film i sądzę, że w znacznym stopniu pomoże".[482]

Od tamtego czasu Hollywood nieustannie z równym zapałem pomaga liberalnym politykom i wspiera liberalne programy. Film zatytułowany *Dave* – Kevin Kline gra w nim populistę o wielkim sercu, który został poproszony o zastąpienie prezydenta (konserwatywnego) zapadającego w śpiączkę i organizuje przewrót, kierując się dobrem społeczeństwa – to tylko odświeżenie tych samych założeń.

Układ liberalno-faszystowski

Obecnie nadal żyjemy w zasadniczo faszystowskim systemie gospodarczym ustanowionym przez Wilsona i Franklina D. Roosevelta. Istotnie żyjemy w „nieświadomej cywilizacji" faszyzmu, choć jest to wariant przyjazny, nieskończenie bardziej dobrotliwy od Niemiec Hitlera, Włoch Mussoliniego czy Ameryki Roosevelta. Nazywam ten system liberalnym faszyzmem.

Z tego, że świat biznesu ma się świetnie w systemie kapitalistycznym, wcale jeszcze nie musi wynikać, że ludzie biznesu z konieczności są kapitalistami z zasady. Ludzie biznesu – przynajmniej ci, którzy kierują ogromnymi korporacjami – nie lubią ryzyka, a kapitalizm z definicji ryzyka wymaga. Kapitał trzeba zaprzęgać do pracy na rynku, na którym nic nie jest zagwarantowane. Z natury i w wyniku kształcenia biznesmani skłaniają się do zwalczania niepewności i ryzyka. Dlatego jako grupa nie są kapitalistami z zasadami, lecz oportunistami w najbardziej dosłownym znaczeniu tego słowa.[483]

Większość odnoszących sukcesy ludzi biznesu woli nie zaprzątać sobie głowy polityką. Przez lata sieć Wal-Mart i Microsoft chełpiły się tym, że Waszyngton ich nie interesuje. Bill Gates, szef Microsoftu, chlubił się tym, że pochodzi „z drugiego Waszyngtonu", i zasadniczo miał tylko jednego lobbystę przebywającego w stolicy. Zmienił zdanie, gdy rząd niemal zniszczył jego firmę. Senacka Komisja Sądownicza zaprosiła go do Waszyngtonu w Dystrykcie Kolumbii, aby pokutował za sukces. W stolicy senatorowie – tak to określono na łamach dziennika „New York Times" – „z pewną upajającą uciechą doprowadzali do tego, że najbogatszy człowiek w Stanach Zjednoczonych kręcił się niespokojnie na krześle".[484] Gates wówczas zatrudnił armię doradców, lobbystów i prawników, aby walczyć z rządem. Przy wyborach prezydenckich w 2000 roku sieć Wal-Mart znalazła się na 771. miejscu listy firm, które bezpośrednio przekazały pieniądze na polityków ubiegających się o urzędy federalne. W kolejnych latach związki zawodowe i agencje regulujące wzięły pod lupę ogromny cel, którym stała się ta gigantyczna sieć sklepów. W 2004 roku sieć była największym korporacyjnym komitetem od działań politycznych. W 2006 roku zorganizowała bezprecedensową kampanię „edukacji wyborców".

Historia Wal-Mart ma w sobie coś szczególnie ironicznego. Jedną z ważniejszych kwestii dla nazistów była sprawa wzrostu liczby domów towarowych. Naziści nawet obiecywali w 1920 roku, że przejmą ówczesne odpowiedniki sklepów Wal-Mart. W 16. punkcie programu partii nazistowskiej z tamtego roku pisano następująco: „Żądamy utworzenia zdrowej klasy średniej i jej utrzymania, natychmiastowej komunalizacji wielkich [domów towarowych] i wydzierżawienia ich za niewielką opłatą małym przedsiębiorstwom, żądamy też okazywania najwyższej troski o

położenie wszystkich drobnych kupców przy zawieraniu umów z władzami państwowymi, powiatowymi i miejskimi". Gdy przejęli władzę, naziści nie wywiązali się w pełni z tej obietnicy, ale uniemożliwili domom towarowym uruchamianie wielu nowych przedsiębiorstw – podobnie jak obecni krytycy postąpiliby chętnie z siecią Wal-Mart. Także w Stanach Zjednoczonych ruchy faszystowskie, takie jak Krajowa Unia na rzecz Sprawiedliwości Społecznej (National Union for Social Justice) księdza Coughlina, występowały przeciwko domom towarowym, uważając, że prowadzą do rozpadu społeczeństwa i niepokojów klasy średniej.[485]

Sieć Wal-Mart zapewnia pewien przykład – na skalę mikrokosmosu – tego, jak liberałowie używają słowa „faszystowski" na określenie czegokolwiek znajdującego się poza sferą kontroli państwa. Na przykład Neil Steinberg, felietonista publikujący na łamach nowojorskiego dziennika „Daily News", nazwał tę sieć „gigantyczną faszystowską bestią stającą na tylnych łapach i szukającą nowych światów do podboju".[486] Jakie przedstawił rozwiązanie problemu, jak pokonać tę faszystowską bestię? Należy ją wsadzić do łóżka z rządem, naturalnie pod kołderką regulacji. Warto również wspomnieć, że zarówno Wal-Mart, jak i Microsoft uznały za rzecz konieczna chronienie się przed Waszyngtonem, nie tylko dlatego, że rząd nie oprze się pokusie wtrącania się, ale także przez to, że ich konkurenci nie oprą się pokusie uprawiania lobbingu, aby rząd się wtrącał.

To jedna z niedocenianych konsekwencji gwałtownego rozrostu administracji państwowej. Gdy znajdują się jakieś firmy, które chcą się prostytuować z wujem Samem, każde przedsiębiorstwo odczuwa presję każącą mu uprawiać nierząd. Jeżeli Acme może przekonać rząd, aby ruszył na firmę Ajax, to Ajax nie ma wyjścia – musi wywierać presję na rząd, aby tego nie robił. Prowadzi to do tego, że politycy zaczynają przypominać maklerów, pobierając prowizję od wszystkich klientów – i od tych, którzy wygrywają, i od tych, którzy tracą. Konkurenci Microsoftu chcieli, aby rząd doprowadził do podziału Microsoftu, bo to im zapewniało korzyści. Taka dynamika była na porządku dziennym w nazistowskich Niemczech. Koncerny stalowe, coraz bardziej niechętnie nastawione wobec nazistowskiej gry, wywierały presję, aby w większym stopniu chroniono ich autonomię. Doprowadziło to do tego, że firmy z branży chemicznej porwały się na nogi, by dowieść lojalności wobec sprawy nazistowskiej, i odebrały rządowe kontrakty przedsiębiorstwom z branży stalowej.

Większość przedsiębiorstw jest jak ule. Gdy rząd nie nęka pszczół, one nie nękają rządu. Gdy rząd wtrąca się w ich sprawy, od pszczół aż się roi w Waszyngtonie. A jednak od czasu do czasu podejmuje się liberalne „leczenie" w celu usunięcia problemu stwarzanego przez pszczoły. Wali się wówczas w ul większym kijem. Są setki lobby reprezentujących branżę medyczną, zajmujących się konkretnymi schorzeniami, specjalnościami, formami leczenia. Każde wydaje majątek na lobbingi reklamy bezpośrednio i pośrednio. Wiecie, która grupa zawodowa w branży medycznej nie wydaje niemal nic? Weterynarze. Czemu? Bo Kongres niemal w ogóle nie zajmuje się regulowaniem tego sektora.[487] Dlaczego firmy branży farmaceutycznej przeznaczają tak ogromne sumy na uprawianie lobbingu, by przeciągać na swoją stronę polityków i pracowników agencji regulujących? Ponieważ jest to branża tak mocno uregulowana, że firmy te nie mogą podjąć żadnej ważnej decyzji bez przyzwolenia Waszyngtonu.

Gdy rozrastała się administracja państwowa i powiększył jej zakres działań, jednocześnie zwiększała się liczba przedsiębiorstw występujących o coś do władz. W 1956 roku w *Encyclopedia of Associations* znajdowało się 4900 zrzeszeń, obecnie jest ich już ponad 23 tysiące. Należy pamiętać, że John Commons, tytan ekonomii liberalnej, już siedemdziesiąt lat temu uważał, iż zwiększanie znaczenia zrzeszeń branżowych prowadzi do systemu faszystowskiego! Oczywiście, nie wszystkie z tych grup są formalnymi organizacjami uprawiającymi lobbing, ale wszystkie w jakiś sposób pracują z rządem. Czyli nad nim. Jednocześnie łączna liczba zarejestrowanych w Stanach Zjednoczonych lobbystów potroiła się od 1996 roku, a tylko w ostatniej pięciolatce się podwoiła. Gdy piszę te słowa, w Waszyngtonie jest około 35 tysięcy zarejestrowanych lobbystów. Od 1970 roku do 1980, kiedy powstało dwadzieścia nowych agencji federalnych, liczba prawników działających w Waszyngtonie wzrosła mniej więcej dwukrotnie, do 40 tysięcy.[488] Te liczby nijak nie oddają całej skali sytuacji. Agencje *public relations*, kancelarie prawnicze, grupy interesu i *think*

tanki, czyli ośrodki zajmujące się analizami kwestii publicznych, wyrastały jak grzyby po deszczu w stolicy kraju, aby się zajmować „pośrednim" lobbingiem w celu urabiania prasy, opiniotwórczych autorytetów, kongresmanów i innych, by tworzyć korzystniejsze „środowisko spraw". Gdy pewien zaprzyjaźniony ze mną lobbysta wybiera się ze mną na piwo, mówi, że „dociera do strony trzeciej".

Korporacje od dawna miały biura w Waszyngtonie, ale tradycyjnie było to korporacyjne zadupie, gdzie wysyłano Teda, jeśli jego picie stało się poważnym problemem, lub Phila, aby sobie tam ze spokojem, obijając się, dotrwał do emerytury Teraz to ogromne i bardzo profesjonalne oddziały. Od roku 1961 do 1982 liczba biur w Waszyngtonie wzrosła dziesięciokrotnie. Pensje dla korporacyjnych lobbystów w ostatnim dziesięcioleciu wzrastały wykładniczo.

W nazistowskich Niemczech przedsiębiorstwa dowodziły lojalności wobec państwa, gdy były dobrymi „korporacyjnymi obywatelami", a więc podobnie, jak się to odbywa dziś. Sposoby manifestowania tej lojalności znacznie się różniły, a treść moralna odmiennych programów była zdecydowanie odmienna. Przyznajmy, ze względu na uczciwość argumentacji, że ogromnie się różni to, czego nazistowski reżym oczekiwał od „dobrych niemieckich przedsiębiorstw", od tego, czego Ameryka oczekuje od swoich przywódców świata biznesu. Nie zmienia to jednak tego, że występują także fundamentalne podobieństwa.

Weźmy na przykład pod uwagę popieraną przez większość przedstawicieli obu partii i opracowaną w całkowicie szlachetnych intencjach ustawę o niepełnosprawnych (ADA, Americans with Disabilities Act), powszechnie uważana za zwycięstwo „miłego" rządu. Ustawa ta przewiduje, że przedsiębiorstwa mają podejmować pewne działania, poważniejsze i drobniejsze, aby umożliwić pracę osobom niepełnosprawnym oraz obsługę takich klientów. Trzeba było przebudować biura, aby mogły się w nich swobodnie poruszać osoby na wózkach. Różne znaki musiały być zapisane również alfabetem Braille'a. Nakazano dostępność urządzeń pomagającym niedosłyszącym. I tak dalej.

A teraz, drogi czytelniku, wyobraź sobie, że jesteś prezesem Coca-Coli. Zasadniczy sprzeciw przeciwko tej ustawie budzi to, że spełnienie tych wszystkich wymogów pochłonie mnóstwo pieniędzy, prawda? Tak naprawdę nie. Jeśli wiesz, że prezes PepsiCo musi zrobić to samo, w gruncie rzeczy nie masz problemu. Wystarczy o grosik – a nawet o ułamek grosza – podnieść cenę puszki coli. Koszty poniosą konsumenci, podobnie jak koszty poniesione przez PepsiCo ostatecznie pokryją ci, którzy wolą pepsi. Ta podwyżka nie wpłynie negatywnie na udział w rynku, ponieważ cena twojego produktu w porównaniu z ceną towaru konkurenta się nie zmieni. A konsumenci pewnie nawet nie zauważą podwyżki ceny.

A teraz sobie wyobraź, że jesteś właścicielem malej regionalnej firmy produkującej napoje. Pracowałeś niezmordowanie, aby zrealizować marzenie o tym, że pewnego dnia zrównasz się z Coca-Cola czy PepsiCo. Gdy brać pod uwagę proporcje, przystosowanie twoich zakładów i biur do potrzeb niepełnosprawnych będzie znacznie kosztowniejsze, nie tylko z powodu wydatków poniesionych na infrastrukturę, lecz w następstwie kosztów biurokratycznych spowodowanych przez spełnienie wymogów ustawy (Coca-Cola i PepsiCo. mają ogromne wydziały ds. zagadnień prawnych, ty nie). Plany rozbudowy lub innowacji trzeba będzie odłożyć, gdyż nie ma możliwości przerzucenia poniesionych kosztów na klientów. Albo wyobraź sobie, że jesteś właścicielem jeszcze mniejszej firmy i liczysz na to, że skutecznie będziesz walczyć z regionalnymi konkurentami. Zatrudniasz jednak 499 osób – przyjmijmy tak na potrzeby argumentacji – a ustawa obowiązuje w pełni w przypadku firm, w których jest 500 zatrudnionych lub więcej. Jeśli zatrudnisz choć jedną osobę więcej, będziesz musiał spełnić wymogi narzucane przez ADA. Innymi słowy, przez zatrudnienie jednej osoby, która będzie zarabiać 30 tysięcy dolarów rocznie, poniesiesz milionowe koszty.

Ustawa ADA bezsprzecznie została opracowana w chwalebnych intencjach i ma niewątpliwe zalety. Jednakże przez sam charakter takich szlachetnych przepisów umacnia się pozycję wielkich firm i splata te przedsiębiorstwa z elitami politycznymi, a jednocześnie ustawia zapory uniemożliwiające wejście mniejszych firm do tego kręgu. Kary i procedury biurokratyczne,

na które naraża się ktoś tylko próbujący zwolnić jakiegoś pracownika, mogą doprowadzić do zagwarantowanego zatrudnienia przez cały okres czynnego życia zawodowego. Mniejsze przedsiębiorstwa nie mogą ryzykować tego, że zostaną zmuszone do wypłacania pensji w nieskończoność, natomiast wielkie firmy zdają sobie sprawę z tego, że stały się „zbyt duże, aby upaść", gdyż w gruncie rzeczy są ramionami samego państwa.

Przypuszczalnie najlepszym współczesnym przykładem układu faszystowskiego jest potajemna współpraca rządu z koncernami tytoniowymi. Przypomnijmy, że w latach dziewięćdziesiątych demonizowano te koncerny, zarzucając im, że sprzedają „jedyny produkt, który cię zabije, jeśli jest używany właściwie". Bill Clinton i Al Gore przeznaczyli ogromne ilości kapitału politycznego na walkę z „Big Tobacco", korporacjami tytoniowymi. Cała saga walki „prawicowych" korporacji z postępowymi reformatorami rozgrywała się niemal każdego dnia na pierwszych stronach gazet i w wieczornych wiadomościach telewizyjnych. Prokurator generalny Teksasu stwierdził, że „historia doda współczesny przemysł tytoniowy do najgorszych imperiów zła w dziejach ludzkości". Na łamach pisma „York Times Book Review" Christopher Lehmann-Haupt pisał, że od przemysłu tytoniowego „tylko niewolnictwo jest większym przekleństwem amerykańskiej historii". Szefowie koncernów tytoniowych byli „najbardziej zbrodniczą, obrzydliwą, sadystyczną i zdegenerowaną grupą kalającą oblicze ziemi", jak to ujął wielokrotnie cytowany działacz walczący z przemysłem tytoniowym.[489]

W takim środowisku wypracowano – niezgodne z konstytucją – porozumienie, na podstawie którego koncerny tytoniowe („Big Tobacco") przekazały władzom stanowym 246 **miliardów** dolarów. Dlaczego firmy branży tytoniowej przystały na porozumienie, przez które poniosły ogromne koszty i musiały przygotowywać reklamy zniechęcające do własnych produktów, a do tego płacić za akcje edukacyjne mające na celu przekonywanie dzieci, że nie powinny stawać się ich klientami? Odpowiedź jest dość prosta. Zrobiły to we własnym interesie. Koncerny tytoniowe nie tylko zakończyły procesy sądowe, ale kupiły przyzwolenie rządu na nowy nielegalny kartel. Firmy z grupy „Big Tobacco" podniosły ceny tak, że wzrost przychodów uzyskany wskutek podwyżek przewyższył koszty narzucone w układzie, co zapewniło godziwe zyski. Mniejsze firmy, które nie zgodziły się na układ, nadal muszą deponować wielkie sumy na rachunkach powierniczych. Gdy te przedsiębiorstwa zaczęły sobie dobrze radzić, zmniejszając udziały rynkowe wielkich koncernów tytoniowych, wkroczyły władze stanowe i nakazały im odprowadzać jeszcze większe sumy. „Wszystkie stany mają interes w zmniejszeniu [...] obrotów [odnotowywanych przez przedsiębiorstwa, które nie przystąpiły do układu] w każdym stanie" – ostrzegał prokurator generalny stanu Vermont pozostałych prokuratorów generalnych. Tak więc rząd narzuca system, w którym gnębi się małe przedsiębiorstwa, aby utrzymać wielkie zyski „Big Tobacco". Można by uznać, że wszystko jest w porządku, ale jak to pogodzić z nastawieniem wolnorynkowym? Czym się to właściwie różni od korporacjonizmu wdrażanego w faszystowskich Włoszech, nazistowskich Niemczech i realizowanego przez NRA Hugh Johnsona?[490]

Oto ukryta historia wielkiego biznesu, od dziewiętnastowiecznych kolei, poprzez branżę producentów konserw z czasów Theodore'a Roosevelta, po skandaliczny kartel „Big Tobacco" z czasów obecnych: należy domniemywać, że prawicowe korporacje ściśle współpracują z politykami progresywistycznymi i biurokratami z obu partii, aby wyprzeć z rynku małe firmy, ograniczyć konkurencję, zapewnić sobie udziały w rynku i ceny – ogólnie działają jako reprezentacja rządu. Wielu „intelektualistów czynu" z otoczenia Johna Kennedy'ego było biznesmanami uważającymi, że rządem powinni kierować eksperci popartyjni, czyli mający już za sobą walki między partiami, którzy mogą wnieść do rządu sprawność przedsiębiorstw poprzez zatarcie granic między sterami biznesu i rządu. Szefowie wielkich przedsiębiorstw kręcili się wokół Lyndona Johnsona, nie wokół obiektywnie prorynkowego Barry'ego Goldwatera. Zwolennicy wolnego rynku często krytykują kontrolę płac i cen z czasów Richarda Nixona, ale zwykle przy tym zapomina się o tym, że wielkie przedsiębiorstwa tę kontrolę przyjęły z zadowoleniem. Następnego dnia po ogłoszeniu przez Nixona tego korporacjonistycznego programu przewodniczący Krajowego Zrzeszenia Producentów stwierdził; „Śmiała inicjatywa podjęta przez prezydenta w celu

wzmocnienia gospodarki amerykańskiej zasługuje na poparcie wszystkich grup i współpracę z ich strony”.[491] Działania podjęte przez rzekomo przewidującego Jimmy'ego Carrera w celu rozwiązania kryzysu energetycznego doprowadziły do utworzenia Departamentu Energii, który stał się – i pozostaje do dziś – skarbonką dla korporacyjnych grup interesów. Archer Daniels Midland wyciągnął miliardy, wykorzystując „zielone” paliwa alternatywne, takie jak etanol, które marzyły się obrońcom środowiska.

Wszyscy jesteśmy obecnie crolyitami. To Croly bowiem twierdził, że jeśli ktoś nie chce wywłaszczyć prywatnych przedsiębiorstw, lecz wykorzystać przedsiębiorstwa do wdrażania własnego programu społecznego, to powinien chcieć, aby te przedsiębiorstwa były jak największe. Co łatwiej zrobić, zaprząc do wozu pięć tysięcy kotów, czy dwa gigantyczne woły? Sformułowania Ala Gore'a o konieczności „ujarzmienia Wielkiej Ropy” i podobnych koncernów innych branż są dobrze dobrane. Al Gore bowiem nie chce nacjonalizacji „Wielkiej Ropy”, lecz chce ją zaprząc do własnego wózka, aby realizować swój program. Podobnie jest z reformami służby zdrowia proponowanymi przez Hillary Clinton i większością propozycji wysuwanych przez wiodących demokratów (i bardzo wielu republikanów). We wszystkich tych projektach bowiem przewiduje się fuzję wielkiego rządu z wielkim biznesem. Koncepcje gospodarcze wyłożone w książce Hillary Clinton zatytułowanej *It Takes a Village* (Potrzeba wsi) są jawnie i bez zahamowań korporacjonistyczne. „Niektóre z naszych najpotężniejszych firm telekomunikacyjnych i komputerowych połączyły siły z rządem, realizując program połączenia każdej sali lekcyjnej w Ameryce z internetem – wieściła triumfalnie. – Korporacyjne filozofie cechujące się nastawieniem prospołecznym to droga wiodąca do przyszłej zamożności i stabilności społecznej”.[492] Nie potrzeba kamienia z Rosetty, aby zrozumieć, co liberałowie mają na myśli, gdy mówią o „korporacyjnych filozofiach cechujących się nastawieniem prospołecznym”.

Dziadkiem wszystkich takich „filozofii” jest naturalnie polityka przemysłowa, duch korporacjonizmu ucieleśniony we współczesnym liberalizmie. W 1960 roku prezydent Kennedy nawoływał do „nowego partnerstwa” z korporacyjną Ameryką. W latach siedemdziesiątych Jimmy Carter nawoływał do „reindustrializacji”, którą przeprowadzono by zgodnie z zasadami nowej „umowy społecznej”, aby się w ten sposób zająć „kryzysem konkurencyjności”. Młody pracownik administracji Cartera, Robert Reich, zaczął karierę, pełniąc funkcję generatora chwytnych haseł. Wyrzucał z siebie takie imponująco brzmiące gnioty jak „bodźce celów” (*target stimulants*) czy „planowanie wskazujące” (*indicative planning*). Później „demokraci Atari” ponownie twierdzili, że „przyszłość” zależy od „strategicznych umów partnerskich” zawieranych przez sektor publiczny i prywatny.

W latach osiemdziesiątych zawiść odczuwana z powodu korporacjonistycznej „Japan Inc.” osiągnęła skalę deliryczną. Intelektualnych potomków tych, którzy wielbili Prusy Bismarcka i Ministerstwo ds. Korporacji Mussoliniego, teraz zauroczyło japońskie Ministerstwo ds. Handlu Zagranicznego i Przemysłu. Resort ten szybko się stał gwiazdą przewodnią zwolenników oświeconej polityki gospodarczej. James Fallows powiódł za sobą pełną obsadę liberalnych intelektualistów – znaleźli się wśród nich Clyde Prestowitz, Pat Choate, Robert Kuttner, Ira Magaziner, Robert Reich i Lester Thurow – na poszukiwania świętego graala „współpracy” rządu ze światem biznesu.

Reich należał do pionierów ruchu trzeciej drogi. Mickey Kaus pisze, że sformułowania charakterystyczne dla trzeciej drogi to „najbardziej irytujący zwyczaj” Reicha, a także jego „charakterystyczny sposób argumentacji”.[493] W 1983 roku Reich wydał książkę zatytułowaną *The Next American Frontier* (Następna amerykańska granica), w której propagował „skrajną formę korporacjonizmu” (to określenie Kausa). W tym systemie w zamian za „pomoc w restrukturyzacji” zapewnianą przez rząd przedsiębiorstwa „przystają na to, że utrzymają bez zmian stan zatrudnienia”. Pracownicy *de facto* staliby się obywatelami swoich przedsiębiorstw, w związku dziwnie przypominającym ogólne regulacje Kruppa. A w jeszcze dziwniejszym echu myśli korporacjonistycznej z okresu włoskiego faszyzmu zakłada się, że korporacje „w znacznej mierze zastąpiłyby geograficzne jurysdykcje jako przekaźniki rządowego wsparcia dla rozwoju

gospodarczego i ludzkiego”. Usługi społeczne – służba zdrowia, dzienna opieka nad dziećmi, szkolnictwo itd. – byłyby zapewniane za pośrednictwem pracodawcy. Było to nie tylko dobre, lecz także nieuniknione, gdyż „przedsięwzięcia biznesowe” według Reicha „szybko się stają zasadniczymi strukturami pośredniczącymi w społeczeństwie amerykańskim, zastępując jako ośrodki usług społecznych i życia społecznego społeczności żyjące na określonym obszarze geograficznym”.[494]

A jednak z jakiegoś powodu się mówi, że to gospodarcza **prawica** chce, by korporacje miały większą władzę nad naszym życiem.

W 1984 roku Kevin Phillips, były republikański strateg, opublikował książkę zatytułowaną *Staying on Top: The Business Case for a National Industrial Strategy*. Ostrzegał w niej: „Ludzie biznesu muszą odłożyć dawne pojęcia leseferyzmu. […] Czas, aby Stany Zjednoczone zaczęły projektować własną przyszłość gospodarczą”, kierując się nowym kursem trzeciej drogi.[495] Zabawne jest to, że Phillips twierdził także, iż S.P. Bush, pradziadek George'a W. Busha, czerpał korzyści z wojny, ponieważ zasiadał w radzie War Industries Board Thomasa Woodrow Wilsona, instytucji wzorcowej dla systemu propagowanego przez Phillipsa.

W 1992 roku Bill Clinton i Ross Perot wykorzystywali powszechnie wyrażane pragnienie „nowego sojuszu” rządu i świata biznesu (w 1991 roku 61 procent Amerykanów opowiadała się za jakąś formą takiego związku). W typowej dla niego mowie kandydat Clinton deklarował następująco: „Pozwolono temu krajowi dryfować, ponieważ nie było krajowej strategii gospodarczej”. Dalej mówił: „W tym czasie nasi konkurenci zorganizowali się wokół wyraźnie nakreślonych celów krajowych, aby w ten sposób ratować, propagować i rozwijać miejsca pracy zapewniające wysokie zarobki i szybkie tempo rozwoju”. Przez sprzeciw Kongresu i deficyt federalny Clinton ostatecznie musiał się pożegnać z nadzieją, że „zainwestuje” setki miliardów dolarów w swój strategiczny plan dotyczący przemysłu. Jednakże jego administracja bardzo intensywnie starała się „dotrzeć” do określonych branż, aby uzyskać pomoc, Skutki były mizerne, chyba że uwzględni się internet „wynaleziony” przez Ala Gore'a. Skazany na porażkę plan reform służby zdrowia przyjęty przez Hillary Clinton miał wymusić zmianę branży usług medycznych w sieć, w której nie można by dostrzec, gdzie się zaczyna dziedzina rządu i kończy sektor prywatny. Podobnie jak ubodzy właściciele pralni chemicznych i gazeciarze z okresu Nowego Ładu, drobne przedsiębiorstwa po prostu musiały się poświęcić, aby dużym było lepiej. Gdy zwrócono uwagę Hillary Clinton, że jej plan doprowadzi do ruiny małych firm, w odpowiedzi na te zarzuty rzekła „Nie mogę ocalić każdego niedokapitalizowanego przedsiębiorcy w Ameryce”.[496]

W opracowywanych przez demokratów planach reform służby zdrowia, a także w większości planów republikańskich, nie przewiduje się wywłaszczania lekarzy i firm farmaceutycznych ani nawet likwidacji systemu świadczeń zdrowotnych zapewnianych przez pracodawców. Dąży się raczej do tego, aby korporacje działały jako reprezentant rządu. Nie bez powodu liberalni ekonomiści żartują, że koncern General Motors jest dostawcą usług medycznych, który wytwarza samochody jako produkt uboczny.

General Motors to ironiczne potwierdzenie logiki marksistowskiej. Zgodnie z założeniami ortodoksyjnego marksizmu system kapitalistyczny staje się faszystowski, gdy zwyciężają w nim wewnętrzne sprzeczności. Ta analiza się rozpada, jeśli ma być teorią ekonomii politycznej, ale na poziomie handlu detalicznego jest w tym niezaprzeczalna prawda. Branże, które kiedyś cechowały się dumnym nastawieniem wolnorynkowym, nagle wysuwają argumenty za protekcjonizmem, „polityką przemysłową” i „strategiczną konkurencyjnością”, gdy odkrywają, że nie mogą ujechać na rynku. Branża stalowa i tekstylna, niektóre firmy motoryzacyjne – Chrysler w latach osiemdziesiątych, General Motors obecnie – oraz ogromna część sektora rolniczego głoszą, że państwo i świat biznesu powinny być „partnerami”, akurat wtedy, gdy staje się jasne, że nie są już w stanie konkurować. Błyskawicznie stają się jeńcami polityków starających się chronić posady lub dotacje (lub jedne i drugie). Ci „kapitaliści ostatniej deski ratunku” bardzo szkodzą krajowi przez wywoływanie zmian klimatu politycznego prowadzących w stronę narodowego socjalizmu i

korporacjonizmu. **Uciekają** od bezwzględnej i pozbawionej zasad konkurencji kapitalistycznej, aby się schronić w ciepłych objęciach ekonomii *It Takes a Village*, a Hillary Clinton nazywa to „postępem".

Spójrzmy na przykład, które sektory rolnictwa najintensywniej uprawiają lobbing, a które najczęściej zostawiają rząd w spokoju. Potężni producenci roślin cukrowych ze Środkowego Zachodu (Midwest) i Florydy wydawali miliony dolarów, aby zapewnić ochronę swojej branży przed zagraniczną – ale także krajową – konkurencją właśnie przez mizerną własną konkurencyjność. Stopa zwrotu z tych inwestycji okazała się ogromna. W 1992 roku nieliczna grupka producentów cukru dała Alowi D'Amacie, ówczesnemu senatorowi reprezentującemu stan Nowy Jork, zaledwie 8,5 tysiąca dolarów na kampanię. W rewanżu D'Amato z powodzeniem poparł ulgi eksportowe dla branży cukrowniczej o wartości 365 milionów dolarów, co daje stopę zwrotu z inwestycji w wysokości około 4 milionów procent. Lobbing uprawiany przez branżę cukrowniczą to 17 procent całego lobbingu rolniczego w Stanach Zjednoczonych. Natomiast hodowcy jabłek – podobnie jak większość hodowców owoców i warzyw – wydają stosunkowo niewiele na lobbing w celu uzyskania dotacji, ponieważ ich branża jest konkurencyjna. Muszą jednak uprawiać lobbing, aby odwodzić rząd od dotowania niekonkurencyjnych rolników, którzy mogliby próbować się wdzierać na rynek owoców i warzyw.[497]

W amerykańskim systemie gospodarczym rolnictwo jest najbardziej przepojone korporacjonizmem. Zarówno demokraci, jak i republikanie zajmują zdecydowanie faszystowskie stanowiska, gdy sprawa zaczyna dotyczyć rolników prowadzących rodzinne gospodarstwa. Politycy ci udają wówczas, że ich programy przyczyniają się do zachowania pewnego tradycyjnego stylu życia, stylu *völkisch*, podczas gdy w rzeczywistości dotują ogromne korporacje.

Korporacjonizm jednak to tylko część tej sprawy. Podobnie jak korporacje były włączone w ogólniejszy nazistowski proces glajchszaltungu, rzekomo prawicowe wielkie przedsiębiorstwa odgrywają zasadniczą rolę w progresywistycznym programie koordynacji współczesnego społeczeństwa. Jeżeli wielkie przedsiębiorstwa są tak bardzo prawicowe, to czemu ogromne banki przeznaczają pieniądze na finansowanie liberalnych i lewicowych organizacji charytatywnych, działaczy i ruchów, a następnie się tym chlubią w reklamach i kampaniach służących propagowaniu wizerunku firmy? Jak wytłumaczyć to, że w praktyce nie ma ważniejszej kwestii w wojnach kulturowych – od aborcji, poprzez małżeństwa homoseksualne, po akcję afirmatywną – w której świat wielkiego biznesu odegrał jakąś ważną rolę na amerykańskiej prawicy, natomiast można podać dziesiątki przykładów korporacji popierających sprawy propagowane przez liberałów?

Mit prawicowej korporacji pozwala mediom wzmocnić uścisk, w którym liberalizm trzyma zarówno korporacje, jak i kulturę. John McCain doskonale symbolizuje ten paragraf 22 współczesnego liberalizmu. Krytykuje bowiem korumpujący wpływ „wielkich pieniędzy" na politykę, jednocześnie jednak należy do największych zwolenników wprowadzenia bardziej rygorystycznych regulacji sfery biznesu przez rząd. Najwyraźniej nie dostrzega, że im bardziej rząd reguluje dziedzinę biznesu, tym bardziej dziedzina biznesu będzie się interesować „regulowaniem" rządu. John McCain doszedł do wniosku, że będzie próbował regulować wypowiedzi polityczne, co przypomina krytykowanie wielkości wysypiska śmieci i uznanie, że wobec tego najlepiej uregulować muchy.

Te regulacje wypowiedzi politycznych zapewniają niesprawiedliwą przewagę pewnym ogromnym przedsiębiorstwom – koncernom medialnym, studiom filmowym i podobnym podmiotom – które dzięki temu mogą wyrażać poglądy polityczne w sposób niepodlegający cenzurze rządu. W takiej sytuacji nie dziwi, że niektóre z tych podmiotów opiewają geniusz i odwagę McCaina oraz wykorzystują posiadane megafony, by głosić, że powinien iść jeszcze dalej, a inni politycy powinni pójść w jego ślady. Taka dynamika naturalnie znacznie przekracza zwykle regulacje. Dziennik „New York Times" opowiada się za możliwością aborcji i popiera kandydatów zajmujących takie samo stanowisko – jawnie na stronach redakcyjnych, subtelniej na stronach z wiadomościami. Grupy opowiadające się za ochroną życia muszą **płacić** za publikację ich

poglądów, ale takie płatne materiały reklamowe są bardzo rygorystycznie regulowane wskutek działań McCaina, i to akurat wtedy, gdy mogłyby wpłynąć na opinie ludzi, mianowicie blisko dnia wyborów. Zamiast aborcji można tu wziąć prawo do posiadania broni, małżeństwa homoseksualne, działania na rzecz ochrony środowiska, akcję afirmatywną, imigrację czy inne kwestie, dynamika jednak pozostanie ta sama.

Tak działa liberalny glajchszaltung. Głosy przeciwne są regulowane, ograniczane, zakazywane, gdy tylko można to zrobić, a gdy nie można – wyszydza się je i spycha na margines. Do wyrażania progresywistycznych opinii się nakłania, takie głosy się chwali i wzmacnia – w imię „zróżnicowania", „wyzwolenia" lub „jedności", a przede wszystkim „postępu".

Przejdźcie się kiedyś do kawiarni Starbucks i weźcie jedną z ich broszur, w których piszą o swoich raportach z zakresu społecznej odpowiedzialności przedsiębiorstwa. Ten raport dotyczy wszystkich progresywistycznych kwestii, a więc środowiska, handlu, trwałego rozwoju itd. Całą część poświęca się „kierowaniu się zróżnicowaniem". W tej części ogromna międzynarodowa firma chełpi się tym, że dąży do „zwiększenia zróżnicowania naszej siły roboczej w Stanach Zjednoczonych". Trzydzieści dwa procent osób na stanowiskach wiceprezesów to kobiety, a 9 procent to kolorowi. Firma wydaje 80 milionów dolarów rocznie na współpracę z firmami dostawczymi prowadzonymi przez przedstawicieli mniejszości i kobiety oraz zapewnia „intensywne szkolenia z zakresu zróżnicowania przygotowane z myślą o potrzebach biznesowych naszych partnerów". Mowa tam także, że „zagadnienia z zakresu zróżnicowania są również wplecione w problematykę naszych ogólnych szkoleń". Przy okazji można wspomnieć, że słowo „partnerzy" to orwellowskie określenie pracowników.[498] Przecież w nowym korporacjonizmie wszyscy jesteśmy „partnerami".

Szczególnie w sferze działań na rzecz środowiska naturalnego można dostrzec pewne dziwne podobieństwa do praktyk faszystowskich, między innymi wszechobecne uzasadnienie korporacjonistycznych programów politycznych. W pierwotnym faszyzmie zakładano, że trzeba utrzymywać atmosferę kryzysu, aby można omijać konwencjonalne zasady. Obecnie, gdy Hollywood i prasa nieustannie nagłaśniają zagrożenie stwarzane przez ocieplanie się klimatu na świecie, wielkie przedsiębiorstwa gorliwie zawierają sojusze i układy partnerskie z rządem, jakby walka z ocieplaniem się klimatu była moralnym odpowiednikiem wojny. Al Gore – który wiele mówi o takich publiczno-prywatnych układach partnerskich – twierdzi, że ocieplanie się klimatu jest odpowiednikiem Holokaustu, a każdy, kto przeczy temu, że zachodzą zmiany klimatu, jest moralnym odpowiednikiem kogoś utrzymującego, że nie było Holokaustu. Kolejne koncerny naftowe reklamują się, głosząc, że są potężnymi sojusznikami w walce z ociepleniem. British Petroleum przygotowuje reklamy z zagraniami propagandowymi, od których skóra cierpnie, zapewniając widzów, że bierze udział w krucjacie na rzecz ochrony środowiska i dąży do tego, aby wyjść „poza ropę". Gdy Julian Simon, zmarły niedawno libertariański krzyżowiec odwiedził miejsce odwiertu na Alasce, aż go mdliło od gadek menedżerów chlubiących się „korzyściami dla środowiska" wynikającymi z ich pracy. Na końcu spytał: „A co wy tu produkujecie? Ropę czy korzyści dla środowiska?".[499]

Koncern General Electric, w którym narodził się swopizm, wydaje obecnie miliardy dolarów na propagowanie programu „ekowyobraźni" (*Ecomagination*), którym zamierza dowieść, że jest firmą progresywistyczną. Uruchamiając tę zieloną inicjatywę, prezes General Electric obwieścił: „To już nie jest gra o sumie zerowej – rzeczy dobre dla środowiska są także dobre dla biznesu". Pogryzając organiczne przystawki i pijąc wino z winnicy, w której energię elektryczną zapewniają baterie słoneczne, zebrani słuchali z entuzjazmem, gdy szef największego amerykańskiego producenta tłumaczył: „Przemysł nie jest w stanie rozwiązać w pojedynkę problemów świata. Musimy zgodnie pracować z rządem".[500] Nie dziwi więc, że przyjęcie z okazji uroczystego rozpoczęcia tego programu odbyło się w waszyngtońskich biurach koncernu. Program „ekowyobraźni" polega na tym, aby inwestować w „czyste" i „zielone" technologie, a następnie uprawiać lobbing, aby rząd je dotował poprzez obniżki stawek podatkowych albo bezpośrednie granty.

Potęga korporacji pozwalająca im „włączyć” pracowników do ogólniejszych programów politycznych to w znacznym stopniu niedoceniany aspekt współczesnej cywilizacji amerykańskiej. Zróżnicowanie to sprawa, która doskonale ilustruje to zagadnienie. Wielkie korporacje zdecydowanie mają interes we wspieraniu zróżnicowania, a to z wielu uzasadnionych przyczyn. Na przykład żadne przedsiębiorstwo nie chce się wydawać wrogie potencjalnym klientom. Nie jest też zbyt mądrym posunięciem odrzucanie wykwalifikowanych kandydatów na podstawach rasowych. Co więcej, obowiązujące przepisy **nakazują** firmom zróżnicowanie wszędzie tam, gdzie jest to możliwe. I dzieje się tak, że podobnie jak przepisy takie, jak ustawa o niepełnosprawnych (ADA) pomagają wielkim przedsiębiorstwom w walce z mniejszymi, akcja afirmatywna przynosi takie same skutki. Peter Schuck, wykładowca prawa na Yale Law School, twierdzi, że programy akcji afirmatywnej „również zapewniają przewagę wielkim firmom przez narzucanie uciążliwych raportów, wymogów dotyczących zatrudniania personelu oraz innych kosztów wynikających z respektowania przepisów mniejszym konkurentom, którzy nie mogą tych kosztów ponosić równie łatwo”.[501] Wyniki badań opinii potwierdzają, że dyrektorzy generalni i prezesi wielkich przedsiębiorstw częściej popierają obowiązkowe programy akcji afirmatywnej od szefów małych firm.

Takiemu progresywistycznemu przywództwu towarzyszą poważne inwestycje w reedukację. W Stanach Zjednoczonych niemal wszyscy przedstawiciele kadr zarządzających średniego i najwyższego poziomu przeszli „szkolenie z zakresu zróżnicowania” lub „szkolenie z zakresu molestowania seksualnego”, często są też wysyłani ponownie na dalsze zajęcia reedukacyjne, zwykle z tego powodu, że zaostrzona została definicja „tolerancji”. Korporacje zaakceptowały logikę przyjmowaną przez guru od zróżnicowania, którzy utrzymują, że jeśli ktoś nie propaguje aktywnie zróżnicowania – stosując cele, harmonogramy itd. – to znaczy to, że mu się aktywnie sprzeciwia. Totalitarnemu charakterowi tego szkolenia zdecydowanie nie poświęca się tyle uwagi, na ile zasługuje, między innymi przez to, że sami dziennikarze zostali w wielkim stopniu przeprogramowani przez gigantyczne korporacje, dla których pracują.

Zadajcie sobie takie pytanie. Co by się stało, gdyby jakiś biznesman po prostu odmówił zatrudnienia akceptowalnej liczby czarnych – bądź, pewnego dnia, w nieodległej już przyszłości, homoseksualnych – kandydatów. Załóżmy, że ten biznesman jest człowiekiem złym, rasistowskim, podłym i żałosnym. Kiedyś jednak przyjmowano, że wolność obejmuje również prawo do tego, aby być złym. Powiedzmy więc, że ten biznesman odmawia zatrudniania czarnych, homoseksualistów, Żydów bądź przedstawicieli innych „ciemiężonych” grup. Co się stanie? Najpierw dostanie list od rządu z upomnieniem, że struktura zatrudnienia w jego firmie ma się przedstawiać tak, jak wygląda struktura ludności Stanów Zjednoczonych. Później dostanie kolejny list. Być może dostanie także list od jakiegoś rozczarowanego kandydata, który zagrozi wytoczeniem sprawy sądowej. Ostatecznie stanie przed sędzią i usłyszy, że musi zatrudniać ludzi, których zatrudniać nie chce. Jeżeli nadal będzie odmawiał, pewnie straci mnóstwo pieniędzy na proces cywilny. Albo odbierze mu się firmę i ustanowi zarząd przymusowy. Jeśli będzie obstawał przy upartej niezależności, państwo w taki lub inny sposób odbierze mu firmę. Niewątpliwie Robertowie Reichowie tego świata powiedzą, że każdy dopóty ma prawo zatrudniać ludzi, których chce, dopóki te prawa nie szkodzą „wspólnemu dobru”.

Możemy się nawet zgodzić z Reichem, ponieważ sadzimy, że dyskryminacja jest zła. Ale czy jest choć odrobinę mniej faszystowska od powiedzenia biznesmanowi, że musi zwolnić pracujących u niego Żydów? A jeśli to zbyt mroczne rozważania, weźmy pod uwagę coś takiego. Niewiele brakowało, a sieć restauracji Hooters zostałaby zmuszona do zatrudniania mężczyzn w charakterze *Hooters girls* (kelnerek). Brzmi śmiesznie, ale przez to, że coś się robi w imię zróżnicowania, nie dzieje się jeszcze tak, że to działania niefaszystowskie. To tylko przyjemniejsza forma faszyzmu.

ROZDZIAŁ 9

Nowa wspaniała wioska: Hillary Clinton i sens liberalnego faszyzmu

Liberalizm jest kulturą i dogmatem, bardzo podobnie jak konserwatyzm. Poszczególni liberałowie mogą uważać, że doszli do swoich poglądów po starannym namyśle – i niewątpliwie tak było z wieloma – ale nie ma ucieczki od aktualnych tendencji występujących w historii i kulturze. Idee i ideologia są przekazywane na więcej sposobów, niż to sobie wyobrażamy. Niewiedza na temat ich pochodzenia nie znaczy, że skądś nie przychodzą.

To oczywiście nie znaczy, że przeszłość ma pełną władzę nad teraźniejszością. Ja na przykład zdecydowanie popieram dążenie do większych praw dla poszczególnych stanów. Był czas, kiedy rasiści popierali więcej praw dla stanów, uznając to za sposób na utrwalanie segregacji rasowej, ale to nie znaczy, że ja popieram rasizm. Mimo to, jak wspomniałem wyżej, konserwatyści musieli się ciężko napracować, żeby wytłumaczyć, że prawa dla stanów od dawna nie są argumentem wykorzystywanym w celu zachowania segregacji. Kiedy ktoś pyta mnie, dlaczego popieranie federalizmu nie doprowadzi do segregacji rasowej, mam na to przygotowane odpowiedzi. Na lewicy podobny wysiłek intelektualny nie istnieje i nie jest wymagany. Liberałowie są przekonani, że są i zawsze byli po słusznej stronie historii. George Clooney wyraża powszechne wśród liberałów przekonanie, kiedy mówi: „Tak, jestem liberałem i mam dosyć słuchania, że to jest coś złego. Nie znam przypadku w historii, żeby liberałowie znaleźli się po niewłaściwej stronie w kwestiach społecznych”.[502]

I to jest jednym z głównych powodów, dla których napisałem tę książkę: żeby przekłuć balon nadętego samozadowolenia z tego, że skoro jest się liberałem, to z definicji jest się cnotliwym. Jednocześnie muszę tu powtórzyć, że nie puszczam filmu od tyłu. Dzisiejsi liberałowie nie są autorami błędów poprzednich pokoleń, tak jak ja nie jestem odpowiedzialny za bezduszność niektórych konserwatystów, którzy z niewłaściwych powodów bronili praw stanowych przed moim urodzeniem. Otóż nie, problemy z dzisiejszym liberalizmem tkwią w dzisiejszym liberalizmie. Znaczenie przeszłości polega na tym, że w odróżnieniu od konserwatystów, którzy zmagali się ze swoją historią po to, żeby się nie powtórzyła, liberałowie nie widzą takiej potrzeby. I tak, uzbrojeni w pełne przekonanie o swoich dobrych intencjach, radośnie przekraczają granice, od których powinniśmy trzymać się z daleka. Wynajdują na nowo ideologiczne konstrukcje, które już widzieliśmy w przeszłości, nieświadomi ich pułapek, beztrosko przekonani, że dobrzy faceci nie mogą powiedzieć ani zrobić czegoś „faszystowskiego”, bo faszyzm jest z definicji czymś niepożądanym. A liberalizm jest zorganizowanym dążeniem do dobra.

Hillary Clinton jest osobą fascynującą nie ze względu na nudną i przeciętną osobowość, ale dlatego, że jest jak szkło powiększające, w którym możemy ujrzeć ciągłość liberalizmu, jego więź z przeszłością i przynajmniej jeden możliwy kierunek jego przyszłości. Ona i jej mąż byli jak Zeligowie[503] liberalnej lewicy, pojawiający się wszędzie, współpracujący z każdym, kto wpłynął na liberalizm w ciągu dziesięcioleci. Ponieważ Hillary jest sprytna i ambitna, dążyła do tego, aby zrównoważyć idealizm z cynizmem i ideologię z wyrachowaniem. To oczywiście można powiedzieć o bardzo wielu politykach, ale Hillary Clinton zasługuje na sławę i uwagę z tego powodu, że obserwatorzy wierzą, iż ma odpowiedni wgląd, doradców oraz instytucjonalną siłę, aby wybierać wygrywające kombinacje.

Jeżeli Waldo Frank i J.T. Flynn mieli rację, że amerykański faszyzm różniłby się od jego europejskich odpowiedników łagodnością i tym, że budziłby poważanie, to Hillary Clinton jest spełnieniem ich przepowiedni. Więcej, jest reprezentatywną postacią, czołowym członkiem pokoleniowej kohorty liberalnej elity, która (rzecz jasna nieświadomie) wprowadziła faszystowskie

tematy do głównego nurtu liberalizmu. A konkretnie Hillary i jej kohorta są wcieleniem macierzyńskiego oblicza faszyzmu – co utrudnia dostrzeżenie jego prawdziwego charakteru.

Poniżej przedstawiono więc portret zbiorowy Hillary i jej przyjaciół jako czołowych propagatorów i reprezentantów współczesnego liberalnego faszyzmu.

Polityka przebudowy człowieka

Hillary Clinton jest tradycyjnie uważana przez zwolenników za liberalną polityk, a przez konserwatywnych przeciwników za radykalnego lewicowca w owczej skórze liberalizmu; ale właściwie należałoby zaliczyć ją do progresywistów w starym stylu i uznać za bezpośrednią dziedziczkę ruchu Ewangelii Społecznej (Social Gospel) z lat dwudziestych i trzydziestych.

Nic nie ukazuje tego jaśniej niż przyznawane przez nią religijne źródła politycznego zaangażowania. Urodzona w metodystycznej rodzinie w Park Ridge w stanie Illinois, zawsze wykazywała szczególne przywiązanie do Ewangelii Społecznej. Jako nastolatka aktywnie uczestniczyła w parafialnej grupie młodzieżowej i jako jedyna z dzieci Rodhamów regularnie uczęszczała na niedzielne nabożeństwa. „Jest autentycznie zdeklarowanym członkiem Kościoła" powiedział w wywiadzie dla „Newsweeka" pastor Donald Jones, były opiekun grupy i jej mentor.[504]

Jones chciał pomniejszać odegraną przez siebie rolę. Prawdą jest, że miał na Hillary Rodham wielki wpływ. W przekonaniu autorów wielu biografii był poza rodzicami najważniejszą osobą w jej życiu. Uczeń niemieckiego emigranta, egzystencjalistycznego teologa Paula Tillicha, James był radykalnym pastorem, który w końcu został pozbawiony tej godności za zbytnie upolitycznienie. Hillary pisywała do mego regularnie w okresie studiów w college'u. Po przeprowadzce do stanu Arkansas uczyła w szkółce niedzielnej i jako świecka kaznodziejka często mówiła na niedzielnych nabożeństwach na temat „Dlaczego jestem metodystką?". Do tej pory – powiedział Jones „Newsweekowi" – „Hillary mówi tak, jakby cytowała nauki wygłaszane w metodystycznej szkółce niedzielnej".[505]

Jones podarował Hillary na zakończenie college'u prenumeratę metodystycznego magazynu „motive", zanim poszła do Wellesley. Pisane małą literą z powodów, na które chyba nie zważał nikt poza redaktorami, pismo „motive" pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych było bez wątpienia, jak już wcześniej wspomniałem, periodykiem radykalnie lewicowym, co stawało się jasne po zajrzeniu do niego.

Trzydzieści lat później Clinton powiedziała w wywiadzie dla „Newsweeka", że jej spojrzenie na wojnę wietnamską uległo zmianie po lekturze eseju Carla Oglesby'ego opublikowanego w piśmie „motive". „Newsweek" postanowił to przedstawić jako wzruszające wspomnienie liberalnej polityk nastawionej na wymiar duchowy, opisując Oglesby'ego jako „metodystycznego teologa". Jednak ta etykietka jest wysoce myląca.[506] Oglesby, wybrany w roku 1965 na przewodniczącego organizacji Studenci na rzecz Społeczeństwa Demokratycznego (Students for a Democratic Society, SDS) był czołowym aktywistą antywojennym. Jego argumenty przeciwko wojnie były teologiczne tylko w tym sensie, że liberalny faszyzm jest polityczną religią. Według Oglesby'ego państwa komunistyczne były dobre, ponieważ pragmatycznie starały się „zapewnić swoim narodom żywność, odzież, mieszkania i pomoc lekarską" mimo agresji ze strony „zjadliwej odmiany" amerykańskiego imperializmu i kapitalizmu. Przemoc stosowana przez uciskane narody państw Trzeciego Świata lub w amerykańskich gettach była całkowicie racjonalna, a nawet godna zalecenia.[507]

Hillary Clinton uważała, że takie radykalne poglądy są zgodne z jej misją religijną. Przecież czytała ten materiał w oficjalnej publikacji metodystycznej otrzymanej od swojego pastora. „Nadal mam wszystkie numery, które wtedy otrzymałam", powiedziała w wywiadzie dla „Newsweeka".[508]

W roku 1969 Hillary została pierwszą studentką w historii Wellesley, która wygłosiła przemówienie na własnej uroczystości zakończenia studiów. Nie wiemy, czy wtedy zaczęła postrzegać siebie jako feministyczną przywódczynię, czy też to doświadczenie po prostu wzmocniło w niej takie aspiracje. W każdym razie od tego momentu Hillary coraz wyraźniej wykorzystywała retorykę ruchów – ruchu młodzieży, ruchu kobiet, ruchu przeciwników wojny – i zmierzała w stronę innych, którzy też wierzyli, że dla jej płci i jej pokolenia nadszedł czas randki z przeznaczeniem. Przemówienie wywarło takie wrażenie, że jej zdjęcie znalazło się w magazynie „Life", który wybrał ją jako jedną z czołowych postaci nowej generacji (drugą był Ira Magaziner, student Uniwersytetu Browna, późniejszy guru Hillary od kwestii dotyczących służby zdrowia).

Oczyszczone z bełkotu charakterystycznego dla New Age przemówienie Hillary Clinton z Wellesley było pełnym pasji poszukiwaniem znaczenia, ociekającym dzisiaj już dobrze znanymi poglądami. „My wszyscy badamy świat, którego nikt z nas nawet nie rozumie, i usiłujemy tworzyć coś w tej niepewności. Jednak pewne rzeczy odczuwamy, czujemy, że dominujące życie korporacyjne z jego rywalizacją i zachłannością, obejmujące także uniwersytety, co jest tragiczne, nie jest naszą drogą. Poszukujemy bardziej bezpośredniego, ekstatycznego i przenikliwego sposobu życia. [...] Nie jesteśmy zainteresowani przebudową społeczeństwa, lecz przebudową człowieka". Życie uczelniane – kontynuowała – na krótko zdejmuje z nas „brzemię nieautentycznej rzeczywistości", dając studentom szansę na poszukiwanie autentyczności. „Każdy protest, każdy wyraz niezgody, czy to w indywidualnej pracy studenckiej, czy w demonstracji na parkingu dla profesorów, stanowi zuchwałą próbę wykucia tożsamości w tym szczególnym wieku".[509] W jej stosunkowo krótkim wystąpieniu przebija głęboka tęsknota, tęsknota za jednością, za rozwiązaniem „nieautentycznych" instytucji i uczuć w holistycznym związku, który „**przyszłość zmienia w teraźniejszość**", dzięki czemu „nie ma już żadnych ograniczeń" i „wydrążeni ludzie" stają się na nowo pełnymi istotami. Pasuje do tego fakt, że dewiza Wellesley brzmi *Non ministrari sed ministrare* (Nie oczekiwać służby, lecz służyć).[510]

Pokusa totalitarna

Po ukończeniu studiów Hillary otrzymała propozycję stażu od swojego bohatera Saula Alinsky'ego – słynnego autora książki zatytułowanej *Rules for Radicals* (Zasad dla radykałów) – o którym pisała pracę pod tytułem *Jest tylko walka: analiza modelu Alinsky'ego*. W bezprecedensowym posunięciu uczelnia w roku 1992 postanowiła nie udostępniać pracy, odmawiając nawet ujawnienia tytułu do opuszczenia Białego Domu przez Clintonów.

Czytelnicy znający Alinsky'ego i jego czasy wiedzą, jak potężną postacią na lewicy był „ojciec chrzestny" aktywizmu społecznego. Alinsky, syn żydowskich imigrantów rosyjskiego pochodzenia, rozpoczął karierę w kryminalistyce, ale w roku 1936, zniechęcony niepowodzeniami polityki społecznej, poświęcił się atakowaniu rzekomych przyczyn przestępczości. W końcu został organizatorem związkowym w rodzinnym Chicago, działając w środowisku, które przedstawił Upton Sinclair w powieści Grzęzawisko. „To tutaj – pisze P. David Finks – Saul Alinsky miał wynaleźć swoją słynną „metodę" organizacji społeczności, korzystając z doświadczeń Kościoła katolickiego, mafii Ala Capone'a, socjologów z Uniwersytetu Chicago i związkowych organizatorów Johna L. Lewisa".[511] Jego gwałtowne przemówienia często przypominały wystąpienia Horsta Wessela albo jego przeciwników w czerwonych koszulach na ulicach Berlina.

Alinsky połączył siły z Kościołami i federacją związków zawodowych CIO (Congress of Industrial Organizations) – wówczas pełną stalinowców i innych komunistów – ucząc się, jak organizować działalność na ulicach. W roku 1940 założył Fundację Obszarów Przemysłowych (Industrial Areas Foundation), która propagowała aktywizm wspólnotowy. Stał się mentorem niezliczonych aktywistów – w tym Cesara Chaveza – kładąc podwaliny pod ruch Nadera i SDS. Wierzył, że dla osiągnięcia swoich celów może wykorzystać mentalność klasy średniej, nie

odrzucając jej, jak to robili długowłosi hipisi. W przeciwieństwie do nich Alinsky uważał, że esencją politycznej organizacji było działanie poprzez przyjazne albo słabe organizacje, żeby przy ich pomocy rozbić reduty wroga. Wszyscy się zgadzali, że był „organizacyjnym geniuszem”. Blisko współpracował z reformistami i lewicującymi księżmi, którzy udzielali mu poparcia przez większość jego kariery. Zapewne dzięki temu doprowadził do perfekcji sztukę wypuszczania na pierwszą linię kaznodziejów w swojej misji „jątrzenia ran niezadowolenia”.[512]

Pod wieloma względami metody Alinsky'ego inspirowały cale pokolenie agitatorów Nowej Lewicy działające w latach sześćdziesiątych (Barack Obama, długoletni organizator wspólnotowy z Chicago, był szkolony przez uczniów Alinsky'ego). Trzeba jednak powiedzieć, że Alinsky zdecydowanie nie był zwolennikiem Wielkiego Społeczeństwa i nazywał je „przednim okazem politycznej pornografii”, ponieważ było jednocześnie zbyt ostrożne i zbyt szczodre dla „branży świadczeń społecznych”. I faktycznie, było coś godnego podziwu w jego pogardzie zarówno dla etatyzmu liberalnej elity, jak i dla modnych radykałów z Nowej Lewicy, którzy całymi dniami „sypali cytatami z Mao, Castro, i Che Guevary, które mają tyle wspólnego z naszym nasyconym techniką, skomputeryzowanym, cybernetycznym społeczeństwem wykorzystującym energię atomową i mass media, co dyliżans na pasie startowym lotniska im. Kennedy'ego”.[513]

Jednocześnie nie ma wątpliwości, ze wielkich ustępów jego tekstów nie można odróżnić od faszystowskich wypowiedzi z lat dwudziestych i trzydziestych, a jego opisów Stanów Zjednoczonych od twierdzeń każdego ulicznego mówcy w brunatnej koszuli potępiającego korupcję Republiki Weimarskiej . jego światopogląd jest wyraźnie faszystowski. Życie to wojna, zmagania potęg i narzucanie swojej woli. Co więcej, Alinsky'ego łączy z faszystami i niegdysiejszymi pragmatystami bezwzględna wrogość wobec dogmatów. Jedyna rzecz, w którą wierzy, to pożądane cele ruchu, który uważa za źródło sensu życia. „Zmiana oznacza ruch. A ruch oznacza tarcie – pisał. – Jedynie w pozbawionej tarcia próżni albo w nierzeczywistym świecie abstrakcji może zaistnieć ruch lub zmiana bez brutalnego tarcia konfliktu”. Ale to, co uwidacznia się najbardziej, to jego nieokiełznana żądza władzy. Dla niego władza jest dobra sama w sobie. „Nasz świat nie jest światem aniołów, lecz ostrych kantów”[514] – obwieszcza w *Rules for Radicals*. – W tym świecie mówi się o prawach moralnych, ale działa na podstawie prawa siły”.[515]

Hillary odrzuciła propozycję Alinsky'ego, aby podjąć dalsze studia na Yale Law School. Powiedział jej, że to wielki błąd, ale ona odpowiedziała, że tylko awansując w elitarnych instytucjach amerykańskich, będzie mogła osiągnąć prawdziwą władzę i zmieniać system od wewnątrz. Była to typowa racjonalizacja własnego postępowania przyjmowana przez wielu studentów z klas wyższych w latach sześćdziesiątych, którzy cenili sobie miano radykałów, a jednocześnie nie mieli ochoty rezygnować ze swoich przywilejów. Charakterystyczne jednak, że jedną z głównych tez krytycznych Hillary w stosunku do Alinsky'ego był w jej pracy zarzut, że nie zbudował na podstawie swoich poglądów ruchu ogólnonarodowego. Jednakże Hillary nigdy nie zrezygnowała ze swojej wiary i pozostała wierna swoim radykalnym zasadom. I w ten sposób w Yale, gdzie poznała Billa Clintona, wkrótce znalazła się na obrzeżach lewicy.

W Yale pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych prawie jak w powieści zazębiają się narracje i poglądy. Bill Clinton studiował prawo konstytucyjne pod kierunkiem Charlesa Reicha, guru od „trzeciego stopnia świadomości”. Reich z kolei był wcześniej partnerem słynnego prawnika Nowego Ładu i intelektualisty Thurmana Arnolda – ucznia liberałów spod znaku Croly'ego z „New Republic” – lansującego nową „religię władzy”. W latach trzydziestych krytycy uważali dzieła Arnolda za jeden z filarów faszyzmu w amerykańskim stylu. Założył później firmę prawniczą Arnold, Fortas and Porter”.[516]

Hillary pomagała redagować pismo „Yale Review of Law and Social Action”, które w owym czasie było zdecydowanie radykalnym organem, popierającym Czarne Pantery i zamieszczającym artykuły pośrednio akceptujące mordowanie policjantów. W jednym z tych artykułów, zatytułowanym *Jamestown Seventy*, proponowano, żeby radykałowie „przeprowadzili się do jednego stanu w celu zdobycia w nim politycznej kontroli i ustanowienia żywego

laboratorium dla eksperymentów".[517] Na haniebnej okładce pisma „Review" przedstawiono policjantów jako świnie, z których jedna miała odrąbany łeb. Czarne Pantery wywołały poruszenie wśród studentów, ponieważ ich „przewodniczący", Bobby Seale, stanął wraz z kilkoma zbirami przed sądem w New Haven za zamordowanie jednego ze swoich ludzi. Hillary zgłosiła się do pomocy obrońcom Panter. Chodziła nawet na posiedzenia sądu, aby robić notatki i w ten sposób pomóc zespołowi adwokatów. Sprawdziła się tak dobrze w organizowaniu ochotników spośród studentów, że zaproponowano jej letnie praktyki w Berkeley, w biurze prawnym Roberta Treuhafta, jednego z adwokatów Seale'a. Treuhaft był przez całe życie członkiem Amerykańskiej Partii Komunistycznej, zaprawionym w walkach w obronie stalinowskiej frakcji w kalifornijskim ruchu związkowym.[518]

Pociąg Hillary do radykalnych ugrupowań i postaci takich jak Czarne Pantery, Alinsky i – według niektórych biografów – Jaser Arafat, stoi w całkowitej zgodzie z historyczną słabością liberalizmu do ludzi czynu. Podobnie jak Herbert Croly mógł usprawiedliwiać Mussoliniego, a niezliczeni inni popierali „twarde decyzje" Stalina, pokolenie liberałów z lat sześćdziesiątych miało ewidentną słabość do ludzi, którzy „przekraczali" burżuazyjną moralność i zasady demokracji w imię sprawiedliwości społecznej. To umiłowanie silnych mężczyzn – Castro, Che, Arafata – ma najwyraźniej związek z obsesją lewicy na punkcie faszystowskich wartości autentyczności i woli.[519]

Po studiach prawniczych Hillary odrzuciła jednak taką radykalną postawę na rzecz pragmatyzmu. Pracowała w Little Rock jako prawnik i aktywistka należąca do liberalnego establishmentu, przewodnicząc radykalnemu organowi Korporacji Usług Prawnych, finansowanemu z budżetu stanowego, i Funduszowi Obrony Dzieci, organizacji nonprofit. Wcześniej pracowała dla Komisji Sądowniczej Izby Reprezentantów, pomagając demokratom z tej komisji. Jej małżeństwo z Billem Clintonem, zapewne najbardziej skrupulatnie analizowany związek w historii Ameryki, nie musi nas tu specjalnie zajmować. Niezależnie od romantycznych uczuć, jakie do siebie żywili albo żywią nadal, wszyscy rozsądni ludzie muszą się zgodzić, że było to również małżeństwo zawarte z powodów politycznych.

Najwięcej mówiącym aspektem kariery Clinton przed jej przyjazdem do Waszyngtonu było występowanie w obronie dzieci. Hillary pisała ważne artykuły, często krytykowane przez jej przeciwników, którzy uważali, że broni praw dzieci do „rozwodu" z rodzicami. Nigdy nie stwierdziła tego wyraźnie, ale trudno zaprzeczyć, że wskazywała w tę stronę. Jednak debata o rozwodach dzieci z rodzicami zawsze była tematem ubocznym. Ważniejsze, że artykuły Clinton na temat dzieci wskazują na jasne, zdecydowane i wynikające z wyznawanych zasad dążenie do głębokiej ingerencji państwa w życie rodzinne – cel jak najbardziej zgodny z podobnymi wysiłkami totalitaryzmów minionych czasów.

Nie jest to pogląd tylko mój czy zwolenników amerykańskiej prawicy. Jak napisał nieżyjący już Michael Kelly we wpływowej charakterystyce nowej wówczas Pierwszej Damy, jest ona dziedziczką „polityki uszczęśliwiania innych, płynącej bezpośrednio z potężnego i ciągłego strumienia, który biegnie przez amerykańską historię od Harriet Beecher Stowe, poprzez Jane Addams, po Carry Nation i Dorothy Day. [...] Świat, który ona chce odtworzyć, [...] to miejsce zapewniające poczucie bezpieczeństwa i wspólnoty oraz jasne zasady moralne".[520]

Nieżyjący już Christopher Lasch doszedł do podobnych wniosków. Lasch, jeden z najbardziej wnikliwych badaczy amerykańskiej polityki społecznej w XX wieku, bynajmniej nie propagator tez prawicowych, przeczytał wszystkie teksty Clinton poruszające ten temat, przygotowując artykuł opublikowany w lewicującym piśmie „Harper's" w roku 1992. Powstało w ten sposób trzeźwe (i otrzeźwiające) omówienie światopoglądu Clinton. Lasch nazywa ją współczesną „wybawicielką dzieci", którym to terminem krytyczni historycy obdarzają progresywistów chcących wprowadzić boski byt państwowy w krąg rodzinny. Wprawdzie Clinton zarzeka się, że chce, aby państwo interweniowało tylko w „uzasadnionych przypadkach", jej prawdziwym celem, jak sama przyznaje, jest stworzenie pełnej i uniwersalnej „teorii adekwatnie wyjaśniającej należytą rolę państwa w wychowaniu dziecka". W tym celu proponuje zniesienie

pojęcia niepełnoletności, czyli prawnego rozróżnienia na dzieci i dorosłych. Byłby to wielki, postępowy krok naprzód, porównywalny – to słowa Clinton – „ze zniesieniem niewolnictwa i emancypacją zamężnych kobiet”. I wreszcie „dzieci, podobnie jak inne osoby”, zostaną uznane za osoby mające zdolność do „korzystania z praw i brania na siebie obowiązków, chyba że zostanie to zasadnie podważone”.[521]

Wiele ujawnia to, że Hillary Clinton skupia się na sprawie rozpatrywanej przez Sąd Najwyższy w roku 1972 (Wisconsin *contra* Jonas Yoder, Wallace Miller oraz Adin Yutzy), w której trzem rodzinom ze społeczności amiszów pozwolono, pomimo obowiązku szkolnego, nie posyłać dzieci do szkoły średniej. Sędzia William O. Douglas nie zgodził się z tą decyzją, argumentując, że nikt nie spytał dzieci, czego one chcą. „Dzieci powinny mieć prawo do tego, aby ich wysłuchano” – stwierdził. Clinton wykorzystuje zdanie Douglasa, aby wykazywać, że „dzieci powinny być panami swojego losu”. Ich głosy powinny mieć dla sądu większą wagę niż głosy ich rodziców. Zauważając, że aby zostać „pianistą, astronautą czy oceanografem”, dziecko musi zerwać z tradycją amiszów”, Hillary Clinton konkluduje, że dziecko „skazane na tryb życia amiszów” będzie zapewne musiało prowadzić życie „upośledzone i zdeformowane”. Lasch wysuwa miażdżący wniosek: „Clinton popiera to, że stan Wisconsin ma przejąć obowiązki rodzicielskie, ponieważ jest przeciwna zasadzie władzy rodzicielskiej w jakiejkolwiek postaci”. Teksty Clinton „pozostawiają niewątpliwe wrażenie, że rodzina hamuje rozwój dziecka, a państwo zapewnia dziecku wolność”. W jej przekonaniu – konkluduje Lasch – „ruch na rzecz praw dzieci […] wyrasta na kolejny etap długiej walki z patriarchatem”.[522]

Od czasu *Republiki* Platona polityków, intelektualistów i kapłanów fascynowała koncepcja „przechwytywania” dzieci w celu realizowania założeń inżynierii społecznej. To dlatego Robespierre zalecał wychowanie dzieci przez państwo. Hitler, który znakomicie rozumiał znaczenie zdobywania serc i umysłów młodzieży, powiedział: „Kiedy nasz przeciwnik mówi »Nie przejdę na waszą stronę«, odpowiadam spokojnie: »Twoje dziecko już jest nasze. [...] Ty umrzesz, ale twoi potomkowie będą w tym nowym obozie i wkrótce będą znali tylko tę nową wspólnotę«”. Thomas Woodrow Wilson szczerze powiedział, że naczelną misją wychowawcy jest dążenie do tego, aby dzieci jak najbardziej różniły się od rodziców. Charlotte Perkins Gilman wyraziła to jeszcze ostrzej: „Nie ma dziś na świecie jaśniejszej nadziei – oświadczyła ikona feminizmu – niż to nowe myślenie o dziecku, [...] uznanie »dziecka«, dzieci za klasę, uznanie dzieci za obywateli z prawami, które mogą być zagwarantowane tylko przez państwo; zamiast naszego wcześniejszego nastawienia, w którym przyjmowano absolutną jednostkową [tj. rodzicielską] własność – zamiast niekontrolowanej tyranii [...] prywatnego domu”.[523]

Progresywistyczna edukacja miała dwoje rodziców, Prusy i Johna Deweya. Przedszkola zaimportowano do Stanów Zjednoczonych z Prus w XIX wieku, ponieważ amerykańscy reformatorzy byli zachwyceni dyscypliną i patriotyczną indoktrynacją, którym małe dzieci poddawano poza domem (tym lepiej się przez to nadawały do tego, aby wyplenić nieamerykańskie cechy imigrantów).[524] Jedną z podstawowych zasad przyjmowanych w pierwszych przedszkolach był dogmat, że „prawdziwym rodzicem dzieci jest państwo, że państwo ma władzę nad rodziną”. Progresywistyczni zwolennicy Johna Deweya poszerzali ten program, aby ze szkół publicznych uczynić inkubatory religii narodowej. Odrzucili militarystyczną sztywność modelu pruskiego, ale zachowali cel indoktrynowania dzieci. Metody były nieformalne, wynikające ze szczerego pragnienia doprowadzenia do tego, że nauczanie będzie „zajmujące”, „treściwe" i „będzie rozwijać wiarę we własne siły”. Obsesja na punkcie poczucia własnej wartości, tak nasycająca dzisiaj nasze szkoły, wywodzi się z reform Deweya sprzed II wojny światowej. Jednakże pod wypowiedziami w obronie indywidualizmu kryje się dążenie do demokratycznej sprawiedliwości społecznej, misja, którą sam Dewey określił jako religię. W przekonaniu innych progresywistów przechwytywanie dzieci w szkołach stanowiło część zakrojonych na większą skalę dążeń do złamania kręgosłupa rodziny podstawowej, złożonej zasadniczo z rodziców i dzieci, instytucji najbardziej odpornej na polityczną indoktrynację.

Narodowosocjalistyczni wychowawcy mieli na myśli podobne cele. I choć może się to wydać dziwne, oni również odrzucali pruską dyscyplinę, propagując poczucie własnej wartości i wiarę we własne siły w imię sprawiedliwości społecznej. W początkach III Rzeszy uczniowie palili różnokolorowe szkolne czapki w proteście przeciwko różnicom klasowym. Rodzice się skarżyli: „Nie mamy już praw zapewniających nam władzę nad własnymi dziećmi". Według historyka Michaela Burleigha „ich dzieci stały się obcymi ludźmi, pogardzającymi monarchią i religią, nieustannie warczącymi i pokrzykującymi jak miniaturowi pruscy sierżanci. [...] Zachęcano do donoszenia na rodziców, czemu patronowali nauczyciele zadający wypracowania na temat „O czym rozmawia się w twoim domu?".[525]

Liberalny projekt propagowany przez Hillary Clinton nie jest bynajmniej projektem nazistowskim. Ostatnia rzecz, której by sobie życzyła, to propagowanie szowinizmu, antysemityzmu lub wojennych podbojów. Należy jednak pamiętać, że podczas gdy te sprawy miały ogromne znaczenie dla Hitlera i jego ideologów, były one z ważnych powodów drugorzędne w porównaniu z prawdziwą misją i atrakcyjnością nazizmu, który miał stworzyć nową politykę i nowy naród, zaangażowany w walkę o sprawiedliwość społeczną, radykalny egalitaryzm (choć tylko dla „prawdziwych Niemców") i niszczenie tradycji starego porządku. Tak więc chociaż lata świetlne dzielą **programy** liberałów i nazistów bądź włoskich faszystów czy nawet dawnych nacjonalistycznych progresywistów, wszędzie jest obecny ten sam ukryty impuls – totalitarna pokusa.

Chińscy komuniści pod rządami Mao szli chińską drogą, Sowieci za Stalina realizowali własną wersję komunizmu w jednym państwie, ale my spokojnie nazywamy oba kraje komunistycznymi. Hitler chciał wymordować Żydów, podczas gdy Mussolini nie miał takich zamiarów, a jednak spokojnie nazywamy jednych i drugich faszystami. Liberalni faszyści nie chcą naśladować tamtych faszystów ani komunistów pod milionem względów, ale dzielą z nimi radykalną wizję sprawiedliwości społecznej, wspólnoty i przekonanie, że to państwo ma tę wizję realizować. Krótko mówiąc, kolektywiści wszystkich odmian dzielą tę samą totalitarną pokusę, żeby tworzyć politykę znaczenia. Różni ich to – i to jest różnica zasadnicza – jak tę pokusę wcielają w życie.

Pierwsza Dama liberalnego faszyzmu

Kiedy Bill Clinton został wybrany na prezydenta, jego żona przybyła do Waszyngtonu jako prawdopodobnie najpotężniejsza z niewybranych – i niemianowanych – reformatorów społecznych od czasu Eleanor Roosevelt. Przyznała w wywiadzie dla „Washington Post", że zawsze kierowała się „wielkim pragnieniem", aby dążyć do tego, że „świat uczyni się [...] lepszym dla wszystkich". Żywiła to pragnienie, odkąd Don Jones pokazał jej, że biednym i uciskanym powodzi się gorzej niż jej. A usunięcie tej społecznej niesprawiedliwości wymagało władzy. „Jak rozumiem Hillary, ona absolutnie pojmuje prawdę o kondycji człowieka, wie, że nie można polegać na wrodzonej dobroci człowieka i nie można polegać na tym, że sama moralna perswazja może go uczynić dobrym – powiedział Jones Michaelowi Kelly'emu. – Trzeba użyć władzy. I nie ma nic złego w użyciu władzy w celu zrealizowania polityki służącej dobru ludzi. Myślę, że Hillary to wie. Należy do tych chrześcijan, którzy rozumieją, że użycie władzy w celu osiągnięcia społecznego dobra jest usprawiedliwione".[526] Echa twierdzeń Alinsky'ego są oczywiste. Mniej oczywiste jest, kto decyduje, co jest dobre dla społeczeństwa i jakimi środkami należy ten cel realizować.

Hillary jednak nie przedstawiała swojej misji w jawnie chrześcijańskiej terminologii, może poza sytuacjami, kiedy mówiła do zdeklarowanie chrześcijańskich audytoriów. Zamiast tego ukuła najbardziej typowe hasło liberalne go faszyzmu w naszych czasach: „polityka znaczenia" (*politics of meaning*).

Kiedy mówię, że polityka znaczenia i ogólnie przekonania Hillary Clinton są faszystowskie, muszę znowu wyjaśnić, że to nie oznacza, iż są złe. I nie brzmią jak faszystowskie dla współczesnego ucha – to najważniejsze. Dzisiaj utożsamiamy faszyzm z militarystycznym językiem i rasizmem, ale pod koniec XIX i na początku XX wieku wojna dostarczała wielu metafor wykorzystywanych w debatach politycznych i codziennych rozmowach. Wiele tych słów i fraz stało się częścią języka potocznego i nawet nie zdajemy sobie sprawy z ich krwawo-bitewnego pochodzenia („okopać się na pozycjach", „front atmosferyczny" i wiele innych). Liberalny faszyzm nie jest militarystyczny, ale te same pasje, które kazały progresywistom mówić o „armiach przemysłowych" i „biciu się" za Błękitnego Orła, kryją się pod retoryką dzisiejszego liberalizmu. Wojnę postrzegano jako wspólnotowe, jednoczące doświadczenie, prowadzące do skupienia na wspólnym dobru, uważając przy tym, że jego pasje i dyscyplinę można wykorzystać dla społecznie użytecznych celów. Dzisiaj nowoczesna lewica jest pod wieloma względami otwarcie antywojenna i zdeklarowanie pacyfistyczna, ale liberałowie wciąż tęsknią nostalgicznie za jednoczącymi doświadczeniami ruchów związkowych i ruchów walczących o prawa obywatelskie. Język jest niewątpliwie przyjemniejszy i zamiar też jest obiektywnie „przyjemniejszy", ale na najbardziej zasadniczym poziomie polityka znaczenia wykorzystuje programy Mussoliniego.

Co do rasizmu, to w dzisiejszym liberalizmie jest go niemało, chociaż może lepsze byłoby określenie „wyczulenie na kwestie rasowe". Państwo traktuje ludzi kolorowych inaczej niż białych. Dalej na lewo u podstaw niezliczonych projektów ideologicznych leży przekonanie o niezmiennych cechach wynikających z przynależności rasowej. Antysemityzm również jest dziś na lewicy wyraźniejszy niż w czasach, które obejmujemy pamięcią. Oczywiście nie jest to rasizm ani antysemityzm tego rodzaju, który głosili naziści. Znów jednak trzeba podkreślić, że o tym, czym jest faszyzm, nie decydują cechy nazizmu. Co więcej, nazistowski rasizm – przypomnijmy, zgodny z rasizmem progresywizmu – stanowił wyraz głębszego impulsu, żeby określać jednostkę przez jej powiązania z kolektywem.

Pozwolę sobie uprzedzić jeszcze ostatnią krytyczną uwagę. Niektórzy powiedzą, że polityka znaczenia Hillary Clinton to stare dzieje. Clinton nie użyła tego określenia od lat, zostało ono dawno zamiecione pod dywan ze względów politycznych, podobnie jak pamięć o jej katastrofalnym planie reformy służby zdrowia. Taka krytyka byłaby bardziej uzasadniona, gdyby moim celem było dostarczenie antyclintonowskich argumentów w kampanii prezydenckiej z 2008 roku, ale nie do tego zmierzam. To, co mnie interesuje w Clinton, to przykład ciągłości myśli liberalnej w jej osobie. Jeżeli to, co liberałowie myśleli i robili w latach dwudziestych, ma związek z tym, co się głosi dzisiaj – a uważam, że ma – to niewątpliwie to, co myśleli i robili w latach dziewięćdziesiątych, ma znaczenie tym bardziej. Co więcej, nie ma dowodów, że Clinton została ideologicznie utemperowana. W swojej książce z roku 1996 zatytułowanej *It Takes a Village* (Potrzeba całej wioski), Clinton nie wycofała się z radykalnych poglądów na kwestie dzieci, mimo że w roku 1992 poglądy te działały na jej niekorzyść. Uczyniła jednak swoje poglądy bardziej strawnymi dzięki pomocy współpracującego z nią pisarza.

Trzeba ponadto powiedzieć, że jej polityka znaczenia stanowiła zapewne najciekawszy i najpoważniejszy wyraz liberalizmu w latach dziewięćdziesiątych, głoszony w szczytowym okresie liberalnego optymizmu. Od czasu wyboru Busha i ataków terrorystycznych z 11 września liberalizm definiował siebie przede wszystkim przez reakcje, głównie poprzez wrogie nastawienie wobec administracji Busha. Dlatego wydaje się, że warto zbadać, co liberałowie mówili, kiedy tańczyli do własnej muzyki.

W kwietniu 1993 roku Hillary Clinton wygłosiła inauguracyjne przemówienie na Uniwersytecie Teksaskim w Austin, w którym oświadczyła: „Potrzebujemy nowej polityki znaczenia. Potrzebujemy nowego etosu indywidualnej odpowiedzialności i troski. Potrzebujemy nowej definicji społeczeństwa obywatelskiego, która zapewni odpowiedzi na pytania pozostające bez odpowiedzi, stawiane zarówno przez siły rynkowe, jak i rządowe, pytania, jak można mieć społeczeństwo, które nas znów napełni i da nam poczucie, że jesteśmy częścią czegoś większego od nas samych".[527]

Zwrot „znów nas napełni" szczególnie wiele mówi – w 1969 roku Clinton mówiła o tym, jak to potrzebujemy polityki, która przywróci pełnię „wydrążonemu człowiekowi". Hillary Clinton wydaje się sugerować, że bez sprawy społecznej albo misji, które by ją „napełniały", jej życie (i nasze) jest puste i pozbawione celu. Hillary, jak się wydaje, przez całe życie na pierwszym miejscu stawiała cele pragmatyczne, ale ilekroć miała możliwość szczerej wypowiedzi, dominowały te same pragnienia: znaczenia, autentyczności, czynu, transformacji.

Polityka znaczenia jest pod wieloma względami najbardziej totalitarną koncepcją polityki zaproponowaną przez którąś z czołowych postaci amerykańskiej polityki w ostatnim półwieczu. Poglądy Hillary mają więcej wspólnego z totalizującymi chrześcijańskimi ideologiami Pata Robertsona i Jerry'ego Falwella niż ze „świeckim ateizmem", jaki jej przypisują chrześcijańscy konserwatyści. Ale jeszcze więcej wspólnego mają z boskim bytem państwowym progresywistów – Johna Deweya, Richarda Ely'ego, Herberta Croly'ego, Thomasa Woodrow Wilsona i innych lewicowych heglistów. Wizja Hillary zawiera założenie, że Ameryka cierpi na głęboki „kryzys duchowy", wymagający powołania do życia nowego człowieka jako części ogólnospołecznego wysiłku w celu odbudowy i rekonstrukcji nowej wspólnoty narodowej, która zapewni wszystkim poczucie sensu i autentyczność. Jej propozycja to program charakterystyczny dla trzeciej drogi, koncepcja ani lewicowa, ani prawicowa, lecz synteza obu kierunków, w której państwo i wielki biznes będą działać ręka w rękę. Jest to fundamentalnie religijna wizja kryjąca się w koniu trojańskim sprawiedliwości społecznej, dążąca do nasycenia polityki społecznej imperatywami duchowymi.

Aby lepiej zrozumieć politykę znaczenia, powinniśmy uwzględnić karierę samozwańczego guru Hillary, progresywnego aktywisty i rabina Michaela Lernera. Lerner urodził się w niepraktykującej żydowskiej rodzinie z New Jersey – jego matka była przewodniczącą stanowej organizacji Partii Demokratycznej. Absolwent Uniwersytetu Columbii z roku 1964, doktorat zdobył w Berkeley, gdzie był asystentem Herberta Marcuse'a i przewodził organizacji SDS. Miłośnik LSD, „postępowego narkotyku", uważał, że zażywanie tego środka halucynogennego to jedyna droga do prawdziwego zrozumienia socjalizmu (najwyraźniej nie dostrzegał ironii kryjącej się w tym stwierdzeniu). Kiedy jego siostra wychodziła za wziętego adwokata, na ślubie pojawiło się sporo znaczących polityków. Lerner nie mógł przepuścić takiej okazji. Przerwał uroczystości przemówieniem demaskującym gości jako „morderców", którzy mają „krew na rękach", ponieważ nie zrobili więcej, żeby przerwać wojnę w Wietnamie".[528]

Kiedy poraził go strzałą Amor, powiedział wybrance: „Jeżeli chcesz być moją dziewczyną, musisz najpierw zorganizować partyzancką *foco*. (*Foco* to paramilitarna komórka, wielce ceniona w marksistowsko-leninowskiej teorii i propagowana przez Che Guevarę, nastawiona na błyskawiczne ataki powstańcze). Kiedy się pobierali w Berkeley, wymienili obrączki zrobione ze szczątków amerykańskiego samolotu strąconego nad Wietnamem. Tort ślubny został ozdobiony dewizą organizacji Weathermen „Precz z monogamią". (Małżeństwo nie przetrwało roku.) Lerner twierdzi, że był przywódcą pokojowego skrzydła Nowej Lewicy. Wykładając na Uniwersytecie Stanu Washington (University of Washington), założył Front Wyzwolenia Seattle, który – jak później mówił – był organizacją pokojową alternatywną dla Weathermen. Mimo to został aresztowany pod zarzutem podburzania do zamieszek jako jeden z „siódemki z Seattle". Oskarżenie zostało w końcu wycofane, ale J. Edgar Hoover zdążył go już nazwać – zapewne przesadnie – „jednym z najgroźniejszych przestępców w Ameryce".[529]

W roku 1973 Lerner napisał *The New Socialist Revolution* (Nową rewolucję socjalistyczną), pełną sloganów odę wychwalającą nadchodzący przewrót socjalistyczny. Frazeologia była ściśle w stylu Mussoliniego: „Pierwszym zadaniem ruchu rewolucyjnego [...] jest obalenie burżuazyjnej hegemonii i rozwinięcie radykalnej świadomości wśród każdej z potencjalnych grup rewolucyjnych".[530]

Z latami myślenie Lernera uległo ewolucji. Po pierwsze, głęboko się zainteresował psychologią mas (ma licencję psychoterapeuty), nasiąkając wszystkimi nonsensami szkoły

frankfurckiej na temat faszystowskich osobowości (konserwatyzm jest w oczach Lernera dającą się leczyć chorobą). Po drugie, został rabinem. I choć jego zaangażowanie w politykę progresywistyczną nigdy nie osłabło, stał się fanatykiem „duchowego" aspektu polityki. W końcu odrzucił materializm dialektyczny na rzecz walki z konsumeryzmem i psychicznym cierpieniem, jakie z niego wynika. W 1986 rozpoczął wydawać dziwne pismo „Tikkun", poświęcone w znacznej części tworzeniu nowej ewangelii społecznej z wyraźnym odchyleniem żydowskim i ekumenicznym.

Po przemówieniu Clinton poświęconym polityce znaczenia, powstałym częściowo z inspiracji Lernera, (który wkradł się w łaski Clintona, ówczesnego gubernatora Arkansas), radykalny rabin psychoterapeuta poszedł na całość i zaczął ustawiać się w roli nadwornego jasnowidza administracji Clintona. Chciał być Herbertem Crolym nowej ery progresywistycznej. Chociaż wielu dziennikarzy rozpoznawało w nim hochsztaplera, i tak zdobył rozgłos, o który mu chodziło. Dziennik „New York Times" ogłosił go „prorokiem roku". Kiedy jednak stało się jasne, że polityka znaczenia za bardzo przypomina bełkot New Age, prasa i Clintonowie odwrócili się od niego. W odpowiedzi Lerner wydał swoje dzieło życia zatytułowane *The Politics of Meaning: Restoring Hope und Possibility in an Age of Cynicism* (Polityka znaczenia: przywrócenie nadziei i możliwości w epoce cynizmu).

Lerner w tej książce trąca jedną faszystowską strunę po drugiej. Cytuje długą, znajomą litanię progresywistycznych poglądów i celów. Mówi o czynieniu słabych silniejszymi, o pozbyciu się bagażu przeszłości, o rezygnacji z dogmatów i dążeniu do wspólnoty narodowej, o odrzuceniu przesadnie racjonalnej ekspertyzy doktorów i uczonych. Rozwodzi się elokwentnie o różnych kryzysach – duchowych, ekologicznych, moralnych i społecznych – nękających zachodnie demokracje burżuazyjne, które muszą być uleczone przez politykę odkupienia. Mówi też o stworzeniu nowego mężczyzny i nowej kobiety, o odrzuceniu fałszywych podziałów na pracę i rodzinę, świat biznesu i rząd, to, co prywatne, i to, co publiczne. Przede wszystkim podkreśla, że jego nowa polityka znaczenia musi przeniknąć do każdego zakątka naszego życia, rozbijając wszelkie podziały. Moralność, polityka, ekonomia, etyka: żadna z tych rzeczy nie może być oddzielona od pozostałych. Musimy znajdować potwierdzenie naszej metafizyki w każdej międzyludzkiej interakcji i spotkaniu.

Tutaj Lerner nieświadomie powtarza przekonanie Hitlera, że „ekonomia jest sprawą wtórną" wobec rewolucji ducha. Dalej pisze następująco: „Gdyby inne były etyczne i duchowe więzi między ludźmi, inna byłaby też rzeczywistość gospodarcza. [...] I dlatego znaczenie nie może być stawiane poniżej ekonomii".[531] Nie trzeba mówić, że jest to pewne odejście od marksistowskiego materializmu jego młodości. Program Lernera oczywiście powtarzał wiele obietnic z platformy partii nazistowskiej z roku 1920, włącznie z równouprawnieniem, zapewnieniem opieki zdrowotnej, wysokimi podatkami dla niezasłużenie bogatych i ukróceniem wielkich korporacji.

A oto kilka odnośnych punktów z artykułu opublikowanego w piśmie „Tikkun" w roku 1993: „Departament Pracy ma nakazać, aby każdy zakład pracy zapewnił pracownikowi płatny urlop przeznaczony na dwanaście dwugodzinnych sesji antystresowych. [...] Departament Pracy ma sponsorować kampanie »Cześć Pracy« dla uczczenia osób za ich wkład we wspólne dobro. [...] Departament Pracy powinien stworzyć program szkolenia korpusu personelu związkowego, przedstawicieli pracowników i psychoterapeutów w odpowiednich umiejętnościach „w celu rozwijania nowego ducha współpracy, wzajemnej troski i poświęcenia w pracy".[532]

To są dokładnie sprawy, które pioniersko wprowadzali w życie Robert Ley i kierowany przez niego Niemiecki Front Pracy. Podobieństwo nie jest bynajmniej powierzchowne. Państwo narodowosocjalistyczne, podobnie jak państwa progresywistyczne i faszystowskie, miało za podstawę Heglowską koncepcję, że wolność można osiągnąć jedynie przez życie w harmonii z państwem, a zapewnienie tej harmonii jest obowiązkiem państwa. Osób prywatnych nie ma. (Słynna była wypowiedź Leya, że jedynymi prywatnymi osobami w nazistowskim państwie są ci, którzy śpią). W swojej książce o polityce znaczenia Lerner twierdzi, że „miejsce pracy musi zostać

na nowo przemyślane jako podstawowe miejsce rozwoju człowieka”. W innej książce (*Spirit Matters*, Duch się liczy) pisze (w jednym gargantuicznym zdaniu), że w myśl jego nowego „ruchu na rzecz emancypacyjnej duchowości” rząd musi zostać na nowo przemyślany jako mechanizm publiczny, za pośrednictwem którego wszyscy dowodzą, że troszczą się o wszystkich, a pracownicy administracji rządowej powinni być oceniani, awansując tylko wtedy, gdy będą sprawiać, że obywatele będą wychodzić z urzędu z duchem nadziei i pogłębionym poczuciem, że komuś zależy, demonstrując w ten sposób wrażliwość i troskliwość rządu”.

Ideałem Lernera jest izraelski kibuc, gdzie nawet skubanie kurcząt ma dla pracownika transcendentalne znaczenie. Lerner tęskni za tym, żeby odtworzyć poczucie wspólnoty odczuwane podczas zagrożenia, na przykład powodzi lub innej klęski żywiołowej. Wolność w przeświadczeniu Lernera jest wymyślona na nowo w deweyowskim sensie jako wspólnotowa „konstrukcja” społeczna. Naziści ujmowali to zwięźlej: „*Arbeit macht frei*” (Praca zapewnia wolność).[533]

Gdy obowiązuje polityka znaczenia, wszystkie instytucje społeczeństwa są przywiązane do państwa jak rózgi liktorskie do faszystowskiego ostrza. Każdy człowiek jest odpowiedzialny za utrzymywanie nie tylko własnej ideologicznej czystości, ale również czystości współobywateli. Lerner jest w gruncie rzeczy ideologiem liberalnego glajchszaltungu, ujednolicenia, nazistowskiej idei koordynowania funkcjonowania każdej instytucji w społeczeństwie. Ukazuje się to wyraźnie, kiedy Lerner przechodzi do omawiania, jak te reformy miałyby być wcielane w życie. Lerner pisze bowiem, że wszystkie agencje rządowe i prywatne przedsiębiorstwa powinny przedstawiać „doroczne sprawozdania poświęcone wpływowi etycznemu” tych instytucji i firm. W raportach dokonywano by oceny „ich wpływu na etyczne, duchowe i psychologiczne zdrowie naszego społeczeństwa oraz na osoby zatrudnione w tych instytucjach i współpracujące z nimi”.[534] Można wykazywać, że jego zamiar jest mniej groźny, ale czy to się naprawdę tak różni od biurokratyzacji ideologicznej lojalności, która wymagała od niemieckich firm i instytucji nieustannej dokumentacji wykazującej ich przekonywującą lojalność wobec ducha nowej epoki? Migający się pod względem duchowym Amerykanie żyjący w Stanach Zjednoczonych XXI wieku niewątpliwie uznaliby taki nadzór za faszystowski, choć byłby on z pewnością bardzo opiekuńczy i wychowawczy.

Lerner uważa, że jest obowiązkiem przedstawicieli każdego zawodu – oczywiście w uzgodnieniu z państwem – oceniać swój wkład w duchowe i psychiczne zdrowie *Volksgemeinschaft* – wspólnoty narodowej. „Podobna refleksja skłoniła, na przykład, niektórych prawników kojarzonych z perspektywą polityki znaczenia do zaproponowania drugiego etapu rozpraw sądowych, w których kontradyktoryjny system zostaje zawieszony, a nacisk jest przeniesiony na rozwiązanie problemów, które pierwszy proces odsłonił we wspólnocie”.[535] Może to zabrzmieć nieco głupio dla niektórych uszu i nie wydaje się zagrażać faszystowskim przewrotem, ale jeżeli kiedykolwiek faszyzm zapanuje w Ameryce, to nie przybędzie on w postaci bojówkarzy wyłamujących drzwi, ale prawników i pracowników instytucji publicznych mówiących „Reprezentuję władze i przyszedłem pomóc”.

Co dziwne, Lerner nie bardzo dostrzega podobieństwo swojej ideologii do faszyzmu. W pewnym miejscu ze zdziwieniem przyznaje, że kiedyś nie mógł „zrozumieć, dlaczego europejska lewica nie potrafiła osłabić popularności faszystów”. Faszystowska „nienawiść do innych opierała się na stopniu przekonania (zwykle błędnego), że ci poniżani inni rzeczywiście spowodowali rozkład ich społeczeństw wspólnego znaczenia i celu”. Lerner zauważa, że wielu byłych liberałów „zwróciło się ku prawicy, żeby odnaleźć tam poczucie wspólnoty i znaczenia, które liberałowie, socjaldemokraci i lewica zawsze uważali za nieistotne i z konieczności reakcyjne”.[536] Lerner pisze, że w latach dziewięćdziesiątych można obserwować coraz większe znaczenie „faszystowskich” prawicowych ruchów, którym może stawić czoło tylko jego polityka znaczenia.

Analiza Lernera zawodzi w kilku miejscach, głównie z powodu niezrozumienia przez niego prawdziwej natury faszyzmu.[537] Znacznie ważniejsze jednak jest to, że zasadniczo przyznaje, iż polityka znaczenia jest w gruncie rzeczy próbą przedstawienia **alternatywnego** rozwiązania wobec wyobrażonej **prawicowej** polityki znaczenia, którą on uważa za faszystowską. Lerner widzi

faszystowskiego stracha na wróble na prawicy i w reakcji czuje się uprawniony do tworzenia rzeczywistego – **miłego** – faszyzmu na lewicy. Opiera to wszystko na rozwlekłych religijnych dygresjach, twierdząc, że jego polityka to polityka na podobieństwo Boga, co również bezustannie powtarza w najnowszych książkach, *The Left Hand of God* (Lewa ręka Boga) i *Spirit Matters*.[538]

Obrońcy polityki znaczenia, na przykład Cornel West, Jonathan Kozol, a nawet tacy historycy należący do głównego nurtu, jak John Milton Cooper, odrzucają albo pomijają radykalny kult państwa w projekcie Lernera. Mimo to bronią swojej politycznej religii za pomocą utartych sloganów z repertuaru trzeciej drogi o odrzucaniu zarówno wolnorynkowej anarchii, jak i kultu państwa na rzecz nowej syntezy, w której zapewnia się zrównoważenie wspólnoty i jednostki. „Ujmując to w uproszczeniu – pisze Lerner – należy powiedzieć, że ani kapitalizm, ani socjalizm w formach, w których się rozwinęły w XX wieku, nie wydają mi się szczególnie pociągające". Pociąga go raczej pragmatyczne podejście „różniące się od typowego podziału na lewicę i prawicę, który musi zostać przekroczony, kiedy przygotowujemy politykę na dwudziesty pierwszy wiek".[539] Jakie to wszystko nieoryginalne. Francuski slogan faszystowski był znacznie bardziej chwytliwy: *Ni droit, ni gauche!* (Ani prawica, ani lewica!).

Jak widzieliśmy, pod względem ideologicznym faszystowski i progresywistyczny totalitaryzm nigdy nie sprowadzał się tylko do etatyzmu. Raczej uznawano, że państwo stanowi naturalny mózg organicznego organizmu politycznego. Etatyzm miał być drogą do kolektywizmu. Rząd miał być tylko miejscem, w którym duchowa wola ludu przekuwa się w czyn. (Marksiści lubili na oznaczenie tej jedności teorii i praktyki używać słowa „praksis"). Jedną z konsekwencji tego poglądu jest to, że instytucje i poszczególni ludzie, którzy trzymają się z daleka od państwa albo od progresywistycznego przypływu, są z natury podejrzani oraz piętnowani jako samoluby, darwiniści społeczni, konserwatyści albo – co ma wymowę najbardziej ironiczną – faszyści. Rolą państwa jest nie tyle podejmowanie wszystkich decyzji, ile pełnienie funkcji metronomu dla glajszlachtowania zapewniającego, że wszyscy decydenci polityczni są w pełni zgodni co do tego, w jakim kierunku społeczeństwo ma zmierzać. We właściwie zarządzanym społeczeństwie progresywistycznym państwo nie przejęłoby Uniwersytetu Harvarda ani sieci McDonald's, ale postarałoby się, żeby Harvardy i McDonaldy właściwie ustaliły swoje priorytety. Polityka znaczenia jest w ostatecznym rachunku doktryną teokratyczną, ponieważ próbuje odpowiedzieć na fundamentalne pytania istnienia, twierdzi, że można na nie odpowiedzieć tylko kolektywnie i upiera się, że to państwo ma te rozwiązania wprowadzać w życie.

To liberalnofaszystowskie myślenie ładnie zostało ujęte w rozmowie telewizyjnego producenta Normana Leara z konserwatywnym dziennikarzem Charlesem Krauthammerem w roku 1993. Krauthammer nazwał przemówienie Hillary Clinton na temat polityki znaczenia „skrzyżowaniem mowy prezydenta Cartera o fatalnej kondycji państwa z pracą studencką na temat Buddy", wygłoszone „z pewnością siebie i poczuciem wyższości charakterystycznym dla studenckiego manifestu".[540]

Norman Lear rzucił się do ataku w obronie Hillary. Twórca telewizyjnych programów *All in the Family* (Wszystko w rodzinie), *Maude, Sanford and Son* (Maude, Sanford i syn) oraz *Good Times* (Dobre czasy), Lear założył również organizację o nazwie People for the American Way (Ludzie w obronie amerykańskości), której nazwa, jak na ironię, pobrzmiewa jakby konserwatywnie. Tymczasem miała ona na celu zwalczanie prawicy religijnej, która miała rzekomo dążyć do obalenia osławionego „muru podziału" wznoszącego się między Kościołem a państwem. Jednakże pod koniec lat osiemdziesiątych można było zaobserwować pewną zmianę poglądów Leara. W roku 1989 w przemówieniu wygłoszonym podczas corocznej konferencji Amerykańskiej Akademii Religii w Anaheim w Kalifornii ubolewał nad „duchową pustką naszej kultury". „W kręgach zeświecczonych – mówił – niechęć do dyskutowania na temat wartości moralnych, nie mówiąc o religii, potrafi dochodzić do absurdalnej skrajności".[541]

To zrozumiałe, że Lear, zwolennik lewicowego libertarianizmu w kwestiach swobód obywatelskich, musiał powitać pojawienie się polityki znaczenia jak wynik działania Opatrzności.

Lear opublikował w „Washington Post” gniewną odpowiedź potępiającą cynizm Krauthammera, któremu przeciwstawia się znakomite podsumowanie przez Hillary Clinton kryzysu duchowego panującego w Ameryce. „Pięknoduchy naszej polityki, naszej kultury i mediów – wyrażał swój pogląd Lear – są zakłopotani, kiedy muszą na poważnie mówić o życiu duchowym”. „Nasza obsesja na punkcie liczb, tego, co da się określić ilościowo, tego, co bezpośrednie, kosztowała nas utratę związku z tym w nas, co dotyczy niewymiernego i wiecznego, naszej zdolności do odczuwania nabożnej trwogi, doświadczania cudu i tajemnicy; tego miejsca w nas, w którym akty wiary w procesie większym od nas spełniają się ostatecznie przy wypełnieniu się czasu”.[542]

Ten *cri de coeur* Leara jest prawie dosłownym powtórzeniem neoromantycznych zastrzeżeń wobec nowoczesnego społeczeństwa, jakie inspirowały faszystowskie ruchy w całej Europie i skłaniały amerykańskich progresywistów do poszukiwania „sprawy większej od nas samych”. Mógłby zostać życzliwie wysłuchany przez młodego Paula de Mana, Ezrę Pounda i niezliczonych innych faszystowskich teoretyków i ideologów, którzy potępiali zachodnią, a zwłaszcza żydowską, obsesję na punkcie liczb i technicznych abstrakcji. Jednak jeszcze bardziej wymowny jest fakt, że organizacja Leara (PAW) ustępuje chyba tylko ACLU, jeśli chodzi o narzucanie liberalnego zglajchszaltowania. W procesach sądowych, akcjach wyborczych, reklamach i konferencjach prasowych PAW występuje jako niestrudzony budowniczy muru między Kościołami a państwem, ograniczając przestrzeń publiczną dla tradycyjnej religii i budując fundament świeckiego, antykościoła liberalizmu.

Innymi słowy, Lear jest nieugiętym głosicielem uduchowienia polityki, ale w jego idealnym systemie politycznym nie ma miejsca dla tradycyjnej religii, bo to nie kościoły i synagogi, ale progresywistyczni kapłani mają uświęcać poszukiwanie znaczenia i duchowości. Niezależne źródła moralnych przekonań prowadzą do podziałów i muszą zostać podważone, odgrodzone murem, wykluczone z naszego „wspólnego projektu”. Znaczy to, że liberalne kościoły są w porządku, ponieważ, słusznie czy niesłusznie, uważa się, że podporządkowały doktrynę religijna doktrynie politycznej. John Dewey ujął to tak w swoim wystąpieniu na temat świeckiej religii państwowej: „Jeżeli nasze nominalnie religijne instytucje nauczą się, jak wykorzystywać swoje symbole i obrzędy do wyrażania i umacniania takiej wiary, to mogą się stać użytecznymi sojusznikami koncepcji życia, która współżyje z wiedzą i potrzebami społecznymi”. Hitler ujął to zwięźlej: „Przeciwko Kościołowi, który utożsamia się z państwem, [...] nie mam nic”.[543]

Konserwatyści lubią krytykować liberałów za ich wybiórcze chrześcijaństwo, za wybieranie z religijnego menu tego, co im się podoba, i odrzucanie tego, co trudne. Ale w grę wchodzi tu coś więcej niż hipokryzja. To, co wydaje się niekonsekwencją, jest w gruncie rzeczy konsekwentnym rozwijaniem gobelinu ewangelii społecznej, przedstawiającego religię bez Boga. Liberałowie dobierający sobie to, co im odpowiada, są nie tyle niespójnymi chrześcijanami, ile spójnymi progresywistami.

Wszystko w obrębie wioski...

Trudno znaleźć pełniejszy wyraz liberalnofaszystowskiego programu od koncepcji zawartych w bestselerowej książce Hillary Clinton *It Takes a Village*. Na jej stronach znaleźć można wszystkie charakterystyczne cechy faszystowskiego przedsięwzięcia. I znów okazuje się, że jej wypowiedzi nie świadczą o wrogości, nacjonalizmie, rasizmie czy agresji. Wprost przeciwnie, pełno tu wyrazów miłości i demokratycznego braterstwa. Ale to tylko odwraca uwagę od jej faszystowskiej istoty, jakby faszyzm nie był czymś więcej niż wrogość, agresywność albo rasizm i nacjonalizm. Faszystowska natura *It Takes a Village* ujawnia się w samym tytule, zaczerpniętym z mitycznej i mitologicznej wspólnotowej przeszłości. „Potrzeba całej wioski, żeby wychować dziecko” to podobno afrykańskie przysłowie, którego autorstwo ginie w pomroce dziejów – P.J. O'Rourke mówi, że w starożytnym afrykańskim królestwie Hallmarkcardia. Hillary Clinton

przywołuje ten przednowoczesny obraz jako źródło autorytetu, żeby przebudować nowoczesne społeczeństwo. Może nie będzie tak potężne jak germańskie symbole i wizje wykorzystywane przez narodowych socjalistów. Ale czy jest bardziej racjonalne? Mniej romantyczne? Co ważniejsze, metafora wioski używana jest dokładnie w taki sam sposób, w jaki używano symbolu rózg liktorskich (*fasces*). Różnica polega na tym, że rózgi były symbolem na czasy wojen, wioska – na czasy macierzyńskiej troski.[544]

Według Clinton wioski są cudownymi, opiekuńczymi, wychowawczymi miejscami, gdzie wszyscy troszczą się o wszystkich: od „wszystko w państwie, nic poza państwem" do „wszystko w wiosce, nic poza włoską". Wioska – pisze Hillary Clinton – „nie może już być definiowana jako miejsce na mapie, lista osób albo organizacji, ale w istocie pozostaje tym samym: siecią wartości i relacji, które nas podtrzymują i oddziałują na nasze życie".[545] W wiosce Hillary koncepcja społeczeństwa obywatelskiego zostaje groteskowo zdeformowana. Tradycyjnie społeczeństwo obywatelskie oznacza wolną i otwartą przestrzeń, w której, jak to nazwał Burke, „małe plutony" niezależnych związków obywateli zaspakajają swoje potrzeby i realizują zamierzenia bez interwencji albo przymusu państwa.

Ale to nie jest społeczeństwo obywatelskie Hillary. W książce pękającej w szwach od pochwał pod adresem wszystkich możliwych organizacji społecznych w Ameryce „społeczeństwo obywatelskie" wspomniane jest tylko raz. W pojedynczym akapicie autorka przedstawia to pojęcie jako zasadniczo inną definicję wioski. „Społeczeństwo obywatelskie – pisze – jest terminem używanym w naukach społecznych, żeby opisać to, jak współpracujemy dla osiągania wspólnych celów".[546] **Nie, nie, nie**. „Społeczeństwo obywatelskie" to termin używany w naukach społecznych, żeby opisać, jak różne grupy, jednostki i rodziny pracują w celu osiągnięcia własnych celów, dzięki czemu społeczeństwo może się stawać zdrową demokracją. Społeczeństwo obywatelskie jest złożonym ekosystemem niezależnych podmiotów – Kościołów, biznesów, wolontariatów i grup sąsiedzkich, związków zawodowych i innych – który pomaga regulować życie poza kontrolą państwa. Ligi kręglowe, jak wiemy dzięki Robertowi Putnamowi, socjologowi z Uniwersytetu Harvarda, są wzorcowymi instytucjami społeczeństwa obywatelskiego. Ligi kręglowe nie działają w celu osiągnięcia „wspólnego celu". Nieżyjący już Seymour Martin Lipset wykazał nawet, że chociaż wiele związków zawodowych jest skorumpowanych i nieliberalnych, to dopóki pozostają niezależne od państwa – a państwo niezależne od nich – dopóty wzbogacają demokrację.

Tymczasem w wiosce Hillary Clinton nie ma rynku, na którym wolni mężczyźni i kobiety oraz ich dobrowolne zrzeszenia współdziałają ze sobą na swoich warunkach, bez matczynej opieki państwa. Nie ma żadnych prywatnych transakcji, jest tylko jedna „wspólnota duchowa, która prowadzi nas do wyższego celu", pozostającego we władzy państwa.[547] Oto jest *Volksgemeinschaft* odrodzony jako zakład dziennej opieki ewangelii społecznej.

Przypomnijmy sobie obraz rózeg, wielu słabych witek związanych w pęk, żeby pokazać siłę wynikającą z liczby. Pierwszy rozdział książki pani Clinton otwiera zacytowane zdanie poety Verny'ego Kelly'ego: „Płatki śniegu są jedną z najdelikatniejszych rzeczy w przyrodzie, ale popatrzcie, co potrafią, kiedy trzymają się razem".[548] Uroczy obrazek, ale czyż sens nie jest taki sam? Raz po raz Hillary Clinton używa owiniętego w aksamit młotka, Żeby wbijać czytelnikowi do głowy, że poczucie wspólnoty, partnerstwo i jedność są jedynym ratunkiem dla Ameryki.

Miejscem, w którym teoria i praktyka łączą się w sposób najbardziej oczywisty, jest dziedzina polityki gospodarczej. Korporacje należały do najważniejszych rózeg w faszystowskiej wiązce i podobnie jest w wiosce Hillary Clinton. „Wykazujące troskę o wspólnotę przedsiębiorstwa już teraz wykonują wiele zadań, które powinny zyskiwać aprobatę obywateli, które rząd powinien propagować, w miarę możności ze zmianami legislacyjnymi, które uczynią je bardziej atrakcyjnymi". Te obejmują zwykłą listę życzeń od niestosowania zwolnień, do organizowanych przez przedsiębiorstwa żłobków. Raz po raz Clinton rozpromienia się, gdy znajdujemy się w miejscu, gdzie granice między korporacjami, uczelniami, Kościołami i rządem już są cienkie, mając nadzieję, że pod jej spojrzeniem zniknie nawet cień różnic między nimi. Firmy zbrojeniowe

współpracują z rządem, aby wytwarzać produkty wykorzystywane w czasie pokoju. Brawo. Fabryki samochodów współpracują z ekologami, aby produkować zielone samochody. Hurra. Taka „prospołeczna filozofia korporacyjna jest drogą do przyszłej zamożności i stabilizacji społecznej”.[549] Wszyscy będą bezpieczni i szczęśliwi, w przytulnym gniazdku wioski.

Wszystko to pięknie brzmi w teorii, ale kiedy Clinton spróbowała narzucić ten rodzaj wizji w swoim planie opieki zdrowotnej, ujawniło mniej przyjemne cechy. Przypomnijmy sobie odpowiedź Hillary, kiedy jej wykazano, że ten plan doprowadziłby do ruiny niezliczone drobne przedsiębiorstwa: „Nie mogę ocalić każdego niedokapitalizowanego przedsiębiorcy w Ameryce”.[550] Jeżeli nie mogą być częścią rozwiązania, to kogo obchodzą ich problemy?

Wieczny korporacjonizm

Sądzę, że nie można mówić o Hillary Clinton, nie wspominając jej planu reformy służby zdrowia. Zużyto na tę sprawę tyle atramentu, że nie ma co wdawać się w szczegóły próby przejęcia przez Hillary Clinton jednej siódmej amerykańskiej gospodarki. Ciekawsze może być spojrzenie na ten jej plan jako na nieuchronną konsekwencję dojścia do władzy liberałów. Na przykład kiedy Hillary zaproponowała swojemu staremu znajomemu – i współstypendyście Billa Rhodesa – Irze Magazinerowi, żeby stanął na czele grupy zadaniowej ds. reformy służby zdrowia, było jasne, że z maszynki wyjdzie ogromny, zarządzany przez państwo produkt korporacjonistyczny. Dlaczego? Bo tak wszystko robi Magaziner. Skorpion musi ukłuć swym żądłem żabę, a Magaziner musi proponować radykalne publiczno-prywatne partnerstwa, w których wszystkie ważne decyzje podejmować mają eksperci.

Magaziner, uznany przez redakcję tygodnika „Life” obok Hillary Clinton za młodzieżowego przywódcę, w roku 1969 był prawdziwym fenomenem na Uniwersytecie Browna (jak powiedział w wywiadzie dla „Newsweeka”, jego praca napisana na ostatnim roku to przedsięwzięcie podobne do zamierzenia Comte'a, ni mniej, ni więcej, tylko „poszukiwanie nowej metafizyki, nowa odpowiedź na pytanie »Dlaczego być dobrym?«”). Na trzecim roku przestudiował program uczelni i zaproponował alternatywny, bardziej „stosowny” i pragmatyczny, oddając studentom planowanie własnej edukacji. Stworzył własny kierunek, „studia o człowieku”, i przedstawił prawie pięćsetstronicową analizę. Najbardziej szokujące jest, że jego program studiów utrzymany w duchu Deweya (mało stopni, dużo samopoznania) został zaakceptowany. W przekonaniu tradycjonalistów przez ten program Uniwersytet Browna stał się pośmiewiskiem w gronie uczelni Ligi Bluszczowej – dla progresywistów uczelnia stała się klejnotem koronnym.[551]

W Oksfordzie Magaziner przewodził protestom przeciwko wojnie w Wietnamie i sprzymierzył się z oczarowaną nim Vanessą Redgrave. James Fallows, też stypendysta Rhodesa, przyszły autor przemówień Cartera oraz publicysta specjalizujący się w problematyce planowania przemysłowego, stwierdził, że zasadnicza różnica między Clinton a Magazinerem to „różnica między kimś, kto planuje ubieganie się o urzędy, a kimś, kto tego nie planuje”. Kiedy Magaziner przeniósł się do Bostonu, zorganizował w Brockton wspólnotę w duchu Alinsky'ego-Haydena. Potem pracował w Boston Consulting Group, gdzie opanował umiejętność instruowania firm, jak mają inwestować w technologie przyszłości. Wkrótce przyjmował zlecenia od rządów innych państw, którym udzielał podobnych rad. W 1977 roku pracował dla rządu szwedzkiego. Rezultat jego trudu nosił tytuł „Program ramowy szwedzkiej polityki przemysłowej”, w którym wzywał Szwecję do przebudowy gospodarki od góry do dołu poprzez likwidację starych branż i wielkie inwestycje w zwycięzców jutra. Nawet Szwedzi (!) odrzucili ten program, uznając, że jest naiwny i toporny. Firma Boston Consulting Group była tak zawstydzona, że usiłowała doprowadzić do tego, aby raport znikł.[552]

Kiedy wściekli szefowie przedsiębiorstwa powiedzieli mu, że nie będzie już świadczył usług doradczych dla rządów, Magaziner postanowił założyć własną firmę. W 1979 roku założył Telesis,

co znaczy, „inteligentnie planowany postęp". Słowo to dobrze ujmuje nastawienie opisywane w tej książce. W roku 1980 Magaziner opublikował książkę zatytułowaną *Japanese Industrial Policy* (Japońska polityka przemysłowa), a w roku 1982 ukazała się książka, której był współautorem, na temat polityki przemysłowej. Napisał ją z Robertem Reichem, kolegą Clintonów z roku w Yale Law School i współstypendystą Rhodesa. W roku 1984, w wieku lat trzydziestu sześciu, spłodził gigantyczny plan dla stanu Rhode Island, najambitniejszy plan organizacji przemysłu na poziomie stanu za ludzkiej pamięci. Nazwany Projekt Szklarnia plan przewidywał uczynienie ze stanu „szklarni" dla właściwych technologii, to znaczy technologii, które rząd mądrze wybrał, mimo że rynek ich nie chciał. Obywatele Rhode Island wielką przewagą głosów projekt odrzucili. Można by tak długo wyliczać, ale już wiadomo, o co chodzi.

Czy jest prawdopodobne, żeby Clintonowie, którzy znali Magazinera od dwudziestu lat, spodziewali się, że przedstawi coś innego od korporacjonistycznej strategii dla amerykańskiej służby zdrowia? Wszystkie te studia, narady, stosy instrukcji i lasy segregatorów: wszystko to były rekwizyty w przedstawieniu teatru *kabuki*, którego scenariusz był od dawna przygotowany.

Albo weźmy pod uwagę kolegę ze studiów na Yale, Roberta Reicha. Wspomnieliśmy już o jego poglądach na politykę przemysłową i trzecią drogę, warto jednak spojrzeć na Reicha jako na prawdziwego wyznawcę religijnego kultu państwa. W poprzednich rozdziałach nie ukrywałem pogardy dla psychologicznego teoretyzowania, ale jak można nie widzieć w Robercie Reichu chodzącego sorelowego mitu, człowieka orkiestry wygrywającego szlachetne kłamstwa dla propagowania sprawy?

W swoich wspomnieniach z okresu pracy w administracji Clintonów, zatytułowanych *Locked in the Cabinet* (Zamknięty w gabinecie), Reich opisuje świat niczym z rysunków satyrycznych Thomasa Nasta, w którym nieustannie walczył z chciwymi grubymi rybami, darwinistami społecznymi i Panem Monopolem. W jednej ze scen wspomina, jak to powiedział kilka mocnych słów pod adresem Narodowego Zrzeszenia Producentów. Opisuje pokój pełen dymu z cygar i wrogich mężczyzn, którzy głosy protestu i syki przeplatali przekleństwami. Jonathan Rauch, jeden z najlepszych waszyngtońskich dziennikarzy i intelektualistów, obejrzał nagrania na taśmach wideo. Audytorium było grzeczne, nawet życzliwe. Nikt nie palił, co więcej, jedną trzecią obecnych stanowiły kobiety. W innym epizodzie Reich mówił, że pewien kongresman podczas wrogiego przesłuchania podskakiwał, wykrzykując „Dowody! Dowody!". Rauch i tu sprawdził nagranie. Nie było żadnej „inkwizycji", lecz typowe „urzędowe, nużące przesłuchanie", a większość kwestii, które Reich przypisywał swojemu prześladowcy, została przez niego „sfabrykowana". W rzeczywistości obszerne fragmenty książki są czystą, choć znajomą fantazją. Na każdym kroku ludzie mówią rzeczy, które potwierdzają komiksową wersję rzeczywistości przyjmowaną przez Reicha. Kongresman Robert Michel z Izby Reprezentantów, były przewodniczący klubu republikanów z Izby Reprezentantów, rzekomo mówi do Reicha, że Newt Gingrich i spółka „mówią, jakby chodziło im o idee, o to, co jest dobre dla Ameryki. Ale niech się pan nie da nabrać. Oni chcą niszczyć. Spróbują zniszczyć wszystko, co im stanie na drodze, stosując wszelkie dostępne środki". Michel nigdy nic podobnego nie mówił.[553]

Kiedy w wywiadzie dla pisma „Slate" spytano go o tę różnicę, Reich odpowiedział: „Ta książka to wspomnienia, a nie dziennikarstwo śledcze". Kiedy Rauch spytał go o te niezwykłe relacje („Czy pan to po prostu wymyślił?"), Reich odpowiedział „To jest w moim notatniku". W końcu sięgnął po czysty relatywizm. „Polegam wyłącznie na moim postrzeganiu spraw".[554] Innymi słowy, jego obrona polega na tym, że on naprawdę tak widzi świat. Reich może więc dostosowywać rzeczywistość do swojej polityczno-moralnej narracji, jest zaprogramowany, żeby widzieć świat jako ciąg żywotnych kłamstw i użytecznych mitów, a jeżeli tak, to w jaki sposób Clintonowie mogli oczekiwać, że będzie postępować odmiennie? Nie jest tak, że Clintonowie nie znali poglądów swoich starych przyjaciół. Manifest polityczny Billa Clintona, *Putting People First* (Po pierwsze ludzie), był w istocie księgą pamiątkową dla uczczenia Magazinera i Reicha.

Ludzi w rodzaju Reicha wydaje się motywować niezłomne przekonanie, ze są po słusznej stronie historii. Ich celem jest pomóc ludziom i dlatego nie obowiązują ich żadne reguły. Co więcej, podobnie jak twierdzą, że są zwolennikami świeckiego społeczeństwa, zapewniają również, że są pragmatykami, nieskrępowanymi żadnymi dogmatami, co cechuje twardogłowych konserwatystów. Warunki ulegają zmianie, toteż muszą się również zmieniać nasze poglądy. Następująco to nastawienie ujął Jonathan Chait z „New Republic": „Niekonsekwencja jest po prostu naturalnym produktem ubocznym filozofii zakorzenionej w eksperymentatorstwie i odrzuceniu ideologicznej pewności". To przypomina nieco zdanie Mussoliniego, cytowane w tym samym piśmie przez Charlesa Bearda. „Faszyści – stwierdził Duce – są Cyganami włoskiej polityki; nie przywiązani do żadnych zasad, zmierzają niestrudzenie do jednego celu, przyszłego dobrobytu narodu włoskiego".[555]

Myślcie o dzieciach

Podobna pewność siebie nie może działać w próżni. Potrzebuje mechanizmu, żeby przekonywać albo zmuszać innych do podporządkowania swoich interesów dobru wyższemu od nich. Dobrze to wyjaśnił były redaktor naczelny „New Republic", George Soule, autor książki *A Planned Society* (*Społeczeństwo planowe*), przez którą spopularyzowany został zwrot „w czasie wojny planowaliśmy". Najważniejszym z „wniosków płynących z naszego wojennego planowania" jest to, że „musimy mieć cel, który potrafi wzbudzić powszechną lojalność i entuzjazm". W książce *It Takes a Village* Hillary Clinton zachwyca się tym, jak kryzysy znoszą ścianę między rządem a światem biznesu, ale wyraża żal, że korzyści społeczne wynikające z klęsk żywiołowych i wojen są czasowe. „Dlaczego trzeba kryzysu, żeby otworzyły się nasze oczy i serca na nasze wspólne człowieczeństwo?".[556] W odpowiedzi na ten problem liberałowie, szukając moralnego ekwiwalentu wojny, fabrykowali jeden „kryzys" po drugim, od wojny z rakiem, poprzez globalne ocieplenie, po niezliczone rzekome kryzysy gospodarcze. Krótki przegląd lewicowego dziennikarstwa ekonomicznego z ostatniego wieku mógłby zrodzić wrażenie, że najbardziej pomyślne pod względem gospodarczym stulecie w historii ludzkości było jednym długim kryzysem gospodarczym.

Wróćmy jednak do ulubionej przez Hillary Clinton sytuacji kryzysowej, czyli dzieci. Sam koncept „dzieci" został wymyślony, żeby obejść tradycyjne procesy polityczne. Wszystko wyjaśnia artykuł wstępny, w którym wyróżniono całą kategorię istot ludzkich, ze względu na które wszelkie naruszenia zasady ograniczonego rządu mogą być usprawiedliwione.

W społeczeństwach liberalnych zorganizowanych zgodnie z zasadami ujętymi w konstytucji na ogół za obywateli uważa się dorosłe osoby odpowiedzialne za swoje czyny. Ale dzieci są piętą achillesową każdego społeczeństwa (gdyby libertarianizm potrafił rozwiązać sprawę dzieci i polityki zagranicznej, byłby idealną filozofią polityczną). Robimy dla dzieci wyjątki. Stosujemy do nich inne zasady – całkiem słusznie – i nie pociągamy ich do odpowiedzialności za ich czyny. „Obrońcy dzieci" z ery progresywistycznej znakomicie wykorzystywali tę słabość. W naszych czasach odnowiła tę tradycję Marian Wright Edelman, założycielka Fundacji na rzecz Obrony Dzieci (CDF), długoletnia przyjaciółka i mentorka Hillary Clinton.

Edelman jest chyba czołową liberalną sekutnicą Ameryki. „Harper's Bazaar" nazwał ją „powszechną amerykańską matką". Jej życiorys jest pełen wzmianek o dyplomach i nagrodach, przypominając choinkę uginającą się pod zbyt wieloma ozdobami – Medal Wolności przyznawany przez prezydenta, stypendium MacArthura, nagroda Alberta Schweitzera za dokonania w dziedzinie działalności humanitarnej, nagroda im. Roberta F. Kennedy'ego (Robert F. Kennedy Lifetime Achievement Award) i tak dalej. Jej organizacja jest zasypywana wpłatami od potężnych korporacji usiłujących kupić tanią łaskę. Edelman zaczęła od pracy dla NAACP (organizacja na rzecz awansu kolorowych), a później zaczęła studiować prawo na Yale i zaczęła działać w Waszyngtonie jako

założycielka CDF. Jest niewątpliwie dobrą i bezinteresowną kobietą, głęboko religijną i wychowaną zgodnie z tradycjami ewangelii społecznej. Inspirujące cytaty z jej wystąpień są tak wszechobecne w przemysłach opieki społecznej, praw obywatelskich i feministycznych – „przemysły" to najlepsza nazwa dla tych organizacji podbudowujących ego, zapewniających powiązania, wysyłających elegancko ubranych akwizytorów – że można by z nich ułożyć liberalną *Małą czerwoną książeczkę* na wzór maoistowski dla pełnych zapału społeczników. „Służba to renta, którą wypłacamy żyjącym. To główny cel życia, a nie coś, co robimy w czasie wolnym" – twierdzi. „Czy ktoś powiedział, że masz prawo zrezygnować? – pyta. – Nikt nie ma prawa przekreślać naszych marzeń".

Choć niewielu zakwestionowałoby słuszność jej kampanii na rzecz równości czarnych i desegregacji rasowej, Edelman największy wpływ wywierała w dziedzinie opieki społecznej i tutaj jej pomysły na organizację amerykańskiego społeczeństwa i polityki okazały się spektakularnie błędne. Pod wieloma względami Edelman była zwykłą zwolenniczką liberalnego państwa opiekuńczego, przekonaną, że żadne świadczenia nie są zbyt duże. Jej wielki wynalazek polegał na obronie systemu opiekuńczego przed empiryczną krytyką – że to się nie sprawdza poprzez krycie się za obrazem biednych dzieci. „Kiedy mówisz o biednych albo czarnych ludziach, masz przed sobą coraz mniejsze audytorium – powiedziała. – Uznałam, że dzieci mogą bardzo skutecznie powiększyć grupę zwolenników zmian". I rzeczywiście, Edelman bardziej niż ktokolwiek inny jest odpowiedzialna za przesłodzoną wszechobecność „dzieci" w amerykańskiej retoryce politycznej.[557]

Problem w tym, że ta taktyka, znakomita pod względem strategicznym, w końcowym rezultacie uniemożliwiła przeprowadzenie odpowiedzialnej reformy. Przecież przyczyną „kurczenia się" „audytorium" chcącego słuchać nawoływań do rozszerzenia państwa opiekuńczego była coraz powszechniejsze i coraz bardziej niewątpliwe przekonanie, że to państwo opiekuńcze jest przyczyną uzależnienia czarnych kobiet i alienacji czarnych mężczyzn. W rezultacie obrońcy *status quo* nasilili ataki na oponentów. Stąd wykorzystywanie i nadużywanie „dzieci".

Tradycyjne zastrzeżenia co do opieki społecznej z powodu naruszania zasad konstytucyjnych i osłabiania cnót obywatelskich, które zyskały akceptację dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych, nagle przestały się liczyć. Edelman, Hillary Clinton i inni zmienili temat debaty, aby dotyczyła sprawy dzieci. Co z tego – uważał tak również Franklin D. Roosevelt – że „pomoc" w ostatecznym rachunku szkodzi dorosłym, pozbawiając ich inicjatywy? Skutki dla dorosłych są bez znaczenia. To dzieci korzystają z pomocy, a nie ich rodzice (chociaż to oni realizują czeki). Jedną z tragicznych konsekwencji tej strategii było to, że rząd wykorzystywał ubóstwo dzieci do niszczenia samodzielności i dumy czarnych mężczyzn z centrów miast. James Bovard pisze, że kiedy Kongres zatwierdził kupony żywnościowe, sto tysięcy wolontariuszy pracujących dla programu Wojna z Nędzą rozeszło się po miastach, żeby przekonywać biednych do korzystania z programu. Czasopismo Departamentu Rolnictwa donosiło, że wolontariusze często pokonywali dumę rodziców, mówiąc „To dla waszych dzieci". I dalej „dzięki intensywnej pracy propagandowej słabnie opór »zbyt dumnych«".[558]

Zapewne równie ważna była w tym dla liberałów wartość propagandowa. Ronald Reagan zaatakował „królowe zasiłków", w czym go wielu poparło, ale nikt nie odważyłby się zaatakować nieszczęsnych dzieci tych kobiet. Nagle krytyka państwa opiekuńczego robiła z człowieka „wroga dzieci". W ten sposób zrodziły się wszystkie liberalne slogany o równoważeniu budżetu przez jeżdżenie „na plecach dzieci". To wpisywało się gładko w psychologiczną propagandę, zgodnie z którą konserwatyści to po prostu źli ludzie i każde odejście od państwa opiekuńczego jest motywowane „nienawiścią". Dotyczyło to nawet Billa Clintona. Kiedy podpisał ustawę o reformie systemu świadczeń społecznych, Peter Edelman złożył rezygnację ze stanowiska zastępcy sekretarza zdrowia i spraw socjalnych, a Marian Edelman nazwała akcję Clintona „chwilą hańby". „Nigdy nie mylmy tego, co legalne, z tym, co słuszne – oświadczyła. – Wszystko, co Hitler robił w nazistowskich Niemczech, było legalne, ale to nie znaczy, że było słuszne". Fundusz CDF skrytykował posunięcie prezydenta jako akt „narodowego porzucenia dzieci", Ted Kennedy zaś

nazwał to „ustawowym wykorzystywaniem dzieci”. Anna Quindlen, komentatorka dziennika „New York Times”, uznała to za „politykę szkodnictwa”.[559]

Jednakże to CDF i inni pionierzy Wielkiego Społeczeństwa uprawiali prawdziwe szkodnictwo, ponieważ w ostatecznym rachunku ich państwo opiekuńcze – choć może i oparte na miłości, trosce i wrażliwości – przyniosło więcej szkód czarnej rodzinie, a zwłaszcza czarnym dzieciom, niż można by przypisać rasistowskiej obojętności. Dzisiaj czarne dziecko ma mniejszą szansę na wychowanie przez oboje rodziców niż w czasach niewolnictwa.

Chociaż Hillary Clinton mogła się nauczyć od Edelman, jak wykorzystywać dzieci w ideologicznej propagandzie, to niewątpliwie prześcignęła swoją nauczycielkę pod względem ambicji. Dla Clinton kwestia opieki społecznej stanowiła tylko jeden z frontów większej wojny. Problem dzieci nie dotyczył tylko mieszkańców biednych dzielnic. Dla Hillary dzieciństwo jest kryzysem i rząd musi śpieszyć mu na ratunek. W tej sprawie pozostawała niezwykle konsekwentna. W artykule zatytułowanym *Children Under the Law* (Dzieci w systemie prawnym), opublikowanym przez „Harvard Educational Review” w roku 1973, krytykowała stanowisko, że „sprawy dzieci nie wchodzą w zakres polityki” i demonstrowała pogardę dla pomysłu, że „rodziny są prywatnymi, niepolitycznymi jednostkami, które obejmują interesy dzieci”. Przeskoczmy dwadzieścia trzy lata, do jej przemówienia z 24 kwietnia 1996 roku podczas ogólnej konferencji metodystów: „Jako dorośli musimy zacząć myśleć i wierzyć, że **nie ma cudzych dzieci** [...] i dlatego nie możemy pozwolić, żeby dyskusje o dzieciach i rodzinie zostały opanowane przez tematy polityczne i ideologiczne”.[560]

Te dwa cytaty wydają się stać w sprzeczności, ale ich wymowa jest identyczna. Tyle tylko, że Hillary Clinton z roku 1996 jest politykiem, podczas gdy ta z roku 1973 jest radykalnym prawnikiem. Kiedy Clinton mówi, że nie wolno dopuścić do tego, aby polityka opanowała dyskusje o dzieciach, chodzi jej o to, że nie wolno debatować o tym, co zrobić w sprawie dzieci. Należy natomiast złamać niekontrolowaną tyranię prywatnego domu, jak to ujęta Charlotte Perkins Gilman, wzorcowa progresywistka.

Ta „wspaniała nadzieja”, jak to określiła Gilman, może zostać urzeczywistniona jedynie wówczas, gdy dzieci zostaną przedstawione jako klasa nieustannie będąca w sytuacji kryzysowej. Jak Marks twierdził, że proletariat jest w stanie ciągłej wojny, tak w narodzie śmiertelnie zagrożonym przez klasyczny faszyzm dzieci Hillary żyją w niewyobrażalnym zagrożeniu życia. Dlatego z aprobatą cytuje przekonanie, które wyraził Urie Bronfenbrenner, psycholog z Uniwersytetu Cornella: „Obecna sytuacja dzieci i rodzin w Stanach Zjednoczonych stanowi **największy wewnętrzny problem, jaki stanął przed naszym narodem od założenia tej republiki**. To niszczy nasze korzenie. W czasie, kiedy pomyślność naszych dzieci jest bezprecedensowo zagrożona, równowaga sił działa przeciwko nim“. Rząd musi uczynić wszystko, żeby „powstrzymać kryzys, dotykający nasze dzieci” – twierdzi Hillary Clinton. – „Przecież dzieci też są obywatelami”.[561]

Tutaj mamy wreszcie „moralny odpowiednik wojny”, wokół którego nowocześni liberałowie mogą się zjednoczyć, „mechanizm kryzysowy”, którego nikt nie może utożsamić z faszyzmem, ponieważ ostatnią rzeczą, z jaką się kojarzą „dzieci”, są bojówki. Nikt nie chce być uznany za wroga dzieci. „Kryzysowa sytuacja dzieci” nie wymagała definicji, bo nie miała granic. Nawet osoby bezdzietne powinny się troszczyć o dzieci innych ludzi. Lokale *fast food* wybrano na cel ataku, ponieważ dzieci tyją od oferowanych w nich dań, a decyzje co do żywienia nie powinny pozostawać w gestii rodziców. „Największym zagrożeniem dla amerykańskich dzieci – w stopniu o wiele większym od powszechnie tępionych produktów gigantycznych korporacji tytoniowych [Big Tobacco] – są ogromne porcje Big Food” – ostrzegano na łamach pisma „Nation”. Administracja Clintona i wspomagający ją aktywiści usprawiedliwiali politykę kontroli broni palnej zagrożeniem dla dzieci. „Nie będziemy dłużej milczeć, gdy lobby na rzecz broni sprzeciwia się postawieniu na pierwszym miejscu zdrowia i bezpieczeństwa naszych dzieci” – warknęła Hillary Clinton podczas debaty w Senacie w 2000 roku.[562]

Dzisiaj o tym się nie pamięta, ale w początkowym okresie administracja Clintona była przesycona takim myśleniem. Janet Reno, mianowana na najwyższego w państwie egzekutora prawa w ramach programu powierzania określonego odsetka stanowisk kobietom, uznała obronę dzieci za swoją najważniejszą misję. „Chciałabym wykorzystać prawo tego kraju, żeby zrobić wszystko, co możliwe, dając każdemu dziecku szansę, żeby wyrosły na silnych, zdrowych i samodzielnych obywateli tego państwa" – oświadczyła po nominacji. Nie należy zapominać, że Reno zwróciła na siebie ogólnokrajową uwagę jako płomienna oskarżycielka, która doprowadziła do wyroków skazujących w głośnych procesach o molestowanie dzieci. Wiele z nich, jak później wyszło na jaw, było sfałszowanych i zapalczywość Reno z perspektywy czasu nie wygląda najlepiej. Kiedy przybyła do Waszyngtonu jako pierwsza kobieta piastująca jedno z czterech najważniejszych stanowisk w rządzie, była zdecydowana wystąpić przede wszystkim w roli obrończyni dzieci, uruchamiając „narodowy program dla dzieci". „Amerykańskie dzieci, z których dwadzieścia procent żyje w nędzy, nie mają nikogo, kto by ich bronił" – powiedziała Reno.[563] Jej zapał jako obrończyni dzieci niewątpliwie odegrał rolę w katastrofalnym zarządzaniu atakiem na członków Gałęzi Dawidowej w Waco w Teksasie.

Ale Janet Reno była dokładnie takim prokuratorem generalnym, jakiego – przynajmniej w teorii – życzyła sobie autorka *It Takes a Village*. Hillary Clinton opisuje ogromną sieć aktywistów, adwokatów, organizacji, zrzeszeń, wścibskich wtrącających się w sprawy innych i biurokratów tworzących armię „obywateli o odpowiednich kompetencjach", których zadaniem jest obrona zainteresowania wioski naszymi dziećmi. „Muszę zwłaszcza pochwalić wizyty domowe – rozpływała się z zachwytu Reno. – Wioska potrzebuje heroldów i kontrolerów".[564] Zeskrobmy z tego pomysłu lukier i zajrzyjmy, co jest pod nim. Wyobraźmy sobie, powiedzmy, poprzedniego prokuratora generalnego, Johna Ashcrofta, który pochwala wizyty domowe. Wrzaski o „faszyzmie" byłyby ogłuszające.

Dla Hillary Clinton najważniejszym frontem „wojny" w obronie dziecka są pierwsze trzy lata życia. Te bezcenne chwile są tak ważne, że nie możemy pozostawić dzieci na łasce rodziców. Stąd niezbędny jest szeroki wachlarz programów, włączających rodziców w społeczną siatkę, która ulży ich obowiązkom. Jak zauważył Christopher Lasch wiele czasu przed napisaniem przez Clinton *It Takes a Village*, „ona wierzy w programy". „Mnożenie dziecięcych programów – Wczesny Start [Head Start], opieka dzienna, opieka prenatalna, opieka nad matką i dzieckiem, kliniki dziecięce, programy oceny poziomu nauczania w szkołach publicznych, programy szczepień, programy rozwoju dziecka – są dla niej nieomylnymi wskaźnikami postępu".[565]

Dwudziesty wiek przyniósł nam dwie wizje dystopijnej przyszłości, mianowicie *Nowy wspaniały świat* Aldousa Huxleya i *Rok 1984* Orwella. Przez wiele lat uważano, że powieść Orwella była bardziej proroczą wizją. Teraz już nie. Totalitaryzm *Roku 1984* był produktem wieku Stalina, Lenina, Hitlera i Mussoliniego, dyktatorów kontynentu z wielką tradycją absolutyzmu politycznego i religijnego. *Nowy wspaniały świat* jest dystopią mającą za podstawę przyszłość **amerykańską**, gdzie Henry Ford jest czczony jako mesjasz (akcja powieści toczy się w roku 632 po Fordzie), a kult młodości, którym Huxley tak pogardzał, określa oblicze społeczeństwa. W Państwie Światowym wszystko jest łatwe. Każdy jest szczęśliwy. W istocie wielkim problemem dla czytelnika jest odpowiedź na pytanie, co w tym złego.

Jest jeszcze druga ważna różnica między tymi dwiema dystopiami: *Rok 1984* jest męską wizją totalitaryzmu, a raczej jest to wizja męskiego totalitaryzmu. Totalitaryzm Huxleya to nie „bucior gniotący twarz człowieka – na zawsze", jak mówi *Rok 1984*. To uśmiechnięci, zadowoleni, poprawieni bioinżynierią ludzie, żujący hormonalną gumę i radośnie robiący to, co im się nakaże. Demokracja jest zamierzchłą modą, ponieważ życie staje się wiele łatwiejsze, kiedy państwo podejmuje za ciebie wszystkie decyzje. Krótko mówiąc, totalitaryzm Huxleya jest zasadniczo kobiecy. Orwell przedstawił ojcowską dystopię, gdzie państwo jest agresywne oraz despotyczne i utrzymuje autorytet przez nieustanny klimat wojny i produkcję dogodnych wrogów. U Huxleya mamy natomiast nędzę macierzyńskiej nadopiekuńczości. Człowiek nie jest tłamszony okrucieństwem, lecz troskliwością. Jednakże pomimo wszystkich dyskusji o męskości,

indywidualizmie a nawet „niańczącym państwie" wciąż nie mamy języka, który można by wykorzystać do zwalczania tego **miłego totalitaryzmu**, liberalnego faszyzmu.

Pamiętając o tym rozróżnieniu, zajrzyjmy jeszcze raz do *It Takes a Village*. Strona po stronie Clinton głosi, że właściwie wszystko jest problemem zdrowia. Rozwód powinien być uważany za „problem zdrowia publicznego", ponieważ powoduje stres u dzieci. Same podstawy rodzicielstwa są problemami zdrowotnymi, ponieważ to, „jak dzieci się trzyma, dotyka, karmi, jak się do nich mówi i na nie patrzy" określa, czy nasze mózgi mogą zostać „uprowadzone" przez nasze emocje, potencjalnie czyniąc nas morderczo agresywnymi. Hillary Clinton mówi, że Janet Reno wydała raport, według którego agresywne gangi i używanie broni palnej to skutek złego ukształtowania mózgu. Ludzie tacy przy najlżejszej prowokacji zostają „uprowadzeni przez emocje". Cytując lekarzy, zaprzyjaźnionych aktywistów, pracowników socjalnych i przypadkowych Amerykanów, Clinton w kolejnych rozdziałach przekonuje do ingerencji w życie dzieci dosłownie od urodzenia. Dzieci wymagają „łagodnego, bliskiego, stałego kontaktu", żeby zmniejszyć stres, który może „powodować uczucia bezradności, prowadzące później do problemów rozwojowych". Nawet zamożni rodzice wymagają pomocy, bo przecież wszyscy doznajemy stresu, „a wiemy, że dzieci wyczuwają stres".[566]

Można bez przesady powiedzieć, że państwo upoważnione do redukowania rodzicielskiego stresu to państwo z mandatem opisywanym przez Huxleya. A państwo z nadzwyczajnymi uprawnieniami logicznie musi się posuwać do skrajności. Dlatego Hillary Clinton przekonuje do rozpowszechniania szkolenia rodzicielskiego we wszystkich zakątkach życia publicznego. Oto jedna z jej propozycji: „Filmy wideo ze scenami opieki nad niemowlęciem – jak postępować, żeby mu się odbiło, a co zrobić, kiedy dostało mu się do oczu mydło, jak ulżyć dziecku z bólem ucha – mogłyby być wyświetlane na okrągło w poczekalniach przychodni i gabinetów, w klinikach, szpitalach, w wydziałach komunikacji lub w innych miejscach, gdzie ludzie zbierają się i muszą czekać".[567] Wyobraźmy sobie, że te pomysły zostały w pełni wdrożone w wydziale komunikacji, biurze paszportowym i w innych miejscach, „gdzie ludzie zbierają się i muszą czekać". Wielkie ekrany na lotnisku z poradami na temat karmienia piersią? Olbrzymi nocnik na meczu futbolowym? W którym momencie nowy wspaniały świat oszaleje do reszty?

Poza tym są jeszcze inspektorzy domowi, doradcy, nauczyciele, pracownicy socjalni. Clinton polega na swojej lojalnej armii ekspertów, która ma upowszechniać wiedzę na temat najdrobniejszych szczegółów opieki nad dzieckiem. Żaden drobiazg nie jest zbyt mały, żadne pouczenie zbyt protekcjonalne. „Kampania akcji opieki nad dzieckiem [...] zaleca, że »układanki i kredki mogą być używane przez młodszych przedszkolaków, ale są nieodpowiednie dla mniejszych dzieci«". Komisja ds. Bezpieczeństwa Produktów Konsumenckich – podpowiada pomocnie Clinton – stwierdziła, że „natryski dla niemowląt zapewniające im bezpieczeństwo są znakomitą pomocą dla nowych i przyszłych matek w zabezpieczeniu wszystkich pomieszczeń w domu".[568]

Rousseau chciał odbierać dzieci rodzicom, aby były wychowywane w państwowych internatach. Hillary Clinton nie posuwa się do tego, ale uważa, że kiedy dzieci osiągają wiek, w którym mogą iść do internatu, jest już za późno. Stąd jej entuzjazm dla żłobków i przedszkoli. Ten medal ma oczywiście dwie strony. Żłobki i przedszkola są również świętym Graalem dla feministek urodzonych w okresie wyżu demograficznego, które uważają, że to nie dzieci mają zostać uwolnione od rodziny, ale że to matki powinny zostać uwolnione od dzieci.

W celu przetrącenia grzbietu patriarchatowi feministki musiały polegać na sorelowych mitach, szlachetnych kłamstwach i mechanizmach kryzysowych, jeżeli chciały wygrywać swoje bitwy. Na przykład w roku 1998 prezydent Clinton zaproponował program opieki dziennej, na który przeznaczono by 22 miliardy dolarów, mający zaradzić temu, co Hillary nazywała „cichym kryzysem opieki dziennej". Użyła również zwrotu „cichy kryzys" w *It Takes a Village* na określenie ciężkiego losu dzieci w ogóle. Te kryzysy były ciche z tego samego powodu, z którego ciche są jednorożce – po prostu ich nie ma. Poza, oczywiście, sercami i umysłami progresywistycznych „reformatorów". Chociaż ośmioro na dziesięcioro dzieci znajdowało się pod opieką członków

rodziny, to tylko 13 procent pytanych rodziców stwierdzało, że znalezienie opiekunki dla dzieci jest „poważnym problemem". Krótko przed zwołaniem przez Biały Dom konferencji w sprawie opieki nad dzieckiem w celu stwarzania sytuacji kryzysowej, która miała położyć podwaliny pod plan Hillary, tylko co setny Amerykanin wymieniał opiekę nad dziećmi jako jeden z dwóch albo trzech najbardziej palących problemów, jakie rząd powinien rozwiązać. Także ankiety prowadzone wśród kobiet od roku 1974 pokazały, że coraz liczniejsza większość zamężnych kobiet chciałaby pozostać z dziećmi w domu.

Możliwe, że jednym z powodów, dla których kobiety wolałyby same wychowywać dzieci, jest intuicyjne przekonanie, że po uwzględnieniu wszystkich elementów ta dzienna opieka wcale nie jest dla dzieci taka dobra. Benjamin Spock wiedział to już w latach pięćdziesiątych, kiedy pisał, że żłobki nie służą dzieciom. Kiedy jednak wznawiał swój poradnik w latach dziewięćdziesiątych, usunął tę opinię, ulegając feministycznym naciskom. „Postąpiłem tchórzliwie – przyznaje. – Przywróciłem to w następnych wydaniach". Jeżeli, jak liberałowie często sugerują, tłumienie nauki w celach politycznych jest cechą faszyzmu, ta kampania mająca ukryć ciemną stronę ośrodków dziennej opieki jest niewątpliwie faszystowska z natury. Na przykład w roku 1991 dr Louise Silverstein pisała w periodyku „American Psychologist", że „psychologowie nie mogą się godzić na prowadzenie badań, które miałyby wykrywać negatywne skutki opieki nad dzieckiem różnej od matczynej". Tradycyjna koncepcja macierzyństwa to tylko „wyidealizowany mit" spreparowany przez patriarchat, żeby „gloryfikować macierzyństwo w celu zachęcenia białych kobiet z klasy średniej do rodzenia większej liczby dzieci".[569]

To nie znaczy, że Hillary Clinton i inni zalecają postępowanie w ich przekonaniu szkodliwe dla dzieci. To czyniłoby z nich czarne charaktery z komiksów. Raczej są w dobrej wierze przekonani, że społeczeństwo byłoby znacznie lepsze, gdybyśmy traktowali wszystkie dzieci jak nasze własne. Oni szczerze uważają, że kobiety nie mogą się „w pełni zrealizować jako istoty ludzkie", jeżeli nie postawią pracy przed macierzyństwem, jak to ujęła feministyczna filozof Linda Hirshman. W pewnym sensie Hirshman jest feministyczną wersją Michaela Lernera, który pracę uważa za „ośrodek" wszelkiego sensu. Wyczuwalna jest jej pogarda dla kobiet, które nie oddają się całkowicie pracy zawodowej.[570] I jak zauważają inne feministki, jeżeli kobiety są „osadzane" lub zawstydzane tym, że wybrały żłobek, to ten negatywny ładunek odbija się w postaci wypaczającego mózg stresu.

Niektórzy ubierają swój progresywistyczny utopizm w język pragmatyzmu. Sandra Scarr jest zapewne najczęściej cytowanym ekspertem od „różnej od matczynej" opieki w Ameryce i byłym prezesem Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego. „Niezależnie od tego, jak pożądany albo niepożądany może być ideał opieki zapewnianej wyłącznie przez matkę – pisze – jest to całkowicie nierealistyczne w świecie końca XX wieku". To brzmi całkiem rozsądnie, ale pod powierzchnią czai się coś większego. Musimy stworzyć „idealne dzieci nowego stulecia". Oho! Strzeżcie się inżynierów społecznych, którzy chcą „stworzyć" nowy typ człowieka. Te nowe dzieci będą się musiały nauczyć kochać każdego jak członka rodziny. „Ideałem staną się wielorakie przywiązania do innych osób. Wstydliwość i **przywiązanie wyłącznie do matek będą uznane za dysfunkcję**. Zostaną wypracowane terapie dla dzieci przywiązanych wyłącznie do matki".[571] Widzicie już Nowy Wspaniały Świat za horyzontem?

Do tych „terapii" (inne słowo na propagandę) należą książki mające wytworzyć dystans między matkami a dziećmi, takie jak *Mommy Go Away!* (Mamusiu, odejdź!) czy *Why Are You So Mean to Me?* (Dlaczego jesteś dla mnie taka nieprzyjemna?). W książce *It Takes a Village* Clinton podaje przykład przedszkola w Roslimdale w stanie Massachusetts, gdzie „dyrektorka Ellen Wolpert uczy dzieci takich gier, jak »Jedź na ryby« i »Koncentracja« talią kart ozdobionych obrazkami mężczyzn piastujących dzieci, kobiet wbijających gwoździe, staruszków na drabinie, siwowłosych kobiet na deskorolkach, które przeczą typowym, przewidywalnym wyobrażeniom".[572] Podobne rzeczy przenoszone są do progresywistycznych szkół podstawowych, gdzie często atakuje się normy związane z płcią, jak dokumentuje analiza Christiny Hoff Sommers zatytułowana *War Against Boys* (Wojna przeciwko chłopcom).

Krótko mówiąc, opieka dzienna nie jest zła dla dzieci. Złe są raczej tradycyjne burżuazyjne normy, na podstawie których oceniamy, co jest dla dzieci dobre. Sztuczka polega na powtórce w łagodnej postaci nazistowskich metod wykradania młodych rodzicom wychowującym je w tradycjach świadczących o zacofaniu. Naziści znakomicie zastąpili tradycyjne historie i baśnie opowieściami o męstwie aryjskich bohaterów, boskości Hitlera i tak dalej. Zadania matematyczne stały się mechanizmami indoktrynacji podprogowej – dzieci nadal uczyły się rachunków, ale obliczenia dotyczyły torów pocisków oraz ilości pożywienia marnowanej na osoby niepełnosprawne i inne mniejszości. Moralność chrześcijańską stopniowo wypierano ze szkół i nauczyciele mieli opierać nauczanie moralne na „świeckich" ideach patriotycznych. „Idea lojalności była zawsze bardzo ważna dla germańskiego *Volk*, podobnie jak jest teraz dla nas" – mówiono uczniom. Wpajano dzieciom lojalność wobec Hitlera i państwa, podczas gdy lojalność wobec rodziców podważano na tysiąc sposobów. Te dzieci miały zostać nowymi mężczyznami i nowymi kobietami dla nowej epoki.

Oczywiście treści polukrowanego liberalizmu, jakim karmi się dzisiaj dzieci, są bardzo odmienne. Ale są też wielce niepokojące podobieństwa. Dobrymi dziećmi będą te mniej przywiązane do rodziców, a bardziej przywiązane do „społeczności". Faszystowskie dążenie do stworzenia nowego człowieka, żyjącego w nowym totalitarnym społeczeństwie, w którym każdy odczuwa ciepły i serdeczny uścisk państwa, znów zaczyna się od kołyski.

Ostatni krok w stronę huxleyowskiej przyszłości ma dla Hillary Clinton charakter filozoficzny, może nawet metafizyczny. Jej poglądy na dzieci są bardziej uniwersalne, niż ona sobie chyba zdaje sprawę. „Nigdy nie spotkałam głupiego dziecka – mówi Clinton, zapewniając jednocześnie: – Niektórzy z najlepszych teologów, jakich spotkałam, byli pięciolatkami".[573] Niech ckliwy sentymentalizm nie zaślepia was na to, co tu zostało powiedziane. **Windując** intelektualny status dzieci, Hillary jednocześnie **obniża** autorytet i autonomię dorosłych. W świecie, gdzie dzieci są nie do odróżnienia od dorosłych, czym mogą się różnić dorośli od dzieci?

Liberalny kult dziecka jest pouczający przez podobieństwa do myśli faszystowskiej. Dzieci, podobnie jak młodzież, kierują się pasjami, uczuciami, emocją i wolą. To są również faszystowskie cnoty. Młodość reprezentuje chwałę „nierozumu". Uczucia te są z kolei głęboko powiązane z narcystycznym populizmem, który opiewa instynkty mas. „Chcę mieć to teraz i nie obchodzi mnie, że jest to wbrew zasadom" – to kwintesencja dziecięcych i populistycznych pożądań. Faszyzm jest formą populizmu, ponieważ wódz wykuwa ojcowską więź ze swoimi „dziećmi". Bez tej emocjonalnej więzi między wodzem a „ludem", *Führerem* a *Volk*, faszyzm byłby niemożliwy. „Jestem po waszej stronie", „Jestem jednym z was", „Jedziemy na jednym wozie", „Wiem, jak jest w twoim położeniu" – to typowe chwyty handlowe każdego faszystowskiego i populistycznego demagoga. Willie Stark następująco się zwraca do tłumu w powieści *Wszyscy ludzie króla*: „Moją siłą jest wasza wola. Wasze potrzeby są moją sprawiedliwością". Argumenty, fakty, **rozumowanie** – to sprawy drugorzędne. „Lud Nebraski żąda wolnej ceny srebra i ja jestem za uwolnieniem srebra – głosił Williams Jennings Bryan, ukochany populista Ameryki. – Argumentów poszukam później".[574]

Bill Clinton niestrudzenie opierał kampanię na swojej zdolności do „odczuwania naszego bólu". Niezliczeni obserwatorzy dziwili się jego zdolności do czerpania energii z tłumów, „żywienia" się nimi. Dziennikarze często nazywali go „empatą" ze względu na zdolność wyczucia, co dane audytorium chce usłyszeć. To wielka umiejętność u polityka, ale nie należy zapominać, że demagodzy są przede wszystkim mistrzowskimi politykami.

Oczywiście demagogia Clintona miała zdecydowanie żeński charakter. Obiecywał uściski, odczucie twojego bólu i obronę przed tymi niedobrymi chłopcami, to jest republikanami i „gniewnymi białymi mężczyznami". Jego ulubionym słowem było „bezpieczeństwo" – bezpieczeństwo gospodarcze, społeczne, bezpieczna ochrona przed globalizacja, przestępczością, utratą pracy, przed czymkolwiek. Był „pierwszym kobiecym prezydentem", jak to ujęła feministyczna powieściopisarka Mary Gordon. Kiedy mu zarzucano błąd lub porażkę,

automatycznie odpowiadał jak zapracowana samotna matka: „Miałem tyle spraw na głowie", jakby to wystarczało zamiast słuszności i skuteczności. Jego obrońcy zwykle twierdzili, że stoi ponad prawem, ponieważ – jak to ujęła Kathleen Sullivan z Uniwersytetu Stanforda – jest jedyną osobą, która pracuje dla nas dwadzieścia cztery godziny na dobę. Innymi słowy, prezydent Clinton nie był osobą – był państwem we wcieleniu macierzyńskim. Jasne, wielu Amerykanom podobała się jego polityka – albo tak im się wydawało, ponieważ gospodarka była w dobrym stanie – ale to **jego** lubili za jego dziwnie macierzyńską **troskę**. Ta polityczna estetyka nie była niczym nowym. Na temat popularności *Führera* Goebbels powiedział: „Cały naród go kocha, bo czuje się bezpieczny w jego rękach jak dziecko w ramionach matki".[575]

Czy Bill Clinton był faszystowskim prezydentem? Niewątpliwie wierzył w dominację emocji i wyższość swojego intelektu. Paplał szlachetne kłamstwa z lekkomyślną beztroską. Podziwiając Hueya Longa, dzielił z tym ludowym dyktatorem pogardę dla zasad i miał podobny dar głoszenia demagogicznych wezwań. Był zdeklarowanym trzeciodrogowcem – jeśli kiedykolwiek rzeczywiście taki był – i święcie wierzył w nową politykę Johna Kennedy'ego. Uważam jednak, że jeżeli mamy go nazwać faszystą, to tylko w tym sensie, że był gąbką wchłaniającą idee i emocje liberalizmu. Powiedzieć, że sam był faszystą, to uznać, że było w nim więcej ideologii i zasad, niż rzeczywiście w nim występowało. Był takim prezydentem, jakiego liberalny faszyzm może wystawić tylko w nijakich czasach. Ważniejsze jednak jest to, że jeżeli był faszystą, to dlatego, że takiego właśnie prezydenta my, Amerykanie, chcieliśmy. Pragnęliśmy empatii, bo uważaliśmy, że zasługujemy na kogoś, kto się o nas zatroszczy.

Hillary Clinton dobrze przerobiła tę lekcję, kiedy po raz pierwszy postanowiła ubiegać się o urząd. Pani Clinton nigdy nie będzie miała wrodzonego talentu politycznego swojego męża. Jest zbyt zimna, zbyt mózgowa. Nie pasuje do niej jego poklepywanie po plecach i bratanie się z ludźmi. Przełożyła więc polityczne instynkty Billa Clintona na wezwanie ideologiczne. W roku 2000, kiedy kandydowała do Senatu ze stanu Nowy Jork, do którego się wówczas przeniosła, jej kariera polityczna stanowiła problem, bo właściwie nie miała żadnej, przynajmniej w tym stanie. W tej sytuacji wymyśliła znakomite hasło i uzasadnienie swojej kampanii. Była tą kandydatką, której „bardziej leżą na sercu problemy nowojorczyków". Jej dyscyplina w trzymaniu się tego przesłania zdumiewała doświadczonych obserwatorów sceny politycznej. Problemy nie były problemem, jak mówiono w latach sześćdziesiątych. **Problemem było, kto jest bardziej zatroskany problemami**. „Uważam, że prawdziwym problemem powinno być to, kto bardziej troszczy się o dzieci Nowego Jorku" – stwierdziła w typowej wypowiedzi.[576]

Można spytać, odkąd to „troska" uchodzi za najważniejszą kwalifikacje? Przecież hydraulik może być bardziej zatroskany stanem twojej wątroby niż lekarz. Czy wobec tego zdrowy na umyśle człowiek powinien oddać się w ręce hydraulika? Czy banki udzielają kredytów tym, którzy najbardziej się **przejmują**, jak prowadzić dobre przedsiębiorstwo, czy wtedy, gdy prawdopodobieństwo spłaty jest najwyższe? Czy najwyższe oceny powinien dostawać student, któremu najbardziej zależy na tym, żeby otrzymywać piątki?

Wyjaśnienie tego wszystkiego jest proste: troska to coś, czego dzieci (i reszta z nas) oczekują od rodziców. Z punktu widzenia liberalnego faszysty dzieci są obywatelami, a obywatele są dziećmi (jeden z rozdziałów książki Hillary Clinton nosi tytuł „Dzieci też są obywatelami"), zatem przywódcy powinni zachowywać się jak rodzice. „Uważam, że moim obowiązkiem jest przewodzić i troszczyć się o kraj – powiedział Bill Clinton jako prezydent. – I myślę, że im jestem starszy, tym bardziej jest to rola osoby o ojcowskim autorytecie, nie starszego brata".[577]

Przy takim podejściu nawet wasze pieniądze nie są wasze, to **przydział**. Spytany, co ma przeciwko temu, że lokalne okręgi szkolne wydają pieniądze według swojego uznania, Bill Clinton odwarknął: „Bo to nie są ich pieniądze". W roku 1997 wyśmiewał wyborców z Wirginii, którzy chcieli mniejszych podatków, uważając ich za egoistów i strofując ich jak dzieci: „Pomyślcie tylko, jak czuliście się za każdym razem w życiu, kiedy kusiło was, żeby postąpić egoistycznie, ale nie zrobiliście tego. Następnego dnia czuliście się wspaniale". W roku 1999, kiedy rząd miał nadwyżkę

budżetową, wielu podatników uważało, że zwrot części ich pieniędzy byłby sensowną polityką. Spytany o to prezydent Clinton odpowiedział: „Moglibyśmy je wam oddać i mieć nadzieję, że dobrze je wydacie”. Senator Hillary Clinton była bardziej szczera. Mówiąc o redukcjach podatków wprowadzonych przez administrację George'a W. Busha, które oddały ludziom tę wypracowaną przez nich nadwyżkę, powiedziała, posługując się żargonem typowym dla ewangelii społecznej, że z tymi cięciami trzeba skończyć. „Będziemy wam zabierać ze względu na wspólne dobro”.[578]

Hillary nie jest *führerem* i jej koncepcja „wspólnego dobra” nie obejmuje czystości rasy ani obozów koncentracyjnych. Nie ulega jednak wątpliwości, że jej wizja czerpie z tych samych odwiecznych instynktów, każących narzucać społeczeństwu określony porządek, tworzyć wszechogarniającą społeczność, skończyć z ciągłymi swarami i otoczyć każdą jednostkę państwowym kokonem bezpieczeństwa. Wyznaje ona religię polityczną, odświeżoną ewangelię społeczną – społeczną mocno, ewangeliczną słabiej – wyrażaną w kojących tonach i wyczarowującą krzepiącą wizję współpracy i wspólnoty. Jednak pozostaje to wizją specyficzną i nie ma w niej miejsca dla tych, którzy nadal cierpią na „głupotę umysłów skrępowanych tradycją”, żeby użyć określenia Deweya. Może wioska zastąpiła „państwo”, a w niej z kolei serdeczny uścisk zastąpił pięść, ale nieproszony uścisk, z którego nie można się wyrwać, jest tylko milszą formą tyranii.

ROZDZIAŁ 10

New Age: teraz wszyscy jesteśmy faszystami

Uważa się powszechnie, że narodowy socjalizm reprezentuje wyłącznie toporność i terror, Ale to nieprawda. Narodowy socjalizm – faszyzm, mówiąc ogólniej – reprezentuje również pewien ideał, czy raczej ideały, które utrzymują się do dziś pod innymi sztandarami: ideał życia jako sztuki, kult piękna, fetyszyzm odwagi, usunięcie alienacji w ekstatycznym odczuwaniu przynależności do społeczności, odrzucanie znaczenia intelektu, rodzina człowiecza (pod rodzicielska opieką przywódców). Te ideały są żywe i poruszają wielu ludzi [...] ponieważ ich treść to romantyczny ideał, do którego wielu nadal jest przywiązanych, który jest wyrażany za pomocą tak różnych sposobów sprzeciwu kulturowego i propagowania nowych form społeczności, jak kultura młodzieżowa/rockowa, terapia bólu pierwotnego, antypsychiatria [...] oraz wiara w zjawiska okultystyczne.

Susan Sontag, *Fascinating Fascism*

Liberałowie nieustannie ubolewają, że konserwatyści próbują narzucić reszcie kraju własną wizję kulturową. Jednocześnie twierdzą, że oni sami troszczą się wyłącznie o „prawdziwe" kwestie klas i ekonomii. Thomas Frank, autor bestsellera *What's the Matter With Kansas?* (O co chodzi z Kansas?), kieruje całą szkołą liberałów, którzy utrzymują, że głosujący na Partię Republikańską wyborcy z klasy średniej zostali oszukani przez republikańskich strategów wciskających im wyprodukowane kwestie „wartości". Argumentacja Franka sprowadza się do starej marksistowskiej teorii o fałszywej świadomości, w której zakłada się, że gdy ktoś nie zgadza się z lewicą w sprawie charakteru politycznego i gospodarczego interesu własnego, dzieje się tak wskutek prania mózgu albo demencji.

Ale czy liberałowie i lewicowcy istotnie są oddani sprawie sprawiedliwości ekonomicznej, czy raczej kwestiom wywołującym podziały, takimi jak małżeństwa homoseksualne czy aborcja w trakcie przedwczesnego porodu? Gdy ktoś się przyjrzy sprawie uważnie, dostrzeże, że liberałowie sprzeciwiają się „kwestii wartości" w polityce tylko wówczas, gdy ujawniają się wtedy słabości liberałów. Gdy liberałowie są w defensywie, stosują marksistowskie lub – jeśli ktoś woli – socjalistyczne argumenty w celu delegitymizacji programu kulturowego opozycji. Gdy konserwatyści mają przewagę w jakiejś sprawie kulturowej, liberalizm zajmuje się „rozwiązywaniem problemów" przeciętnego Johna, skupia się na wypłatach i służbie zdrowia. Gdy jest w ofensywie, liberalizm walczy o obowiązkowe liczby przedstawicieli mniejszości rasowych, włączenie kultury homoseksualnej do głównego nurtu, usuwanie chrześcijaństwa z przestrzeni publicznej oraz o bardzo wiele jednoznacznie kulturowych zamierzeń.

Ta taktyka parowania za pomocą socjalistycznych argumentów i forsowania kwestii kulturowych pod pewnymi interesującymi względami przypomina manewry nazistów. Otóż gdy naziści prowadzili debaty z tradycjonalistami, monarchistami i nielicznymi pozostałymi w Niemczech klasycznymi liberałami, wypowiadali się jak regularni socjaliści ubolewający nad tym, że „wielki kapitał" ciemięży maluczkich. Hitler zarzucał innym partiom, że wywołują w Niemczech rozłamy wzdłuż linii podziału na sekty i klasy, gdy on jak laser chciał się skupić na gospodarce. Dopiero, gdy narodowy socjalizm zwyciężył, naziści odrzucili argumenty gospodarcze, by narzucać nowy porządek kulturowy.

Nastawienie cechujące się skupianiem na gospodarce przy obronie i na kulturze przy ataku pozostało ważnym elementem taktyki Hitlera nawet po umocnieniu władzy. Na przykład w 1938 roku, kiedy się zorientował, że kulturowy program nazistów zaczyna budzić niechęć znacznej części społeczeństwa, tłumaczył w pewnej mowie: „Narodowy socjalizm to doktryna nowoczesna i oparta na rzeczywistości, oparta na najściślejszej wiedzy naukowej i jej wyrazie duchowym. Ponieważ otworzyliśmy serce narodu na tę doktrynę i obecnie nadal to robimy, nie zamierzamy narodowi wpajać jakiegoś mistycyzmu, który leży poza zakresem zamiarów i celów naszej doktryny". Takie sformułowania powinny brzmieć znajomo liberałom, którzy lubią się nazywać członkami „społeczności opartej na rzeczywistości".[579]

Nie można przeczyć temu, że liberalizm z wielkim zaangażowaniem chce tworzyć i narzucać kulturę. Nie ma cienia wątpliwości co do tego, że liberałowie przede wszystkim troszczą się o kulturę. Na przykład w latach dziewięćdziesiątych liberalizm rzucił się w proces tworzenia kultury – od propagowanej przez Hillary Clinton polityki zaangażowania, poprzez normowanie sportów uprawianych w college'ach pod względem płci, po homoseksualistów w siłach zbrojnych czy wojnę z paleniem. W 2007 roku – by wziąć dziwaczny przykład z ostatniego okresu – progresywistyczny ośrodek opieki nad dzieckiem w Seattle wydał zakaz korzystania z klocków Lego, ponieważ „dzieci rozwijały koncepcje dotyczące własności i władzy w społeczeństwie na podstawie widocznych w nich założeń, mianowicie założeń odzwierciedlających zasady organizacji klasowego i kapitalistycznego społeczeństwa – społeczeństwa, które w przekonaniu naszym, nauczycieli, jest niesprawiedliwe i oparte na ucisku". Nauczyciele opracowali zabawy, które odzwierciedlały wyższe pod względem moralnym zasady „wspólnoty".[580]

Sprawa przedstawia się prosto. W wojnach kulturowych liberałowie są napastnikami. Nieco zbija z tropu to, czemu miałoby się to wydawać sprawą kontrowersyjną. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tradycjonaliści bronią swojego sposobu na życie przeciwko tzw. siłom postępu. Gdy grupy feministek ostatecznie przekonały sądy do zmuszenia uczelni Virginia Military Institute do przyjmowania kobiet, to kto przypuszczał atak? Czyje wartości wtedy narzucano? Działacze której strony chełpili się tym, że są „czynnikiem sprawczym zmian"? Nie zamierzam tu twierdzić, że siły dążące do zmian zawsze są złe. Daleko mi do tego. Chodzi mi o to, że lewica postępuje nieuczciwie, gdy udaje, że nie zamierza narzucać innym jakichś wartości.

Omawialiśmy wyżej, jak w latach pięćdziesiątych XX wieku lewica uaktualniała tradycyjną marksistowską krytykę kapitalizmu, twierdząc, że reakcja faszystowska w gruncie rzeczy była psychologiczną reakcją na postęp. Kiedyś lewica przekonywała, że faszyzm był reakcją **polityczną** gospodarczych **klas** panujących przeciwko rewolucyjnie nastawionym robotnikom, teraz zaś faszyzm ukazuje się jako jedną z licznych „fobii" czy po prostu przejaw „wściekłości" wywoływanej przez wzrost znaczenia pewnych grup społecznych i spraw. Te wybuchy wściekłości i fobie cechują niemal wyłącznie białych heteroseksualnych mężczyzn (i kochające ich kobiety), potomków tych złych „martwych białych europejskich mężczyzn" (*dead white European males*). W latach trzydziestych XX wieku lewica twierdziła, że faszyści chcą chronić posiadane fabryki i tytuły szlacheckie; teraz się nam mówi, że faszyści – znani także pod określeniem „gniewnych białych mężczyzn" (*angry white males*) – chcą utrzymać swoje niesprawiedliwe „przywileje". Homofobia, rasizm, natywizm oraz – w miłym zrównaniu moralnym – zarówno islamski ekstremizm, jak i islamofobia są instynktowną faszystowską reakcją struktury władzy tworzonej przez białych mężczyzn na wstrząsy wywoływane przez nowe zjawiska.

Zapożyczając zwrot od Carla von Clausewitza, można powiedzieć, że takie argumenty stanowią kontynuację wojny za pomocą środków kulturowych. Najlepiej ta logika istotnie ujawnia się w kulturze popularnej

Weźmy na przykład film *Miasteczko Pleasantville*. W fikcyjnym miasteczku zastygłym w zdominowanych przez białych mężczyzn, cechujących się uciskiem, latach pięćdziesiątych dochodzi do wstrząsu wskutek pojawienia się dwojga młodych ludzi z lat dziewięćdziesiątych, wyzwolonych pod względem seksualnym i kochających wolność. Ponownie mamy do czynienia z

latami sześćdziesiątymi. Przedstawiciele władz miejskich nie radzą sobie z tym zagrożeniem. Ich wyzwolone żony już nie czekają na nich z martini i kapciami późnym popołudniem. W reakcji na te zmiany biała męska elita – kieruje nią naturalnie Izba Handlowa – staje się coraz bardziej faszystowska. Jednym z bystrzejszych konceptów filmu jest połączenie tradycjonalistów Pleasantville ukazywanych w postaci czarno-białej z postaciami w pełni ludzkimi, które są w żywych barwach. Monochromatyczni faszyści zaczynają traktować „kolorowych" jak obywateli drugiego sortu.

Podobny motyw można znaleźć w zabawnie faszystowskim *Upadku* (*Falling Down*), w którym odtwarzany przez Michaela Douglasa pochodzący z klasy średniej biały inżynier z zakładów zbrojeniowych urządza rzeź w Los Angeles po utracie pracy. W filmie *American Beauty* zdezorientowany w sprawie seksu sąsiad Lestera Burnhama odtwarzanego przez Kevina Spaceya, były żołnierz piechoty morskiej, zostaje mordercą, gdyż nie może się pogodzić z myślą, że jego syn może być homoseksualistą. Nie dziwi, że Hollywood nie przestaje produkować takich gniotów po recyklingu, zdumiewa natomiast, że gdy tylko to zrobi, wielu krytyków chwali te płody, uważając je za nowatorskie i przełomowe interpretacje, choć to tylko odgrzewane banały.

Dążenia do ukazywania przeciwników zmian jako faszystów mają jednak także ważniejszy aspekt. Chodzi mianowicie o to, aby z samej zmiany uczynić porządek przyrody, wykpiwając samo pojęcie porządku przyrody. Założeniem leżącym u podstaw koncepcji ujawniających się w tych filmach jest przekonanie, że role społeczne i płciowe nie są ustalone na trwałe, że tradycja, religia i prawo naturalne nie mają władzy nad jednostkową wolą mocy, a dzień, w którym popełniliśmy błąd polegający na myśleniu inaczej, był dniem tragicznego w skutkach zwrotu w złą stronę.

Kulturkampf wtedy i teraz

Autorstwo zwrotu „wojna kulturowa" można przypisywać dwóm bardzo odmiennym postaciom. Bliżej naszych czasów działał marksista Antonio Gramsci, który przekonywał, że stary porządek można obalić wyłącznie przez „długi marsz" poprzez instytucje kulturowe tworzone przez elity. Tę strategię obrali buntownicy z Nowej Lewicy działającej w latach sześćdziesiątych XX wieku, którzy błyskawicznie opanowali wydziały anglistyki, redakcje pism, studia filmowe itd. Źródłem wcześniejszym i bardziej powiązanym z naszym tematem był jednak *kulturkampf* Ottona von Bismarcka.

Wśród wykształconych liberałów powszechnie się używa określenia *kulturkampf* w odniesieniu do rzekomych dążeń prawicy do narzucania własnych wartości reszcie kraju przez demonizowanie liberałów. Germański wydźwięk ma naturalnie przywodzić na myśl hitleryzm. Oryginalny *kulturkampf* jednak – przeciwnie – nie był gnębieniem liberalnych opozycjonistów czy zagrożonych mniejszości przez prawicowców, lecz atakiem **lewicy** na siły tradycjonalizmu i konserwatyzmu. Na pozór *kulturkampf* był wojną toczoną z niemieckimi katolikami, po raz pierwszy wchłoniętymi przez powiększające się państwo pruskie. Bismarck się obawiał, że katolicy nie będą dostatecznie lojalni wobec Niemiec pod przewodnictwem Prus, a z powodów jeszcze bardziej pragmatycznych nie chciał dopuścić do tego, aby powstała partia polityczna niemieckich katolików.

Motywacja Bismarcka wynikała z *realpolitik* i politycznej triangulacji, pod którą rozumie się wykraczanie ponad podział na prawicę i lewicę. To progresywiści zasiadający w Reichstagu byli autentycznymi wierzącymi. Niemieccy progresywiści uważali, że katolicyzm jest obcy, przestarzały, zacofany i nieniemiecki. Przeszkadzał dążeniem narodowościowym, światopoglądowi naukowemu i postępowi. Samo słowo *kulturkampf* zostało ukute przez wpływowego naukowca Rudolfa Virchowa, znanego liberała, który żywił nadzieję, że *kulturkampf* zapewni wyzwolenie ludzi z oków chrześcijańskich przesądów i pożeni ich z zasadami progresywistycznymi. Jednakże

za tym impulsem kryło się pragnienie narzucenia nowej religii, progresywistycznej religii państwa *Volk*.

Pierwsze ustawy o kulturkampfie, przyjęte z wielkimi fanfarami w 1873 roku, opiewano jako ogromny krok w progresywistycznym procesie rozdzielania Kościoła od państwa. Emil Friedberg, liberalny twórca antykatolickich tzw. ustaw majowych, następująco tłumaczył zobowiązania państwa wobec Kościoła katolickiego: „tłumić go, niszczyć i siłą zgnieść". W szale neojakobinizmu liberałowie nękali i zamykali szkoły katolickie. Obowiązkowe śluby cywilne osłabiały potęgę i wpływy Kościoła. Państwo twierdziło, że ma prawo mianować przedstawicieli władz kościelnych, przyznawać im awanse, dyscyplinować ich, a nawet deportować. Większość niemieckich biskupów katolickich albo została uwięziona, albo pozbawiona stanowisk, albo wypędzona. Z czasem doszło do samoistnego wyczerpania kulturkampfu, ale zakorzeniło się przekonanie, że tradycyjne chrześcijaństwo stwarza zagrożenie dla rozwoju państwa.[581]

Jak można było przewidzieć, w latach siedemdziesiątych XIX wieku ten kwas wsączył się w naród i zmienił w antysemityzm. Co do słowa „antysemityzm", ukuł je w 1879 roku ateista i radykalny lewicowiec Wilhelm Marr, który go użył w traktacie *Der Weg zum Siege des Germanenthums über das Judenthum* (Droga do zwycięstwa germańskości nad żydostwem). Przez propagandowe działania Marra nienawiść żywiona do Żydów zmieniła się z pasji teologicznej we „współczesny" antysemityzm na tle rasowym i kulturowym (Marr na przykład nienawidził zasymilowanych Żydów bardziej niż ortodoksyjnych). W przeciwieństwie do *Judenhass* o podłożu bardziej teologicznym „antysemityzm" miał zapewnić osadzenie nienawiści do Żydów w progresywistycznym żargonie naukowej eugeniki.

Dochodząc do władzy, Hitler – pod wieloma względami spadkobierca progresywistów z czasów Bismarcka – nie mógł przypuścić totalnego ataku na chrześcijaństwo. Przecież narodowy socjalizm miał zjednoczyć wszystkich Niemców. „Rzucanie się do ataku na Kościoły nie jest teraz dogodne. Najlepiej pozwolić chrześcijaństwu umrzeć śmiercią naturalną – tłumaczył Hitler współpracownikom. – Powolna śmierć ma w sobie coś kojącego. Dogmaty chrześcijaństwa się kruszą przez postępy nauki. Religia będzie musiała iść na coraz większe ustępstwa. Stopniowo mity się rozpadają. Zostaje tylko udowodnić, że w przyrodzie nie ma granicy między tym, co organiczne, a tym, co nieorganiczne".[582]

W 1937 roku działająca na uchodźstwie w Pradze niemiecka Partia Socjaldemokratyczna (SPD) otrzymywała informacje od szpiega, który donosił z Niemiec o postępach nazistów. Pracujący potajemnie informator zapewniał bardzo ważne informacje o tym, do czego naprawdę dążyli naziści. Narodowosocjalistyczna Partia Niemieckich Robotników tworzyła nową religię, kontrkościół, W którym znaleźli się i kapłani, i dogmaty, i święta, i rytuały i ryty. Informator SPD użył znakomitej metafory, by ukazać wysiłki nazistów. Kontrkościół budowano jak nowy most kolejowy. A gdy się buduje nowy most, nie można tak po prostu rozebrać starego, bo przecież uniemożliwiono by ruch i wymianę towarów. Społeczeństwo by się na to nie zgodziło. Trzeba więc powoli, ale metodycznie wymieniać elementy mostu. Wykręcić starą śrubę i użyć nowej. Po cichu wymienić stare belki na nowe. Wreszcie pewnego dnia uzyska się całkowicie odmienną konstrukcję, przy czym prawie nikt nie zauważy wymiany.

Niczym inżynierowie pracujący nad tym wykorzystanym w porównaniu mostem kolejowym naziści niezmordowanie wymieniali śruby i nakrętki tradycyjnego chrześcijaństwa, aby wprowadzać nową religię polityczną. Najsprytniejsza koncepcja polegała na tym, aby przywłaszczyć sobie chrześcijaństwo poprzez *glajchszaltung*, a jednocześnie kurczyć rolę tradycyjnej religii w społeczeństwie. W tym celu Hitler realizował program działania iście bismarckowy. Niemiecki historyk Götz Aly opisuje, jak *Führer* kupował popularność zakrojonymi na wielką skalę programami świadczeń społecznych i przywilejami dla klasy średniej. Często to opłacano z wykorzystaniem zrabowanego żydowskiego mienia i poprzez wysokie stawki opodatkowania zamożnych. Hitler zabronił prowadzenia działalności charytatywnej przez organizacje religijne, ograniczając w ten sposób rolę Kościołów jako przeciwwagi dla państwa.

Duchowni zaczęli otrzymywać pensje z budżetu państwa, a przez to podlegali władzy państwowej. „Proboszczów zmusi się do tego, aby sami sobie groby wykopali – szydził Hitler. – Zdradzą dla nas swego Boga. Zdradzą wszystko, aby zachować swoje nędzne posadki i przychody”.[583]

Idąc za przykładem jakobinów, naziści wprowadzili nowy kalendarz zamiast tradycyjnego, chrześcijańskiego. Nowy rok zaczynał się 30 stycznia, Dniem Przejęcia Władzy.[584] Co roku w listopadzie na ulicach centrum Monachium organizowano nazistowskie misterium pasyjne, w którym ukazywano pucz w hali piwnej. Męczeństwo Horsta Wessela i jego „dawnych bojowników” zastąpiło Jezusa i apostołów. Od nowa pisano sztuki teatralne i oficjalne historie, aby gloryfikować pogańskich Aryjczyków mężnie walczących z obcymi armiami przynoszącymi chrześcijaństwo. Antycypując pewne feministyczne pseudohistorie, przedstawiano czarownice jako męczennice, które padły ofiarą złaknionych krwi chrześcijańskich ciemiężców.

W czasach progresywistów chrześcijańskiego Boga przekształcono w Boga niższych cen żywności. W czasach nazistów chrześcijańskiego Boga przekształcono w aryjskiego oficera SS, którego prawą ręką był Hitler. Pastorzy należący do ruchu Niemieckich Chrześcijan nauczali, że „jak Jezus wyzwolił ludzkość od grzechu i piekła, tak Hitler ratuje niemiecki *Volk* od zgnilizny”. W kwietniu 1933 roku Nazistowski Kongres Niemieckich Chrześcijan ogłosił, że wszystkie Kościoły mają głosić następującą naukę: „Bóg stworzył mnie Niemcem. Niemieckość to dar od Boga. Bóg chce, abym walczył za Niemcy. Udział w działaniach wojennych absolutnie nie jest niezgodny z nakazami chrześcijańskiego sumienia, lecz świadczy o posłuszeństwu Bogu”.[585]

Gdy grupa protestanckich biskupów spotkała się z Führerem, aby wyrazić ubolewanie, wściekły Hitler stracił panowanie nad sobą. „Chrześcijaństwo zniknie w Niemczech tak, jak znikło w Rosji. [...] Rasa germańska tysiące lat istniała bez chrześcijaństwa i będzie tak dalej, gdy chrześcijaństwo zniknie. [...] Musimy się przyzwyczaić do nauk o krwi i rasie”. Gdy biskupi oponowali, mówiąc, że popierają świeckie cele nazistów, lecz nie ich religijne innowacje, Hitler wybuchł: „Jesteście zdrajcami narodu. Jesteście wrogami ojczyzny i niszczycie Niemcy”.[586]

W 1935 roku zniesiono obowiązkową modlitwę w szkołach, a w roku 1938 całkowicie zabroniono śpiewania kolęd i przygotowywania przedstawień bożonarodzeniowych. W 1941 roku zniesiono naukę religii dla dzieci od czternastego roku życia. Jakobinizm panował na całego. Przy ogniskach rozbrzmiewała piosenka Hitlerjugend:

Jesteśmy szczęśliwymi członkami Hitlerjugend;
Nie potrzeba nam chrześcijańskich cnót;
Bo Adolf Hitler jest naszym pośrednikiem
I naszym odkupicielem.

Żaden kapłan, żaden zły
Nie sprawi, że przestaniemy się czuć dziećmi Hitlera.
Nie za Chrystusem, lecz za Horstem Wesselem kroczymy!
Precz z kadzidłem i kropielnicami.[587]

Dzieciom z sierocińców dano nowy tekst kolędy *Cicha noc*:

Cicha noc, święta noc, pokój niesie ludziom wszystkim,
tylko Kanclerz we dnie i w nocy
czuwa nad losem Niemiec,
zawsze troszcząc się o nas.

Z amerykańskim kulturkampfem lat sześćdziesiątych XX wieku było podobnie – nie zaczął się od hipisów, wojny w Wietnamie, ani nawet od walki o prawa obywatelskie. Jak przystoi przy

próbie oczyszczenia drogi przed nową religią polityczną, ten kulturkampf zaczął się od działań zmierzających do zniesienia modlitwy w szkołach. Jeremy Rabkin wykazywał, że podjęte w latach sześćdziesiątych decyzje odnośnie do modlitwy w szkole należy uważać za początek nowej roli Sądu Najwyższego, który stał się podstawowym motorem amerykańskiego kulturkampfu.

Przyjrzyjmy się sprawie aborcji. W rozpatrywanych przez Sąd Najwyższy sprawach dotyczących legalizacji aborcji zasadniczym fundamentem logicznym nie jest „prawo wyboru", lecz przekonanie, że dla religii i moralności ukształtowanej na podstawach religijnych nie ma miejsca w sferze publicznej. Sprawa Jane Roe przeciwko Henry'emu Wade'owi oraz zamknięta w ten sam dzień sprawa „Mary Doe" przeciwko Arthurowi K. Boltonowi wynikały bezpośrednio z rozpatrywanej w 1965 roku sprawy Estelle T. Griswold oraz C. Lee Buxtona przeciwko stanowi Connecticut, w której Sąd Najwyższy unieważnił zakaz stosowania środków antykoncepcyjnych (na podstawie którego niemal nigdy nikogo nie ścigano), uznając, że prawo do prywatności wynika z pewnych zakresów znaczeniowych przepisów ujętych w poprawkach do konstytucji amerykańskiej. Sąd Najwyższy jednak w swym orzeczeniu kierował się przekonaniem, że przepisy uchwalone na podstawach religijnych (w stanie Connecticut mieszka wielu katolików) budzą podejrzenia. Zaledwie dwa lata przed sprawą Jane Roe przeciwko Henry'emu Wade'owi w pewnej sprawie dotyczącej Pensylwanii Sąd Najwyższy zakazał udzielania pomocy przez władze tego stanu katolickim szkołom parafialnym, motywując to tym, że spowodowałoby to rozłamy przebiegające wzdłuż podziałów wyznaniowych. Sąd ten ponadto orzekł, że kwestie religijne „zwykle zaciemniają inne palące sprawy i wywołują dezorientację". Gdy sprawa Jane Roe przeciwko Henry'emu Wade'owi ostatecznie zaczęła być rozpatrywana przez Sąd Najwyższy sędziowie już wcześniej uznali, że tradycyjne względy religijne nie mogą mieć istotnego znaczenia w sprawach publicznych. Laurence Tribe, czołowy liberalny konstytucjonalista amerykański, wywodził na łamach pisma „Harvard Law Review" w 1978 roku, że sprawy religii z istoty należą do dziedziny przesądów, a tym samym są mniej uzasadnione od kwestii „świeckich".

W 1987 roku Sąd Najwyższy orzekł, że chwile ciszy na początku dnia w szkole stanowią formę zatwierdzenia modlitwy przez władze. W roku 1992 uznał, że zaproponowana przez rabina reformowanej synagogi modlitwa ponad podziałami wyznaniowymi, która miała zostać odmówiona przy uroczystości pożegnania absolwentów, to niedopuszczalna akceptacja religii. A w 1995 roku Sąd Apelacyjny IX Okręgu orzekł, że „prawa do śmierci" nie można ograniczać tylko po to, „aby spełnić uznawane przez część społeczeństwa nakazy moralne czy religijne". Nie ma przy tym znaczenia, że przepisy dotyczące morderstwa, kradzieży i krzywoprzysięstwa wywodzą się bezpośrednio z tych samych „nakazów religijnych".

Bliżej naszych czasów sądy orzekały, że składanie przysięgi wierności, ukazywanie dziesięciu przykazań i przygotowywanie żłóbków bożonarodzeniowych blisko obiektów publicznych to praktyki niezgodne z konstytucją. Antonin Scalia, sędzia Sądu Najwyższego, słusznie ujął sprawę w 1996 roku, podczas sprawy Roya Romera i innych przeciwko Richardowi G. Evansowi i innym (dotyczyła tolerancji dla homoseksualistów w Kolorado). Stwierdził następująco: „Sąd pomylił kulturkampf z napadem złośliwości". Następnie skrytykował członków kolegium sędziowskiego za „zajmowanie stanowiska" w „wojnach kulturowych".

Po co rozważać tę sprawę dotyczącą religii? Ponieważ nie może zrozumieć kulturowego programu liberalizmu ktoś, kto nie zdaje sobie sprawy, że współczesny liberalizm buduje własny most kolejowy, zastępując cegły i belki tradycyjnej amerykańskiej kultury innymi elementami. Nie twierdzę, że w nowej liberalnej konstrukcji wszystko jest złe lub niewłaściwe. Odrzucam jednak sprytną argumentację liberałów, którzy uważają, że ich działania są wyłącznie „pragmatyczne" albo częściowe. „Ach, tylko ta jedna cegła. Co złego w tej cegle?" – pytają liberałowie o każdy etap realizacji swojego programu. Ale to nie tylko jedna cegła. A konserwatyści nie powinni zakładać, że to tylko błąd logiczny określany nazwą *slippery slope*. To wyobrażenie bowiem sugeruje siły niepodlegające naszej kontroli, pchające nas w kierunku, którego nie wybraliśmy. Jeżeli społeczeństwo zmierza w kierunku, którego nie wybrało, to często dzieje się tak przez to, że jest **popychane** w tę stronę przez samozwańcze siły postępu.

W eseju zatytułowanym *The Great Relearning* Tom Wolfe szczegółowo opisuje, jak kontrkultura, czerpiąc inspirację z niemieckiego Bauhausu, chciała zacząć od nowa, ogłosić nowy rok zerowy (podobnie do tego, co zrobili jakobini i naziści) i wrócić do rozwidlenia, na którym zachodnia cywilizacja rzekomo poszła w złą stronę. Ken Kesey, reprezentant kontrkultury, zorganizował nawet pielgrzymkę do pogańskiej mekki Stonehenge, uważając, że to ostatnie miejsce, gdzie człowiek Zachodu znajdował się na właściwej drodze, po czym skierował się w złą stronę, odrzucając pogaństwo. W pozostałej części tego rozdziału przyjrzymy się temu, jak ta ogólna wizja wpłynęła na ruchy i koncepcje zarówno klasycznego faszyzmu, jak i obecnej lewicy kulturowej w kilku odrębnych dziedzinach kultury, mianowicie sferze tożsamości, moralności, życia seksualnego i przyrody.

Liberalnofaszystowski *kulturkampf*

Isaiah Berlin następująco streścił neoromantyczne nastawienie, które doprowadziło do powstania nazizmu: „Jeśli jestem Niemcem, poszukuję niemieckich wartości, komponuję niemiecką muzykę, odkrywam ponownie staroniemieckie prawa, kultywuję w sobie wszystko, przez co staję się tak bogatym, ekspresywnym, wielostronnym i pełnym Niemcem, jakim tylko mogę być. [...] To romantyczny ideał w wersji najpełniejszej". Takie myślenie nieuchronnie doprowadziło do nazistowskiego wyobrażenia o tym, co jest dobre, a co złe. „Sprawiedliwość – tłumaczył Alfred Rosenberg – jest tym, co Aryjczyk uważa za sprawiedliwe. Niesprawiedliwe jest to, co za takie uzna".[588]

To wyobrażenie najwyraźniej się uwidoczniło w dążeniach do usunięcia wpływów żydowskich z nazistowskich Niemiec. Żyd symbolizował wszystko, co uniemożliwiało rozwój Niemców. Nawet „sumienie" według Hitlera było „żydowskim wynalazkiem", którego należy się pozbyć w akcie samowyzwolenia. Naziści z tego powodu traktowali Żydów tak samo, jak obecni lewicowcy traktują „europocentryzm", „dominację białych" czy „logocentryzm". Gdy słyszymy kampusowego radykała potępiającego „białą logikę" albo „męską logikę", jest to działacz idący w ślady nazisty, który odrzucał „żydowską logikę" i „żydowską chorobę". Gdy jeszcze współpracował z nazistami, Paul de Man – poważany teoretyk ponowoczesności, który wykładał na Yale i Uniwersytecie Cornella – następująco pisał o Żydach: „Ich mózgowość, zdolność do przyswajania sobie doktryn przy jednoczesnym utrzymywaniu chłodnego dystansu", to jedna „z konkretnych cech umysłowości żydowskiej".[589]

Żydem liberalnego faszyzmu jest biały mężczyzna. Noel Ignatiev, historyk i badacz specjalizujący się w problematyce białej kultury, uważa, że „rozwiązać problemy społeczne naszych czasów można wyłącznie przez zniesienie białej rasy". Badania kultury białego człowieka (*whiteness studies*) to nowa dyscyplina naukowa zdobywająca wielką popularność w amerykańskim systemie szkolnictwa wyższego. Wydziały *whiteness studies* uruchomiono mniej więcej na trzydziestu uczelniach, ale najważniejsze elementy tej dziedziny wykłada się w wielu innych placówkach. Dyrektor Ośrodka ds. Badań nad Białą Kulturą Amerykańską (Center for the Study of White American Culture) wyjaśnia: „Nie ma zbrodni, której biały człowiek nie dopuściłby się wobec ludzi kolorowych. [...] Musimy winić kulturę białego człowieka za utrzymujące się do dziś schematy, [...] które niszczą nasze człowieczeństwo w tej kulturze i ograniczają możliwości jego rozwoju".[590] Pismo zatytułowane „Race Traitor" („zdrajca rasy" – to, jak na ironię, określenie nazistowskie) ma „pełnić funkcję intelektualnego ośrodka dla tych, którzy dążą do zniesienia białej rasy". Trzeba nadmienić, że nie jest to ruch ludobójczy; nikt nie twierdzi, że białych należy wyłapać i osadzić w obozach, ale zasady, emocje i argumentacja wywołują niepokojące echa.

Po pierwsze, lewica angażuje się w szokującą obronę czarnej ideologii zamieszek i gangsteryzmu. Gloryfikowanie przemocy, romantyzm ulicy, odrzucanie „systemu", teorie spiskowe, podkreślanie solidarności rasowej, mizoginia kultury hip-hopowej – wszystkie te zjawiska

wywołują niepokojące poczucie *déjà vu*. W kulturze hip-hopowej znalazło się szokująco wiele wątków faszystowskich. Na kampusach władze systematycznie odwracają wzrok i nie reagują na klasycznie faszystowskie zachowania, od palenia gazet po zastraszanie osób wypowiadających odmienne przekonania. Te nastawienia ostatecznie wynikają z przekonania, że biały człowiek, podobnie jak Żyd, reprezentuje wszystko, co jest niewłaściwe dla człowieczeństwa i je ciemięży. Susan Sontag głosiła w 1967 roku: „Biała rasa jest rakową naroślą na ludzkiej historii". Jednocześnie lewicowe środowiska akademickie regularnie wyszydzają oświeceniowe założenia o człowieczeństwie powszechnym, uważając to za oszustwo wykorzystywane do maskowania ugruntowanych przywilejów białego człowieka.

Podobnie jak nazistowski atak na chrześcijaństwo był elementem szerszej walki z ideą powszechnej prawdy, wszystkie kosmologie ponowoczesne stworzono po to, aby dowieść, że tradycyjna moralność religijna to bzdura, że nie ma stałych prawd ani „naturalnych" kategorii, a cała wiedza to wytwór społeczny. Jak napisano w *Kodzie Leonarda da Vinci*: „So Dark, the Con of Man".

Wspominane „con" (oszustwo) to spisek Kościoła katolickiego, który chciał zwieść świat co do prawdziwej natury Jezusa i jego małżeństwa z Marią Magdaleną. Na całym świecie sprzedano około sześćdziesięciu milionów egzemplarzy tej książki. Powieść oraz nakręcony na jej podstawie film wywołały debaty, nakręcano filmy dokumentalne, publikowano omówienia itp. Niewielu jednak zwróciło uwagę na złowróżbne korzenie i podobieństwa do koncepcji nazistowskich.

Dan Brown powinien swą powieść zadedykować „madame" Helene Blavatsky, guru od teozofii, którą powszechnie się uważa za „matkę" duchowości New Age oraz probierz postępów pogańskiego nazizmu i głównego propagatora swastyki jako symbolu mistycznego. Jej teozofia to bezładna składanka modnych pojęć, od koncepcji astrologicznych po przekonanie, że chrześcijaństwo to zakrojony na wielką skalę spisek, który miał ukryć prawdziwe znaczenie i historię rzeczy nadprzyrodzonych. W opublikowanej w 1888 roku książce zatytułowanej *The Secret Doctrine* Helene Blavatsky próbowała ukazać w całej pełni groteskowy zachodni spisek, który w powieści Dana Browna przedstawiony został jedynie częściowo. Chrześcijaństwo spowodowało wszystkie współczesne okropieństwa kapitalizmu i nieautentyczność życia, by nie wspomnieć o zniszczeniu Atlantydy.

Der Mythus des 20. Jahrhunderts (Mit dwudziestego wieku) Alfreda Rosenberga, druga na liście najważniejszych pozycji kanonu nazistowskiego, zawiera wiele idei żywcem wziętych z publikacji Helene Blavatsky. Rosenberg ukazuje kolejne chrześcijańskie spiski. „Zanim mógł w pełni rozkwitnąć, radosny przekaz niemieckiego mistycyzmu został zdławiony przez antyeuropejski Kościół, który w tym celu wykorzystał całą swą potęgę" – podkreślał Rosenberg. Podobnie jak Blavatsky i Brown, uważał, że istniały tajemne ewangelie, które – gdyby nie zostały ukryte przez Kościół – zdemaskowałyby „fałszerstwo świetlanego wizerunku Chrystusa przedstawionego w ewangeliach Mateusza, Marka, Łukasza i Jana. „Chrześcijaństwo – pisał Hitler w *Mein Kampf* – nie zadowoliło się tym, że wzniosło własne ołtarze. Najpierw musiało zniszczyć ołtarze pogańskie". To „nadejście chrześcijaństwa" po raz pierwszy uwolniło „duchową grozę", która spadła na „świat antyczny cechujący się znacznie większą wolnością".[591]

Znaczne części lewicy kulturowej obecnie podpisują się pod podobnymi przekonaniami. Na przykład wicca i pogaństwo to najszybciej się rozwijająca religia i kategoria religijna w Stanach Zjednoczonych. Jej wyznawców i zwolenników jest od pięciuset tysięcy do pięciu milionów (ta liczba zależy od tego, czyje dane się przyjmie). Gdy do tego dodamy „duchowość New Age", to się okaże, że liczba Amerykanów zaangażowanych w takie ruchy i praktyki wynosi dwadzieścia milionów i stale rośnie. Szczególnie feministki przyjęły, że wicca to religia idealnie pasująca do ich koncepcji politycznych. Gloria Steinem opiewa wyższe cechy polityczne i duchowe pogaństwa „przedchrześcijańskiego" i „matriarchalnego". W książce zatytułowanej *Revolution from Within* (Rewolucja od środka) całkowicie szczerze ubolewa nad „zabiciem dziewięciu milionów

uzdrowicielek i innych poganek lub niepodporządkowujących się kobiet w wiekach przejścia na chrześcijaństwo”.[592]

Heinrich Himmler, szef SS, uważał, że szaleńcze polowania na czarownice były antyniemieckim spiskiem zorganizowanym w dużej mierze przez Kościół katolicki: „Polowania na czarownice kosztowały Niemców setki tysięcy matek i innych kobiet, okrutnie torturowanych i zgładzanych”.[593] Przeznaczył znaczne kwoty na badania historii tych polowań przez SS, aby wykazać, że były to próby zniszczenia cywilizacji aryjskiej i prawdziwej niemieckiej wiary. W SS utworzono oddział, który można nazwać esesowską jednostką X-Files – nazwano go jednostką Specjalna H (od słowa *Heksen*, 'czarownice') – aby dociekać prawdy, analizując ponad 33 tysiące spraw dotyczących palenia czarownic w państwach nawet tak odległych, jak Indie i Meksyk.

Większość twórców narodowego socjalizmu znacznie lepiej by się czuła w towarzystwie czczących kryształki wegan, prowadząc z nimi dysputy o czarach i astrologii niż podczas spotkania zorganizowanego przez wiernych parafii. Weźmy na przykład Towarzystwo Thule, którego nazwa nawiązywała do rzekomej dawnej rasy północnej wspominanej w antycznych tekstach greckich. Towarzystwo założono w Monachium jako oddział Zakonu Niemieckiego. Nominalnie najważniejszymi zasadami towarzystwa były koncepcje okultystyczne i teozoficzne, ale spoiwem był antysemityzm na tle rasowym. Dr Paul Tafel, przewodniczący Towarzystwa Thule i mentor Antona Drexlera, zachęcił go do założenia Partii Robotników Niemieckich, która wkrótce zmieniła nazwę na Narodowosocjalistyczną Partie Robotników Niemieckich. Jak podaje Ian Kershaw, autor prac poświęconych biografii Hitlera, lista członków tego towarzystwa to prawdziwe *who's who* twórców nazizmu.

Dietrich Eckart, poeta, malarz, okultysta, morfinista, autor sztuk teatralnych, miłośnik magii i żarliwy zwolennik rasistowskiego mistycyzmu Houstona Stewarta Chamberlaina, należał do najważniejszych postaci w tym kręgu bohemy. Eckart był figurą ojca i mentorem dla Hitlera. Uczył go zasad wypowiedzi publicznych, dał mu jego pierwszy prochowiec i przedstawił go najważniejszym osobom monachijskiej socjety. Będąc jej redaktorem, Eckart przekształcił gazetę publikowaną przez Towarzystwo Thule w oficjalny organ partii nazistowskiej i ułożył hymn *Deutschland erwache* („Niemcy, obudźcie się!”). Hitler dedykował mu *Mein Kampf* pisząc w epilogu, że to „człowiek, który całe życie poświęcił przebudzaniu siebie i swego narodu”.

Zajmujący centralne miejsce w ideologii liberalnego faszyzmu mit wyboru złej drogi na rozwidleniu nie tylko prowadzi do głoszenia egzotycznych teorii spiskowych i koncepcji pseudohistorycznych, ale także – jak wspominano wyżej – przyczynia się do propagowania głębokiego relatywizmu moralnego. Istotnie, to, że feministki zainteresowały się wiccą, doskonale ilustruje wspominany wyżej pogański narcyzm. Wiele ceremonii tej religii kończy się wezwaniem „Tyś jest Boginią”. Wicca nie zawiera jakichś konkretnych zasad, lecz tylko zachęty do kultywowania „Bogini w sobie”, do tworzenia duchowości, która najlepiej pasuje do ukształtowanych już własnych przesądów, pragnień i instynktów.

Martin Heidegger, nazistowski filozof, oraz Thomas Mann, gigant literacki – stał się zagorzałym i wnikliwym antyfaszystą, ale we wczesnych latach dłubał nieco w wątkach faszystowskich – reprezentowali filozoficzną i literacką stronę dążeń do zrzucenia oków burżuazyjnej moralności i obyczajowości. Heidegger (wtórując Nietzschemu) wywodził, że jednostka rzeczywiście autentyczna dokonuje wyboru własnej drogi i nie ma przy tym dla niej znaczenia, czy ta droga zgadza się z konwencjonalną moralnością, czy z jakąś jednostkowo wytworzona moralnością. Nawet właściwy wybór jest zły, jeżeli podejmuje się go pod wpływem innych. „Odmówić sobie normalnego wyboru i przyjąć wybory proponowane mi przez świat bądź innych ludzi”, to zdaniem Heideggera, istota „nieautentyczności”. Mann uważał, że faszyzm oddziałuje na artystów przez to, że zachęca do „poddania się instynktom”. Ulubiony rzeźbiarz Hitlera tłumaczył, że jego akty ukazują „czystą atmosferę instynktownych popędów” i przedstawiają „dzisiejszą rewolucyjną młodzież, która zdziera zasłonę z ukrywanego ze wstydem ciała”.[594]

Faszyści hollywoodzcy

Tymi niegdyś radykalnymi koncepcjami obecna kultura masowa jest nasycona. Krótki przegląd pozwala ukazać, jak przemożny wpływ wywierają na scenografów i producentów filmowych pracujących w Hollywood, de facto najpotężniejszej agencji propagandowej w historii ludzkości.

Jak wspominaliśmy wyżej, w nagrodzonym pięcioma Oscarami filmie *American Beauty* Kevin Spacey odtwarza rolę Lestera Burnhama, pracującego w agencji reklamowej burżua, mającego żonę z tej samej klasy społecznej, również czynną zawodowo specjalistkę, oraz konwencjonalnie wyalienowaną córkę, Lester nagle zdaje sobie sprawę, że nienawidzi swego konwencjonalnego życia. Odkrywa to w wyniku seksualnej obsesji na punkcie koleżanki swej nastoletniej córki. „Czuję się tak, jakbym przez ostatnie dwadzieścia lat był w śpiączce. I dopiero teraz się budzę" – stwierdza. Następnie rozpoczyna kampanię „samopoprawy", która obejmuje między innymi narcystyczną obsesję na punkcie własnego ciała, odrzucenie wszelkich konwencji społecznych i pozwalanie sobie na każdą zachciankę występującą przeciwko rozumowi.

„Janie, rzuciłem dziś pracę. Później powiedziałem szefowi, żeby się jebał, a później go zaszantażowałem, żądając prawie sześćdziesięciu tysięcy dolarów. Podaj szparagi" – mówi do córki przy stole podczas obiadu. „Ojciec chyba myśli, że z takiego zachowania może być dumny" – tłumaczy władcza i materialistyczna żona Lestera. „A matka chyba wolałaby, żebym przeszedł przez życie jak jakiś pierdolony więzień, kiedy ona będzie trzymać mojego kutasa w słoiku pod zlewem" – odparowuje Lester.

Wygląda na to, że taka koncepcja, zgodnie z którą „autentycznej" osoby nie należy szukać w głowie czy sercu, lecz w kroczu, uchodzi w Hollywood za głęboką mądrość.

Naturalnie, niekiedy białego człowieka nie odkupuje psychopłciowy przełom, lecz fizyczna nienormalność bądź upośledzenie na ogół prowadzące do stłumienia zdolności rozsądnego myślenia. W filmie *Forrest Gump* upośledzony umysłowo biały to jedyna siła wiarygodnie moralna w chaosie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. W obrazie *Odnaleźć siebie* (*Regarding Henry*) Harrison Ford gra skupionego na karierze prawnika babiarza, który nie ma czasu dla rodziny. Odkupienie zapewnia mu pocisk przechodzący przez płat czołowy oraz mądrość czarnego terapeuty, który pomaga pozbawionemu tego płata bohaterowi odkryć, że pod względem moralnym lepiej być dzieckiem. W filmie *Lepiej być nie może* (*As Good as It Gets*) Jack Nicholson gra złośliwego fanatyka, który się zmienia, gdy zaczyna brać bardzo silne środki psychotropowe. Środki te leczą go z białości (Adorno mógłby je nazwać „tabletkami antyfaszystowskimi") i wywołują w nim tolerancję dla homoseksualistów i czarnych, a także umożliwiają miłość. Z komediodramatu *Jestem Sam* (*I Am Sam*) Seana Penna dowiadujemy się, że inteligencja, wiedza i podstawowe umiejętności radzenia sobie nie mają znaczenia w rodzicielstwie, jeśli tylko nawet poważnie opóźniony w rozwoju rodzic kocha swoje dziecko. Porozmawiajcie z ludźmi, którzy mają dzieci albo rodzeństwo o znacznym stopniu upośledzenia, to wam powiedzą, jak straszne skutki może przynieść taki przekaz.

Nawracający wątek to przekonanie, że ludzie muszą się wybudzić z wygodnego koszmaru, który zwiemy życiem, czyli tego, co Hillary Clinton w młodości określała jako „senną chorobliwość duszy". Wszyscy jesteśmy „niewolnikami" „instynktu gniazdowania z IKEI", jak to określił bohater filmu *Podziemny krąg* (*Fight Club*), którego faszystowskie pretensje tak dokładnie omówiono, że nie ma potrzeby wracać do tej sprawy. Przekonanie, że ospałe masy trzeba wyrwać z letargu, to zasadnicze założenie faszyzmu. Pierwszy manifest futuryzmu ułożony przez Marinettiego rozpoczynał się od następujących słów: „Dotychczas literatura opiewała zamyślony bezruch, ekstazę i sen. My zamierzamy sławić agresywne działanie, gorączkową bezsenność, krok biegacza, śmiertelny skok, cios, uderzenie".[595] Broszura, przez którą młody Adolf Hitler

zainteresował się narodowym socjalizmem, nosiła tytuł *Moje polityczne przebudzenie*. Pronazistowskie i prefaszystowskie filmy i powieści często łączył wątek ospałego młodego człowieka wyrwanego ze stanu biernej akceptacji machiny zachodniej demokracji burżuazyjnej.

Czy można wątpić w to, że młody Hitler na stojąco oklaskiwałby *Stowarzyszenie Umarłych Poetów*? Film rozpoczyna się od ukazania uczniów poznających poezję według schematu przewidzianego programem. Uczniowie więc „oznaczają doskonałość na osi poziomej wykresu", a „znaczenie" na osi pionowej, aby w ten sposób uzyskać „miernik wielkości". Niemal można usłyszeć Hitlera potępiającego taką „żydowską" metodę oceniania sztuki. Pojawia się John Keating, którego gra Robin Williams, i mówi uczniom, że mają te strony po prostu wydrzeć z podręcznika! Nauczyciel zachęca nawet do poważniejszego pogwałcenia konwencji. Uczniowie mają stanąć na biurku **nauczyciela**, manifestując jednocześnie pogardę dla tradycyjnych ról i wzniesienie się ponad nie.

Szczególnie jeden uczeń, Todd, obawia się nowych metod Johna Keatinga. Nauczyciel jednak zmusza chłopaka, aby wyrzucił z siebie „barbarzyński krzyk". Zmusza ucznia, aby z zamkniętymi oczyma wyrzucił wiersz z trzewi duszy. Todd widzi „szaleńca o spoconych zębach", po czym zachęcany przez nauczyciela nadaje tej wizji formę i funkcję. „Jego ręce wyciągają się w moją stronę i mnie duszą. [...] Prawda... Prawda... jest jak koc, przez który zawsze masz zimne stopy".

Keating zachęca swych wrzeszczących barbarzyńców, aby żyli zgodnie z zasadą *carpe diem*, chwalebnie czcząc czyn. Po tym przykładzie autentycznie „wolni" uczniowie przystępują do tajemnego stowarzyszenia, gdzie przybierają pogańskie imiona i spotykają się w jaskini wykorzystywanej niegdyś przez Indian, aby „wysysać szpik z życia", tworzyć nowych bogów i czytać poezję romantyczną.

Neil, inny uczeń, zostaje przebudzony przez Keatinga i buntuje się przeciwko mieszczańskiemu ojcu, który wywiera presję, aby chłopak został lekarzem. On zaś chce życia **pasji** i zostać aktorem. Krzyczy: „Po raz pierwszy w życiu wiem, co chcę robić! I po raz pierwszy to **zrobię**! Czy ojciec tego chce, czy nie! Carpe diem!". Chłopak odkrywa swe prawdziwe powołanie, grając Puka, pogańskiego leśnego duszka ze *Snu nocy letniej*. Gdy ojciec zabrania mu realizacji pasji, Neil popełnia samobójstwo, odrzucając kompromisowość. To zakończenie podobne do końca ulubionej sztuki Hitlera, *Der König* (jak wspomniano wyżej, Hitler w ciągu trzech lat siedemnaście razy oglądał inscenizację). Neil jest ukazany jako postać podobna do Chrystusa, choć jest samolubny.

Tragiczne samobójstwo Neila wywołuje katastrofę w szkole i John Keating zostaje zwolniony. Pozostałym członkom Stowarzyszenia Umarłych Poetów grozi usunięcie ze szkoły, jeśli tylko spojrzą na Keatinga. Nie mogą się jednak oprzeć jego charyzmie. Stają kolejno na biurkach, lekceważąc nowego nauczyciela. Ci piękni młodzi nadludzie, kierując się jedną wolą, opowiadają się po stronie swego „kapitana", odrzucając tradycyjne autorytety. Brakowało tylko nazistowskiego pozdrowienia.

W *Matriksie*, całkowicie faszystowskiej alegorii (z pewnymi nutami marksistowskimi), Keanu Reeves gra mieszczucha uwięzionego w biurowym boksie. Neo, jego hackerska „ksywa", jakby nie tylko symbolizuje jego prawdziwsze imię, ale również określa jego status Nowego Człowieka, *übermenscha*, który potrafi podporządkować świat swej woli, a ostatecznie nawet latać. Fałsz życia w kieracie ukazuje mu się, gdy się przebudza, niczym ze snu, i zdaje sobie sprawę, że to, co uważał za prawdziwe życie, było więzieniem, klatką, gdzie pasożytnicze manipulujące siły dosłownie się nim żywiły. Zamiast wysysających krew Żydów wrogiem jest to, co dziewiętnasto- i dwudziestowieczni propagatorzy New Age nazywali Maszyną lub *das System*. Z koszmaru wyrywa go jego autentyczny wybór, którego dokonuje wyłącznie po to, aby być wiernym sobie. Później Neo przystępuje do tajemnego pogańskiego stowarzyszenia, Syjonu, gdzie jedyni pozostali autentyczni ludzie żyją w dionizyjskiej chwale w ciepłych objęciach Matki Ziemi, całkowicie się poświęcając przebudzaniu nielicznych zasługujących na to spośród ospałych bliźnich. Pasożytniczy, pociągający

za sznurki w teatrze lalkowym „agenci" systemu mogą wyglądać na ludzi, ale nic ich w gruncie rzeczy z nimi nie łączy. Ci bezbarwni, surowi biali mężczyźni w czarnych garniturach odrzucają autentyczność ludzkiego życia, przedkładając nad nie zimną logikę i mechanistyczne priorytety. Są dosłownie pozbawieni korzeni, nie tylko skłonni do abstrakcji, lecz abstrakcją **faktyczną** wydaje się, że nie ma ich wielu, ale są wszędzie, mogą przybierać ludzką postać i umieją wszystkim kierować. Krótko mówiąc, to komiksowa wersja wszystkiego, co naziści mówili o Żydach.

Należy dostrzec, że mówimy tu nie tyle o kulturze lewicowej czy liberalnej, ile o kulturze **amerykańskiej**. Pod wieloma względami uzależnienie Hollywoodu od estetyki faszystowskiej nie ma związku z ideologią. W *Gladiatorze* wykorzystano faszystowskie obrazowanie, ponieważ był to najlepszy sposób ukazania tej historii. W innych sytuacjach Hollywood ujawnia głębszą fascynację faszyzmem. W filmach takich, jak *V jak Vendetta* wyczuwa się zawiść z powodu podziwianej estetyki dobrze ubranego okrucieństwa i przemocy. Faszystami są i czarne charaktery, i bohater pozytywny.

Konserwatyści nie są bardzo odporni na pociągające elementy faszyzmu. Lewicowi krytycy kultury nie mylili się, gdy zauważali faszystowskie wątki w filmach z lat siedemdziesiątych mówiących o samodzielnym wymierzaniu sprawiedliwości. Na przykład w *Życzeniu śmierci* (*Death Wish*) i *Brudnym Harrym* (*Dirty Harry*) bezprawne stosowanie przemocy opiewano na tej podstawie, że „system" był nienaprawialnie zepsuty, zdominowany przez ciemnoskórych na ogół kryminalistów i bystrych prawników, którzy im zapewniali ochronę.

Pauline Kael z pisma „New Yorker" stwierdziła, że *Brudny Harry* to pewna odmiana „faszystowskich postaw ze średniowiecza".[596] Gdy ktoś przeanalizuje ewoluujące wątki występujące w filmach Clinta Eastwooda, wyplącze nitkę nihilizmu, której kulminacją jest mrok filmu *Bez przebaczenia* (*Unforgiven*) oraz jego oda na cześć eutanazji z filmu *Za wszelka cenę* (*Million Dollar Baby*; oba otrzymały Oscary).

To, że mówię o faszystowskich wątkach w tych filmach, nie musi jeszcze prowadzić do wniosku, że są to filmy **złe**. *Triumf woli* był arcydziełem (tak twierdzą krytycy). Jestem wielbicielem filmów o Brudnym Harrym (i wielu innych wspomnianych w tym rozdziale). Powiedziałbym nawet, że te filmy o samodzielnym wymierzaniu sprawiedliwości, jako forma protestu, miały wiele cech nadrabiających niedociągnięcia. Nie można jednak zaprzeczyć, że konserwatyści równie chętnie wykorzystują filmy faszystowskie, gdy pojawiają się po prawej stronie. Weźmy pod uwagę takie popularne produkcje, jak *Waleczne serce* (*Braveheart*), *Ostatniego samuraja* (*The Last Samurai*) czy *300*. Wielu konserwatystów uwielbiało te filmy, ponieważ ukazywały opór stawiany tyranii i sławiły „wolność". Jednakże „wolność" ukazywana w tych filmach była nie tyle jednostkową wolnością *per se*, ile wolnością plemienia, które mogło postępować zgodnie z własnymi relatywistycznymi wartościami. Klany Pogórza Szkockiego trudno byłoby uznać za republiki konstytucyjne. Tom Cruise pokazuje, że protofaszystowska kultura samurajów z epoki Meiji przewyższała pod względem moralnym kulturę dekadenckiego Zachodu, co było echem niemieckiej fascynacji Orientem. A Spartiaci z *300* to eugeniczna (i niejasno homoseksualna) kasta wojowników, którą z aplauzem przyjąłby Hitler pomimo mężnych wysiłków podejmowanych w celu zamerykanizowania tych bohaterów.

Można bronić każdego z tych filmów, ponieważ ukazują postęp w trwającym procesie zachodniej tradycji wolności – a poza tym zapewniają sporo przyjemności. Pozostaje jednak prosty fakt, że faszyzm zapewnia godziwe wpływy, toteż konserwatyści – z nielicznymi wyjątkami – są bezsilni w walce z nim, gdyż nawet nie wiedzą, co widzą. Liberałowie szybko wszelkie „gloryfikowanie" wojny czy walki określają jako faszystowskie, ale na każdym kroku czczą nihilizm i relatywizm w imię jednostkowej wolności i buntu. Właśnie tu konserwatyści powinni przypuścić kontrnatarcie, na rozpowszechnione przekonanie, że wszyscy jesteśmy własnymi kapłanami i jesteśmy autentyczni i dobrzy, gdy tylko dochowujemy wiary bogom w naszym wnętrzu. Mimo to nie da się ukryć, że jeśli chodzi o to, co lubimy oglądać na ekranach wielkich i małych, wszyscy jesteśmy obecnie faszystami.

Polityka seksu

Powszechnie się obecnie uważa – jest to prawie niewytłumaczalne - że nazizm był pewną rozszalałą pruderią. Ken Starr, John Ashcroft, Laura Schlessinger i Rick Santorum to tylko najnowsze symbole rzekomo faszystowskiej skłonności do osądzania i wynikającej z hipokryzji świętoszkowatości amerykańskiej prawicy. Aby te argumenty układały się w jakąś spójną całość, do debaty wprowadza się wypaczenia, by obrońców tradycyjnej moralności ukazać jako kryptofaszystów, którzy nie potrafią dojrzale myśleć o sprawie seksu.

Propagandystyczna sztuka Arthura Millera zatytułowana *Czarownice z Salem* (*The Crucible*) stała się klasycznym wyrazem obsesji lewicowców na punkcie ujawniającej się na prawicy „paniki z powodu seksu". Sztukę tę, pierwotnie ledwo zawoalowane oskarżenie makkartyzrnu, uważa się obecnie za przykład purytańskiego dążenia do cenzurowania z powodów obyczajowych, które może prowadzić do wybuchu morderczej paranoi politycznej. Potężni mężczyźni, którzy nie mogą utrzymać w ryzach niezależnych pod względem seksualnym kobiet, wykorzystują narzędzia państwa, aby zorganizować polowanie na czarownice. Ten nużący mem podbił wyobraźnię liberałów. J. Edgara Hoovera powszechnie teraz przedstawia się jako *drag queen*, choć nie ma po temu najmniejszych powodów. Sidney Blumenthal twierdził, że antykomunizm w Stanach Zjednoczonych w zasadzie się nie różnił od napadu panicznej homofobii przejawianej przez ukrywających się gejowskich prawicowców. Tim Robbins przedstawia podobną ideę w filmie *The Cradle Will Rock*. Antykomuniści i przeciwnicy Nowego Ładu nie różnią się zbytnio od faszystów cechujących się stłumieniem treści seksualnych. Cała międzynarodowa lewica łączy obecnie obrońców wartości rodzinnych z faszyzmem. „Opowiadanie się tutaj po stronie tradycyjnej rodziny to narażanie się na zarzut nazizmu" – wyjaśnia szwedzki poseł. Jest tylko jeden problem. Nic z tego nie ma absolutnie najmniejszego związku z nazizmem czy faszyzmem.

Przekonanie, że „wartości rodzinne" wykazują filozoficzne powiązania z faszyzmem, ma długą historię, gdyż wywodzi się z koncepcji szkoły frankfurckiej. Max Horkheimer wywodził, że źródłem nazistowskiego totalitaryzmu była rodzina. Prawda jednak jest całkiem przeciwna. Wprawdzie w nazistowskiej retoryce często oddawano hołd rodzinie, ale faktyczne praktyki nazizmu zgadzały się z progresywistycznymi dążeniami do ingerowania w sprawy rodziny, do zburzenia jej murów i zniszczenia jej autonomii. Tradycyjna rodzina jest przeciwnikiem wszelkich politycznych totalitaryzmów, ponieważ jest bastionem lojalności niezależnej od państwa i państwo poprzedzającej. To właśnie powoduje, że progresywiści nieustannie dążą do tego, aby się do niej wedrzeć.

Zacznijmy od sprawy oczywistej. Zabawnie byłoby wspomnieć, gdyby nie było to konieczne (a jest to tragiczne), że naziści nie występowali „w obronie życia". Wiele lat przed ostatecznym rozwiązaniem kwestii żydowskiej naziści z przysłowiowego spartańskiego urwiska zrzucali ludzi w podeszłym wieku, niepełnoprawnych i upośledzonych. To prawda, że w nazistowskim światopoglądzie kobiety były obywatelami drugiej kategorii, których rola sprowadzała się do rodzenia członków rasy panów. Uzasadnieniem tej polityki zdecydowanie jednak nie była pruderia ani moralność judeochrześcijańska.

Nastawienie nazistów wobec seksualności wynikało z nieprzejednanej wrogości w stosunku do chrześcijaństwa i judaizmu, które odrzucały pogańskie wyobrażenie seksu jako pewnej nagrody, przypisując mu za to głębokie znaczenie moralne. Gdy czyta się wypowiedzi Hitlera z *Table Talk*, prawie nie można nie ujrzeć w nim wolnomyśliciela o otwartym umyśle. „Małżeństwo, w tej formie, w której się je praktykuje w społeczeństwie burżuazyjnym, zasadniczo jest czymś przeciwnym naturze. Ale już spotkanie dwóch istot, które się uzupełniają, które są dla siebie stworzone, w moim przeświadczeniu graniczy z cudem". Hitler tłumaczy dalej: „Religia jest w wiecznym konflikcie z duchem wolnego badania". I dalej: „Katastrofa, dla nas, polega na tym, że

jesteśmy przywiązani do religii, która buntuje się przeciwko wszystkim przyjemnościom zmysłowym" – *Führer* rozwodzi się o żywionej przez niego pogardzie dla uprzedzeń społecznych, przez które źle się traktuje dzieci nieślubne. „Uwielbiam oglądać ten pokaz zdrowia wokół siebie".[597]

Przypomnijmy, że Hitler marzył o przekształceniu Niemiec w państwo wojownicze, którym będą kierować kadry ubranych na czarno aryjskich Spartiatów lojalnych wyłącznie wobec niego. Heinrich Himmler utworzył SS, licząc, że urzeczywistni marzenie Hitlera. Nakazał swoim ludziom „płodzić jak najwięcej dzieci, nie żeniąc się". W tym celu Himmler ustanowił domy *Lebensborn* (Źródło życia) w Niemczech i zajął Skandynawię, gdzie dzieci spłodzone przez esesmanów z kobietami czystymi pod względem rasowym miały być wychowywane przez państwo, co byłoby urzeczywistnieniem marzenia Robespierre'a (pomijając aspekt rasistowski). Po badaniu pochodzenia dziecko było przyjmowane podczas specjalnej ceremonii. Trzymano nad nim esesmański kordzik, a matka składała przysięgę wierności sprawie nazistowskiej.

Nastawienie nazistów wobec homoseksualizmu również jest źródłem pewnej dezorientacji. Wprawdzie niektórych homoseksualistów istotnie wysłano do obozów koncentracyjnych, ale prawdą jest także to, że w partii nazistowskiej w początkowych latach jej działalności oraz w licznych organizacjach pangermańskich było bardzo wielu homoseksualistów. Doskonale na przykład wiadomo, że Ernst Röhm, szef SA, i ludzie z jego otoczenia byli homoseksualistami i własnej orientacji nie kryli. W 1931 roku, gdy zawistni członkowie SA chcieli ten fakt wykorzystać przeciwko niemu, Hitler stwierdził, że homoseksualizm Röhma to „dziedzina wyłącznie prywatna". Niektórzy próbują przekonywać, że Röhma zamordowano w „noc długich noży" (*Nacht der langen Messer*) w 1934 roku z powodu orientacji seksualnej, ale jego fakcja stwarzała największe zagrożenie dla konsolidującego władzę Hitlera przez to, że pod ważnymi względami ci ludzie byli najzagorzalszymi i najbardziej „rewolucyjnymi" nazistami. Scott Lively i Kevin Abrams piszą w książce zatytułowanej *The Pink Swastika* (Różowa swastyka), że „rewolucję narodowosocjalistyczną i partię nazistowską napędzali, dominując w nich, homoseksualiści o militarystycznym nastawieniu, pederaści, pornografowie i sadomasochiści". Zdanie z pewnością jest przesadzone, ale prawdą pozostaje, że ruchy artystyczne i literackie, które przed rokiem 1933 dostarczały tlenu nazizmowi, publikowały traktaty nakłaniające do liberalnego traktowania homoseksualizmu, prowadziły kluby dla homoseksualistów i wydawały skierowane do nich pisma.[598]

Pismo zatytułowane „Der Eigene" (co oznacza 'samoświadomego' lub 'suwerennego') miało około 150 tysięcy prenumeratorów, a więc ponad dwukrotnie więcej od obecnych czytelników pisma „New Republic". Należy dodać, że populacja Niemiec wynosiła wtedy około jednej piątej obecnej liczby mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Pismo było skierowane do mężczyzn, którzy „pragną wskrzeszenia czasów greckich i helleńskich norm piękna po stuleciach chrześcijańskiego barbarzyństwa". Pismo „Der Eigene" – napastliwie antysemickie i nacjonalistyczne – stało się faktycznym organem ruchu walczącego o prawa homoseksualistów, domagającego się odrzucenia przepisów i społecznych tabu dotyczących pederastii. Wydawane w Wiedniu pismo „Ostara", które bezsprzecznie wywarło wpływ na młodego Adolfa Hitlera, opiewało męską etykę Spartiatów, kobiety i chrześcijaństwo zaś ukazywało jako kajdany ograniczające wolę mocy germańskiego wojownika.

Te wszystkie wątki łączy przekonanie o tym, że na rozwidleniu skierowano się w złą stronę. Że było więcej wolności, zanim ludzi wsadzono do klatek przez przyjęcie burżuazyjnych norm, tradycyjnej moralności i logocentryzmu. Pamiętajcie o tym, gdy będziecie oglądać *Tajemnicę Brokeback Mountain*, jeden z najbardziej chwalonych przez krytyków i entuzjastycznie przyjmowanych filmów minionego dziesięciolecia. Dwaj doskonali mężczyźni czują się dobrze tylko w pasterskiej dziczy, z dala od burżuazyjnych konwencji nowoczesnego życia. Czując się swobodnie w środowisku naturalnym, ostatecznie pozwalają sobie zaspokoić instynktowne pragnienia. Nie mogą jednak żyć na wzgórzach, oddając się przyjemnościom upragnionym przez instynkt. Spędzają więc resztę życia uwięzieni w pułapkach tradycyjnych małżeństw

uniemożliwiających rozwój duszy, a jedyną radością są coroczne „wypady na ryby”, podczas których starają się odtworzyć ekstazę autentycznego kontaktu, jedynej rzeczy zapewniającej wyzwolenie od burżuazyjnego udomowienia.

W świeckiej analizie liberalnej się przyjmuje, że tradycyjna moralność – jeśli w ogóle była kiedykolwiek potrzebna (a wielu uważa to za wątpliwe) – rozrosła się tak, że znacznie wykroczyła poza zakres użyteczności. W epoce przednowoczesnej, kiedy choroba weneryczna była wyrokiem śmierci, a nieślubne dziecko katastrofą, zasady i normy kierujące zachowaniem miały uzasadnienie. Dziś jednak konwencjonalna moralność jest wyłącznie środkiem umożliwiającym klasom panującym ciemiężenie kobiet, homoseksualistów i innych zbuntowanych nonkonformistów seksualnych. Esej Toma Wolfe'a zatytułowany *The Great Relearning* zaczyna się od relacji o tym, jak w 1968 roku lekarze z Haight-Ashbury Free Clinic odkryli choroby, z którymi „nie zetknął się wcześniej żaden żyjący lekarz”, choroby, które znikły tak dawno temu, że nigdy nawet nie nadano im łacińskich nazw, między innymi nużycę, świąd, drożdżycą, chorobę motyliczą.[599] Dlaczego się pojawiły te schorzenia? Hipisowscy komunardzi, bardzo podobnie jak przedstawiciele bohemy z Republiki Weimarskiej, uważali, że tradycyjna moralność to przestarzała łuska, która ma obecnie takie samo znaczenie co panowanie królów z boskiego nadania. Przekonali się jednak, że tak nie jest. Z jakiegoś powodu mamy zasady i obyczaje.

Liberałowie odrzucają abstrakcyjne argumenty, w których pojawiają się uniwersalne zasady moralne, niemal tak mężnie, jak robili to hipisi w latach sześćdziesiątych. Można twierdzić, że aborcja ma pewne wady, gdyż może zwiększać ryzyko wystąpienia raka piersi, ale mówi się nam, że na zarzut, iż odbiera się życie lub gniewa Boga, w rozsądnej debacie miejsca nie ma. Konserwatyści stają przez to przed pewnym dylematem. Niektórzy przez to dyskutują wyłącznie o tym, co pokazują dane. Problem polega na tym, że uciekanie się do analizy regresywnej to kolejna forma przyznania, iż w publicznej debacie nie ma miejsca na pojęcia dobra i zła. Jednocześnie konserwatyści o nastawieniu religijnym miotają zarzuty i epitety, które nijak nie przekonują opozycji i do niej nie przemawiają.

Do tego kultura jest tak nasiąknięta narcyzmem i populizmem, że konserwatystom odmawia się nawet progresywistycznych argumentów. Mówi się nam więc, że przejawem elitaryzmu jest wykazywanie, iż celebryci i ludzie zamożni mogą sobie pozwolić na swobodę moralną, czego ubodzy zrobić nie mogą. Milionerka czy milioner może przeprowadzić rozwód, mieć nieślubne dziecko lub nadużywać narkotyków, nie zagrażając tym zbytnio ani poziomowi własnego życia, ani statusowi społecznemu. Gdy ktoś należy do klasy pracującej, takie same zachowania mogą mieć niszczycielski skutek. Jednakże zwracanie na to uwagi jest pogwałceniem obecnego egalitarno-populistycznego etosu. Przecież to, co nie szkodzi Paris Hilton, nie może szkodzić nikomu z nas.

Faszyzm był ludzką reakcją na gwałtownie przebiegający ciąg rewolucji technicznych, teologicznych i społecznych. Te rewolucje jeszcze nie wygasły całkiem, a ponieważ lewica zdefiniowała faszyzm jako konserwatywny sprzeciw wobec zmian, to należy zakładać, że z powodu tej definicji zawsze będziemy faszystami. Konserwatyści jednak nie są reakcjonistami. Niewielu konserwatystów próbowałoby dziś – czy powinno próbować – cofnąć całą rewolucję seksualną, wepchnąć ją z powrotem do puszki, z której ją uwolniono. Prawa wyborcze dla kobiet, kontrola narodzin, prawa obywatelskie należą obecnie do programu klasycznego liberalizmu i jest to dobre. Homoseksualizm to sprawa nowsza, a przez to trudniejsza dla konserwatystów. Ale przynajmniej na poziomie elit nie znajdzie się wielu konserwatystów, którzy piętnowaliby homoseksualizm, uważając go niemal za przestępstwo. W moim przekonaniu małżeństwa homoseksualne w jakiejś formie są nieuniknione, przy czym może się okazać, że skutki będą bardzo pozytywne. Pod pewnymi względami żądania ustanowienia małżeństw homoseksualnych są nawet budujące. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych homoseksualni radykałowie wydawali się znacznie bardziej faszystowscy od „radykałów" początku XXI wieku, którzy – wygląda na to – **chcą** się znaleźć w klatce burżuazyjnego małżeństwa.

Stanowisko konserwatystów w tej kwestii będzie zależeć od szczerości lewicy. Tego nie sposób ocenić, ponieważ lewicowcy nauczyli się swój *kulturkampf* prowadzić stopniowo. Czy małżeństwa homoseksualne to próba wprowadzenia homoseksualistów do instytucji konserwatywnej i prowadzącej do zachowawczości? Czy to tylko jedna ze zdobyczy w kampanii prowadzonej w celu zyskania akceptacji? W latach dziewięćdziesiątych „teoretycy odmienności" („*queer theorists*") wypowiedzieli wojnę małżeństwu, uznając je za siłę opresyjną. ACLU już przedstawia sprawę poligamii jako kwestię praw obywatelskich. Al i Tipper Gore opublikowali książkę, w której twierdzą, że za rodzinę należy uważać dowolną grupę kochających się osób. To echa koncepcji głoszonych w czasach faszystowskiej przeszłości, a konserwatystów nie można winić za to, że wielu lewicowcom nie wierzą, gdy ci mówią, iż chcą wyłącznie małżeństw, niczego więcej.

Zielony faszyzm

Wyrażane zarówno przez narodowych socjalistów, jak i w obecnej myśli liberalnej przekonanie, że na rozwidleniu ludzkość poszła w złą stronę, najlepiej się uwidacznia w ruchach na rzecz ochrony środowiska. Jak wielu zauważyło, współczesny ruch obrońców środowiska jest przepojony mrocznymi wizjami z pism Rousseau na temat choroby toczącej zachodnią cywilizację. Człowiek utracił stan harmonii z naturą, przez co jego życie stało się nieautentyczne, prowadzące do zepsucia i nienaturalne.

Być może najbardziej prominentnym propagatorem tych przekonań jest wszechobecny Al Gore, pewnie najpopularniejszy liberał w Stanach Zjednoczonych. W gruntownie ponowoczesnym manifeście zatytułowanym *Earth in the Balance* pisze następująco: „Uciekamy się do kuszących narzędzi i technologii cywilizacji przemysłowej, ale to jedynie powoduje nowe problemy, gdyż jesteśmy coraz bardziej odizolowani od innych ludzi i oderwani od własnych korzeni". Gore niezmordowanie uświęca naturę, twierdząc, że człowiek został „odcięty" od swego autentycznego jestestwa. „Piana i rejwach cywilizacji przemysłowej maskują nasz głęboki brak tej łączności ze światem, która może nam poprawić nastrój i napełnić zmysły bogactwem i bezpośredniością samego życia".[600] Podobne stwierdzenia można naturalnie znaleźć w pracach wszystkich romantyków, między innymi Henry'ego Davida Thoreau. Pamiętajmy jednak, że niemiecki faszyzm zrodził się z romantycznego buntu przeciwko uprzemysłowieniu, rebelii, która pod względem filozoficznym odzwierciedlała pewne aspekty transcendentalizmu. Różnica jest taka, że Thoreau starał się oddzielić od nowoczesności, Gore natomiast dąży do tego, aby swoją romantyczną niechęć do nowoczesności przekształcić w obowiązujący program działań.

Omawiano już wielokrotnie w innych miejscach przekonanie, że ruch na rzecz ochrony środowiska jest sam w sobie religią. Wiele jednak ujawnia to, że dużo tych wiar New Age określa się jako kulty natury. Margot Adler, dziennikarka z National Public Radio (i zdeklarowana czarownica) wyjaśnia: „To religia, która mówi, że świętość przebywa w świecie, na ziemi". Joseph Sax, gigant w dziedzinie prawa dotyczącego ochrony środowiska i pionierski działacz, mówi, że jego współpracownicy z ruchu to „świeccy prorocy, głoszący świeckie zbawienie". Zasiadający w Izbie Reprezentantów Ed Markey sławił Gore'a, nazywając go „prorokiem", na początku 2007 roku, kiedy informował Kongres o zmianach klimatu.[601] W pewnym kalifornijskim hotelu przykładającym wagę do kwestii ochrony środowiska we wszystkich pokojach zamiast Biblii położono egzemplarz książki Ala Gore'a zatytułowanej *An Inconvenient Truth* (*Niewygodna prawda*). Każdy, kto ma dzieci, doskonale wie, że w całym kraju inwokacje „Zmniejszaj, wykorzystuj ponownie, przetwarzaj" (*reduce, reuse, recycle*) wpaja się w szkołach jak katechizm.

Ostatecznie jednak działania na rzecz ochrony środowiska są faszystowskie nie z tego powodu, że przyjmuje się w nich nieprecyzyjne i niejasne założenia metafizyczne co do egzystencjalnej doli człowieka. Najwyraźniej widocznym składnikiem faszystowskim jest

nieoceniony „mechanizm kryzysowy”. Al Gore nieustannie podkreśla, że ocieplenie klimatu to kryzys określający charakter naszych czasów. Sceptyków nazywa się zdrajcami, uważa się, że twierdzą, iż nie było Holokaustu, i są sługusami „węglowodorowych grup interesu”. Progresywistyczni działacze na rzecz obrony środowiska przypisują sobie natomiast rolę opiekunów. Gdy Gore pojawił się w Kongresie na początku 2007 roku, obwieścił, że świat ma „gorączkę”, po czym wyjaśniał, że gdy dziecko ma gorączkę, rodzic „zaczyna działać”. Robi wszystko, co zaleci lekarz. Nie ma czasu na debaty, na dyskusje. Musimy wyjść „poza politykę”. W praktyce to oznacza, że musimy się poddać globalnemu niańczącemu państwu nadopiekuńczemu i ustanowić „gospodarczą dyktaturę”, o której marzą progresywiści.

Piękno globalnego ocieplenia polega na tym, że ta sprawa dotyka wszystkiego, co robimy, a więc tego, co jemy, co nosimy i dokąd jedziemy. Nasze „węglowe odciski stóp” są miarą człowieka. Powinniśmy się tu zainteresować zdolnością ruchów na rzecz ochrony Środowiska do zapewniania znaczenia. Niemal wszyscy zdeklarowani działacze ruchów na rzecz ochrony środowiska podpisują się pod jakimś wariantem poglądu, że ludzkość źle skręciła na rozwidleniu. Pod tym względem Gore przewyższa pozostałych elokwencją. Peroruje więc o konieczności autentyzmu i znaczenia osiąganych poprzez kolektywne działania; wykorzystuje niekończące się serie mocnych metafor, w których głosi, że musimy być „działaczami ruchu oporu” walczącymi z rzekomo nazistowskim reżymem odpowiedzialnym za nowy Holokaust globalnego ocieplenia klimatu (znów widać, że wrogiem lewicy zawsze jest nazista). Gore wymienia różnych winnych. To raz Platon, innym razem Kartezjusz albo Francis Bacon – biali mężczyźni to węże, którzy skusili ludzkość, aby wybrała złą drogę na rozwidleniu, opuszczając rajską przeszłość. Potrzeba nowej holistycznej równowagi, w której ponownie zostaną zjednoczone nasze intelekty, impulsy duchowe oraz reakcje instynktowne. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej faszystowskiego.

Rzecz jasna, im zieleńszy się ktoś staje, tym bardziej za źródło problemu uważa już nie białego człowieka, lecz całą ludzkość. Perwersyjna i dziwaczna forma autonienawiści zaraziła pewne grupy ekolewicy. Doszło do przerzutu i dawna krytyka choroby hebrajskiej zmieniła się w oskarżenie tego, co można by nazwać chorobą ludzką. Gdy Charles Wurster, główny specjalista od kwestii naukowych w Narodowym Funduszu Ochrony Środowiska (Environmental Defense Fund), usłyszał, że wprowadzenie zakazu DDT prawdopodobnie spowoduje śmierć milionów osób, odrzekł: „To równie dobry sposób, żeby się ich pozbyć, jak każdy inny”. Pentti Linkola, fiński guru od spraw środowiska, twierdzi, że Ziemia to tonący statek, toteż wybrani pozostali muszą się kierować do szalup. „Ci, którzy nienawidzą życia, próbują wciągnąć więcej ludzi do łodzi, a przez to wszystkich zatopić. Ci, którzy kochają życie i je szanują, używają siekier, aby odrąbać te dodatkowe dłonie czepiające się burt”.[602]

Te nominalnie „obrzeżowe” koncepcje nasączyły główny nurt. „Okazuje się, że my, *Homo sapiens*, jesteśmy siłą tak niszczycielską jak każdy asteroid” – obwieścił Matt Lauer w specjalnym wydaniu programu *Today Show*. „Bezlitosna prawda przedstawia się tak, że jest nas po prostu za dużo. I nadmierna jest konsumpcja. [...] Rozwiązania nie są tajemnicą. To kontrola liczby ludności, recycling i redukcja konsumpcji”. Akcentowanie przez Lauera znaczenia kontroli liczby ludności powinno nam przypominać o tym, że eugeniczna obsesja progresywistów na punkcie kontroli populacji nigdy nie znikła i nadal się ujawnia w wielu argumentach działaczy na rzecz środowiska.[603]

Nazistowskie koncepcje dotyczące środowiska w tak dużej mierze pokrywają się z programami współczesnego liberalizmu między innymi z tego powodu, że ruchy na rzecz ochrony środowiska zaczęły się pojawiać przed powstaniem nazizmu, a później wykorzystywano je, aby pozyskiwać nazistom zwolenników. Naziści należeli do pierwszych, którzy kwestie walki z zanieczyszczeniem powietrza, tworzenia rezerwatów przyrody i zachowawczego leśnictwa uczynili zasadniczymi elementami swego programu. Książka Ludwiga Klagesa zatytułowana *Mensch und Erde* (Człowiek i Ziemia) była manifestem przekonania, że człowiek wybrał złą drogę. Klages, zajadły antysemita, ubolewał nad utratą gatunków, zabijaniem wielorybów, wycinką lasów, znikaniem pierwotnych ludów i innymi dobrze nam znanymi kwestiami, uważając je za oznaki

kulturowej zgnilizny. W 1980 roku Zieloni wydali ponownie jego esej, aby uczcić założenie niemieckiej partii Zielonych.

Chociaż opowiadający się za gospodarką wolnorynkową konserwatyści mają bardzo wiele do zaproponowania, gdy chodzi o kwestie środowiska, nieustannie są w defensywie. Podobnie jak mieszkańcy pozostałych krajów zachodnich, Amerykanie po prostu postanowili, że sprawy środowiska to dziedzina, gdzie rynki, a nawet demokracja nie powinny mieć większego wpływu. Podchodzenie do kwestii środowiska tak, jakby były to problemy gospodarcze – a przecież ostatecznie tak właśnie jest – wydaje się świętokradztwem. Ponieważ liberałowie podają się za polityków „prodziecięcych", a swych przeciwników uważają za „antydziecięcych", to gdy ktoś się nie zgadza z liberałami w sprawach etatystycznych rozwiązań kwestii środowiska, zaczyna wychodzić na osobę, która jest „przeciwko" środowisku, tchórzliwym sługusem baronów rozbójników i grubych ryb przemysłu.

Każdy się troszczy o „środowisko", podobnie jak każdy się troszczy o „dzieci". Dla ideologicznych działaczy na rzecz środowiska oznacza to, że trzeba bezkrytycznie przyjąć holistyczną wizję Ziemi i ludzi będących po prostu jednym z wielu gatunków. W przekonaniu konserwatystów jesteśmy zarządcami Ziemi, a to oznacza konieczność dokonywania na podstawie rzetelnych informacji wyborów między konkurującymi z sobą dobrami. Wielu tak zwanych obrońców środowiska to w gruncie rzeczy konserwacjoniści, którzy wykorzystują prawa własności i mechanizmy rynkowe w celu zachowania zasobów naturalnych dla potomności. Wielu lewicowców uważa, że musimy poddać przyrodę romantyzacji, aby wywołać wolę polityczną, która pozwoli ją ocalić. Ale gdy taki romantyzm staje się zastępczą religią, a odrzucający te przekonania zostają uznani za heretyków, konserwatyści muszą jasno mówić, że utopijne koncepcje w dziedzinie ochrony środowiska są równie niemożliwe jak każda inna próba tworzenia nieba na ziemi.

Nazistowski kult rzeczy organicznych

W przeciwieństwie do marksizmu, który twierdził, że znaczna część kultury i człowieczeństwa nie ma związku z rewolucją, narodowy socjalizm był holistyczny. Słowa „organiczny" i „holistyczny" były stosowanymi przez nazistów technicznymi określeniami totalitaryzmu. Głoszona przez Mussoliniego wizja wszystkiego w granicach państwa i niczego poza nimi została przejęta przez nazistów. W tym sensie Hans Schemm, premier bawarski, śmiertelnie poważnie stwierdził, że „narodowy socjalizm to biologia stosowana".[604]

Nazistowscy ideologowie uważali, ze Aryjczycy byli „Indianami" Europy, skolonizowanymi przez Rzymian i chrześcijan, przez co pozbawiono ich „naturalnej" symbiozy z ziemią. Hitler był wielkim miłośnikiem powieści Karola Maya, który dokonał romantyzacji Indian z amerykańskiego Dzikiego Zachodu. Nazistowski ideolog Richard Darré streścił znaczną część nazistowskiej ideologii dotyczącej *Volk* w następującym zdaniu: „Usunąć Niemca z jego naturalnego otoczenia to go zabić". Ernst Lehmann, wiodący nazistowski biolog, w znacznej mierze wypowiadał się jak Al Gore: „Zdajemy sobie sprawę, że oddzielanie ludzkości od przyrody, od całości życia, prowadzi do samozagłady ludzkości i śmierci narodów".[605]

Nazistowski kult rzeczy organicznych nie był jakąś koncepcją z obrzeży światopoglądowych, lecz należał do najnowocześniejszych elementów myśli „oświeconej". Niemiecki historycyzm pioniersko wypracował organiczną koncepcję społeczeństwa i państwa tworzących spójną całość. Państwo – pisał Johann Droysen – to „suma, jednolity organizm złożony ze wszystkich moralnych związków, ich wspólny dom i przystań oraz ich ostateczny kres". Także te idee nie były wyłącznie niemieckie. Droysen bowiem był mentorem Herberta Baxtera Adamsa, który był mentorem Thomasa Woodrow Wilsona. Prace Droysena są cytowane we wszystkich publikacjach Wilsona. Ustawę z 1916 roku, na mocy której ustanowiono amerykański system parków narodowych, nazwano *Organic Act*.

Przyjrzyjmy się dwóm dziedzinom, które dominują na ogromnych obszarach naszej obecnej kultury, mianowicie żywności i zdrowiu. Naziści do spraw żywności podchodzili bardzo, bardzo poważnie. Hitler twierdził, że jest zdecydowanym wegetarianinem. Godzinami potrafił rozprawiać o korzyściach diety bezmięsnej i o konieczności spożywania produktów mącznych z pełnego przemiału. Himmler, Rudolf Heß, Martin Bormann, a być może także Goebbels byli wegetarianami bądź takimi czy innymi fetyszystami żywieniowymi. I nie chodziło tylko o to, aby się przypodobać szefowi (co w nazistowskich Niemczech było autentycznym problemem, jak można sobie wyobrażać). Robert Proctor pisze, że na konferencje w Kancelarii Rzeszy Heß przynosił wypichcone przez siebie wegetariańskie potrawy i je tam podgrzewał, niczym pracujący w biurze weganin odżywiający się jakimś makrobiotycznym kuskusem. Niezmiernie to irytowało Hitlera. *Führer* powiedział mu: „Mam tu doskonałą dietetyczkę i kucharkę. Jeśli lekarz przepisał ci coś specjalnego, z pewnością umie to przygotować. Nie możesz tu przynosić własnego jedzenia". Heß tłumaczył, że jego dania mają specjalne biodynamiczne składniki. Hitler odparował, że Heß ma od tej pory jadać obiady w domu".[606]

Hitler wielokrotnie twierdził, że jego wegetarianizm to skutek inspiracji Richarda Wagnera, który w publikacji z 1891 roku przekonywał, że spożywanie mięsa i mieszanie ras to przyczyny oderwania człowieka od świata przyrody. Dlatego nawoływał do „szczerych i serdecznych stosunków z wegetarianami, którzy chronią zwierzęta i są przyjaciółmi umiaru". Rozwodził się także nad wegetariańskimi dietami japońskich zapaśników sumo, rzymskich legionistów, wikingów i słoni afrykańskich. Hitler był przekonany, że człowiek przez pomyłkę zaczął z desperacji jeść mięso w czasie zlodowacenia, ale wegetarianizm jest dla człowieka praktyką bardziej autentyczną. Wielokrotnie wypowiadał się jak wczesny propagator spożywania surowej żywności, co staje się coraz modniejsze. „Mucha żywi się surowymi liśćmi, żaba połyka muchę taką, jaka jest, a bocian zjada żywą żabę. Natura uczy nas w ten sposób, że podstawą racjonalnej diety powinno być spożywanie rzeczy surowych".[607]

Wielu czołowych ideologów nazistowskich podzielało również upowszechnione już działania podejmowane w obronie **praw** zwierząt, w odróżnieniu od ich dobrostanu. „Jak można czerpać przyjemność ze strzelania zza osłony do biednych stworzeń na krawędzi lasu, niewinnych, bezbronnych i niepodejrzewających niczego? – pytał Heinrich Himmler. – Przecież to zwykłe morderstwo". Jedną z najważniejszych spraw dla nazistów po przejęciu władzy było przeprowadzenie przełomowej ustawy o prawach zwierząt. W sierpniu 1933 roku Hermann Göring zabronił „nieznośnego męczenia zwierząt podczas eksperymentów" i zagroził, że wyśle do obozów koncentracyjnych tych, którzy „nadal myślą, że mogą traktować zwierzęta jak nieożywione mienie".

Każdy, kto ma sprawny kompas moralny, musi to uznać za barbarzyński dysonans poznawczy. Jednakże w przekonaniu nazistów to wszystko miało sens. Niemcy musieli odzyskać więź łączącą ich z przyrodą, przywrócić swą organiczną czystość, znaleźć holistyczną równowagę. Zwierzęta mają właśnie taką równowagę, gdyż nie kierują się rozumem. Z tego powodu ideologowie uważali, że są szlachetne i zasługują na szacunek. Żydzi natomiast byli obcy i powodowali wykorzenienie. To przez nich „biotyczna społeczność" Niemiec nie była w stanie równowagi.

Propagatorzy praw zwierząt słusznie zwracają uwagę, że kwestia praw zwierząt była istotna w prenazistowskich Niemczech, toteż ruchu na rzecz tych praw nie należy łączyć z nazizmem. Podobnie jednak jak w przypadku ruchu na rzecz środowiska, nie jest to tak mocny argument na obronę tego ruchu, jak się wydaje. Z pewnością prawdą jest to, że wiele elementów programu nazistowskiego było poglądami osób, które nazistami nie były. Jednakże fakt, że te konwencjonalnie lewicowe przekonania głosili naziści, prowadzi do wniosku, że nazizm nie jest tak odmienny od progresywistycznych koncepcji głównego nurtu, jak niektórzy chcieliby twierdzić.

Ingrid Newkirk, przewodnicząca organizacji People for the Ethical Treatment of Animals (Ludzie w Obronie Etycznego Traktowania Zwierząt), wypowiedziała słynne zdanie: „Jeśli chodzi o

uczucia, szczur to świnia, pies, chłopiec. Nie ma racjonalnych podstaw twierdzenie, że człowiek ma szczególne prawa".[608] Nie udałoby się znaleźć wielu bardziej faszystowskich przekonań. Po pierwsze, kładzie się nacisk na „uczucia" – nie na myśl czy rozum – uznając je za cechę określającą życie. Po drugie, zakłada się, że wyższe „uczucia" – te, które się kojarzy z sumieniem – prowadzą do konsekwencji tak nieznacznych, że nie należy ich brać pod uwagę. Gdy Ingrid Newkirk mówi, że nie ma „racjonalnych" podstaw, aby odróżniać szkodniki od ludzi, w gruncie rzeczy ma na myśli to, że nie ma uzasadnionego rozróżnienia między tymi istotami, a przez to PETA nie musi mieć wyrzutów sumienia z powodu porównania rzezi świń, krów i kurczaków z rzezią Żydów użytego w niesławnej kampanii „Holokaust na talerzu".

Często obecnie pokpiwamy z „żywieniowych faszystów". Rząd – po części wskutek stopniowo wzrastających kosztów narodowosocjalistycznej służby zdrowia – ma coraz większego hopla na punkcie naszego zdrowia. Programy dla dzieci nadawane przez państwowe stacje telewizyjne mają propagować zdrowszy tryb życia, do tego stopnia, że zamiast *C is for Cookie* Ciasteczkowego Potwora nadaje się nowe nagranie *Cookies Are a Sometimes Food* (Ciasteczka od czasu do czasu). Nie ma w tym naturalnie niczego nowego. Herbert Hoover, szef Agencji ds. Żywności za prezydentury Thomasa Woodrow Wilsona, nakazał dzieciom pisemnie przysięgać, że nie będą jeść między posiłkami. Nie dostrzegamy natomiast tego, że zastraszany przez władze stanowe obywatel, nękany, aby rzucił palenie, ma prawo się skarżyć na faszyzm w takim samym stopniu, w jakim mógłby to robić pisarz, którego książka zostałaby zakazana. Robert Proctor pierwszy w pełni wykazał w swej pracy magisterskiej zatytułowanej *The Nazi War on Cancer* (Nazistowska wojna z rakiem), że obsesja na punkcie zdrowia osobistego i publicznego stanowiła zasadniczy element nazistowskiego *weltanschauung*. Naziści bowiem, według Proctora, byli przekonani, że „zdecydowane działania w dziedzinie zdrowia publicznego przyniosą nową erę Niemców zdrowych i szczęśliwych, zjednoczonych przez rasę i wspólne poglądy, oczyszczonych z obcych toksyn środowiskowych, uwolnionych od plagi wcześniejszych narośli, pojmowanych zarówno dosłownie, jak i przenośnie". Hitler nienawidził papierosów, uważając, że to „gniew czerwonego człowieka spadający na białego człowieka, zemsta za to, że dawano mu alkohol". Naziści posługiwali się hasłem *Gemeinnutz geht vor Eigennutz* („Dobro wspólne jest ważniejsze od dobra jednostkowego"), aby uzasadnić ingerowanie w sprawy zdrowia jednostki ze względu na dobro społeczeństwa. To samo uzasadnienie wykorzystuje się dzisiaj. Na łamach pisma „New England Journal of Medicine" pewien propagator zdrowia publicznego napisał następująco: „Pewne zachowania, wcześniej uważane za prywatne sprawy jednostki, obecnie są ważne zarówno z punktu widzenia dostawców usług medycznych, jak i ze względu na dobro publiczne, z powodu związanych z tym interesów, jeżeli przez te zachowania pogarsza się stan zdrowia jednostki. Niektóre niepowodzenia w dziedzinie troski o własne zdrowie stały się w pewnym sensie przestępstwami przeciwko społeczeństwu, ponieważ społeczeństwo musi płacić za ich konsekwencje. [...] Powiedzieliśmy z tego powodu, że ludzie są społeczeństwu winni to, że muszą zaprzestać złych zachowań".[609]

W 2004 roku Hillary Clinton nalegała, abyśmy na sprawę rozrywek dzieci patrzyli „z punktu widzenia zdrowia publicznego". Narażanie „naszych dzieci na bardzo wiele niekontrolowanych programów nadawanych przez media jest pewną formą zarażania". To „cicha epidemia" stwarzająca zagrożenie, że dojdzie do „długoterminowego pogorszenia stanu zdrowia publicznego ze szkoda dla bardzo wielu dzieci, a przez to społeczeństwa". Richard Carmona, naczelny lekarz kraju w 2003 roku, za prezydentury Busha, znajdował się na początku długiej listy postaci publicznych uważających, że „otyłość występuje na skalę epidemii". Jakie „proste zalecenie" przedstawił, aby zwalczyć w Ameryce epidemię otyłości? „Każdy Amerykanin musi spożywać zdrową żywność w odpowiednich proporcjach i każdego dnia poświęcać czas na aktywność fizyczną". Coś takiego zmienia znaczenie słowa „epidemia", gdyż zamiast zagrożenia dla zdrowia publicznego, przez które ludzie znajdują się w niebezpieczeństwie wbrew własnej woli – na przykład z powodu duru brzusznego, zatrutej żywności albo ataków niedźwiedzi – wprowadza się tu niebezpieczeństwo, w którym ludzie się znajdują w następstwie tego, co chcą robić. Wystarczy

spojrzeć, jak walka z paleniem doprowadziła do zinstytucjonalizowania histerii. Wolność wypowiedzi choćby w bardzo ograniczonym stopniu „protytoniowych” została kulturowo zniesiona i niemal całkowicie zakazana prawnie. Nawet koncerny tytoniowe muszą rytualnie – i kosztownie – potępiać własne produkty. W znacznej części Stanów Zjednoczonych nie można zakładać stowarzyszeń palaczy tytoniu. Do tego wskutek hopla na punkcie dzieci specjaliści od planowania społecznego mogą interweniować, aby powstrzymać „krzywdzicieli dzieci”, którzy mogliby czasem palić w ich obecności, choćby na dworze.

Porównajmy to z typowymi upomnieniami na temat zdrowia kierowanymi do członków Hitlerjugend: „Kwestie żywieniowe nie są sprawą prywatną!”, „Dbanie o zdrowie to twój obowiązek!”. Inny umundurowany urzędnik pracujący w służbie zdrowia ujął tę sprawę tak: „Rząd ma pełne prawo wpływać na zachowania jednostek w takim stopniu, w jakim może to zrobić, jeżeli odbywa się to dla dobra jednostki i całej społeczności”. Tym urzędnikiem był C. Everett Koop.[610]

Wegetarianizm, zdrowie publiczne i prawa zwierząt były tylko odmiennymi aspektami obsesji na punkcie organicznego porządku – obsesji, którą owładnięte były nazistowskie umysły niegdyś i umysły liberalnych faszystów dziś. Hitler wielokrotnie podkreślał, że „nie ma przepaści między światem organicznym a nieorganicznym”. Co dziwne, to przekonanie skłaniało nazistów do uznania, że Żyd jest „inny”. Jak wspominałem wyżej, w popularnej książce poświęconej problematyce żywieniowej Hugo Kleine obwiniał „szczególne kapitalistyczne grupy interesu” oraz „zmaskulinizowane żydowskie półkobiety” o spadek jakości żywności w Niemczech, co przyczyniło się do zwiększenia liczby przypadków nowotworów. Himmler liczył, że esesmani całkowicie przejdą na żywność organiczną, a po wojnie zamierzał tym programem objąć wszystkich Niemców. Żywność organiczna została scalona z ogólniejszą nazistowską koncepcją organicznego narodu żyjącego w harmonii z ekosystemem prechrześcijańskim lub niechrześcijańskim.

Obecnie wielu Amerykanów ma obsesje na punkcie rzeczy organicznych. Whole Foods to sieć katedr tego kultu działających w systemie franczyzy. Uczestniczy w tym kulcie nawet Wal-Mart. Istota działalności sklepów sieci Whole Foods – gdzie zresztą często robię zakupy – polega na tym, jak to ujęto na łamach dziennika „New York Times”, aby dostarczyć „przednowoczesną autentyczność” lub „pozór przednowoczesnej autentyczności” w celu zapewnienia konsumentom „znaczenia”. Kto przejdzie się między półkami w sklepie sieci Whole Foods, będzie zdumiony tym, co odkryje. „Przy każdej kwestii, którą rozważamy, musimy brać pod uwagę wpływ naszych decyzji na siedem następnych pokoleń”. Tako stanowi wielkie prawo Konfederacji Irokeskiej i takież zdanie można przeczytać na każdej rolce papieru toaletowego marki Seventh Generation. Firma obiecuje „papier toaletowy po przystępnej cenie, wysokiej jakości, bezpieczny i wytwarzany z odpowiedzialną troską o środowisko”. Ten produkt zapewnia „zdrowie tobie, twojemu domowi i twojej planecie”. Nie trzeba się obawiać, Seventh Generation zapewnia także, że „wszystko zostanie zrobione”.

Weźmy teraz müsli firmy EnviroKidz. Dowiemy się z opakowania, że „EnviroKidz wybierają organicznej żywność. Rolnictwo organiczne szanuje ziemię i żyjące na niej dzikie zwierzęta”. Firma konkluduje: „Jeżeli chcesz, aby na naszej planecie chroniono zróżnicowanie biologiczne i aby ludzie lżej stąpali po ziemi, wybieraj organiczne produkty zbożowe EnviroKidz posiadające należyte certyfikaty: **czy nie byłoby wspaniale, gdybyśmy spożywali wyłącznie organiczne produkty?**”. Firma Gaiam oferuje szeroką gamę produktów w sklepach sieci Whole Foods i podobnych. W swoich materiałach reklamowych wyjaśnia tak oto: „Gaja, matka Ziemia, była czczona na Krecie w starożytnej Grecji cztery tysiące lat temu przez cywilizację minojską. [...] Koncepcja Gai wywodzi się z pradawnej filozofii, w której przyjmowano, że Ziemia jest żyjącym bytem. W Gaiam wierzymy, że cała żywa materia Ziemi, powietrze, oceany i lądy tworzą system wzajemnych powiązań, który można uważać za jeden byt”.[611]

O żadnej z tych rzeczy nie można powiedzieć, że jest zła, z pewnością też wynika z dobrych intencji. Fascynujące w Whole Foods i kulturze reprezentowanej przez tę sieć jest natomiast to, jak

bardzo zależy od upichcenia czegoś, co sprowadza się do nowej, pan-ludzkiej przynależności etnicznej. Ponad trzydzieści lat temu Daniel Patrick Moynihan i Nathan Glazer napisali w książce *Beyond the Melting Pot* (Za tyglem) tak oto: „Nadanie nazwy grupie zawodowej lub klasie bardzo przypomina nadanie nazwy grupie etnicznej". Nie jest to już prawdą, a w reakcji na to lewica i rynek wytwarzają fałszywe przynależności etniczne mające podstawę w wyobrażanych bądź romantycznie pojmowanych minionych epokach – od czasów szlachetnych dzikusów Rousseau, poprzez przedkolumbijską Amerykę Północną, po zabawne, istniejące wyłącznie w wyobraźni społeczeństwa przedchrześcijańskiej Europy albo starożytnej Grecji. Czekam, kiedy na rynku się pokażą lizaki Stowarzyszenie Thule (Thule Society Sugar Pops).

POSŁOWIE

Kuszący konserwatyzm

Minione wydarzenia dowodzą, że gdy wolność narodu znika, nie odchodzi z hukiem, lecz zawsze w ciszy, przy dobrym samopoczuciu tych, których się otacza opieką. Na tym polega śmiertelne niebezpieczeństwo stwarzane przez obecne tendencje zmierzające w stronę etatyzmu. Jeżeli wolności nie towarzyszy gotowość stawiania oporu i odrzucania łask i nie obstaje się przy czymś nienamacalnym, a przy tym niebezpiecznie niepewnym, to już niedługo w ogóle się jej nie znajdzie.

Richard Weaver, 1962 rok

Wykazywałem w tej książce, że współczesny liberalizm to potomek dwudziestowiecznego progresywizmu, który z kolei ma wspólne korzenie intelektualne z europejskim faszyzmem. Wywodziłem też, że faszyzm był międzynarodowym ruchem bądź happeningiem, który różnie się wyrażał w różnych państwach, w zależności od cech danej kultury narodowej. W Europie ten wspólnotowy impuls wyrażał się w ruchach politycznych, które były nacjonalistyczne, rasistowskie, militarystyczne i ekspansjonistyczne. W Stanach Zjednoczonych ruch zwany w innych miejscach faszyzmem lub nazizmem przybrał formę progresywizmu, łagodniejszej postaci totalitaryzmu, która bardziej pasowała do kultury amerykańskiej, choć pod względem form walki i przekonań także była nacjonalistyczna i militarystyczna. Krótko mówiąc, był to pewien rodzaj liberalnego faszyzmu.

Po Holokauście i w okresie gorączkowych działań po zabójstwie Johna Kennedy'ego doszło do odwrotu od nacjonalistycznych postaw. Wyłonił się „karzący liberalizm” (to określenie Jamesa Pieresona), w którym głoszona przez Herberta Croly'ego „obietnica” amerykańskiego życia stała się amerykańskiego życia przekleństwem. Stare marzenie progresywistów o naprawie Ameryki stało się religijną krucjatą prowadzoną w celu oczyszczenia kraju, często poprzez samobiczowanie, z niezliczonych grzechów narodu. Krótko mówiąc, liberalizm w Stanach Zjednoczonych nie oparł się pokusie totalitaryzmu, mianowicie przekonaniu, że istnieje stan kapłański złożony z ekspertów zdolnych przeprogramować społeczeństwo na modłę „progresywistyczną”. Ten progresywistyczny stan kapłański nie znosi sprzeciwu i dziś na wielu frontach się umacnia.

Na razie wszystko w porządku. Ponieważ jednak jest to długa książka, w której nieustannie nawraca się do niebezpieczeństw wynikających z dopuszczania do tego, aby te liberalno-faszystowskie wątki i – tendencje bez przeszkód rozwijały się w naszym życiu politycznym, ekonomii i kulturze, pewnie powinienem przewidzieć kilka zastrzeżeń, które mogą wysunąć czytelnicy nawet najżyczliwiej nastawieni i cechujący się otwartością umysłów. A konkretnie – „Nie przesadzasz? Nie jest tak, że chcesz nałożyć brunatną koszule na swoich przeciwników, podobnie jak oni – jak twierdzisz – wciągali ją na ciebie?”. A poza tym, kto zważa na początki tych koncepcji, jeżeli stosuje się je w sposób nieszkodliwy, a nawet przynoszą korzyści? Co jest takiego złego w drobnym postępie i pragmatyzmie, jeśli się je stosuje z umiarem? A jeśli – jak wielokrotnie twierdzisz – nie ma obecnie zagrożenia, że dojdzie do faszystowskiego puczu, to po co bić na alarm? I jeszcze jedno, co pewnie bardziej się wiąże ze sprawą. Czemu robić tyle hałasu z powodu Clintonów, Kennedy'ego, Franklina D. Roosevelta i Wilsona, a tak mało na przykład z powodu Nixona czy George'a W. Busha? Jeżeli ktoś szuka dowodów, że w Stanach Zjednoczonych rodzi się faszyzm, to czy nie powinien bardziej interesować się wywoływaniem histerii przez administrację Busha, szowinizmem i butą zrodzonymi przez przywileje władzy wykonawczej? Czy nie na tym

polega prawdziwe obecne zagrożenie i czy nie tu należy się doszukiwać faszyzmu, a nie w promocjach ekologicznego papieru toaletowego w sklepach sieci Whole Foods bądź w kampanii Hillary Clinton na rzecz dzieci?

Zacznijmy od początku. Od czasu, kiedy włączyłem się do publicznej wymiany zdań jako pisarz konserwatywny, nazywają mnie faszystą i nazistą zadowoleni z siebie liberalni ignoranci, radośnie przekonani, że ich wynikające z niedoinformowania uprzedzenia są w pełni prawdziwe. Uważam, że warto zareagować na to oszczerstwo nawet tylko z powodów osobistych. Jeszcze ważniejsze jest jednak to, że autentycznie **wierzę**, będąc konserwatystą, iż konserwatywna polityka będzie dla Stanów Zjednoczonych lepsza. W większości kwestii – od prawa wyboru szkoły, poprzez wolne rynki, po propagowanie demokracji na świecie – konserwatyści w moim przekonaniu mają słuszność. Gdy na konserwatywne propozycje reaguje się insynuacjami, że wynikają z motywacji faszystowskiej, to nie tylko szkodzi to debacie publicznej, ale także przyczynia się do odrzucenia ważnych i potrzebnych reform, przy czym nie odbywa się to w wyniku argumentacji, lecz wskutek zastraszania. Nie ulega wątpliwości, że spore znaczenie ma to, iż naszej debacie publicznej szkodzi się w ten sposób. Napisałem tę książkę w znacznej mierze po to, aby wyjaśnić sprawy i poznać – oraz umożliwić poznanie innym – prawdziwe znaczenie i charakter faszyzmu.

Jeśli chodzi o to, czy wyolbrzymiam problem, muszę powiedzieć, że wielokrotnie podkreślałem, iż współcześni liberałowie nie są nazistowskimi złoczyńcami o komiksowych cechach. Ci ludzie nie są ani bojówkarzami, ani komisarzami. To przedstawiciele władz uczelni organizujący życie studentów na kampusach i menedżerowie specjalizujący się w kwestiach zróżnicowania, psychologowie dziecięcy i działacze zaangażowani w krucjatę antynikotynową. Zagrożenie, które stwarzają, nie ma charakteru orwellowskiego i nie zagraża ludzkiej egzystencji, chyba że w tym sensie, iż mogą przyzwyczaić Amerykanów do odgórnej kontroli społecznej. Autentyczne zagrożenie polega na tym, że roztrwoni się obietnice amerykańskiego życia, wymieniając ją na woreczek paciorków zwany bezpieczeństwem. Nie, nie ma to być oskarżeniem administracji Busha czy wojny z terrorem. Istnieje różnica między dosłownym bezpieczeństwem – bronieniem społeczeństwa przed aktami przemocy zewnętrznymi bądź nielegalnymi – a bezpieczeństwem pojmowanym przenośnie, bezpieczeństwem quasi-religijnym obiecywanym przez trzecią drogę. Wygląda na to, że w przekonaniu wielu progresywistów możemy przekształcić Amerykę w ogromny kampus, gdzie zostają zapewnione żywność, schronienie i rozrywki, a jedynym przestępstwem jest podłość w stosunku do kogoś innego, szczególnie należącego do mniejszości.

Tak więc naturalnie dojdzie do wniosku, że przesadzam, ten czytelnik, który uzna, iż twierdzę, że liberalizm to koń trojański wykorzystywany do wprowadzenia nazizmu. Wprawdzie nie ulega dla mnie wątpliwości, że niektórzy wrogo nastawieni krytycy właśnie to mi zarzucą, ale tak nie jest. Będą jednak musieli to powiedzieć, gdyż niezrobienie tego oznacza przyznanie, że wspaniała nowa wieś Hillary Clinton jest **zła**. Oczywiście, można prowadzić szczęśliwe życie w zmedykalizowanym, spsychologizowanym społeczeństwie, w którym państwo pełni funkcję mamusi. Jest to jednak możliwe tylko wtedy, gdy przez odpowiednie uwarunkowanie zaczniemy czerpać przyjemność z życia w takim społeczeństwie, a do tego istotnie dąży wiele liberalnych instytucji – do zmiany nawyków naszych serc. Rzecz jasna, gdyby Ameryka utraciła indywidualizm i wolność, uważałbym to za rzecz tragiczną, ale potrafię sobie wyobrazić większe okropieństwa. Życie w jakiejś ogromnej północnoamerykańskiej Belgii z pewnością zapewniałoby przecież pewne przyjemności.

Nie zamierzałem napisać współczesnej wersji *Drogi do zniewolenia* (chciałbym potrafić to zrobić). Nie dążę także do tego, aby jak jakiś prawicowy Joe Conason obsesyjnie walić w klawiaturę, ukazując każdy sprzeciw przedstawicieli opozycji jako przerażającą zapowiedź utraty swobód. Ale jeśli kogoś nadal męczy pytanie „I co z tego?", to należy pamiętać o większym zagrożeniu. Wyświechtane zdanie, że droga do piekła jest dobrymi chęciami wybrukowana, zawiera bardzo wiele prawdy. Gdy liberałowie dążą do przekształcenia Ameryki w „nowoczesne" europejskie państwo opiekuńcze, nie kwestionuję tego, że we własnym przekonaniu kierują się

najlepszymi intencjami. Nie tylko jednak warto pamiętać o tym, że zeuropeizowana Ameryka przestałaby być Ameryką, ale także nie ma powodu zakładać, że skończyłoby się jedynie na tym, że zostałaby zeuropeizowana. Parafrazując Chestertona, można powiedzieć, że niebezpieczeństwo dla Ameryki, która przestaje w siebie wierzyć, nie polega na tym, że nie będzie wierzyć w nic, lecz na tym, że będzie mogła uwierzyć w byle co. I tu właśnie prawdopodobne się stają mroczniejsze wizje dystopijne. Niczym niegdysiejsi użyteczni idioci dzisiejsi liberałowie chcą jak najlepiej, ale przy otwieraniu drzwi na oścież, aby to umożliwić, mogą wpuścić do środka rzeczy znacznie gorsze.

Co do tego, dlaczego nie poświęciłem dużo miejsca fascynującej sprawie Richarda Nixona bądź (na przykład) Trumana czy Eisenhowera, odpowiedź jest prosta. Opowiedziałem historię, którą w moim przekonaniu należało opowiedzieć. Wspomniani prezydenci pod pewnymi względami przypominali Lyndona Johnsona, raczej realizując programy państwa opiekuńczego oraz rozszerzając zakres założeń Nowego Ładu i Wielkiego Społeczeństwa niż je kwestionując. Jeśli chodzi o Ronalda Reagana, obserwujemy być może najbardziej wyjątkową rehabilitację we współczesnej historii amerykańskiej, podobnie jak w wypadku Barry'ego Goldwatera, który całkiem niespodzianie stał się bohaterem dla liberalnego establishmentu. Wydaje się, że amerykańscy liberałowie potrafią docenić nieżyjących konserwatystów, gdy można ich wykorzystać do chłostania żyjących. Mimo to historia Ronalda Reagana wydawała się zbyt świeża i zbytnio przypominała dyskusje na temat Goldwatera – obrońców wolności często nazywają faszystami obrońcy etatyzmu – toteż najlepiej chyba było zostawić Gippera w spokoju.

Co do obecnego prezydenta, to przypadek szczególny, prawda? Nie było chyba innego amerykańskiego prezydenta, którego nazywano by faszystą tak często jak George'a W. Busha. Wiodący politycy z całego świata porównywali go z Hitlerem. Chałupniczy nadgorliwcy próbowali winić rodzinę Bushów za przyczynienie się do przejęcia władzy przez Hitlera. Demokratyczny program Busha – który popieram – zaczęto uważać za rodzaj neofaszyzmu występującego na całym świecie i w wielu częściach Stanów Zjednoczonych. Szczególnie ironiczną wymowę ma fakt, że najbardziej wilsonowski prezydent w ciągu kilkudziesięciu lat jest uważany za faszystę przez wielu takich, którzy by się zjeżyli, gdyby usłyszeli twierdzenie, że sam Wilson był faszystą.

Gdy w poprzednim rozdziale stwierdziłem, że „teraz wszyscy jesteśmy faszystami", miałem na myśli to, że nie można całkowicie usunąć faszystowskich toksyn z amerykańskiej kultury. Prawdę mówiąc, nie musi to nas bardzo niepokoić. Śmiertelność trucizny zależy od zaaplikowanej dawki, a z pewną dozą faszyzmu, podobnie jak z odrobiną nacjonalizmu czy paternalizmu, możemy żyć – można to nawet uważać za coś normalnego. Te zjawiska jednak namnażają się przez pączkowanie, a ich rozwój może stworzyć śmiertelne zagrożenie. Tak więc w odpowiedzi na pytania czytelnika „Co z Bushem?", „Co z konserwatystami?" pozwolę sobie przyjrzeć się faszystowskim tendencjom występującym dziś na amerykańskiej prawicy.

Współczujący faszyzm

W całej tej książce koncentrowałem się na totalitarnych tendencjach lewicy. Było to istotne z powodu ugruntowanego dogmatu, że faszyzm to zjawisko prawicowe. Jednakże pokusę totalitaryzmu można także zaobserwować na prawicy, ponieważ w ludzkie serce jest wpisane pragnienie społeczności.

Osoby popierające poglądy ze wszystkich odcinków całego spektrum ideologicznego wykazują tendencję do romantyzowania plemienności, posługując się różnorodnymi nazwami, a przez to pragną, aby tę plemienność odtworzono. To z definicji tendencja reakcyjna, gdyż próbuje się w ten sposób przywrócić wyobrażaną przeszłość albo zaspokoić odwieczne pragnienie. Komunizm był reakcyjny, ponieważ dążył do tego, aby z klasy robotniczej zrobić plemię. Włoski faszyzm zmierzał do tego, aby plemię zrobić z narodu, naziści zaś próbowali zrobić plemię z rasy germańskiej. Polityka tożsamości wielokulturowej jest reakcyjna, ponieważ w niej życie uważa się

za walkę między różnymi plemionami wyznaczonymi na zasadach rasowych lub płciowych. Reakcyjna jest również wieś Hillary Clinton, gdyż próbuje się w tym programie przywrócić plemienne pociechy małomiasteczkowego życia na poziomie krajowym, a nawet powszechnym (jej amerykańska wioska ostatecznie przekształca się w wioskę globalną). Konserwatyści jednak także ulegają tym ludzkim tęsknotom. Przejawia się to na różne sposoby, ale skupię się na trzech zjawiskach.

Pierwsze to nostalgia, emocja niebezpieczna w polityce. Amerykańscy konserwatyści od dawna chcą uchodzić za obrońców ogniska domowego, tradycyjnych wartości i – naturalnie – wartości rodzinnych. Nic mi nie przeszkadza, gdy konserwatyści bronią tych cnót i wartości w sferze kultury. Nie mam też nic przeciwko temu, że takie troski przekładają się na polityczne dążenia do występowania przeciwko etatystycznemu kulturkampfowi liberałów. Konserwatyści jednak wpadają w kłopoty, gdy próbują te sentymenty przekształcić w polityczne programy do wdrażania na poziomie krajowym. Piękno amerykańskiego konserwatyzmu polegało na tym, że stapiały się w nim dwa bardzo różne metale, mianowicie konserwatyzm kulturowy i (klasyczny) liberalizm polityczny. Gdy konserwatyzm jest skłonny poświęcić liberalizm polityczny w imię wdrażania konserwatyzmu kulturowego, zawsze się ociera o swoisty prawicowy socjalizm.

Drugie miejsce, gdzie konserwatyzm może się wykoleić, to dziedzina, w której z powodu pewnego desperackiego dążenia do tego, aby się okazać właściwym (w sensie wykazywania istotności, znaczenia, *relevance*), nowoczesnym, a nawet postępowym, konserwatyzm staje się konserwatyzmem naśladującym, co w gruncie rzeczy w ogóle nie jest konserwatyzmem. Cywilizacja amerykańska jest zasadniczo liberalna w klasycznym znaczeniu tego słowa. Coraz szerszy zakres obejmują jej zasady równości i wolności, co jest i nieuchronne, i pożądane. Większość konserwatystów podziela te zasadnicze wartości liberalne. Odrzucają natomiast ci konserwatyści totalitarne założenia zaimportowane do amerykańskiego liberalizmu przez dwudziestowiecznych progresywistów. Problem polega na tym, że żyjemy obecnie w świecie uwarunkowanym przez progresywistyczny punkt widzenia. Ludzie pojmują sprawy w kategoriach progresywistycznych. Nawet gdy ktoś sceptycznie podchodzi do takich koncepcji, nie zdoła przekonać innych o słuszności własnych przekonań, jeżeli nie posługuje się *lingua franca*. Gdy ktoś uważa, że aborcja jest zła, nie przekona kogoś, kto odrzuca kategorie moralne, takie jak dobro i zło.

Wreszcie jest syreni śpiew polityki tożsamości. Biali ludzie nie są ponad plemiennością. Słusznie i dobrze jest występować przeciwko limitom przyjmowanym na podstawach rasowych oraz logice wielokulturowości prowadzącej do bałkanizacji. Warto również bronić ogólniejszego zarysu amerykańskiej kultury, którą propagatorzy wielokulturowości szyderczo nazywają „białą kulturą", aby ją pozbawić legitymizacji, a ostatecznie zniszczyć. Zwalczanie ognia ogniem jest jednak niebezpieczne, gdyż prowadzi do zepsucia. Nie jest tak, że „biała chrześcijańska Ameryka" jest zła lub ciemięży. Zdecydowanie nie. Niebezpieczne jest natomiast pragnienie **narzucenia** wizji białej chrześcijańskiej Ameryki, ponieważ społeczeństwo otwarte musi się stać zamkniętym, aby taką wizję przełożyć na program rządowy. Rousseau miał słuszność w jednym. Cenzura przydaje się, gdy dąży się do zachowania moralności, ale się nie przydaje do jej przywracania. Departament Kultury Judeochrześcijańskiej mógłby wytworzyć najwyżej parodię autentycznej kultury. W Europie Kościoły są dotowane przez państwa, a przez to ławki w kościołach są puste. Problem z relatywizmem wartości – przekonanie, że wszystkie kultury są równe – polega na tym, że ważne kwestie rozstrzyga się nie poprzez starcie idei, lecz poprzez starcie potęg politycznych, a każda subkultura w naszym zbałkanizowanym społeczeństwie staje się elektoratem jakiegoś funkcjonariusza rządowego. Prowadzi to do usankcjonowania przez państwo wielokulturowego etosu, w którym Aztekowie i Ateńczycy są równi – przynajmniej w przekonaniu nauczycieli ze szkół publicznych i guru od wielokulturowości. W społeczeństwie otwartym zwyciężają najlepsze praktyki. A konserwatywne podejście jest takie, że najlepsze praktyki są najlepsze nie dlatego, że są białe czy chrześcijańskie, lecz dlatego, że są po prostu najlepsze.

Oczywiście, niebezpieczeństwo stwarzane przez wielokulturowe państwo opiekuńcze polega na tym, że wskutek przyjęcia relatywizmu wartości tworzy się klimat, w którym biali

chrześcijanie byliby głupcami, gdyby nie walczyli o władzę. Jeżeli na przykład szkoły publiczne mają wpajać dzieciom zasady moralne, to nie można winić rodziców za to, że chcieliby, aby były to zasady wyznawane przez nich. Jest bardzo podobnie jak w przypadku ingerencji w sferę biznesu i inne dziedziny życia. Gdy odrzuci się klasyczną liberalną wizję państwa jako sędziego niekierującego się emocjami i rozjemcy, aby zamiast niej przyjąć wizję państwa mamusinego, w którym niektórych się faworyzuje, jednostki, grupy ludzkie i przedsiębiorstwa zachowują się całkowicie rozsądnie, kiedy walczą o miłość Matki.

W ostatnim dwudziestoleciu te trzy bodźce konserwatyści manifestowali w wielu sytuacjach. Najlepszym przykładem jest chyba postawa Patricka J. Buchanana, czołowego żyjącego wzorca tego, co mają na myśli liberałowie, gdy mówią o narastającym amerykańskim faszyzmie.

Urodzony w Waszyngtonie w katolickiej rodzinie irlandzkiego pochodzenia Buchanan zaczął karierę od pisania tekstów dla pisma „St. Louis Globe-Democrat". W latach sześćdziesiątych dołączył do ekipy Richarda Nixona, aby pomóc byłemu wiceprezydentowi wracającemu na scenę polityczną. Nominalnie należący do obozu Goldwatera, Buchanan pełnił funkcję reprezentującego Nixona ambasadora akredytowanego przy kręgach konserwatywnych, a ponadto bronił zbyt progresywistycznego Nixona przed konserwatystami i jednocześnie bronił konserwatystów przed Nixonem. Po wyborach przeprowadzonych w roku 1968 Buchanan był doradcą zarówno Nixona, jak i wiceprezydenta Spiro Agnew, dla obu także pisał mowy.

Zanim nadano mu przydomek Pitchfork Pat (Pat Widły), Buchanana uważano za populistę. Pomógł ukuć zwrot „milcząca większość" dla Nixona i nakłonił swego przełożonego do przypuszczenia ataku na elity ze wschodniego wybrzeża oraz – często posługując się kodem – Żydów. W serii notatek z 1972 roku doradzał Nixonowi, że prezydent „powinien w polityce amerykańskiej przejść do tradycji lub motywu przeciwnych establishmentowi". Nixon powinien ukazać George'a McGoverna „jako kandydata gazety »New York Times«, Fundacji Forda, elitystycznych lewicowych profesorów, zadufanych manifestantów, czarnych radykałów i tej całej elitystycznej bandy". Doradzając to, Buchanan jednocześnie zalecał, aby Nixon starał się uchodzić za „kandydata zwykłego człowieka, człowieka pracującego". Liberalni komentatorzy systematycznie porównują Buchanana z wielebnym Coughlinem.[612] To prawda, że Buchanan ma chyba niepokojący problem z Żydami, ale to nastawienie wynika nie tyle z jego więzi z konserwatystami, ile z reprezentowanych przez niego pozostałości populizmu w stylu lat trzydziestych XX wieku. Buchanan opiewał neutralistyczną organizację America First Committee oraz uważał, podobnie jak Charles Lindbergh, że Stany Zjednoczone zostały wciągnięte do II wojny światowej przez grupy, które nie kierowały się interesami tego państwa.

W latach dziewięćdziesiątych gniew liberałów z powodu „prawicowego" faszyzmu Buchanana doszedł do rozjuszenia. Molly Ivins następujące pisała w reakcji na mowę wygłoszoną przez Buchanana w 1992 roku podczas krajowej konwencji Partii Republikańskiej: „To przypuszczalnie lepiej brzmiało w oryginale, czyli po niemiecku".[613] Ironiczną wymowę ma to, że Buchanan w istocie przechodził na **pozycje lewicowe**. Przez wiele lat przeciwnicy Buchanana nazywali go kryptonazistą z tego powodu, że bronił Ronalda Reagana i Partii Republikańskiej. Naprawdę jednak jedynym czynnikiem, który panował nad jego faszystowskimi instynktami, była lojalność wobec Partii Republikańskiej i ruchu konserwatywnego. Po Reaganie i zimnej wojnie Buchanan odrzucił jedno i drugie, na lewicową modłę poszukując swoich prawdziwych zasad.

Buchanan mówi o sobie, że jest „paleokonserwatystą", ale w gruncie rzeczy jest neoprogresywistą. Podczas kampanii przed wyborami rozpisanymi na 2000 rok występował przeciwko zwolennikom wolnego rynku i podatku liniowego, mówiąc, że zbyt wiele czasu spędzili „w basenie dla jachtów z chłopakami".[614] Buchanan opowiadał się za wprowadzeniem limitu wynagrodzeń dla kadr zarządzających, za podwyżką zasiłków dla bezrobotnych i przeciwko wszelkim wolnorynkowym reformom Medicare, a ponadto poparł „trzeciodrogowe" nastawienie wobec aktywizmu rządu. Neoprogresywizm Buchanana spowodował nawet, że ten niegdysiejszy współpracownik Reagana przypuścił atak na darwinizm społeczny cechujący wolny rynek.

Pod względem kulturowym populizm Buchanana pod hasłem „szykuj broń” był cofnięciem się do Williama Jenningsa Bryana i Joe McCarthy'ego. Buchanan ponadto reprezentuje nawrót teorii „samobójstwa rasy” z czasów progresywizmu. W książce zatytułowanej *The Death of the West* (*Śmierć Zachodu*) Buchanan wywodzi, że biała rasa staje się „gatunkiem zagrożonym”, który zostanie połknięty przez hordy z Trzeciego Świata. Sugeruje, że ultranacjonalistyczny rosyjski demagog Władimir Żyrinowski mógł mieć słuszność, gdy proponował rosyjski program *Lebensborn*, w którym Rosjanie przyjęliby poligamię. Buchanan, hardy irlandzki rozrabiaka, zawsze z wielką powagą podchodził do kwestii dumy z pochodzenia etnicznego. Zamiast więc występować przeciwko lewicowej wielokulturowości przyjął ją, przekonując, że koledzy z elit powinni podjąć działania, aby bardziej przypominać wyglądem Amerykę” i w tym celu wprowadzić limity „białych nie-Żydów”, czyli „Euroamerykanów”.[615]

Pożenienie etatyzmu z eugenicznym rasizmem stanowiło motywację intelektualistów z ery progresywistycznej, takich jak Thomas Woodrow Wilson, Theodore Roosevelt, Edward Alsworth Ross i Richard Ely. Konserwatyści powinni sobie zadać pytanie, czy takie nastawienie w wydaniu Buchanana czymkolwiek się różni od tych założeń. Jednocześnie liberałowie, którzy uważają, że z powodu takich przekonań zwolenników Buchanana należy nazywać faszystami, muszą wyjaśnić, dlaczego progresywistów się nie obwinia, choć głosili dokładnie takie same poglądy.

Co do polityki zagranicznej, wydaje się, że Buchanana i George'a W. Busha dzielą lata świetlne. Izolacjonizm Buchanana i jego radykalne poglądy na temat Izraela spowodowały, że zarówno wśród lewicowców, jak i wśród prawicowców pojawili się ludzie darzący go dziwnym poważaniem. Trzeba jednak pamiętać, że Buchanan był pierwszym „współczującym konserwatystą”. Gdy go zapytano o zdanie na temat hasła George'a W. Busha, ubolewał: „Mógłbym mu zarzucić plagiat”.[616]

Współczujący konserwatyzm Busha różni się jednak od nastawienia Buchanana zasadniczymi aspektami. Buchanan opowiada się za ograniczeniem imigracji, gdyż jego przerażenie budzi napływ Latynosów do Stanów Zjednoczonych. Bush, o czym doskonale powszechnie wiadomo, jest za imigracją, twierdząc, że „świat wartości rodzinnych nie kończy się na Rio Grande”. Bush opowiada się za wolnym rynkiem, obniża stawki podatkowe i zajmuje umiarkowane stanowisko w kwestii akcji afirmacyjnej. Zależy mu na tym, aby do Partii Republikańskiej wstępowali przedstawiciele mniejszości. Prowadzi ponadto, w przeciwieństwie do Buchanana, zdecydowaną internacjonalistyczną politykę zagraniczną, żywiąc głęboką sympatię dla Izraela.

Są jednak rzeczy rzeczywiście łączące Busha i Buchanana. Po pierwsze, polityka Busha – podobnie jak przekonania Buchanana – to wynik pewnej kapitulacji przed bazą społeczną. Bush reprezentuje Amerykę „czerwonych stanów” (czyli zdominowanych przez zwolenników republikanów) bardzo podobnie do tego, jak Bill Clinton, a jeszcze wyraźniej John Kerry reprezentują Amerykę stanów „niebieskich” (gdzie przeważają zwolennicy Partii Demokratycznej). Pod wieloma względami stanowisko zajmowane przez Busha to ustępstwo na rzecz rzeczywistości. W spolaryzowanej kulturze politycznej prezydenci muszą się opowiadać po którejś ze stron, aby ich wybrano. Jednakże takie pragmatyczne ustępstwa nie wymażą faktu, że polityka, której podstawą jest troszczenie się o wyborców ustrojonych świecidełkami z kasy publicznej, wyrządza poważną szkodę konserwatywnym zasadom.

Po drugie, i Bush, i Buchanan są wytworami nowego progresywistycznego ducha w polityce amerykańskiej. Po zburzeniu muru berlińskiego liberałowie uważali, że wskutek odrzucenia programu bezpieczeństwa narodowego jako kwestii wyznaczającej charakter polityki zagranicznej będą mogli wskrzesić program progresywistyczny. Liczyli, że „pokojową dywidendę” zainwestują w najrozmaitsze programy trzeciodrogowe, między innymi neokorporacjonistyczne partnerstwa publiczno-prywatne, naśladując bardziej oświecone programy polityki przemysłowej wdrażane w Europie i Japonii. Bill Clinton swobodnie czerpał z założeń politycznych Kennedy'ego i Franklina D. Roosevelta, stapiając retorykę populistyczną („przede wszystkim ludzie”) z motywami nowej polityki z czasów Kennedy'ego. Szczytem tego wszystkiego była podjęta przez Hillary Clinton

próba przejęcia amerykańskiej służby zdrowia, co z kolei spowodowało uwolnienie w znacznym stopniu libertariańskich przeciwciał w postaci Umowy z Ameryką (*Contract with America*) i rewolucji Gingricha, niestety krótkotrwałej. Z tego napięcia wyłoniły się pewne bardzo dobrze przyjęte programy polityczne i jeszcze bardziej zachęcająca frazeologia, na przykład reforma systemu świadczeń społecznych czy deklaracja Billa Clintona ze stycznia 1996 roku, że „skończyła się era wielkiego rządu". Szybko jednak libertariański zapał zanikł, gdy społeczeństwo opowiedziało się po stronie prezydenta Clintona w sprawie skazanego na porażkę programu redukcji administracji państwowej zapoczątkowanego przez Newta Gingricha.

Sam Gingrich, który próbował wcześniej zlikwidować różnorodne agencje rządowe, jednocześnie głosił, że czas, kiedy jest spikerem, oznacza świt nowej ery progresywistycznej, zawsze też pozytywnie i z sympatią wypowiadał się o wcześniejszych pokoleniach liberałów. Przez całe lata dziewięćdziesiąte republikanie i autorzy konserwatywni byli pod urokiem progresywizmu. Prawdziwym kultem jednostki zaczęto otaczać Theodore'a Roosevelta i kolejni politycy głosili, że idą w jego ślady – najważniejszy wśród nich był John McCain, którego umiłowanie regulacji w stylu Rooseveltów stało się nieledwie legendarne.

W latach dziewięćdziesiątych redakcja pisma „Weekly Standard" rozpoczęła krucjatę „wielkości narodu" utrzymaną w tradycji Surowych Jeźdźców.[617] David Brooks z aprobatą przytaczał ostrzeżenie Roosevelta, że Amerykanom grozi to, iż „pochłonie ich przebojowy komercjalizm, niezważający na wyższe życie, życie aspiracji, znoju i ryzyka". Czego była potrzeba do zwalczenia tej zgnilizny? „Muskularnego progresywizmu" Roosevelta, rzecz jasna. Jeżeli Amerykanie „myślą wyłącznie o wąsko pojmowanym własnym interesie, o swojej działalności handlowej – ostrzegał Brooks – to tracą poczucie wielkich aspiracji i szlachetnego celu". Przekład: Amerykanie potrzebują polityki znaczenia. Jednocześnie William Kristol, redaktor pisma „Weekly Standard", zabrał się do krytyki antyrządowego konserwatyzmu, ukazując, że cechuje go niedojrzałość i nie przynosi oczekiwanych skutków, a jego tygodnik potrząsał szabelką, by straszyć Chiny i Irak.[618]

Z takiego oto środowiska wyłonił się „współczujący konserwatyzm". Karl Rove, doradca Busha, zagorzały wielbiciel Theodore'a Roosevelta, zaproponował współczujący konserwatyzm nie jako rozwiązanie alternatywne dla głoszonej przez Clintona polityki trzeciej drogi, lecz jako republikańską wersję tego samego. W 2000 roku George W. Bush z dumą kandydował jako odmienny typ konserwatysty, mówiąc o znaczeniu szkolnictwa, samotnym macierzyństwie i jedności narodowej. Zapożyczając określenie od Marvina Olasky'ego, zręcznego intelektualisty chrześcijańskiego, który ukuł zwrot „współczujący konserwatysta", ekipa Busha postanowiła wyraźnie dać do zrozumienia, że w jej przekonaniu rząd to narzędzie miłości, szczególnie miłości chrześcijańskiej.

Już sam przymiotnik „współczujący" jest echem progresywistycznych i liberalnych zarzutów, że ograniczony rząd jest okrutny, samolubny lub postępuje zgodnie z zasadami społecznego darwinizmu. Innymi słowy, wyłącznie jako hasło marketingowe, reprezentował odrzucenie klasycznego liberalizmu w samym środku współczesnego konserwatyzmu amerykańskiego, ponieważ oznaczał założenie, że ograniczony rząd, wolne rynki i osobista inicjatywa jakoś są „niewspółczujące".

Mimo to konserwatyści ubolewający z powodu reprezentowanego przez Busha „konserwatyzmu wielkiego rządu", jakby miał oznaczać jakąś wielką zdradę, nie biorą pod uwagę tego, że ich ostrzegano. W 2000 roku, podczas debaty przed wyborami prezydenckimi, Bush powiedział, że jego ulubionym filozofem politycznym jest „Jezus Chrystus". Konserwatyści opowiadający się za ograniczonym rządem powinni byli wtedy wyczuć ducha ewangelii społecznej.

Michael Gerson, który przez wiele lat układał mowy Busha i był jego doradcą, nie kaja się z powodu swojego przekonania, że rząd federalny powinien być przepojony duchem chrześcijańskiej dobroczynności. Gdy odszedł z Białego Domu, napisał dla „Newsweeka" artykuł zatytułowany *A New Social Gospel* (Nowa ewangelia społeczna), w którym przedstawiał, że nowe zasady

ewangeliczne oznaczają „opowiadanie się po stronie życia i biednych". W innym tekście opublikowanym na łamach „Newsweeka" grzmiał przeciwko konserwatyzmowi małego rządu, załamywał ręce z powodu „nieskrępowanego indywidualizmu" i konkludował, że „każdy ruch polityczny wynoszący abstrakcyjną ideologię antyrządową ponad potrzeby ludzi nie jest konserwatywny i nie ma szans na zwycięstwo".[619]

Nie ulega wątpliwości, że George W. Bush w znacznym stopniu te poglądy podziela. W 2003 roku twierdził, że „gdy ktoś wyrządza krzywdę", rząd musi „zadziałać". I w czasach jego prezydentury tak się działo. Utworzono nową agencję rządową, Medicare powiększono prawie o 52%, a wydatki na szkolnictwo wzrosły mniej więcej o 165%. Od roku 21101 do 2006 o 41% zwiększono wydatki na program walki z ubóstwem, a łączne wydatki osiągnęły rekordową wielkość 23.289 dolarów w przeliczeniu na gospodarstwo domowe. Po raz pierwszy w historii poniesione z budżetu federalnego wydatki na program walki z ubóstwem przekroczyły 3% PKB. Całość wydatków (po uwzględnieniu inflacji) wzrosła w tempie trzykrotnie szybszym niż w czasie prezydentury Clintona. Bush ponadto doprowadził do tego, że upoważnionych do pobierania świadczeń było najwięcej od czasu Wielkiego Społeczeństwa (część D Medicare).

Nie oznacza to, że Bush całkowicie odrzucił konserwatyzm ograniczonego rządu. Jego nominacje na stanowiska w sądownictwie, obniżki stawek podatkowych oraz dążenia do sprywatyzowania Social Security to przejaw albo pozostałości lojalności wobec programu ograniczonego rządu, albo uznanie, że nie można całkowicie ignorować konserwatystów opowiadających się za ograniczoną administracją państwową. Jednakże Bush naprawdę reprezentuje odmienny rodzaj konserwatysty. Należy do tych, którzy ze zrozumieniem i sympatią odnoszą się do ingerencji w społeczeństwo cywilne w stylu progresywistycznym. Jego mająca za podstawę wiarę inicjatywa to wynikające ze szlachetnych intencji dążenia do zatarcia granic między filantropią prywatną a państwową. W wywiadzie udzielonym Fredowi Barnesowi z pisma „Weekly Standard" Bush wyjaśniał, że odrzuca reprezentowany przez Williama F. Buckleya reakcyjny konserwatyzm ograniczonego rządu. Prezydent powiedział Barnesowi, że konserwatyści muszą „przewodzić" i być „działaczami". To nastawienie należy do tej samej grupy co błędne rozumienie Busha, gdy za konserwatyzm bierze poparcie udzielane bazie społecznej, która uważa się za „konserwatywną".[620]

Naturalnie Bush nie zawsze był więźniem swojej bazy. W znacznym stopniu podobnie jak jego progresywistyczni poprzednicy – Clinton, Nixon, Franklin Roosevelt i Wilson – kwestionuje motywację wyborców najbardziej lojalnych w stosunku do niego, uznając ją za „niewspółczującą", gdy ci Amerykanie różnią się od niego zdaniem na temat imigracji czy szkolnictwa.

Wielu konserwatystów, wśród nich Bush i Buchanan, nie rozumie tego, że konserwatyzm nie jest ani polityką tożsamości dla chrześcijan lub białych ludzi, ani prawicowym progresywizmem. To raczej odrzucenie wszelkich form religii politycznej. Odrzucenie przekonania, że polityka może zapewniać zbawienie. Konserwatyzm to przekonanie, że właściwie zarządzana republika ma rząd o ograniczonych ambicjach. Konserwatysta portugalski może chcieć zachowania monarchii. Konserwatysta chiński będzie dążył do zachowania prerogatyw partii komunistycznej. Jednakże w Stanach Zjednoczonych, co zaobserwował między innymi Friedrich Hayek, konserwatystą jest ten, kto chroni i broni zasad, które w Europie uważa się za **liberalne**, w Stanach Zjednoczonych zaś na ogół za konserwatywne, mianowicie własności prywatnej, wolnych rynków, indywidualnej wolności, wolności sumienia oraz praw społeczności do samodzielnego decydowania, jak będą żyć zgodnie z tymi pryncypiami.[621] Dlatego konserwatyzm, klasyczny liberalizm, libertarianizm to różne sztandary jedynej prawdziwie radykalnej rewolucji politycznej w tysiącletnim okresie. Amerykańskie fundamentalne zasady mieszczą się w tej tradycji, a współcześni konserwatyści starają się ten program rozwijać i go bronić. Amerykańscy konserwatyści z zasady nie opowiadają się ani przeciwko zmianie, ani przeciwko postępowi. Żaden dzisiejszy konserwatysta nie chce przywrócenia niewolnictwa ani zlikwidowania papierowego pieniądza. Konserwatysta jednak zdaje sobie sprawę, że postęp dokonuje się wskutek

rozwiązywania problemów stwarzanych przez niezgodności w naszej tradycji, nie przez odrzucenie tej tradycji.

Dziś konserwatyści nieustannie się bronią, aby wykazać, że „dbają” o jakąś sprawę lub grupę. Często po prostu poddają się w kwestiach środowiska, reformy systemu finansowania kampanii bądź limitów rasowych, aby dowieść, że są dobrymi ludźmi. Jeszcze bardziej niepokoi to, że niektórzy **libertarianie** porzucają historyczne oddanie negatywnej wolności – polegającej na uniemożliwianiu państwu ograniczania naszych swobód – i przyjmują nową pozytywną wolność, zgodnie z którą państwo robi wszystko, co w jego mocy, aby pomóc nam urzeczywistnić wszystkie nasze możliwości.[622]

Być może najpoważniejsze zagrożenie polega na tym, że przestajemy dostrzegać, gdzie polityka się zaczyna i kończy. W społeczeństwie, w którym oczekuje się, że rząd ma robić wszystko, co „dobre” i mające sens „pragmatyczny”, w społeczeństwie, w którym odmowa uznania czyjejś samooceny graniczy ze zbrodnią nienawiści, w społeczeństwie, w którym sprawy osobiste należą do dziedziny politycznej, istnieje stałe zagrożenie, że taki czy inny kult zostanie nasączony władzą polityczną. Niepokoić może to, że w Wielkiej Brytanii jest więcej samozwańczych rycerzy Jedi niż Żydów. Mogę przewracać oczyma w reakcji na praktykujących wiccę, osoby zawierające związki małżeńskie zgodnie z obrządkiem klingońskim, teoretyków odmienności (*queer theorists*), druidów i członków organizacji Earth First!, ale dopóki te praktyki nie przekształcają się w ruch polityczny, dopóty można to z rozbawieniem tolerować. Kulty jednak często wykazują własną wolę mocy. Między innymi z tego powodu w Niemczech nadal zakazana jest działalność scjentologów, podobnie jak partia nazistowska. Coraz trudniej kwestionować pogańskie założenia ruchów na rzecz środowiska i nie zostać przy tym uznanym za oszołoma. Obstawiam, że będzie tylko coraz trudniej. Wygląda też na to, że większość liberałów i lewicowców nie potrafi zająć się problemem dżihadyzmu – zasadniczo faszystowskiej religii politycznej – gdyż obawia się, że pogwałci zasady wielokulturowej poprawności politycznej.

Ostatecznie wszystko się sprowadza do dogmatu. Wszyscy w pewnych sprawach przyjmujemy pewne dogmaty. Wszyscy wierzymy, że są pewne fundamentalne prawdy i zasady, które pozwalają ustalić, co jest dopuszczalne, co niedopuszczalne, szlachetne i podłe. Słowo „dogmat” ma wspólny rdzeń z greckim czasownikiem oznaczającym 'wydaje się dobre'. Sam rozum nie sprawi, że ludzie zaczną działać. Chesterton zauważył, że mężczyzna wyłącznie racjonalny nie ożeni się, a wyłącznie racjonalny żołnierz nie będzie walczyć. Innymi słowy, dobry dogmat to najpotężniejszy hamulec przeciwko złym koncepcjom i najpotężniejszy bodziec skłaniający do dobrych uczynków. W 1964 roku, omawiając libertariański pomysł sprywatyzowania latarni morskich, William F. Buckley wypowiedział się następująco: „Gdyby nasze społeczeństwo poważnie zastanawiało się nad tym, czy zdenacjonalizować latarnie morskie, nie zastanawiałoby się w ogóle nad tym, czy nacjonalizować służbę zdrowia”. Przedsięwzięcie liberalno-faszystowskie można scharakteryzować tak, że jest to dążenie do delegitymizacji dobrego dogmatu poprzez twierdzenie, że **wszystkie** dogmaty są złe.

Z tego powodu konserwatyści i prawicowcy wszelkiej maści znaleźli się w niekorzystnym położeniu – ponieważ popełniliśmy „błąd” polegający na tym, że zapisaliśmy własny dogmat. Uważam te podstawy za błędne, ale prawicowy progresywizm przynajmniej uczciwie mówi, skąd bierze swój dogmat. Można odrzucać albo przyjmować Biblię (albo prace Marvina Olasky'ego) jako źródło inspiracji przy opracowywaniu programu działania albo działań politycznych. Na tej samej zasadzie można dyskutować z koncepcjami Friedricha Hayeka i Miltona Friedmana. Konserwatyści – w przeciwieństwie do purystycznych libertarian – nie występują przeciwko aktywizmowi rządu. Jednakże z libertarianami podzielamy dogmat, że jako ogólna zasada jest to koncepcja zła. Nie oznacza to, że od tej reguły nie ma wyjątków. Dogmatycznie wierzymy, że kradzież jest zła, nawet gdy możemy sobie wyobrazić sytuacje, w których można by jej bronić z powodów moralnych. Na podobnej zasadzie konserwatyzm sądzi, że rola państwa powinna być ograniczona, a jego ingerencje należy uważać za wyjątki. Jeżeli konserwatyzm traci tę ogólną

zasadę – jak się stało za prezydentury George'a W. Busha – to przestaje być właściwie rozumianym konserwatyzmem.

Szczególne zagrożenie stwarzane przez dzisiejsze religie polityczne lewicy polega dokładnie na tym, że te religie utrzymują, iż nie ma w nich dogmatów. Ich propagatorzy twierdzą, że stają w obronie wolności i pragmatyzmu, które w ich przeświadczeniu są rzeczami dobrymi w sposób oczywisty. Unikają problemów „ideologicznych". W ten sposób uniemożliwiają dyskusję na temat najbardziej podstawowych założeń przyjmowanych w ich programach, utrudnia to także niezmiernie wykazanie totalitarnych pokus kryjących się w ich sercach. Propagatorzy ci mają swój dogmat, ale umieszczają go poza obrębem sceny. Zmuszają nas za to do dyskutowania z ich intencjami, motywacja, uczuciami. Liberałowie postępują słusznie, ponieważ „troszczą się", jak nam się to mówi, i osiągają to, że w amerykańskim życiu politycznym programowym hasłem staje się „współczucie". Tak więc liberałowie panują nad dyskusją, ani nie tłumacząc, dokąd chcą dojść, ani nie musząc rozliczać się z tego, gdzie byli. Odnieśli sukces tam, gdzie faszystowscy intelektualiści ponieśli w sumie porażkę, mianowicie doprowadzili do tego, że pasja i aktywizm stały się miernikami cnoty politycznej, a motywacja jest ważniejsza od faktów. Ponadto poprzez wyśmienity manewr retoryczny w dużej mierze zdołali to osiągnąć, twierdząc, że faszystami są ich **przeciwnicy**.

W 1968 roku podczas debaty nadawanej przez stację telewizyjną ABC News w czasie zorganizowanej w Chicago krajowej konwencji Partii Demokratycznej Gore Vidal nieustannie drażnił Williama F. Buckleya. Ostatecznie nazwał go kryptonazistą. Sam Vidal nie krył własnego homoseksualizmu, był poganinem, zwolennikiem etatyzmu i wymyślał teorie spiskowe. Buckley, patriota, zwolennik wolnego rynku, antytotalitarny dżentelmen o nienagannych manierach, w pewnym momencie nie wytrzymał i odparował: „Słuchaj, odmieńcu, przestań mnie nazywać kryptonazistą, bo ci walnę w dziób i w gipsie będziesz łaził". W długim życiu publicznym Buckleya była to jedna z nielicznych sytuacji, kiedy przestał się zachowywać w sposób cywilizowany. Natychmiast tego pożałował. Doskonale rozumiem gniew Buckleya, ponieważ wiele razy obrzucano mnie podobnymi obelżywymi epitetami. W pewnym momencie trzeba rzucić rękawicę, nakreślić linię na piasku, ustanowić granicę i wreszcie krzyknąć „Dosyć, wystarczy!". Postawić się „postępowi" i ryknąć „Dość!". Żywię nadzieję, że ta książka posłużyła temu samemu celowi co wybuch Buckleya, przy jednoczesnym dążeniu do bardziej typowej dla niego kultury.

POSŁOWIE DO WYDANIA Z 2009 ROKU

Barack Obama i stara znana zmiana

W 2008 roku napisałem książkę poświęconą przede wszystkim ukrytej historii intelektualnej oraz temu, jak ta historia nadal w wielkim stopniu pozwala zrozumieć współczesne społeczeństwo, a w szczególności współczesny liberalizm. Krytycy rżeli. Lewicowi bloggerzy zabili posłańca, rzucili się na okładkę, krzywili się z powodu tytułu i na różne inne sposoby walili łyżkami w blaciki przy krzesełkach na znak protestu, że książka w ogóle się ukazała. Elitarne pisma robiły, co w ich mocy, aby ją zignorować (ostatecznie okazało się to niemożliwe, ponieważ *Lewicowy faszyzm* piął się na listach bestsellerów i długo się na nich utrzymywał).

Później zdarzyło się coś zabawnego. Samozwańczy „przekształceniowy" przywódca utworzył samozwańczy „ruch", w znacznym stopniu napędzany przez poczucie przeznaczenia historycznego („To jest ta chwila!") i pragnienie odrodzenia narodu („Zapewnimy wielkość temu narodowi!"). Ruch ten żądał jedności narodowej za wszelką cenę i gloryfikował siebie z powodu młodzieńczej energii. Niekiedy jego najbardziej rzucający się w oczy zwolennicy byli ślepo oddani kultowi jednostki mającemu ewidentnie rasistowskie podteksty i cechującemu się często wyraźnymi odwołaniami do mesjanistycznego zapału. Ten nowy „przywódca ludzi" – który wypracował własną wiarygodność jako organizator manifestacji ulicznych i uczeń Saula Alinsky'ego – ślubował, że przywróci obietnicę amerykańskiego życia w ogromnym wspólnym przedsięwzięciu, w które zaangażują się przedsiębiorstwa, rząd, Kościoły i pracujący Amerykanie. Jego program zawierał między innymi obowiązkową służbę młodzieży, nowe jednostki obrony cywilnej i upowszechnianie dobrobytu.

Krótko mówiąc, Hillary Clinton, współspiskowiec oskarżony w oryginalnym podtytule tej książki („Tajemna historia amerykańskiej lewicy od Mussoliniego do polityki zaangażowania" [*Politics of Meaning*]), została pokonana przez Baracka Obamę dokładnie przez to, że Obama lepiej niż każdy z jego przeciwników potrafił ucieleśnić wiele motywów omawianych w tej książce.

Naturalnie, dla tych, którzy mają oczy do patrzenia, nie ulegało wątpliwości, że kampania Baracka Obamy – i reakcja na nią – była najlepszym potwierdzeniem słuszności mojego argumentu, że faszystowsko-progresywistyczne wątki utrzymują się we współczesnym liberalizmie i ogólnie w Stanach Zjednoczonych. Już od roku czytelnicy przesyłają mi kolejne dowody, że Barack Obama pasuje do wizji liberalnego faszyzmu. Nie ma tu miejsca na to, by wymienić wszystkie przykłady i anegdoty, ale o kilku istotnych kwestiach można wspomnieć.

Polityka zmiany

Cała ta książka jest poświęcona polityce zmiany. Czy był to łagodniejszy faszyzm twórców Nowego Ładu, czy zbrodniczy totalitaryzm nazistów, zmiana była gwiazdą przewodnią w każdym faszystowskim momencie historii. Od jakobinów po Weather Underground zasadniczą aspiracją polityczną była przemiana, rozpoczęcie wszystkiego od nowa, od roku zerowego. Progresywiści uważali, że czas egzorcyzmować starą konstytucję i opracować nową, „żyjącą konstytucję". Czym był Nowy Ład, jeśli nie – cóż – **nowym ładem**, przemianą, nowym rozdaniem, nowym początkiem?

Barack Obama jednoznacznie obiecywał taki właśnie nowy początek. Odrzucił znoszone argumenty przeszłości wyłącznie dzięki swej transcendentnej naturze. Kolor skóry Obamy, jego

nazwisko, młodość, temperament i pobudzające umiejętności retoryczne, status outsidera i wiarygodność organizatora manifestacji ulicznych były ostatecznie jego najważniejszymi kwalifikacjami, przynajmniej dla jego najzagorzalszych zwolenników. Tym się posługiwano w masowym oczarowywaniu. Był pod każdym względem doskonałym „przywódcą ludzi", jak mawiał Thomas Woodrow Wilson, kusząc ludzi nie ideami, lecz charyzmą. Pogarda Obamy dla idei, że słowa nie mają potęgi – niemal z grymasem bólu pytał „Tylko słowa?" – to rzecz cechująca wszystkich przywódców politycznych, którzy dążą bardziej do poruszania mas niż do dyskutowania.

Jedność

Dla Obamy największą cnotą polityczną jest „jedność". „Teraz bardzo potrzeba jedności" – wielokrotnie twierdził podczas spotkań z wyborcami. Można chyba wybaczyć pytanie „Co, do cholery, te słowa mają znaczyć!". A konkretnie, co jest takiego szczególnego w jedności? Jedności w jakim celu? Jedności wokół czego? Obama ma odpowiedź. Potrzebujemy jedności nie dlatego, że dobrze brzmi bądź powoduje, że się dobrze czujemy, lecz z tego powodu, że „tylko w ten sposób możemy przezwyciężyć zasadniczy deficyt [empatii] istniejący w tym kraju". Jego żona Michelle rozwija ten wątek: „Musimy ustępować i poświęcać się dla siebie wzajemnie, aby osiągać to, co trzeba zrobić. Dlatego tu jestem, ponieważ Barack Obama jest tu jedyną osobą, która to rozumie. Że zanim będziemy mogli pracować nad problemami, musimy naprawić własne dusze. W tym narodzie nasze dusze są niesprawne".

To przekonanie – należałoby raczej mówić o poczuciu – że jedność sama w sobie ma moc leczniczą i zbawczą, jest zasadniczo faszystowskie. Stanowi fundament polityki zaangażowania Hillary Clinton i jej koncepcji wszechogarniającej wsi. Stanowiła jądro przyjmowanej przez Mussoliniego definicji faszyzmu, w którym wszystko jest w państwie i nic poza nim. Ono także skłaniało Hitlera do prowadzenia nieustannej kampanii, aby osiągnąć *Volksgemeinschaft*, a także twórców Nowego Ładu do poszukiwania „społeczności narodowej". Ujmowało wszystko, w co wierzyli progresywiści. Najpierw jedność, indywidualizm na końcu – albo wcale.

Co było symbolem faszyzmu? *Fasces*, pęki witek wokół topora. Symbolizowały potęgę liczby, chwałę jedności. Słowo „faszyzm" pochodzi od wyrazu *fascio* oznaczającego 'pęk' lub 'grupę'. Faszyzm był ideologią, w której lojalność wobec grupy wyniesiono do poziomu najwyższej cnoty politycznej, a jedność uważano za rzecz dobrą z samej swej istoty. W amerykańskiej tradycji politycznej zwykle nie zakładano, że jedność jest dobra sama w sobie. Przecież mafia czy motłoch są zjednoczone. W naszej tradycji politycznej bohaterem jest jednostka występująca przeciwko tłumowi. Nawet pobieżna lektura pism federalistów ujawnia, że ojcowie założyciele dobrze sobie zdawali sprawę z problemów wynikających z jedności. Z tego powodu w Stanach Zjednoczonych rozdzielono rząd. Podział władzy, Karta Praw Stanów Zjednoczonych, pięćdziesiąt rządów stanowych, z których każdy dzieli się dalej – to mechanizmy mające na celu uchronić przed ujawnieniem się niebezpieczeństw wynikających z jedności.

Oczywiście jedność, o której mówi Obama, jest bardzo wybiórcza i stronnicza. W swojej kampanii Obama wyraźnie odrzucał pojęcia jedności i dwupartyjności, które wymagałyby rezygnacji z jakichś punktów programu liberalnego. Jego koncepcja dwupartyjności miała przekonać nominalnych republikanów i konserwatystów do jego sprawy wyłącznie poprzez siłę jego osobowości i pasję jego ruchu. Konserwatyści i republikanie, którzy się opowiedzieli po stronie Obamy, niemal nigdy nie sięgali po argumenty konserwatywne. Chwalili raczej jego „temperament" i „przekształceniowy" charakter jego kandydatury. Niektórzy konserwatyści upokarzali się twierdzeniem, że Obama jest za życiem tylko z tego powodu, że chce, aby go poparli zwolennicy tego nastawienia.

Według samego Obamy – a także legionu jego zwolenników z mediów głównego nurtu – przyjmowana przez niego koncepcja dwupartyjnej jedności bardzo wiele zawdzięcza Abrahamowi Lincolnowi. Podobnie jak Woodrow Wilson, Obama uważa, że wiele można podziwiać w środkach wybieranych przez Lincolna (chociaż – w przeciwieństwie do Wilsona – wyraźnie podziwia także obrane przez niego cele, czyli uwolnienie niewolników). Charles Kesler następująco pisze w „Claremont Review of Books" o tym, że uważne i celowe wywoływanie skojarzeń z Lincolnem „ujawnia ogromną stronniczą ambicję, przebraną za elegancką dwupartyjność lub postpartyjność": „Obama wypowiada się tak, jakby Lincoln próbował pokonać podziały w państwie poprzez nawoływanie do jedności, do współpracy w duchu odnowy narodowej. W gruncie rzeczy jednak Lincoln podkreślał, że unia »stanie się albo **cała** jedna, albo **cała** druga«. Albo cała stanie się wolna, albo w całej będzie niewolnictwo. Obrana przez Lincolna droga do jedności biegła przez podziały, przez zmuszenie kraju do dokonania wyboru. Obama podobnie stawia sprawę, choć używa kojących sformułowań. Nasze podziały zostaną zaleczone, gdy państwo się znajdzie bezpiecznie w rękach nowego liberała, większości z Partii Demokratycznej".

Podobnie jest z próbą ukazywania Obamy jako nowego Franklina D. Roosevelta. Omówiłem w innych częściach tej książki, że liberałowie nieustannie przywoływali lata trzydzieste i sześćdziesiąte XX wieku, ukazując je jako czasy jedności i spójności narodowej. Zdecydowanie jednak nie można tego powiedzieć o tamtych dekadach. Tym, co rzeczywiście przemawia do wielu z tych ludzi, jest władza. Wilson nie znosił celów obranych przez Lincolna, ale uwielbiał jego władzę. Progresywiści lat dwudziestych XX wieku marzyli o odzyskaniu władzy, którą mieli w czasie I wojny światowej. Uzyskali to w latach trzydziestych i od tamtego czasu starają się definiować jedność narodową jako sytuację, w której osiągają zamierzone cele, nie napotykając poważnych sprzeciwów.

Bardzo ironiczną wymowę ma fakt, że liberałowie mają obsesję na punkcie jedności, gdy wziąć pod uwagę, że lewica wrogo reaguje na nawoływania do postaw patriotycznych, przynajmniej gdy dochodzą z prawej strony. Czymże jednak są nawoływania do jedności narodowej, jeśli nie odwoływaniem się do patriotyzmu? Wygląda na to, że lewicę obraża odwoływanie się do patriotyzmu, gdy nasila się przez to sprzeciw społeczeństwa wobec polityki liberalnej czy ogólnie wobec liberalnego glajchszaltungu. Gdy Amerykanie kurczowo się trzymają przestarzałych wyobrażeń o patriotyzmie, to jest problem, ale kiedy liberałowie dostrzegają w patriotyzmie instrument pozwalający im umocnić swoje pozycje, to nagle patriotyzm jest nowy i w porządku. Prawda jest taka, że patriotyczne zachęty z ery progresywistycznej zawsze są blisko powierzchni, gdy jest to dogodne, dlatego Joe Biden tłumaczył, że płacenie podatków to przejaw patriotyzmu. Widać to było także wtedy, gdy Nancy Pelosi zarzucała republikanom zasiadającym w Izbie Reprezentantów, że postępują „bardzo niepatriotycznie", nie popierając finansowego programu ratunkowego. Ciekawie będzie przyglądać się, czy Barack Obama zdoła w jeszcze większym stopniu stopić program liberalny z pojęciem „patriotyzmu". Antyamerykanizm i kosmopolityzm lewicy utrudniały to wcześniej, ale Obama może czasem odnieść sukces na tym polu. Podczas swojej kampanii posługiwał się bardziej płomiennymi określeniami patriotycznymi niż jakikolwiek kandydat Partii Demokratycznej od czasów Johna Kennedy'ego, obiecując, że zapewni Stanom Zjednoczonym „wielkość" i doprowadzi do odnowy narodowej, o której progresywiści marzyli od publikacji *The Promise of American Life* (Obietnica amerykańskiego życia) Herberta Croly'ego.

Gdy Obama przemawiał podczas konwencji Partii Demokratycznej, przyjmując nominację, wypowiadał się tak, jakby wszystkie sformułowania zaczerpnął od Croly'ego. Od pokoleń politycy obu partii mówili o „amerykańskim marzeniu". Zwrot ten, choć źle definiowany, zwykle odnosi się do jakiegoś wyobrażenia o jednostkowym dążeniu do szczęścia. Mieć własny dom czy mieszkanie, troszczyć się o rodzinę, odnosić sukcesy w wybranej dziedzinie – to dla większości ludzi oznacza amerykańskie marzenie. Cokolwiek *American dream* znaczy dla większości Amerykanów, z pewnością nie jest to pojęcie kolektywistyczne (mimo że podobno ukuł ten zwrot progresywistyczny historyk James Truslow Adams, który uważał to marzenie za ideał bardziej

kolektywistyczny). Dla większości z nas nie ma jednego amerykańskiego marzenia, ponieważ moje marzenie różni się od czyjegoś. Jest podobnie jak ze wszystkimi amerykańskimi prawami – dążenie do szczęścia nie jest prawem kolektywnym, lecz jednostkowym. To ważne z powodów zarówno pragmatycznych, jak i filozoficznych. Zgodnie z założeniami naszej wiary obywatelskiej (*civic faith*) każdy z nas otrzymał od swego stwórcy niezbywalne prawa, które nie zależą ani od nikogo innego, ani od sytuacji. W założeniach Rousseau i Deweya te prawa nie mają znaczenia, gdy nie ma grupy bądź plemienia. Jednakże na poziomie bardziej podstawowym szczęście to sprawa jednostkowa, nie kolektywna. Spokojne życie na przedmieściach, o którym marzy jeden, to koszmar dla innego. Gdy chodzi o sprawy kulturowe, obrońcy praw homoseksualistów, feministki i inni rozumieją tę kwestię, ale tylko gdy walczą z konserwatystami. Gdy ktoś z nich zaśpiewa o kolektywnej zgodności i szczęściu, szklą im się oczy jak zakryte hipnotyczną mgiełką, szczególnie gdy kolektywistyczne wypowiedzi są ujęte w kategoriach gospodarczych.

***

Amerykańskie marzenie wyraźnie się różni od koncepcji amerykańskiej obietnicy, która jest zasadniczym tematem wystąpień Obamy, a nawet całej konwencji Partii Demokratycznej. Po początkowej wzmiance o „jednostkowych marzeniach” i krótkim opisie jego życia wystąpienie Obamy zmienia się w alchemiczne deweyowskie zabiegi, które mają spowodować przemianę jednostkowej wolności w działania zbiorowe.

Amerykańska obietnica, według Obamy, to nadzieja, że pewnego dnia będziemy żyli w państwie, w którym wszyscy będą pracować wspólnie, gdzie „wysiłki jednej osoby to wysiłki wszystkich” (jak to ujął w pliku filmowym). Amerykańskie marzenie – twierdzi Obama – to „koncepcja, że odpowiadamy za siebie, ale także przekonanie, że wznosimy się i upadamy jako jeden naród; fundamentalne przekonanie, że jestem stróżem brata mego; jestem stróżem mojej siostry. To obietnica, której musimy dotrzymać. [...] Jednostkowa odpowiedzialność i odpowiedzialność wzajemna – to istota amerykańskiej obietnicy”.

Brzmi to łagodnie, a nawet szlachetnie, ale na jednym poziomie jest pozbawione znaczenia, a na drugim jest oszukańcze. Brak znaczenia wynika z tego, że zasadniczo dla Obamy jednostkowa odpowiedzialność i odpowiedzialność wzajemna są tym samym. Zadaniem jednostki jest troska o zbiorowość, zbiorowość zaś ma się troszczyć o jednostkę. Innymi słowy, wszyscy dla jednego, jeden dla wszystkich albo *Gemeinnutz geht vor Eigennutz*.

Oszustwo natomiast wynika z tego, że Obama próbuje uduchowić państwo opiekuńcze. Broni swojej koncepcji wzajemnej odpowiedzialności na tej podstawie, że od każdego z nas się wymaga, aby był stróżem brata swego, zgodnie z nakazem biblijnym. Pomijając już fakt, że takiego nakazu w istocie nie ma ani w żydowskich, ani chrześcijańskich księgach biblijnych, trzeba także wspomnieć, że obowiązku troszczenia się o bliźniego nie wypełnia się przez opłacanie podatków, a już na pewno nie przez narzucanie ich innym poprzez głosowanie. Biblijne nakazy czynienia dobra, niesienia pomocy ubogim i upośledzonym nie są argumentami przemawiającymi za tym, że należy wykorzystywać potęgę państwa, aby zmuszać innych do postępowania zgodnego z ograniczonym zbiorem często bezproduktywnych programów polityki państwowej. Progresywiści dążyli do tego, aby wszystkie odkupicielskie działania były kolektywne. Państwo miało zapewnić jedyny sposób odkupienia popsutych dusz nas wszystkich. W wypowiedziach Obamy w ogóle nie ma poważnych wzmianek o tym, że działają niezliczone instytucje mediacyjne w dziedzinie rozciągającej się między jednostką a państwem. Społeczeństwo obywatelskie – Kościoły, szkoły, organizacje zrzeszające wolontariuszy itd. – zapewniają podstawy wzajemnej odpowiedzialności istniejącej poza sferą rządu. Jednakże dla Obamy, podobnie jak wcześniej dla Croly'ego, istnieje wyłącznie albo-albo: albo jesteś „sam”, albo jesteś w dobrych rękach wszechogarniającego państwa. Bardzo się to różni od programu politycznego głoszonego przez Johna McCaina, i tak zbyt

progresywistycznego, w którym – krótko mówiąc – obiecuje się reformę rządu. Obama obiecywał, że zreformuje całą Amerykę.

Do najważniejszych konkluzji *Lewicowego faszyzmu* należy konstatacja, że wszystkie totalitarne „-izmy" lewicy cechują się błędem przesunięcia kategorialnego. We wszystkich tych koncepcjach widać pragnienie, aby państwo było czymś, czym być nie może. Ich propagatorzy gorąco wierzą w to, że rząd może cię kochać, może być twoim bogiem czy kościołem, plemieniem bądź rodzicem, wsią bądź wszystkim tym na raz. Konserwatyści niekiedy popełniają ten błąd, libertarianie nie popełniają go nigdy, liberałowie popełniają go prawie zawsze. Niekiedy Obama wypowiada się tak, jakby postrzegał świat poprzez pryzmat wsi Hillary Clinton. Oto jak tłumaczy, dlaczego zamożni powinni płacić większe podatki: „Jeśli żyję sobie jak pączek w maśle i jest kelnerka, która zarabia płacę minimalną i do tego dostaje napiwki, i mnie na to stać, a jej nie, to czy dużo mnie kosztuje powiedzieć »Zapłacę trochę więcej«? Na tym polega troska o bliźniego". Nie, nie na tym. Technicznie rzecz ujmując, to **dawanie napiwków**. Jeszcze ważniejsze jest to, że troska o bliźniego wiąże się z niesieniem pomocy bliźnim. Wykorzystywania potęgi państwa po to, aby odebrać pieniądze zamożnemu mieszkańcowi Kalifornii i dać je kelnerce na przykład z Wirginii Zachodniej, można bronić z innych powodów, ale nie ma to nic wspólnego z troską o bliźniego, wiele za to z tym, że Obama nie potrafi dostrzec roli instytucji mediacyjnych działających w społeczeństwie obywatelskim.

W kandydaturze Obamy zdecydowanie najbardziej niepokoił jej quasi-religijny charakter. Stylistyka plakatów wykorzystywanych w czasie kampanii wyborczej, materiałów filmowych oraz wieców niezaprzeczalnie miała jakiś posmak duchowy. Na niezliczonych plakatach Obamę ukazywano w blasku świętości, z aureolą. W pewnym typowym pliku filmowym zamieszczonym w serwisie YouTube przerywano chrześcijański hymn *Lord Prepare Me to Be a Sanctuary* (Panie, przygotuj mnie, abym mógł być sanktuarium), aby ukazać liczne grupy Amerykanów nieustannie powtarzające „Prezydent Barack Obama". Nie raz w swoich wypowiedziach Obama przekraczał granicę, za którą rozciąga się dziedzina populistycznego mesjanizmu, Na ten populistyczny element nie zwracano dostatecznej uwagi w mediach, ponieważ same media należały do tego ruchu. Mimo to Obama po mistrzowsku uduchowiał masy: „Jesteśmy nadzieją przyszłości. Jesteśmy tymi, na których czekaliśmy. Jesteśmy zmianą, której pragniemy – obwieścił. – Właśnie wtedy poziom oceanów zaczął się podnosić wolniej, a nasza planeta zaczęła zdrowieć". Obama głosił to wielkiej grupie żarliwych zwolenników, gdy uzyskał poparcie dostatecznej liczby delegatów, by mieć zapewnioną nominację. Ogromne tłumy – nie ulega wątpliwości, że podbudowało to wielce uczestników – jednocześnie służyły zastraszeniu tych, którzy nie zostali pochwyceni przez „ruch", aby ich nakłonić do przystąpienia. Elias Canetti, laureat Nagrody Nobla, następująco opisuje ducha tłumnych zgromadzeń politycznych z lat sześćdziesiątych w książce zatytułowanej *Masse und Macht* (Masy a władza): „Odrzuca się rozróżnienia i wszyscy stają się równi. Dla tej błogosławionej chwili, kiedy nikt nie jest większy ani lepszy od innego, ludzie stają się tłumem". Fouad Ajami zwrócił uwagę na szczególny charakter teatralnych umiejętności Obamy krótko przed wyborami. „Dotychczas – pisał na łamach dziennika „Wall Street Journal" – tłumy nie należały do najważniejszych elementów amerykańskiego życia politycznego. Kojarzymy je z temperamentem społeczeństw państw Trzeciego Świata. Myślimy o takich krajach, jak Argentyna, Egipt i Iran, o rzeszach, które spaja żarliwe oddanie Peronowi, Nasserowi i Chomeiniemu. W takich społeczeństwach tłum wychodzi potwierdzić swą wiarę w odkupiciela, człowieka, który naprostuje sprawy świata".

To nas przywodzi do mesjanizmu. Trzeźwiejsi obrońcy Obamy, czyli ci, którzy nie czczą go, lecz tylko adorują, uważają, że nie robił wiele, aby propagować kult Obamy To kompletna bzdura. Prawda jest taka, że nie zrobił niczego, aby do tego kultu zniechęcać, co było równie skuteczne. W dzienniku „New York Times" pisano, że ochotników z ekipy Obamy instruowano podczas spotkań „Camp Obama", że nie mają dyskutować o kwestiach politycznych, propagując swego przywódcę, lecz „zaświadczać", jak „przyszli do Obamy", podobnie jak chrześcijanie dają świadectwo temu, jak dotarli do Jezusa. W serwisie YouTube zamieszczono mnóstwo plików filmowych, w których

gloryfikowano Obamę w kategoriach skrajnie kultowych i duchowych. Ukazywano między innymi wiele scen z dziećmi o błyszczących oczach śpiewających w taki sposób, jakby działo się to podczas ogromnego wiecu zorganizowanego w Korei Północnej. Nawet liberalny historyk Sean Wilentz komentował tak: „W kampanii [Obamy] niepokoi to, że wykroczyła poza nadzieję i zmianę, aby wejść do dziedziny odkupienia".

Deepak Chopra, guru zamożnych i naiwnych, zapewniał, piejąc, że zwycięstwo Obamy przyniesie „radykalną zmianę amerykańskiej świadomości", a Eve Konstantine, prominentna „trenerka przywództwa" wywodziła, że wreszcie urzeczywistniony został najwyższy wyraz zbiorowej duszy amerykańskiej: „Barack Obama to nasza zbiorowa reprezentacja naszych najczystszych nadziei, naszych najwznioślejszych wizji i najgłębszej wiedzy. [...] Jest naszym wytworem zrobionym z ogarniającego wszystko kwantowego pola inteligencji". Gary Hart podkreślał, że Obama „nie działa na tej samej płaszczyźnie co zwykli politycy", jest bowiem „sprawcą przekształcenia w epoce rewolucji, postacią w szczególny sposób odpowiednią do tego, aby otworzyć drzwi wiodące do XXI wieku". „To coś więcej niż Kennedy – twierdził Chris Matthews, komentator MSNBC. – To Nowy Testament. [...] Odczuwałem ten dreszcz idący w górę nogi. Chodzi mi oto, że nie czuję tego często". W wypowiedzi należącej do najsłynniejszych Oprah Winfrey stwierdziła, że Barack to On (*The One*) – bo nie potrzebujemy polityków, którzy tylko mówią prawdę, „potrzebujemy polityków, którzy wiedzą, jak być prawdą". Winfrey nie używa konkretnie religijnego słownictwa, lecz twierdzi, że Obama pomoże nam „wyewoluować do wyższej płaszczyzny". Kocha Obamę, gdyż „wyewoluował w nim przywódca, który naszemu krajowi może zapewnić wyewoluowane przywództwo". Ezra Klein, autor publikujący w „American Prospect", rozpływał się w zachwytach: „Najlepsze mowy Obamy nie pobudzają. Nie informują. Nawet za mało powiedzieć, że zapewniają inspirację. One unoszą. Wprowadzają cię we wspanialszy moment, jakby historia przestała biernie przepływać obok i – zaledwie na chwilę – skurczyła się wokół ciebie, dała ci świadomość swej obecności i twojej roli w niej. Nie jest Słowem, które stało się ciałem, lecz zwycięstwem słowa nad ciałem, nad kolorem, nad rozpaczą". Autor publikujący w „San Francisco Chronicle" przekonuje, że Obama należy do tych, których nazywa się *lightworkers* (uzdrowicielami, przewodnikami). George Lucas podejrzewa, że Obama to rycerz Jedi.

Gdyby to wszystko przetłumaczyć na niemiecki i przyjrzeć się temu, pomijając idiotyzmy, ujawniłby się pewnie niepokojący heglizm. Właśnie to głosili amerykańscy progresywiści, niemieccy narodowi socjaliści i włoscy faszyści. Przywódca wybawi nas od historii, państwo to mechanizm zapewniający nam odkupienie, grupa wypełni nas całym sensem, którego potrzebujemy. Gdy odrzuci się kwiecisty sykofantyzm i uniesienia uczennic, okaże się, że zwolennicy Obamy w gruncie rzeczy mówią, iż jest on żywym wyrazem *volkgeistu*.

Nie wszystkie elementy tego obrazu to tylko bystrze wybrane opakowanie ambitnego polityka. Pomimo wszystkich wypowiedzi o różnicach między Hillary Clinton a Barackiem Obama prawda jest taka, że podobieństw jest więcej. Kościół Trinity United Church of Christ (Zjednoczony Chrystusowy Kościół Trójcy), duchowy dom Obamy przez większą część jego dorosłego życia, opowiadał się po stronie „czarnej teologii wyzwolenia" (*black liberation theology*), która pod pewnymi zasadniczymi względami ma bardzo wiele wspólnego z Ruchem Niemieckich Chrześcijan, a pod pewnymi nie różni się od progresywistycznego ruchu ewangelii społecznej Hillary Clinton. Nie można by się tego dowiedzieć z filmowej biografii Obamy, ale jest on wytworem tej samej odmiany lewicowości Ligi Bluszczowej, którą zarazili się Clintonowie, choć wariant Obamy był intensywniejszy i zwapniony. Pani Clinton była pod wielkim wrażeniem Czarnych Panter. Pan Obama był bliskim przyjacielem i współpracownikiem Williama Ayersa, zatwardziałego terrorysty, który liczył na to, że stanie się białym odpowiednikiem bojownika z Czarnych Panter. Obrońcy Ayersa utrzymują, że obecnie jest on tylko pracownikiem naukowym, co w moim przekonaniu jest zarówno oskarżeniem, jaki obroną, Jednakże Ayers jednocześnie zawzięcie broni przekonania, że szkolnictwo musi zostać upolitycznione. W tej dziedzinie jednym z jego przewodników jest John Dewey, kolejny niesławny bohater tej książki.

W podsumowaniu należy stwierdzić, że wszystko z biografii i wypowiedzi Baracka Obamy – przynajmniej do złożenia przez niego przysięgi – doskonale pasuje do światopoglądu charakterystycznego dla liberalnego faszyzmu. Należy jednak zwrócić uwagę, że zasadniczym twierdzeniem przedstawianym w tej książce jest przekonanie, iż te tendencje i motywujące pasje są większe od jednostkowych osobowości. Żyjemy w czymś, co John Ralston Saul nazywał „nieświadomą cywilizacją". Nie zdajemy sobie sprawy, do jakiego stopnia jesteśmy przesiąknięci ideami i koncepcjami wywodzącymi się z wcześniejszych faszystowskich czasów, ponieważ jesteśmy – jako społeczeństwo – uczeni, że tylko złe rzeczy są faszystowskie, toteż wszystko, co dziś jest dobre, nie może być skutkiem złych wczorajszych rzeczy ani nijak wynikać z ich wpływu.

***

Walcząc z Obama o prezydenturę, republikanie nominowali Johna McCaina, najbardziej progresywistycznego spośród potencjalnych kandydatów. Mantra McCaina było zdanie, że wszyscy musimy służyć „sprawie większej od nas samych". Domyślnie lub wprost określenie to ujmowano w kategoriach narodowościowych. Zasadniczym motywem kampanii McCaina było hasło „Przede wszystkim kraj", które doskonale pasowało do jego życia – poświęcającego się żołnierza walczącego za ojczyznę.

Pod wieloma względami te wybory były powtórka sytuacji z roku 1912, kiedy dwaj reformatorzy, Theodore Roosevelt i Woodrow Wilson (osławieni „wojownik i kapłan") walczyli o przyszłość kraju. George Will często zwracał uwagę, że w tamtym roku dla konserwatystów wybór był oczywisty, choć niekoniecznie zachwycający, mianowicie William Howard Taft. Niestety, w 2008 roku nie było gdzie szukać Tafta. Tradycyjnych konserwatystów pokrzepiło to, że John McCain odkrył, iż jedynym sposobem pozwalającym mu uzyskać poparcie własnej partii było stonowanie, jeśli nie odrzucenie całkowicie, najbardziej progresywistycznych elementów z własnej listy życzeń.

Obama i McCain rywalizowali na złożonym tle politycznym i kulturowym. Przede wszystkim doszło do krachu finansowego. W imię udaremniania kryzysu rząd federalny na siłę kupił udziały w największych bankach i w wielu podmiotach branży ubezpieczeniowej. Gdy piszę te słowa, wygląda na to, że branża motoryzacyjna będzie następna. Koncerny Chrysler i General Motors zdecydowały się na fuzję w niemałym stopniu przez to, że zarządy obu doszły do przekonania, iż tak ogromna firma będzie „zbyt duża, aby upaść", a rząd federalny będzie przynajmniej cichym wspólnikiem. Ogólniej trzeba powiedzieć, że w Stanach Zjednoczonych od służby zdrowia po branżę usług finansowych zbliżono się znacznie do korporacjonistycznych porozumień omówionych w rozdziale siódmym. To, co pierwotnie ukazywano jako próbę uniknięcia kryzysu, szybko okazało się dążeniem do wykorzystania tych problemów. Rahm Emanuel, szef kancelarii Białego Domu, pierwszy urzędnik mianowany przez Baracka Obamę po wyborze, powiedział w wywiadzie udzielonym dziennikowi „New York Times": „Nigdy się nie chce tego, by kryzys poszedł na marne. To okazja, by przeprowadzić ważne rzeczy, których by się w innej sytuacji unikało".

Wielu uważa, że ta szczególna okazja to konieczność wprowadzenia w życie „nowego Nowego Ładu". Zwrot ten stał się frazesem wiele czasu przed zaprzysiężeniem prezydenta elekta Obamy. Liberalni eksperci, tacy jak Eugene Joseph Dionne, Paul Krugman, Katrina van den Heuval i Harold Meyerson ogłaszali – niekiedy nie kryjąc radości – że albo oficjalnie dobiegła końca epoka kapitalizmu, albo nastał początek nowego Nowego Ładu. Niecałe dwa tygodnie po wyborach Uniwersytet Columbii ogłosił konferencję z udziałem samych gwiazd. Zwracano uwagę na podobieństwa prezydentur Obamy i Roosevelta, choć jeszcze nawet nie zaczął sprawować rządów. (Co zabawne, konferencję zorganizowano w Casa Italiana, faktycznej ambasady politycznej i kulturalnej faszystowskich Włoch w Stanach Zjednoczonych). Redakcja tygodnika „Time"

zamieściła na okładce zmontowane zdjęcie Baracka Obamy ukazanego jako Franklin D. Roosevelt, z cygarniczką w ustach, w cadillacu z lat trzydziestych. Podpis: „Nowy Nowy Ład".

Szczególnie zabawne jest to, jak wielu chętnych do tworzenia nowego Nowego Ładu chce uchodzić za propagatorów nowatorskich lub ekscytujących koncepcji, mimo że pragnienie Nowego Ładu to jeden z nielicznych stałych elementów amerykańskiego liberalizmu. Z tego powodu w połowie lat trzydziestych był „drugi Nowy Ład", który doprowadził do tego, że Roosevelt chciał zlikwidować niezawisłość Sądu Najwyższego, zmieniając zasady jego funkcjonowania. Dlatego w latach czterdziestych Arthur Schlesinger pisał, że „nie wydaje się, by istniała zasadnicza przeszkoda uniemożliwiająca stopniowe wprowadzanie socjalizmu w Stanach Zjednoczonych poprzez serię Nowych Ładów". Harry Truman przystąpił do tworzenia „nowego Nowego Ładu" po objęciu prezydentury w 1948 roku (wygrał kampanię między innymi wskutek oczerniania przeciwnika, Thomasa Deweya, któremu zarzucał, że jest hitlerowskim pachołkiem opłacanym przez faszystów). Intelektualiści Johna Kennedy'ego marzyli o wdrożeniu Nowego Ładu, podobnie jak ludzie stojący za Wielkim Społeczeństwem. W latach osiemdziesiątych demokraci otwarcie mówili o wprowadzeniu w życie Nowego Ładu, który miał naprostować „szkody" wyrządzone w czasie prezydentury Reagana, a w 1992 roku Mario Cuomo odpuścił sobie ubieganie się o prezydenturę po części wskutek przekonania, że przez ówczesną płytką recesję konieczny okaże się nowy Franklin D. Roosevelt i nowy Nowy Ład, a to sprawi, że zdoła zająć miejsce George'a H.W. Busha, podobnie jak Roosevelt zajął miejsce Hoovera. Później, po atakach terrorystycznych z 11 września, huraganie Katrina i kryzysie finansowym nawoływania do wdrożenia nowego Nowego Ładu stały się częstsze i bardziej natarczywe.

Starałem się wykazać wyżej, że takie pragnienia nie są niczym nowym. Od publikacji eseju Williama Jamesa zatytułowanego *The Moral Equivalents of War* (Moralne odpowiedniki wojny) progresywiści poświęcili się sprawie mobilizacji społeczeństwa, jakby Stany Zjednoczone były w stanie wojny. Nowy Ład był moralnym odpowiednikiem programu wojennego, którego celem było odkurzenie „socjalizmu wojennego" Woodrow Wilsona i zastosowanie go do walki, jeśli nie z kapitalizmem *per se*, to z wielkim kryzysem, który ukazywano jako prawdziwe oblicze kapitalizmu. Twórcy Nowego Ładu powoływali się na Williama Jamesa, aby uzasadnić tworzenie Korpusu Ochrony Cywilnej (Civilian Conservation Corps) i innych organizacji paramilitarnych działających w czasach pokoju. Bliżej naszych czasów Obama – a w wielkiej mierze także każdy inny liberalny polityk działający w ostatnim dziesięcioleciu – przywoływał to „najwybitniejsze pokolenie", podając je za źródło inspiracji. On także obiecuje, że przywróci obowiązkowe „ochotnictwo", a nawet stworzy coś, co się nazywa „cywilnymi siłami bezpieczeństwa narodowego, które będą równie potężne, równie silne i tak samo dobrze finansowane" co amerykańskie siły zbrojne. Można żywić nadzieję, że Obama nie myśli o powrocie do organizacji wywiadowczej American Protective League, ale z pewnością może się okazać, że choć do tego nie dojdzie, i tak poprowadzi kraj w niepokojącym kierunku.

Zanim kryzys finansowy zajął Amerykanów (a także mieszkańców znacznej części pozostałych regionów świata), propagatorzy moralnego odpowiednika wojny przede wszystkim walczyli ze „zmianami klimatu". Tygodnik „Time" porzucił swój (zawsze wyolbrzymiany) obiektywizm i otwarcie prowadził kampanię, której celem było przekształcenie walki z ociepleniem klimatu na świecie w nowy moralny odpowiednik wojny, twierdząc, że „zielony to nowy czerwony, biały i niebieski".[623] Redakcja przygotowała okładkę, na której wykorzystano słynne zdjęcie amerykańskich żołnierzy z piechoty morskiej zatykających flagę Stanów Zjednoczonych na wyspie Iwo Jima. Zamiast flagi żołnierze mieli drzewo. Podpis: „jak wygrać wojnę z globalnym ociepleniem?". Oburzone organizacje weteranów uważały za skandal porównywanie jednej z najkrwawszych bitew wojny prowadzonej w celu obrony zachodniej cywilizacji z nakłanianiem mieszkańców przedmieść do zakupu Toyoty Prius. Do tego należy dodać, że w analogii przedstawionej przez redakcję tygodnika potrzeba nowego najwybitniejszego pokolenia, aby prowadzić wojnę z amerykańskim stylem życia, a wrogami jesteśmy my.

Zmiana klimatu to po prostu najnowszy pretekst, aby usunąć tradycyjne granice między rządem a jednostką, rodziną a polityką, demokracją a totalitaryzmem. Pewne brytyjskie przedsiębiorstwo energetyczne przygotowało program „edukacyjny", w którym dzieci się uczą, jak zostać „klimatycznymi policjantami", którzy są upoważnieni do szpiegowania rodziców i przygotowania sprawy karnej przeciwko nim. Chyba nie ma wątpliwości, że gdyby jakaś ogromna korporacja zachęcała dzieci do robienia działalności przestępczej z aktywności seksualnej rodziców, stawiano by zarzut faszyzmu (słusznie)? Na początku 2008 roku ukazała się nowa książka zatytułowana *The Climate Change Challenge and the Failure of Democracy* (Zagrożenie stwarzane przez zmiany klimatu a porażka demokracji), której autorzy wywodzą, że „fundamentalnym problemem powodującym zniszczenie środowiska naturalnego [...] jest funkcjonowanie demokracji liberalnej". Demokracji – twierdzą – „zabrakło człowieczeństwa", a przez to potrzebujemy „autorytarnej formy rządów", w której władzę sprawowaliby „eksperci".

Autorzy tej publikacji nie są jedynymi osobami wyrażającymi takie przekonania, nawet jeśli się wyróżniają prostactwem. Na przykład Thomas Friedman, felietonista publikujący na łamach dziennika „New York Times", opublikował w 2008 roku książkę, w której pisze o tym, jak wspaniale byłoby, gdyby Stany Zjednoczone stały się „Chinami na dzień". Właśnie takiej argumentacji oczekuje się od kogoś cierpiącego na łagodną postać zawiści z powodu rządów autorytarnych. Gdybyśmy tylko mogli być jak Chińczycy, nie martwiąc się o rządy prawa, zasady demokratyczne, prawa własności, lobbystów itd., to eksperci bez przeszkód mogliby opracować zasady polityki prośrodowiskowej. Można by oczywiście twierdzić to samo, wyrażając przekonanie, jak doskonale byłoby, gdybyśmy mogli na dzień zostać nazistami. Friedman pisze także, że powinno się przekształcić sprawę globalnego ocieplenia w sorelowy „mit", gdyż taki mit pozwala użytecznie zorganizować społeczeństwo w sposób w jego przekonaniu pozytywny. W książce *Meet the Press* ujął to następująco: „Jeśli kwestia zmian klimatu to oszukaństwo, to jest to największe z oszukaństw, których się dopuszczono w historii Stanów Zjednoczonych. Ponieważ wszystko, co zrobilibyśmy, aby się przygotować na zmiany klimatu, rozwinąć tę nową zieloną branżę, spowodowałoby, że stalibyśmy się bardziej poważani, bardziej przedsiębiorczy, bardziej konkurencyjni i zdrowsi jako naród". Wszystko to staje się możliwe przez mówienie ludziom, że ocieplenie klimatu jest faktem.

Inne tematy poruszane w tej książce ujawniały się w ostatnim roku. Bawi to, że część krytyków *Lewicowego faszyzmu* sama się skompromitowała, upierając się, że po prostu niemądrze jest uważać współczesnych liberałów za spadkobierców tradycji progresywistycznych. Niewiele z tych krytycznych uwag wzniosło się ponad poziom wybuchu wściekłości czy zwykłego twierdzenia podawanego bez żadnego uzasadnienia. Nigdzie nie wykorzystano przykładów zapewnianych przez wiodących rzeczników współczesnego liberalizmu, aby na ich podstawie obalać przedstawione tu tezy. Podczas pewnej debaty prowadzonej w okresie kampanii przed wyborami prezydenckimi zapytano Hillary Clinton, czy jest liberałem. Odpowiedziała przecząco. „Wolę słowo »progresywistka«, bo ma ono autentyczny amerykański sens sięgający czasów progresywistycznych z początku XX wieku". David Obey, demokrata z Wisconsin, który przewodniczy Komisji Budżetowej przy Izbie Reprezentantów (House Appropriations Committee), opublikował niedawno książkę zatytułowaną *Raising Hell for Justice: The Washington Battles of a Heartland Progressive*, w której twierdzi, że... że jest progresywistą w głębi duszy. Paul Krugman, felietonista publikujący na łamach dziennika „New York Times" – teraz także laureat Nagrody Nobla – nie tylko nazywa się progresywistą, ale z wielkim ożywieniem powiedział niedawno do Charliego Rose'a: „Mamy szansę, autentyczną szansę, na nową erę progresywistyczną". No i jest jeszcze oczywiście sam Barack Obama, który na ogromnym wiecu zorganizowanym na Uniwersytecie Wisconsin w Madison obwieścił: „Gdzie można by wyrazić nasze ideały lepiej niż w Wisconsin, gdzie przed stuleciem zrodził się ruch progresywistyczny?". Odczuwa się pokusę, aby potraktować Obamę z domniemaniem niewinności, zakładając, że nie wie, o czym mówi, gdy wziąć pod uwagę, że progresywiści z Uniwersytetu Wisconsin, których podziwia, jak twierdzi, w istocie byli rasistami,

zwolennikami eugeniki i imperialistami. Niektórzy byliby przerażeni tym, że pozwolono się rozmnażać „niezdatnym" rodzicom Obamy.

Wielu liberalnych krytyków, przede wszystkim Michael Tomasky z redakcji „New Republic" – jeszcze niedawno pismo to się chlubiło ciągłością przekonań od czasu, kiedy je założył Herbert Croly – dołączyło do wojujących antyintelektualnych histeryków przypuszczających atak na *Lewicowy faszyzm* i próbowało dowodzić, że przedstawiona w tej książce historia jest pozbawiona znaczenia. Tak, krytycy przyznawali domyślnie lub wprost, że przywołane tu fakty z dawnej historii (*chestnuts*, jak to określił Tomasky) ukazują, iż progresywiści często opowiadali się za przymusem, byli przeciwnikami postaw liberalnych i propagowali rasizm – być może nawet faszyzm – ale obecni liberałowie tacy nie są, bo przecież każdy wie, że nie są.[624]

Według Tomasky'ego i innych liberalizm z powodów ontologicznych nijak nie może być zły. Tomasky pisze, że zawsze, gdy liberalizm „przekracza granicę, za którą ciągnie się przemoc, to właśnie wtedy liberałowie – mam tu na myśli liberałów, którzy coś wiedzą na temat liberalizmu – wysiadają z pociągu i robią wszystko, co w ich mocy, bez stosowania środków przymusu, aby ten pociąg wykoleić". Pod tym i pod wieloma innymi względami Tomasky reprezentuje zachwycającą tendencję najpoważniejszych krytyków *Lewicowego faszyzmu*, którzy nie obalali argumentów przytoczonych w tej książce, lecz potwierdzali ich słuszność. Od pierwszych stron tej książki wywodziłem, że pojęcie faszyzmu stało się tylko pałą dla liberałów, którzy okładali nią przeciwników, próbując ukazywać, że są złymi ludźmi tylko z tego powodu, że nie są lojalni wobec progresywistycznego liberalizmu. Ta praktyka wywodząca się z przyjętej przez Stalina teorii socjalfaszyzmu, była później przez cały czas wykorzystywana przez użytecznych idiotów i ich potomków. Stała się jednak do tego stopnia zinternalizowana i urzeczowiona, że liberałowie pokroju Tomasky'ego autentycznie wierzą, że gdy tylko jacyś liberałowie zaczynają coś robić źle, przestają być liberałami.

Z tego względu się przyjmuje, że określenie „liberalny faszyzm" musi być oksymoronem, a wszelką logikę, wydarzenia historyczne, świadectwa czy dowody skłaniające do odmiennego zdania można *a priori* odrzucić, podobnie jak znaczną część prawicowych głupot.

Można by to oczywiście długo ciągnąć. Uważam jednak, że książka mówi sama za siebie, a fakt, że tak wielu liberalnych krytyków (w przeciwieństwie do niektórych myślących z kręgów konserwatywnych) nie potrafi się odnieść do przytaczanych przeze mnie argumentów, to najlepszy dowód, iż osiągnąłem zakładany cel. Podejrzewam, że w kolejnych latach prezydentury Obamy będzie to widoczne coraz lepiej. Nie zdziwiłbym się, gdyby za kilka lat ukazały się liberalne publikacje, których autorzy niechętnie przyznają słuszność znacznej części moich argumentów, ale nie zaakceptują mojej książki w całości. Bywało tak w przypadkach innych publikacji konserwatystów, które skutecznie krytykowały założenia liberalnej ortodoksji, żywię więc nadzieję, że z moją książką będzie podobnie.

Nie zamierzam jednak ukazywać zbyt mrocznego obrazu. Gdy ta praca szła do druku, prezydent elekt Obama brał do swego gabinetu poddanych rewitalizacji ludzi z administracji Clintona, a nawet jakichś nominalnych republikanów. Niewiele w jego zachowaniu świadczyło o tym, że liczy na to, iż poprowadzi kraj drogą radykalizmu, czego można się było spodziewać na podstawie jego biografii, a nawet jego wypowiedzi. O wiele ważniejsze jest jednak to, że pokładam wielką i trwałą ufność w Amerykanów. Jest nieprawdopodobne, abyśmy dostali autentyczny „nowy Nowy Ład", ponieważ Amerykanie go nie chcą. Może inaczej. Może myślą, że go chcą, może nawet mówią, że go chcą, ale gdy zobaczą, na czym w rzeczywistości polegałby nowy Nowy Ład, odrzuciliby go z całym przekonaniem. Powodem jest to, że Nowy Ład, którym nas napaśli historycy i producenci z Hollywood, przede wszystkim nigdy nie istniał, a gdyby nawet istniał, przypuszczalnie nie bylibyśmy w stanie go odtworzyć. Czy naprawdę sądzimy, że Amerykanie zniosą pokazówki Błękitnego Orła i agentów FBI wdzierających się do pralni chemicznych? Będą spokojnie znosić dziesięciolecie stagnacji gospodarczej? Nie sądzę.

To prowadzi do ogólniejszego i ostatniego wniosku, który chcę tu przedstawić. Wielu czytelników życzliwie i wrogo nastawionych wobec *Lewicowego faszyzmu* uznało, że przedstawiam mroczniejszą wizję od tego, co chciałem ukazać. Nie ulega wątpliwości, że to wyłącznie moja wina. Szczególnie w rozdziałach tworzących drugą połowę tej książki wolałem raczej pokazywać niż za dużo powiedzieć, przez co czytelnicy uznali, że w moim przekonaniu Stany Zjednoczone to państwo nieuleczalnie faszystowskie. Niektórzy nawet zaczęli nazywać liberałów faszystami.

Nie tego chciałem. Po pierwsze, gdybym mógł o tym decydować, po prostu usunąłbym słowo „faszystowski" ze słownika terminów stosowanych w polityce. Nie znika jednak, toteż lepiej go używać poprawnie niż niepoprawnie. Zależało mi na tym, aby czytelnik po lekturze tej książki zapamiętał kilka najważniejszych wniosków Oto one.

- Pierwotny, czyli „klasyczny" faszyzm nie był ruchem prawicowym w tym znaczeniu, w jakim się tego określenia używa w tradycji anglosaskiej.
- Współczesny konserwatyzm ani się nie wywodzi z klasycznego faszyzmu, ani nie ma z nim nic wspólnego.
- Współczesny liberalizm, między innymi wskutek własnej dogmatycznej amnezji intelektualnej, wykazuje podobieństwa do koncepcji faszystowskich z tego powodu, że wiele wziął z progresywizmu.
- W następstwie dokonanego przez lewicowców zredefiniowania faszyzmu w taki sposób, że określenie to oznacza po prostu każde niepożądane zjawisko, Amerykanie doszukują się faszyzmu w złych miejscach.

Ostatni z tych punktów chciałbym jeszcze raz podkreślić. Stanom Zjednoczonym nie zagraża „twarda" wersja faszyzmu, podobna do tych, które wystąpiły w pierwszej połowie XX wieku. W Stanach Zjednoczonych dzięki samej konstrukcji tego państwa i jego kulturze niemal natychmiast skręcono by kark każdemu, komu marzyłaby się dyktatura. To jeden z powodów mojej miłości do tego kraju, Pomimo tęsknoty lewicowców za moralnym odpowiednikiem wojny militaryzm z całą pewnością nie jest takim zwiastunem przyszłości, jakim był niegdyś.

Jednakże zagraża nam faszyzm „miękki", faszyzm nowego wspaniałego świata. „Ze wszystkich form tyranii tyrania szczerze wprowadzana dla dobra poddanych może być najbardziej ciemiężąca – pisze C.S. Lewis. – Lepiej byłoby żyć pod panowaniem baronów-rozbójników niż pod panowaniem wszechmocnych wścibskich moralistów. Okrutni baronowie-rozbójnicy bowiem niekiedy przysypiają, ich żądze czasami są nasycone, natomiast ci, którzy nas dręczą dla naszego dobra, będą nas ciemiężyć bez końca, gdyż robią to z przyzwoleniem własnego sumienia". To niezmiernie istotna kwestia. Jeśli jest coś, co chciałbym przekazać czytelnikom, szczególnie czytelnikom młodym, to pamięć o tym, że faszyzm był popularny. Odwoływał się do idealizmu młodzieży, do aspiracji przyzwoitych ludzi, miał też śmiałość nadziei. W niektórych formach stał się gwałtowny i zdeformowany niemal od razu, w innych był tylko skazany na taki koniec, ponieważ każdy ruch mający za podstawę koncepcję, że rząd może nas kochać, a państwo może nam zapewnić sens istnienia, musi ostatecznie wskazywać drogę do piekła.

Nie potrzeba wiele odwagi i w ogóle nie potrzeba inteligencji do tego, aby po prostu wskazać coś, co się nam nie podoba, coś niepopularnego, i krzyknąć „faszystowskie". Autentycznej odwagi potrzeba, aby przyjrzeć się sobie i własnej sprawie, aby się przekonać, czy coś, co się lubi, może prowadzić do faszyzmu bądź innej formy totalitaryzmu, o innej nazwie. Oczywiście, jeśli ktoś nie ma pojęcia, na czym polega faszyzm, lub myśli, że polityczny liberalizm to po prostu ewidentne dobro, to nie będzie dobrze przygotowany do tego, aby zadawać takie pytania. Przede wszystkim dlatego napisałem tę książkę.

Podziękowania

Mój ojciec, Sidney Goldberg, zmarł, zanim ukończyłem tę książkę. Z powodów wielkich i drobnych, wymiernych i niewymiernych, nie zdołałbym jej napisać bez niego.

Kiedy pracowałem nad tą książką, urodziła się moja córka, Lucy Bez niej cała reszta nie miałaby sensu.

Moja żona, Jessica Gavora, doskonała pisarka, redaktorka i krytyczka, miłość i światło mojego życia, pozwala mi wyraźnie dostrzec to wszystko i wiele innych spraw.

Adam Bellow, mój redaktor i przyjaciel, podczas tych wszystkich prac okazał się niezastąpionym pasterzem i drugim pilotem. Moja wdzięczność za jego przenikliwość, cierpliwość i zachęty nie zna granic.

Joni Evans, moja superagentka z firmy William Morris, wycofała się z tej branży, gdy pracowałem nad tą książką, ale jestem jej wdzięczny za jej mądrość i wszystkie wysiłki, których nie szczędziła od początku. Jay Mandel doskonale przejął jej obowiązki, za co także wyrażam wdzięczność.

Kilka młodych osób pomagało mi przez cały czas zbierać materiały. Alison Hornstein, pierwsza z nich, zbyt szybko musiała mnie opuścić przez obiecującą karierę naukową. Lyle Rubin, obdarzony wielką inteligencją młody człowiek, przez całe lato pływał w liberalnym faszyzmie i nadal pozostaje cenną podporą, mimo że obecnie służy w piechocie morskiej. Również Windsor Mann znakomicie sobie radził ze zbieraniem materiałów, cechując się imponującym, wnikliwym umysłem, który zapewni mu wspaniałą przyszłość.

Łączenie pracy nad tą książką z regularnym pisaniem felietonów i innych tekstów dla pisma „National Review” okazało się doświadczeniem znacznie bardziej wymagającym, niż się tego spodziewałem. Jednakże redakcja „National Review”, mojego drugiego domu, dostosowała się do tej sytuacji i zachęcała mnie bardziej, niż kiedykolwiek mógłbym oczekiwać. Rich Lowry, mój szef i przyjaciel, wspierał mnie nieustannie i niezawodnie. Mój wspaniały kolega, Ramesh Ponnuru, zapewniał mi niezastąpione spostrzeżenia i komentarze redakcyjne dotyczące tej książki i niemal wszystkiego, co robię. Kate O'Beirne, moja zbawczyni Kathryn Lopez, John Miller, Michael Potemra, Ed Capano, Jack Fowler, John Derbyshire, Jay Nordlinger, Mark Steyn i Byron York sprawiają, że praca dla pisma „National Review” jest źródłem radości. John Podhoretz niezmiernie mi pomógł, czytając kolejne rozdziały i zapewniając wsparcie. Andrew Stuttaford natychmiast chętnie przeczytał cały tekst, proponując cenne poprawki i zadając wartościowe pytania.

Moi przyjaciele Scott McLucas, Tevi Troy, Vin Cannato, Ronald Bailey, Pam Friedman i Douglas Anderson jak zawsze mnie wspierali i służyli cennymi radami oraz opiniami. Podziękowałbym swemu przyjacielowi Peterowi Beinartowi, ale on nie miał nic wspólnego z tą książką poza tym, na przykład, że zapewniał, iż niektórzy liberałowie nadal się cechują intelektualną uczciwością i patriotyzmem, dzięki czemu nawet współczesny liberalizm nie jest wrogiem, lecz po prostu lojalną opozycją.

Cosmo, mój pies, nie zważał na żadną z tych spraw i tego właśnie od niego oczekiwałem.

Inni przeglądali początkowe wersje kolejnych rozdziałów lub w odmienny sposób pomagali mi przygotować argumentację. Na bardzo wczesnym etapie prac cennymi uwagami podzielił się ze mną Charles Murray. Nick Schulz, intelektualny wspólnik w popełnionej przeze mnie zbrodni, nieustannie mnie zachęcał i zapewniał cenne spostrzeżenia. Yuval Levin, Steven Horwitz i Bradford Short wysuwali przydatne sugestie, a Billowi Walshowi zawdzięczam niezmiernie ważną opiekę redakcyjną i nadzwyczaj cenne tłumaczenia z niemieckiego. John Williamson bardzo mi pomógł w szukaniu mało znanych dokumentów i publikacji. Kevin Holtsberry przedstawił niezbędne

krytyczne uwagi redakcyjne. Steven Hayward, Ross Douthat, Christine Rosen i Brian M. Riedl wysunęli cenne sugestie. Za wszystkie błędy naturalnie odpowiadam wyłącznie sam.

Jest to być może nieortodoksyjne, ale muszę wyrazić wdzięczność czytelnikom „National Review Online”. Od lat cała armia przyjaciół i krytyków, których nigdy nie widziałem, pomagała mi analizować i rozumieć najrozmaitsze rzeczy, od faktów i danych liczbowych po efemerydy. Kierowali mnie w ciekawe strony, korygowali błędy wynikające z mojej niewiedzy i przy niezliczonych okazjach zapewniali mi inspirację. Są najmądrzejszymi i najlepszymi czytelnikami, jakich może sobie wymarzyć pisarz.

Jest jeszcze Mama. Jestem jej wdzięczny za zrozumienie. Zawsze.

DODATEK
Program partii nazistowskiej

Ten program stanowi polityczne podstawy NSDAP i odpowiednio do tego jest zasadniczym prawem politycznym państwa. Celowo przygotowano go tak, aby był krótki i czytelny

Wszystkie zalecenia prawne muszą być stosowane zgodnie z duchem programu Partii.

Od przejęcia władzy Führer z powodzeniem wdrożył zasadnicze elementy programu Partii – od spraw fundamentalnych po szczegółowe.

Program NSDAP został ogłoszony 24 lutego 1920 roku przez Adolfa Hitlera podczas pierwszego wielkiego wiecu w Monachium i nie był zmieniany później. Założenia filozofii narodowego socjalizmu streszczono w 25 punktach.

1. Żądamy zjednoczenia wszystkich Niemców w Wielkich Niemczech na podstawie prawa narodów do samostanowienia.

2. Żądamy równych praw dla narodu niemieckiego w porównaniu z innymi narodami; zniesienia traktatów pokojowych z Wersalu i St. Germain.

3. Żądamy terenu i terytoriów (kolonii) zapewniających możliwości utrzymania naszego narodu oraz możliwości kolonizacji dla nadmiaru ludności Niemiec.

4. Obywatelem może być wyłącznie osoba należąca do rasy. Do rasy może należeć jedynie osoba niemieckiej krwi, bez względu na wyznanie. Z tego powodu żaden Żyd nie może należeć do rasy.

5. Kto nie ma obywatelstwa, może żyć w Niemczech wyłącznie jako gość i musi podlegać przepisom odnoszącym się do cudzoziemców.

6. Prawo decydowania o sprawach odnoszących się do administracji i prawa przysługuje wyłącznie obywatelom. Z tego powodu żądamy, aby każdy urząd publiczny – dowolnego rodzaju, czy na poziomie Rzeszy, czy powiatu, czy miasta – był obsadzony tylko przez obywateli. Walczymy z korumpującą ekonomia parlamentarną, w której urząd się obejmuje nie w wyniku charakteru czy umiejętności, lecz na podstawie przynależności partyjnej.

7. Żądamy nakazania państwu najpierw zapewnienia możliwości uzyskiwania środków do życia obywatelom. Jeżeli nie będzie można zapewnić utrzymania całej ludności państwa, należy z Rzeszy wydalić przedstawicieli innych narodowości (niebędących obywatelami).

8. Należy udaremnić dalszą imigrację osób niebędących obywatelami. Żądamy zmuszenia wszystkich nie-Niemców, którzy imigrowali do Niemiec po 2 sierpnia 1914 roku, do natychmiastowego opuszczenia Rzeszy.

9. Wszyscy obywatele muszą mieć równe prawa i obowiązki.

10. Pierwszym obowiązkiem każdego obywatela musi być praca intelektualna i fizyczna. Działalność jednostek nie może się kłócić z interesami całej społeczności, lecz musi przynosić skutki w ramach całości, dla dobra wszystkich. Z tego powodu żądamy:

11. Zniesienia niezarobionych (niewynikających z pracy) dochodów. Zniesienia niewolnictwa wynikającego z rent.

12. Ze względu na ogromne ofiary mienia i krwi, których od narodu wymaga każda wojna, wzbogacenie się przez wojnę trzeba uważać za zbrodnię na narodzie. Z tego powodu żądamy całkowitej konfiskaty wszelkich korzyści odniesionych w następstwie wojny.

13. Żądamy upaństwowienia wszystkich przedsiębiorstw połączonych w trusty.

14. Żądamy udziału w dochodach (podziału zysków) przedsiębiorstw z branży przemysłu ciężkiego.

15. Żądamy rozszerzenia na wielką skalę świadczeń dla osób w podeszłym wieku.

16. Żądamy utworzenia zdrowej klasy średniej i jej utrzymania, natychmiastowej komunalizacji wielkich magazynów i wydzierżawienia ich za niewielką opłatą małym przedsiębiorstwom, żądamy też okazywania najwyższej troski o położenie wszystkich drobnych kupców przy zawieraniu umów z władzami państwowymi, powiatowymi i miejskimi.

17. Żądamy reformy ziemskiej dostosowanej do naszych potrzeb, przyjęcia ustawy o wywłaszczeniu bez odszkodowania na potrzeby społeczności, zniesienia podatków od ziemi i uniemożliwienia jakichkolwiek spekulacji z wykorzystaniem ziemi.

18. Żądamy bezwzględnej walki z tymi, których działalność szkodzi interesom ogółu. Zwykłych kryminalistów, lichwiarzy, spekulantów itd. należy karać śmiercią, nie zważając na wyznanie ani rasę.

19. Żądamy wprowadzenia niemieckiego prawa zwyczajowego zamiast prawa rzymskiego, które służy materialistycznej organizacji świata.

20. Państwo musi przeprowadzić fundamentalną przebudowę całego naszego krajowego systemu szkolnictwa, aby umożliwić każdemu zdolnemu i przedsiębiorczemu Niemcowi zdobycie wyższego wykształcenia i późniejsze objęcie stanowiska kierowniczego. Programy nauczania wszystkich placówek oświatowych mają zostać dostosowane do doświadczeń praktycznego życia. Szkoły muszą dążyć do wpojenia pojęcia państwa [*Staatsbürgerkunde*] od chwili, kiedy uczniowie zaczynają cokolwiek rozumieć. Domagamy się kształcenia na koszt państwa wyróżniających się inteligencją dzieci ubogich rodziców, nie zważając na ich stanowiska ani zawody.

21. Państwo ma dążyć do poprawy stanu zdrowia narodowego poprzez ochronę matki i dziecka, zakaz pracy dzieci, promowanie tężyzny fizycznej dzięki wprowadzeniu przepisów o obowiązkowych zajęciach sportowych przy okazywaniu najwyższej troski przez wszystkie organizacje mające związek z wychowaniem fizycznym młodzieży

22. Żądamy zniesienia jednostek najemnych i wprowadzenia armii narodowej.

23 Żądamy legalnej walki ze znanymi kłamstwami i ich rozpowszechnianiem w prasie. Aby umożliwić zapewnienie niemieckiej prasy, żądamy, aby: a) wszyscy piszący i pracujący w redakcjach gazet wychodzących w języku niemieckim należeli do rasy; b) nieniemieckie gazety musiały mieć wyraźne pozwolenie państwa na publikację; c) nie-Niemcom zabroniono przepisami prawa jakichkolwiek udziałów finansowych w niemieckich publikacjach lub wpływania na nie oraz wprowadzenia jako kary za złamanie tych przepisów nakazu zamknięcia i natychmiastowego wydalenia z Rzeszy nie-Niemców, których to dotyczy. Zabronione mają być publikacje, które są sprzeczne z dobrem ogólnym. Żądamy ścigania przez prawo form artystycznych i literackich, które wywierają szkodliwy wpływ na nasze życie narodowe, oraz zamknięcia organizacji, które sprzeciwiają się wysuniętym wyżej żądaniom.

24. Żądamy wolności wyznania dla wszystkich wspólnot religijnych w państwie, pod warunkiem że nie zagrażają jego istnieniu ani nie kłócą się z moralnym wyczuciem rasy germańskiej. Partia broni stanowiska pozytywnego chrześcijaństwa, nie wiążąc się wyznaniowo z żadnym konkretnym wyznaniem. Walczy z żydowsko-materialistycznym duchem w nas i wokół nas oraz jest przekonana, że trwała odbudowa narodu może się dokonać jedynie od środka, zgodnie z zasadą, że dobro ogólne jest ważniejsze od dobra jednostkowego.

25. W celu wdrożenia tego wszystkiego żądamy utworzenia w Rzeszy silnej władzy centralnej. Nieograniczonej władzy centralnego parlamentu nad całą Rzeszą i jej organizacjami. Utworzenia izb państwowych i branżowych w celu wdrożenia przepisów przyjętych przez Rzeszę w różnych krajach związkowych federacji. Przywódcy Partii przyrzekają, że będą bezwarunkowo wspierać wdrażanie powyższych punktów, w razie konieczności poświęcając życie.

Źródło: wykorzystano dokument przetłumaczony w czasie procesów norymberskich. Zob. *Nazi Conspiracy and Aggression*, t. IV, Office of the United States Chief Counsel for Prosecution of Axis Criminality, Washington: Government Printing Office 1946; dokument jest dostępny na stronie Yale University Avalon Project: www.yale.edu/law-web/avalon/imt/document/nca_vol4/1708-ps.htm (dostęp 13 marca 2007 roku).

Uwaga. Pod pewnymi istotnymi względami to tłumaczenie różni się od innych. Mowa tu na przykład o „magazynach", a w większości innych przekładów wymienia się „domy towarowe" bądź „duże domy towarowe. Zdecydowałem się jednak wykorzystać to tłumaczenie, ponieważ sceptycznie nastawieni czytelnicy przypuszczalnie uznają norymberski przekład za bardziej wiarygodny od innego, który lepiej pasowałby do mojej tezy. Dowolna wyszukiwarka internetowa pozwoli dotrzeć do innych przekładów.

PRZYPISY

[1] Fragment programu *Real Time with Bill Maher* nadanego przez stację HBO 9 września 2005 r.

[2] Roger Griffin, *The Nature of Fascism*, New York: St. Martin's 1991, s. 26; Roger Eatwell, *On Defining the 'Fascist Minimum': The Centrality of Ideology*, „Journal of Political Ideologies” 1, nr 3 (1996 r.), s. 313; definicję, którą przedstawił Emilio Gentile, podaję za: Stanley G. Payne, *A History of Fascism*, 1914-1945, Madison: University of Wisconsin Press 1995, przyp. 6 na s. 5.

[3] Roger Griffin, *The Nature of Fascism*, New York: St. Martin's 1991, s. 1, cytat z: R.A.H. Robinson, *Fascism in Europe*, London: Historical Association 1981, s. 1; definicja ze słownika jest przytoczona w: Richard Griffiths, *An Intelligent Person's Guide to Fascism*, London: Duckworth 2000, s. 4; Stanley G. Payne, *A History of Fascism*, 1914-1945, Madison: University of Wisconsin Press 1995, s, 3; Gilbert Allardyce, *What Fascism Is Not: Thoughts on the Deflation of a Concept*, „American Historical Review” 84, nr 2 (kwiecień 1979 r.), s. 367.

[4] Słowo ukute podobnie jak *islamista*. W oryginale *christianist* (przyp. tłum.).

[5] George Orwell, *Politics and the English Language*, „Horizon”, kwiecień 1946 r.; przedruk w: G. Orwell, *Essays*, New York: Random House 2002, s. 959.

[6] Michele Parente, *Rangel Ties GOP Agenda to Hitler*, „Newsday”, 19 lutego 1995 r, s. A38; Bill Clinton, *Remarks to the Association of State Democratic Chairs in Los Angeles*, 24 czerwca 2000 r., Public Papers of the Presidents, 36 Weekly Compilation of Presidential Documents 1491; jako przykład typowego artykułu wśród publikacji zamieszczanych w dzienniku „New York Times” można podać: Alexander Stille, *The Latest Obscenity Has Seven Letters*, „New York Times”, 13 września 2003 r.

[7] Rick Perlstein, *Christian Empire*, „New York Times”, 7 stycznia 2007 r., sekcja 7, s. 15; Jesse Jackson, wywiad zatytułowany *Expediency Was Winner Over Right*, „Chicago Sun-Times”, 3 grudnia 1994 r., s. 18.

[8] W Stanach Zjednoczonych „darwinizm społeczny” oznacza „przetrwanie najlepiej przystosowanych” w walce o byt w anarchicznie kapitalistycznym świecie, w którym wszyscy się swobodnie pożerają. To wyobrażenie wywodzące się z koncepcji Herberta Spencera, radykalnego wolnomyśliciela i indywidualisty. Gdy przyjmie się tę definicję, to się okaże, że nazizm był przeciwieństwem „darwinizmu społecznego”. Jak się przekonamy, naziści byli darwinistami, ale darwinistami reformowanymi, którzy uważali, że państwo powinno wybierać zwycięzców i przegranych, szczodrze przyznając zwycięzcom świadczenia i inne korzyści. To nastawienie przeciwne stanowisku reprezentowanemu przez tych, których nazywamy darwinistami społecznymi.

[9] *Battaglia del grano*: prowadzona w latach dwudziestych XX wieku kampania na rzecz samowystarczalności Włoch (przyp. tłum.).

[10] John Patrick Diggins, *Mussolini and Fascism: The View from America*, Princeton: Princeton University Press 1972, s. 215.

[11] Pewien korespondent dziennika „New York Times” przez wiele lat entuzjastycznie popierał włoski faszyzm, pisząc, że jest to program dobry zarówno dla Włoch, jak i dla Abisyńczyków, których Mussolini chciał podbić. Ten dziennikarz, Herbert Matthews, później odwołał swoje poparcie dla faszyzmu – gdy nie można tego było pogodzić z popieraniem komunistów walczących w hiszpańskiej wojnie domowej. Po latach znalazł innego rewolucjonistę, „człowieka czynu”, którego mógł z upodobaniem popierać. Był nim Fidel Castro.

[12] DuBois ostatecznie potępił nazistowski antysemityzm, ale często wygłaszał te opinie przez zaciśnięte zęby, ponieważ mocno go złościło szczególne zainteresowanie losem Żydów wyrażane w Stanach Zjednoczonych. We wrześniu 1933 roku następująco pisał w tekście opublikowanym w piśmie „Crisis”: „Nic nie napełniło nas wcześniej tak haniebną radością jak Hitler i nordycy. Gdy jedynymi »gorszymi« były »czarnuchy«, trudno było zwrócić uwagę redakcji dziennika »New York Times« na takie drobiazgi, jak kwestie rasowe, lincze i zachowania motłochu. Teraz natomiast, kiedy wśród potępionych znalazł się także właściciel pisma »New York Times«, pojawiają się wypowiedzi wywołane przez oburzenie moralne”. Zob. Harold David Brackman, *'Calamity Almost Beyond Comprehension': Nazi Anti-Semitism and the Holocaust in the Thought of WEB DuBois*, „American Jewish History” 88, nr 1 (marzec 2000 r.); znajduje się tam cytat z: W.E.B. DuBois, *As the Crow Flies*, „Crisis” 40 (wrzesień 1933 r.), s. 97.

[13] Wypowiadali się w tym duchu John Garraty, James Q. Wilson, David Schoenbaum, Alonzo Hamby, Niall Ferguson, a najmocniej niemiecki historyk Wolfgang Schivelbusch.

[14] Wolfgang Schivelbusch, *Three New Deals: Reflections on Roosevelt's America, Mussolini 's Italy and Hitler's Germany*, 1933-1939, New York: Metropolitan Books 2006, s. 32, 29.

[15] Na ironię zakrawa fakt, że liberalny historyk Richard Hofstadter wysuwał podobny argument dotyczący progresywistów i populistów – choć wypowiadał się zdecydowanie bardziej powściągliwie – w książce *The Age of Reform* i innych pracach. Sugerował jednak, że progresywiści i populiści są w istocie prawicowcami, czego w moim przekonaniu nie można utrzymać.

[16] Według Robespierre'a przywódcy narodowi będą „duszami czystymi i wrażliwymi", cechującymi się zdolnością zrobienia tego, czego wymaga od nich przeznaczenie „w imię ludu", i mającymi błogosławione „oświecenie" pozwalające dokonać oceny, których „wrogów wewnętrznych" trzeba zgładzić. Zob. J.M. Thompson, *Robespierre*, New York: Appleton-Century 1936, s. 247. Robespierre ujął to tak: „Lud jest bytem najwyższym, ale jednostki są słabe", co znaczy, że można się ich pozbyć. Zob. Gertrude Himmelfarb, *The Idea of Compassion: The British vs. the French Enlightenment*, „Public Interest", nr 145 (jesień 2001 r.), s. 20. Zob. też Simon Schama, *Citizens: A Chronicle of the French Revolution*, New York: Vintage 1990, s. 836; John Kekes, *Why Robespierre Chose Terror*, „City Journal" (wiosna 2006 r.), Robespierre następująco tłumaczył konieczność wprowadzania terroru: „Jeżeli źródłem rządu ludowego w czasie pokoju jest cnota, to źródłami rządu ludowego w czasie rewolucji są jednocześnie cnota i terror: cnota, bez której terror przynosi katastrofalne skutki, i terror, bez którego cnota jest bezsilna. Terror to tylko sprawiedliwość, działająca szybko, dotkliwie i nieugięcie; z tego powodu jest emanacją cnoty; jest nie tyle szczególną zasadą, ile konsekwencją ogólnej zasady demokracji zastosowanej do zaspokojenia najbardziej palących potrzeb naszego państwa".

[17] *Palmer Raids*, organizowane w celu wyłapania i deportowania z USA radykalnych lewicowców, przede wszystkim anarchistów (przyp. tłum.).

[18] Thomas R. DeGregori, *Muck and Magic or Change and Progress: Vitalism Versus Hamiltonian Matter-of-Fact Knowledge*, „Journal of Economic Issues" 37, nr 1 (marzec 2003 r.), s. 17-33.

[19] Seymour Martin Lipset, Earl Raab, *The Politics of Unreason: Right Wing Extremism in America, 1790-1970*, New York: Harper and Row 1970, s. 95; znajduje się tam cytat z wydania „New York Sun" z 23 lipca 1896 r. (s. 2.), przytoczony za: Edward Flower, *Anti-Semitism in the Free Silver and Populist Movements and the Election of 1896*, praca magisterska obroniona na Uniwersytecie Columbii, 1952, s. 27-28.

[20] Robert Proctor pisze następująco: „Inicjatywy dotyczące zdrowia publicznego opracowywano nie tylko pomimo faszyzmu, ale także w następstwie faszyzmu". Prowadzone przez narodowych socjalistów „kampania antynikotynowa oraz »operacja pieczywo z pełnego przemiału« są w pewnym sensie tak samo faszystowskie jak żółte gwiazdy Dawida i obozy zagłady". Zob. Robert N. Proctor, *The Nazi War on Cancer*, Princeton: Princeton University Press 2000, s. 124, 249, 278).

[21] Oto lista rzeczy, których Rada Miasta Nowy Jork próbowała zabronić tylko w 2006 roku (nie wszystkie jej się udało): pitbulle, kwasy tłuszczowe trans, aluminiowe kije bejsbolowe, sprzedaż wyrobów tytoniowych młodzieży od 18 do 21 roku życia, *foie gras*, ryksze w parkach, nowe restauracje fast food (ale tylko w ubogich dzielnicach), lobbing uprawiany przez członków izb działających przy radzie miejskiej, lobbing prowadzony w agencjach miejskich przez osoby pracujące uprzednio w tych agencjach, pojazdy w Parku Centralnym i Prospect Park, korzystanie z telefonów komórkowych w eleganckich restauracjach, sprzedaż produktów wieprzowych pochodzących z zakładów przetwórczych Tar Heel w Karolinie Północnej z powodu sporu w sprawie tworzenia związku zawodowego, dostarczanie leków na zamówienie złożone za pośrednictwem poczty, telefonicznie lub przez internet, papierosy o smaku cukierków, zmienianie cen paliw na stacjach częściej niż raz dziennie, cyrk Ringling Bros and Barnum & Bailey, Wal-Mart. Zob. *Whatever It Is, They're Against It*, „New York Post", 29 grudnia 2006 r., s. 36.

[22] Greenpeace International, *Getting It On for the Good of the Planet: The Greenpeace Guide to Environmentallv-Friendly Sex*, 10 września 2002 r., www.greenpeace.org/international/news/eco-sex-guide (dostęp 15 marca 2007 r.).

[23] Alexis de Tocqueville, *Democracy in America*, New York: Knopf 1994, t. 2, s. 320.

[24] Philip Coupland, *H.G. Wells's 'Liberal Fascism'*, „Journal of Contemporary History" 35, nr 4 (październik 2000 r.), s. 549.

[25] Ujmując to delikatnie, trzeba powiedzieć, że teologia Wellsa była heretycka. Utrzymywał, że Bóg nie jest istotą wszechmocną, lecz sojusznikiem człowieka „występującego przeciwko złu". Zob. H.G. Wells, *God, the Invisible King*, New York: Macmillan 1917, s. XIV. Bóg Wellsa był również Bogiem imperializmu i podboju.

[26] Wielu autorów podaje te słowa na dowód ogromnej popularności Mussoliniego, ale przypisywanie tego tekstu Cole'owi Porterowi, kompozytorowi musicalu *Anything Goes*, to powszechnie popełniany błąd. Porter niemal na pewno nie napisał tego tekstu. Słowa te przypuszczalnie dodał Pelham Grenville Wodehouse, gdy pomagał przy wprowadzaniu zmian do musicalu z myślą o odbiorcach brytyjskich. Wydaje się także, że było bardzo wiele wersji tej piosenki ze wzmianką o Mussolinim, które pojawiały się po obu stronach Atlantyku i przeskakiwały przez ocean.

[27] Film *Życie jest piękne* z 1998 roku w reżyserii Roberta Benigniego zdobył Oscary w kategorii najlepszego filmu obcojęzycznego i za najlepszą rolę pierwszoplanową, a ponadto był nominowany do nagrody dla najlepszego reżysera. Na pewną ironię zakrawa fakt, że w tytule filmu wykorzystano słowa Lwa Trockiego. Według Benigniego ten wypędzony bolszewik krótko przed zabiciem go w Meksyku podobno spojrzał na żonę w ogrodzie i rzekł: „Życie i tak jest piękne".

[28] John Patrick Diggins, *Mussolini and Fascism: The View from America*, Princeton: Princeton University Press 1972, s. 245; Holly Stevens (red), Letters of Wallace Stevens, New York: Knopf 1966, s. 295.

[29] *Calls Mussolini Latin Roosevelt*, „New York Times", 7 października 1923 r., s. E10.

[30] John Patrick Diggins, *Mussolini and Fascism: The View from America*, Princeton: Princeton University Press 1972, s. 206; Norman Hapgood, *Professional Patriots*, New York: Boni 1927, s. 62.

[31] *Hughes a Humorist, Will Rogers Says*, „New York Times", 28 września 1926 r., s. 29; John Patrick Diggins, *Mussolini and Fascism: The View from America*, Princeton: Princeton University Press 1972, s. 27 (znajduje się tam cytat z: *Will Rogers, Letters of a Self-Made Diplomat to His President*, „Saturday Evening Post", 31 lipca 1926 r., s. 8-9, 82-84.

[32] Stosunki Toscaniniego z reżymem Mussoliniego były burzliwe. Przypuszczalnie raczej z powodów artystycznych niż politycznych odmówił wykonania faszystowskiego hymnu narodowego *Giovinezza*.

[33] *The Autobiography of Lincoln Steffens,* t. II: *Muckraking/Revolution/Seeing America at Last*, New York: Harcourt, Brace and World 1931, s. 799; opinie wyrażane przez McClure'a można znaleźć w: John Patrick Diggins, *Mussolini and Fascism: The View from America*, Princeton: Princeton University Press 1972, s. 28-29.

[34] John Patrick Diggins, *Mussolini and Fascism: The View from America*, Princeton: Princeton University Press 1972, s. 255, 257.

[35] Te liczby zaczęły trochę mniej od siebie odbiegać, gdy Amerykanie coraz bardziej interesowali się sowieckim planem pięcioletnim. Zob. Simonetta Falasca-Zamponi, *Fascist Spectacle: The Aesthetics of Power in Mussolini's Italy*, Berkeley: University of California Press 2000, s, 51.

[36] John Patrick Diggins, *Mussolini and Fascism: The View from America*, Princeton: Princeton University Press 1972, s. 244.

[37] Syn La Folette'a, Philip, słynący z progresywistycznego nastawienia gubernator stanu Wisconsin, jeszcze w 1938 roku trzymał w swoim gabinecie zdjęcie Mussoliniego. Zob. John Patrick Diggins, *Mussolini and Fascism: The View from America*, Princeton: Princeton University Press 1972, s. 220-221.

[38] Benito Mussolini, *My Rise and Fall*, New York: Da Capo 1998, s. 3.

[39] Oto pewne wydarzenie opisane w jego autobiografii: „Dopadłem ją na schodach, rzuciłem do narożnika za drzwiami i wziąłem. Gdy się podniosła spłakana i upokorzona, obraziła mnie zdaniem, że odarłem ją z czci, a ona nie może powiedzieć prawdy. Pytam jednak, o jaką cześć mogło jej chodzić?". Zob. Paul Johnson, *Modern Times: The World from the Twenties to the Nineties*, New York: Perennial 1991, s. 96.

[40] Simonetta Falasca-Zamponi, *Fascist Spectacle: The Aesthetics of Power in Mussolini's Italy*, Berkeley: University of California Press 2000, s. 43.

[41] Cytuję za: Simonetta Falasca-Zamponi, *Fascist Spectacle: The Aesthetics of Power in Mussolini's Italy,* Berkeley: University of California Press 2000, przyp. 61 na s. 224.

[42] Historyk Hugh Gallagher następująco pisze o Roosevelcie: „Nie był ani Thomasem Jeffersonem, ani naukowcem, ani intelektualistą w zwykłym znaczeniu tego słowa. Miał chłonny umysł, zbierał wiadomości, cechowało go też wiele zainteresowań, ale nie było w tym głębi". Zob. William E. Leuchtenburg, *The FDR Years: On Roosevelt and His Legacy*, New York: Columbia University Press 1995, s. 27, gdzie cytowane jest zdanie z: Hugh Gallagher, *FDR's*

Splendid Deception: The Moving Story of Roosevelts Massive Disability – and the Intense Efforts to Conceal It from the Public, New York: Dodd, Mead 1985, s. 160.

[43] Ivone Kirkpatrick, *Mussolini*, London: Odhams 1964, s. 47.

[44] Tamże, 5. 49.

[45] W recenzji pracy *Réflexions sur la violence* (Uwagi o przemocy) George'a Sorela Mussolini pisał następujące: „To, kim jestem [...] zawdzięczam Sorelowi. [...] To prawdziwy Mistrz, który swoimi wnikliwymi teoriami dotyczącymi formacji rewolucyjnych przyczynił się do ukształtowania dyscypliny, zbiorowej energii i potęgi mas tworzących oddziały faszystów" (A. James Gregor, *The Ideology of Fascism: The Rationale of Totalitarianism*, New York: Free Press 1969, s. 116). W 1913 roku Sorel stwierdził: „Mussolini nie jest zwykłym socjalistą. Pewnego dnia ujrzycie go na czele uświęconego batalionu, oddającego honory włoskiemu sztandarowi puginałem. To Włoch XV wieku, kondotier. Jeszcze tego nie wiecie, ale to jedyny energiczny mężczyzna, który jest w stanie usunąć słabości rządu" (Ivone Kirkpatrick, Mussolini, London: Odhams 1964, s. 159).

[46] Joshua Muravchik, *Heaven on Earth: The Rise and Fall of Socialism*, San Francisco: Encounter Books 2002, s. 146; Joseph Husslein, *The Catholic Encyclopedia*, New York: Robert Appleton Company 1912, s. 386; Roger Eatwell, *Fascism: A History*, New York: Penguin 1995, s. 11.

[47] Gdyby wszyscy robotnicy byli już zdeklarowanymi zwolennikami socjalizmu, w ogóle nie potrzeba by strajku powszechnego, bo przecież społeczeństwo już dokonałoby przejścia do socjalizmu. Zob. Neil McInnes, *Encyclopedia of Philosophy*, New York: Macmillan Publishing Company 1973. Co do wywiadu udzielonego przez Mussoliniego, zob. Ivone Kirkpatrick, *Mussolini*, London: Odhams 1964, s. 159. Na temat zdania wypowiedzianego przez Sharptona zob. John Cassidy, *Racial Tension Boils Over as Rape Case Is Branded a Hoax*, „Times" (Londyn), 19 czerwca 1988 r.

[48] Zeev Sternhell, *The Birth of Fascist Ideology*, Princeton: Princeton University Press 1994, s. 56.

[49] A. James Gregor, *The Ideology of Fascism: The Rationale of Totalitarianism*, New York: Free Press 1969, s. 116.

[50] Gertrude Himmelfarb, *The Idea of Compassion: The British vs. the French Enlightenment*, „Public Interest", nr 145 (jesień 2001 r.).

[51] Jean-Jacques Rousseau, *The Social Contract and Discourses*, New York: Dutton 1950, s. 297.

[52] Na przykład w 1924 roku Giuseppe Bottai, włoski teoretyk faszyzmu, w odczycie zatytułowanym *Faszyzm jako rewolucja intelektualna* twierdził następująco: „Jeżeli pod pojęciem demokracji rozumie się przyznaną wszystkim obywatelom możliwość uczestniczenia w życiu państwa, to nikt nie zaprzeczy, że demokracja jest nieśmiertelna. Rewolucja francuska urzeczywistniła tę możliwość historycznie i etycznie, tak że zrodziło się nieusuwalne prawo, które w mocnym uścisku trzyma jednostkową świadomość, niezależnie od abstrakcyjnego przywoływania nieśmiertelnych zasad lub procesów przez filozofię współczesną". Zdania przedrukowane W: Jeffrey T. Schnapp (red.), *A Primer of Italian Fascism*, Lincoln: University of Nebraska Press 2000, s. 82.

[53] Zob. George L. Mosse, *The Nationalization of the Masses: Political Symbolism and Mass Movements in Germany from the Napoleonic Wars Through the Third Reich*, New York: Fertig 2001; George L. Mosse, *Fascism and the French Revolution*, „Jounial of Contemporary History" 24, nr 1 (styczeń 1989 r.), s. 5-26.

[54] Stwierdzenie, że państwo Rousseau to „najpotężniejszy system państwowy proponowany w całej historii filozofii politycznej", przedstawił Robert Nisbert. Zob. R. Nisbert, *The Present Age: Progress and Anarchy in Modern America*, New York: Harper&Row 1988, s. 52.

[55] Giuseppe Bottai, teoretyk faszyzmu, definiował go następująco: „Dla moich towarzyszy i dla mnie był wyłącznie metodą kontynuowania wojny, przekształcania jej wartości w świecką religię". Zob. Jeffrey T. Schnapp (red.), *A Primer of Italian Fascism*, Lincoln: University of Nebraska Press 2000, s. 20. Augusto Turati, sekretarz partii i samozwańczy „nowy apostoł religii Ojczyzny", wyjaśniał uczestnikom masowych wieców, podczas których zbierali się działacze młodzieżowi (Opera Nazionale Balilla), że nowa „religia faszystowska" wymaga „konieczności wiary absolutnej: wiary w faszyzm, w Duce, w Rewolucję. Jak ktoś wierzy w Boga, [...] tak my przyjmujemy tę Rewolucję z dumą, podobnie jak przyjmujemy te zasady – nawet jeśli zdajemy sobie sprawę, że są błędne, i przyjmujemy je bez dyskusji".

[56] *Pope in Encyclical Denounces Fascisti and Defends Clubs*, „New York Times", 4 lipca 1931 r.; *Everything Is Promised*, „Time", 13 lipca 1931 r. Zob. też Emilio Gentile, *Politics as Religion*, George Staunton, Princeton: Princeton University Press 2006, s. 95.

[57] David Nicholls, *God and Government in an "Age of Reason"*, London: Routledge 1995, s. 80.

[58] Ustawa została przyjęta przez Konwent, ale nigdy nie wprowadzono jej w życie w pełni. Zob. Gertrude Himmelfarb, *The Idea of Campassion: the British vs. the French Enlightenment*, „Public Interest", nr 145 (jesień 2001 r.). Zdanie Tocqueville'a pochodzi z: *The Old Régime and the French Revolution*, New York: Anchor 1955, s. 156. Cytuję je za Gertrude Himmelfarb.

[59] Z mowy wygłoszonej przez Robespierre'a 5 lutego 1794 roku. Cytuje za *Modern History Sourcebook*, wwwfordham.edu/halsall/mod/robespierre-terror.html.

[60] Marisa Linton, *Robespierre and the Terror*, „History Today", 1 sierpnia 2006 r.

[61] R.J.B. Bosworth, *The Italian Dictatorship: Problems and Perspectives in the Interpretation of Mussolini and Fascism*, London: Arnold 1998, s. 104.

[62] David Ramsay Steele, *The Mystery of Fascism*, „Liberty", www.1aarticles.org.uk/fascism.htm (dostęp 13 marca 2007 r.).

[63] Joshua Muravchik, *Heaven on Earth: The Rise and Fall of Socialism*, San Francisco: Encounter Books 2002, s. 148. Znajduje się tam cytat z: Margherita G. Sarfatti, *The Life of Benito Mussolini*, New York: Stokes 1925, s. 263.

[64] Benito Mussolini, *My Rise and Fall*, New York: Da Capo 1998, s. 36.

[65] Joshua Muravchik, *Heaven on Earth: The Rise and Fall of Socialism*, San Francisco: Encounter Books 2002, s. 149; zdanie cytowane za: Jasper Ridley, *Mussolini: A Biography*, New York: St. Martin's 1997, s. 71.

[66] Jeffrey T. Schnapp (red.), *A Primer of Italian Fascism*, Lincoln: University of Nebraska Press 2000, s. 3-6; Charles F. Delzell, *Mediterranean Fascism*, 1919~1 945, New York: Harper and Row 1970, s. 12-13.

[67] Robert O. Paxton, *The Five Stages of Fascism*, „Journal of Modern History" 70, nr 1 (marzec 1998 r.), s. 15.

[68] Robert O. Paxton, *The Anatomy of Fascism*, New York: Vintage 2004, s. 17; R.J.B. Bosworth, *The Italian Dictatorships Problems and Perspectives in the Interpretation of Mussolini and Fascism*, London: Amold 1998, s. 39. Hannah Arendt uważa, że Mussolini „był zapewne pierwszym przywódcą partyjnym, który świadomie odrzucił formalny program, głosząc w zamian wyłącznie natchnione przywództwo i działanie" (H. Arendt, *The Origins of Totalitarianism*, New York Harcourt 1966, przyp. 39 na s. 325).

[69] Simonetta Falasca-Zamponi, *Fascist Spectacle: The Aesthetics of Power in Mussolini's Italy*, Berkeley: University of California Press 2000, s. 72.

[70] Amaldo Cortesi, *Mussolini, on Radio, Gives Peace Pledge*, „New York Times", 2 stycznia 1931 r.; W.Y. Elliott, Mussolini, *Prophet of the Pragmatic Era in Politics*, „Political Science Quarterly" 41, nr 2 (czerwiec 1926 r.), s. 161-192.

[71] Joshua Muravchik, *Heaven on Earth: The Rise and Fall of Socialism*, San Francisco: Encounter Books 2002, s. 170, 171.

[72] Adolf Hitler, *Mein Kampf*, Boston: Houghton Mifflin 1999, s. 533.

[73] Według Roberta O. Paxtona pierwszym przykładem „narodowego socjalizmu" jako etykiety ideologicznej i prekursora faszyzmu było Cercle Proudhon, klub intelektualistów działający we Francji w roku 1911, dążący do „zjednoczenia narodowców i lewicowych antydemokratów" w celu przypuszczenia ataku na „żydowski kapitalizm". Założyciel klubu, Georges Valois, niestrudzenie starał się odciągnąć klasę pracującą od marksistowskiego internacjonalizmu i przekonać ją do socjalizmu o charakterze narodowym. Zob. Robert O. Paxton, *The Anatomy of Fascism*, New York: Vintage 2004, s. 48.

[74] Denis Mack Smith, *Mussolini: A Biography*, New York: Vintage 1983, s. 185, Stanley G, Payne, *A History of Fascism*, 1914-1945, Madison: University of Wisconsin Press 1995, s. 232; Paul Johnson, *Modern Times: The World from the Twenties to the Nineties*, New York: Perennial 1991, s. 319; Susan Zuccotti, *The Italians and the Holocaust: Persecution, Rescue, and Survival*, Lincoln: University of Nebraska Press 2006, s. 30.

[75] Joachim Fest, *Hitler*, New York: Harcoutt Brace Jovanovich 1974, s. 205.

[76] Claudia Koonz, *The Nazi Conscience*, Cambridge, Mass.: Harvard University Press 2003, s. 18.

[77] To może być nieco krzywdzące dla Chamberlaina, ponieważ jego polityka „ugłaskania bestii” (*appeasement*) w sporej mierze wynikała z *realpolitik*, zachodni pacyfiści natomiast często byli użytecznymi idiotami Hitlera.

[78] William L. Shirer, *The Rise and Fall of the Third Reich*, New York: Touchstone 1990, s. 205.

[79] John Lukacs, *The Hitler of History*, New York: Vintage 1997, s. 84.

[80] David Schoenbaum, *Hitler's Social Revolution: Class and Status in Nazi Germany, 1933-1939*, New York: Norton 1980, s. 19; Michael Burleigh, *The Third Reich: A New History*, New York: Hill and Wang 2000, s. 245.

[81] Adolf Hitler, *Mein Kampf*, Boston: Houghton Mifflin 1999, s. 406.

[82] Ron Rosenbaum, *Explaining Hitler: The Search for the Origins of His Evil*, New York: Random House 1998, s. XII; Robert G.L. Waite, *The Psychopathic God: Adolf Hitler*, New York: Da Capo 1993, s. 20; Eugene H. Methvin, *20th Century Superkillers*, „National Review”, 31 maja 1985 r., s. 22-29.

[83] Akcja afirmatywna to program polityczny polegający na wyznaczeniu odsetka kobiet lub Murzynów, który musi być przyjęty na studia, do pracy lub do władz partyjnych (przyp. tłum.).

[84] Adolf Hitler, *Mein Kampf*, Boston: Houghton Mifflin 1999, s. 195.

[85] David Schoenbaum, *Hitler's Social Revolution: Class and Status in Nazi Germany, 1933-1939*, New York: Norton 1980, s. 62.

[86] Roger Griffin (red.), *Fascism*, New York: Oxford University Press 1995, s. 123.

[87] Adolf Hitler, *Mein Kampf*, Boston: Houghton Mifflin 1999, s. 484, 496-497.

[88] Tamże, s. 484.

[89] Michael Burleigh, *The Third Reich: A New History*, New York: Hill and Wang 2000, s. 132-133.

[90] David Schoenbaurn, *Hitler's Social Revolution: Class and Status in Nazi Germany, 1933-1939*, New York: Norton 1980, s. 59; Michael Burleigh, *The Third Reich: A New History*, New York: Hill and Wang 2000, s. 105.

[91] Theodore Abel, *Why Hitler Came Into Power*, Cambridge, Mass.: Harvard University Press 1938, s. 135139; Eugen Weber, *Varieties of Fascism. Doctrines of Revolution in the Twentieth Century*, Malabar: Kriegler1982, s. 55 (cytowane są tam ustępy z: Th. Abel, dz.cyt., s. 203-301).

[92] Richard Pipes, *Russia Under the Bolshevik Regime*, 1919-1924, New York: Vintage 1995, s. 253.

[93] Erik von Kuehnelt-Leddthn, *Leftism: From de Sade and Marx to Hitler and Marcuse*, New Rochelle: Arlington House 1974, s. 136; Michael Burleigh, *The Third Reich: New History*, New York: Hill and Wang 2000, s. 55.

[94] John Patrick Diggins, *Mussolini and Fascism: The View from America*, Princeton: Princeton University Press 1972, przyp. 19 na s. 217.

[95] John Patrick Diggins, *Mussolini and Fascism: The View from America*, Princeton: Princeton University Press 1972, s. 215.

[96] Sidney Hook, *The Fallacy of the Theory of Social Fascism*, w: Louis Filler (red.), *American Anxieties: A Collective Portrait of the 1930s*, Somerset: Transaction 1993, s. 320.

[97] Fred Siegel, '*It Can't Happen Here*', „Weekly Standard”, 14 sierpnia 2006 r., s. 40. Zabawne, że do najostrzejszych krytyków tej książki należał Lewis. Na zorganizowanym przez lewicowców spotkaniu mającym uczcić książkę i jej autora, powiedział tak oto: „Chłopcy, kocham was wszystkich. Każdy pisarz lubi, kiedy chwalą jego najnowszą książkę. Muszę wam jednak powiedzieć, że to nie jest bardzo dobra książka”.

[98] Sinclair Lewis, *It Can't Happen Here*, New York: New American Library 2005, s, 46.

[99] *Kraut* ('kapusta' w niemieckim) to w języku angielskim pogardliwa nazwa Niemca, *sauerkraut* to kapusta kiszona, a choroba 'różyczka' to po angielsku *german measles* (przyp. tłum.).

[100] Tamże, s. 16, 17.

[101] Woodrow Wilson, *The Ideals of America*, „The Atlantic Monthly”, grudzień 1902 r. Zob. też Tony Smith, *America's Mission: The United States and the Worldwide Struggle for Democracy in the Twentieth Century*, Princeton: Princeton University Press 1994, s. 63; Ian Willem, *Woodrow Wilson: A Life for World Peace*, Los Angeles: University of California Press 1991, s. 37.

[102] Walter McDougall, *Promised Land, Crusader State: The American Encounter with the World Since 1776*, Boston: Houghton Mifflin 1997, s. 128.

[103] George Orwell, *Review of Power: A New Social Analysis*, „Adelphi”, styczeń 1939 r., w: G. Orwell, *Essays*, New York: Random House 2002, s. 107.

[104] Woodrow Wilson, *Constitutional Government in the United States*, New York: Columbia University Press 1908, 1961.

[105] Ronald J. Pestritto, *Why Progressivism Is Not, and Never Was, a Source of Conservative Values*, „Claremont Review of Books”, 25 sierpnia 2005 r., www.claremont.org/publications/pubid.439/pub_detail.asp (dostęp 14 marca 2007 r.). Woodrow Wilson, *The New Freedom*, New York: Doubleday, Page 1913.

[106] Michael McGerr, *A Fierce Discontent: The Rise and Fall of the Progressive Movement in America, 1870-1920*, New York: Free Press 2003, s. 66, 59.

[107] Tamże, s. 111.

[108] Walter McDougall, *Promised Land, Crusader State: The American Encounter with the World Since 1776*, Boston: Houghton Mifflin 1997, s. 127.

[109] John G. West, *Darwin's Conservatives: The Misguided Quest*, Seattle: Discovery Institute 2006, s. 61.

[110] Woodrow Wilson, *Leaders of Men* (red. T.H. Vail Motter), Princeton: Princeton University Press 1952, s. 20, 25-26.

[111] Eric E. Goldman, *Rendezvous with Destiny: A History of Modern American Reform*, Chicago: Ivan R. Dee 2001, s. 165.

[112] John Milton Cooper, *The Warrior and the Priest: Woodrow Wilson and Theodore Roosevelt*, Cambridge, Mass.: Harvard University Press 1983, s. 150-151.

[113] Beveridge chwalił się, że ustawa o kontroli mięsa stanowiła „najwyraźniejsze rozszerzenie władzy federalnej kiedykolwiek ustanowione w jakiejkolwiek dziedzinie”. Michael McGerr, *A Fierce Discontent: The Rise and Fall of the Progressive Movement in America, 1870-1920*, New York: Free Press 2003, s. 163. Co do cytatu, zob. William E. Leuchtenburg, *Progressivism and Imperialism: The Progressive Movement and American Foreign Policy 1898-1916*, „Mississippi Valley Historical Review” 39, nr 3 (grudzień 1952 r.), s. 484.

[114] Walter McDougall w nieocenionej dla zrozumienia tej sprawy książce *Promised Land, Crusader State* pisze następująco: „Historycy podkreślają sprzeczne tendencje występujące w amerykańskim społeczeństwie na przełomie wieków. Foster Rhea Dulles uważał, że epokę tę „charakteryzowały liczne sprzeczności”. Richard Hofstadter wyróżniał „dwa różne nastroje” – jeden nakłaniał do protestu i reform, drugi do ekspansji Stanów Zjednoczonych. Frederick Merk pisał o konkurującym z misją ewidentnym przeznaczeniu, a Ernest May o „kaskadach retoryki imperialistycznej i moralistycznej”. Jednakże te sprzeczności wynikają tylko z naszego pragnienia, żeby oczyścić ruch progresywistyczny z piętna imperializmu, o którym się pamięta za granicą. W sumie bowiem przekonanie, że amerykańska potęga, którą kierowano by zgodnie ze świeckim i religijnym duchem posługi, może kształtować zagraniczne społeczeństwa, przychodziło progresywistom równie łatwo jak walka z trustami, dążenie do wprowadzenia zakazu pracy dzieci, działania podejmowane w celu uregulowania handlu międzystanowego i zaprowadzenia porządku w branży produkującej konserwy mięsne czy walka z narkotykami. Wszyscy czołowi imperialiści, na przykład Theodore Roosevelt, Beveridge i Willard Straight, byli progresywistami, a czołowi progresywiści, tacy jak Jacob Riis, Gifford Pindiot i Robert La Follette, popierali wojnę z Hiszpanią i przyłączanie wysp do Stanów Zjednoczonych”. Zob. Walter McDougall, *Promised Land, Crusader State: The American Encounter with the World Since 1776*, Boston: Houghton Mifflin 1997, s. 120. W słynnej publikacji z roku 1952 historyk William Leuchtenburg pisał, że „imperializm i

progresywizm rozkwitały obok siebie, ponieważ były wyrazem tej samej filozofii rządzenia, tendencji do tego, aby oceniać każdą akcję nie na podstawie zastosowanych środków, lecz osiągniętych rezultatów, kultu działania dla samego działania, jak zauważył John Dewey, i prawie religijnej wiary w demokratyczną misję Ameryki”. William E. Leuchtenburg, *Progressivism and Imperialism: The Progressive Movement and American Foreign Policy, 1898-1916*, „Mississippi Valley Historical Review” 39, nr 3 (grudzień 1952 r.), s. 500.

[115] Eric F. Goldman, *Rendezvous with Destiny: A History of Modern American Reform*, Chicago: Ivan R. Dee 2001, s. 209; Arthur A. Ekirch, *The Decline of American Liberalism*, New York: Atheneum 1967, s. 193.

[116] Gubernator Luizjany, senator, przywódca ruchu na rzecz dystrybucji zamożności; opodatkował wielkie firmy, wprowadził podatek spadkowy (przyp. tłum.).

[117] Tammany to klika demokratyczna, która opanowała Nowy Jork, symbol korupcji (przyp. tłum.).

[118] Long powiedział również, że to przyjdzie do Ameryki jako „antyfaszyzm”. Okazało się to dość proroczą oceną, ponieważ lewica od dawna uważa się za awangardę antyfaszyzmu. Co do cytowanych zdań Menckena, zob. H.L. Mencken, *Roosevelt: An Autopsy*, w H.L. Mencken, *Prejudices: Second Series*, New York: Knopt 1920, s. 112, 114.

[119] Ronald J. Pestritto, *Woodrow Wilson and the Roots of Modern Liberalism*, Lanham: Rowman and Littlefield 2005, s. 255. Wyróżnienie pochodzi ode mnie.

[120] Progresywiści dopiero od 1909 roku zaczęli powszechnie używać tego określenia w odniesieniu do siebie. W Anglii progresywistów można by nazywać demokratycznymi torysami, laburzystowskimi zwolennikami imperium, nowymi liberałami, fabianistami bądź kolektywistami. W Ameryce progresywiści mogliby być nazywani reformistami albo nawet radykałami i oczywiście republikanami albo demokratami (powszechne użycie słowa „liberałowie” na oznaczenie progresywistów datuje się dopiero na lata dwudzieste). We Francji i w Niemczech również używano wielu z tych etykiet, a także takich określeń, jak „interwencjoniści”. Niektórzy powoływali się na Nietzschego, inni na Marksa, jeszcze inni na Williama Jamesa. Wielu – na przykład Mussolini i Georges Sorel – twierdziło, że wpłynęli na nich wszyscy trzej. Faktycznie nie ma wątpliwości, że niektóre grupy włoskich socjalistów zwane *fascios* w tamtym czasie doskonale pasowały do obozu progresywistycznego. Wiemy też, że nacjonalistyczni intelektualiści, którzy kładli fundamenty pod faszyzm we Włoszech, działali pod wpływem pragmatyzmu Williama Jamesa, a oni z kolei wpłynęli na Jamesa.

[121] Daniel T. Rodgers, *Atlantic Crossings: Social Politics in a Progressive Age*, Cambridge, Mass.: Harvard University Press 1998, s. 57, 74.

[122] Joseph Jacobs, *Works of Friedrich Nietzsche*, „New York Times”, 7 maja 1910 r.; H.L. Mencken, *Roosevelt: An Autopsy*, w: H.L. Mencken, *Prejudices: Second Series*, New York: Knopf 1920, s. lll. Richard Hofstadter, wzór liberalnego historyka, uważał Theodore'a Roosevelta za ledwie zamaskowanego faszystę. Według Davida Browna, autora biografii Hotstadtera, Theodore Roosevelt był „Mussolinim w wersji *light*”. Jego politykę, cechującą się „zdecydowanym oddaniem sprawie narodowej, wyznawaniem wartości wojskowych oraz poczuciem wspólnoty rasowej i wspólnego przeznaczenia” Brown uznał za „pewien wariant faszystowskiej polityki, która zatruła Europę po śmierci Roosevelta”. Zob. David S. Brown, *Richard Hofstadter: An Intellectual Biography*, Chicago: University of Chicago Press 2006, s. xvi, 60.

[123] Daniel T. Rodgers, *Atlantic Crossings: Social Politics in a Progressive Age*, Cambridge, Mass.: Harvard University Press 1998, s. 86-87.

[124] Eric F. Goldman, *Rendezvous with Destiny: A History of Modern American Reform*, Chicago: Ivan R. Dee 2001, s. 102; Charles A. Beard, James Harvey Robinson, *The Development of Modern Europe: An Introduction to the Study of Current History*, t. 2, Boston: Ginn & Company 1907, s. 141; Frederic C. Howe, *Socialized Germany*, New York: C. Scribner's Sons 1915, s. 166; Fareed Zakaria, *The Future of Freedom: Illiberal Democracy at Home and Abroad*, New York: WW. Norton 2004, s. 66.

[125] Murray N. Rothbard, *World War I as Fulfillment: Power and the Intellectuals*, „Journal of Libertarian Studies” 9, nr 1 (zima 1989 r.), 5. 103.

[126] Woodrow Wilson, *The Papers of Woodrow Wilson*, t. 1, New York: Harper 1927.

[127] James Bovard, *Freedom in Chains: The Rise of the State and the Demise of the Citizen*, New York: St. Martin's 2000, s. 8.

128 Charles Forcey, *The Crossroads of Liberalism: Croly, Weyl, Lippmann, and the Progressive Era, 1900-1925*, New York: Oxford University Press 1961, s. 124-125.

129 Wilfred M. McClay, *Croly's Progressive America*, „Public Interest" 137 (jesień 1999 r.).

130 Eric E Goldman, *Rendezvous with Destiny: A History of Modern American Reform*, Chicago: Ivan R. Dee 2001, s. 192.

131 Charles Forcey, *The Crossroads of Liberalism: Croly, Weyl, Lippmann, and the Progressive Era, 1900-1925*, New York: Oxford University Press 1961, s. 15; Eric F. Goldman, *Rendezvous with Destiny: A History of Modern American Reform*, Chicago; Ivan R. Dee 2001, s. 191.

132 James Bovard, *Freedom in Chains: The Rise of the State and the Demise of the Citizen*, New York: St. Martin's 2000, s. 8.

133 William E. Leuchtenburg *Progressivism and Imperialism: The Progressive Movement and America Foreign Policy 1898-1916*, „Mississippi Valley Historical Review" 39, nr 3 (grudzień 1952 r.), s. 490.

134 Herbert Croly, *The Promise of American Life*, New York: Macmillan 1911, s. 14.

135 Herbert Croly, *Regeneration*, „New Republic", 9 czerwca 1920 r., s. 40-44; cytowane wcześniej zob. te zdania w: Sydney Kaplan, *Social Engineers as Saviors: Effects of World War I on Some American Liberals*, „Journal of the History of Ideas", czerwiec 1956 r. s. 347-369.

136 John Patrick Diggins, *Flirtation with Fascism: American Pragmatic Liberals and Mussolini's Italy*, „American Historical Review" 71, nr 2 (styczeń 1966 1), s. 494.

137 „Niewątpliwie podczas wojny światowej – pisał Ross w *The Russian Soviet Republic* – były takie godziny, kiedy ginęło więcej Rosjan niż podczas całego okresu czerwonego terroru, [...] który realizował swój cel poprzez to, że nagle skończyły się knowania burżuazji". Dimiti von Mohrenschildt, *The Early American Observers of the Russian Revolution, 1917-1921*, „Russian Review" 3, nr 1 (jesień 1943 r.) s. 67. Ross w oryginale błędnie transkrybował słowo *razstrielat'* (razstrellyat).

138 Dimiti von Mohrenschildt, *The Early American Observers of the Russian Revolution, 1917-1921*, „Russian Review" 3, nr 1 (jesień 1943 r.), s. 69.

139 Lewis S. Feuer, *American Travelers to the Soviet Union, 1917-32: The Formation of a Component od New Deal Ideology*, „American Quarterly" 14, nr 2, cz. 1 (lato 1962 r.), s. 125; Stuart Chase, Robert Dunn, Rexford Guy Tugwell (red.), *Soviet Russia in the Second Decade*, New York: John Day 1928, s. 49-50, 54.

140 Takie tłumaczenie przyjęło się w Polsce, ale właściwie New Deal oznacza 'nowe rozdanie', jak w grze karcianej (przyp. tłum.).

141 Lewis S. Feuer, *American Travelers to the Soviet Union, 1917-32: The Formation of a Component od New Deal Ideology*, „American Quarterly" 14, nr 2, cz. 1 (lato 1962 r.), s. 102, 128, 126, 119-149.

142 Tamże s. 132.

143 Drugiego marca 1927 roku na łamach pisma „New Republic" informowano czytelników, że „bardziej liberalne podejście polega na tym, że uważa się włoski faszyzm, podobnie jak rosyjski komunizm, za polityczny i społeczny eksperyment mający swoje miejsce we włoskim rozwoju politycznym, który nie może być rozumiany ani oceniany z pozycji ani jego przyjaciół, ani wrogów".

144 John Patrick Diggins, *Flirtation with Fascism: American Pragmatic Liberals and Mussolini's Italy*, „American Historical Review" 71, nr 2 (styczeń 1968 r.), s. 494. Znajduje się tam cytat za Charles A. Beard, *Making the Fascist State*, „New Republic", 23 stycznia 1929 r., s. 277-278.

145 John G. West, *Darwin's Conservatives: The Misguided Quest*, Seattle: Discovery Institute 2006, s. 60.

146 Mniej więcej w tym samym czasie pismo „New Republic" stało się właściwie intelektualną firmą *public relations* pracującą na potrzeby administracji Wilsona. Theodore Roosevelt był tak sfrustrowany tą zdradą jego byłych kibiców, że nazwał „New Republic" „podrzędnym pisemkiem wydawanym przez dwóch anemicznych gojów i dwóch

nieobrzezanych Żydów". Zob. Eric F. Goldman, *Rendezvous with Destiny: A History of Modern American Reform*, Chicago: Ivan R. Dee 2001, s. 194.

[147] Woodrow Wilson, *Address to a Joint Session of Congress on Trusts and Monopolies*, [przemówienie do wspólnego posiedzenia obu izb Kongresu w sprawie trustów i monopoli], 20 stycznia 1914 r., wwwpresidency.ucsb.edu/ws/?pid=65374 (dostęp 14 marca 2007 r.).

[148] Przekonanie Wilsona, że jest mesjańskim wcieleniem światowych sił historii, było całkowite. Niejednokrotnie twierdził, że jest narzędziem Boga albo historii, albo obojga. Swoje słynne przemówienie do Ligi dla Wprowadzanie Pokoju (League to Enforce Peace) zakończył następująco: „Powtarzam, że nie przyszedłem tutaj omawiać programu. Przyszedłem, żeby wypowiedzieć wyznanie wiary i dać wyraz przekonaniu, że świat właśnie dziś znajduje się w przededniu wielkiego spełnienia, kiedy zostanie powołana pewna wspólna siła mająca zapewnić ochronę prawa [lub dobra, słuszności – przyp. tłum.] jako najważniejszego i najbardziej fundamentalnego interesu wszystkich narodów i wszystkich rządów, kiedy przemoc będzie stosowana nie w służbie politycznych ambicji lub egoistycznej wrogości, lecz w służbie wspólnego porządku, wspólnej sprawiedliwości i wspólnego pokoju. Oby Bóg sprawił, że świt tego dnia uczciwych rokowań i trwałego pokoju, zgody i współpracy, będzie blisko!". Pełen tekst tego wystąpienia zob. na stronie www.presidency.ucsb.edu/ws/index.php?pid=65391. Zob. Woodrow Wilson, *The Messages and Papers of Woodrow Wilson*, t. 1, red, Albert Shaw, New York: Review of Reviews Corporation 1924, s. 275, Zob. też *Text of the Presidents Speech Discussing Peace and Our Part in a Future League to Prevent War*, „New York Times", 28 maja 1916, s, 1.

[149] William E.. Leuchtenburg, *The FDR Years: On Roosevelt and His Legacy*, New York: Columbia University Press 1995, s. 39.

[150] Co do cytowanej wypowiedzi Deweya, zob. www.fff.org/freedom/fd0203c.asp; na temat Blatch zob. Michael McGerr, *A Fierce Discontent: The Rise and Fall of the Progressive Movement in America, 1870-1920*, New York: Free Press 2003, s. 282 oraz John M. Barry, *The Great Influenza: The Epic Story of the Deadliest Plague in History*, New York: Penguin 2004, s. 127; odnośnie do Ely'ego zob. Murray N. Rothbard, *Richard T. Ely: Paladin of the Welfare-Warfare State*, „Independent Review" 6, nr 4 (wiosna 2002 r.), s, 587; cytowane zdanie Wilsona zob. w: *Gov. Wilson Stirs Spanish Veterans*, „New York Times", 11 września 1912 r., s. 3; zdanie Hitlera zob. w: Louis P. Lochner (red.), *The Goebbels Diaries, 1942-1943*, New York: Doubleday 1948, s. 314.

[151] Michael McGerr, *A Fierce Discontent: The Rise and Fall of the Progressive Movement in America, 1870-1920*, New York: Free Press 2003, s. 282.

[152] Cytowane wypowiedzi Croly'ego zob. w: *The End of American Isolation*, tekst odredakcyjny, „New Republic", 7 listopada 1914 r.; cytuję je za: John B. Iudis, *Homeward Bound*, „New Republic", 3 marca 2003 r., s. 16; zob. też Arthur A. Ekirch, *The Decline of American Liberalism*, New York: Atheneum 1967, s. 202. Co do cytowanych stwierdzeń Lippmanna zob. Ronald Steel, *The Missionary*, „New York Review of Books", 20 listopada 2003 r. oraz Heinz Eulau, *From Public Opinion to Public Philosophy: Walter Lippmann's Classic Reexamined*, „American Journal of Economics and Sociology", t. 15, nr 4 (lipiec 1956 r.), s. 441.

[153] William E. Leuchtenburg, *The FDR Years; On Roosevelt and His Legacy*, New York: Columbia University Press 1995, s. 39; David M. Kennedy, *Over Here: The First World War and American Society*, New York: Oxford University Press 1982, s. 52.

[154] Grosvenor Clarkson, *Industrial America in the World War: The Strategy Behind the Line, 1917-1918*, Boston: Houghton Mifflin 1923, s. 292.

[155] Michael McGerr, *A Fierce Discontent: The Rise and Fall of the Progressive Movement in America, 1879-1920*, New York: Free Press 2003, s. 289; Woodrow Wilson, *A Proclamation by the President of the United States*, tekst przedrukowany w wydaniu dziennika „New York Times" z 19 maja 1917 r., s. 1.

[156] Walter Lippmann, *Public Opinion*, New York: Harcourt, Brace 1922.

[157] Michael McGerr, *A Fierce Discontent: The Rise and Fall of the Progressive Movement in America, 1879-1920*, New York: Free Press 2003, s. 288; John M. Barry, *The Great Influenza: The Epic Story of the Deadliest Plague in History*, New York: Penguin 2004, s. 127.

[158] Co do cytowanego zdania Bernaya, zob. Michael Kazin, *The Populist Persuasion: An American History*, Ithaca, N.Y.: Cornell University Press 1998, s. 70. Na temat plakatów CPI zob. John M. Barry, *The Great Influenza: The Epic Story of the Deadliest Plague in History*, New York: Penguin 2004, s. 127.

[159] John M. Barry, *The Great Influenza: The Epic Story of the Deadliest Plague in History*, New York: Penguin 2004, s. 126.

[160] *Charges Traitors in America Are Disrupting Russia*, „New York Times", 16 września 1917 r., s. 3; Stephen Vaughn, *First Amendment Liberties and the Committee on Public Information*, „American Journal of Legal History" 23, nr 2 (kwiecień 1979 r.), s. 116.

[161] Michael McGerr, *A Fierce Discontent: The Rise and Fall of the Progressive Movement in America,1870-1920*, New York: Free Press 2003, s. 293.

[162] Tamże, s. 293, 294.

[163] H.W. Brands, *The Strange Death of American Liberalism*, New Haven: Yale University Press 2001, s. 40. Wśród wszystkich przypadków cenzurowania prasy przez Burlesona są tylko dwie sytuacje, kiedy Wilson nie zgodził się ze swoim poczmistrzem na tyle poważnie, aby skorygować jego decyzje. We wszystkich innych Wilson zdecydowanie popierał w zasadzie nieograniczone prawo rządu do cenzurowania prasy – łącznie z przypadkiem, kiedy Burleson wykorzystywał swoją pozycję do nękania lokalnej gazety z Teksasu, w której skrytykowano jego decyzję o usunięciu biednych dzierżawców z jego ziemi. W liście do pewnego kongresmana Wilson twierdził, że cenzura jest „absolutnie konieczna dla bezpieczeństwa publicznego". John Sayer, *Art and Politics, Dissent and Repression: The Masses Magazine Versus the Government, 1917-1918*, „American Journal of Legal History" 32, nr 1 (styczeń 1988 r,), s. 46.

[164] Przywódca niemarksistowskich związków zawodowych (przyp. tłum.).

[165] Irlandia podczas wojny była jeszcze kolonią angielską i dlatego Irlandczycy sprzyjali Niemcom (przyp. tłum).

[166] John Sayer, *Art and Politics, Dissent and Repression: The Masses Magazine Versus the Government, 1917-1918*, „American Journal of Legal History" 32, nr 1 (styczeń 1988 r.), przyp. 99 na s. 64; Arthur A. Ekirch, *The Decline of American Liberalism*, New York: Atheneum 1967, s. 216-217.

[167] Carl Brent Swisher, *Civil Liberties in War Time*, „Political Science Quarterly" 55, nr 3 (wrzesień 1940 r.), s. 335.

[168] Zob. Howard Zinn, *The Twentieth Century: A People's History*, New York: HarperCollins 2003, s. 89-92.

[169] Norman Hapgood, *Professional Patriots*. New York: Boni 1927, s. 62. Zob. też Patrick Diggins, *Mussolini and Fascism: The View from America*, Princeton: Princeton University Press 1972, s. 206. Mniej więcej dziesięć lat później przedstawiciel legionu z Teksasu wpiął odznakę legionu w klapę Mussoliniemu, czyniąc go członkiem honorowym. Mussolini zrewanżował się, pozując do zdjęcia w teksańskim kowbojskim kapeluszu z tym pułkownikiem legionu.

[170] Sformułowanie oznacza Amerykanów obcego pochodzenia; zwrot ukuto na podstawie pisowni takich określeń narodowościowych, jak Chinese-American (przyp. red.).

[171] *Congress Cheers as Wilson Urges Curb on Plotters*, „New York Times", 8 grudnia 1915 r., s. 1; Charles Seymour, *Woodrow Wilson and the World War: A Chronicle of Our Own Times*, New Haven: Yale University Press 1921, s. 79; *Suggests Canada Might Vote with US*, „New York Times", 26 września 1919 r., s. 3.

[172] *President Greets Fliers*, „Washington Post", 10 września 1924 r.; Arthur A. Ekirch, *The Decline of American Liberalism*, New York: Atheneum 1967, s. 217; John M. Barry, *The Great Influenza: The Epic Story of the Deadliest Plague in History*, New York: Penguin 2004, s. 125.

[173] Na temat Butlera zob. Ellen Nore, *Charles A. Beard: An Intellectual Biography*. Carbondale: Southern Illinois University Press 1983, s. 80 oraz David M. Kenriedy, *Over Here: The First World War and American Society*, New York: Oxford University Press 1982, s. 74. Historyk Charles Beard zasłużył na wieczne uznanie, rezygnując na znak protestu ze stanowiska. Niewielu kolegów poszło za jego przykładem. Co do Ely ego, zob. Murray N. Rothbard, *Richard T. Ely; Paladin of the Welfare-Warfare State*, „Independent Review" 6, nr 4 (wiosna 2002 r.), s. 588; jest tam cytowane zdanie z. Carol S. Gruber, *Mars and Minerva: World War I and the Uses of the Higher Learning in America*, Baton Rouge: Louisiana State University Press 1975, s. 207.

[174] Michael McGerr, *A Fierce Disrontent: The Rise and Fall of the Progressive Movement in America 1870-1920*, New York: Free Press 2003, s. 299; *Stamping Out Treason*, materiał odredakcyjny, „Washington Post", 12 kwietnia 1918 r.

[175] Michael Kazin, *The Populist Persuasion: An American History*, Ithaca, N.Y.: Cornell University Press 1998, s. 69; John Patrick Diggins, *The Rise and Fall of the American Left*, New York: Norton 1992, s. 102.

[176] Michael McGerr, *A Fierce Discontent: The Rise and Fall of the Progressive Movement in America, 1870-1920*, New York: Free Press 2003, s. 290.

[177] David Schoenbaurn, *Hitler's Social Revolution: Class and Status in Nazi Germany 1933-1939*, New York: Norton 1980, s. 63; Michael Marin, *Fascists*, New York: Cambridge University Press 2004, s. 146.

[178] Michael McGerr, *A Fierce Discontent: The Rise and Fall of the Progressive Movement in America, 1870-1920*, New York: Free Press 2003, s. 59.

[179] Michael A. Bernstein, *The Great Depression; Delayed Recovery and Economic Change in America, 1929-1939*, New York; Cambridge University Press 1987, s. 273; William E. Leuchtenburg, *The FDR Years: On Roosevelt and His Legacy*, New York: Columbia University Press 1995, s. 50.

[180] William E. Leuchtenburg, *The FDR Years: On Roosevelt and His Legacy*, New York: Columbia University Press 1995, s. 10-11.

[181] Lewis S. Feuer, *American Travelers to the Soviet Union, 1917-32: The Formation of a Component of New Deal Ideology*, „American Quarterly" 14, nr 2, cz. 1 (lato 1962 r.), s. 148; znajduje się tam cytat z: Harold L. Ickes, *The Secret Diary of Harold L. Ickes: The First Thousand Days*, New York: Simon and Schuster 1953, s. 104; Alan Brinkley, *The End of Reform: New Deal Liberalism in Recession and War*, New York: Vintage 1996, s. 22; Harold L. Ickes, *The Secret Diary of Harold L. Ickes: The First Thousand Days*, t. 2, s. 325-326.

[182] Najlepsze omówienie polityki Franklina Roosevelta jako programu dyktatorskiego i faszystowskiego można znaleźć w: William E. Leuchtenburg, *The New Deal as the Moral Analogue of War*, w: William E. Leuchtenburg, *The FDR Years: On Roosevelt and His Legacy*, New York: Columbia University Press 1995, s. 35-75. Co do Lippmanna, zob. Jonathan Alter, *The Defining Moment: FDR's Hundred Days and the Triumph of Hope*, New York: Simon and Schuster 2006, s. 5; Ronald Steel, *Walter Lippmann and the American Century*, Boston: Little, Brown 1980, s. 300.

[183] Alan Brinkley, *Liberalism and Its Discontents*, Cambridge, Mass.: Harvard University Press 1998, s. 17.

[184] William E. Leuchtenburg, *The FDR Years: On Roosevelt and His Legacy*, New York: Columbia University Press 1995, s. 27; znajduje się tam cytat z: Hugh Gregory Gallagher, *FDR's Splendid Deception: The Moving Story of Roosevelt's Massive Disability – and the Intense Efforts to Conceal It from the Public*, New York: Dodd, Mead 1985, s. 160.

[185] Kenneth S. Davis, *FDR: The New Deal Years*, 1933-1937, New York: Random House 1986, s. 223.

[186] *Feather duster* to miotełka z piórek (przyp. tłum.)

[187] James MacGregor Burns, *Roosevelt: The Lion and the Fox*, *1882-1940*, New York: Harcourt, Brace 1984, s, 50.

[188] Tamże, s. 52, 61.

[189] Do własnych spraw jednak nie podchodził z tym samym nastawieniem. Powiedział matce, żeby nie przesadzała ze stosowaniem się do namów rządu, który nakłaniał do kupowania obligacji wolności „aż do bólu". Ten człowiek, który później piętnował „gospodarczych rojalistów" (tj. zdrajców), powiedział kobiecie kontrolującej jego kasę, żeby nie sprzedawała żadnych cennych składników rodzimego majątku, żeby za uzyskane w ten sposób pieniądze kupić bardziej patriotyczne, ale mniej dochodowe obligacje. Zob. Kenneth S. Davis, *FDR: The New Deal Years, 1933-1937*, New York: Random House 1986, s. 512-513.

[190] Richard Hofstadter, *The American Political Tradition and the Men Who Made It*, New York: Vintage 1989, s. 412; William E. Leuchtenburg, *The FDR Years: On Roosevelt and His Legacy*, New York: Columbia University Press 1995, s. 2.

[191] James MacGregor Bums, *Roosevelt: The Lion and the Fox, 1882-1940*, New York: Harcourt, Brace 1984, s. 144.

[192] Przyjaźń obu panów owocowała w ten sposób, że z każdej serii znaczków poczmistrz drukował kilka arkuszy z błędami – dla siebie i dla prezydenta (przyp. tłum).

[193] W amerykańskim żargonie politycznym triangulacja oznacza wykorzystywanie elementów programów obu głównych partii przez polityka, który w ten sposób chce obrać drogę pośrednią między lewica a prawicą oraz wznieść się ponad ten podział (przyp. red.).

[194] Alan Brinkley, *Liberalism and Its Discontents*, Cambridge, Mass.: Harvard University Press 1998, s. 18, 37; Alvin H. Hansen, *Toward Full Employment*, mowa wygłoszona na Uniwersytecie Cincinnati 15 marca 1949 r.; cytuje za: Alan Brinkley, *The End of Reform: New Deal Liberalism in Recession and War*, New York: Vintage 1996, s. 5.

[195] *Liberalism vs. Fascism*, materiał odredakcyjny, „New Republic", 2 marca 1927 r., s. 35. W obronie Mussoliniego przez Croly'ego nie można nie dostrzec faszystowskiej obsesji na punkcie jedności i działania. W innym artykule Croly pisał: „Niezależnie od tego, jakie niebezpieczeństwa niesie z sobą faszyzm, przynajmniej zastąpił stagnację ruchem, bierność celowością, a powszechną małostkowość i zniechęcenie wizją wspaniałej przyszłości". Alan Brinkley, *The End of Reform: New Deal Liberalism in Recession and War*, New York: Vintage 1996, s. 155; John Patrick Diggins, *Mussolini and Fascism: The View from America*, Princeton: Princeton University Press 1972, s. 204.

[196] John Patrick Diggins, *Flirtation with Fascism: American Pragmatic Liberals and Mussolini's Italy*, „American Historical Review" 71, nr 2, styczeń 1966 r., s. 495.

[197] Stuart Chase, *A New Deal*, New York: Macmillan 1932, s. 252.

[198] Markiz de Sade uważał się za wielkiego rewolucjonistę i filozofa, ale w rzeczywistości był znudzonym zboczeńcem, który wymyślał zawiłe uzasadnienia pozwalające dla rozrywki bić i kaleczyć ludzi. Lenina nudziło wszystko prócz nieustannych wezwań do rewolucji. Martin Heidegger prowadził cały cykl wykładów o nudzie. Nazwał ją „zdradzieckim stworzeniem, które podtrzymuje swą potworną istotę w naszym [byciu]". Zastanawiano się, czy Heidegger wstąpił do partii nazistowskiej przynajmniej w części po to, żeby wyleczyć się z nudy.

[199] James R. Mellow, *Charmed Circle: Gertrude Stein and Company*, New York: Henry Holt 2003, s. 416.

[200] „My, ludzie po sześćdziesiątce – pisał Sinclair Lewis z okazji śmierci Wellsa w roku 1946 – pamiętamy, ile dla nas znaczył. [...] Bo oto był człowiek, który bardziej niż wszyscy inni w tym stuleciu zaproponował naszym młodym umysłom fantastyczną myśl (która może się jeszcze okazać prawdą), że ludzkość może wytężyć myśl" i nie zgodzić się na to, że „uczyni nasze życie pełnym nędzy i winy tylko po to, aby sprawić przyjemność jakiejś instytucji, która od stulecia jest chodzącym i gadającym trupem". Eric F. Goldman, *Rendezvous with Destiny: A History of Modern American Reform*, Chicago: Ivan R. Dee 2001, s. 178. Tytułu tej książki nie wziąłem z przemówienia Wellsa, ale zachwyciło mnie odkrycie, że ten zwrot ma tak bogatą historię intelektualną. Zob. Philip Coupland, *H.G. Wells's 'Liberal Fascism'*, „Journal of Contemporary History" 35, nr 4 (październik 2000 r.), s, 541-558.

[201] Philip Coupland, *H.G. Wells 's 'Liberal Fascism'*, „Journal of Contemporary History" 35, nr 4 (październik 2000 r.), s. 543.

[202] H.G. Wells, *The War in the Air*, New York: Penguin Classics 2005, s. 128. Kiedy w kinach zaczęto wyświetlać ekranizację tej powieści, w organie Brytyjskiego Związku Faszystów (British Union of Fascists) ukazał się list z pytaniem „Czy pan Wells jest ukrytym faszystą? Wszyscy bohaterowie – pisał korespondent – nosili czarne koszule i szerokie lśniące pasy faszystów! Stroje były identyczne, aktorzy zaś zachowywali się w pół-wojskowym stylu faszystów". Philip Coupland, *H.G. Wells 's 'Liberal Fascism'*, „Journal of Contemporary History" 35, nr 4 (październik 2000 r.), s. 541. H.G. Wells, *What Is Fascism and Why?*, „New York Times Magazine", 6 lutego 1927 r., s. 2; George Orwell *Wells, Hitler and the World State*, „Horizon" sierpień 1941 r., przedruk w: G. Orwell, *Essays*, New York: Knopf 2002, s. 371.

[203] H.G. Wells, *Experiment in Autobiography: Discoveries and Conclusions of a Very Ordinary Brain Since 1866*, New York: Macmillan 1934, s. 682; William E. Leuchtenburg, *The FDR Years: On Roosevelt and His Legacy*, New York: Columbia University Press 1995, s. 93.

[204] W latach dwudziestych i trzydziestych pojawiały różne kulty podobne do faszystowskich mające za podstawę koncepcję, że rządzić powinni inżynierowie. Najbardziej znany był „technokratyczny" bzik Thorsteina Veblena.

[205] Adres siedziby premiera (przyp. tłum.).

[206] Pewien autor piszący dla „Village Voice" podaje, że Coughlin był przywódcą „grupy prawicowych chrześcijańskich przegranych", zob. James Ridgeway, *Mondo Washington*, „Village Voice", 14 marca 2000 r., s. 41. Autor artykułu opublikowanego w dzienniku „New York Times" po prostu stwierdził, że Pat Bucharian to „ksiądz Coughlin roku 1996". Zob. Samuel Freedman, *The Father Coughlin of 1996*, „New York Times", 25 lutego 1996 r. Historyk Michael Kazin w wywiadzie udzielonym redakcji pisma „Business Week" powiedział, że „Buchanan czerpie z izolacjonistycznego konserwatyzmu Coughlina, głoszonego przez niego w latach trzydziestych"; zob. Lee Walczak, *The New Populism*, „Business Week", 13 marca 1995 r., s. 72. Pewien pracownik naukowy publikujący na łamach „Foreign Policy" był zszokowany tym, że „współczesną chrześcijańską prawicę stanowią zagorzali obrońcy Izraela". W jego przeświadczeniu powinno to być „zaskoczeniem dla obserwatorów znających antysemicką zajadłość chrześcijańskich

konserwatystów działających przed II wojną światową, na przykład księdza Charlesa, komentatora radiowego". Zob. WilliamMartin, *The Christian Right and American Foreign Policy*, „Foreign Policy" nr 114 (wiosna 1999 r.), s. 72. Redakcja „Newsweeka" uważa księdza Coughlina i Ronalda Reagana za dwóch „konserwatystów", którzy wiedzieli, jak należy wykorzystywać radio; zob. Howard Fineman, *The Power of Talk*, „Newsweek", 8 lutego 1993 r., s. 24. I tak dalej, i tak dalej.

[207] Marshall William Fishwick, *Great Awakenings: Popular Religion und Popular Culture*, Binghamton: Haworth 1995, s. 128.

[208] *Lays Banks' Crash to Hoover Policies*, „New York Times" 24 sierpnia 1933 r., s. 7; *State Capitalism urged by Coughlin*, „New York Times", 19 lutego 1934, s. 17.

[209] Bardzo wielu obserwatorów zdawało sobie sprawę, że komunizm jest nową religią. John Maynard Keynes rozpoczął swój znakomity szkic z roku 1925 *A short view of Russia* (Krótkie spojrzenie na Rosję) stwierdzeniem, że „leninizm jest połączeniem dwóch rzeczy, które Europejczycy od kilku stuleci przechowywali w osobnych szufladach duszy – religii i biznesu. Jesteśmy zszokowani, ponieważ religia jest nowa, i patrzymy z wyższością, ponieważ biznes podporządkowany religii (zamiast odwrotnie) jest wysoce niewydajny".

[210] *Free Silver* – ruch farmerów i górników srebra na rzecz uwolnienia ceny srebra w końcu XIX wieku (przyp. tłum).

[211] Reżyser krytycznych, nawet antyamerykańskich filmów dokumentalnych (przyp. tłum.).

[212] Alger Hiss w roku 1950 został skazany za szpiegostwo na rzecz Związku Sowieckiego (przyp. tłum.).

[213] Alan Brinkley, *Voices of Protest: Huey Long, Father Coughlin, and the Great Depression*, New York: Vintage 1983, s. 122.

[214] *'Roosevelt or Ruin', Asserts Radio Priest at Hearing*, „Washington Post" 17 stycznia 1934 r., s. 1-2; Alan Brinkley, *Voices of Protest: Huey Long, Father Coughlin, and the Great Depression*, New York: Vintage 1983, s. 126. Zob. też *Father Couglin Address*, National Union for Social Justice, 11 listopada 1934 r., www.ssa.gov/history/fcspeech.html (dostęp 20 lutego 2007 r.).

[215] *Principles of the National Union for Social Justice*; cytat w: Alan Brinkley, *Voices of Protest: Huey Long, Father Coughlin, and the Great Depression*, New York: Vintage 1983, s. 287-288.

[216] Coughlin ciągnął dalej: „Wyznajemy zasadę, że nie może być trwałej prosperity, jeżeli w dowolnej branży panuje wolna konkurencja, Wobec tego zadaniem rządu jest nie tylko wprowadzenie przepisów o rocznej płacy minimalnej i maksymalnym czasie pracy w przemyśle, ale również ograniczenie indywidualizmu i w razie konieczności przyznawanie koncesji przedsiębiorstwom i ograniczenie ich produkcji". Zob. Charles A. Beard, George H.E. Smith (red), *Current Problems of Public Policy: A Collection of Materials*, New York: The Macmillan Company 1936, s. 54.

[217] Organizacja *America First* stawiała na pierwszym miejscu interes Ameryki, była przeciwna udziałowi w wojnie europejskiej; prominentnymi członkami byli Henry Ford i sławny lotnik Charles Lindbergh (przyp. tłum.).

[218] Alan Brinkley, *Voices of Protest: Huey Long, Father Coughlin, and the Great Depression*, New York: Vintage 1983, s. 239.

[219] *Wordsworth Dictionary of Quotations*, Ware: Wordsworth Editions 1998, s. 240; Arthur M. Schlesinger, *The Politics of Upheaval: 1935-1936*, 3 tom monografii zatytułowanej *The Age of Roosevelt*, Boston: Houghton Mifflin 2003, s. 66.

[220] Sinclair był dziennikarzem demaskatorem, znanym przede wszystkim z powieści *Grzęzawisko* (*The Jungle*), historii wyzyskiwanego imigranta pracującego w Chicago w firmie produkującej konserwy, który znajduje wybawienie poprzez socjalizm. Sam Sinclair był członkiem partii socjalistycznej do I wojny światowej, kiedy zerwał z nią, opowiadając się za interwencją (co we Włoszech uczyniłoby go faszystą). Sinclair pozostał ideowym socjalistą (i aktywistą na rzecz zdrowej żywności) do końca życia. Doktor Townsend był jeszcze dziwniejszą postacią. We wrześniu 1933 roku wysłał list do lokalnej gazety w Kalifornii, w którym twierdził, że gospodarcze problemy Ameryki można by rozwiązać, gdyby rząd federalny dawał po dwieście dolarów wszystkim osobom po sześćdziesiątce, pod warunkiem, że musiałyby je wydać w ciągu miesiąca. Dałoby to bodziec gospodarce i wydobyłoby starych ludzi z nędzy. W ciągu trzech miesięcy od opublikowania listu działało w kraju trzy tysiące klubów Townsenda oraz powstał ogólnokrajowy tygodnik. W lecie roku 2005 kluby liczyły 2.250.000 członków. Ruch Townsenda, który pismo „Today" nazwało „niewątpliwie największą sensacją polityczną roku 1935", zdobył liczne miejsca w legislaturach stanowych. Dwóch członków zostało nawet gubernatorami. Zob. William E. Leuchtenburg, *Franklin D. Roosevelt and the New Deal*, New York: Harper & Row 1963, s. 180.

[221] Wolfgang Schivelbusch, *Three New Deals: Reflections on Roosevelt's America, Mussolini's Italy and Hitler's Germany, 1933-939*, New York: Metropolitan Books 2006, s. 73.

[222] Götz Aly, *Hitler's Beneficiaries: Plunder; Racial War, and the Nazi Welfare State*, New York: Holt 2007. Uważny czytelnik mógłby spytać, dlaczego hitlerowskie Niemcy osiągnęły o tyle większy sukces niż Ameryka, skoro III Rzesza była bardziej socjalistyczna. To dobre pytanie, które zadałem kilku ekonomistom. Krótka odpowiedź brzmi tak: płace realne. Zob. Jody K. Biehl, *How Germans Fell for the 'Feel-Good' Fuehrer*, „Spiegel Online", 22 marca 2005 r., http://www.spiegel.de/international/0,1518,347726,00.html [dostęp 26 czerwca 2007 r.).

[223] Anne O'Hare McCorinick, *Hitler Seeks Jobs for All Germans*, „New York Times", 10 lipca 1933 r., s. 6.

[224] John A. Garraty, *The New Deal, National Socialism, and the Great Depression*, „American Historical Review" 78, nr 4 (październik 1973 r.), s. 933-934; Wolfgang Schivelbusch, *Three New Deals: Reflections on Roosevelt's America, Mussolini's Italy and Hitler's Germany 1933-1939*, New York: Metropolitan Books 2006, s. 19-20.

[225] Wolfgang Schivelbusch, *Three New Deals: Reflections on Roosevelt's America, Mussolini's Italy; and Hitler's Germany, 1933-1939*, New York: Metropolitan Books 2006, s. 23, 24, 19.

[226] Benito Mussolini, *The Birth of a New Civilization*, w: Roger Griffin (red.), *Fascism*, New York: Oxford University Press 1995, s. 73; Wolfgang Schivelbusch, *Three New Deals: Reflections on Roosevelt's America, Mussolini's Italy and Hitler's Germany, 1933-1939*, New York: Metropolitan Books 2006, s. 31.

[227] Alonzo L. Hamby, *For the Survival of Democracy: Franklin Roosevelt and the World Crisis of the 1930s*, New York: Free Press 21004, s. 146.

[228] Co ciekawe, James przywołuje w swojej pracy niemieckiego filozofa S.R. Steinmetza. I chociaż nie zgadza się z nim w kilku istotnych sprawach, warto zauważyć, że nazywa Steinmetza „sumiennym myślicielem" i „moralnym" militarystą. Steinmetz, teraz w zasadzie zapomniany, był bardzo znanym niemieckim darwinistą społecznym i zwolennikiem eugeniki. William James, *Memories and Studies*, New York; Longmans, Green and Co. 1934, s. 281.

[229] Jonathan Alter, *The Defining Moment: FDR's Hundred Days and the Triumph of Hope*, New York: Simon and Schuster 2006, s. 4.

[230] Tamże, s. 5.

[231] Zapora wodna i elektrownia, jedyne przedsiębiorstwo państwowe w USA (przyp. tłum).

[232] William E. Leuchtenburg, *The FDR Years: On Roosevelt and His Legacy*, New York: Columbia University Press 1995, s. 63.

[233] Tamże, s. 55, 56.

[234] David Schoenbaum, Hitler's Social Revolution: *Class and Status in Nazi Germany 1933-1939*, New York: Doubleday 1966, s. 63. Konstantin Hierl, szef Służby Pracy Rzeszy, wyjaśnił, że nie ma lepszego sposobu pozwalającego pokonać różnice klasowe – najlepiej w tym celu ubrać „syna dyktatora i młodego robotnika, studenta uniwersytetu i pracownika rolnego w taki sam mundur i posadzić przy tym samym stole we wspólnej służbie Narodowi [*Volk*] i Ojczyźnie". Porównując Niemcy i Hiszpanię, Hitler stwierdził w roku 1936: „Jaka różnica w porównaniu z pewnym innym krajem – mówił, nawiązując do rozdzieranej wojną Hiszpanii. – Tam walczy klasa przeciwko klasie, brat przeciwko bratu. My wybraliśmy inną drogę: zamiast was dzielić, połączyliśmy was".

[235] Hugh S. Johnson, *The Blue Eagle, from Egg to Earth*, Garden City: Doubleday, Doran 1935, s. 264.

[236] W potocznym języku może to znaczyć „Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich", ale wierniejsze tłumaczenie to „Społeczność jest ważniejsza od własnego interesu".

[237] Otto Friedrich, *FDR's Disputed Legacy*, „Time", l lutego 1982 r.

[238] Alonzo L. Hamby, *For the Survival of Democracy: Franklin Roosevelt and the World Crisis of the 1930s*, New York: Free Press 2004, s. 164.

[239] *Not Since the Armistice*, „Time”, 25 września 1933 r., http://www.time.coll1/time/magazine/article/0,9171,882190,00.html (dostęp 7 lutego 2007 r.); T. H. Watkins, *The Bird Did Its Part*, „Smithsonian”, tom 30, nr 2, maj 1999 r.

[240] *Red Rally Dimmed by Harlem Fervor*, „New York Times”, 5 sierpnia 1934 r., s. N3.

[241] Lee Lescaze, *Reagan Still Sure Some in New Deal Espoused Fascism*, „Washington Post”, 24 grudnia 1981 r., s. A7. Reagan mówił jeszcze ostrzej w sierpniu poprzedniego roku: „każdy, kto zechce zajrzeć do dokumentów Trustu Mózgów Nowego Ładu, stwierdzi, że doradcy prezydenta Roosevelta podziwiali ustrój faszystowski. [...] Uważali, że własność prywatna z zarządem państwowym i kontrolą, rozwiązanie podobne do włoskiego, powinna być systemem obowiązującym, co wynika ze wszystkich ich materiałów”. Zob. Steven F. Hayward, *The Age of Reagan: The Fall of the Old Liberal Order; 1964-1980*, Roseville: Prima 2001, s. 681; Robert G. Kaiser, *Those Old Reaganisms*, „Washington Post”, 2 września 1980 r., s. A2.

[242] Franklin D. Roosevelt, coroczne orędzie do Kongresu (*Annual Message to U.S. Congress*), 3 stycznia 1936 r., sformułowania cytowane w: James Bovard, *Freedom in Chains: The Rise of the State and the Demise of the Citizen*, New York 2000, s. 17.

[243] William E. Leuchtenburg, *Franklin D. Roosevelt and the New Deal*, New York: Harper and Row 1963, s. 340.

[244] William A. Schambra, *The Quest for Community, and the Quest for a New Public Philosophy*, analiza przedstawiona podczas konferencji zatytułowanej Tydzień Polityki Publicznej zorganizowanej przez American Enterprise Institute w Waszyngtonie 5-8 grudnia 1983 r. Zdanie to jest cytowane w: Robert Nisbet, *The Present Age: Progress and Anarchy in Modern America*, New York: HarperCollins 1988, s. 51; tekst przemówienia Roosevelta: *President Roosevelt's Speech to His Neighbors*, „New York Times”, 27 sierpnia 1933 r., s. 28.

[245] Mowa o internowaniu Japończyków (przyp. tłum.).

[246] Wolfgang Schivelbusch, *Three New Deals: Reflections on Roosevelt's America, Mussolini's Italy, and Hitler's Germany 1933-1939*, New York: Metropolitan Books 2006, s. 186.

[247] Tamże, s. 37. Wyróżnienie pochodzi ode mnie.

[248] Allan Bloom, *The Closing of the American Mind*, New York: Simon and Schuster 1987, s. 315.

[249] Donald Alexander Downs, *Cornell '69: Liberalism and the Crisis of the American University*, Ithaca: Cornell University Press 1999, s. 172. Zdaję sobie sprawę, że historycy zawzięcie debatują o tym, kto podpalił Reichstag. Trzeba jednak pamiętać, że naziści nie przejmowali się tym, kto odpowiadał za pożar, lecz wykorzystali go do własnych celów. Z pewnością część działaczy Black Nation z Uniwersytetu Cornella uważała, że krzyż został podpalony przez białych rasistów, przywódcy jednak wiedzieli, że tak nie było, ale wykorzystali nadarzającą się okazję.

[250] Gordon A. Craig, *Germany 1866-1945*, Oxford: Clarendon 1978, s. 478.

[251] John Toland, *Adolf Hitler: The Definitive Biography*, New York: Anchor Books 1992, s. 75.

[252] Tamże, s. 75.

[253] Miriam Beard, *The Tune Hitlerism Beats for Germany*, „New York Times”, 7 czerwca 1931 r.

[254] Richard Grunberger, *The 12-Year Reich: A Social History of Nazi Germany, 1933-1945*, New York: Da Capo 1995, s. 306.

[255] Terry H. Anderson, *The Movement and the Sixties*, New York: Oxford University Press 1996, s. 200.

[256] Walter Schultze, *The Nature of Academic Freedom*, w: George L. Mosse (red.), *Nazi Culture: Intellectual, Cultural, and Social Life in the Third Reich*, Madison: University of Wisconsin Press 1966, s. 316.

[257] Donald Alexander Downs, *Cornell '69: Liberalism and the Crisis of the American University*, Ithaca: Cornell University Press 1999, s. 9; Rowland Evans, Robert Novak, *'New Order' at Cornell and the Academic Future*, „Los Angeles Times”, 5 maja 1969 r., 5. C11.

[258] Walter Berns, *The Assault on the Universities: Then and Now*, w: Stephen Macedo (red.), *Reassessing the Sixties: Debating the Political and Cultural Legacy*, New York: Norton 1997, s. 158-159.

[259] Dinesh D'Souza, *The End of Racism: Principles for a Multiracial Society*, New York: Free Press 1995, s. 339.

[260] Paul Farhi, *Dean Tries to Summon Spirit of the 1960s*, „Washington Post:, 28 grudnia 2003 r., s. A05.

[261] Kerry twierdzi, że nie uczestniczył w spotkaniu, podczas którego omawiano tę sprawę. Niektórzy mówią, że był tam wtedy, ale głosował przeciwko, Nikt nie wywodzi w sposób wiarygodny, że popierał taki program polityczny.

[262] Paul Farhi, *Dean Tries to Summon Spirit of the 1960s*, „Washington Post", 28 grudnia 2003 r., s, A05.

[263] Richard J. Ellis, *Romancing the Oppressed: The New Left and the Left Out*, „Review of Politics" 58, nr 1 (zima 1996 r.), s. 109-110; James Miller, *Democracy Is in the Streets: From Port Huron to the Siege of Chicago*, New York: Simon and Schuster 1987, s. 30-31; Tom Hayden, *Letter to the New (Young) Left*, w: Mitchell Cohen, Dennis Hale (red.), *The New Student Left: An Anthology*, wydanie poprawione i rozszerzone, Boston: Beacon 1967, s. 5-6. Artykuł pojawił się pierwotnie w piśmie „Activist" (zima 1961 r.).

[264] Eric F. Goldman, *Rendezvous with Destiny: A History of Modern American Reform*, Chicago: Ivan R. Dee 2001, s. 159.

[265] Peggy Kamuf, amerykańska tłumaczka wielu książek Derridy, wspomina, że lektura jego prac w 1970 roku, kiedy kończyła studia na Yale, dawała jej możliwość odczuwania solidarności z radykałami manifestującymi na ulicach. Twierdziła, że dekonstrukcja zapewniała możliwość zajmowania się pracą akademicką, a jednocześnie utrzymywania „tej nagłości reakcji na nadużycia władzy", która zapewniała zaangażowanie w sprawy polityczne. Krótko mówiąc, pozwalało to radykalnym pracownikom naukowym utrzymać posady, a jednocześnie zmieniać uczelnie w inkubatory radykalizmu. Zdania cytowane w: Scott Mciemee, *Derrida, a Pioneer of Literary Theory, Dies*, „Chronicle of Higher Education", 22 października 2004 r., s, A1, chroniclecom/free/v51/i09/09a00101.htm (dostęp 4 stycznia 2007 r.).

[266] Donald Alexander Downs, *Cornell '69: Liberalism and the Crisis of the American University*, Ithaca: Cornell University Press 1999, s. 232. Zob. też *The Agony of Cornell*, „Time", 2 maja 1969 r.; Homer Bigart, *Cornell Faculty Reverses Itself on Negroes*, „New York Times", 24 kwietnia 1969 r. Trauma z powodu klimatu zdrady i rozgoryczenia, którą Rossiter i znosił, i pielęgnował – na płaszczyźnie akademickiej, zawodowej i osobistej – bez wątpienia przyczyniła się do jego tragicznej decyzji. Popełnił samobójstwo w następnym roku. Jego syn, Caleb Rossiter, odrzuca ten argument w dwóch żywo napisanych rozdziałach swej autobiografii. Trudno jednak czytać jego opis i nie dojść do wniosku, że stres wywołany przez te wydarzenia – szczególnie skrajny radykalizm własnych synów – miał tu pewne znaczenie.

[267] Gunther Neske, Emil Kettering (red.), *Martin Heidegger and National Socialism: Questions and Answers*, New York: Paragon House 1990, s. 6.

[268] Richard Wolin, *The Seduction of Unreason: The Intellectual Romance with Fascism*, Princeton: Princeton University Press 2004, s. 6-7.

[269] Związek między pragmatyzmem a konserwatyzmem jest nieco bardziej złożony. William James był wielkim amerykańskim filozofem i w jego pracach znajduje się wiele rzeczy podziwianych przez konserwatystów. Gdy pod pojęciem pragmatyzmu rozumie się po prostu realizm i praktyczność, to można wskazać bardzo wielu konserwatywnych pragmatystów. Jeżeli jednak za pragmatyzm uważa się zbiór teorii przedstawianych przez progresywistów bądź koncepcje Johna Deweya, to konserwatyści od stulecia znajdują się w pierwszych szeregach krytyków atakujących pragmatyzm, Należy jednak wspomnieć, że zarówno James, jak i Dewey są filozofami na wskroś amerykańskimi, których wpływ w licznych dziedzinach przeczy prostemu podziałowi wzdłuż linii dzielącej lewicę od prawicy.

[270] Richard Wolin, *The Seduction of Unreason: The lntellectual Romance with Fascism*, Princeton: Princeton University Press 2004, s. 60.

[271] James Miller, *Democracy Is in the Streets: From Port Huron to the Siege of Chicago*, New York: Simon and Schuster 1987, s. 311.

[272] Robert O. Paxton, *The Anatomy of Fascism*, New York Vintage 2004, s, 16, 17; R.J.B. Bosworth, *The Italian Dictatorship: Problems and Perspectives in the Interpretation of Mussolini and Fascism*, London: Arnold 1998, s. 39.

[273] Richard Wolin, The Seduction of Unreason: *The Intellectual Romance with Fascism*, Princeton: Princeton University Press 2004, s. 61; Miriam Heard, *The Tune Hitlerism Beats for Germany*, „New York Times", 7 czerwca 1931 r.

[274] Zob. James Miller, *Democracy Is in the Streets: From Port Huron to the Siege of Chicago*, New York: Simon and Schuster 1987, s. 169. SDS zaczęła działać jako ruch wyłoniony z Ligi na rzecz Demokracji Przemysłowej (League for Industrial Democracy), antykomunistycznej organizacji socjalistycznej, na czele której przez pewien czas stał John Dewey. Alan Brinkley, *Liberalism and Its Discontents*, Cambridge, Mass: Harvard University Press 1998, s. 232.

[275] Todd Gitlin, *The Sixties: Years of Hope, Days of Rage*, New York: Bantam 1993, s. 337.

[276] Zeev Stemhell, *The Birth of Fascist Ideology: From Cultural Rebellion to Political Revolution*, Princeton: Princeton University Press 1994, s. 56 (przeł. David Maisel).

[277] Todd Gitlin, *The Sixties: Years of Hope, Days of Rage*, New York: Bantam 1993, s. 283.

[278] The Port Huron Statement, w: Alexander Bloom, Wini Breines (red.), *Takin' It to the Streets: A Sixties Reader*, New York: Oxford University Press 1995, s. 61; Tom Hayden, *The Port Huron Statement: The Visionary Call of the 1960s Revolution*, New York: Avalon 2005, s. 97, 52; Alan Brinkley, *Liberalism and Its Discontents*, Cambridge, Mass.: Harvard University Press l998, s. 229, 233.

[279] Todd Gitlin, *The Sixties: Years of Hope, Days of Rage*, New York: Bantam 1993, s. 101; Maurice Isserman, Michael Kazin, *America Divided: The Civil War of the 1960s*, New York: Oxford University Press 2004, s. 173, 174. Zob. też W.J. Rorabaugh, *Berkeley at War: The 1960s*, New York: Oxford University Press 1989, s. 8; Tom Wells, *The War Within: America's Battle Over Vietnam*, New York: Holt 1994, s. 117-118, 427; Maurice Isserman, *If I Had a Hammer: The Death of the Old Left and the Birth of the New Left*, New York: Basic Books 1987, s. 196-197.

[280] Todd Gitlin, *The Sixties: Years of Hope, Days of Rage*, New York: Bantam 1993, s. 107; James Miller, *Democracy Is in the Streets: From Port Huron to the Siege of Chicago*, New York: Simon and Schuster 1987, s. 291.

[281] Alan Brinkley, *Liberalism and Its Discontents*, Cambridge, Mass.: Harvard University Press 1998, s. 235. Zob. też Godfrey Hodgson, *America in Our Time, Garden City*: Doubleday 1976, s. 300-305.

[282] Walter Laqueur, *Reflections on Youth Movements*, „Commentary", czerwiec 1969 r.

[283] Jay W. Baird, *Goebbels, Horst Wessel, and the Myth of Resurrection and Return*, „Journal of Contemporary History" 17, nr 4 (październik 1982 r.), s. 636.

[284] Tamże, s. 642-643.

[285] James Miller, *Democracy Is in the Streets: From Port Huron to the Siege of Chicago*, New York: Simon and Schuster 1987, s. 102.

[286] Todd Gitlin, *The Sixties: Years of Hope, Days of Rage*, New York: Bantam 1993, s. 359-360; Tom Hayden, *Reunion: A Memoir*, New York: Collier 1989, s. 247; Henry Raymont, *Violence as a Weapon of Dissent Is Debated at Forum in 'Village'; Moderation Criticized*, „New York Times", 17 grudnia 1967 r., s. 16; Tom Hayden, *Two, Three, Many Columbias*, „Ramparts", 15 czerwca 1968 r., s. 40, przedruk w: Peter B. Levy (red.), *America in the Sixties – Right, Left, and Center: A Documentary History*, Westport: Praeger 1998, s. 231-233. Zob. też James Miller, *Democracy Is in the Streets: From Port Huron to the Siege of Chicago*, New York: Simon and Schuster 1987, s. 292.

[287] James Miller, *Democracy Is in the Streets: From Port Huron to the Siege of Chicago*, New York: Simon and Schuster 1987, s. 310; Jeff Lyon, *The World Is Still Watching after the 1968 Democratic Convention, Nothing in Chicago Was Quite the Same Again*, „Chicago Tribune Magazine", 24 lipca 1988 r.. Zob. też James W. Ely, *The Chicago Conspiracy Case*, w: Michael R Belknap (red), *American Political Trials*, Westport: Praeger 1994, s. 248; Tom Hayden, *Rebellion and Repression*, New York: World 1969, s. 15. Wspomnienia oskarżonych i obrońców zob. w: *Lessons of the '60s*, „American Bar Association Journal" 73 (maj 1987 r.), s. 32-38.

[288] Vincent J. Cannato, *The Ungovernable City: John Lindsay and His Struggle to Save New York*, New York: Basic Books 2001, s. 243.

[289] Todd Gitlin, *The Sixties: Years of Hope, Days of Rage*, New York: Bantam 1993, s. 399, 401.

[290] Tamże, s. 399, 400. Podobnie jak wiele innych przytoczonych w tym rozdziale, ta relacja pochodzi ze wspomnianej pracy, a ponadto pojawia się w: James Miller, *Democracy Is in the Streets: From Port Huron to the Siege of Chicago*, New York: Simon and Schuster 1987.

[291] Todd Gitlin, *The Sixties: Years of Hope, Days of Rage*, New York: Bantam 1993, s. 399. Dohrn ukrywała się dziesięć lat po udziale w przeprowadzonym w Chicago zamachu o nazwie Days of Rage (Dni gniewu). Obecnie pracuje w Chicago na stanowisku dyrektorki Ośrodka Sprawiedliwości dla Dzieci i Rodzin przy Uniwersytecie Północno-Zachodnim (Northwestern University). W 1993 roku mówiła w wypowiedzi dla dziennika „New York Times": „Zszokował mnie gniew, z którym się do mnie odnoszono". Uważała, że w pewnej mierze wynikało to z seksistowskich postaw, ponieważ nie chciała się zachowywać jak „grzeczna dziewczynka". Susan Chira, *At Home With: Benardine Dohrn; Same Passion, New Tactics*, „New York Times", 18 listopada 1993 r., dział C, s. 1.

[292] Naziści niekiedy też urządzali dowcipne akcje. Gdy w Niemczech zaczęto wyświetlać film *Na zachodzie bez zmian*, Goebbels kupił mnóstwo biletów i nakazał członkom SA przeszkadzać w kinie, a następnie wypuścić setki białych myszy.

[293] Abbie Hoffman, *The Best of Abbie Hoffman*, New York: Four Walls Eight Windows 1990, s. 62; James Miller, *Democracy Is in the Streets: From Port Huron to the Siege of Chicago*, New York: Simon and Schuster 1987, s. 285-286; Todd Gitlin, *The Sixties: Years of Hope, Days of Rage*, New York: Bantam 1993, s. 324.

[294] Richard Jensen, *Futurism and Fascism*, „History Today" 45, nr 11 (listopad 1995 r.), s. 35-41.

[295] Richard Wolin, *The Seduction of Unreason: The Intellectual Romance with Fascism*, Princeton: Princeton University Press 2004, s. 62.

[296] Gold uważał, że po usunięciu impenalizmu w Stanach Zjednoczonych trzeba będzie wprowadzić „sprawstwo ludu". Gdy ktoś zaoponował, mówiąc, że brzmi to jak najgorszy koszmar Johna Birchera, odrzekł: „Jeśli będzie potrzeba faszyzmu, żeby to przeprowadzić, to będziemy musieli mieć faszyzm". Todd Gitlin, *The Sixties: Years of Hope, Days of Rage*, New York: Bantam 1993, s. 399.

[297] „*I vote for the Democratic Party / They want the UN to be strong / I attend all the Pete Seeger concerts, / He sure gets me singing those songs / And l'll send all the money you ask for / But don't ask me to come along / So love me, love me, love me – / I'm a liberal*" („Głosuję na Partię Demokratyczną, / Bo chcą, żeby ONZ była potężna / Chodzę na wszystkie koncerty Pete'a Seegera/ To na pewno przez niego to śpiewam / I przekażę wszystkie pieniądze, o które prosicie, / ale nie proście, żebym z wami poszedł / Kochajcie mnie, kochajcie, kochajcie – / Jestem liberałem"). Zob. Todd Gitlin, *The Sixties: Years of Hope, Days of Rage*, New York: Bantam 1993, s. 183.

[298] Saul D. Alinsky, *Rules for Radicals: A Pragmatic Primer for Realistic Radicals*, New York: Vintage 1972, s. 120-121.

[299] Tamże, s. 21.

[300] Robert O. Paxton, *The Anatomy of Fascism*, New York: Vintage 2004, s. 17.

[301] Jay Nordlinger, *Che Chic*, „National Review", 31 grudnia 2004 r., s. 28.

[302] Paul Berman, *The Cult of Che*, „Slate", 24 września 2004 r., www.slate.com/idj2107100 (dostęp 15 marca 2007 r.); Jay Nordlinger, *Che Chic*, „National Review", 31 grudnia 2004 r., s. 28.

[303] Wbrew temu, czego mnie uczono w szkole, Patrice Lumumba nie został zabity przez CIA, lecz przez kongijskich przeciwników w odrażającej wojnie domowej (choć w CIA opracowano plan pozbycia się Lumumby). Przekazał go jego wrogom były szef sztabu, osobiście przez niego wybrany Mobutu Sese Seko, który ostatecznie przejął władze nad krajem i stał się faszystowskim dyktatorem. Jego bezwzględność nie przeszkadzała przedstawicielom amerykańskiej lewicy, szczególnie czamej w tym, aby z niego zrobić panafrykańskiego bohatera.

[304] Jean-Paul Sartre, przedmowa do *The Wretched of the Earth* [Wyklęty lud ziemi, *Les Damnés de la Terre*] Frantza Fanona, New York: Grove 1963, s, 22 (przeł. Constance Farrington); Todd Gitlin, *The Sixties: Years of Hope, Days of Rage*, New York: Bantam 1993, s. 344.

[305] Gdy czarni *fascisti* zajęli Straight Hall, pewien zdesperowany rodzic zatelefonował do biura ochrony kampusu. Przyjmujący zgłoszenie zaczął od pytania, czy sprawcy są biali, czy czarni. Gdy telefonujący ojciec powiedział, że czarni, usłyszał w odpowiedzi, że nic nie można zrobić. „Powiedziano mi, że nic dla nas nie można zrobić". Odnośnie do czarnych studentów i wyników testów SAT Thomas Sowell pisze następująco: „Większość czarnych studentów przyjętych na Uniwersytet Comella miała wyniki testów SAT wyższe od średniej krajowej, ale o wiele niższe od przeciętnej uzyskanej przez innych studentów tej uczelni. Mieli problemy, ponieważ byli na Uniwersytecie Cornella, a później problemy miał również Uniwersytet Cornella, bo oni tam byli. [...] Wiadomo było, że niektórzy czarni kandydaci o zdolnościach predysponujących do pracy akademickiej nie zostali przyjęci, natomiast przyjęto takich,

którzy pasowali do poszukiwanego stereotypu, mimo gorszych kwalifikacji”. Zob. Thomas Sowell, *The Day Cornell Died*, „Weekly Standard”, wydanie z 3 maja 1999 roku, s. 31. Zob. też Walter Bems, *The Assault on the Universities: Then and Now*, w: Stephen Maceclo (red), *Reassessing the Sixties: Debating the Political and Cultural Legacy*, New York: Norton 1997.

306 Michael T. Kaufman, *Stokely Carmichael, Rights Leader Who Coined 'Black Power', Dies at 57*, „New York Times”, 16 listopada 1998 r.

307 Dinesh D'Souza, *The End of Racism: Principles for a Multiracial Society*, New York: Free Press 1995, s. 398-399. Zob. też W.E.B. Dubois, *Back to Africa*, „Century”, luty 1923 r. ; wypowiedź ta jest cytowana w: John Henrik Clarke (red.), *Marcus Garvey and the Vision of Africa*, New York: Vintage 1974, s. 101, 117, 134; John Hope Franklin, August Meier (red), *Black Leaders of the Twentieth Century*, Urbana: University of Illinois Press 1982, s. 132-134. Bardzo podobnie jak w latach sześćdziesiątych, ugrupowania czarnych narodowców, redakcje ich pism i „intelektualiści” często dostrzegają wspólnotę sprawy z białymi suprematystami. Wydawnictwo Third World Press, którym kieruje Haki Madhubuti, czarny narodowiec, na ogół nie współpracuje z białymi autorami, ale niekiedy publikuje książki takich antysemickich pismaków, jak Michael Bradley, którego teorie na temat Żydów doskonale pasują do *Protokołów Mędrców Syjonu*.

308 Co do wypowiedzi Formana, zob. Nina J. Easton, *America the Enemy*, „Los Angeles Times Magazine”, 18 czerwca 1995 r., s. 8. Chavisa zwolniono, gdy gubernator Karoliny Północnej ustąpił pod międzynarodowymi naciskami, między innymi wywieranymi przez Związek Sowiecki. Wysuwano zarzut, że proces odbył się nieuczciwie.

309 Robert O. Paxton, *The Anatomy of Fascism*, New York: Vintage 2004, s. 7.

310 Morris L. Fried, *The Struggle Is the Message: The Organization and Ideology of the Antiwar Movement, by Irving Louis Horowitz*, „Contemporary Sociology” 1, nr 2 (marzec 1972 r.), s. 122-123. Znajduje się tam cytat z: Irving Louis Horowitz, *The Struggle Is the Message: The Organization and Ideology of the Anti-war Movement*, Berkeley: Glendessary 1970, s. 122-123.

311 Seymour Martin Lipset, *Rebellion in the University*, Boston: Little, Brown 1972, s. 115; Robert Soucy, *French Fascist Intellectuals in the 1930s: An Old New Left?*, „French Historical Studies” (wiosna 1974 r.).

312 Max Holland, *After Thirty Years: Making Sense of the Assassination*, „Reviews in American History” 22, nr 2 (czerwiec 1994 r.), s. 192-193; *Chapter II – or Finis?*, „Time”, 30 grudnia 1966 r.; Philip Chalk, *Wrong from the Beginning*, „Weekly Standard”, 14 marca 2005 r.; Mimi Swartz, *Them's Fightin' Words*, „Texas Monthly”, lipiec 2004 r.

313 *Pope Paul Warns That Hate and Evil Imperil Civil Order*, „New York Times”, 25 listopada 1963 r., s. 1; Wayne King, *Dallas Still Wondering: Did It Help Pull the Trigger?*, „New York Times”, 22 listopada 1983 r., s. A24. Określenie „miasto nienawiści” pozostaje jednym z najdziwniejszych elementów w historii psychologii mas w USA. Wyglądało na to, że wzięło się przede wszystkim z tego, że do Lyndona B. Johnsona w jego ojczystym stanie wrogo odnosiły się pewne protestujace kobiety popierające republikanów podczas kampanii wyborczej w 1960 roku, a także z powodu zorganizowanych w 1963 roku protestów przeciwko ONZ, kiedy Adlai Stevenson, wówczas ambasador USA przy ONZ, dostał w głowę plakatem przygotowanym przez przeciwników ONZ.

314 Warren Commission, *The Warren Commission Report: Report of the President's Commission on the Assassination of President John F. Kennedy*, New York: St. Martin's 1992, s. 416.

315 Na temat sztuki MacBird zob. Arthur Herman, Joseph McCarthy: *Reexamining the Life and Legacy of America's Most Hated Senator*, New York: Free Press 2000, s. 13. Kennedy prosił o przeznaczenie 52,3 mld dolarów na zbrojenia, a ponadto 1,2 mld dolarów na program kosmiczny, który bezsprzecznie uważał za inwestycję w bezpieczeństwo narodowe, przy łącznym budżecie wynoszącym 106,8 mld dolarów. Derek Leebaert, *The Fifty-Year Wound: How America's Cold War Victory Shapes Our World*, Boston: Little, Brown 2003, s. 267; Aaron L. Friedberg, *In the Shadow of the Garrison State: America's Anti-statism and Its Cold War Grand Strategy*, Princeton: Princeton University Press, 2000, s. 140.

316 Steven F. Hayward, *The Age of Reagan: The Fall of the Old Liberal Order, 1964-1980*, Roseville: Prima, 2001, s. 23; Todd Gitlin, *The Sixties: Years of Hope, Days of Rage*, New York: Bantam 1993, s. 136-137. Na organizowane wiosną 1961 roku „jazdy wolności” (Freedom Rides) Kennedy nie reagował jednoznacznie. Słusznie postąpił, proponując wykorzystanie zasobów federalnych w celu zwalczania aktów przemocy, ale w prywatnych rozmowach wyrażał wściekłość z tego powodu, że Kongres na rzecz Równości Rasowej wywoływał niepokoje, gdy on chciał koncentrować się na spotkaniu na szczycie z Chruszczowem w Wiedniu. „Nie może pan zabrać swoich przyjaciół z tych cbolemycb autobusów?” – prosił Harrisa Wofforda, swego doradcę ds. praw obywatelskich. „Proszę ich powstrzymać” – upraszał. Razem z Bobbym dokładali starań, aby udaremnić marsz na Waszyngton Martina Luthera Kinga. Gdy im się to nie

udało, ściśle współpracowali z przywódcami ruchu na rzecz praw obywatelskich, aby przekaz słynnego wiecu przemawiał na korzyść administracji rządowej. To, co stało się ustawą Civil Rights Act z 1964 roku, grzęzło beznadziejnie w Kongresie, gdy Kennedy'ego zamordowano. Prawdopodobnie nie głosiłby konieczności przyjęcia tej ustawy podczas kampanii, w której ubiegałby się o ponowny wybór.

[317] Określenie „Camelot” wisi na dość słabych haczykach. Jackie Kennedy wspominała, że jej mężowi podobała się ścieżka dźwiękowa do popularnego broadwayowskiego musicalu *Camelot*, który zaczęto grać miesiąc po wyborze Kennedy'ego. Theodore White, kronikarz Kennedy'ego, przekonał redakcję tygodnika „Time” do wykorzystania tej idei. Wers z tego musicalu ze słowami „*for that brief shining moment*” („na tę krótką jasną chwilę”) z dnia na dzień stał się frazesem używanym do opisywania „tysiąca dni” Kennedy'ego, co samo w sobie było bystrym wykorzystaniem tych słów, aby sprawić wrażenie, że moment Kennedy'ego był jeszcze cenniejszy i bardziej ulotny. Zob. też James Reston, *What Was Killed Was Not Only President but the Promise*, „New York Times”, wydanie z 15 listopada 1964 roku, s. SM24.

[318] Powszechnie przyjmuje się, że postać Supermana powstała w wyniku inspiracji głoszoną przez Nietzschego teorią nadczłowieka, *übermenscha*. To niemieckie słowo po angielsku można oddać jako „overman” lub „superman”. Warto jednak wspomnieć, że postać Supermana to w gruncie rzeczy odwrócenie idei Nietzschego i pojecie znazyfikowane. Nadczłowiek Nietzschego nie kieruje się zasadami konwencjonalnej moralności i zasadami prawnymi, gdyż jest ponad takimi drobnymi sprawami. Superman z komiksu natomiast kieruje się tymi zasadami w stopniu jeszcze większym niż przeciętny człowiek. W postaci Supermana kryje się pewna nacjonalistyczna koncepcja. Urodził się bowiem w sercu Ameryki i ma w sobie wszystko, co dobre z rzeczy amerykańskich. To jednak manifestowało się przede wszystkim w formie niegroźnego lub przynoszącego pozytywne skutki patriotyzmu. Pod koniec wydania poświęconego sprawności fizycznej Superman i Supergirl idą na czele pochodu Amerykanów powiewających flagami i niosących hasła świadczące o poparciu dla prezydenta. Jeden z maszerujących niesie plakat z napisem „Kierujcie się prezydenckim programem sprawności fizycznej! Amerykańscy »słabeusze« staną się dzięki temu silnymi Amerykanami!”. Komiks miał się ukazać na początku 1964 roku, ale publikację odłożono z powodu zamachu. Lyndon Johnson poprosił później wydawnictwo DC Comics, aby opublikowało komiks jako hołd dla Kennedy'ego. Także po śmierci Kennedy'e go ukazywano go w komiksach. W jednym z nich Jimmy Olsen udaje się w przyszłość, gdzie rozpoznaje złoczyńców po tym, że byli jedynymi, którzy nie uczcili chwilą ciszy zabitego prezydenta. Zob. wwvirdialbforblogrom/archives/166, gdzie zamieszczono rysunki z tego komiksu oraz komentarz (dostęp 10 lipca 2007 roku).

[319] To nawiązanie do „missile gap”, określenia mówiącego o zacofaniu Amerykanów w stosunku do Sowietów w kwestii rakiet balistycznych (przyp. tłum.)

[320] Mailer pisał, że wybory ukażą, „czy Ameryka chce dramatyzmu, czy stabilności, przygody czy monotonii”. Mailer liczył na to, że Amerykanie wybiorą Kennedy'ego „z powodu jego tajemniczości, jego obietnicy, że kraj będzie się rozwijał albo rozpadnie się przez uporczywie utrzymujący się ładunek, który przydał intensywności mitu”. Zob. Norman Mailer, *Superman Comes to Supermarket*, „Esquire”, listopad 1960 r., w: Jack Beatty (red.), *Pols: Great Writers on American Politicians from Bryan to Reagan*, New York: Public Affairs 2004, s. 292.

[321] Herbert S. Parmet, *The Kennedy Myth and American Politics*, „History Teacher” 24, nr 1 (listopad 1990 r.), s. 32. Znajduje się tam cytat z: *What JFK Meant to Us*, „Newsweek”, 28 listopada 1983 r., s. 72; Jonah Goldberg, *'Isolationism!' They Cried*, „National Review”, 10 kwietnia 2006 r., s. 35; Alan McConnaughey, *America First: Attitude Emerged Before World War II*, „Washington Times”, 12 grudnia 1991 r., s. A3.

[322] Louis Menand, *Ask Not, Tell Not: Anatomy of an Inaugural*, „New Yorker”, 8 listopada 2004 r., s. 110.

[323] Zob. John W. Jeffries, *The 'Quest for National Purpose' of 1960*, „American Quarterly” 30, nr 4 (jesień 1978 roku), s. 451. Autor cytuje tam zdania z: John K. Jessup i in., *The National Purpose*, New York: Holt, Rinehart and Winston, 1960, s.v. W poprzednim roku w „Newsweeku” wspominano, że „myślący ludzie” martwili się, iż Ameryka utraciła „śmiałość i wyobraźnię, poczucie misji i oddania sprawie”. Należał do nich przede wszystkim Walter Lippmann, leciwy mąż stanu z obozu liberalnego, który w 1917 roku prowadził kampanię propagującą przystąpienie Stanów Zjednoczonych do wojny, gdyż liczył na to, że spowoduje to „przewartościowanie wartości”. Lippmann znów liczył, że Amerykanie przystąpią do realizacji kolektywnego zadania, tym razem w obliczu zagrożenia sowieckiego, Zob. John W. Jeffries, dz. cyt., s, 454 (autor cytuje tam: *An Unwitting Paul Revere?*, „Newsweek”, 28 września 1959 r., s. 33-34).

[324] Adlai E. Stevenson, *National Purpose: Stevenson's View*, „New York Times”, 26 maja 1960 r., s. 30; Charles F. Darlington, *Not the Goal, Only the Means*, „New York Times”, 3 lipca 1960 r., s. 25; Charles F. Darlington, list, „New York Times”, 27 maja 1960 r., s. 30.

[325] John W. Jeffries, *The 'Quest for National Purpose' of 1960*, „American Quarterly” 30, nr 4 (jesień 1978 r.), s. 462. Znajduje się tam cytat z: William Attwood, *How America Feels as We Enter the Soaring Sixties*, „Look”, 5 stycznia

1960 r., s. 11-15; Derek Leebaert, *The Fifty-Year Wound: How America's Cold War Victory Shapes Our World,* Boston: Little, Brown 2003, s. 261.

326 William F. Buckley; *Mr Goodwin's Great Society*, „National Review”, 7 września 1965 r., s. 760.

327 Garry Wills, *The Kennedy Imprisonment: A Meditation on Power*, Boston: Houghton Mifflin 2002, s. 170, 171; David Schoenbaum, *Hitler's Social Revolution: Class and Status in Nazi Germany, 1933-1939*, New York: Norton 1980, przyp. 4 na s. XV.

328 Derek Leebaert, *The Fifty-Year Wound: How America's Cold War Victory Shapes Our World*, Boston: Little, Brown 2003, s. 263; Garry Wills, *The Kennedy Imprisonment: A Meditation on Power*, Boston: Houghton Mifflin 2002, s. 171.

329 H.W. Brands, *The Strange Death of American Liberalism*, New Haven: Yale University Press 2001, s. 87-88.

330 Christopher Lasch, *Haven in a Heartless World: The Family Besieged*, New York: Norton 1995, przyp. 55 na s. 218; znajduje się tam cytat z: David Eakins, *Policy-Planning for the Establishment*, w: Ronald Radosh, Murray Rothbard (red.), *A New History of Leviathan*, New York: Dutton 1972, s. 198.

331 James Reston, *A Portion of Guilt for All*, „New York Times”, 25 listopada 1963 r.; Tom Wicker, *Johnson Bids Congress Enact Civil Rights Bill with Speed; Asks End of Hate and Violence*, „New York Times”, 28 listopada 1963 r.

332 *When JFK's ideals Are Realized, Expiation of Death Begins, Bishop Says*, „Washington Post”, 9 grudnia 1963 r., s. B7.

333 Robert N. Bellah, *Civil Religion in America*, „Daedalus” 96, nr 1 (zima 1967 r.), s. 1-21; C.L. Sulzberger, *A New Frontier and an Old Dream*, „New York Times”, 23 stycznia 1961 r., s. 22.

334 Bill Kauffman, *The Bellamy Boys Pledge Allegiance*, „American Enterprise” 13, nr 7 (październik/listopad 2002 r.), s. 50.

335 Edward Bellamy, *Looking Backward, 2000-1887*, New York: New American Library 1960, s. 111.

336 Nicholas P. Gilman, *'Nationalism' in the United States*, „Quarterly Journal of Economics” 4, nr 1 (październik 1889 r.), s. 50-76; Edward Bellamy, *Looking Backward, 2000-1887*, New York: New American Library 1960, s. 143.

337 Historia ślubowania wierności sztandarowi i narodowosocjalistyczne korzenie tej ceremonii to fascynująca sprawa. Rex Curry, gorliwy libertarianin, uczynił z niej swego białego wieloryba. Zob. www.rexcury.net/pledgesalute.html.

338 *Hail New Party in Fervent Song*, „New York Times”, 6 sierpnia 1912 r., s. 1.

339 Senator Albert Beveridge, Congressional Record, Senate, 9 stycznia 1900 r., s. 704-711. Zdanie cytowane w: Daniel B. Schirmer, Stephen Rosskamm Shalom (red.), *The Philippines Reader: A History of Colonialism, Neocolonialism, Dictatorship, and Resistance*, Boston: South End Press 1987, s. 23.

340 Walter Rauschenbusch, *Christianizing the World Order*, New York: Macmillan 1912, s. 330. Wydawane przez ruch Social Gospel pismo „Dawn”, zapoczątkowane w roku 1890, przyjęło za swój program „wykazanie, że cel socjalizmu zawiera się w celach chrześcijaństwa, oraz uświadamianie członkom Kościołów chrześcijańskich, że nauki Jezusa Chrystusa prowadzą bezpośrednio do pewnych konkretnych form socjalizmu”. Zob. William G. McLoughlin, *Revivals, Awakenings, and Reform: An Essay on Religion and Social Change in America, 1607-1977*, Chicago: University of Chicago Press 1980, s. 175.

341 Charles Howard Hopkins, *The Rise of the Social Gospel in American Protestantism, 1865-1915*, New Haven: Yale University Press 1940, s. 253.

342 James Bovard, *Freedom in Chains: The Rise of the State and the Demise of the Citizen*, New York: St. Martin's 2000, s. 4; znajduje się tam cytat z: G.W.F. Hegel, *The Philosophy of History*, New York: Collier & Son 1902, s. 87.

343 Murray N. Rothbard, Richard T. Ely: *Paladin of the Welfare-Warfare State*, „Independent Review” 6, nr 4 (wiosna 2002 r.), s. 586; znajduje się tam cytat z: Sidney Fine, *Laissez Faire and the General-Welfare State: A Study of Conflict in American Thought, 7865-1901*, Ann Arbor: University of Michigan Press 1956, s. 180-181; John R. Commons, *The Christian Minister and Sociology (1892)*, w: Malcolm Rutherlord, Warren J. Samuels (red.), John R. Commons:

Selected Essays, New York: Routledge 1996, s. 20; Eldon J. Eisenach, *The Lost Promise of Progressivism*, Lawrence: University Press of Kansas 1994, przyp. 21 na s. 60.

[344] John Lukacs, *Remembered Past: John Lukacs on History, Historians, and Historical Knowledge*, Wilmington: ISI Books 2005, s. 305.

[345] Woodrow Wilson, *Force to the Utmost*, mowa wygłoszona podczas rozpoczęcia trzeciej kampanii obligacji wojennych w zbrojowni Fifth Regiment Armory w Baltimore 6 kwietnia 1918 r. Zob. Albert Shaw (red), *The Messages and Papers of Woodrow Wilson*, New York: Review of Reviews Corporation 1924, t. 1, s. 484; Woodrow Wilson, *Address to Confederate Veterans*, Washington, 5 czerwca 1917 r., w: tamże, s. 410; Ronald Schaffer, *America in the Great War: The Rise of the War Welfare State*, New York: Oxford University Press 1991, s. 10.

[346] R.J.B. Bosworth, *Mussolini 's Italy: Life Under the Fascist Dictatorship*, 1915-1945, New York: Penguin 2006, s. 97.

[347] Pewne ogloszenie prasowe z tamtego czasu ukazuje skalę ingerencji państwa:
„Oto plan posiłków na kolejne cztery tygodnie. EC. Findley, komisarz hrabstwa ds. żywności, zwraca uwagę, że należy ściśle się do niego stosować:
Poniedziałek: wszystkie posiłki bez produktów pszennych.
Wtorek: wszystkie posiłki bezmięsne.
Środa: wszystkie posiłki bez produktów pszennych.
Czwartek: śniadanie bezmięsne, kolacja bez produktów pszennych.
Piątek: śniadanie bezmięsne, kolacja bez produktów pszennych.
Sobota: wszystkie posiłki bez produktów wieprzowych, śniadanie bezmięsne.
Niedziela: śniadanie bezmięsne, kolacja bez produktów pszennych.
Przez cały czas należy używać bardzo niewielkich ilości cukru. Nie słódź kawy, chyba że to dawny nawyk, ale wtedy ogranicz się do jednej łyżeczki”.
Zob. Robert Higgs, *Crisis and Leviathan: Critical Episodes in the Growth of American Government*, New York: Oxford University Press 1987, s. 137.

[348] John Dewey, *Liberalism and Social Action*, Arnherst: Prometheus Books 2000, s. 30. Zob. też Alex Viskovatoff, *A Deweyan Economic Methodology*, w: Elias L. Khalil (red.), *Dewey: Pragmatism, and Economic Methodology*, New York: Routledge 2004, s. 293; Virgil Michel, *Liberalism Yesterday and Tomorrow*, „Ethics” 49, nr 4 (lipiec 1939 r.), s. 417-434; Jonah Goldberg, *The New-Time Religion: Liberalism and Its Problems*, „National Review”, 23 maja 2005 r.

[349] Lewis S. Feuer, *American Travelers to the Soviet Union, 1917-32: The Formation of a Component of New Deal Ideology*, „American Quarterly” 14, nr 2, cz. I (lato 1962 r.), s. 122, 126.

[350] William E. Leuchtenburg, *The FDR Years: On Roosevelt and His Legacy*, New York: Columbia University Press 1995, s. 284. Na temat interakcji Amerykanów z rządem federalnym bardzo podobne spostrzeżenia przedstawił A.J.P. Taylor. Pisał następujące: „Do sierpnia 1914 roku rozważny i praworządny Anglik mógł przeżyć całe życie i ledwie zauważyć, że istnieje państwo. Świadczyli o tym tylko urząd pocztowy i policjant. [...] Mógł udać się za granicę albo opuścić swoj kraj na zawsze bez paszportu ani żadnego oficjalnego pozwolenia. Bez ograniczeń i w dowolnych ilościach mógł wymieniać posiadane pieniądze. Mógł nabywać towary w dowolnym państwie świata tak samo, jak robił to w kraju ojczystym. Obcokrajowiec mógł spędzić całe życie w tym państwie bez pozwolenia i bez informowania policji. [...] To wszystko uległo zmianie przez I wojnę światową. [...] Państwo chwyciło obywateli w uścisku. Wprawdzie w czasie pokoju ten ucisk zelżał, ale nigdy nie ustał całkowicie, a w czasie II wojny światowej ponownie go zwiększono. Po raz pierwszy doszło do stopienia się w jedną całość historii Anglików i historii angielskiego państwa”. Zob. A.J.P. Taylor, *English History, 1914-1945*, New York: Oxford University Press 1965, s. 1.

[351] Stwierdzenie cytowane w: Scott Yenor, *A New Deal for Roosevelt*, „Claremont Review of Books” (zima 2006 r.).

[352] Thurman Arnold, *The Folklore of Capitalism*, New Haven: Yale University Press 1937, s. 389.

[353] Karta praw to dziesięć pierwszych poprawek do konstytucji USA (przyp. tłum.).

[354] William E. Leuchtenburg, *The FDR Years: On Roosevelt and His Legacy*, New York: Columbia University Press 1995, s. 20.

[355] Walter Winchell, *Americans We Can Do Without*, „Liberty”, 1 sierpnia 1942 r., s. 10.

[356] Zob. Sam Tanenhaus, *Whittaker Chambers: A Biography*, New York: Random House 1997, s. 179, 561.

[357] Herbert McClosky, *Conservatism and Personality*, „American Political Science Review" 52, nr 1 (marzec 1958 r.), s. 35; Lionel Trillirig, *The Liberal Imagination: Essays on Literature and Society*, New York: Viking 1950, s. ix.

[358] David S. Brown, Richard Hofstadter: *An Intellectual Biography*, Chicago: University of Chicago Press 2006, s. 90; Casey Blake, Christopher Phelps, *History as Social Criticism: Conversations with Christopher Lasch*, „Journal of American History" 80, nr 4 (marzec 1994 r.), s. 1310-1332.

[359] Bertolt Brecht, *Rozwiązanie*, wiersz z 1953 roku („Wäre es da // Nicht doch einfacher, die Regierung // Löste das Volk auf und // Wählte ein anderes?").

[360] Robert Dallek, *Lyndon B. Johnson: Portrait of a President*, New York: Oxford University Press 2004, s. 29; Jordan A. Schwarz, *The New Dealers: Power Politics in the Age of Roosevelt*, New York: Vintage 1994, s. 276.

[361] Jordan A. Schwarz, *The New Dealers: Power Politics in the Age of Roosevelt*, New York: Vintage 1994, s. 267.

[362] Lyndon B. Johnson, *Commencement Address – the Great Society*, mowa wygłoszona podczas absolutorium na Uniwersytecie Michigan w Ann Arbor 22 maja 1964 r. Zob. Public Papers of the Presidents of the United States, Lyndon B. Johnson, 1963-64, Washington: Government Printing Office 1965, s. 704-707; Peter B. Levy (red), *America in the Sixties-Right, Left, and Center: A Documentary History*, Westport: Praeger 1998, s. 106-107. Zob. też Steven F. Hayward, *The Age of Reagan: The Fall of the Old Liberal Order; 1964-1980*, Roseville: Prima 2001, s. 21.

[363] Lyndon B. Johnson, *Commencement Address – the Great Society* (zob. poprzedni przypis), s. 108.

[364] Charles Mohr, *Johnson, in South, Decries 'Radical' Goldwater Ideas*, „New York Times", 27 października 1964 r.; Cabell Phillips, *Johnson Decries Terrorist Foes of Negro Rights*, „New York Times", 19 lipca 1964 r.; *Transcript of President's News Conference on Foreign and Domestic Affairs*, „New York Times", 19 lipca 1964 r.

[365] Charles Mohr, *Johnson Exhorts Voters to Reject Demagogic Pleas*, „New York Times", 23 września 1964 r.; płatne ogłoszenie opublikowane w wydaniu „New York Times" z 12 września 1964 r., s. 26; Ralph D. Bamey, John C. Merrill (red.), *Ethics and the Press: Readirigs in Mass Media Morality*, New York: Hastings House 1975, s. 229. Zob. też Jack Shafer, *The Varieties of Media Bias*, Part I, „Slate", 5 lutego 2003 r., www.slate.com/id/2078200 (dostęp 19 marca 2007 r.); Jonah Goldberg, *Hold the Self-Congratulation*, „National Review", 24 października 2005 r.; Jeffrey Lord, *From God to Godless: The Real Liberal Terror*, „American Spectator", 12 czerwca 2006 r., www.spectator.org/dsp_article.asp?art_id=9943 (dostęp 16 stycznia 2007 r.).

[366] W pracy tej jednak Dewey Wielkim Społeczeństwem nazywa społeczeństwo istniejące. Liczył na to, że państwo przekształci Wielkie Społeczeństwo w organizm, który nazywał „Wielką Społecznością". Ta Wielka Społeczność Deweya znacznie bardziej przypomina to, co Johnson miał na myśli, gdy mówił o Wielkim Spoleczeństwie.

[367] Robert R. Semple, *Nation Seeks Way to Better Society*, „New York Times", 25 lipca 1965 r.

[368] John Dewey, *Liberalism and Social Action*, Arnherst: Prometheus Books 2000, s. 15, 76. Równie oczywiste było pochodzenie programu Wojny z Ubóstwem (War on Poverty). Jak koncepcję Nowego Ładu propagowano za pomocą frazeologii odnoszącej się do wojny, tak Wojna z Ubóstwem stanowiła kolejny rozdział działań podejmowanych przez progresywistów w celu przywołania „moralnego odpowiednika wojny". Większość programów Wielkiego Społeczeństwa była tylko znacznie rozszerzonymi wersjami programów Nowego Ładu, takich jak „Pomoc rodzinom z dziećmi na utrzymaniu" (*Aid to Fainilies with Dependent Children*), który rozpoczęto jako plan ubezpieczeniowy dla wdów po górnikach. Te programy z kolei opracowano z powodu pragnienia odtworzenia „sukcesów" wojennego socjalizmu Wilsona. Zob. też poświęcony Johnowi Deweyowi rozdział autorstwa Roberta Horwitza opublikowany w: Leo Strauss, Joseph Cropsey (red.), *The History of Political Philosophy*, Chicago: University of Chicago Press 1987.

[369] William G, McLoughlin, *Revivals, Awakenings, and Reform: An Essay on Religion and Social Change in America, 1607-1977*, Chicago: University of Chicago Press 1980, s. 207.

[370] John B. Judis, *The Spirit of '68: What Really Caused the Sixties*, „New Republic", 31 sierpnia 1998 r.

[371] Mistyka kobiecości to doskonały przykład ogromnego wypaczenia umysłów liberałów z powodu Holokaustu. Betty Firedan, która przez długi czas pracowała jako komunistyczna dziennikarka i zajmowała się działalnością polityczną, ukazuje siebie w tej książce jako typową gospodynię domową bez elementarnego pojęcia o polityce. W irytującej i rozwlekłej przenośni wywodzi, że gospodynie domowe były ofiarami opresji podobnych do stosowanych w czasach nazistowskich. „Kobietom, które się »dostosowuja« jako gospodynie domowe, które w okresie dorastania chcą być »tylko gospodyniami domowymi«, grozi takie samo niebezpieczeństwo, jakie groziło milionom udającym się na śmierć w obozach koncentracyjnych" – twierdziła. Dom – pisała, powtarzając tezy Horkhelmera – to „wygodny obóz

koncentracyjny”. Porównanie jest na tyle groteskowe, zarówno pod względem intelektualnym, jak i moralnym, że warto je przeanalizować szczegółowiej.

[372] To z kolei doprowadziło do kolejnego frontu wielkiego przebudzenia, mianowicie do walki o religijną ortodoksję prowadzonej przez chrześcijańskich konserwatystów i innych, którzy nie godzili się na upolitycznienie wyznawanej przez nich wiary.

[373] Dla wielu narkotyki stały się nowym sakramentem. Po rozpadzie Nowej Lewicy Tom Hayden zaczął się ukrywać „wśród psychodelicznych śmiałków kontrkultury”. Uważał, że narkotyki umożliwiają „pogłębienie samoświadomości” i pomagają mu odnaleźć duchowe znaczenie oraz autentyczność. Nawet najzagorzalsi propagatorzy kultury narkotykowej swą obronę tych substancji opierali na argumentach o wyraźnie religijnym charakterze. Samozwańczy guru, tacy jak Timothy Leary, wykładowca na Uniwersytecie Harvarda, który stał się „przewodnikiem duchowym” z dawkami kwasu pełniącymi funkcję hostii, nieustannie mówił o tym, że narkotyki prowadzą do „doświadczenia religijnego”. William Braden, reporter „Chicago Sun-Times”, napisał książkę zatytułowaną *The Private Sea: LSD and the Search for God* (Prywatne morze: LSD a poszukiwanie Boga), jedną z niezliczonych pozycji, w których próbowano uaktualnić tę nową kontrkulturę za pomocą „nowej teologii”, jak ją wtedy określano.

[374] William Braden, The Seduction of the Spirit, „Washington Post”, 9 września 1973 r., s. BW1, BW13.

[375] Wielebny Martin Marty, wykładowca teologii i redaktor pisma „Christian Century”, w serii mów wygłoszonych w 1965 roku twierdził, że radykałowie to „agenci moralni”, a pisarzy takich, jak James Baldwin, uważał za „charyzmatycznych proroków”. Marty wygłosił te uwagi, przemawiając na Uniwersytecie Columbii. Pewien student z obozu radykalnego skrytykował go: „To i tak jest pozbawione sensu, bo Wielkie Społeczeństwo zasadniczo jest niemoralne i zepsute”. Marty w odpowiedzi stwierdził, że takie komentarze są charakterystyczne dla osób, które wybierają „czystość moralną” zamiast politycznej odpowiedniości (*relevance*). Innymi słowy, miejsce czystości moralnej znajdowało się przy radykalnym końcu spektrum politycznego. Zob. *Radicals Called 'Moral Agents'* „New York Times”, 26 lipca 1965 r., s. 19.

[376] To słynne zdanie pochodzi z wygłoszonego w 1935 roku orędzia Roosevelta o stanie państwa: „Wnioski wyciągnięte na podstawie historii, potwierdzone przez dowody, które mam tuż przed sobą, jednoznacznie mówią o tym, że utrzymująca się zależność od uzyskiwanej pomocy prowadzi do duchowego rozpadu wywierającego zasadniczo szkodliwy wpływ na tkankę narodu. Pomaganie poprzez takie wypłacanie zasiłków to podawanie narkotyku, który stopniowo niszczy ludzkiego ducha. To kłóci się z nakazami rozsądnej polityki. To pogwałcenie tradycji amerykańskich. Musi się znaleźć praca dla ludzi zdolnych do niej i jej pozbawionych”.

[377] Steven F. Hayward, *The Age of Reagan. The Fall of the Old Liberal Order: 1964-1980*, Roseville: Prima 2001, s. 20. Autor przytacza tam stwierdzenia opublikowane w: *T.R.B. from Washington*, „New Republic”, 14 marca 1964 r., s. 3, oraz: Gareth Davies, *From Opportunity to Entitlement: The Transformation and Decline of Great Society Liberalism*, Lawrence: University Press of Kansas 1996, s. 48.

[378] Mickey Kaus, *The End of Equality*, New York: Basic Books 1995.

[379] Steven F. Hayward, *The Age of Reagan: The Fall of the Old Liberal Order, 1964-1980*, Roseville: Prima 2001, s. 124. Bezsprzecznie wzrost przestępczości częściowo wynikał z czynników demograficznych, mianowicie znacznej liczby mężczyzn w pokoleniu *baby boomers*, ale przede wszystkim stało się tak niewątpliwie z powodu klimatu kulturowego, prawnego i politycznego. W latach sześćdziesiątych intelektualiści wypowiadający się na tematy polityczne twierdzili, że sam „system” prowadzi do przestępczości, i w praktyce wszystkie reformy prawa wdrażane w tamtym okresie służyły przyznaniu przestępcom większych praw i utrudnieniu pracy policji. Jeśli chodzi o kwestie kulturowe, to należy powiedzieć, że w przekonaniu bardzo licznej grupy działaczy i intelektualistów przestępstwa – szczególnie przestępstwa popełniane przez czarnych – były moralnie uzasadnionym „buntem” politycznym.

[380] Orzeczenie Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych dotyczące praw aresztowanych. Podejrzany musi zostać poinformowany przed przesłuchaniem przez policję, że może zachować milczenie i ma prawo do konsultacji z prawnikiem. Trzeba go również poinformować używając powszechnie znanej formułki, że wszystko, co powie, można wykorzystać przeciwko niemu (przyp. tłum).

[381] Podczas posiedzenia Senatu 9 kwietnia 1961 roku Hubert Humphrey wypowiedział słynne zdanie: „Jeśli senator może znaleźć w części siódmej [...] jakiekolwiek sformułowania, z których wynika, że pracodawca będzie musiał zatrudniać na podstawie odsetka lub liczby odnoszących się do koloru skory, rasy, religii czy narodowości, zacznę jeść te strony jedna po drugiej, bo tego tam nie ma” (przyp. tłum).

[382] Steven F. Hayward, *The Age of Reagan: The Fall of the Old Liberal Order, 1964-1980*, Roseville: Prima 2001, s. 26. Steven Hayward przytacza tam stwierdzenia Richarda Epsteina z książki *Forbidden Grounds: The Case Against*

Employment Discrimination Laws (Cambridge, Mass.: Harvard University Press 1992, s. 186-188); Penn Kemble, Josh Muravchik, *The New Politics & the Democrats*, „Commentary", grudzień 1972 r., s. 78-84. McGovern później żartował, że jego zasady otworzyły drzwi do Partii Demokratycznej, po czym „wyszło dwadzieścia milionów osób".

[383] Steven F. Hayward, *The Age of Reagan: The Fall of the Old Liberal Order; 1964-1980*, Roseville: Prima 2001, s. 90-92.

[384] Text of the *Moynihan Memorandum on the Status of Negroes*, „New York Times", 1 marca 1970 r.. Zob. też Peter Kihss, *'Benign Neglect' on Race Is Proposed by Moynihan*, „New York Times", 1 marca 1970, s. 1.

[385] Herbert S. Parmet, *The Kennedy Myth and American Politic*s, „History Teacher" 24, nr 1 (listopad 1990 r.), s. 35. To cytat z: Randall Rothenberg, *The Neoliberal Club*, „Esquire", luty 1982 r., s. 42.

[386] Douglas Brinkley, *Farewell to a Friend*, „New York Times", 19 lipca 1999 r., s. A17; *Reliable Sources*, CNN, 24 lipca 1999 r. Zob. też Tim Cuprisin, *Few Shows, Cost Blurring Appeal of Digital TV*, „Milwaukee Journal Sentinel", 27 lipca 1999 r., s. 8.

[387] Michele Parente, *Rangel Ties GOP Agenda to Hitler*, „Newsday", 19 lutego 1995 r., s. A38; Zdanie Bonda jest cytowane w: *Washington Whispers*, „U.S. News & World Report", 28 lipca 2003 r., s. 12; Marc Morano, *Harry Belafonte Calls Black Republicans 'Tyrants'*, Cybercast News Service, 8 sierpnia 2005 r.; Steve Dunleavy, *There's Nothing Fascist About a Final Verdict*, „New York Post", 13 grudnia 2000 r., s. 6.

[388] Gdy w ogóle wspomina się te różne mroczne rozdziały liberalizmu, robią to radykalnie lewicowi krytycy samych Stanów Zjednoczonych. W sumie sprawa przedstawia się tak, że gdy konserwatyści popełniają jakiś zarzucany im zły czyn, zawsze jest to wynikiem konserwatyzmu, kiedy natomiast liberałowie popełniają jakiś zarzucany im zły czyn, zawsze jest to wynik albo niedostatecznego liberalizmu liberałów, albo samych Stanów Zjednoczonych. Krótko mówiąc, liberalizm nigdy nie jest winien, konserwatyści zaś winni są zawsze.

[389] Adolph Reed, *Intellectual Brawnshirts*, „Progressive", grudzień 1994 r.

[390] Sherwin B. Nuland, *The Death of Hippocrates*, „New Republic", 13 września 2004 r., s. 31.

[391] Alan Wolfe, *Hidden Injuries*, „New Republic", 7 lipca 1997 r.

[392] Grant, były doradca Theodore'a Roosevelta, ekstremista nawet przy przyjęciu norm uznawanych przez wielu zwolenników eugeniki, pisał tak oto: „Błędne poszanowanie tego, co się uważa za boskie prawa, i sentymentalne przekonanie o świętości ludzkiego życia uniemożliwia zarówno eliminowanie niepełnosprawnych niemowląt, jak i sterylizację podobnych dorosłych, choć nie stanowią oni żadnej wartości dla społeczeństwa. Prawa natury wymagają usuwania osobników nieodpowiednich, a ludzkie życie ma wartość tylko wtedy, gdy jest użyteczne dla społeczności lub rasy". Zdania cytowane w: Richard Weikart, *From Darwin to Hitler: Evolutionary Ethics, Eugenics, and Racism in Germany*, New York: Palgrave Macmillan 2004, s. 10. Zob. też Robert Jay Lifton, *The Nazi Doctors: Medical Killing and the Psychology of Genocide*, New York: Basic Books 2000, s. 24; Edwin Black, *War Against the Weak: Eugenics and America's Campaign to Create a Master Race*, New York: Four Walls Eight Windows 2003, s. 291.

[393] Edwin Black, *War Against the Weak: Eugenics and America's Campaign to Create a Master Race*, New York: Four Walls Eight Windows 2003, s. xviii.

[394] Charles Murray, *Deeper into the Brain*, „National Review", 24 stycznia 2000 r., s. 49; Thomas C. Leonard, *'More Merciful and Not Less Effective': Eugenics and American Economics in the Progressive Era*, „History of Political Economy" 35, nr 4 (zima 2003 r.), s. 707.

[395] Diane Paul, *Eugenics and the Left*, „Journal of the History of Ideas" 45, nr 4 (październik-grudzień 1984 r.), przyp. 56 na s. 586. Cytowane jest tam zdanie H.G. Wellsa z tomu *Sociological Papers* (London 1905, s. 60); William J. Hyde, *The Socialism of H.G. Wells in the Early Twentieth Century*, „Journal of the History of Ideas" 17, nr 2 (kwiecień 1956 r.), s. 220; H.G. Wells, *The New Machiavelli*, New York: Duffield 1910, s. 379. W wydanej w 1905 r. książce *A Modern Utopia* (Współczesna utopia) Wells pisał tak: „Państwo zasadnie mówi, że zanim ktoś może dodać dzieci do społeczności, aby ta społeczność je kształciła i częściowo utrzymywała, musi spełniać przynajmniej pewne minimalne wymogi dotyczące osobistej sprawności [...] oraz rozwoju fizycznego, nie może też mieć żadnych chorób, które zostałyby przeniesione. [...] Gdy ktoś nie spełnia tych prostych warunków, jeśli z jakąś osobą spiskuje [warto zwrócić uwagę na to przestępcze „spiskowanie"] i powiększa populację państwa, weźmiemy – w imię człowieczeństwa – niewinną ofiarę tych pasji, ale bedzięmy twierdzić, że ten ktoś ma szczególnie palące zobowiązania wobec państwa, które z pewnością zostaną uregulowane, nawet jeśli trzeba będzie użyć przymusu, aby tę zapłatę wyegzekwować" (H.G.

Wells, *A Modern Utopia*, London 1905, s. 183-184, zdania cytowane w: Michael Freeden, *Eugenics and Progressive Thought: A Study in Ideological Affinity*, „Historical Journal" 22, nr 3, wrzesień 1979 r., s. 656).

[396] George Bemard Shaw, *Man and Superman: A Comedy and a Philosophy*, Cambridge, Mass.: University Press 1903, s. 43, 45; Diane Paul, *Eugenics and the Left*, „Journal of the History of Ideas" 45, nr 4 (październik-grudzień 1984 r.), s. 568 (cytat z: George Bernard Shaw, *Sociological Papers*, London 1905, s. 74-75); George Bernard Shaw, przedmowa do *Major Barbara*, New York: Penguin 1917, s. 47.

[397] Michael Freeden, *Eugenics and Progressive Thought: A Study in Ideological Affinity*, „Historical Journal" 22, nr 3, wrzesień 1979 r., s. 671; Chris Nottingham, *The Pursuit of Serenity: Havelock Ellis and the New Politics*, Amsterdam: Amsterdam University Press 1999, S. 185, 213; Diane Paul, Diane Paul, *Eugenics and the Left*, „Journal of the History of Ideas" 45, nr 4 (październik-grudzień 1984 r.), s. 567 (podano tam cytat z: J.B.S. Haldane, *Darwin on Slavery*, „Daily Worker" (Londyn), 14 listopada 1949 r.

[398] Diane Paul, *Eugenics and the Left*, „Journal of the History of Ideas" 45, nr 4 (październik-grudzień 1984 r.), s. 568, 573.

[399] W pierwszym roku działalności pisma aż jedna czwarta materiałów pochodziła z Wysp Brytyjskich. Zob. Daniel T. Rodgers, *Atlantic Crossings: Social Politics in a Progressive Age*, Cambridge, Mass.: Harvard University Press 1998, s. 276.

[400] Więcej takich enkomiów można znaleźć w: Yosal Rogat, *Mr. Justice Holmes: A Dissenting Opinion*, „Stanford Law Review" 15, nr 1 (grudzień 1962 r.), s. 3-44.

[401] William E. Leuchtenburg, *The Supreme Court Reborn: The Constitutional Revolution in the Age of Roosevelt*, New York: Oxford University Press 1995, s. 19. Wyróżnienie pochodzi ode mnie.

[402] Niezależny ośrodek badawczy zajmujący się sprawami publicznymi (przyp. tłum).

[403] Robert I. Cynkar, *Back v. Bell: 'Felt Necessities' v. Fundamental Values?*, „Columbia Law Review" 81, nr 7 (listopad 1981 r.), s. 1451.

[404] W 1911 roku Wilson poprosił Edwina Katzen-Ellenbogena, wiodącego stanowego eugenistę i specjalistę od zagadnień związanych z padaczką, o sporządzenie projektu ustawy. Biografia Katzen-Ellenbogena, mającego amerykańskie obywatelstwo polskiego katolika żydowskiego pochodzenia, jest zbyt obszerna, aby ją tu przedstawiać. Warto jednak wspomnieć, że ten do szpiku kości zły człowiek później pracował jako lekarz SS we Francji, a ostatecznie został „więźniem" współpracującym z rzeźnikami z Buchenwaldu. Osobiście zamordował tysiące osób – często w imię teorii eugenicznych, które opracował w amerykańskich szpitalach psychiatrycznych – a torturował jeszcze więcej, niezliczonych więźniów. „Nauka" opanowana przez niego w Stanach Zjednoczonych została dość przychylnie przyjęta w SS. W groteskowym przykładzie błędnego wymierzania sprawiedliwości nie został skazany na śmierć w Norymberdze. Zob. Edwin Black, *Buchenwalds American-Trained Nazi*, „Jerusalem Report", 22 września 2003 r.

[405] Herbert Croly, *The Promise of American Life*, New York: Macmillan 1911, s. 345, 191.

[406] Charles Richard Van Hise, *The Conservation of Natural Resources in the United States*, New York: Macmillan 1910, s. 378.

[407] Scott Gordon, *The History and Philosophy of Social Science*, New York: Routledge 1993, s. 521; Daniel Kevles, *In the Name of Eugenics: Genetics and the Uses of Human Heredity*, Cambridge, Mass.: Harvard University Press 1986, s. 68.

[408] Pierce Butler nie przedstawił swojej opinii na piśmie, ale są dwa możliwe wyjaśnienia jego niezgody (nie wykluczają się wzajemnie). Po pierwsze, Butler był społecznym darwinistą w tym sensie, że nie uważał, iż państwo powinno „Ingerować, ingerować, ingerować!", jak to ujął Sidney Webb. Po drugie, był wówczas jedynym katolikiem w składzie Sądu Najwyższego, a Kościół katolicki jednoznacznie wypowiadał się na temat wszystkiego, co trąciło eugeniką.

[409] W materiale opublikowanym na łamach brytyjsldego dziennika „Guardian" Edward Pearce twierdził, że Spencer był „zdecydowanie złym człowiekiem, […] który przez umiłowanie eugeniki i eliminacji fantazjował o tym, co nadeszło później". Zob. Edward Pearce, *Nietzsche Is Radically Unsound*, „Guardian", 8 lipca 1992 r., s. 20. Edwin Black, autor książki zatytułowanej *War Against the Weak* (Wojna wydana słabym), twierdzi, że eugenika zrodziła się z koncepcji Spencera, a ponadto Spencer „całkowicie odrzucał dobroczynność" w *Social Statics* (Statyce społecznej). Black ewidentnie nie czytał książki Spencera, gdyż żadne z jego stwierdzeń nie jest prawdziwe. Zob. Roderick T. Long,

Herbert Spencer: The Defamation Continues, 28 sierpnia 2003 r., www.lewrockwell.com/orig3/long3.html (dostęp 13 marca 2007 r.).

[410] Problem częściowo wynika z tego, że Hofstadter po prostu źle przedstawił znaczną część historii (nawet lewicowy historyk Eric Foner musi to przyznać w swym wprowadzeniu do opublikowanej w 1992 roku pracy *Social Darwinism in American Thought* [Darwinizm społeczny w myśli amerykańskiej]). Piętnaście lat po wydaniu książki Hofstadtera Irvin Wyllie z Uniwersytetu Wisconsin wykazał, że prawie żaden z przemysłowców 'wieku pozłacanego' nie wyrażał się w kategoriach darwinowskich ani nie zważał szczególnie na wariactwo na punkcie Darwina w kręgach intelektualnych. Nawet zwrot „darwinizm społeczny" był niemal nieznany w tzw. epoce baronów-rozbójników. W pewnym szczególnie rzucającym się w oczy przykładzie Hofstadter błędnie przypisał twierdzenie o „przetrwaniu najlepiej przystosowanych" Johnowi D. Rockefellerowi. To jego ksztalcony w college'u syn, John D. Rockefeller junior, wygłosił to zdanie, przemawiając w 1902 roku na Uniwersytecie Browna, nie analizując głębiej jego treści. Zob. Irvin G. Wyllie, *Social Darwinism and the Businessman*, „Proceedings of the American Philosophical Society", 15 października 1959 r., s. 632 (cytat z: Raymond B. Fosdick, *John D. Rockefeller, Jr., A Portrait*, New York: Harper 1956, s. 130-131.

[411] Progresywistka Jane Addams ściśle współpracowała z chicagowskim sędzią Harrym Olsonem, założycielem Amerykańskiego Stowarzyszenia na rzecz Eugeniki (American Eugenics Society), przez pewien czas przewodniczącym Stowarzyszenia Badań Eugenicznych (Eugenics Research Association). Będąc pionierskim propagatorem sądów dla nieletnich w Stanach Zjednoczonych, Olson dążył do wyplenienia „tańszych ras". Opowiadał się za sterylizacją, kiedy okaże się konieczna, ale rozwiązaniem przez niego preferowanym był psychiatryczny ‘gułag', w którym niezdatni mogliby żyć, nie mając kontaktu z ludźmi lepszymi. W 1916 roku w materiale odredakcyjnym opublikowanym w piśmie „New Republic" (prawie na pewno autorstwa Croly'ego) wykazywano ducha kompromisu panującego wśród progresywistów: „Leseferyzm jako polityka stosowana w odniesieniu do populacji prowadzi wprost do zagłady [...] **Imbecylizm rodzi imbecylizm z tą samą pewnością z którą od białych kur pochodzą białe kurczaki. W warunkach leseferyzmu imbecylizmowi daje się pełne szanse rozrodu, a robi to w tempie znacznie szybszym niż osobniki zdatne.** [...] Możemy stwierdzić, że państwowa polityka względem populacji nie może mieć za podstawę leseferystycznej polityki gospodarczej. Dopóki państwo będzie lekceważyć swoją dobrą krew, dopóty tylko złą będzie dopuszczać. [...] **Gdy państwo bierze na siebie obowiązek zapewnienia sprawiedliwej szansy rozwoju każdemu dziecku, jednomyślnie zostanie poparta polityka prowadząca do wyginięcia osobników niezdolnych do odnoszenia korzyści dzięki posiadanym przywilejom"** („New Republic", 18 marca 1916 r.; wyróżnienia moje). Przekład: należy jak najdalej zarzucić sieć świadczeń socjalnych i wszyscy dobrzy progresywiści zgodzą się, że każdy, kto znajdzie się poza nią, to kandydat do „wyginięcia".

[412] Daylanne English, *W.E.B. DuBois's Family Crisis*, „American Literature" 72, nr 2 (czerwiec 2000 r.), s. 297, 293; Charles Vaierrza, *Was Margaret Sanger a Racist?*, „Family Planning Perspectives" 17, nr 1 (styczeń-luty 1985 r.), s. 44-46.

[413] Jesse Walker, *Hooded Progressivism*, „Reason", 2 grudnia 2005 r.

[414] Rexford Tugwell z zespołu doradców Franklina D. Roosevelta twierdzi jednak, że to jego mentorowi Simonowi Pattenowi należy się zaszczytne autorstwo tego zwrotu. Zob. Thomas C. Leonard, *'More Merciful and Not Less Effective': Eugenics and American Economics in the Progressive Era*, „History of Political Economy" 35, nr 4 (zima 2003 r.), s. 693-694 oraz przyp. 13 na s. 696.

[415] David M. Kennedy, *Can We Still Afford to Be a Nation of Immigrants?*, „Atlantic Monthly", listopad 1996 r., s. 52-68.

[416] Edward Alsworth Ross, *Social Control: A Survey of the Foundations of Order*, New York: Macmillan 1901, s. 418.

[417] Sidney Webb, *The Economic Theory of a Legal Minimum Wage*, „Journal of Political Economy" 20, nr 10 (grudzień 1912 r.), s. 992. Przytaczam za: Thomas C. Leonard, *'More Merciful and Not Less Effective': Eugenics and American Economics in the Progressive Era*, „History of Political Economy" 35, nr 4 (zima 2003 r.), s. 703.

[418] W przekładzie w sporej mierze ginie zwięzłość Rossa, który stwierdził, że imigranci „podżyją" (*underlive*) Amerykanów (przyp. tłum.).

[419] Edward Alsworth Ross, *Seventy Years of It*, New York: Appleton-Century 1936, s. 70 (zdania cytowane w: Thomas C. Leonard, *'More Merciful and Not Less Effective': Eugenics and American Economics in the Progressive Era*, „History of Political Economy" 35, nr 4 (zima 2003 r.), s. 699); Royal Mecker, *Review of Cours d'économie politique*, „Political Science Quarterly" 25, nr 3 (1910 r.), s. 544 (cytat za: Thomas C. Leonard, dz. cyt., s. 703).

[420] Commons słusznie ma swoje miejsce w „sali sławy ruchu robotniczego". Pochwalne omówienie jego dokonań zob. w: Jack Barbash, *John R. Commons: Pioneer of Labor Economics*, „Monthly Labor Review" 112, nr 5 (maj 1989 r.), s.

44-49 (tekst jest dostepny na stronie www.bls.gov/opub/mlr/1989/05/art4full.pdf; dostęp 16 marca 2007 r.). Historyk Joseph Dorfman pisze następująco: „W stopniu większym niż jakikolwiek inny ekonomista [Commons] przyczynił się do tego, że przekształcono w program polityczny propozycje reform, które miały usunąć wady systemu przemysłowego" (Joseph Dorfman, *The Economic Mind in America, 1918-1933*, New York: Viking 1959, t. 4-5, s. 377; zdanie cytowane w: Jack Barbash, *John R. Commons*, dz. cyt., s. 44). Commons, który był przez pewien czas przewodniczącym Amerykańskiego Stowarzyszenia Ekonomicznego, ubolewał we wpływowej publikacji zatytułowanej *Races and Immigrants in America*, że „konkurencja nie ma poważania dla ras wyższych", przez co „rasa o najmniejszych potrzebach wypiera pozostałe". Z tego powodu „żydowski zakład, w którym wyzyskuje się pracowników, to tragiczna kara płacona przez tę ambitna rasę" (John R. Commons, *Races and Immigrants in America*, New York: Macmillan 1907, s. 151, 148).

421 „Murzyn zapewne nie mógłby znaleźć dla siebie miejsca w przemyśle amerykańskim, gdyby tam trafił jako wolny człowiek. [...] Jeżeli takie rasy mają zacząć prowadzić to pracowite życie, które jest drugą naturą ras żyjących w strefach klimatu umiarkowanego, to może się to dokonać wyłącznie poprzez jakąś formę przymusu". Zob. Thomas C. Leonard, *'More Merciful and Not Less Effective': Eugenics and American Economics in the Progressive Era*, „History of Political Economy" 35, nr 4 (zima 2003 r.), s. 701.

422 Christine Rosen, *Preaching Eugenics: Religious Leaders and the American Eugenics Movement*, New York: Oxford University Press 2004, s. 47. Szwedzi – od dawna uważani za naród wzorcowo realizujący założenia humanitarnej ekonomii trzeciej drogi – przyjęli ustawy eugeniczne mniej więcej w tym samym czasie co naziści. Jeszcze bardziej psuje obraz to, że te przepisy stosowano jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych. Ponad sześćdziesiąt tysięcy osób przymusowo wysterylizowano. Aby postawić sprawę uczciwiej, trzeba przyznać, że niektórym dano wybór – zamiast iść pod nóż, mogły się zgodzić na internowanie do czasu zaniku płodności. Wśród tych, których poddano „leczeniu", były dzieci z mieszanych małżeństw, osoby o „cygańskich rysach", samotne matki mające „zbyt wiele" dzieci, notoryczni przestępcy, znalazł się nawet chłopiec, o którym orzeczono, że jest „przedwcześnie dojrzały seksualnie". Duńczycy przyjęli podobne ustawy eugeniczne w 1929 roku, zanim do władzy w Niemczech doszli naziści. Wysterylizowano w Danii jedenaście tysięcy osób, a ustawy eugeniczne obowiązywały jeszcze pod koniec lat sześćdziesiątych. W Finlandii w latach 1945-1970 wysterylizowano jedenaście tysięcy osób, a cztery tysiące kobiet zmuszono do aborcji. Podobne rewelacje dochodziły z Norwegii, Francji, Belgii i innych regionów oświeconej Europy. Rok wcześniej w kanadyjskiej Albercie doszło do podobnych kontrowersji, gdy ujawniono, że prawie trzy tysiące osób wysterylizowano z tych samych powodów. Niektórym powiedziano, że poddane zostaną operacji wycięcia wyrostka robaczkowego. Po wyjściu ze szpitala były bezpłodne. Adrian Wooldridge, „Cleveland Plain Dealer", 15 września 1997 r.

423 Michael Bnrleigh, Wolfgang Wippernnann, *The Racial State: Germany, 1933-1945*, New York: Cambridge University Press 1991, s. 34, 35.

424 Michael Burleigh i Wolfgang Wippermann zwracają uwagę, że po roku 1935 nazistowskiej „polityki społecznej nie można bylo oddzielić od »selekcji« ras »obcych« oraz tych o »mniejszej wartości rasowej«. Michael Burleigh, Wolfgang Wippermann, *The Racial State: Germany, 1933-1945*, New York: Cambridge University Press 1991, s. 48.

425 John M. Barry, *The Great Influenza: The Epic Story of the Deadliest Plague in History*, New York: Penguin 2004, s. 144.

426 Shelby Steele, *White Guilt: How Blanks and Whites Together Destroyed the Promise of the Civil Rights Era*, New York: HarperCollins 2006, s. 124.

427 Thomas Sowell, *Civil Rights: Rhetoric or Realty?*, New York: William Morrow 1984, s. 84.

428 Maureen Dowd, *Could Thomas Be Right?*, „New York Times", 25 czerwca 2003 r., s. A25; Shelby Steele, *White Guilt: How Blacks and Whites Together Destroyed the Promise of the Civil Rights Era*, New York: HarperCollins 2006, s. 174.

429 David Tell, *Planned Un-parenthood: Roe v Wade at Thirty*, „Weekly Standard", 27 stycznia 2003 r., s. 35-41; Gloria Feldt, *Behind Every Choice Is a Story*, Denton: University of North Texas Press 2002, s. xix, xvi; Faye Wattleton, *Humanist of the Year Acceptance Speech*, „Humanist", lipiec-sierpień 1986 r.

430 Margaret Sanger: *An Autobiography*, New York: Norton 1938, s. 70.

431 Daniel J. Kevles, *Sex Without Fear*, „New York Times", 28 czerwca 1992 r.

432 Charles Valenza, *Was Margaret Sanger a Racist?*, „Family Planning Perspectives" 17, nr 1 (styczeń-luty 1985 r.), s. 45 (znajduje się tam cytat z: David M. Kennedy, B*irth Control in America: The Career of Margaret Sanger*, New

Haven: Yale University Press 1970, s. 115); H.G. Wells, przedmowa do: Margaret Sanger, *The Pivot of Civilization*, Amherst: Humanity Books 2003, s. 42.

433 Chociaż Sanger podawała się za propagatorkę emancypacji, przekonywała do przeniesienia prywatnej dziedziny prokreacji do sfery działań państwa. W wizji Sanger kobiety miały zostać „wyzwolone" od reprodukcyjnej tyranii rodziny, ale w celu realizacji tego zamierzenia kobiety – szczególnie pewne kobiety – miały być poddane nowej tyranii eugenicznego planisty. Marie Stopes, brytyjska Margaret Sanger (czyli matka brytyjskiego ruchu na rzecz kontroli urodzeń), cechowała się podobnym ternperamentem. „Utopię – tłumaczyła – można by osiągnąć za mojego życia, gdybym miała dostateczną władzę, aby móc wydawać niepodważalne edykty" (zdanie cytowane w: Mukti Jain Campion, *Who's Fit to Be a Parent?*, New York: Routledge 1995, s. 131).

434 Zdanie cytowane w: Edwin Black, *War Against the Weak: Eugenics and America's Campaign to Create a Master Race*, New York: Four Walls Eight Windows 2003, s. 133, oraz w: Christine Rosen, *Preaching Eugenics: Religious Leaders and the American Eugenics Movement*, New York: Oxford University Press 2004, s. 216.

435 Steven W. Mosher, *The Repackaging of Margaret Sanger*, „Wall Street Journal", 5 maja 1997 r., s. A18.

436 „Kontrola urodzeń to nie jakaś negatywna flozofia zajmująca się wyłącznie liczbą dzieci przychodzących na ten świat – pisze. – Ta kwestia to nie tylko sprawa populacji. Kontrola urodzeń to przede wszystkim narzędzie prowadzące do wyzwolenia i ludzkiego rozwoju". Zob. Margaret Sanger, *The Pivot of Civilization*, Amherst: Humanity Books 2003, s. 224.

437 Charles Valenza, *Was Margaret Sanger a Racist?*, „Family Plarming Perspectives" 17, nr 1 (styczeń-luty 1985 r.), s. 45 (cytat z: Linda Gordon, *Woman 's Body, Woman's Right*, New York: Grossman 1976, s, 332); list Margaret Sanger do dr. C.J. Gamble'a z 10 grudnia 1939 r. (cyt. w: Charles Valenza, *Was Margaret Sanger a Racist?*, s. 46.

438 Colman McCarthy, *Jackson's Reversal on Abortion*, „Washington Post", 21 maja 1988 r., s. A27.

439 Steven D. Levitt, Stephen J. Dubner, *Freakonomics: A Rogue Economist Explores the Hidden Side of Everything*, New York: HarperCollins 2005, s. 139.

440 Bill Bennett, *Morning in America*, 28 września 2005 r.; zapis wypowiedzi zob. na stronie www.mediamatters.org/items/200509280006 (dostęp 16 marca 2.007 r.); zob. też Brian Faler, *Bennett Under Fire for Remark on Crime and Black Abortions*, „Washington Post", 30 września 2005 r., s. A05. Bob Herbert, *Impossible, Ridiculous, Repugnant*, „New York Times", 6 października 2005 r., s. A37; *The Big Story with John Gibson*, Fox News Channel, 30 września 2005 r.; zob. też Jonah Goldberg, „Ridiculous", „National Review Online", 7 października 2005 r.; Fox News Sunday, Fox News Channel, 2 października 2005 r.; Talk-Back Live, materiał odredakcyjny, „Washington Times", 5 października 2005 r., s. A16.

441 Ramesh Ponnuru, *The Party of Death: The Democrats, the Media, the Courts, and the Disregard for Human Life*, Washington: Regnery 2006, s. 65.

442 *The Clinton RU-486 Files: The Clinton Administration's Radical Drive to Force an Abortion Drug on America*, judicial Watch Special Report, 2006 r.; materiał jest dostępny na stronie www.judicialwatch.org/archive/2006/jw-ru486-report.pdf (dostęp 16 marca 2007 r.).

443 Steven W. Mosher, *The Repackaging of Margaret Sanger*, „Wall Street Journal", 5 maja 1997 r.

444 David Tell, *Planned Un-parenthood: Roe v. Wade at Thirty*, „Weekly Standard", 27 stycznia 2003 r., s. 40.

445 Sheryl Blunt, *Saving Black Babies*, „Christianity Today", 1 lutego 2003 r.

446 Peter Singer, *Killing Babies Isn't Always Wrong*, „Spectator", 16 września 1995 r., s. 20-22.

447 Lyndon Johnson przedstawił to uzasadnienie w wygłoszonej w 1965 roku mowie, w której ogłaszał akcję afirmatywną. Mówił wtedy: „Nie robi się tak, że bierze się osobę, która przez lata była skuta, i wyzwala, by ją zaprowadzić na linię stanu wyścigu i powiedzieć »Teraz możesz swobodnie konkurować ze wszystkimi innymi«, a później jeszcze uważać, że można mieć zasadne poczucie, iż postąpiło się całkowicie sprawiedliwie". Pod względem frazeologii bardzo to przypomina repertuar Wilsona, ponieważ cały naród zmieniono w jedną zbiorową „osobę", Zob. Lyndon B. Johnson, *To Fulfill These Rights*, uwagi wygłoszone na Uniwersytecie Howarda podczas absolutorium 4 czerwca 1955 r. Pełen tekst wystąpienia można znaleźć na stronie www.lbjlib.utexas.edu/johnson/archives.hom/speeches.hom/650604.asp (dostęp 8 maja 2007 r.).

[448] Joseph de Maistre, *Considerations on France*, New York: Cambridge University Press 1994, s. xxiii.

[449] Gene Edward Veith, *Modern Fascism: The Threat to the Judeo-Christian Worldview*, St. Louis: Concordia 1993, s. 134.

[450] Andrew J. Coulson, *Planning Ahead Is Considered Racist?*. „Seattle Post-Intelligencer", 1 czerwca 2006 r.; Debera Carlton Harrell, *School District Pulls Web Site After Examples of Racism Spark Controversy*, „Seattle Post-Intelligencer", 2 czerwca 2006 r. Zalecenia wycofano po protestach. Można jednak mieć pewność, że nastawienia, które doprowadziły do nich, pozostały nietknięte. Richard Delgado, *Rodrigo's Seventh Chronicles Race, Democracy and the State*, 41 „UCLA Law Review" 720, 734 (1994 r.); zdanie cytowane w: Daniel A. Farber, Suzanna Sherry, *Beyond All Reason: The Radical Assault on Truth in American Law*, New York: Oxford University Press 1997, s. 29.

[451] Wykładający prawo prof. Luther Wright proponuje, aby w Stanach Zjednoczonych wprowadzić bardziej rygorystyczne klasyfikacje rasowe obejmujące wszystkich obywateli amerykańskich, chciałby też, by oszustom rasowym groziły „grzywny oraz natychmiastowa utrata pracy bądź pobieranych świadczeń". Zob. Luther Wright, *Who's Black, Who's White, and Who Cares: Reconceptualizing the United States's Definition of Race and Racial Classifications*, „Vanderbilt Law Review" marzec 1995 r., s. 513. Podobne zjawisko występuje w przypadku Indian. W ostatnim dwudziestoleciu liczba Indian żyjących w Stanach Zjednoczonych gwałtownie wzrosła, a to tempo wzrostu znacznie przekracza wielkość możliwą na podstawie danych dotyczących dzietności i śmiertelności. Ponieważ z definicji rdzenni mieszkańcy Ameryki nie mogą do tejże Arneryki imigrować, jedyne możliwe rozwiązanie to stwierdzenie, że wskutek amerykańskiego systemu łupów coraz więcej ludzi uznaje, że korzystnie będzie się podawać za Indian.

[452] Yolanda Woodlee, *Williams Aide Resigns in Language Dispute*, „Washington Post", 27 stycznia 1999 r., s. B1.

[453] Kevin Phillips, były współpracownik Richarda Nixona, zajął się pewną chałupniczą produkcją i zaczął propagować siebie jako głos „prawdziwego" konserwatyzmu i „prawdziwej" Partii Republikańskiej. W gruncie rzeczy jest jednak głosem starego progresywizmu dążącego do ingerencji w funkcjonowanie społeczeństwa, progresywizmu wyznaczającego zakres konsensu między demokratami a republikanami. Co do zarzutu postawionego w książce *American Dynasty* autorstwa Phillipsa, że dziadek George'a W. Busha w jakimś stopniu współpracował z nazistami, Peter Schweizer wykazał, że jest to potwarz rozpowszechniana w złośliwych intencjach. Pisze on następująco: „W jednym z najbardziej wciągających rozdziałów Phillips twierdzi, że Bushowie przyczynili się do sukcesu Hitlera. Słusznie wprawdzie wspomina, że firma Brown Brothers Harriman z sektora bankowości inwestycyjnej, zatrudniająca Prescotta Busha i George'a H. Walkera (pradziadka George'a W. Busha), inwestowała w niemieckie przedsiębiorstwa w czasach nazistowskich, ale nie odnotowuje przy tym, że to Averell Harriman, późniejszy ambasador Franklina D. Roosevelta akredytowany w Moskwie oraz sekretarz ds. handlu w administracji Trumana, zapoczątkował te inwestycje (a także pewne w Związku Sowieckim), zanim którykolwiek z Bushów zaczął pracować w tej firmie. Prescott Bush nie nadzorował tych inwestycji. W rzeczywistości zajmował się niemal wyłącznie zarządzaniem portfelem aktywów amerykańskich. To Harriman w znacznym stopniu zarządzał inwestycjami zagranicznymi i przez to właśnie on spotykał się z przywódcami niemieckimi i sowieckimi". Zob. Peter Schweizer, *Kevin Phillips's Politics of Deceit*, „National Review Online", 30 marca 2004 r., www.nationalreview.com/comment/sdrweizer200403300907.asp (dostęp 23 stycznia 2007 r.).

[454] Robert E Kennedy, *Crimes Against Nature*, „Rolling Stone", 11 grudnia 2003 r.; Rebecca Shoval, *Al Franken Airs Show at Ithaca College*, „Comell Daily Sun", 26 kwietnia 2006 r., www.comellsun.com/node/17563 (dostęp 23 stycznia 2007 r.); John Ralston Saul, *The Unconscious Civilization*, New York: Simon and Schuster 1999, s. 120.

[455] Jeffrey T. Schnapp pisze tak: „Wyobrażenie, że faszyzm reprezentował »trzecią drogę« w stosunku do kapitalizmu i rozwijającego się komunizmu, stanowiło zasadniczy element samookreślenia ruchu. W przeciwieństwie do demokratycznego niwelowania różnic i standaryzowania życia, które przypisywano kapitalizmowi, oraz kolektywizmu i materializmu przypisywanych bolszewizmowi, faszyzm miał zapewnić wszystkie korzyści wynikające z przyśpieszonej modernizacji, natomiast bez takich minusów, jak utrata indywidualności i narodowości bądź rezygnacja z takich wyższych wartości, jak heroizm, sztuka, tradycja i duchowa transcendencja". Zob. Jeffrey T. Schnapp, *Fascinating Fascism*, w: *The Aesthetics of Fascism*, wydanie specjalne „Journal of Contemporary History" 31, nr 2 (kwiecień 1996 r.), s. 240.

[456] W popularnych artykułach poświęconych faszyzmowi poważni autorzy nieustannie utrzymują, że faszyzm to „odrzucenie zarówno liberalizmu, jak i socjalizmu", jak to napisał Alexander Stille na łamach dziennika „New York Times". To prawda, że faszyści występowali przeciwko socjalizmowi i liberalizmowi, ale w erze klasycznego faszyzmu te słowa miały szczególne konotacje. Socjalizm w tym kontekście oznaczał bolszewizm, czyli międzynarodową ideologię, której zwolennicy domagali się całkowitego zniesienia własności prywatnej i odrzucali inne ideologie socjalistyczne, uznając je za „faszystowskie". Liberalizm zaś w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku określano jako leseferyzm wolnorynkowy. Jeżeli mamy to nastawienie faszyzmu wyrazić za pomocą współczesnych

kategorii, trzeba powiedzieć, że odrzucał wolnorynkowy kapitalizm oraz totalitarny komunizm. Oznacza to nastawienie nieco odmienne od „odrzucenia zarówno liberalizmu, jak i socjalizmu”. Zob. Alexander Stille, *The Latest Obscenity Has Seven Letters*, „New York Times”, 13 września 2003 r., sekcja B, s. 9.

[457] A. James Gregor, *The Ideology of Fascism: The Rationale of Totalitarianism*, New York: Free Press 1969, s. 12; Robert S. Wistrich, *Leon Trotsky's Theory of Fascism*, w: *Theories of Fascism*, wydanie specjalne „Journal of Contemporary History” 11, nr 4 (październik 1976 r.), s. 161 (znajduje się tam cytat z: Leon Trotsky, *Fascism: What It Is and How to Fight It*, New York: Pathfinder 1972, s. 5).

[458] Peter Davies, Derek Lynch (red.), *The Routledge Companion to Fascism and the Far Right*, New York: Routledge 2002, s. 52; Palmiro Togliatti, *Lectures on Fascism*, London: Lawrence and Wishart 1976, s. 1-10; Martin Kitchen, *Fascism*, London: Macmillan 1982, s. 46; Henry Ashby Turner (red), *Reappraisals of Fascism*, New York: New Viewpoints 1975, s. xi.

[459] Henry Ashby Tumer, *German Big Business and the Rise of Hitler*, New York: Oxford University Press 1987, s. 75.

[460] Tamże, s. 347.

[461] W tradycji europejskiej można by dość łatwo bronić tezy, że te powiązania są właściwe dla prawicy, historycznie rzecz ujmując, choć nie jest to sprawa oczywista, ponieważ nawet w Europie obecne zasady ekonomii wolnorynkowej określa się jako ideologię prawicy. W Niemczech w połowie XX wieku sytuacja dezorientowała jeszcze bardziej, gdyż wskutek działalności Bismarcka klasyczny liberalizm zanikł w latach siedemdziesiątych XIX wieku, a to, co nazywano liberalizmem, w istocie było etatyzmem. Innymi słowy, gdy weźmiemy znaczenia tych terminów używane w Ameryce, wyjdzie na to, że zarówno lewica, jak i prawica były lewicowe.

[462] *Packers Face Report Music*, „Washington Post”, 7 czerwca 1906 r., s. 4; Timothy R. Carney, *The Big Ripoff: How Big Business and Big Government Steal Your Money*, Hoboken: Wiley & Sons 2006, s, 37-38. Zob. też Gabriel Kolko, *The Triumph of Conservatism: A Reinterpretation of American History 1909-1916*, New York: Free Press 1963, s. 103, 107.

[463] Timothy R. Carney, *The Big Ripoff: How Big Business and Big Government Steal Your Money*, Hoboken: Wiley & Sons 2006, s. 40; Gabriel Kolko, *The Triumph of Conservatism: A Reinterpretation of American History 1909-1916*, New York: Free Press 1963, s. 39, 174.

[464] Herbert Croly, *The Promise of American Life*, New York: Macmillan 1911, s. 202, 359.

[465] Timothy R. Carney, *The Big Ripoff: How Big Business and Big Government Steal Your Money*, Hoboken: Wiley & Sons 2006, p. 42 (zamieszczono tam cytat z: Murray Rothbard, *War Collectivism in World War I*, w: Ronald Radosh, Murray Rothbard (red.), *A New History of Leviathan*, New York: Dutton 1972, s. 70); Paul A. C. Kostinen, *The 'Industrial-Military Complex' in Historical Perspective: World War I*, „Business History Review” (zima 1967 r.), s. 381.

[466] Grosvenor Clarkson, *Industrial America in the World War: The Strategy Behind the Line, 1917-1918*, Boston: Houghton Mifflin 1923, s. 63; Robert Higgs, *Crisis and Quasi-Corporatist Policy-Making: The US. Case in Historical Perspective, „The World & I”*, listopad l988 r., materiał wykorzystany ponownie przez Independent Institute, www.independent.org/publications/article.asp?id=312 (dostęp 24 stycznia 2007 r.).

[467] Wprawdzie w latach dwudziestych, szczególnie za prezydentury Calvina Coolidge'a, administracja państwowa usunęła niektóre – lecz zdecydowanie nie wszystkie – korporacjonistyczne ekscesy socjalizmu wojennego Wilsona, ale wiele osób zajmujących stanowiska rządowe nadal opowiadała się za realizacją tych programów. Należał do nich Herbert Hoover, sekretarz handlu w latach 1921-1928. Wbrew bzdurnej propagandzie, że zdecydowanie się opowiadał za wolnymi rynkami, Hoover, szef Agencji ds. Żywności (Food Administration) w gabinecie Thomasa Woodrow Wilsona, z oddaniem dążył do „zorganizowania” arnerykańskiego świata biznesu, aby ściśle współpracował z rządem. W programie polityki gospodarczej Franklina D. Roosevelta z 1932 roku większość historyków dostrzega raczej ciągłość niż „rewolucję”. Rzeczywiste zerwanie z przeszłością widać w polityce Roosevelta. Zmilitaryzował korporacjonizm, podobnie jak zrobili to przywódcy innych państw, przez co Nowy Ład stał się „moralnym odpowiednikiem wojny”. Dla Amerykanów przejście do rzeczywistej wojny odbyło się niemal równie gładko jak dla Niemców, chociaż gospodarka została trwale przekształcona, w dużej mierze zgodnie z oczekiwaniami liberałów i ludzi biznesu, już przed wojną. Zob. William E. Leuchtenburg, *The FDR Years: On Roosevelt and His Legacy*, New York: Columbia University Press 1995, s. 41.

[468] Eric F. Goldman, *Rendezvous with Destiny: A History of Modern American Reform*, Chicago: Ivan R. Dee 2001, s. 347, 348, 349; William E. Leuchtenburg, *Franklin D. Roosevelt and the New Deal*, New York: Harper and Row 1963, s. 87.

[469] Timothy P. Carney, *The Big Ripoff: How Big Business and Big Government Steal Your Money*, Hoboken: Wiley & Sons 2006, s. 46; Alan Brinkley, *The End of Reform: New Deal Liberalism in Recession and War*, New York: Vintage 1996, s. 37.

[470] John Patrick Diggins, *Mussolini and Fascism: The View from America*, Princeton: Princeton University Press, 1972, s. 164; William G. Welk, *Fascist Economic Policy and the N.R.A.*, „Foreign Affairs", październik 1933, s. 98-109. Powstrzymuję się przed powtarzaniem dosłownie niezliczonych podobnych komentarzy wygłaszanych przez komunistów i radykalnych socjalistów działających w Stanach Zjednoczonych, ponieważ bardzo rozpowszechnione było przekonanie, że Nowy Ład jest programem faszystowskim. Ponadto z powodu przyjętej przez Stalina doktryny socjalfaszyzmu oficjalną polityką czerwonych i innych socjalistów amerykańskich było utrzymywanie, że tak jest, nawet gdy tak nie uważali. Wystarczy powiedzieć, że od Normana Thomasa wszyscy później wielokrotnie wzgardliwie nazywali Hoovera i Franklina Roosevelta faszystami z powodu różnych spraw.

[471] Gdy Brockway odwiedził Stany Zjednoczone, jeszcze bardziej się przekonał, że rooseveltyzm to faszyzm. Szczególnie go przeraziły obozy pracy Korpusu Ochrony Cywilnej (Civilian Conservation Corps), które „natychmiast przywodzą na myśl obozy Służby Pracy w faszystowskich Niemczech". Pisał dalej: „Odnosi się niejasne wrażenie, że amerykańskie obozy w stopniu nie mniejszym od niemieckich zostaną przekształcone z ośrodków cywilnych w wojskowe, gdy tylko pojawi się ryzyko wojny bądź niepokojów społecznych, i że w przekonaniu władz wojskowych zarządzających tymi obozami dominujące znaczenie ma ich potencjalna wartość militarna". Zob. Barbara C. Malament, *British Labour and Roosevelt's New Deal: The Response of the Left and the Unions*, „Journal of British Studies" 17, nr 2 (wiosna 1978 r.), s. 137, 144. Zob. też Giuseppe Bottai, *Corporate State and the NRA.*, „Foreign Affairs", lipiec 1935 r., s. 612-624.

[472] Anne O'Hare McCormick, *Hitler Seeks Jobs for All Germans*, „New York Times", 10 lipca 1933 r., s. 1, 6.

[473] W wygłoszonym w 1929 roku orędziu o „stanie państwa" Mussolini chlubił się osiągnięciami w procesie wdrażania państwa korporacjonistycznego: „Zatrudnieni zostali włączeni do instytucji państwowych: syndykalizm i korporacjonizm umożliwiają organizację całego narodu. System opiera się na prawnym uznaniu związków zrzeszających specjalistów, na zbiorowych umowach pracy, na zakazie strajków i lokautów. [...] [To nastawienie] już przyniosło skutki. Pracownicy i kapitaliści przestali uważać istniejący między nimi antagonizm za nieunikniony fakt historyczny: kontlikty, które nieuchronnie powstają, są rozwiązywane pokojowo dzięki coraz większej świadomej współpracy klas. Włoskie ustawy regulujące kwestie społeczne są najdoskonalsze na świecie. Obejmują one różnorodne przepisy, od ustawy o ośmiogodzinnym dniu pracy po przepis o obowiązkowym ubezpieczeniu od gruźlicy" (Benito Mussolini, *The Achievements of the Fascist Revolution*, w: Roger Griffin (red.), *Fascism*, Oxford: Oxford University Press 1995, s. 63-64.

[474] R.J.B. Bosworth, *Mussolini's Italy: Life Under the Fascist Dictatorship, 1915-1945*, New York: Penguin 2006, s. 311.

[475] Frank Kingdon, *That Man in the White House: You and Your President*, New York: Arco 1944, s. 120; Helen M. Burns, *The American Banking Community and New Deal Banking Reforms, 1933-1935*, Westport: Greenwood, 1974, s. 100; David Schoenbaurn, *Hitler's Social Revolution: Class and Status in Nazi Germany, 1933-1939*, New York; Norton, 1980, s. 25-26.

[476] William Manchester, *The Arms of Krupp: The Rise and Fall of the Industrial Dynasty That Armed Germany af War*, New York: Back Bay Books 2003, s. 152

[477] Robert N. Proctor, *The Nazi War on Cancer*, Princeton: Princeton University Press 2000, s. 38.

[478] Claudia Koonz, *The Nazi Conscience*, Cambridge, Mass.: Harvard University Press 2003, s. 73.

[479] Jay W. Baird, *From Berlin to Neubabelsberg: Nazi Film Propaganda and Hitler Youth Quex*, w: *Historians and Movies: The State of the Art: Part 1*, wydanie specjalne „Journal of Contemporary History" 18, nr 3 (lipiec 1983 r.), s. 495; Peter Goddard, *The Subtle Side of Nazi Propaganda Machine*, „Toronto Star", 19 stycznia 1996 r., s. D4.

[480] Robert N. Proctor, *The Nazi War on Cancer*, Princeton: Princeton University Press 2000, s. 138.

[481] Stuart Chase, *The Economy of Abundance*, New York: Macmillan 1934, s. 313. Progresywistyczny ekonomista John Commons stwierdził, że stworzony przez Nowy Ład nowy system grup nacisku i zrzeszeń branżowych stanowi „zawodowy parlament narodu amerykańskiego, reprezentujący go bardziej niż kongresmani wybierani zgodnie z podziałem terytorialnym". Pisał dalej: „Są one nieoficjalnymi amerykańskimi odpowiednikami »korporacjonistycznego państwa« Mussoliniego, włoskiego państwa zawodowego". Abram L. Harris, *John R. Commons and the Welfare State*,

„Southern Economic Journal” 19, nr 2 (październik 1952 r.), s. 222-233; Robert Higgs, *Crisis and Quasi-Corporatist Policy-Making: The US. Case in Historical Perspective*, „The World & I”, listopad 1988 r.

[482] Jonathan Alter, *The DefiningMoment: FDR's Hundred Days and the Triumph of Hope*, New York: Simon and Schusier 2006, s. 185.

[483] Gdy nie było jeszcze pewne, czy naziści przejmą władzę w Niemczech, Gustav Krupp, który kierował gigantycznym i niesławnym koncernem zbrojeniowym, wydał swemu kierowcy szczególne polecenie. Gdy Krupp wychodził ze spotkań z różnymi przywódcami politycznymi, szofer miał baczyć, w której ręce pryncypał trzymał rękawiczki. Jeśli Krupp miał je w prawej rece, kierowca miał go przywitać w tradycyjny pruski sposób, stukając obcasami i przykładając dłoń do czapki. Jeżeli zaś przemysłowiec miał rękawiczki w ręce lewej, szofer miał się wyprężyć w pełnym salucie „Heil Hitler”, który Gustav Krupp równie gorliwie odwzajemniał. Podobnie jak większość wiodących niemieckich biznesmanów i przemysłowców, Krupp nie lubił Hitlera ani nazistów. Krupp – którego słusznie po wojnie sądzono w Norymberdze za zbrodnie wojenne – dołączył do przywódców świata biznesu, którzy chcieli udaremnić objęcie urzędu kanclerza przez Hitlera. Kiedy jednak stało się jasne, że historia opowiada się po stronie nazizmu, niemieccy ludzie biznesu zaczęli stawać w szeregu.

[484] Lizette Alvarez, *An 'Icon of Technology' Encounters Some Rude Political Realities*, „New York Times”, 4 marca 1998 r., s. D4.

[485] Z programem NSDAP można się zapoznać na stronie www.hitler.org/writings/programme. W książce zatytułowanej *Voices of Protest* Alan Brinkley doskonale omawia przyczyny gniewu wzbudzanego przez domy towarowe. Najpoważniejszym problemem było to, że przez wielkie sieci bankrutowały miejscowe sklepy ogólne. Te sklepy były ważnymi instytucjami kulturalnymi i finansowymi w wiejskich regionach amerykańskich, gdyż między innymi kredytowały farmerów w gorszych okresach Zob. Alan Brinkley, *Voices of Protest: Huey Long, Father Coughlin, and the Great Depression*, New York: Vintage 1983, s. 198.

[486] Neil Steinberg, „New York Daily News”, 13 lutego 2005 r.

[487] Około 40 procent (czyli nieco ponad 40 milionów) arnerykańskich gospodarstw domowych ma przynajmniej jednego psa, a około 35 procent gospodarstw domowych ma kota (a połowa z nich ma więcej niż jednego). Ogromna większość właścicieli zwierząt domowych płaci za usługi weterynaryjne gotówką, prawie bez żadnych papierów, bez długich oczekiwań i otrzymując usługi wysokiej jakości. Na studia weterynaryjne trudniej się dostać niż na medycynę. Dlaczego tak się dzieje? Bo Kongres trzyma się z dala od tej branży (i nie pozwolono zajmować się nią prawnikom). A ponieważ rząd zostawia weterynarzy w spokoju, weterynarze zostawiają w spokoju rząd.

[488] Ponieważ władze stanowe angażują się w większą liczbę spraw związanych z regulacjami, liczba lobbystów na poziomie stanowym również gwałtownie wzrosła. Na przykład w stanie Nowy Jork są prawie cztery tysiące zarejestrowanych lobbystów.

[489] Christopher Lehmann-Haupt, *A Tale of Tobacco, Pleasure, Profits and Death*, „New York Times”, 15 kwietnia 1996 r.

[490] Christine Hall, *Unholy Alliance*, „National Review Online”, 12 kwietnia 2006 r.

[491] W dzienniku „New York Times” donoszono: „Przywódcy świata biznesu chwalili wczoraj, okazując różne stopnie entuzjazmu, przełomowe propozycje przedstawione w niedzielę wieczorem przez prezydenta Nixona”. Zob. Robert D. Hershey, *Psychological Lift Seen*, „New York Times”, 17 sierpnia 1971 r., s. 1.

[492] Hillary Rodham Clinton, *It Takes a Village*, New York: Simon and Schuster 1996, s. 301.

[493] Kaus (który kiedyś był podwładnym Reicha w Federalnej Komisji ds. Handlu – zarzucano mu, że ustalił, jak wprowadzić przepis, że zamykanie fabryki to „nieuczciwa praktyka handlowa”) przedstawia kilka przykładów z prac Reicha. „Ale czy musimy wybierać między nacjonalizmem o sumie zerowej a obojętnym kosmopolityzmem?” – pytał Reich. – Nie! Jest „trzecie podejście, znajdujące się wyżej od nich: pozytywny nacjonalizm gospodarczy”. „W amerykańskich wypowiedziach politycznych często tę decyzję przedstawia się za pomoca dranratycznych określeń właściwych dla mitu: albo pozostawimy wolny rynek, albo kieruje nim rząd – ubolewa Reich. – jest jednak trzecie rozwiązanie”. „Dwie fikcje wywołują zamieszanie w dyskusjach na temat zmian gospodarczych w Ameryce. Pierwsza to fikcja automatycznego dostosowania”. W tej zakłada się, że zwolnienia mają znikomy wpływ negatywny. „Druga, przeciwstawna fikcja”, jak twierdzi Reich, to przekonanie, że ludzie „nigdy nie dostosowują się do zmian, lecz po prostu cierpią”. Reich chce działać na „środkowym, bardziej chaotycznym obszarze”, gdzie „jest wiele możliwości” pragmatycznej i prowadzonej pod kierunkiem ekspertów kontroli gospodarki z wykorzystaniem metod zarówno

kapitalistycznych, jak i socjalistycznych. Zob. Mickey Kaus, The Policy Hustler, „New Republic", 7 grudnia 1992 r., s. 16-23.

[494] Mickey Kaus, *The Policy Hustler*, „New Republic", 7 grudnia 1992 r., s. 20.

[495] Gdy dobiegła końca prezydentura Reagana, George H.W. Bush nie był odpowiednio przygotowany pod względem filozoficznym do tego, aby zająć się narastającymi żądaniami rozwoju gospodarki w większym stopniu planowanej, szczególnie gdy kraj pogrążył się w recesji (którą media wyolbrzymiały, osiągając w ten sposób ogromny skutek polityczny). I znów zwolennicy polityki przemysłowej odkurzyli argumenty za planowaną zamożnością, mające podstawę w twierdzeniach o moralnych odpowiednikach wojny. „Naszymi najważniejszymi wrogami obecnie nie są już wojskowi – tłumaczył w powszechnie powtarzanej wypowiedzi George Fisher, przewodniczący Rady ds. Konkurencyjności w czasie prezydentury Busha. – Są nimi ci, którzy dążą do wdrożenia programów gospodarczych, technologicznych i przemysłowych mających im zapewnić zwiększenie udziałów w światowych rynkach. Tak się to przedstawia. Polityka Stanów Zjednoczonych musi wynikać z reakcji na tę rzeczywistość, jeżeli mamy pozostać przywódcą świata i wzorcem". Do „nowego sojuszu rządu i przemysłu" w celu opracowania nowych technologii nawoływał Harold Brown, były sekretarz obrony. Zob. Kevin Phillips, *U.S. Industrial Policy: Inevitable and Ineffective*, „Harvard Business Review", lipiec/sierpień 1992 r.

[496] Hobart Rowan, *Clinton's Approach to Industrial Policy*, „Washington Post", 11 października 1992 r., s, H1; Paul A. Gigot, *How the Clintons Hope to Snare the Middle Class*, „Wall Street Journal", 24 września 1993 r., s. A10.

[497] Tego rodzaju ingerencje wywołują kaskadę konsekwencji w całym systemie gospodarczym. Przez nie pojawiają się bowiem jeszcze bardziej perwersyjne bodźce popychające rząd i świat biznesu do tego samego łóżka. Ponieważ amerykańskie przedsiębiorstwa muszą za cukier płacić cenę dwukrotnie przewyższającą cenę obowiązującą na rynkach światowych, większość ogromnych konsumentów cukru, na przykład Coca-Cola, do słodzenia napojów wykorzystuje zamiast cukru syrop glukozowo-fruktozowy. Firma Archer Daniels Midland produkuje ogromne ilości tego syropu, toteż przeznacza bardzo wiele pieniędzy na polityków popierających dopłaty do cukru.

[498] Wiele z tego, rzecz jasna, to marketing. Z badań opinii przeprowadzonych przez Zogby lnternational wynika, że do kawiarni sieci Starbucks częściej chodzą liberałowie (i kobiety) – jest ich mniej więcej dwukrotnie więcej. (Republikanie i mężczyźni wolą lokale sieci Dunkin' Donuts). Nie należy jednak przeoczyć tego, że jeśli „liberałowie" wolą kawiarnie Starbucks, to przecież w interesie tej sieci jest to, aby przybyło osób zajmujących liberalne stanowisko, dlatego przeznacza tak wiele pieniędzy na działania sprowadzajace się do kształcenia społeczeństwa. Zob. Zogby Consumer Profile Finding, *Starbucks Brews Up Trouble for Dunkin' Donuts: Seattle Chain's Coffee Preferred by 34% to 30%; 'Starbucks Divide' Evident in Age, Politics of Coffee's Drinkers*, 8 sierpnia 2005 r., www.zogby.com/news/ReadNews.dbm?ID= 1016 (dostęp 26 czerwca 2007 r.).

[499] Rozmowa z Ronaldem Baileyem, zajmującym się kwestiami nauki korespondentem pisma „Reason".

[500] Ned Sullivan, Rich Schiafo, *Talking Green, Acting Dirty*, „New York Times", 12 czerwca 2005 r., s. 23; *The Profiteer: Jeff Immelt*, „Rolling Stone", www.rollingstone.com/politics/story/8742315/the_profiteer/ (dostęp 18 marca 2007 r.).

[501] Zob. www.ceousa.org/pdfs/eeoctest.imony5=06.pdf (dostęp 8 maja 2007 r.).

[502] *Interview on Fresh Air*, National Public Radio, 18 października 2005 r.

[503] Człowiek-kameleon z filmu Woody'ego Allena (przyp. tłum.).

[504] Kenneth L. Woodward, *Soulful Matters*, „Newsweek", 31 października 1994 r., s. 22.

[505] Tamże. Jones nie przestał się liczyć w jej życiu. W czasie skandalu z powodu Moniki Lewinsky zwrócił Hillary Clinton uwagę na kazanie Tillicha zatytułowane *Faith in Action* (Wiara w działaniu), zapewniał jej ponadto wsparcie duchowe w 2000 r., gdy ubiegała się o miejsce w Senacie.

[506] Nie znalazlem żadnej wzmianki o tym, że Oglesby był jakimś teologiem. Tytul jego artykułu według „Newsweeka" brzmiał *Zmiana czyli strategia ograniczania* (*Change or Containment*), w rzeczywistości jednak brzmiał *Rewolucja światowa a amerykańska strategia ograniczania* (*World Revolution and American Containment*) i został zaczerpnięty z broszury SDS pod tym samym tytułem. Oglesby napisał książkę wspólnie z Richardem Shaullem, ekspertem od teologii wyzwolenia, pod tytułem *Containment and Change* (Strategia ograniczania a zmiana), co mogło być źródłem tego nieporozumienia. Clinton powiedziała „Newsweekowi", że „po raz pierwszy przeczytała wtedy coś, w czym kwestionowano wojnę wietnamską". Wydaje się to mało prawdopodobne, bo nawet gdyby nie czytała niczego poza „motive", to artykuł Oglesby'ego na pewno nie był pierwszą zamieszczoną w tym piśmie publikacją przeciwko wojnie

w Wietnamie (pismo stało się znane z tego, że doradzało, jak uciec do Szwecji, żeby uniknąć poboru). Z czasem Oglesby został kimś w rodzaju libertarianina Nowej Lewicy, wierzącego, że Nowa Lewica i Stara Prawica są – albo przynajmniej powinny być – pokrewnymi duchami.

[507] „Nie mogę potępiać andyjskich Indian, którzy zabijają poborców podatkowych, podobnie jak nie mogę potępiać uczestników zamieszek w Watts albo w Harlemie ani Diakonów na rzecz Obrony i Sprawiedliwości. Ich przemoc to reakcja i skutek prowokacji. Pod względem kulturowym pozostaje poza sferą przewin w tej samej chwili, w której osobista niewinność jej ofiar najbardziej bulwersuje naszą wyobraźnię". To Oglesby zgłosił pomysł, żeby wysyłać „brygady" SDS na Kubę na znak solidarności z tamtejszym reżymem. Zob. David Brock, *The Seduction of Hillary Rodham*, New York: Free Press 1996, s. 18.

[508] Kenneth L. Woodward, *Soulful Matters*, „Newsweek", 31 października 1994 r., s. 22.

[509] Hillary D. Rodham, *1969 Student Commencement Speech*, Wellesley College, May 31, 1969, www.wellesley.edu/PublicAifairs/Commencement/1969/053169hillary.html (dostęp 19 marca 2007 r.).

[510] Ostatnie sformułowania pochodzą z wiersza napisanego przez koleżankę ze studiów:

W świat tak zwanych problemów społecznych
Muszę wchodzić z cichym śmiechem albo wcale.
Wydrążonych ludzi przepełnionych gniewem i goryczą,
Szczodre damy w należytej degradacji –
Ich wszystkich trzeba zostawić minionej epoce.
A celem historii jest zapewnienie zbiornika
Na te wszystkie mity i pozostałości,
Które dziwnie przejęliśmy
I od których się uwolnimy,
Aby tworzyć nowszy świat,
Aby przyszłość zmienić w teraźniejszość.

Zob. www.wellesleyedu/PublicAffairs/Commencement/1969/053169/hillary.html.

[511] P. David Finks, *Organization Man*, „Chicago Tribune Magazine", 26 maja 1985 r., s. 21.

[512] *Strength Through Misery*, „Time", 18 marca 1966 r.

[513] Saul D. Alinsky, *Rules for Radicals: A Pragmatic Primer for Realistic Radicals*, New York: Vintage 1972, s. xxi.

[514] Nieprzetłumaczalna gra słów: anioły to *angels*, a kąty *angles* (przyp. tłum).

[515] Tamże, s. 4, 21, 13.

[516] Reich, wybitnie uzdolniony teoretyk prawa, został profesorem na wydziale prawa w Yale w wieku lat zaledwie trzydziestu dwóch, i uczył tam Hillary i Billa Clintona między innymi prawa konstytucyjnego. Kiedy zbliżał się do czterdziestki, przyjął zaproszenie studentów do spędzenia lata w Berkeley w roku 1967, a było to akurat Lato Miłości. Wrócił do Yale jako długowłosy guru w dzwonach, który nie pokazywał się bez sznura paciorków na szyi. Zrezygnował ze wszystkich tradycyjnych dogmatów z dyscypliną akademicką włącznie. Studenci nazwali jeden z jego kursów Przedszkolem II, ponieważ każdy mógł czytać albo robić, co chciał. Jego książka z roku 1970 zatytułowana *The Greening of America* (Zielenienie Ameryki) nie dotyczyła bynajmniej środowiska, jak mógłby wskazywać tytuł, ale była quasi-religijnym traktatem o potrzebie przejścia Ameryki na „trzeci poziom świadomości". Wyrażał w tej książce przekonanie, że zmiana polityczna to końcowy etap rewolucji świadomościowej. Zmiana miała nastąpić w kulturze, zanim będzie się mogła zmienić polityka, a zmiana jednostki miała poprzedzić zmianę w kulturze. Dla samego Reicha indywidualna transformacja oznaczała rezygnację z posady w Yale i wędrówkę „czarownika", według własnego określenia, w poszukiwaniu sensu i autentyczności na marginesie kalifornijskiej kontrkultury. Znaczna część Nowej Lewicy poszła w jego ślady.

[517] W artykule pisano niżej: „Teraz trzeba znaleźć nowy teren, żeby rozwijać dalsze eksperymenty, środowisko stosunkowo mało zanieczyszczone konwencjonalnymi wzorcami organizacji społecznej i politycznej. Eksperymentowanie z narkotykami, seksem, indywidualnymi stylami życia albo radykalnymi wypowiedziami i działaniem w obrębie większego społeczeństwa nie wystarcza jako rozwiązanie alternatywne. Konieczne jest eksperymentowanie totalne. Nowe idee i wartości muszą być wydobyte z głów i przekształcone w rzeczywistość". Zob. Daniel Wattenberg, *The Lady Macbeth of Little Rock*, „American Spectator" 25, nr 8 (sierpień 1992 r.).

[518] Żona Treuhafta, Jessica Mitford, była demaskatorską komunistyczną dziennikarką, najbardziej znaną z książki zatytułowanej *The American Way of Death* (Umierać po amerykańsku), ukazującej amerykańską branżę usług

pogrzebowych. Pochodząca z brytyjskiej rodziny arystokratycznej Jessica Mitford była klasyczną panną z bogatego domu, którą urzekł buntowniczy radykalizm. Kilka jej sióstr było równie radykalnych. Unity Mitford zasłynęła tym, że utrzymywała kontakty z Hitlerem, a Diana Mitford wyszła za Oswalda Mosleya, założyciela Brytyjskiej Unii Faszystów. Unity Mitford musiała wyjechać z kraju, oburzona, że Wielka Brytania walczy z tak postępowym przywódcą, jak Hitler. Diana i Oswald zostali uwięzieni na czas wojny. Oswald, rzecz jasna, zawsze uważał się za człowieka lewicy. „Nie jestem i nigdy nie byłem człowiekiem prawicy – oświadczył w roku 1968. – Zajmowałem pozycję na lewicy, a obecnie jestem w centrum". Natomiast Jessica Mitford pozostała przez całe życie wierna stalinizmowi. Kiedy w roku 1956 węgierscy powstańcy byli rozjeżdżani przez sowieckie czołgi, twierdziła, że „faszystowscy zdrajcy" dostali to, na co zasłużyli.

[519] Alan Bloom pisał następujaco: „Widziałem i młodszych, i starszych ludzi, którzy są dobrymi liberalnymi demokratami, miłośnikami pokoju i łagodności, oniemiałymi z zachwytu nad osobnikami grożącymi najstraszniejszą przemocą z najbłahszych powodów bądź ją stosującymi". I dalej: „Mają niepokojące podejrzenie, że stoją wobec ludzi z autentycznymi przekonaniami, których brak im samym. A przekonanie, nie prawdę, uważa się za coś, co ma znaczenie". Allan Bloom, *The Closing of the American Mind*, New York: Simon and Schuster 1987, s. 221.

[520] Michael Kelly, *Things Worth Fighting For: Collected Writings*, New York: Penguin 2004, s. 170. Ta charakterystyka, zatytułowana *Saint Hillary* [Swięta Hillary), ukazała się po raz pierwszy 23 maja 1993 roku w „New York Times Magazine". Z powodów, które mogą się wydawać podejrzane niektórym, jest nie do znalezienia w bazie danych Lercis-Nexis, w profesjonalnych akademickich bazach danych ani na stronie internetowej dziennika „New York Times". Na szczęście znajduje się w pośmiertnym wydaniu artykułów Kelly'ego zatytułowanym *Things Worth Fighting For*. To smutne i dziwne, że „New York Times" nie uważa tego historycznego artykułu za materiał wart zachowania.

[521] Christopher Lasch, *Hillary Clinton, Child Saver*, „Harper's", październik 1992 r.

[522] Tamże.

[523] Michael Burleigh, *The Third Reich: A New History*, New York: Hill and Wang 2000, s. 235; Christopher Lasch, *Haven in a Heartless World: The Family Besieged*, New York: Norton 1995, s. 14. Gilman wprawdzie prawidłowo podsumowała kwestie dotyczące znaczenia środowiska, ale warto odnotować, że była zatwardziałą zwolenniczką rasistowskiej eugeniki.

[524] John Taylor Gatto pisze następująco: „Niewielka liczba bardzo zaangażowanych ideologicznych przywódców Ameryki, takich jak Horace Mann z Massachusetts, Calvin Stowe z Ohio, Barnas Sears z Connecticut i inni, odwiedziła Prusy w pierwszej połowie XIX wieku. Zakochali się w porządku, karności oraz skuteczności, które tam zobaczyli, uznali, że to uregulowane, przypominające maszynę społeczeństwo jest rezultatem systemu szkolnictwa, toteż po powrocie do kraju niestrudzenie propagowali pruską wizję w Stanach Zjednoczonych. [...] Tak oto w wyniku działalności Horacego Manna i innych czołowych obywateli bez żadnej narodowej debaty czy dyskusji przyjęliśmy pruski model szkoły, a raczej ten model został narzucony większości. [...] Szkoły z jedną lub dwiema salami lekcyjnymi, cechujące się wielką sprawnością procesu przekazywania wiedzy, rozwijające samodzielność i niezależność, ściśle związane ze społecznościami, w ktorych działały, prowadzone prawie wyłącznie przez kobiety i w większości pozbawione struktur administracyjnych musiały zostać zlikwidowane". Zob. Charlotte A. Twight, *Dependent on D.C.: The Rise of Federal Control over the Lives of Ordinary Americans*, New York: Palgrave Macmillan 2002, s. 138.

[525] Michael Burlelgh, *The Third Reich: A New History*, New York: Hill and Wang 2000, s. 236.

[526] Martha Sherrill, *Hillary Clinton's Inner Politics*, „Washington Post", 6 maja 1993 r., s. D1; Michael Kelly, *Things Worth Fighting For: Collected Writings*, New York: Penguin 2004, s. 172.

[527] First Lady Hillary Rodham Clinton, *Remarks at University of Texas*, Austin, 7 kwietnia 1993 r., clinton4.nara.gov/WH/EOP/First_Lady/html/generalspeeches/1993/19930407.html (dostęp 18 marca 2007 r.).

[528] David Horowitz, *Radical Son: A Generational Odyssey*, New York: Free Press 1997, s. 175.

[529] Tom Gottlieb, *Book Tour Includes a Political Lesson*, „Roll Call", 16 maja 2006 r.

[530] Lee Siegel, *All Politics Is Cosmic*, „Atlantic Monthly", czerwiec 1996 r., s. 120-125.

[531] Michael Lerner, *The Politics of Meaning: Restoring Hope and Possibility in an Age of Cynicism*, Cambridge, Mass.: Perseus Books 1997, s. 13-14.

[532] „Tikkun", maj-czerwiec 1993 r.

[533] Michael Lerner, *The Politics of Meaning: Restoring Hope and Possibility in an Age of Cynicism*, Cambridge, Mass.: Perseus Books 1997, s. 226; Michael Lerner, *Spirit Matters*, Charlottesville: Hampton Roads 2000, s. 325.

[534] Michael Lerner, *The Politics of Meaning Restoring Hope and Possibility in an Age of Cynicism*, Cambridge, Mass.: Perseus Books 1997, s. 58.

[535] Tamże, s. 59.

[536] Tamże, s. 88, 91.

[537] Wśród spraw, których nie rozumie, jest fakt, że lewica zawsze zajmowała się konstruowaniem wspólnot, że prawicowe ruchy, które wymienia, niekoniecznie są faszystowskie; albo to, że stosuje klasyczną liberalną taktykę nazywania „innych" faszystami. Lerner wręcz pisze tak: „Delegitymizacja pojęcia możliwych „my", czyli ludzi, którzy mogliby działać na podstawie dążenia do osiągnięcia wspólnych, wzniosłych celów moralnych i osiągać moralnie wartościowe rezultaty, jest celem numer jeden konserwatywnych sił w amerykańskich elitach bogactwa i władzy". Zob. Michael Lerner, *The Politics of Meaning Restoring Hope and Possibility in an Age of Cynicism*, Cambridge, Mass.: Perseus Books 1997, s. 318.

[538] W pierwszej z wymienionych publikacji proponuje ciekawą interpretację liberalnej historii, aby namówić liberałów, żeby nawiązali do misji starej ewangelii społecznej głoszonej przez progresywistów. „Wraz ze wzrostem faszyzmu – pisze – amerykańska religijna lewica porzuciła ewangelię społeczną z czasów poprzedzających II wojnę światową, z jej radosną nadzieją na stałe podążanie w stronę Królestwa Bożego". Wymienia teologa Reinholda Niebuhra jako winowajcę, ponieważ to on przekonał liberałów, żeby poważnie potraktowali groźbę nazizmu. „Dla Niebuhra i tych chrześcijańskich realistów, którzy zgromadzili się wokoł jego pism, grzeszność wymagała uznania ograniczeń każdej polityki zmierzającej do fundamentalnej zmiany społecznej, uznającej niesprawiedliwość ich własnych społeczeństw kapitalistycznych i głoszącej zimną wojnę. Chrześcijańscy »realiści« wzmacniali indywidualizm, bo odciągali religijną energię od ruchów społecznych". Zob. Michael Lerner, *The Left Hand of God: Taking Back Our Country from the Religious Right*, New York: HarperCollins 2006, s. 164.

[539] Michael Lerner, *The Politics of Meaning: Restoring Hope and Possibility in an Age of Cynicism*, Cambridge, Mass.: Perseus Books 1997, s. 219, 283.

[540] Charles Krautharnmer, *Home Alone 3: The White House*, „Washington Post", 14 maja 1993 r., s. A31.

[541] *By the Dawn's Early Light*, „National Review", 22 stycznia 1990 r., s. 17.

[542] Norman Lear, *A Call for Spiritual Renewal*, „Washington Post", 30 maja 1993 r., s. C7.

[543] John Dewey, *What I Believe*, „Forum" 83, nr 3 (marzec 1930 r.), s. 176-182, w: Gall Kennedy (red.), *Pragmatism and American Culture*, Boston: Heath 1950, s. 28; Adolf Hitler, *Hitler's Table Talk*, przeł. Norman Cameron, R.H. Stevens, wstęp i przedmowa Hugh Trevor Roper, New York: Enigma Books 2000, s. 143.

[544] O'Rourke już w roku 1966 twierdził, że *It Takes a Village* to traktat faszystowski: „Jeżeli tej głupiej polityce trzeba nadać jakąś nazwę, to możemy zajrzeć do *Columbia Encyclopedia* i sprawdzić pod hasłem poświęconym tej ogromnej głupocie, którą był faszyzm: „Totalitarna filozofia rządu, gloryfikująca państwo i naród oraz przyznająca państwu kontrolę nad każdym aspektem życia narodu". To prawda, że faszyzm *It Takes a Village* to jego ckliwa odmiana typu „Zjedz marchewkę", która nie tyle gloryfikuje państwo i naród, co wypędza z nich diabły. Mniejszości etniczne nie są prześladowane, poza tym, że pozytywny wizerunek własny jest obowiązkowy wśród kobiet i mniejszości. I nie będzie mundurów dla dziewcząt, jedynie wygodne i trwałe ubrania. I nie będzie też obozów koncentracyjnych, tylko dużo, bardzo dużo opieki dziennej". (P.J. O'Rourke, *Mrs. Clinton's Very, Very Bad Book*, „Weekly Standard", 19 lutego 1996 r., s. 24).

[545] Hillary Rodham Clinton, *It Takes a Village*, New York: Simon and Schuster 1996, s. 13.

[546] Tamże, s, 14.

[547] Norman Lear, *A Call for Spiritual Renewal*, „Washington Post", 30 maja 1993 r., s. C7.

[548] Hillary Rodham Clinton, *It Takes a Village*, New York: Simon and Schuster 1996, s. 20.

[549] Tamże, s, 299, 301.

[550] Paul A. Gigot, *How the Clintons Hope to Snare the Middle Class*, „Wall Street Journal", 24 września 1993 r., s. A10.

[551] Howard Fineman, *Clinton 's Brain Trusters*, „Newsweek", 19 kwietnia 1993 r., s. 26.

[552] Jacob Weisberg, *Dies Ira: A Short History of Ira Magaziner*, „New Republic", 24 stycznia 1994 r., s. 18. Nawet szwedzka ambasada nie uzyskała kopii, kiedy o nią wystąpiła w imieniu pisma „Fortune".

[553] Jonathan Rauch, *Robert Reich, Quote Doctor*, „Slate", 30 maja 1997 r., www.slate.com/?id=2447 (dostęp 19 stycznia 2007 r.). Zob. też Robert Scheer, *What's Rotten in Politics: An Insiders View*, „Los Angeles Times", 29 kwietnia 1997 r.

[554] Jonathan Rauch, *Robert Reich, Quote Doctor*, „Slate", 30 maja 1997 r., www.slate.com/?id=2447 (dostęp 19 stycznia 2007 r.). Zob. też Robert Reich, *Robert Reich Replles*, „Washington Post", 5 czerwca 1997 r., s. A21; Thomas W. Hazlett, *Planet Reich: Thanks for the Memoirs*, „Reason", październik 1997 r., s. 74.

[555] Jonathan Chait, *Fact Finders: The Anti-dogma Dogma*, „New Republic", 28 lutego 2005 r.: Herbert W. Schneider, *Making the Fascist State*, New York: Oxford University Press 1928, s. 67.

[556] Walter Lippmann, *The Good Society*, New Brunswick: Transaction 2004, s. 92; Hillary Rodham Clinton, *It Takes a Village*, New York: Simon and Schuster 1996, s. 200.

[557] Mickey Kaus, *The Godmother*, „New Republic", 15 lutego 1993 r., s. 21; Kay S. Hymowitz, *The Children's Defense Fund: Not Part of the Solution*, „City Journal" 10, nr 3 (lato 2000 r.), s. 32-41.

[558] James Bovard, *Freedom in Chains: The Rise of the State and the Demise of the Citizen*, New York: St. Martin's 2000, s. 68. Znajduje się tam cytat z: U.S. Department of Agriculture, „Food and Nutrition", luty 1972 r.

[559] Kay S. Hymowitz, *The Children's Defense Fund: Not Part of the Solution*, „City Journal" 10, nr 3 (lato 2000 r.), s. 32-41.

[560] Christopher Lasch, *Hillary Clinton, Child Saver*, „Harper's", październik 1992 r.; Hillary Rodham Clinton, *Address to the General Conference*, 24 kwietnia 1996 r., www.gcah.org/GC96/hilltext.html (dostęp 6 lutego 2007 r.).

[561] Hillary Rodham Clinton, *It Takes a Village*, New York: Simon and Schuster 1996, s. 314, 315. Wyróżnienie pochodzi ode mnie.

[562] Ian Williams, *Big Food's Real Appetites*, „Nation", 6 maja 2002 r.; Tim Russert, CNBC, 10 czerwca 2000 r.

[563] Komunikat o nominacji Janet Reno, Biały Dom, 11 lutego 1993 r., www.presidency.ucsb.edu/ws/index.php?pid=47044&st=&st1 (dostęp 6 lutego 2007 r.]; Janet Reno, wypowiedź skierowana do pracowników Departamentu Sprawiedliwości (Remarks to Justice Department Employees), Waszyngton, 6 kwietnia 1993 r.

[564] Hillary Rodham Clinton, *It Takes a Village*, New York: Simon and Schuster 1996, s. 82, 113.

[565] Christopher Lasch, *Hillary Clinton, Child Saver*, „Harper's", październik 1992 r.

[566] Hillary Rodham Clinton, *It Takes a Village*, New York: Simon and Schuster 1996, s. 45, 63, 88-89.

[567] Tamże, s. 83.

[568] Tamże, s. 233, 132.

[569] Kate O'Beirne, *The Kids Aren't Alright*, „National Review", 1 września 2003 r.; Kate O'Beirne, *Women Who Make the World Worse: And How Their Radical Feminist Assault Is Ruining Our Schools, Families, Military and Sports*, New York: Penguin 2006, s, 36-38.

[570] Gretchen Ritter, dyrektorka Programu Studiów Kobiecych na Uniwersytecie Teksańskim, pisze podobnie, że „matki, które zostają w domu, żeby zajmować się dziećmi, są odpowiednikiem migających się cwaniaków, odmawiając wkładu jako osoby pracujące i działaczki czynne w społeczności". Zob. Gretchen Ritter, *The Messages We Send When Moms Stay Home*, „Austin American-Statesman", 6 lipca 2004 r., s. A9.

[571] Kate O'Beirne, *Women Who Make the World Worse: And How Their Radical Feminist Assault Is Ruining Our Schools, Families, Military and Sports*, New York: Penguin 2006, s. 40.

[572] Hillary Rodham Clinton, *It Takes a Village*, New York: Simon and Schuster 1996, s. 189.

[573] Tamże, s. 239, 169.

[574] William Jennings Bryan, „Omaha World-Herald", 23 września 1892 r.; zdanie cytowane w: Paolo E. Coletta, *William Jennings Bryan*, t. 1, Lincoln: University of Nebraska Press 1964, s. 75; H. Wayne Morgan, *From Hayes to McKinley: National Party Politics, 1877-1896*, Syracuse: Syracuse University Press 1969, s. 496.

[575] Ian Kershaw, *The „Hitler Myth". Image and Reality in the Third Reich*, New York: Oxford University Press 1987, s. 73.

[576] Elizabeth Kolbert, *Running on Empathy*, „New Yorker", 7 lutego 2000 r., s. 36.

[577] James Bovard, *Freedom in Chains: The Rise of the State and the Demise of the Citizen*, New York: St. Martin's 2000, s. 19.

[578] *The Real Hillary Just Stood Up*, „New York Post", 30 czerwca 2004 r., s. 30; Amy Fagan, *Inside Politics*, „Washington Times", 30 czerwca 2004 r., s. A07.

[579] Zwrot „społeczność oparta na rzeczywistości" stał się hasłem lewicowych i liberalnych blogerów w 2004 roku. Używano go zasadniczo w celu szydzenia z prezydenta George'a W. Busha i jego programów politycznych. Pojawił się w artykule Rona Suskinda opublikowanym w wydaniu „New York Times Magazine" z 17 października 2004 r., gdzie autor cytował niewymienionego z nazwiska współpracownika George'a W. Busha: „Ten współpracownik powiedział, że faceci podobni do mnie znajdują się »w tym, co nazywamy społecznością opartą na rzeczywistości«, którą określał jako ludzi uważających, że »rozwiązania wyłaniają się z rozważnego badania zauważalnej rzeczywistości«. Następnie mówił: »Teraz świat już tak nie działa. Teraz jesteśmy imperium i gdy działamy, tworzymy własną rzeczywistość. A gdy wy badacie tę rzeczywistość – rozważnie, zgodnie z waszymi zamierzeniami – my będziemy działać znów, tworząc nowe rzeczywistości, które także możecie badać, i tak się sprawy uporządkuje. Jesteśmy aktorami tworzącymi historię [...] a wy, wy wszyscy, będziecie tylko badać to, co my robimy«". Ustęp z mowy Hitlera jest cytowany w: Richard J. Evans, *The Third Reich in Power, 1933-1939*, New York: Penguin 2005, s. 257.

[580] John J. Miller, *Banning Legos*, „National Review Online", 27 marca 2007 r.

[581] Warto wspomnieć, że w szczytowym okresie *kulturkampfu* amerykański prezydent Ulysses S. Grant przekonywał do przyjęcia poprawki do konstytucji, w której zabroniono by wykładania „sekciarskich twierdzeń" w każdej placówce oświatowej otrzymującej choćby najdrobniejsze wsparcie z budżetu publicznego, oraz do opodatkowania „całego mienia kościelnego". Zob. Jeremy Rabkin, *The Supreme Court in the Culture Wars*, „Public Interest", jesień 1996 r., s. 3-26. Trzeba zdawać sobie sprawę, jak protestantyzm w Niemczech został zepsuty zarówno przez programy narodowościowe, jaki socjalistyczne, w znacznym stopniu tak samo, jak się to odbyło w Stanach Zjednoczonych wskutek działań progresywistów. Badania opinii przeprowadzone w latach 1898 i 1912 ujawniły, że większość niemieckich robotników nie wierzyła w Boga, ale niemal wszyscy wierzyli, iż Jezus był „autentycznym przyjacielem robotników". Pewien robotnik zakładał, że gdyby Jezus żył obecnie, „z pewnością byłby socjaldemokratą, być może nawet przywódcą i deputowanym do Reichstagu" (zob. Michael Burleigh, Earthly Powers: *The Clash of Religion and Politics in Europe from the French Revolution to the Great War*, New York: HarperCollins 2005, s. 268). Niemarksiści przykładali mniejszą wagę do spraw klasowych, większą zaś do narodu, który był obiektem religijnej żarliwości. Adolf Stoecker, nadwomy kaznodzieja Wilhelma II, pomagał kierować tym natarciem i bezpośrednio wpłynął na Hitlera oraz narodowy socjalizm. Stoecker odrzucał kapitalizm, między innymi z powodu jego rzekomego „żydostwa" z samej istoty. Przekonywał do komun robotniczych i szczodrego państwa opiekuńczego. Domagał się także wprowadzenia na uczelniach i w innych grupach zawodowych limitów rasowych, a następnie założył jedną z pierwszych antysemickich partii niemieckich, Chrześcijańską-Socjalistyczną Partię Robotników (*Christlichsoziale Arbeiterpartei*). Proces przekształcania germańskości w religię został symbolicznie ukończony, gdy pojawiła się inna partia, która słowo „chrześcijańsko" zamieniła na „narodowo", czyli NSDAP.

[582] Adolf Hitler, *Hitler's Table Talk*, przeł. Norrnan Cameron, R.H. Stevens, wprowadzeniem i przedmową opatrzył Hugh Trevor Roper, New York: Enigma Books 2000, s. 59.

[583] Hermann Rauschning, *The Voice of Destruction*, New York: Putnam 1940, s. 50.

[584] Do innych oficjalnych świąt należały Dzień Pamięci o Bohaterach, Dzień Partii Rzeszy (Reichsparteitag), urodziny *Führera* (naturalnie) oraz Narodowe Święto Narodu Niemieckiego. Święto przesilenia zimowego, podczas którego

składano rozliczne *völkisch* hołdy germańskiej wyższości, zastąpiło Boże Narodzenie. Stary Dzień Pamięci został zastąpiony przez święto, podczas którego wspominano poległych ruchu nazistowskiego. Organizowano wtedy wiele pogańskich rytuałów.

[585] William E. Drake, *God-State Idea in Modern Education*, „History of Education Quarterly" 3, nr 2 (czerwiec 1963 r.), s. 90.

[586] J.S. Conway, *The Nazi Persecution of the Churches, 1933-45*, New York: Basic Books 1968, s. 76-77; Claudia Koonz, *Mothers in the Fatherland: Women, the Family, and Nazi Politics*, New York: St. Martin's 1987, s. 230.

[587] Oto dalsza część tekstu:

Ze śpiewem na ustach idziemy za sztandarami Hitlera;
Tylko wtedy jesteśmy godni naszych przodków.
Nie jestem chrześcijaninem ani katolikiem.
Czy jest dobrze, czy źle, idę z SA.
Nie dbam o Kościół, można mi go zabrać.
Swastyka mnie uszczęśliwia na Ziemi.
Za nią pójdę marszowym krokiem;
Baldurze von Schirach, zabierz mnie z sobą,

Zob. Gene Edward Veith, *Modern Fascism: The Threat to the Judeo-Christian Worldview*, St. Louis: Concordia 1993, s. 67.

[588] Tamże, s. 94, 102.

[589] Tamże, s. 138.

[590] Joyce Howard Price, *Harvard Professor Argues for 'Abolishing' White Race*, „Washington Times", 4 września 2002 r., s. A05.

[591] Alfred Rosenberg, *The Myth of the Twentieth Century*. Zob. http://web.archive.org/web/20020603084225/www.ety.com/HRP/booksonline/mythos/mythosb1chap03.htm (dostęp 10 lipca 2007 r.). Timothy W. Ryback, *Hitler's Forgotten Library*, „Atlantic Monthly", maj 2003 r.; Adolf Hitler, *Mein Kampf*, przeł. Ralph Manheim, Boston: Houghton Mifflin 1999, s. 454.

[592] Gloria Steinem, *Revolution from Within: A Book ofSelf-Esteem*, Boston: Little, Brown 1993, s. 133; Zob. też David Rieff, *Designer Gods*, „Transition", nr 59 (1993), s. 20-31.

[593] Adam LeBor, Roger Boyes, *Seduced by Hitler*, Naperville: Sourcebooks 2001, s. 119.

[594] E. E Kaelin, *Heidegger's "Being and Time": A Reading for Readers*, Tallahassee: University Presses of Florida 1988, s. 58; Gene Edward Veith, *Modern Fascism: The Threat to the Judeo-Christian Worldview*, St, Louis: Concordia 1993, s. 119, 124.

[595] Zeev Sternhell, *The Birth of Fascist Ideology: From Cultural Rebellion to Political Revolution*, Princeton: Princeton University Press 1994, s, 28.

[596] Określenie cytowane w: Richard Harrington, *The Good, the Bad, and the Bee-Bop*, „Washington Post", 17 października 1988 r., s. B1.

[597] Adolf Hitler, *Hitler s Table Talk*, przeł. Norman Cameron, R.H. Stevens, wprowadzeniem i przedmową opatrzył Hugh Trevor Roper, New York: Enigma Books 2000, s. 353.

[598] Ian Kershaw, *Hitler, 1889-1936*. Hubris, New York: Norton 2000, s. 348; Scott Lively, Kevin Abrams, *The Pink Swastika: Homosexuality in the Nazi Party*, Keizer: Founders 1995, s. vii.

[599] Tom Wolfe, *Hooking Up*, New York: Picador 2000, s. 140.

[600] Albert Gore, *Earth in the Balance: Ecology and the Human Spirit*, Boston: Houghton Mifflin 2000, s. 336, 220-221.

[601] Zob. tekst przemówienia Michaela Crichtona w Commonwealth Club W 2003 roku: www.crichton-official.com/speeches/speeches_quote05.html. Zob. też Steven Landsburg, *Armchair Economist: Economics and Everyday Life*, New York: Free Press 1993; Eric Goldscheider, *Witches, Druids, and Other Pagans Make Merry Again*, „New York Times", 28 maja 2005 r., s. B7; Robert H. Nelson, *Tom Hayden, Meet Adam Smith and Thomas Aquinas*,

„Forbes”, 29 października 1990 r.; Dana Milbank, *Some Heated Words for Mr. Global Warming*, „Washington Post”, 22 marca 2007 r., s. A02.

[602] William Rees-Mogg, *And Yet the Band Plays On*, „Times” (londyński), 26 maja 1994 r.

[603] Matt Lauer, *Countdown to Doomsday*, Sci-Fi Channel, 14 czerwca 2006 r.

[604] Zob. Peter Staudenmaier, *Fascist Ecology: The 'Green Wing' of the Nazi Party and Its Historical Antecedents*, www.spunk.org/texts/places/germany/sp001630/peter.html (dostęp 8 maja 2007 r.).

[605] Tamże.

[606] Robert N. Proctor, *The Nazi War on Cancer*, Princeton: Princeton University Press 2000, s. 139.

[607] Do prominentnych propagatorów spożywania surowych produktów (lub członkow ruchu Living Food) należą Demi Moore, Woody Harrelson, Edward Norton oraz Angela Bassett; Adolf Hitler, *Hitler's Table Talk*, przeł. Norman Cameron, R.H. Stevens, wprowadzeniem i przedmową opatrzył Hugh Trevor Roper, New York: Enigma Books 2000, s. 443.

[608] Zob. np. www.peta.org/about/whyanimalrights.asp oraz Charles Oliver, *Don't Put Animal Rights Above Humans*, „USA Today”, 11 czerwca 1990 r., s. 10A.

[609] Zob. Jacob Sullum, *What the Doctor Orders*, „Reason”, styczeń 1996 r.; Jacob Sullum, *An Epidemic of Meddling*, „Reason”, maj 2007 r.

[610] Robert N. Proctor, *The Nazi War on Cancer*, Princeton: Princeton University Press 2000, s. 120; Jacob Sullum, *To Your Health!*, „National Review”, 13 września 1999 r.

[611] Jon Gertner, *The Virtue in $6 Heirloom Tomatoes*, „New York Times Magazine”, 6 czerwca 2004 r.; Jonah Goldberg, *Gaiam Somebody!*, „National Review”, 19 marca 2001 r.

[612] Sean Wilentz, historyk z Uniwersytetu Princeton, pisze następująco: „W głębi ducha Buchanan to człowiek starej katolickiej prawicy, powtarzający wrogi wobec Nowego Ładu katechizm popularyzowany przez »radiowego kapłana«, księdza Charlesa Coughlina, oraz muskularny, pietystyczny, korporacjonistyczny antykomunizm, dla ktorego bohaterem był *generalísimo* Franco w czasie wojny domowej w Hiszpanii. [...] Odrzuca państwo opiekuńcze, uważając je za wtrącającą się siłę świecką. Świat leżący za wodami otaczającymi Amerykę to dla niego burza dzikiej plemienności, przez co chciałby wstrzymania imigracji i wystąpienia Stanów Zjednoczonych z ONZ. Wykazuje skłonność do tworzenia teorii spiskowych, co ilustrują jego uwagi na temat szatańskich »elit zajmujących się polityką zagraniczną« oraz proizraelskiego *amen corner*, który rzekomo panuje nad naszą polityką zagraniczną i szkodzi polityce w kraju” (*Third Out*, „New Republic”, 22 listopada 1999 r.). Jest w tych stwierdzeniach wiele prawdy, ale Wilentz zdecydowanie myli się, gdy twierdzi, że Buchanan „odrzuca państwo opiekuńcze”. Nigdy tego bowiem nie robił. Nie jest to wypaczenie nieistotne. (*Amen corner* to miejsce wyznaczone w niektórych kościołach protestanckich dla grupy wygłaszającej „Amen” podczas modlitwy; przyp. tłum.).

[613] Molly Ivins, *Notes from Another Country*, „Nation”, 14 września 1992 r.

[614] Te i pozostałe cytaty pochodzą z: Ramesh Ponnuru, *A Conservatiye No More*, „National Review”, 11 października 1999 r. Dużo zawdzięczam Rameshowi Ponnuru, a szczególnie wiele temu artykułowi, w którym znajdują się cenne opinie na temat Buchanana.

[615] Co do wypowiedzi Buchanana o Żyrinowskim zob. *The Death of the West*, New York: St. Martin's 2002, s. 18. Na temat Euroamerykanów zob. *The Disposition of Christian Americans*, 27 listopada 1998 r., www.buchanan.org/pa-98-1127.html oraz *Un-American Ivy League*, „New York Post”, 2 stycznia 1999 r.

[616] Ramesh Ponnuru, *A Conservative No More*, „National Review”, 11 października 1999 r.

[617] *Rough Riders*, 1. Regiment Kawalerii Ochotniczej, utworzony w czasach Theodore'a Roosevelta (przyp. tłum).

[618] Zob. David Brooks, *Politics and Patriotism: From Teddy Roosevelt to John McCain*, „Weekly Standard”, 26 kwietnia 1999 r.; Richard Lowry, *TR and His Fan*, „National Review”, 7 lutego 2000 r.; David Brooks, *A Return to National Greatness: A Manifesto for a Lost Creed*, „Weekly Standard”, 3 marca 1997 r.; John B. Judis, *Are We All Progressives Now?*, „American Prospect”, 8 maja 2000 r.

[619] Ramesh Ponnuru, *Swallowed by Leviathan: Conservatism Versus an Oxymoron: 'Big-Government Conservatism'*, „National Review”, 29 września 2003 r.

[620] Fred Barnes, *Rebel-in-Chief: Inside the Bold and Controversial Presidency of George W. Bush*, New York: Three Rivers Press 2006; zob. też rozmowę z Timem Russertem, CNBC, 28 stycznia 2006 r.

[621] Zob. Samuel Huntington, *Conservatism as an Ideology*, „American Political Science Review” 51 (czerwiec 1957 r.); Friedrich Hayek, *Why I Am Not a Conservative*, w: *The Constitution of Liberty*, Chicago: University of Chicago Press 1960.

[622] Zob. Jonah Goldberg, *A Lib-Lib Romance*, „National Review”, 31 grudnia 2006 r.

[623] W wypowiedzi dla stacji MSNBC Richard Stengel, redaktor tygodnika „Time”, stwierdził: „Od czasu, kiedy znów jestem w redakcji tego pisma, myślę, że jedną z rzeczy koniecznych w dziennikarstwie jest to, aby mieć własne zdanie na temat różnych spraw. Nie można nieustannie mówić po prostu »z jednej strony«, »z drugiej strony«, a później decydować. Ludzie obdarzają nas zaufaniem, abyśmy podejmowali decyzje. Jesteśmy ekspertami w tym, co robimy. Pomyślałem więc sobie, że jeśli rzeczywiście mamy w jakiejś sprawie zdecydowane zdanie, po prostu je wypowiedzmy”.

[624] Należy tu wspomnieć, że na taką formę argumentacji nigdy nie pozwala się ugrupowaniom i środowiskorn prawicowym. Gdy prawicowcy wywodzą, że rasizm konserwatystów wcześniejszych pokoleń nie ma nic wspólnego z obecnym konserwatyzmem, liberałowie wybuchają śmiechem, jakby było to absurdalne. Wystarczy sobie wyobrazić, co by było, gdyby Mike Huckabee pożyczył sobie stronę od Hillary Clinton i stwierdzil, że już nie podaje się za konserwatystę. Teraz jest „konfederatą”. Czy ci liberałowie ograniczyliby się do wzruszenia ramionami w reakcji na ten niemożliwy scenariusz? Czy w cudowny sposób odkryliby na nowo znaczenie historii dla obecnych wydarzeń i sens słów?